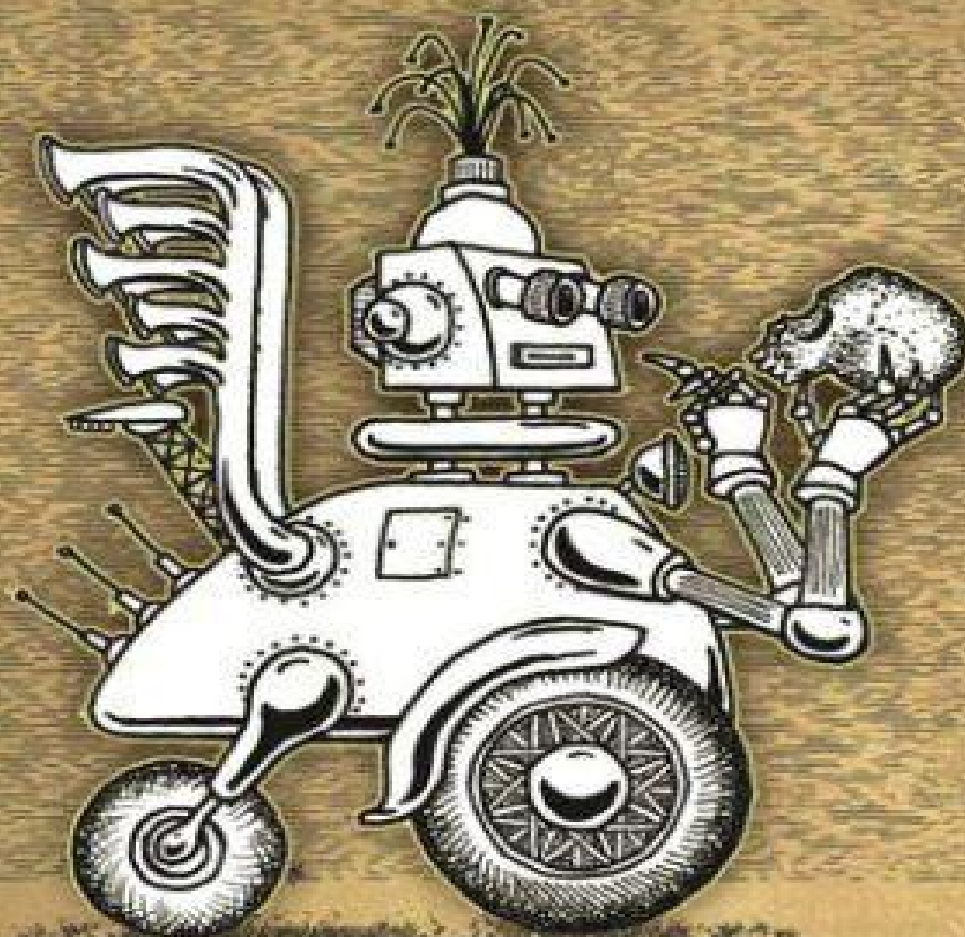


Cyran Gütsche Haka Kosik
Miszczak Nowak Orkan Orliński
Paliński Piskorski Podrzucki Skalska

GŁOS LEMA

pod redakcją Michała Cetnarowskiego



powergraph

Cyran Gütsche Haka Kosik
Miszczak Nowak Orkan Orliński
Paliński Piskorski Podrzucki Skalska

Głos Lema

Antologia w rocznicę urodzin Stanisława Lema
pod redakcją Michała Cetnarowskiego



powergraph

Warszawa 2013

Spis treści

Jacek Dukaj	WSTĘP
Krzysztof Piskorski	TRZYNAŚCIE INTERWAŁÓW IORRI
Rafał W. Orkan	KSIĘCIA KORDIANA KSIĘŻYCOWYCH PRZYPADKÓW CZĘŚĆ PIERWSZA I NAJPRAWDOPODOBNIJ OSTATNIA
Wawrzyniec Podrzucki	ZAKRES WIDZIALNY
Andrzej Miszczak	PORYW
Alex Gütsche	LALKA
Joanna Skalska	PŁOMIENIEM JESTEM JA
Janusz Cyran	SŁOŃCE KRÓL
Wojciech Orliński	STANLEMIAN
Rafał Kosik	TELEFON
Paweł Paliński	BLASK
Filip Haka	OPOWIEŚCI KOSMOBOTYCZNE DOMINIKA VIDMARA
Jakub Nowak	RYCHU

Żadna dobra książka nie przejdzie nieukarana, a każdy gest artystyczny jest zarazem przedmiotem gry rynkowej. I jak w przypadku wielu podobnych przedsięwzięć, także inicjatorom antologii opowiadań inspirowanych twórczością Stanisława Lema łatwo przypisać niskie intencje: że oto wykorzystują znane nazwisko dla darmowej reklamy, by przebić się z tytułem marketingowo.

W istocie zaś mamy tu do czynienia z próbą niemalże heroiczną.

Bo, po pierwsze, czy *Głos Lema* rzeczywiście wykorzystuje znaną markę – czy też raczej stara się ją dopiero stworzyć, odtworzyć?

A po drugie, czy w ogóle jest możliwym „pisanie jak Lem”?

* * *

Pierwsze pytanie zdawać się może zgoła absurdalnym (jeśli nie obrazoburczym). Jakże to, przecież każdy słyszał o Lemie! Jasne, każdy słyszał też o Norwidzie czy Orzeszkowej – jednak nie wierzę w tłumy czytelników pędzących po „antologię opowiadań *à la* Orzeszkowa”.

Dlaczego pozwalam sobie na zestawienie tych akurat pisarzy? Niestety, przekonałem się już wielokroć, że dla współczesnego czytelnika, gustującego w romansach wampirycznych, sagach fantasy, książkach Pilipiuka i Piekary czy Kinga albo Canavan – Lem plasuje się dokładnie na tej samej półce, co właśnie Żeromski czy inni przeklinani przez brać szkolną autorzy zupełnie dla niej niestrawnych lektur obowiązkowych.

W rozmowach z tymi czytelnikami powraca motyw wczesnego zrażenia do Lema (i, przez uogólnienie, do całej literatury science fiction) na skutek lektur *Bajek robotów* lub opowiadań o Pirxie, jakie wmuszano w nich w podstawówce. Co dla kolejnych roczników okazywało się przeżyciem iście traumatycznym.

Cóż, po prostu za wcześnie do Lema podchodzili, błąd programu edukacji. Są pisarze, do których trzeba dorosnąć; i to nie raz – trzeba dorastać wielokrotnie. Ale oto ci nieszczęśnicy kończą studia, sami mają dzieci – a awersja pozostaje. Już całe pokolenia rosną w błogiej nieświadomości skarbów wyobraźni Stanisława Lema. I nie są to analfabeci przecież; to ludzie wykształceni. Masz, spróbuj, przekonaj się sam, czy to wciąż literatura nie dla ciebie. „Próbowałem, ale za diabła nie rozumiem jego języka!”.

Oto i kolejna niespodziewana przeszkoda: język Lema, ta specyficzna rozbuchana polszczyzna przedwojenna, splatająca technikalia i cudownie gumowe neologizmy, humorystyczne ekwilibrystyki i przaśne archaizmy, w składni tortowej, wężowej – stała się dla dwudziestopiętnastoletnich czytelników równie obca co polszczyzna Mickiewicza. Problem z lekturą *Pana Tadeusza* nie polega wszak na stawianych przez litewską epopeję karkołomnych kwestiach intelektualnych, lecz na niezrozumieniu tekstu na najbardziej podstawowym poziomie, tzn. słów, zdań. Język Lema pod tym względem stawał się z czasem coraz bardziej hermetyczny, jego późna eseistyka ustanawia próg właściwie nie do pokonania dla konsumenta kultury empikowej.

Te moje smutne konstatacje stoją naturalnie w rażącej sprzeczności z opinią rozgłoszoną w polskiej mediasferze. A im medium bardziej szacowne i wysokie, tym mocniejsza w nim oczywistość, że „wszyscy Lema znają, czytają i kochają”. Skąd rozbieżność?

Moim zdaniem „myślenie i mówienie Lemem” stało się już analogicznym wyróżnikiem pokoleniowym, jak wcześniej „mówienie Sienkiewiczem”. Czas, w którym wchodzimy w kulturę, dzieła, jakie nas wówczas kształtują, jakie wpływają na naszą wyobraźnię i gusta – identyfikują nas niczym DNA i linie papilarne. Nie można mieć drugiego dzieciństwa i nie można po raz drugi czytać jak dziecko.

Oczywiście zdarzają się wyjątki – wyjątki zawsze się zdarzają, niektórzy autorzy opowiadań z tej kolekcji stanowią ich przykłady – ale w zasadzie linia demarkacyjna zapadła na roku 1989: kto zdążył przed nim wejść w świat SF, ten z dużym prawdopodobieństwem „zaraził się Lemem”. Lem istotnie był wówczas takim Słońcem literatury fantastycznej; tym bardziej w latach 70. Po roku 1989 jednakże wszystko się zmieniło: stał się on jedną z tysięcy gwiazd na firmamencie. Można się teraz od małego zaczytywać fantastyką, uważać za fantastyki konesera, fana i znawcę – a Lema nie czytać w ogóle, albo przeczytawszy jedną czy drugą jego książkę, odrzucić programowo jako literaturę nieciekawą, nieistotną; i nie czuć się bynajmniej z tego powodu upośledzonym w obiegu kulturowym, w rozmowach z innymi czytelnikami, w rozumieniu współczesnej twórczości.

Co byłoby niemożliwe w przypadku analogicznego ignoranctwa w twórczości np. Tolkiena. Nawet jeśli ktoś serdecznie nie znosi Tolkiena, musi się orientować w jego dziełach, żeby w ogóle z sensem uczestniczyć w rozmowach o współczesnej kulturze, i to nawet nie zawężając jej do fantastyki. W tym sensie twórczość Lema jawić się może raczej literackim ślepym zaułkiem. Ile powstaje takich książek, filmów, gier, dla których pełnego odbioru konieczne jest odczytanie w Lemie? To pojedyncze, dość niszowe utwory.

Lemofile tworzą dziś coś w rodzaju półsekretnego bractwa, masonerii oświeceniowej SF, rozpoznającej się po kryptycznych cytatach, słodko archaicznej terminologii („fantomatyka”, „intelektronika”) i charakterystycznym odruchu tropienia genealogii idei: „o tym Lem napisał już tu i tu!”. Reszta zaś lemingowo kiwa głowami: tak, tak, Lem to przewidział, a Słowacki wielkim poetą był.

Jak zatrzymać ten trend? Jak skutecznie nawracać czytelników na Lema?

Otóż jednym ze sposobów może być właśnie taki literacki „album coverów”. W muzyce wielokrotnie zdarzało się, że nowe pokolenia odkrywały klasyków, usłyszawszy ich utwory w wykonaniu artystów ze swoich roczników. I wtedy dopiero sięgały z własnej woli po oryginały.

Opowiadania zebrane w tym zbiorze wyszły spod piór autorów urodzonych w latach 1969–1982; jedynie dwaj pisarze-naukowcy, Cyran i Podrzucki, pochodzą ze starszej generacji.

To już nie dzieci; to literackie wnuki i prawnuki Lema.

Czy można dzisiaj „pisać Lemem”?

Pytanie nie jest tak banalne, jakim się zdaje na pierwszy rzut oka. Wiadomo, że aby pisać dokładnie jak Lem – lecz nie po prostu powtarzając, co on już przed laty napisał, lecz tworząc dziś, jak tworzyłby Lem – trzeba by właśnie być Lemem. Co nie dość, że jest logiczną niemożliwością, to i nie stanowiłoby przecież tytułu do chwały dla żadnej indywidualności twórczej, wyrąbującej sobie w pocie czoła terytorium oryginalności.

Nie o to chodzi. O co zatem?

Wydaje mi się, że musimy cofnąć się o krok przed pytanie i wyświetlić wpiery źródła atrakcyjności prozy Lema, tzn. te cechy, dla których w ogóle byłoby warto „pisać jak Lem”.

Więc: czy naśladowana winna być tu raczej treść, czy forma? I czy da się jedną oddzielić od drugiej?

Kontynuacja na poziomie formy nieuchronnie wystawi nas na zarzut pustego archaizowania, zabaw estetyką retro dla samej tej estetyki. Tymczasem bohaterowie Lema latali pancernymi kosmolotami i wykonywali obliczenia na mózgach z lampami próżniowymi, ponieważ w takiej akurat epoce historycznej (w takiej epoce literackiej) zdarzyło się Lemowi pisać. Czy pisząc dzisiaj, pisałby w tym duchu? Ale sam przecież nie archaizował na Wellsa czy Żuławskiego! Tak po prostu widział wówczas przyszłość; taką była przeszłość.

Podczas gdy zabytkowa futurystyka kosmiczna z *Edenu, Niezwycięzonego, Solaris*, z opowiadań o Pirxie, jeśli przyciąga dziś czytelników, to z przyczyn zupełnie przez Lema niezamierzonych: z racji właśnie tego nostalgicznego posmaku swojskości retro. Zachodzi tu pewna symetria z popularnością PRL-owskich seriali w rodzaju *07 zgłoś się*. Porucznik Borewicz ściga swoich pocziwych przestępców polonezem, a komandor Pirx pełnym ciągiem stosu atomowego idzie kursową z ładowniami asteroidowej rudy.

W szerszym sensie o niezamierzonej atrakcyjności klasycznej fantastyki lemowskiej może stanowić samo umieszczenie jej akcji w kosmosie. W ostatnich dekadach nastąpił wyraźny odwrót od przyszłości wypraw kosmicznych. Czy też, mówiąc precyzyjniej, podział w ramach konwencji: w kosmosie rozgrywają się prawie wyłącznie space opery i podobne rozbuchane fabuły przygodowe, nietraktujące poważnie nie tylko nauki, ale i samej scenografii science fiction; science fiction serio trzyma się zaś Ziemi i człowieka tudzież komputera. W tradycji literatury Lemowej da się natomiast połączyć te rozbieżne tendencje, co może przemawiać do określonej grupy czytelników – tych wychowanych na staromodnej fantastyce naukowej, ale też, miejmy nadzieję, tych, którzy dopiero teraz z zaskoczeniem odkrywają, że da się pisać również w ten sposób.

* * *

Problem polega również na tym, że nie ma „jednego Lema”, z którego dałoby się zdjąć taki obiektywny wzorzec. Lem się zmieniał, w końcu wręcz wypierając się SF, jaką tworzył na początku – a to właśnie ta jego „młodzieńcza” fantastyka okazuje

się, dzięki malowniczemu sztafażowi i mocnej fabularyzacji, najbardziej przemawiającą do współczesnych czytelników (i czytelników-pisarzy). Po przeciwnej stronie spektrum znajdują się zaś teoretyczno-filozoficzne prace późnego Lema, eseistyczne i paraeseistyczne kondensaty myśli o gęstości gwiazdy neutronowej, zazwyczaj pozbawione szkieletu intrygi i wypłukane z oddziałujących na wyobraźnię konkretów scenografii i gadzeczarstwa.

Gdzie już właściwie nie ma możliwości naśladownictwa formy; tu „pisanie jak Lem” z konieczności oznaczałoby pisanie na podobnie wysokosiężne tematy, w podobnym rygorze rozumu i intensywności wyobraźni. Co nie dość, że stawia przed autorami jako wymóg minimum posiadanie tej iskry geniuszu, ale na dodatek właściwie zupełnie wypycha ich poza granice literatury pięknej, na ziemie filozofii i kraje z nią sprzymierzone.

Istnieją wszakże czytelnicy wierni takiemu właśnie Lemowi, głównie ci już ze starszych pokoleń, odzegnujący się – w zgodzie z późnymi deklaracjami samego Lema – od science fiction jako gatunku. „Nie czytam fantastyki, czytam Lema”. Dla nich odpowiednikiem niniejszej antologii byłby dopiero zbiór oryginalnych prac jakichś nowych Hofstadterów, Penrose’ów i Tiplerów.

Cóż począć? Nie wydedukujemy „Lema idealnego”. Kierując się zdroworoządkową zasadą złotego środka, możemy natomiast spróbować wydestylować swoiste optimum lemowatości, tzn. taki moment w twórczości Stanisława Lema, który obejmuje możliwie najbogatszy zestaw cech stanowiących o wyjątkowości jego prozy, widzianej dziś z dystansu kilkudziesięciu lat w postaci skończonego dorobku.

Wybór naturalnie musi tu być w pewnym stopniu arbitralny. Wydaje mi się, że najbliższy temu optimum był „Lem średni”, z lat 60. Już wyrosły z SF komunizmu i marynistycznego bohaterstwa, a jeszcze niezakamieniały w afabularnym teoretyzowaniu. Na jakiej formie, na jakich treściach należałoby się wówczas oprzeć?

Sięgnijmy do źródła. Tak pisał Stanisław Lem w *Fantastyce i futurologii* (wydanej w 1970r.):

Nie ma żadnej więzi koniecznej pomiędzy literackim tematem oraz przedmiotami i wypadkami, jakie on w utwór wprowadza, a znaczeniami tego utworu: rzecz dziejąca się między samymi świętymi w niebie może równie dobrze należeć do hagiograficznej, jak do antymetafizycznej literatury; erotycznymi stosunkami można wyklądać świat lub zaświat, komputery mogą służyć wizji futurologicznej albo drwinie z aktualnych cech społeczeństwa, która nic nie ma wspólnego ani z intelektroniką, ani z przyszłością jakąkolwiek; diabłami da się jak najbardziej rzeczowo unaocznić jakość ludzkiego losu albo właśnie utwierdzać manichejską koncepcję bytu itp. A przy tym może być jeszcze tak, że obiekty i pojęcia naukowe nie służą w dziele ani fizyce, ani metafizyce, że jest ich zastosowanie czystą zonglerką, zabawą, w tonacji wesołej lub upiornej prowadzoną.

Dlaczego zatem science fiction? I to właśnie science fiction nie jako „czysta zonglerka pojęciami naukowymi”, ale jako samo znaczenie, jako sens utworu literackiego?

Otóż ponieważ:

Science fiction zdolna czynić to wszystko (tyle że po swojemu), co czyni literatura zgodnie ze swymi tradycjami, ze swym powołaniem, potrafi w tym jednym sektorze – hipotezotwórczym – wykraczać poza brzeg zadań dotychczasowych pisarstwa.

I dalej deklaruje Lem AD 1970:

Obszar działań nauki i techniki, obszar działań socjalnych człowieka, obszar jego poczynań kulturowych – stanowią posprzęgane ze sobą agregaty, tworzące całość taką, że ona przejawia raz skłonności do zamykania się w sobie, statecznego nieruchomienia, a raz do otwierania ekspansywnego. Nauka bada świat, którego wszystkich jakości nie rozpoznała dotąd. Jako nieznanne jej – tym samym nie mogą być i przepowiedziane pewnie. Lecz można założyć takie nieznanne jakości świata i zastanowić się nad tym, jakie skutki miałyby ich wykrycie.

Jest to więc program literackiego opracowywania hipotez naukowych, przy czym hipotez nieraz tak daleko idących, i opracowania tak rozpędzonego wszcz i w głąb, że zmuszonego realizować uprzedzając także roboty wykonywane w zwykłym toku odkryć i przemyśleń przez całe rzesze filozofów i ścisłowców-teoretyków. Trudno się oprzeć wrażeniu, że między kryteria opisowe wkłada się tu kryterium wartościujące: kto mianowicie mógłby podołać temu wyzwaniu – na pewno nie każdy przecież, kto ma kompetencje i umiejętności, by pisać „po prostu SF”.

A że nauka postępuje naprzód niezależnie od literatury, hipotezy beletryzowane przez Lema dzisiaj nie byłyby hipotezami zbeletryzowanymi przez Lema pół wieku temu.

Na pewno jednak da się wskazać określone skrzywienia, predylekcje i uprzedzenia w doborze i sposobie naświetlania tych hipotez.

Taka science fiction *à la* Lem powinna więc przywiązywać dużą wagę do biologicznych, ewolucyjnych interpretacji teorii, nawet w dziedzinach od biologii z pozoru najdalszych; do gry przypadków i pomyłek, katastrof. Uznając rozum za jedyny kierunkowskaz, nie ma zarazem pełnego zaufania do rozumu człowieka; a już czarnym pesymizmem zionie w niej z literackich przedstawień etycznych i epistemicznych ograniczeń (wręcz kalectw) *Homo sapiens*. Składowa emocjonalna tej prozy jest tak wąta, że chwilami całkowicie przesłaniana przez składową intelektualną. W szczególności nie istnieje tu sfera emocji związanych z seksualnością człowieka. Z upodobaniem ucieka się autor do analiz rozmaitych sytuacji – od relacji międzyludzkich, do polityki państwowej i kosmicznej – za pomocą teorii gier, zimnych modeli matematycznych.

Nietrudno spostrzec, że sporo z tych cech występuje we współczesnych

odmianach zachodniej hard SF pisanej przez naukowców. (Jeno dla plastyczności, wynalazczości i wszechstronności językowej Lema próżno szukać tu odpowiednika). A jest ta SF sama w sobie już na tyle niszową, że najczęściej w ogóle w Polsce się jej nie wydaje, pozostaje więc nieobecna w świadomości masowej.

Niemniej za bardzo pozytywny sygnał mam ponadproporcjonalną (w stosunku do wielkości tej niszy) popularność u nas Petera Wattsa. I o ile nadużyciem byłoby stwierdzenie, że „Lem dzisiaj młody pisałby jak Watts i Egan”, o tyle z pewnością bliżej byłby im niż fantastyce retro. W tym sensie najbardziej naturalną kontynuacją twórczości „średniego Lema” jest najdalej wysunięta w przód, rygorystyczna, *stricte* gatunkowa SF XXI wieku.

A z drugiej strony patrząc: Lem nigdy nie był i nie jest obecnie na Zachodzie (na świecie) gwiazdą fantastyki-pop, na skalę Isaaca Asimova czy Franka Herberta – lecz nie został też zapomniany. Po falach przekładów w latach 70. i 80. (a poszczególne języki odkrywały Lema osobno, nie zaistniała nigdy ogólnoświatowa moda na Lema) jego popularność utrzymuje się na poziomie stosunkowo niskim, bo charakterystycznym właśnie dla współczesnych autorów hardkorowej science fiction. Co jakiś czas trafiam na ostatnich stronach periodyków naukowych (i na serwisach, blogach badaczy i akademików) na polecanki doktorów ścisłowców z nowych pokoleń, którzy właśnie, zachwyceni, odkryli *Cyberiadę* czy *Głos Pana*. Hollywood nie kręci też na podstawie Lema seryjnych blockbusterów wielusetmilionowych, niemniej co dekadę–dwie pojawia się ambitna ekranizacja, jak teraz *Kongresu futurologicznego* w reżyserii Ariego Folmana.

I w sumie nie jest to najgorsze miejsce, jakie mogła zająć w światowej kulturze twórczość Stanisława Lema.

Oby jeszcze w jego ojczyźnie pozostawała ona żywa przynajmniej w takim samym stopniu.

Jacek Dukaj

Krzysztof Piskorski

TRZYNAŚCIE INTERWAŁÓW IORRI

Interwał 3f30fb/01

Dwa bezzałogowe myśliwce, które Imurishama wypuła przed wejściem w obłok Oorta, wznoszą się łukiem nad Księżycem, rysując na czarnym niebie dwie jasne smugi. Przed nimi otwiera się widok na Ziemię – kulę spalonej skały.

Drony odbezpieczają broń. Jedną salwą mogłyby zmienić planetę w zupę kwarków i leptonów, którą wychłęptałyby kolektory Imurishamy, aby odzyskać część energii straconej na ich produkcję. Nie pojawia się jednak żadne z zagrożeń symulowanych przez rdzeń strategiczny Konglomeratu. Nie widać wrogiego życia, ani jedna cywilizacja nie próbuje wyciągnąć stąd resztek ciężkich pierwiastków. Jest tylko samotny, martwy kamień zawieszony w pustce.

Wardena ogarnia ponura satysfakcja. Głosował, aby nie marnować energii na drony. Wiedział, że nic tu nie znajdą, ostatnie cywilizacje z góry krzywej Kardaszewa dawno opuściły to ramię Drogi Mlecznej. Te z dołu, marne typy 1 i 2, zginęły w eksplozjach supernowych albo zagłodziły się na śmierć, bo ich technologia nie zdołała pokryć niedoborów energii.

Energia. Nawet Konglomeratowi ostatnio jej brakuje. Środki bezpieczeństwa, jak te dwa myśliwce, to luksus, na który nie mogą już sobie pozwolić. Tylko rdzeń strategiczny tego nie rozumie. Ten paranoik kuł tryliony swoich sztucznych synaps w ogniu Wojen Entropicznych. Nadal nie pojął, że w czasach Wielkiej Zimy każde starcie, każda walka tylko przyspiesza śmierć termiczną obu stron. Nawet myślenie o konflikcie, snucie wojennych planów jest stratą – inteligencje, które zdołały przetrwać, dobrze to wiedzą. Energii brakuje przecież wszystkim po równo, kolektory Konglomeratu – nastawione na kilka błędnych punktów rozsianych po bezkresnej czerni – z trudem pozwalają utrzymać krytyczne systemy. A życiodajne pulsy Iorri są coraz rzadsze, słabsze.

Warden się martwi. Myśli, że powinien mocniej oponować przeciw produkcji myśliwców. Oczywiście Imurishama w końcu wchłonie drony, rozłoży je na pojedyncze atomy, ale co z tego, bilans i tak będzie ujemny. Niestety, jego zdanie nikogo nie obchodzi. Konglomerat mu nie ufa. Nikt tego nie powie, ale boją się, że ma emocjonalny stosunek, że nie jest bezstronny. Warden jest przecież w jednej tysięcznej człowiekiem.

Tymczasem drony otaczają dwukrotnie Ziemię, robiąc płytki skan. Rdzeń strategiczny daje zielone światło. Na ten znak chmara kosmicznych much przekracza orbitę Plutona i rusza powoli w stronę spękanego trupa planety.

Jest zimno i ciemno. To ostatnie chwile skutego termiczną śmiercią wszechświata.

Interwał 3f30fb/02

Warden przechodzi strumieniem neutrin z Imurishamy na rdzenie własnej floty. Transkrypcja z krystaliczno-multispinowych obwodów fregaty na fotonowo-krzemowe układy Deurona nie idzie gładko, gubią się jakieś pakiety. Warden musi czekać w Czyścću, aż Imurishama wznowi transmisję; aż połatają z Deuronem dziury w jego świadomości.

Nienawidzi Czyścća. To nieistnienie, ale jakby świadome; półsen rozumu. Boi się, że tak wygląda śmierć.

Tym razem czeka dłużej niż zwykle, widać braki są większe albo maszyny nie mogą się dogadać. Awaria interpretatorów? Niski stan zasilania stacji dekrypcyjnych Deurona? Imurishama jest dla nich trudna, to twór nieistniejącej technologii, jak wiele wojennych okrętów. Narodziła się z prostego pytania: jak zaskoczyć przeciwnika w erze głębokich skanów, handlu informacją na petaqubity, kiedy wszyscy wszystko o wszystkim wiedzą? To niełatwe, ale jest sposób. Stawiasz klaster kwantowych rdzeni z akceleracją czasową, taki nieduży, wielkości planety, a potem puszczasz w nim symulację świata, wielką grę w życie, która przechodzi kilkanaście razy od początkowej osobliwości do zimnego końca – i mnoży, rozwija cywilizacje prawdopodobne, ale nie zaistniałe. Były niekonieczne. A każda cywilizacja to miliony niezależnych AI, które żyją, pracują, umierają. Tworzą dzieła sztuki oraz naukowe przełomy.

Robisz burzę w szklance wody, galaktyczne wojny w akwarium. Potem wyciągasz z tego, co się da – modele ekonomii, ideologie, ale i technikę militarną, szczególnie jeśli jest egzotyczna, trudno zrozumiała.

Tyle że – mieszając technologie zrodzone z symulacji z technologiami kilkudziesięciu realnych inteligencji – otrzymujesz informatyczny koszmar. Konglomerat: sieć pozszywaną ze społeczeństw o tak różnej filozofii oraz nauce, że kilka monumentalnych myślowców, które stanowią główny bank jego mocy obliczeniowej, przeznaczonych jest tylko na koordynowanie ze sobą różnych systemów. A nawet im nie zawsze się udaje. Poza sieć musieli wyłączyć egzotyki, takie jak osobliwość Maloriańska, której procesy, biegnące w akcelerowanych czasowo podwymiarach, były nie do uchwycenia nawet dla Konglomeratu. Albo Drakkahnie – ich sieć okazała się żywą religią, mistycznym rajem, który potrafili zrozumieć tylko inni przedstawiciele ich rasy.

Końca Czyścća nie widać, a tymczasem myśli Wardena nagle spowalniają. To niskie zasilanie.

Nadchodzi...

Interwał 3f30fb/03

Czyściec w końcu go wypłuwa, wyczerpanego i wymiętego. Odkąd zbliżyli się do układu, Konglomerat trzymał Wardena w pogotowiu na wypadek kontaktu. Narady,

symulacje, ćwiczenia. Warden chętnie by odpoczął, osunął się w qubitowy puch wirtualu, ale nie wolno mu. Jest przykuty do rzeczywistości serią mocnych uwarunkowań, prawdziwy niewolnik materii. Pochodzi z kasty realian, jak kilkaset innych świadomości Deurona. To zaszczyt, bo służbę proponuje się tylko najlepszym – jest jedyną pracą, w starym sensie tego słowa, jaka została. Ale czasem Warden ma dość, nawet jeśli umysł napcha motywującymi uwarunkowaniami, nawet jeśli szprycuje się jak szalony prymitywnym proto-patriotyzmem, sadomasochistyczną przyjemnością z poświęcenia.

Warden jest zmęczony. Na poziomie rzeczywistości -3, w przyjemnej low-techowej symulacji Deurońskiej planety, ma prawdziwą rodzinę. Kiedy ich odwiedza, popuszcza trochę uwarunkowania. Lubi czuć, jak wola balansuje na krawędzi: z jednej strony tęsknota taka, że chce się płakać, z drugiej – obowiązek, poświęcenie, bo przetrwanie rodziny zależy od tego, co będzie robił na poziomie 0. Kilka razy był o krok od decyzji, aby rzucić wszystko i żyć w spokoju trzy warstwy rzeczywistości poniżej zimnego świata. Za każdym razem zwalczył pokusę. Warden wie, że pułapka wsobnego chowu zagnieżdżonych uniwersów to drugi po rozszczepieniu atomu test młodych cywilizacji. I że równie niewiele go zdaje, zamykając się w nierzeczywistościach.

Nie dadzą mu odpocząć.

Ledwo zrzucił z siebie chłód Czyścica, a już ściągają go na wewnętrzną radę Deurona. To głupota, relikwiny dawnych czasów, ale Warden stara się być wyrozumiały. Większość załogi to młode inteligencje z Oriona, w których dopiero zatarły się podziały ras, niektóre jeszcze przed technologiczną osobliwością, tym kosmicznym żłobkiem. Są podejrzliwi. Nie rozumieją do końca, po co tu przybyli ani co się stanie potem. Nie ufają Konglomeratowi.

Dyskusja toczy się na zamkniętych kanałach, za zaporą, pochłaniającą transmisje we wszystkich pasmach. Warden staje po stronie Konglomeratu, ale nie dlatego, że czuje się z nim związany bardziej niż z własną flotą. Po prostu zna go dobrze. W dawnych czasach można by nazwać Wardena ambasadorem.

Zasypują go pytaniami, na które ledwo nadąża odpowiadać.

Nie, Kodra nie proksuje algorytmów naszego -2. To sklonowany strumień debugujący, próbujemy naprawić część systemów, Kodranie pomagają w analizie.

Osiem egzaflopów. Oddamy w ratach, kiedy systemy będą sprawne.

Nieprawda. „T” do zamrożenia wynosi siedemset osiemdziesiąt standardowych lat, mam aktualizacje z głównego rdzenia Konglomeratu. Nasze algorytmy są niepełne. Kto zarządził te badania?

Tak, interwały wydłużają się, ale dlatego że uzysk z kolektorów spada proporcjonalnie do odległości od Iorii.

Nie ma niebezpieczeństwa. AI rozdzielni Konglomeratu ma kwantowe sumy kontrolne, nikt nie może przeprogramować jej bez naszej wiedzy.

Nie wiadomo, co tu znajdziemy. Dlatego właśnie przybyliśmy.

Deuron będzie w drugiej linii, prace na planecie zaczną ziarno Parti oraz niskoprawdopodobne potencjalności Sznurowców.

Też mam taką nadzieję.

Nie, w logu publicznym.

Tak.

Nie.

Po naradzie Warden lokuje się na mostku. Na strumieniu z zewnętrznych sensorów widzi rój Konglomeratu na tle Jowisza – niedużej planety, której powłoki gazowe dawno wyssał czerwony karzeł. Planetę otacza halo kosmicznego gruzu. Warden wie, że kiedyś były to piękne pierścienie, nim rozerwała je grawitacja ginącego Słońca. Podkręca podczerwone pasma, a chmury gazu i lodu rozbłyskują, na ich tle skrzą się miliony kadłubów.

Czasem dobrze być prostą inteligencją. Dla większości części składowych Konglomeratu to jedynie ruch obiektów w przestrzeni, ale Warden wie, że balet tytanów wśród planetarnego gruzu jest piękny. Przesuwa się przed nim bogactwo kilku galaktyk, podświetlone krótkim pulsem IR. Statki, stacje bojowe, ruchome światy – mechaniczne, biologiczne i takie, których nie potrafi opisać. A daleko w tyle, otoczone przez okręty cywilizacji probabilistycznych, suną bijące serca Konglomeratu, kolektory. Największy, umocowany dwoma holami do pary statkoświatów Tarian, zwrócił czasę w stronę centrum odległej galaktyki, gdzie w przestrzeni rwanej niewiarygodnymi siłami wiszą gęste grona czarnych dziur. Tam zostawili Iorii, największy sztuczny obiekt w historii znanego świata, łamacz osobliwości wielki na kilka układów. Iorri wywija na drugą stronę studnie czasoprzestrzenne, tworząc rozbłyski gamma i eksplozje, przy których supernowe to kosmiczne błyskotki. Kiedy zbierze dostatecznie wiele energii, śle ją strumieniami tachionów wprost do kolektorów Konglomeratu.

Żyją w rytm Iorri. To ona daje im cenne chwile wysokiego zasilania, momenty szybkich myśli oraz działań. Kiedy strumień się kończy, nadchodzi czas zimna, powolności. Zaczyna się interwał.

Iorri to jednocześnie ostatnia karta w ich rękawie. Gdy dotrą poza symulowany horyzont zdarzeń, to ona wznieci iskrę reoryginacji, spopielając siebie i ochotników, którzy ją chronią. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Iorri odwróci wektor entropii, rozpocznie nową epokę, nowy świat.

Ale to dopiero za miliony interwałów, Warden nawet nie wie, czy będzie istniał tak długo.

Teraz spogląda dalej, poza orbitę Neptuna, gdzie na granicy sensorów krótkiego zasięgu znajdują się statki Konglomeratu, które nie weszły w pas Kuipera, bo zakłóciłyby kruchą równowagę orbit, wprawiły w ruch pola asteroid. To kilka ruchomych światów, jeden megamyślowiec, jedna monstrualna stacja bojowa, zamknięta jak sfera Dysona wokół czarnej dziury, urodzona z jakiejś dziwnej probabilistyki (do dzisiaj nie wiedzą, jak jej użyć). A za nimi, jeszcze dalej, daleko od głównej grupy, leci czarne antysłońce, kula mroku gęstszego niż ciemność próżni.

Warden czuje na jej widok niepokój, procesy logiczne, które od dawna prorokowały mu katastrofę, znów krzyczą jeden przez drugiego.

Kula to dom jednej z najmłodszych cywilizacji Konglomeratu. Origianie są

ostatnim owocem uschniętego drzewa. Urodzili się jakby z przypadku tam, gdzie niegdyś była mgławica Oriona. Gdy wszystkie gwiazdy mgławicy zgasły, kilka supernowych ostatnim podmuchem wprawiło w ruch pola kosmicznego gazu, tak rzadkiego, że na metr sześcienny przypadało jedynie kilkaset tysięcy atomów. Powstało słońce, pogrobowiec kosmicznej macicy, która niegdyś rodziła miliony światów. Wokół słońca, z resztek, powstały planety. Jedna z nich przypadkiem leżała w złotym korytarzu – ani za daleko, ani za blisko gwiazdy. Na tej planecie przypadkiem powstało życie, Origianie. Mieli od kogo się uczyć, w tym czasie Orion był już wielkim cmentarzyskiem, tysiące wymarłych ras nie protestowało, gdy kradli sekrety ich technologii.

Warden zawsze myślał o nich jak o robakach, które pojawiły się na ścierwie.

W jednym byli przydatni: od samego początku zmagali się z kryzysem energii, ich słońce było małe, chłodne. Wiedzieli, że inne słońca umarły. Samowystarczalność stała się dla nich religią, zaczęli od inteligentnej nanochmury, którą coraz bardziej odseparowywali za pomocą alternatywnych fizyk. Ich dalekie patrole ściągają artefakty wszystkich możliwych ras. Origianie zaś, zamiast poświęcać czas na tworzenie własnej technologii, rozwijali naukę o naukach, robili wektory rozwoju, analizowali potencjalne ścieżki technologiczne swojego gatunku. Dzięki temu w kilkaset tysięcy lat przeskoczyli przedwieczne inteligencje z początków galaktyk. I znaleźli w końcu receptę na przetrwanie – ich skomplikowane nauki czasoprzestrzenne, na drodze niezrozumiałego procesu zawijania wymiarów w ujemne płaszczyzny, pozwalały odzyskiwać energię uwięzioną w strukturze wszechświata. W ten sposób Origianie z cywilizacji jednoukładowej przeskoczyli susem Kardaszewa 3, 4 i 5. Ulokowali się na ostatniej pozycji skali, zarezerwowanej dla istot półboskich. Zamiast grać według zasad narzuconych przez wszechświat, manipulowali jego tkanką.

Był jeden problem, energię zagięć mogli zbierać tylko po ich *wewnętrznej* stronie, dlatego cywilizacja musiała przenosić się w kolejne, zagnieżdżone w sobie podwymiarach. Kompletnie samowystarczalni, odcięli się od wektora entropii, odmierzającego sekundy do śmierci wszechświata, ale jednocześnie bezpowrotnie odcięli się od całej reszty.

Nikt nie wie, czemu przyłączyli się do Konglomeratu. Nie sposób ich spytać – za granicą kuli zaczyna się czasoprzestrzenna osobliwość tak poskręcana, że jej modelowanie jest ponad siły Konglomeratu, nie mówiąc o zaprojektowaniu sondy, która mogłaby przebić się na samo dno, do samych Origian. Nawet wtedy nie mieliby jak odpowiedzieć. Z kuli nie wydobywa się nawet pojedyncze neutrino.

Decyzję o przystaniu do Konglomeratu podjął za nich Rządca, inteligencja uzbrojona w dwadzieścia antymateryjnych niszczycieli, którą Origianie pozostawili na straży kuli wiele lat temu, nim na dobre zerwali kontakt ze światem. Rządca nigdy nie wytłumaczył swojej decyzji, konsensus Konglomeratu był taki, że AI chce zapewnić sobie przetrwanie. Ale Warden zawsze podejrzewał, że mogło chodzić o więcej. Jego procesy analityczne podawały dwie prawdopodobne opcje. Pierwsza: Origianie dotarli do granicy swoich możliwości, do jakiegoś nieprzewidzianego w ich

alternatywnej fizyce ogranicznika, więcej nie mogą *zwijać* albo w obawie przed katastrofą, albo z powodu niewyobrażalnych kosztów energetycznych. Druga: Origianie zginęli na skutek tajemniczej katastrofy, a Rządca rozumie, że jest zdany tylko na siebie.

Każda z tych opcji jest zła i oznacza, że Konglomerat ciągnie za sobą tykającą bombę.

Warden odwraca wzrok od kuli. Woli skupić uwagę na środku układu, gdzie awangarda floty zaczyna otaczać Ziemię ciasnym pierścieniem. Reszta planet z zazdrością patrzy na średnią siostrę, której grób odwiedzili goście.

W tych rejonach galaktyki życie nie pojawiło się od tysięcy lat, nieme kamienie już tylko z przyzwyczajenia kołują jałowo wokół martwych słońc.

Jest zimno i ciemno.

Interwał 3f30fb/04

Pierwszy skan nic nie wykazuje. Ot, ruiny, morze ruin, warstwa na warstwie. Mają pod sobą ślady przynajmniej kilku gatunków, które przychodziły i odchodziły w cyklicznych falach, kulminując albo zniszczeniem siebie, albo takim wyniszczeniem planety, że musiały ją opuścić.

Ciekawostka: jeden gatunek pojawił się po apokalipsie, którą zgotowała Ziemi umierająca gwiazda. To niskoenergetyczna forma życia oparta na białku, siarce i amoniaku. Porost ze zbiorową inteligencją. Niestety, nie miał szans wyjść poza atmosferę, wyjąłowił wierzchnie warstwy uprażonej planety, a potem wymarł. Warden zapisuje sobie dane o nim w prywatnej pamięci – inspirujący przykład dostosowania do skrajnych warunków.

Drugi skan sięga głębiej, wewnątrz globu, poza sieć sztucznych jaskiń oraz pustych, podziemnych miast, do płaszcza i jądra, które dawno stężały w absolutnym zerze. Widać trochę złóż metali, formacje krystaliczne...

Dopiero w szczegółowym powiększeniu Warden odkrywa coś frapującego, kilka linii, które prowadzą do środka Ziemi. To tunele. Kluczą, zakręcają po nieregularnych łukach, czasem zwijają się w spirale. Jedna ze składowych AI Wardena podnosi czerwoną flagę. Wszystkie naturalne twory wszechświata powstają i dzielą się po liniach naprężeń: wewnętrznych ciśnień oraz zewnętrznych sił. Spędziwszy długi czas na poszukiwaniu resztek inteligentnych cywilizacji, Warden ma dobre oko, natychmiast odróżnia kształty naturalne od nienaturalnych.

I jest pewien: tunele zostały wykopane.

Raportuje to natychmiast Konglomeratowi, ale oni już wiedzą, mają analityków z większą mocą obliczeniową, zdążyli nawet uruchomić symulację, która próbuje ocenić potencjalne zyski z odkrycia, dzielone przez koszt badań.

Modele, modele, modele. Idzie na nie większość wydatków energetycznych Konglomeratu. I trudno się dziwić, dobra symulacja to sonda wysłana w przyszłość, jedyny sposób, w jaki można zgadnąć dalekosiężne skutki własnych decyzji. Wiele

cywilizacji granicę między inteligencją a zwierzęciem albo automatem komórkowym widzi w przewidywaniu przyszłości. Dopiero kiedy zaczynamy myśleć, budować w głowie ciągi niedokonanych, ale potencjalnych zdarzeń, może powstać organizacja społeczna, język, pojęcia abstrakcyjne. A u zaawansowanych cywilizacji to szczegółowość modeli decyduje, kto wygra wojnę, a kto nie. Kto zginie w technologicznej katastrofie, a komu uda się jej uniknąć.

Myślowce Konglomeratu stanowią dużo skuteczniejszą broń niż chmara jego niszczycieli.

Po chwili są już wyniki. Z porównania zysków i strat wychodzi bardzo duży iloraz. Prawdziwie niewytłumaczalne osobliwości są rzadkie, mają wielki potencjał poznawczy. Konglomerat zarządza szczegółową ekspertyzę.

Trzeci skan zaczyna się wkrótce potem, a jego wynik wprawia analityków w konsternację. Wszystkie rdzenie mówią jednym głosem: błąd pomiaru, niemożliwość.

Powtarzają skan, znów ten sam wynik.

Niedowierzenie. Strach.

Naraz wszystkie statki zaczynają nadawać do siebie. Próżnia śpiewa każdym pasmem, od neutrin do ultrafioletu. Warden widzi, jak wokół Konglomeratu puchnie wielobarwna łuna przerażenia.

Interwał 3f30fb/05

Zaproszenie przychodzi niedługo potem.

Warden niespodziewanie trafia do zespołu, który ma analizować znalezisko. Dają mu kilka sekund, aby przyswoił sobie szczegółowe dane z sensorów różnych jednostek. Wszystkie wskazują to samo. Wypalony grobowiec nie jest martwy, jak się spodziewali. Na Ziemi istnieje życie, a dokładniej – jedna forma życia, i to nie na powierzchni, lecz głęboko pod nią, w samym jądrze planety, w porowatej, zimnej kuli żelaza.

Forma jest mała, a sześć tysięcy kilometrów skały oraz metali nie ułatwia badania, na razie widać tylko termiczną kropkę. Temperatura obiektu – między 10 a 50 stopni Celsjusza, w okolicach mediany form życia opartych na ciekłej wodzie. Temperatura otoczenia – kilka dziesiątych punktu do zera absolutnego.

Żeby wiedzieć więcej, muszą posłać do korytarzy sondy. Imurishama posłusznie je produkuje. Tną kamień jak masło. W międzyczasie myślowce tworzą wirtualne modele, próbując odpowiedzieć na podstawowe pytanie: co może przetrwać w takich warunkach?

Coś im tam wychodzi, są pomysły egzotycznych, bardzo oszczędnych minerałofagów albo biologicznych istot wykorzystujących zjawiska podobne do kuli Origian. Ale zawsze w pewnym momencie symulacje się rozjeżdżają, nie da się wyjaśnić stanu zastanego. Wirtualne minerałofagi giną z powodu deficytów albo przeciwnie – przy odpowiednich stałych zżerają od środka całą planetę. Biologie

wielowymiarowe zapadają się do czasoprzestrzennych studni albo wychodzą z układu jako młoda cywilizacja międzygwiazdna.

Na dodatek forma życia jest tylko jedna. I tego myślowce w żaden sposób nie potrafią zrozumieć.

Ich wstępna opinia: takie trwanie jest niemożliwe.

A jednak – wyniki skanów mówią co innego.

Sondy tymczasem prawie dotarły do jądra. Po drodze badają ściany korytarzy – wyłobione drobnymi narzędziami rosły bardzo powoli, nie więcej niż kilka metrów na solarny rok. Na ścianach wiele resztek materii organicznej (w miarę przyływu danych kolejne modele padają; minerałofagi, kopiąc tak powoli, umierają z głodu, białkowce pokazują gigantyczny deficyt energii – ta przeznaczona na kopanie kilkaset tysięcy razy przewyższa tę, którą mogłyby otrzymać ze wszystkich dostępnych tu źródeł).

Są coraz bliżej obiektu, już można oszacować jego rozmiary, wyjątkowo niewielkie (kolejne symulacje się rozpadają, tak małe źródło ciepła wytraciłoby całą energię w kilka sekund, zostają już tylko szalone, egzotyczne byty). Pierwsza sonda jest kilka zakrętów od celu. Studzi fotonowe wiertło, aby nie uszkodzić obiektu podmuchem rozpalonego powietrza. Aktywuje tarcze kinetyczne i mały karabin antymateryjny. Widząc go, Warden denerwuje się. Kto rozkazał? Strateg? Jakim prawem ingeruje w projekty Imurishamy?

Członkowie tajnego komitetu w napięciu śledzą ruchy sondy. Zaraz nastąpi kontakt i choć mieli już takich tysiące, każdy był inny. Sensory przesyłają na górę pierwsze obrazy – smukły kształt, długie kończyny (myślowce są bezsilne, to się nie kompiluje, to nie jest termooszczędna budowa ciała, zero dostosowania do środowiska, jeden krzyczy: błąd pomiaru, błąd pomiaru; drugi prorokuje załamanie rzeczywistości; reszta milczy, czeka). Warden czuje uderzenie dziwnych, prawie zapomnianych emocji, kiedy forma życia zaczyna się ruszać, reagując na światło sondy.

Para zielonych oczu spogląda prosto w sensory.

Interwał 3f30fb/06

Snują plany.

Ekstrakcja to najmniejszy problem, obiekt wykazuje ślady inteligencji, pójdzie za sondą, jeśli dadzą mu znak. Tylko co potem? Rdzeń strategiczny sugeruje, żeby uciekać. Analiza istoty, która przetrwała czerwonego karła oraz miliony lat absolutnego zera, rodzi bardzo stromy wektor potencjalnych zagrożeń. Teoria mówi: nie graj w grę, której zasad nie znasz. A w tej chwili nikt nie potrafi wyjaśnić metabolizmu obiektu.

Warden wyśmiewa Stratega. Co prawda jego głos w Konglomeracie nie ma dużej wagi, ale na szczęście wielu myśli podobnie. Strateg jednak dalej walczy, podaje swoje rozwiązanie: sprawdzać kolejnymi iteracjami coraz skuteczniejszych broni,

czy istotę da się uszkodzić. Zacząć od pałki, skończyć na anihilatorach antymateryjnych. Jeśli wykaże ból lub najmniejszy ślad uszkodzeń – przerwać próby, rozpocząć badania ze świadomością, że nie zdoła nam zagrozić. Jeśli nic nie zadziała, porzucić ją na tej skale, bo wyraźnie nie ma możliwości ruchu międzygwiazdowego, skoro siedzi tu od dawna. W opinii Stratega Konglomerat nie powinien ryzykować kontaktu z obiektem, na którego potencjalną agresję nie będzie mógł skutecznie odpowiedzieć.

Tak mówi teoria gier, tak mówi logika.

Warden nie zgadza się, twierdzi, że agresywne zachowania mogą zniechęcić obiekt do kontaktu albo sprowokować odwet. Wielu mu przytakuje. Przez chwilę ścierają się wirtualne modele, trwa rozmowa na kilkaset tysięcy głosów. Warden porównuje statystyki ostatnich debat, może przegrać, ze spadającymi zasobami energetycznymi skorelowana jest coraz większa zachowawczość członków rady. Na wykresach niechęć do niebezpiecznych decyzji wspina się złowieszczą krzywą.

Warden czuje, że jego stronnictwo przegra.

Wtedy odzywają się Pierwsi. Nie mają szczególnych praw, ale ich zdanie jest szanowane, są w Konglomeracie od początku. Przypominają wszystkim, dlaczego Konglomerat przybył do ramienia tej starej galaktyki.

Mówią o wadze poznania. O jego wpływie na szczegółowość przyszłych modeli. O karmie dla głodnych rdzeni nauk teoretycznych. Wreszcie o ratunku informacji – najdelikatniejszej struktury wszechświata – przed entropią. I przed reoryginacją, która skompresuje całą materię tej gromady galaktyk do nieskończonej małej, ujemnej przestrzeni.

Strateg nie zostaje na głosowanie, wraca do swoich niszczycieli. Wie, że teraz to formalność. Członkowie rady wyrokują: adaptacja. Trzeba sprawdzić, czy istota może stać się częścią Konglomeratu, czy będzie chciała opuścić swój martwy świat.

Tylko jak napisać program adaptacji dla czegoś zupełnie obcego? W kilka cennych sekund powstaje zespół, dostają moc obliczeniową, mianują Wardena konsultantem.

Najpierw jest zdziwiony.

Potem, już w wirtualnej przestrzeni tajnego laboratorium, do którego natychmiast się przenosi, pokazują mu tajne dane, ultrawysokiej rozdzielczości skany istoty. Ma dwie ręce, dwie nogi, głowę z długimi jasnymi włosami. Widać nawet cechy płciowe – to kobieta, biologiczny człowiek z epoki precybernetycznej.

Warden pyta: to dlatego wybrali jego?

Tak, dlatego. Wiedzą, że Warden jest w jednej tysięcznej człowiekiem. Nic dziwnego, sam nieraz chwalił się, ile różnych ras i kultur ma wśród przodków. Cywilizacje Oriona od tysiącleci nie rozmnażały się już płciowo, a w wirtualu można było krzyżować nawet najbardziej niekompatybilne systemy genowe, tworzyć hybrydy, które nigdy nie mogły powstać w naturze, ale dziedziczyły cechy psychiczne oraz kulturowe po obojgu rodzicach. Dziewięć pokoleń temu wmieszał się w ten tygiel właśnie jeden człowiek – kobieta – gwiazdny nomada, jedna z nielicznych potomkiń ludzkości.

Może właśnie dlatego Warden pracował kiedyś naukowo nad ludźmi, w prywatnej pamięci ma więcej danych niż Konglomerat w publicznej bibliotece, zna ich bodaj najlepiej ze wszystkich dostępnych inteligencji.

Warden analizuje zdjęcia. Potem proponuje adapt zblizony do środowiska z czteroipółmiliardowego roku planety. Istota precybernetyczna nie zrozumie abstrakcyjnych płaszczyzn sieci, oderwanie od ciała może uznać za agresję. Dlatego trzeba z nano stworzyć fizyczną przestrzeń do badań. Warden kopiuje Konglomeratowi całą ikonografię, jaką zdołał zebrać: trochę hologramów zrobionych na Ziemi w XXX wieku ludzkiej historii, parę niekompletnych filmów. Obiecuje, że temu, kto będzie rozmawiał, udostępni też swoje leksykalne bazy danych oraz...

Nie, to nie tak – przerywają. On będzie rozmawiał. Nikt inny nie zdoła.

Warden zaczyna rozumieć. Myślowce Konglomeratu wysypują się na obiekcie jak na zmyślnym wirusie, bombie logicznej. Jego istnienie jest zupełnie nieracjonalne, dlatego maszyny nie mogą go pojąć.

Ale prosty Warden może go zbadać, zrozumieć, a potem wytłumaczyć reszcie.

Musi tylko zostać człowiekiem.

Interwał 3f30fb/07

Protokół komunikacji: drgania ośrodka, staroświecka akustyka – ale komunikacja akustyczna to przecież tysiące martwych języków, nawet więcej, bo te języki zmieniały się w czasie. Warden próbuje wszystkiego, istota nie odpowiada.

Kolejna próba. Istota go nie słucha, mamrocze do siebie. Warden analizuje dźwięki, w bazie jednak brak analogicznego wzorca.

Wie, że to mowa, tylko dzięki rozkładowi Zipfa. Częstotliwość występowania słów oraz głosek daje krzywą o nachyleniu -1 , a taką tajemniczą właściwość wykazywał każdy język Ziemi oraz większość komunikatów inteligentnych istot, zresztą już dawniej dzięki niej kryptografowie odróżniali zaszyfrowany tekst od losowego ciągu. Dodatkowo model entropii Shannona, mierzący złożoność informacji, oscyluje w okolicy szóstego stopnia. To dokładnie tam, gdzie powinna znajdować się mowa człowieka precybernetycznego. Odgłosy małp są na trzecim stopniu, delfinów na czwartym. Myśli Wardena – na osiemnastym.

Istota jest ponad wszelką wątpliwość inteligenta. Tylko dlaczego nie reaguje na słowa? Czy zbyt pochłania ją otoczenie?

Warden długo zastanawiał się nad neutralną scenografią – w XXX wieku ludzkość była bardzo zróżnicowana. Równolegle istniały bezpłciowe inteligencje zbiorowe, apostołowie osobliwości, ale wciąż można było też spotkać społeczeństwa pierwotne. Wiedzieć, że istota pochodzi z tych czasów, to nie wiedzieć nic.

W końcu wyszedł z założenia, że cywilizowane wewnątrz przestraszy dzikiego, ale cywilizowany człowiek nie przestraszy się natury. Nano ułożyło się w trawy oraz drzewa, które Warden wypatrzył na hologramach. Nie potrafił tylko oddać kilku

szczegółów, których materiał źródłowy nie precyzował – zapachów, masy, cech strukturalnych.

Wydawało mu się, że poradził sobie dobrze, ale łatwość, z jaką istota przejrzała na wylot tę maskaradę, była zawstydzająca. Gdy tylko przenieśli ją tu z jednoosobowej kapsuły, skruszyła w palcach kilka liści, postukała w drzewa, a potem ruszyła przed siebie, docierając do granicy stworzonej przez nanomakiety. Teraz jej dłoń tonie w hologramie, który miał tworzyć wrażenie otwartej przestrzeni, zupełnie jakby próbowała przedostać się na drugą stronę, jakby czuła, że za warstwami nano, za plastikalowym bąblem powłok okrętu, jest tylko zimno i ciemność.

Po chwili rezygnuje i znowu mamrocze, trochę wyraźniej.

Warden w desperacji podczepia się pod jeszcze jeden myślowiec, chmury analiz pęcznieją, zestrzeliwując z tablicy potencjalnych języków kolejne pozycje.

Są już tylko cztery możliwości, trzy, jedna. Jest! Rzadki, mieszany dialekt z końcowego okresu ludzkiej historii, język ultrakonserwatywnego odłamu, który porzucił większość zaawansowanej technologii i nigdy nie opuścił Ziemi.

— ... puste. Drzewa Onego, trawa Onego. Nie można zjeść, nic zrobić, nic. Jest, a nie jest.

— Słyszysz mnie? — odzywa się Warden, uważnie modulując głos. Pamięta, że wszystko powyżej osiemdziesięciu decybeli oznacza dla ludzi wrogą intencję, a wszystko powyżej trzech tysięcy herców – alarm.

Nie ma reakcji.

— Odezwiw się, proszę, nie rozumiem tych szeptów — mówi.

Istota rusza wzdłuż pomieszczenia, wodząc dłonią po ścianie.

Słyszała? Nie słyszała? Warden jeszcze raz szuka mądrości myślowców. Twierdzą, że słyszała, skany pokazały minimalne drgnięcie mięśni twarzy w momencie, w którym wypowiedział słowa.

Czy to znaczy, że znalazł właściwy język? Nawet jeśli, to istota może być w szoku. Albo jest obłąkana. Co robić dalej? AI wpuszczone w temat ludzkiej psychologii wraca po chwili z odpowiedzią: wejść w jej świat, bawić się w jej gry.

— Kim jest Ony? — pyta więc Warden.

Tym razem istota spogląda wprost na niego. Samozachowawcze programy podnoszą alarm. Warden tłumi instynkt, który każe cofnąć się przed świdrującym, zielonym spojrzeniem.

— Ony jest w pustych niebiosach, nienasycony. Jeść, jeść, jeść. Pożre wszystko przed twoimi oczyma, a potem pożre obraz spod powiek, i nawet wspomnienie obrazu. A gdy schowasz się głęboko, głęboko, myślisz, że Ony został na górze, aż do czasu, kiedy poczujesz go. O, tu. W sobie.

Warden analizuje: istota ma skomplikowane życie duchowe, własną metafizykę, której centralne miejsce zajmuje jakieś złe bóstwo.

— Kiedy przybyliśmy do twojego świata, nie spotkaliśmy nikogo poza tobą. Gdzie jest Ony? Kim jest?

— Wielki pożeracz. Robi pustkę, na ziemi, pod ziemią. Puste czaszki, puste dziury

po morzach i jeziorach. Ony niszczy. Nawet ciepło niszczy, uciekasz przed nim, uciekasz, ale cię wyprzedza, i jesteś w miejscu, gdzie już byłeś, gdzie nic nie ma, bo nawet twoją ucieczkę pożarł.

— Jesteś bezpieczna. Tu Ony nie dotrze.

Istota kruszy w ręku kolejny ze sztucznych liści.

— Nie, Ony jest tu od dawna, jest w was. Ulepił kukły z zimna i pustki, z żelaza, skał. Drzewa Onego. Trawa Onego. Istnieją, a jednak nie...

Warden próbuje ciągnąć dyskusję, ale istota traci zainteresowanie i tylko krąży po adapcie.

Myślowce są zaniepokojone, zwracają uwagę Wardena na fakt, że istota ani razu nie spytała, gdzie się znajduje ani kim jest Warden. Czyli albo to wie (co niepokoi, bo musiałaby mieć pozazmysłowe źródła informacji), albo jej psychologia nie została zogniskowana na własnym przetrwaniu (co jest jeszcze groźniejsze – jeśli nie ma instynktu strachu, a mimo to przetrwała, musi być potężna).

Warden rozłożył się na psychologii oraz komunikacji, ale biologia istoty upokarza go jeszcze bardziej. Wszystko w jaskrawy sposób przeczy znanej nauce. Ciepła – nie traci. Energii – nie traci. Metabolizm jest, ale jakby go nie było, we krwi ten sam poziom cukru, tlenu. Wydalanie – zatrzymane. To nie biologia żywej istoty, tylko hologramu. Gdyby nie to, że dotknął ją ramionami własnych nanosond, nigdy by nie uwierzył w jej istnienie. Wszędzie, gdzie zaczyna dogłębnie kopać, dociera w końcu do tego samego procesu, którego po prostu nie może zaakceptować. Coś powstaje z niczego.

Czy nauka Konglomeratu, stworzeń prawie tak starych jak wszechświat, może się mylić? Jeśli do tej pory opisywała wszystko, jeśli dała początek twórcom takim jak Iorri albo kula Origian, dlaczego nagle zawodzi przy tej istocie?

Warden wkrótce łapie się na tym, że zaczął myśleć jak Strateg. Chodzi mu po głowie teoria zatrutej wiedzy. Czy ktoś chce zniszczyć Konglomerat, podkładając mu intelektualne kukulcze jajo, jakąś superistotę, która naprawdę została urodzona w probabilistycznych kuźniach dużo potężniejszej rasy? Czy ktoś chce wywołać chaos, zwątpienie, kłótnie?

Najtrudniej Wardenowi przyjąć najprostsze wytłumaczenie: że istota po prostu jest.

— Miałam dzieci, ale zamarzły. — Tymczasem znów rejestrował jej mamrotanie.

— Mięso odeszło od kości. I nie mogłam mieć więcej, bo każde wyciągałam z własnego ciała, a jak zamarzły, nie dało się ich wsadzić z powrotem. Teraz mam dziurę w środku. Chciałabym dziecko, ale nie chcę więcej pustych dziur. Kiedy jest pustka, Ony wygrywa...

Interwał 3f30fb/08

Istota nie jest cykliczna.

Tę oczywistą prawdę odkrywają podczas niskiego zasilania. Nagle ona

przyspiesza, mówi szybciej, niż Warden może zanalizować. Jak rozedrgany hologram biega po adapcie, macając ściany frenetycznym trzepotem palców.

Kiedy interwał się kończy, Warden ma ogromną bazę surowych danych. Rzuca na to okiem: dużo mamrotania, dużo o pustce, głodzie. Ony, Ony, wszędzie Ony.

Chce zabrać się do ciekawszych fragmentów, ale właśnie Konglomerat wzywa go do złożenia raportu. Nie rozumieją, jak niewiele czasu minęło dla istoty biologicznej, ledwo zdążyli porozmawiać. Chcą, aby przedstawił wyniki.

Warden jest zawstydzony.

Dobrze wie, ile energii oraz nano kosztuje ten projekt, a jednak ma tylko jedną teorię, którą sam by wyśmiał, gdyby nie interwał spędzony w adapcie istoty. Prosi o więcej pasma, żeby ją wyłożyć. Konglomerat bez wahania przydziela mu pełny zakres myślowca – widocznie są zdesperowani.

Niewyobrażalne morze uprawnień obliczeniowych zalewa Wardena. Co za siła! Przyszłość nie ma przed nim tajemnic, swoimi symulacjami może przejrzyć wszystko, sięgnąć wszędzie, w kilka chwil przemyśleć oraz wymodelować tyle, ile prywatną mocą nie zdołałby przez setki interwałów.

Po chwilowym szoku Warden opamiętuje się. Zaprzęga myślowiec do weryfikowania swojej teorii. Potem – tłumaczy ją na kilkaset języków oraz systemów kognitywnych.

Przedstawia raport.

Zaczyna od infografiki – korelacji stopnia inteligencji oraz mitologizacji kultury. Prostsze inteligencje są bardziej skłonne wierzyć w bóstwa, demony, świat pozanaukowy niewytłumaczalny rozumem. Przyczyny: szok poznania, strach, poszukiwanie fundamentów egzystencji, umysłowe lenistwo. Warden rzuca na wykres dane historyczne, wiele różnych cywilizacji na różnych etapach rozwoju, widać pnące się w górę krzywe epok. Prawie wszystkie idą w jednym kierunku, tylko w dolnym kwadrancie mieści się 0,35% inteligencji abnormalnych, gdzie wykres jest niemal płaski. Są tam ludzie. Jeszcze będąc postosobliwością, kilkuukładową inteligencją, bawili się w mistycyzm, wierzyli w istoty nadprzyrodzone.

Teraz Warden pyta: przypadek? A może mieli z nimi do czynienia, czuli wpływ owych bóstw, podczas gdy w większości cywilizacji takie byty okazały się jedynie teoretyczną możliwością.

Konglomerat wrze. Zero dowodów. Idiotyczne spekulacje.

Warden broni się: czas przefiltrował bogatą mitologię Ziemi obiektywnym kryterium przetrwania. Zweryfikował historie o nieśmiertelnych bóstwach, duchach, wampirach – tylko jedną pozytywnie. I oto leżała w letargu, kiedy tu przybyli, zaprzeczenie wszystkiego, co wiedzieli o fizjonomii białkowców, biała dziewczyna w sarkofagu z miliardów ton żelaza...

Nie, nie ma racjonalnego wytłumaczenia. Tego chcieli – żeby stał się człowiekiem, aby ją zrozumieć. A on, człowiekiem zostawszy, zaczął akceptować niezrozumiałe. To paradoks: istota może stać się elementem jego obecnego świata, ale wtedy on straci możliwość dialogu z Konglomeratem, zacznie mówić językiem, którego myślowce nie pojną.

Więcej danych, więcej danych – żąda Konglomerat.

Warden rezygnuje z prób przekonywania. Dostarczy więcej danych.

Interwał 3f30fb/09

Białko go swędzi.

Nie rozumie, w jaki sposób protointeligencje wytrzymały fizjologię chemicznych reakcji oraz mnożących się komórek. Wardenowi wydaje się, że czuje każdą z nich: tysiące małych, egoistycznych drobinek, z których żadna nie ma interesu być Wardenem. Tylko mnożą się, mnożą i żrą, a on jest ubocznym skutkiem, sumą ich wektorów. Gdyby nie groźny policjant kwasu dezoksyrybonukleinowego, samolubne komórki zmieniłyby go w bezkształtną kupę biomasy.

Wszystko go drażni, najchętniej zdrapałby z siebie całą tę powłokę, ale wie, że pod spodem nie ma nic więcej, tylko płyny ustrojowe, kości, mięśnie.

Myślenie jest powolne. Owszem, zostawił sobie interfejs pozwalający na kontakt z siecią, na tyle mały, aby nie budzić podejrzeń istoty. Ale nie może już sięgać do zasobów Konglomeratu instynktownie, jakby były one przedłużeniem jaźni. Każde pytanie trzeba uważnie formułować, na odpowiedź – czekać. Gdyby pozwolili mu czerpać z sieci tak szybko, jak przywykł, spaliłby swoje neurony w mgnieniu oka. Dlatego myśli powoli, bardzo powoli. Pograżony w stanie podobnym do interwału, jest ślepy jak kret, nie potrafi modelować przyszłości nawet na kilka minut wprzód, ma tylko jakieś zbudowane na instynktach aproksymacje, z pewnością niecelne.

Pierwszy raz czuje się tak delikatny. Gdyby nie fakt, że większość świadomości zbackupował w grobowcu Deurona, pewnie oszalałby ze strachu. Nafaszerował się po uszy uwarunkowaniami, które mają go chronić przed szokiem uosobienia.

Próbuje teraz, z poziomu człowieka, wyobrazić sobie, co musi czuć istota o bycie punktowym. Jak to jest znajdować się zawsze o tak mały krok od zniszczenia, balansować na krawędzi próżni? Jaki wpływ na psychikę prostego bytu mogą wyrzucić eony samotności? Zadaje nawet pytanie myślowcom i po chwili otrzymuje odpowiedź: wypieranie. Jedyne umysł punktowy, który potrafi żyć miliardy lat, to taki, który bardzo dobrze potrafi wypierać, odświeżać samego siebie, odrzucając w kolejnych pętlach naskórek wspomnień.

Warden wchodzi do adaptu, a śluz zamyka się za nim, odcinając drogę ucieczki. Czuje klaustrofobiczny strach. Wie, że stąd nie ma wyjścia – Konglomerat nie otworzy śluz, nawet w sytuacji zagrożenia. Powietrze i woda krążą w obiegach zamkniętych. Jedyne, co wydostaje się na zewnątrz, to cieniutka strużka danych, płynąca przez wszczep w mózgu Wardena.

Istota wychodzi niespodziewanie zza drzewa, tętno Wardena przyspiesza. Przez chwilę zastanawia się, czy trójwymiarowe drukarki atomowe dobrze zinterpretowały schematy ciała *Homo sapiens sapiens*. Czy jego serce jest tak wytrzymałe, jak powinno? Czy zaraz nie pęknie albo się nie zatrzyma?

To dziwne, ale na białkowego awatara istota reaguje zupełnie inaczej niż na syntetyczny wystrój adaptu. Uśmiecha się, podchodzi z błyskiem w oczach.

Dotyka jego ramienia dłonią. Warden robi krok wstecz, przerażony uczuciem cielesnego kontaktu. Głupi instynkt! Teraz żałuje, że nie miał czasu zaimplementować silniejszych barier behawioralnych.

Próbuje przezwyciężyć biały szum fizycznych doznań, które nie dają mu się skupić: zapachy, dotyk podłogi pod stopami, napięcie skóry, szum wentylatorów, pot. To dziwne – jako pozacielesna inteligencja Warden radził sobie z dużo większym natłokiem bodźców. Teraz sama świadomość posiadania ciała całkiem go rozprasza.

Stara się o tym nie myśleć. Tłumaczy istocie, że mogą ją zabrać z planety, ale tylko jeśli pozwoli im dowiedzieć się o sobie więcej, jeśli opowie swoją historię. Ona znowu robi kolejny krok, staje z nim twarzą w twarz. Warden czuje jej zapach, musi walczyć z instynktem, który każe cofnąć się, oddać pole.

Pyta jeszcze raz, czy istota zechce opuścić Ziemię z Konglomeratem.

– Przykro mi – słyszy w odpowiedzi.

Wtedy nadchodzi interwał.

A ona rzuca się do przodu jak wygłodniały drapieżnik, siada na Wardenie okrakiem, wbija mu palce w oczy i zaczyna go pożerać.

Interwał 3f30fb/10

Rekonstruują go długo. Budzi się ślepy i bezradny, odłączony od Konglomeratu, czuje tylko kilka lokalnych rdzeni. I nie są to rdzenie Deurona, gdzie znajdował się jego grobowiec. Pierwsze pytanie po przebudzeniu jest właśnie takie: dlaczego nie Deuron?

Deuron jest zniszczony, przetworzony.

Warden nie rozumie. Chce sięgnąć do sieci, ale zapory ogniowe trzymają mocno. Inteligencja po rekonstrukcji musi mieć chwilę na konsolidację, moment namysłu bez żadnych zewnętrznych danych. Tak mówi teoria cyfrostazy.

Warden ma gdzieś teorię. Zdejmijcie to cholerstwo!

Zdejmują. I wtedy uderza go niewiarygodny informacyjny jazgot. W sieci Konglomeratu wrze panika, śmierć. Co chwila giną kolejne rdzenie. Straty są apokaliptyczne, całe wojny zadały Konglomeratowi mniej uszkodzeń niż to, co się właśnie stało.

Jeszcze sensorium, zdejmijcie ograniczniki, krzyczy półprzytomnie. Zdejmijcie!

Atakują go obrazy i dźwięki.

Piekło, tak powiedzieliby dawni ludzie. Pół floty zniszczone, poszarpane wraki opadają w studnię grawitacyjną planety, ciągnąc za sobą deszcz szczątków. Każdy kanał komunikacji napełniał od krzyku ginących inteligencji, które ślą ostatnie pakiety, ziarna, przetrwalniki, każda chce, żeby coś z niej zostało. Ale pozostałe statki tego wszystkiego nie przyswoją, zapisują – owszem – ale tylko co któryś

pakiet, informacyjny bełkot, z jakim nie da się potem nic zrobić.

Najwyższy poziom energetyczny.

Zapasy nikną w oczach. T -200 lat, T -190 lat, T -180 lat, przekalkulowanie trendu, T -8 godzin, T -6.

Kolektory rozsypało jak zabawki, ich czasyse celują w pustkę, celują w siebie nawzajem, ale nie w jasne punkty ostatnich gwiazd.

Między tym wszystkim, pośrodku Konglomeratu, rozkwitł nowy świat, straszny i cudowny – wielowymiarowy kwiat egzotycznej kosmobiologii mający wielkość Księżyca. Wokół niego organiczne łodygi rwą i gniołą kadłuby schwytyanych statków, z bionicznych powłok oraz płatków Kwiatu wylewają się dziwne kształty. To okręty wojenne, całe ich chmury toczą bój z eskadrą niszczycieli Konglomeratu. Atakują polami magnetycznymi niewiarygodnej mocy, strumieniami molekularnego kwasu, chmurami organicznych nanowirusów, zdolnych do zarażania sztucznych synaps. Naprzeciw nich rzygają antymaterią okręty Stratega. Anihilacyjne rozbłyski tej bitwy podświetlają cichą tragedię cywilnych jednostek, oplątanych przez organiczne narośla, rozsadzanych od środka zdziczałą biomasą. Wardenowi wydaje się, że słyszy pęknięcie tych kadłubów – a może to tylko echo z głębi sieci?

Nie potrafi uwierzyć, że istota była zdolna do czegoś takiego. Nie rozumie, skąd miała materiały, skąd wzięła się ta masa, która wisi między Ziemią a Księżycem i zwycięża Konglomerat. Próbuje kilku szybkich symulacji, liczy kilogramy biologicznej materii na Deuronie, gdzie znajdował się adapt.

Ale nie kończy modelować tego procesu. Dociera do niego nagle, że są dużo ważniejsze zadania. Wszystko wokół się wali, flota się rozpada, jednostki pozbawione sterowności przez potężne pulsyc ECM dryfują bezradnie. Jakaś niewidzialna fala, wystrzelona przez którąś stronę, trafiła Liiwę, jeden z dwóch okrętów ciągnących kolektor Iorri, który zerwał się z grawitacyjnego holu i właśnie uchodzi w przestrzeń, ciągnąc za sobą po spirali Uuwe, statek, który wciąż trzyma drugi hol. Nie puszczają, choć mają tam z tysiąc G. Czy za wszelką cenę nie chcą stracić kontroli nad kolektorem, czy może wszyscy zginęli i nie ma kto zwolnić zaczepów?

Warden zastanawia się długie ułamki sekund, nim zaczyna działać. Hol to pierwszy priorytet, trzeba umocować kolektor, zanim odpłynie w czarną przestrzeń albo rozerwie Uuwe na strzępy. Potem – statki, które nie osiągnęły jeszcze prędkości terminalnej i które wobec tego da się wyrwać z grawitacyjnych pułapek (dużo, dużo energii, ale życie, inteligencja, dane, są od niej cenniejsze). Warden zaczyna kopiować się wszędzie, gdzie może być potrzebna jego pomoc.

Nagle ślepnie. Rozbłysk na wszystkich pasmach poraża jego sensorium. To niszczyciele Konglomeratu ruszają do kontrataku, bo Strateg wypatrył lukę w obronie wroga i przechwycił inicjatywę. Straty rosą. Niektóre okręty nie mają już energii oraz antymaterii, więc Strateg wykorzystuje je jako żywe pociski – prastare cywilizacje sprowadzone do roli metalowych kul, które w aureoli światła wbijają się w zewnętrzne powłoki ksenokwiatu.

Rozdzielnia nie działa, kolektory rozsypane. Konglomerat nie otrzymuje już

žadnej energii, tylko spala, spala, spala.

T –5 godzin do stanu zero. Tracą kolejny ze światostatków. T –4.

Niespodziewanie, Warden słyszy Stratega.

Strateg nie ma czasu, nic nie tłumaczy, tylko tłoczy w Wardena jeden ogromny puls danych, aż skwierczą interpretatory. Potem znika, nie czekając na potwierdzenie, ma w końcu wojnę do wygrania.

Warden chwilę zuje pakiety Stratega, przerażony tym, czego od niego żądają. Chce skontaktować się z nim, podyskutować, ale zdaje sobie sprawę, że każda sekunda, którą mu zabierze, będzie kosztować czyjeś życie.

Wie, że musi się zgodzić. Logika Stratega jest trudna do podważenia. Wysyłając Wardena na pertraktacje z istotą, Konglomerat nic nie traci. Trochę obliczeniowego nano, trochę energii – nic w porównaniu do zasobów, które zużywa w każdej sekundzie nagłej wojny.

Istota zna Wardena, jest jedna szansa na tysiąc, że zechce z nim porozmawiać. Wtedy – kolejna szansa na tysiąc, że uda się zawiesić walkę. A nawet gdyby miał tylko odwrócić na parę chwil jej uwagę, i tak w ostatecznym rozrachunku Konglomerat wyjdzie na plus.

Jest im to winien. Głosował za ocaleniem istoty.

Zgadza się.

Po chwili, obleczony w cybernetyczne ciało, leci malutkim stateczkiem, uzbrojonym tylko w jeden miotacz, zresztą niesprawny, bo generator przepięto do pól ochronnych, aby dać Wardenowi większą szansę na przeżycie. W tym mikroskopijnym ziarenku z syntetycznych włókien rusza w sam środek bitwy, między rozbłyski gamma, nuklearne eksplozje, w grawitacyjne pływy zdolne rozrywać planety.

Prowadzi go nitka niewidzialnych danych: cały myślowiec głowi się jedynie nad tym, żeby doprowadzić Wardena do celu.

Kapsuła nie ma dużo energii. Warden wchodzi w interwał, odcina większość swoich funkcji, zostawia tylko sensory, którymi w zadumie spogląda na pandemonium rozgrywające się na tle spalonej, skurczonej Ziemi.

Statek nadaje na wszystkich pasmach w stronę Kwiatu.

Interwał 3f30fb/11

Warden przechodzi przez bitwę jak duch. Strateg oraz istota ignorują go zgodnie – tam, gdzie się pojawia, strzały gasną, wszystko zamiera. Okręty obu stron usuwają się z drogi.

Kwiat rośnie przed nim, zajmuje już większość pola widzenia. Z tyłu zostają wielopasmowe okrzyki ginącego Konglomeratu oraz rzygające energią kolosy. Ciągnąc za sobą nić Ariadny, neutrinowy uplink, Warden opada w mrok, między biomechaniczne kłacza. Kwiat rozwija przed nim swoje warstwy, kolejne linie obrony. Warden widzi, jak w niektórych miejscach z zielonkawej masy wystają

poszycia statków, fragmenty jakichś maszyn. Zastanawia się, czy mógłby tu wypatrzeć części Deurona, swojego domu.

Wciąż nie może uwierzyć, że otaczająca go biologiczna materia była jeszcze niedawno częścią Konglomeratu, że to wszystko przetworzone organizmy. Niektórych pewnie znał, z niektórymi rozmawiał. Może w tej skomplikowanej bionice jest nawet trochę jego samego? Pierwsze, co przetworzyła istota, to jego biologiczny awatar – Warden zdążył już sprawdzić zapis z przesłuchania. Widział, jak zabiła go, wciskając palce w mózg, jak rękoma ubabranymi po łokcie we krwi ulepiła z niego biomechaniczny egzoszkielec, za pomocą którego pokonała pierwszą linię obrony wokół adaptu.

Rozmyślenia przerywa Wardenowi wstrząs.

Jego kapsuła podrywa się, uderzona potężną siłą. Kilkadziesiąt G jest niemal śmiertelne dla cybernetycznej formy Wardena, wbija go w fotel, ogłusza. Wszystko ciemnieje, gnie się węglanowa skorupa, trzeszczy poszycie. Coś wdziera się do środka i Warden zdaje sobie sprawę, że to właśnie kłacza Kwiatu rozrywają jego statek na strzępy.

Generatory zniszczone. Traci zasilanie.

Po raz kolejny na przestrzeni kilku minut świadomość Wardena znika.

Interwał 3f30fb/12

Przebudzenie zaczyna się od niskopoziomowych procesów. Rozpęłzają się po ciele, podnoszą wirtualne markery, czerwone i zielone. Zielonych jest dużo więcej, więc będzie żył. Jest też energia. Niskopoziomowe AI nie potrafią zrozumieć skąd, bo generator cyborga nie działa, uszkodził go wstrząs. Mimo to decydują, że Warden może wrócić. Budzą jego świadomość. Po kwantowym uplinku idzie do Konglomeratu krótka informacja: misja trwa.

Pierwsze, co Warden widzi, to pajęczyna neurowodów spleciona nad jego głową w ogromną kopułę. Potem zaczyna czuć podłoże, niestabilne i miękkie. Daleko w półmroku majaczą ściany. Warden unosi się, rozgląda. Już wie, że jest w sali tronowej, w sercu Kwiatu.

Istota uśmiecha się do niego. Wisi w powietrzu, a grube kable neurowodów oplatają jej ciało, wchodzą pod skórę na karku, na skroniach, na brzuchu i na udach; wygląda jak biała główka pająka, którego reszta ginie w półmroku sali. Którego reszta jest salą.

Warden zbliża się. Nie spostrzega zabezpieczeń, a od istoty dzieli go tylko kilkanaście kroków. Jego cybernetyczne ramiona potrafią rwać stalowe grodzie, ale domyśla się, że to nie wystarczy. Istota przetrwała już dużo więcej.

Chwilę zajmuje mu sformułowanie pierwszego pytania. Cyborg nie porozumiewa się dobrze w paśmie akustycznym, Imurishama musiała dostać złą specyfikację, bo stworzenie drgań o amplitudzie słyszalnej dla ludzi okazuje się trudne.

— Dlaczego mnie zaatakowałaś? — pyta z trudem Warden. I zdaje sobie sprawę,

że nie tak powinno brzmieć to pytanie. Poprawia się. — Dlaczego jeszcze żyję?

Istota uśmiecha się, tłumaczy. Zaatakowała nie jego, tylko statek. Wygląda na to, że Strateg postanowił się zabezpieczyć. W poliwęglanowej kapsule, którą stworzył dla Wardena, były przynajmniej dwie śmiertelne pułapki. W powietrzu ukrywał się nanowirus, cudo techniki, które miało pożreć Kwiat od środka. Istota musiała odrzucić w przestrzeń kłacza, które zniszczyły kapsułę – tak szybko przemieszczała się infekcja. Gdyby wirus zaczął od środka, Kwiat mógłby nie przetrwać.

Ale to nie wszystko, Strateg miał jeszcze plan B. Antymateryjne silniki kapsuły dublowały jako bomba. Nieduża, taktyczna, ale gdyby wybuchła wewnątrz ochronnych powłok, blisko tronu...

Warden jest zszokowany. Nie tym, co Strateg zrobił – czegoś takiego się po nim spodziewał, wojen nie wygrywa się skrupułami, a on wygrał ich wiele. Bardziej zaskoczyło go to, że istota naraziła się na niebezpieczeństwo i ostatecznie wpuściła jego kapsułę. Dlaczego?

W odpowiedzi słyszy coś, czego się nie spodziewał.

— Jesteśmy krewniakami, Wardenie z Deurona.

Procesy analityczne Wardena mówią, że to trop, który musi podchwycić. Istoty ludzkie zawsze ceniły sobie prymitywne, klanowe więzi. Ale większość ludzi opuściła Układ Słoneczny miliony lat temu. Kto by sięgał swoimi korzeniami tak daleko – i czy to w ogóle możliwe? Stare inteligencje lubiły się raz na jakiś czas oczyszczać, cyfrowa pamięć nigdy nie ginie, nawarstwia się inkrementalnie przez miliony lat, aż w końcu postęp w dziedzinie składowania danych nie nadąza, trzeba się czegoś pozbyć. Czy ta istota naprawdę może być aż tak inna? Jak radzi sobie z tak długą pamięcią?

Warden sięga do najdalszych pokładów i wygrzebuje swoją genealogię, listę przodków, ludzkich i nie. Przekazuje ją istocie, pytając, jak to możliwe.

Ona śmieje się. Mówi, że to nie tak, że jest spokrewniona ze wszystkimi ludźmi. Mówi, że nazywa się Gaja.

Warden jest odcięty od swych baz danych, ale przed wylotem skopiował co ważniejsze informacje. Dzięki nim rozumie: bogini matka, najtrwalszy, najbardziej pierwotny mit ludzkości. Obecna w różnych formach we wszystkich wczesnych kulturach, wspólny mianownik kosmogonii tak odmiennych, jak judaistyczna, egipska, grecka, hinduska.

Myśli Wardena zaczynają się plątać. Wewnętrzna aksjomatyka jego świadomości nie dopuszcza istnienia nadnaturalnych istot. Ale po tym wszystkim, co widział, po bezsilności, z jaką myślowce analizowały znalezisko...

Spogląda w dół – na swoje ramiona z węglanowych polikryształów, na cztery nogi napuchnięte grubymi węzłami syntetycznych mięśni. Nie ma w nim ani jednej biologicznej komórki. Jego umysł to skomplikowana fuzja tysiąca innych świadomości, koegzystujących w rozproszonej, obliczeniowej chmurze. Nie ma już nic wspólnego z ludźmi.

Gaja uśmiecha się. To nie ma znaczenia, czuje się jego matką, nawet jeśli zabłądził, zatracił siebie w trwającej eony wędrówce.

Warden pyta, czy dlatego go wpuściła? Dlatego z nim rozmawia? Przecież w Konglomeracie muszą żyć jeszcze inne ludzkie hybrydy.

Gaja odpowiada, że chodzi o prostą rzecz. O wdzięczność. Wie, że gdyby nie Warden, próbowaliby ją zniszczyć przy pierwszym kontakcie albo od razu zostawili na tej wypalonej, ciemnej skale. Warden dał jej szansę, nakarmił własnym ciałem, więc ona chce dać szansę Wardenowi.

Ma nadzieję, że Warden porzuci Konglomerat na rzecz jej nowego bytu. Kiedy już zasymiluje dostatecznie dużo biomasy i przegna Stratega, Gaja planuje zregenerować Układ. Odtworzyć Słońce. Sprawić, że życie wróci na Ziemię. Wardenowi ofiaruje miejsce w swoim nowym świecie.

Warden odmawia. Tłumaczy, że to wcale nie takie proste. Spodziewali się jego śmierci, dlatego do statku zwiadowczego weszła tylko jego mała część. Reszta jego obliczeniowej chmury czeka na okrętach Konglomeratu. Jest z nią połączony cienkim uplinkiem, opartym na kwantowych kropkach, a gdy zginie, gdy transmisja się zerwie, oni go odbudują z ostatniego backupu, a potem przypomną mu wszystko aż do chwili zerwania komunikacji. To, co przyszło do Kwiatu, nie jest do końca Wardenem. Jego śmierć albo akces do istoty nic nie zmienią. Prawdziwy Warden pozostanie w Konglomeracie.

Gaja wygląda na rozczarowaną. Warden zastanawia się, jakie są jej granice? Manipuluje przestrzenią lepiej niż Pierwsi, ale jednocześnie myśli po ludzku – nie rozumie tak elementarnych pojęć, jak osobowości wirtualne hostowane na podzielnej chmurze. Warden patrzy ze smutkiem na jej małe, białe ciało zamknięte w neuroprzewodowej uprzęży.

Galaktyczne dziecko o mocy bogów.

Na zewnątrz, poza ochronnymi łuskami Kwiatu, bitwa zmienia przebieg. Warden widzi przez łącze, że kilka niszczycieli Stratega uruchomiło jakieś dziwne pole kwantowe, zaczęły jednocześnie istnieć – i nie. Pole jest nietrwałe, wariancja bytu okrętów maleje, ich rozedrgane istnienie przestanie być wkrótce kwantową funkcją, a stanie się zerojedynkowym, binarnym faktem. Ale tymczasowo są odporne na wszystkie bronie Gai, przebiły się przez zewnętrzne płatki i suną klinem w stronę centralnego zwoju, gdzie znajduje się tron istoty.

To głęboka rana. Warden widzi, że Gaja marszczy się z bólu, zwija w sieci neuronowych kabli.

W głowie Wardena ryczy Strateg, nie wiadomo, jak przechwycił jego uplink. Teraz. Atakuj. Zabij. Odwróć uwagę. Warden zaciska pięści, czuje świerzbienie kończyn. Ale wyłącza kanał. Głos znika. Tymczasem Gaja rzuca do walki rezerwy. Nowa fala okrętów wylatuje spod ochronnych warstw Kwiatu, wydzierają inicjatywę Strategowi.

Warden uznaje, że nie ma już na co czekać. Składa jej ofertę Konglomeratu: natychmiastowe przerwanie walki, zwrot zagrabionej materii oraz energii. W zamian zostawi ją w spokoju.

Gaja odmawia, co go specjalnie nie dziwi. Będzie walczyć o zachowanie tego, co zdobyła. Ma plan, w jaki sposób wykorzysta te surowce. Warden nie poddaje się.

Próbuje jej wytłumaczyć, jak ważny jest Konglomerat, że ratowanie informacji ginącego wszechświata to najbardziej szczytna misja, jaką można sobie wyobrazić. Nie powinna w niej przeszkadzać, powinna pomóc.

Ona zalewa go kontrargumentacją tak skomplikowaną, że nie może przebić się nawet przez kilka pierwszych zdań. Jest zszokowany, nie wiedział nawet, że istota potrafi tak myśleć. Przeklina teraz swój mały, powolny mózg i cieniutkie łącze z myślówcami. Prosi, żeby wyjaśniła.

Gaja poprawia się. Substytuuje skomplikowane pojęcia słowami prostymi, porównaniami, które Warden może zrozumieć. Automat komórkowy. Entropia. Inteligencja materii. To maksymalny poziom abstrakcji dla Wardena kastrata, Wardena oderwanego od mocy myślówców.

Tłumaczy mu jeszcze raz. Na początku istnienia entropia była minimalna, a jej wzrost to zegar, który odmierza czas we wszechświecie. Ale entropia nie jest liniowa, powstają plamy niższych stanów, wszystkie wywołane przez przyłożenie entropii negatywnej. Każdy żywy organizm świata nosi w sobie ładunek tej negentropii, mocy organizacyjnej, zdolności do porządkowania materii wokół siebie. Negentropia to niemal wyłączna cecha życia, inteligencji. Każda istota ma pewien potencjał, który zużywa w trakcie swojego trwania, a gdy umiera, gdy jej negentropia znika, entropia rośnie na nowo.

Przy pewnym stężeniu negentropii istota żywa staje się niemal bogiem, ma nieograniczoną moc kierowania materią. Obiekty nieożywione też mogą mieć pewien ładunek, ale jest to ładunek odziedziczony po stwórcach, spadek, który szybko topnieje. Konglomerat jest stary, w większości składa się ze sztucznych ciał i sztucznych inteligencji. Wiele z nich jest całkiem pasywnych, zmęczonych. Konglomerat ma niski stan negentropiczny. Ona z drugiej strony...

Warden zastanawia się. Czy stąd jej dzika moc tworzenia? Czy dzięki temu tak błyskawicznie zbudowała Kwiat?

Zaczyna rozumieć. Gaja to szyb wiertniczy, który połączył się z jakimś bezkresnym, negentropicznym oceanem. To, co widzieli w świecie fizycznym, było tylko kotwicą, wylotem. Tylko skąd się wziął ten ocean? Czyją negatywną entropię pożyczyła, żeby przetworzyć Konglomerat na swój obraz i podobieństwo, uporządkować go według własnej idei?

Gaja odpowiada: wszechświata.

Znów zalewa go falą upraszczanych pojęć. Tłumaczy mu, że istnieje nadrzędny byt, który nadał negentropię żywym istotom. Tylko w ten sposób da się wytłumaczyć fakt, że na początku entropia świata była tak niska, choć wszystkie znane procesy ją zwiększają. Warden krzywi się, pamięta, że wczesne cywilizacje wykorzystywały ten paradoks, aby trzymać się tak długo, jak to możliwe, dziecinnej idei Stwórcy. Kontrargumentuje całą serią logicznych pułapek, które wynikają z istnienia Stwórcy, bytu nadrzędnego wobec całej reszty.

Nie, nie tak – protestuje istota. Wszechświat sam jest nadrzędnym bytem. Życie wewnątrz niego to życie pozorne, ruchy odpowiedników automatów komórkowych, części składowe. Wszechświat śpi, ale nigdy nie zapomina, dlatego czasem musi się

oczyścić ze struktur informacyjnych. Wtedy przychodzi Ony, anioł wysokiej entropii, który przygotowuje nowy cykl.

Teraz Warden protestuje. Nie ma żadnych cykli, koniec to Wielkie Zimno, kiedy nawet czas zamarza, bo wszystko osiąga zerowy poziom energii, nic się już nie zmienia. Wszechświat nie żyje. Struktura o tak dużej powierzchni nie może myśleć! Miliony lat świetlnych mijają, nim hipotetyczny impuls przeleci z jednej części wszechświata do drugiej. Bzdury, bzdury!

Aby to przyjąć, musiałby zmienić tyle swoich aksjomatów, że to fizycznie niemożliwe. Skomplikowane inteligencje nabudowują kolejne warstwy na pewnych podstawach, wyrwać te podstawy – wszystko się sypie.

Bzdury. Warden zaciska pięści.

Gaja chce dalej tłumaczyć, ale zamiast tego wydaje przeciągły krzyk. Warden błyskawicznie sięga na zewnątrz, chwytą swoją żyłę informacyjną, ściąga obrazy z floty.

Z początku wydaje mu się, że jakaś plama czerni pożera Układ Słoneczny, planety, asteroidy. Coś łapczywie wsysa każdy foton, powiększając się w niewiarygodnym tempie. Pozbawiony skomplikowanego sensorium oraz zdolności analitycznych, dopiero po chwili orientuje się w sytuacji.

W stronę pola bitwy pędzi kula Origian. Weszła do układu, wytrącając planety z orbit i wciągając kilka uszkodzonych jednostek w swoją grawitacyjną studnię o bokach tak stromych, że pozostałe okręty Konglomeratu muszą wrzucać pełną moc, aby nie spaść poza horyzont zdarzeń.

Flota rozprasza się przed Origianami, ale wielowymiarowy Kwiat Gai nie potrafi usunąć się z drogi, jest zbyt wolny, uwiązany przez własną bioniczną sieć. Jej okręty odwracają się bokiem do resztek Konglomeratu. Interesuje je teraz wyłącznie czarna kula, pędząca na ich spotkanie coraz szybciej, jak pocisk. Otaczają ciasno Kwiat, będą chronić go za wszelką cenę.

Warden czuje, że jego kwantowe łącze rwie się. Promieniowanie, ugięcie czasoprzestrzeni, eksplozje okrętów znikających za horyzontem zdarzeń – świat Origian przyćmiewa wszystko swoim czarnym majestatem.

Istota krzyczy, warstwy Kwiatu kolapsują, chroniąc ziarno, chroniąc ją.

Zderzenie jest ciche.

Warden ginie kolejny raz.

Tym razem czeka długo. Zaczyna wierzyć, że naprawdę tak wygląda śmierć.

Interwał 3f30fb/13

Warden już prawie jej nie widzi. Są kilkanaście tysięcy lat świetlnych dalej, w miejscu, gdzie niegdyś znajdowało się serce Drogi Mlecznej, a teraz w czarnej próżni płyną ławice wypalonych słońc. Gaja jest tylko wirtualnym śladem na mapie nieba, tak małym, że nawet sensory Anshyxiona jej nie widzą, potrzeba dużo doskonalszego sprzętu Imurishamy.

Nie pokonali jej. Kula Origian zniszczyła większość Kwiatu, ale Gaja jakoś poradziła sobie z płataniną wymiarów oraz pływów grawitacyjnych, wyrwała się. Ciągnąc za sobą strzępy krwawiącej sokami biomasy, uciekła na ciemną stronę planety. A przynajmniej tyle Warden widział na zapisach z bitwy.

Po przebudzeniu połączył się ze Strategiem. Spytał, dlaczego mu wybaczyli, przecież najpierw sprowadził na Konglomerat niebezpieczeństwo, potem jeszcze zdradził. Strateg wydawał się rozbawiony. Dla niego wybaczenie to dziwny ludzki koncept, tak samo jak zemsta. Konglomerat stracił wystarczająco, dlaczego miałyby sam niszczyć kolejny byt? Tym bardziej że Warden był teraz pod pewnym względem jego najcenniejszą świadomością. Dotknął niezrozumiałego, cennej informacji nieasymilowalnej. W dalekiej przyszłości, kiedy Iorri skolapsuje to uniwersum, aby w ogniu i huku urodzić nowy, pamięć Wardena będzie ostatnim wspomnieniem po istocie, której nie udało im się zabrać.

Teraz Warden patrzy w głęboką przestrzeń z pokładu obserwacyjnego Anshyxiiona. Wokół niego, podświetlone ogniem silników, jednostki Konglomeratu idą pełnym ciągiem w stronę symulowanego horyzontu zdarzeń, wciąż tak odległego, niedoścignionego.

Iorri pulsuje rytmicznie. Zapasy energii wreszcie rosną. Stracili połowę okrętów, teraz mają nadmiar mocy. Setki tysięcy lat miną, nim Konglomerat stanie się wystarczająco duży, żeby znowu zaczęło jej brakować.

Wardena nie opuszcza myśl o tym, co próbowała mu rzec Gaja. Cała jej zatruta wiedza, wiedza niepojęta, którą odrzucił, żeby obronić swoje aksjomaty. Konglomerat wyruszył kiedyś z misją ratowania każdej informacji, ale co, jeśli istnieją stany informacyjne, które nie mogą wzajemnie koegzystować? Dane korozywne, których nie możesz przyjąć, bo zniszczą te zebrane wcześniej?

Nagły smutek zalewa zimną falą miliardy rozproszonych synaps Wardena. Odkąd Konglomerat powołał go do życia, wiele przeżył, wiele stracił. Ale strata ostatnia z jakiegoś powodu wydawała się najboleśniej. Jeszcze nigdy nie czuł tak mocno, że misja Konglomeratu, gromadzenie informacji umierającego świata, stworzenie ruchomej oazy niskiej entropii, która potem uleci do innego uniwersum, to idealistyczna mrzonka. Nie wszystko zdołają odnaleźć. Nie wszystko, co znajdą, zdołają zabrać ze sobą. Po reoryginacji nie odtworzą rzeczywistości tak bogatej jak ta, która ich zrodziła – tylko własne, prymitywne wspomnienie o starym wszechświecie. A jeśli ich dzieci dokonają następnej reoryginacji, powstanie kalka kalki, układ jeszcze uboższy.

Warden patrzy ostatni raz w próżnię, tam gdzie porzucili Gaję. Czuje, że w jego cyfrowy umysł wkrada się cicho Ony.

Jest zimno i ciemno. Okręty Konglomeratu płyną w atramentowym oceanie bez gwiazd, które mogłyby wskazać im drogę, bez mgławic ani galaktyk, prowadzone odległym sygnałem Iorri.

To ostatek chwile skutego termiczną śmiercią wszechświata.

Rafał W. Orkan

KSIĘCIA KORDIANA

KSIĘŻYCOWYCH PRZYPADKÓW

CZEŚĆ PIERWSZA I

NAJPRAWDOPODOBNIJ OSTATNIA

Od kiedy uczonym mędrcom, mistrzom czarodziejskiego fachu, udało się stworzyć pierwszego Ducha o rozumności przewyższającej ludzką – który to stworzył drugiego, jeszcze rozumniejszego, a tamten kolejnego, i tak dalej – świat zaczął się w zastraszającym tempie zmieniać, aż przeistoczył się w miejsce tak dalece inne od tego, w którym przyszło mi się rodzić, że za nic nie mogę do niego przywyknąć, a mimo to tarta brukiew jak była, tak nadal jest mym przekleństwem.

— Jak sądzisz, Terpeklesie — zwróciłem się do swojego dzinna — czy świat niebawem imploduje pod naporem tej gigantycznej masy absurdu, jaką zdołał w niedługim czasie wytworzyć? Wszak jeszcze mój dziad, niestrudzony badacz, podróżnik i kartograf, do swych wojaży angażował cały tabun parobków, wozy zaprzęgał w konie, przyodziewał się zaś w wełniane portki i płaszcz lamowany lisim futrem — a dzisiaj co? Nawet połowy tego nie trzeba. Niechaj zresztą gwiazdy świecą nad jego duszą, gdziekolwiek się ulotniła. Co się tyczy mojej, wiem wprawdzie, że tuzin jej kopii przechowują w magazynach Urzędu Zadusznego w każdym większym mieście, nie mówiąc o mym własnym zamkowym skarbczyku, ale po cóż mi to wieczne, uporczywe trwanie, skoro tarta brukiew na talerzu zdaje mi się piekłem wcielonym, kapustną agonią zmysłów, a zanim mój ponad miarę wrażliwy żołądek nawyknie do innej strawy, to potworne jadlo zupełnie zohydzi mi egzystencję. Mówię ci, Terpeklesie, jutro o świcie odbiorę sobie życie. Nieodwołalnie!

— Jak sobie życzysz, panie — odparł dzinn, sycząc do mnie z butelki. — Mam przygotować sztylet?

— Oooch... — wyrzuciłem z siebie westchnienie, po czym zdarłem z kołnierza serwetkę i cisnąłem nią o podłogę. — Moje życie straciło sens.

Ukrywszy twarz w dłoniach, jałem bezgłośnie łkać, bo jakże tu doświadczać radości w świecie, gdzie niemal wszystko jest możliwe, a ludzie beztrudno wyzbywają się ciał, przechodząc w stan duchowy, w którym to przebywając, nie robią nic innego, jak tylko plotkują, gadają, zrzędzą i wymieniają się przepisami na ulubione potrawy, których i tak już od dawna, jako istoty bezcielesne, nie spożywają.

— Istne szaleństwo — mruknął Terpekles z butelki, ziewając przeciągle.

Nigdy go o to nie zapytałem, ale wydaje mi się, że dzinny czytają w myślach.

— Dość już, Terpeklesie — skarciłem go na wszelki wypadek. — Wprawiasz mnie

w stan emocjonalnego wyczerpania. Zająłbyś się czymś.

— Pan raczy wybaczyć. Przygotuję kąpiel z bąbelkami.

To mówiąc, przejmująco syknął i wypuścił z butelki obłoczek sinawej pary. Ja zaś udałem się do sypialnych komnat, gdzie na pięć minut oddałem się w objęcia melancholii. Nie pozwalałem sobie na podobną słabość częściej niż raz w tygodniu, a i to z wyłączeniem okresów długich świąt i zamkowych uroczystości, na które tradycyjnie spraszałem całą okolicę, przynajmniej dopóki ludzie pozostawali ludźmi na tyle, by nie pałętać się bez celu po bezdrożach astralnej przestrzeni, w obecnych dniach coraz bardziej przeduszanej i nieznośnie gwarnej. W końcu na urządzone przeze mnie biesiady przestano przybywać, wyjąwszy może kilku głuchych i bezzębnych starców oraz parę tęgich bab, które za nic miały nowoczesność. To zmusiło mnie do podjęcia pewnych nad wyraz stanowczych kroków, a więc do zupełnego odcięcia się od gawiedzi, co jednak spowodowało ustawiczne popadanie we wspomnianą melancholię i znacznie ową przypadłość nasiliło.

Tak oto, nie wiedzieć kiedy, znalazłem się w moim ogrzewanym loszku, zanurzony po pas w ciepłej kąpeli z bąbelkami, nad którą Terpekles tak się natrudził, jeżeli w ogóle cokolwiek sprawia mu trudność.

Trzeba wam bowiem wiedzieć, że przydarzało mi się nad wyraz często zapominać o bożym świecie. Snułem się wówczas po mym zamczysku, mijając portrety przodków i zakurzone zbroje, pokryte pajęczynami lichtarze i wiekowe kandelabry oraz niezliczone komnaty – wnętrza wielu z nich wciąż pozostawały dla mnie zagadką – zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. W każdym razie nie bardziej niż troszeczkę. Wspinałem się tak po schodach lub zanurzałem w czeluściach lochu, myślami błędząc gdzieś daleko, w odległych krainach, z ogromną pasją opisywanych przez mych przodków. Jakże ja wtedy tęskniłem do owych przygód, podróży w nieznane kraje, o których mogłem już tylko pomarzyć, skoro w dzisiejszych czasach świat nie miał wobec ludzi jakichkolwiek sekretów, żadnych tajemniczych lądów do odkrycia, zbadania i uczciwego opisanie, ani jednej prawdziwie białej plamy na mapie.

Lecz gdy tak siedziałem w balii, naszła mnie genialna myśl, istne objawienie – co bez wątpienia zawdzięczać muszę kojącemu działaniu terpeklesowej sztuki kąpielowej – na które zareagowałem okrzykiem radości, zdolnym obudzić ze snu wiecznego wszystkich lokatorów zamkowej krypty. Otóż postanowiłem, że udam się na wyprawę, jakiej nie odbył jeszcze żaden człowiek, wliczając w to nawet mych ze wszech miar znamienitych antenatów.

Odbędę podróż na Księżyc.

* * *

Natychmiast ruszyliśmy z przygotowaniami. Terpekles zajął się wszystkim, co było konieczne do oderwania nas od skalnego nawisu, na którym zamczysko tkwiło od dobrych paru stuleci. Ja zaś, pozostawiwszy dżinnowi nużące techniczne szczegóły, poczyniłem odpowiednie sprawunki; nowy cętkowany szlafrok z karmazynowymi wyłogami stanowił ich absolutną podstawę, gdyż stary, nadjedzony

zresztą przez mole, dawno już wypłowił. Do tego obuwie godne podróżnika i kilka kapeluszy: co najmniej dwa na niepogodę, jeden przeciwsłoneczny oraz dystyngowany cylinder na wypadek, gdyby przyszło nam na Księżycu spotkać tamtejszą arystokrację lub chociaż miejscową bohemę.

Po tym, jak pocztą astralną rozesłałem wszystkim znajomym powiadomienia o planowanej wyprawie, zabrałem się do rzeczy najważniejszej, a mianowicie do uroczystego pożegnania Ziemi, czego dokonawszy z użyciem czterech butelek półsłodkiego wina, udałem się do łoża, by dnia następnego, o bladym świcie, zarządzić nie mniej uroczysty start naszej ekspedycji.

Sam wylot był nad wyraz ekscytującym przeżyciem, chociaż Terpekles zdawał się nie przejawiać takich emocji, jakie targały moją osobą. Reszta długiej drogi na Księżyc wypadła natomiast cokolwiek blado, toteż pozwolę sobie przemilczeć szczegóły tej ponad miarę dłużącej się peregrynacji. Z czysto kronikarskiego obowiązku wypada mi jedynie wspomnieć o ławicach kosmicznych smoków – stworzeń równie tępych i nudnych, co ogromnie leniwych (żaden nie raczył choćby odwrócić łba w naszą stronę, mimo że rzucałem im z blanków pyszną wołowinę, co okazało się z mojej strony całkowicie pozbawioną sensu fatygą). Minęliśmy też kilka spadających gwiazd (nic wielkiego) i jedną zodiakalną przybłądę w postaci głodnego lwa – a dopiero co nieopatrznie pozbyłem się dobrego mięsa! – którego musiałem, chcąc nie chcąc, poskromić za pomocą bicia i taboretu, tak jak onegdaj uczył mnie mój nieodżałowany pradziad.

Na Księżyc dotarliśmy pod wieczór, zaraz po dopiciu popołudniowej herbatki. Zamczysko postawiliśmy na rozległej równinie, żółtej i w całości porośniętej dziwnymi, niskopiennymi roślinami przypominającymi drewniane kołki, jakimi zwykło się mocować liny utrzymujące namioty. Te tutaj sterczały jednakowoż zupełnie bez widocznej przyczyny, jakby po prostu samoistnie powyrastały z księżycowej gleby, dlatego też wziąłem je za miejscową florę. Podjąłem natychmiast decyzję, iż udam się na zewnątrz, w celach badawczych. Zanim jednak zdążyłem wyrychtować niezbędny do takich eskapad ekwipunek, do bram zamku jęli dobijać się tubylcy. Rozkazawszy więc Terpeklesowi opuścić most zwodzony, podnieść kratę i rozewrzeć wrota, rozsiadłem się w audiencyjnej komnacie, by podjąć tam godnie naszych gości. Na wypadek zaś, gdyby okazali się oni przedstawicielami miejscowego gminu – albowiem brałem pod uwagę i taką możliwość – wziąłem ze sobą *Słownik terminów plebejskich* i *Almanach wieśniaczej retoryki*, oba autorstwa znamienitego lingwisty-organisty Montreya.

Wreszcie drzwi otworzyły się i do komnaty weszli czterej osobnicy o dość egzotycznej aparycji. Otóż przypominali oni równo ścięte, długie na metr pniaki, okryte gładką korą piaskowej barwy i poruszające się w postawie pionowej dzięki trojgu podobnych do korzeni odnóży. Z górnej części wyrastały im giętkie gałęzie, również w liczbie trzech, przycięte na jednakową długość, pozbawione mniejszych gałązek czy choćby widocznych zgrubień lub wystających sęków. Wszyscy oni – a w mej komnacie zjawił się już cały tuzin owych istot – zdawali mi się identyczni, wręcz nie do odróżnienia.

— Witojta, miesięczne kumy — podjąłem, w każdej dłoni dźwigając stosowne tomiszczce. — Tamój mata stągiew przedniej pomby, dyć ona zamorska, spróbujta. A siadajta podle stołu, przeciech wy w moje progi, kiej te janioły-pielgrzymi, dyć i ja was z leda powodu nie ukrzywdzę, a ugoszczę. Tyla tego, kiejby dla całej gromady. Żechbyście, kumy, nie gadali, że ksiązę Kordian ma wiater we śpichrzu.

Popatrzyli po sobie, po czym jeden wystąpił naprzód, zwróciwszy się do mnie cokolwiek uniżonym tonem, nad wyraz uprzejmie, ważąc i złocąc każde słowo, a mówił tak długo i w tak zachowawczym stylu, że sens całej tej rozwleczonej wypowiedzi pojąłem dopiero po dłuższej chwili. Wreszcie dotarło do mnie, że mój gość próbuje w zawołowany sposób wyłuszczyć, iż nie zrozumiał ani słowa z tego, com zawarł w powitalnej mowie.

Roześmiałem się wówczas szczerze i nie bez ulgi. Przepraszającym gestem dałem znak, że całe nieporozumienie wynikło z mojej winy.

— Raczcie mi wybaczyć, drodzy Księżycanie — podjąłem. — Nie byłem pewien, czy mam do czynienia z cywilizowanym ludem. Teraz widzę, że źle zacząłem. Postaram się bardziej...

Na ostatnie moje słowo cała dwunastka Księżycan zeszywniała nagle, wybałuszając oczy w słup i zaciskając swe drewniane wargi. Sądziłem już, że będą tak stali jak kołki aż po Sąd Ostateczny, lecz w końcu jęli się rozluźniać i po chwili znów usłyszałem nieznaczne skrzypienie ich ciał, gdy poczęli się nerwowo obracać wokół własnej osi, jakby nie wiedząc, co zrobić dalej.

— Hmm... — zacząłem — najwyraźniej powiedziałem coś niewłaściwego?

— Ależ nie! Nie! — Bronili się z trzaskiem.

— Skądże znowu!

— Gdzieżby!

Po ich przesadnie egzaltowanych zapewnieniach uspokoiłem się troszeczkę i wskazałem miejsca przy długim stole. Nie byłem pewien, czym ich uraczyć, toteż nakazałem Terpeklesowi poprzestać na napełnianiu kielichów czerwonym winem przedniej marki; życie mnie nauczyło, że wszelkie niezręczności najlepiej rozwiązywać wedle wskazań mądrych przodków, a od dziada pradziada oznaczało to w mym zamczysku niezawodne upojenie gości, nomen omen, w pień.

Gdy krew i żywica uderzyły nam do głów, rozmowa jakoś się ułożyła i zapewne dostarczyła mi wielu interesujących informacji na temat trybu życia Księżycan, jednakże niewiele z tego zdołałem zapamiętać. Godzina była wszakże dość późna jak na moje upodobania, a wino nazbyt młode, toteż – w efekcie – w pamięci utkwiło mi jedynie to, iż moi goście, a zarazem gospodarze, kazali zwać się Lesiołkami, a im pora robiła się późniejsza i im więcej pustych butelek stawało w nierównym rzędzie u krańca ławy, tym ich zachowanie zdawało mi się swobodniejsze, a mowa jakby bardziej wylewna.

* * *

Następnego poranka obudził mnie straszliwy łomot w czaszce. Po kilku minutach zorientowałem się, że dolegliwości związane z wydarzeniami wczorajszego wieczoru

nie stanowią wyłącznego powodu owych hałasów – otóż od kilku dobrych chwil ktoś walił do drzwi sypialni.

– Któż tam? – jęknąłem.

– To ja, panie. – Usłyszałem głos wiernego dzinna. – Jeden z autochtonów oczekuje pana w bawialni.

– Czy byliśmy umówieni?

– On twierdzi, że tak.

Chwyciłem się za głowę, by choć trochę uspokoić wirujący mi przed oczyma pokój, lecz to nie pomogło.

– Naprawdę musimy rozmawiać przez zamknięte drzwi, Terpeklesie?

– Nie chciałem wchodzić bez zezwolenia...

Już po chwili dzinn wisiał nade mną, kręcąc się wraz z fioletowym baldachimem łoża i przyczyniając się tym do wzmocnienia nękających mnie dolegliwości.

– Zaraz zaparzę ziółka – zapewnił mnie, zanim zdążyłem wypowiedzieć życzenie na głos, po czym dodał – i przyrządzę regenerujące śniadanie. Czy przy posiłku będzie panu towarzyszył tubylec?

– Byle nic nie mówił – odparłem. – Albo nie. Nakarm go w gościnnym... zresztą, czym oni się właściwie żywią?

– Tuszę, że wodą i słońcem oraz przyjmowanymi doustnie minerałami... w jakiejś formie – zgadywał Terpekles. – Zapytam go, czy nie odmówi jajek na boczk.

Dopadły mnie chwilowe mdłości, pominę więc pozostałe wydarzenia tego poranka, jako mało istotne, a także niezbyt właściwe dla publicznego o nich rozprawiania. Pozwolę sobie zatem przejść do momentu, gdy słońce wisiało już w zenicie, a przez otwarte okna do zamku dostawał się łagodny, odświeżający wietrzyk. Wyszliśmy – ja, mój przewodnik Lesiołek i towarzyszący nam w swej butelce Terpekles – z zamku na piaszczysty trakt, prowadzący wprost do dużego miasta, którego mury skrywały się za łagodnymi wzgórzami.

Okazało się bowiem, że uprzedniego wieczoru, kiedyśmy się tak dobrze bawili przy opróżnianiu zasobów rodowej winnicy, goszczeni przeze mnie Księżycanie obiecali, że oprowadzą mnie po swej stolicy i pomogą, na ile to będzie możliwe, w zwiedzaniu wszelkich jej uroków. Lesiołek, który po mnie przybył tego poranka, miał na imię Drągul i – przynajmniej z pozoru – nie różnił się niczym od swych ziomków. W każdym razie od tych, których dane mi było dotąd poznać.

Architektura miasta (które mieszkańcy zwali Drzewogrodem) dalece różniła się od ziemskiej. Przede wszystkim domy pozbawione są tam dachów, a ściany same wyrastają z księżycowej gleby, przyjmując najróżniejsze, czasem wręcz nieprawdopodobne kształty. Gdyśmy tak szli środkiem miasta, zauważyłem grupki Lesiołków (wciąż wszyscy oni zdawali mi się z wyglądu jednakowi) zajęte zamalowywaniem owych ścian zieloną farbą. Zagadnąłem o to mego przewodnika, zupełnie zresztą niezobowiązująco, ten zaś odparł mi – nie bez zwłoki i z widoczną niechęcią – że nocą zdarzają się tu problemy z miejscowymi wandalami i chuliganami. Następnie uciał gwałtownie temat i zrećźnie wywinął się od drażenia

go, zwracając moją uwagę na liczne atrakcje, takie jak choćby teatr umiejscowiony w samym centrum stolicy, a otoczony bujną roślinnością, którego widownię zapełniały liczne rzędy zapatrzonych przed siebie Lesiołków; istny las sterczących pionowo, równo ściętych pniaków.

Z początku nie zauważyłem sceny ani aktorów; wydało mi się, że to kolejna galeria zarośnięta ozdobnymi drzewkami. Po chwili jednak rzuciło mi się w oczy osobliwe zachowanie owych drzewek: ruszały się one w takt muzyki, można by rzec, że tańczyły nawet, a gdy tak jałem je dłuższy czas obserwować, doczekałem się i pięknie deklamowanych wierszy oraz – odgrywanych z wielką emfazą – scenek, zarówno tragicznych, jak i komicznych w swej wymowie.

Zapytałem mego przewodnika, cóż to za osobliwi aktorzy, zwracając uwagę na bujne, pełne listowia gałązki, jakich próżno by szukać wśród dokładnie ociosanych Lesiołków, on jednak wzruszył jedynie swymi trzema sękatymi ramionami, jakby nie rozumiał, o co też może mi chodzić. Drażul zdawał się w ogóle nie pojmować mojego zaciekawienia, a gdy nie dawałem za wygraną, wyraźnie się spłoszył, po czym podenerwowany dodał, szepcząc mi do ucha:

– Ależ co pan! Takich spraw nie godzi się publicznie poruszać.

To wyznanie zbiło mnie z tropu, wciąż jednak naciskałem na mego rozmówcę, jego zachowanie bowiem zdawało mi się co najmniej intrygujące.

– A cóż w tym takiego bulwersującego? Że wy macie zaledwie po trzy krótko przycięte, bezlistne gałązki, głowy zaś kończą wam się płasko jak piłą urznąć; można by na nich podawać napitki, jak na kawiarnianych blatach... Natomiast gałęzie owych aktorów wiją się niczym dorodne korony. Wasze ciała pokrywa prostej barwy i faktury kora, ich zaś pełna jest kolorowych cętek... I cóż w tym, powtarzam... bulwersującego?

Drażul jednak zacisnął powieki, gałązki owinął sobie wokół tułowia i zastygł tak, głuchy jak pień na moje racje.

Zaprzestałem więc poruszania tej, najwyraźniej bardzo dla niego drażliwej kwestii i pojednawczo zmieniłem temat na bardziej uniwersalny; zacząłem od zainteresowania pogodą, a dalej już jakoś poszło i znów przemierzaliśmy miasto spacerowym krokiem, podziwiając gustownie wykończone drzewowce mieszkalne i klombonice pełne ślicznych kwiatów.

Po drodze natknąłem się na kolejne Lesiołki różniące się wyglądem od mego przewodnika; ci przypominali wprawdzie oglądanych uprzednio aktorów, lecz ich kora nie nosiła nawet śladu kolorowych cętek, zamiast tego strasząc barwą brudnej ziemi i wielką liczbą nieapetycznych narośli, sęków, zgrubień, a nawet jakiegoś rodzaju pasożytniczych grzybów. Te Lesiołki – jeżeli to rzeczywiście były one – widywałem w zacienionych zaułkach i zaśmieconych uschniętym listowiem bramach zapuszczonych domów. Próbowałem delikatnie zagadnąć towarzyszącego mi Drażula o owych tępo spoglądających na nas biedaków (wszyscy oni zdawali się otumanieni i niezwykle markotni, a może nawet chorzy), lecz ten znów spieszył się i za wszelką cenę próbował mnie przekonać, że nic takiego nie widzi i wszystkie Lesiołki są aż do znudzenia jednakie. Spoglądał przy tym tak błagalnym wzrokiem,

że ulitowałem się już nad nim i o nic więcej nie pytałem.

Następny przystanek naszej wycieczki stanowią okazały gmach miejskiej biblioteki. Zbudowana – czy raczej wyrosnięta – wokół ogromnego drzewa, z tysiącem półek, na których tłoczyły się gliniane tablice, zrobiła na mnie niemałe wrażenie. Nie byłem jednakże w stanie zatopić się w tak ciężkiej lekturze; tablice były diablo niewygodne, a ich waga przekraczała granice zdrowego rozsądku. Toteż w obawie przed zmiążdżeniem, przytłoczony ważkością dzieł, podjąłem decyzję o opuszczeniu biblioteki, rezygnując z zapoznania się z miejscową literaturą. Zanim jednak zdążyłem poinformować o tym mojego przewodnika, ten przeprosił mnie na chwilę i wymawiając się jakimś zobowiązaniem, ulotnił z biblioteki, pozostawiając mnie tam co najmniej na dwie i pół godziny, samotnego, jeśli nie liczyć wypełnionej dzinnem butelczyny.

– Mają tu dział ksiąg zakazanych – szepnął Terpekles znad korka.

– Gdzie? – Rozejrzałem się, ale wszędzie tylko otwarte i dostępne dla każdego półki; cóż z tego, skoro gliniane księgi nie do uniesienia.

Zabełtałem nerwowo dzinnem, stukając paznokciem w szkło. Terpekles zmętniał nieco.

– Pod ziemią znajduje się tajne pomieszczenie – odrzekł. – Wejście jest ukryte za jedną z tablic.

– Którą?

– Zbiór poezji ciosanej, zatytułowany *Ładnież skryłż wyrówn, o Żerdzi jednaka!* – wyjaśnił Terpekles, po czym przesunął tablicę na bok, odsłaniając schody prowadzące w dół, do ciemnego korytarza.

I tak nie miałem nic lepszego do roboty, a Dział Ksiąg Zakazanych zapowiadał się przynajmniej intrygująco, toteż niewiele myśląc, udałem się w głąb mrocznej czeluści podziemnego tunelu.

W podziemiach biblioteki pachniało starym papierem. Wykonane z heblowanego drewna półki zapełniały rzędy prawdziwych, papierowych ksiąg. Ująłem w dłonie pierwszą z brzegu, strzepując z niej dywan kurzu. Grzbiet okazał się najlepiej zachowaną częścią księgi, jednak – po pobieżnym odkurzeniu – dało się ją czytać. Była to jakaś historyczna rozprawa na temat księżycowej gospodarki dawnych wieków. Muszę w tym miejscu zdradzić się nieco z pewną słabością. Otóż pospieszne czytanie, zwłaszcza gdy odbywa się w niewygodzie i bez zbawiennego w takich chwilach napoju w zasięgu ręki, zupełnie mi nie idzie. Poprzestałem więc jedynie na przewertowaniu tej i paru innych ksiąg.

Stało w nich coś o handlu drogocenną korą niejakich Pięknokorowców, czymkolwiek owe stworzenia były, a także o hodowli Brzydkokorowców; zdaje się, że jakichś miejscowych bydła. Było tam wiele o historii, dawnej kulturze, a także biologii Księżycan. O przemysłowych sposobach wykorzystania Brzydkokorowców, zarówno jako źródła surowców, jak i w roli zwierząt pociągowych i roboczych. W nowszych – sądząc z wyglądu – księgach natknąłem się na wzmianki dotyczące „Lesiołków kostropatych” i „Lesiołków plamistych”. Pojawiały się też różne odniesienia do „Lesiołków gładkokorowych”, jednak nie mogłem się wyrozumieć w

owych nawiązaniach.

Czas jakiś jeszcze grzebałem wśród pól, jednak ilość kurzu, jakiej się w tym czasie nawdychałem, była zbyt wielka jak na moje wątłej kondycji płuca, tedy opuściliśmy podziemia biblioteki, by pośród glinianych tablic oczekiwać powrotu Drągula.

Na koniec zastanowiła mnie jedna rzecz – cóż sprawiło, że owe niepozorne, zdawałoby się, niewinne treści zostały żywcem pogrzebane i zamknięte pod kluczem? Bałem się pytać.

* * *

Wieczór spędziliśmy w zamku. Terpekles umiłał mi czas śpiewem, ja zaś oddawałem się rozkoszom słodkiego lenistwa. Kolejny dzień minął nam na spokojnych spacerach i – zawsze pełnych osobliwego napięcia – rozmowach z mieszkańcami Drzewogrodu.

Nie zdołałem dowiedzieć się niczego na temat życia rodzinnego tubylców, ale tuszę, że Lesiołki rozmnażają się w jakichś owianych tajemnicą okolicznościach, nigdzie bowiem nie dostrzegłem dzieci Księżycan. Żadnych placów zabaw, żadnych szkół, porzuconych lalek, budek z lodami czy watą cukrową, nigdzie jakiegokolwiek pozostałości dziecięcych gier i swawoli. Nie ganiały się po ulicach małe Lesiołki, szarpiąc za gałązki czy przezywając od kołków swych mniejszych kolegów. Żadnej wrzawy, żadnego płaczu lub śmiechu z udanych żartów i figli płatanych rodzicom. Nigdzie śladu pieluch, powstrzymujących niekontrolowane odsączanie roślinnych soków, ani wózków, w których spałyby – szczelnie owinięte w wiklinowe beciki – małe, patykowate pociechy. Wyglądało na to, że Lesiołki po prostu wyrastały z gleby, wyłaząc z niej już pod postacią dużych i dorodnych pniaków. Im więcej czasu spędzałem jednak wśród miejscowych, tym bardziej bałem się dopytywać o tego rodzaju szczegóły, nie sposób było bowiem odgadnąć, które z owych pytań zrodzą w mych gospodarzach lęk lub oburzenie i jakież to niuanse będą owych reakcji przyczyną.

Pod wieczór następnego dnia zaproponowałem Terpeklesowi przechadzkę po Drzewogrodzie; tym razem bez przewodnika. Dżinn przyjął zaproszenie cokolwiek niechętnie. Kłębił się w swej butelce i puszczał gwintem naburmuszone dymki, przybierając coraz to ciemniejszą barwę; lecz nie mając zbyt wiele do powiedzenia, musiał się zgodzić. Milczał jednak przy tym zacięcie, dopóki nie zapuściliśmy się w głąb miejskich uliczek, gdzie idąc spacerowym krokiem, spróbowałem podjąć niezobowiązującą rozmowę o niewątpliwych urokach miejscowej architektury.

Niebo pociemniało i zapadła noc, rozświetlana jedynie skąpym blaskiem porozwieszanych tu i ówdzie lampionów. W tej romantycznej scenerii spotkała mnie pierwsza prawdziwa przygoda, odkąd wylądowaliśmy na Księżycu. Otóż, gdy tak szedłem z butelką w rękę, z płaszczem przerzuconym przez ramię, krocząc dostojnie, jak przystało na cudzoziemskiego księcia, na mej drodze stanął osobnik należący do owej szczególnej odmiany Lesiołków, której przedstawicieleli było mi już dane raz zobaczyć na deskach miejscowego teatru. Bujna gęstwina wieńczyła

wierzchołek istoty, korę zaś zdobiły atrakcyjne cętki o ciekawej fakturze. Lesiołek wyciągnął w osobliwym geście jedną ze swych bogato ulistnionych gałązek, po czym zwrócił się do mnie śpiewnym głosem:

— Poglądzić?

— Słucham? — odparłem uprzejmym pytaniem.

— Ochota na gładzi-gładzi?

Rozłożywszy szeroko dłonie, obdarzyłem napotkanego Księżycana szczerym, acz oszczędnym uśmiechem.

— Chyba nie bardzo rozumiem, do czegoż pan zmierzasz...

— Gładzi-gładzi? Poglądzić? — pytał dalej, mocno przy tym gestykulując, a ja wciąż nie pojmowałem, o co mu chodzi. — Chcesz się pan pogąłęzić? Zlirosić? Natrzyżywić? Pokorocierać?

Musiałem chyba wyglądać na naprawdę zagubionego, Lesiołek opuścił bowiem w końcu gałązki i zatrząsł koroną, aż mu listowie z lekka opadło.

— Zmitrężyć korzeń, do antraknozy jasnej! — zaklął soczyście. — Chcesz pan wsadzić drąga w dziuplę czy nie?

Naraz odskoczyłem od niego, zasłaniając się płaszczem.

— Sęk w tym — broniłem się — że jestem tu tylko turystą i czas mnie nagli...

Nic lepszego w zaistniałej sytuacji wymyślić nie zdołałem. Zawróciwszy naprędce, udałem się w przeciwnym kierunku, obierając nową drogę, w dół ciemnej uliczki. Terpekles zasyczał wesoło i od razu się rozgadał, mówił jednak od rzeczy, tak więc pozwolę sobie pominąć jego nic niewarte wywody i przejść od razu do kolejnej przygody, która rozegrała się niewiele później.

Zapusciliśmy się w rejony o nieco już przebrzmiałej urodzie. Domy sprawiały wrażenie nadwiędłych, suche listowie trzeszczało pod podszewkami, a stara żywica kleiła się do ścian i krawężników. W zapuszczonych bramach i zaułkach tłoczyły się Lesiołki innej odmiany; te również widywałem już wcześniej. W swym ogólnym charakterze przypominały dopiero co spotkanego, nieoheblowanego Księżycana, jednakowoż odróżniała je od niego ohyda sparszywiającej kory i niegolonego mchu, rachityczność gałęzi i wulgarność nabrzmiałych sęków. Wątle korzenie uginały się pod krzywymi pniami, a na niezdrowej barwy liściach dało się zauważyć odstręczające liszaje. Wtem jeden z drugim poczęli się do mnie zbliżać, kiwając groźnie na boki sterczącymi w nieładzie koronami, aż ciarki przebiegły mi grzbietem. Nawet siedzący w butli Terpekles stracił na chwilę klarowność.

Jeden z nich zastąpił mi drogę.

— Zabłądziłeś, miękniśiu?

Odparłem, że sobie radzę i że dziękuję za pomoc, lecz naraz zebrała się większa ich gromada i te podwiędłe draby otoczyły mnie ze wszystkich stron.

— To nie jest bezpieczna ulica dla tak wytwornego obcokrajowca — uprzejmie zauważył jeden z nich. — Tu może stać się krzywda takiemu panu. Złodziej z listków ograbi, albo i okoruje. Jeszcze kto panu żywicy upuści...

— Dziękuję za przestrożę. Szanowni wybaczą, ale trzeba mi w drogę...

— Niech nie idzie. Niech zostanie jeszcze. A co tam za pazuchą trzyma?

Butelczynę?

Być może jeszcze o tym nie wspominałem, ale natura obdarzyła mnie nadzwyczajnym darem obserwacji, a co za tym idzie, daleko idącą czujnością, toteż w porę zauważyłem, że szykują się grubsze kłopoty. Dzięki odziedziczonej po przodkach sprawności w walce wręcz i niebywałemu sprytowi, zdołałem jednak przedsięwziąć szereg udanych w skutkach działań, zmierzających ku obezwładnieniu napastników, a jako że nie gustuję w tanich przechwałkach, pozwolę sobie pominąć detale owego starcia; liczy się jedynie fakt, że z boju wyszedłem z tarczą, bez jednego choćby zadrapania, co zakrawać może na cud, biorąc pod uwagę fakt, jak ostre gałązki musiałem w pocie czoła wykręcać, jak szorstką korę obtłukiwać kułakami i jak stwardniałe korzenie podcinać celnymi kopniakami, by ująć z życiem. Po wszystkim nawet dzinn gratulował mi odwagi i biełości w boju.

Gdy opadł już bitewny pył, a Terpekles wrócił do swej butelki, podążyliśmy pospiesznym krokiem do centrum Drzewogrodu, gdzie zabudowa rosła bardziej okazale, a światła lampionów rozlewały się na okolicę łagodnym blaskiem, rozświetlając mroki nocy, co początkowo podniosło mnie nieco na duchu. Jakież było jednak moje zdumienie, gdy ujrzałem na ulicach tłumy Lesiołków (tym razem tych zwyczajnych, równo i schludnie ociosanych), wyposażonych w pędzle i wiadra z farbą, a każdy z nich wypisywał na ścianach różnego rodzaju hasła, odezwy i jawne obelgi, skierowane – jeżeli nie zwiodły mnie pozory – przeciw ich ulistnionym kuzynom. Czegóż tam nie było... „Kostropaci psychopaci! Won!”, „Urznąć gałęzie!”, „Bóg nienawidzi liści”, „Plamy na korze to wstyd”, „Nic BARDZIEJ obrzydliwego niż brzydka kora jego”, „Pięknokorowcom mówimy stanowcze NIE!”, „Drzewogród tylko dla prawdziwych Lesiołków!”, „Kostropaci i Plamiści na Ziemię!”, „A na drzewach, zamiast liści, wisieć będą Plamiści”.

Pełen zgrozy, szedłem dalej, mijając zapracowanych Lesiołków. Zdawać by się mogło, że wszyscy oni, bez wyjątku, wylegli nocą z domów, by dewastować miasto obraźliwymi i nawołującymi do nienawiści hasłami. A tych było co niemiara, w ogromnej różnorodności: „Niszcz Kostropatych!”, „Liście to gnój”, „Gładka kora = słuszna kora”, „Na pohybel sękom!”, „Dobry kostropaty, to martwy kostropaty”, „Różnokorowcy do pieca”, „Niech zbutwieją wraże pnie!” oraz dziesiątki, a nawet setki innych, o wiele gorszych.

Gdy próbowałem zagadnąć jednego z Lesiołków o powód tego zachowania, ten skrzytnął na mnie i rzucił jakimś przekleństwem. Pytałem więc innych, chodząc od jednego do drugiego, lecz każdy reagował na moje wątpliwości nieomal otwartą agresją. Nie chcąc się więc ponad miarę narażać, podjąłem decyzję o rychłym powrocie do zamku, gdzie – zamknięty na cztery spusty – przy jednej czy dwóch butelkach wina kontemplowałem ostatnie doświadczenia z przechadzki ulicami Drzewogrodu. Długo nie mogłem zasnąć, tak byłem roztrzęsiony. Na szczęście błękitna krew, jaka płynie w mych żyłach, mniej podatna na burzliwe nastroje niż krew gminu, pozwoliła mi przed północą ukoić stargane nerwy i w końcu udało mi się złożyć ciężką od wrażeń głowę do zasłużonego snu.

Ranek przywitałem znużony nocnymi medytacjami, jednak ciekawość zwyciężyła i postanowiłem raz jeszcze wychylić się z rodowego zamku, by móc na własne oczy przekonać się, jak dziś – po nocy pełnej dokonywanych w całym mieście aktów wandalizmu – prezentuje się stolica. Okazało się – co przyjąłem nie bez zdziwienia – że wyglądała całkiem zwyczajnie. Otóż widok do złudzenia przypominał ten zastany pierwszego dnia mego pobytu na Księżycu; mieszkańcy w spokoju wydeptywali swe codzienne ścieżki, nieliczne zaś Lesiołki właśnie kończyły zamalowywać zieloną farbą ściany drzewowców. Po niepolitycznych napisach, tak przecież licznych, w większości nie pozostał nawet ślad. I znowu wszyscy byli nad wyraz uprzejmi, grzeczni, ułożeni i niebywale ostrożni w swym zachowaniu. Ulistnione Lesiołki, widoczne tu i ówdzie, bez przeszkód poruszały się ulicami miasta i nikt, przynajmniej na pozór, nie zwracał na nie uwagi, jakby nie różniły się one absolutnie niczym od typowych, gładkokorowych przedstawicieli gatunku.

Nic z tego nie rozumiałem. Jakaż to osobliwa zmiana następowała w tubylcach po zmroku, że nocami wychodziły z nich jak najgorsze cechy charakteru, podczas gdy za dnia wszyscy oni pozostawali do tego stopnia ślepi na odmienność swoich kuzynów, że człowieka, dla odmiany, aż brała nerwica?

Do jednej z mych niewątpliwych zalet należy śmiałość w podejmowaniu niewygodnych tematów, toteż jałem zagadywać napotkanych Drzewogrodzian o ich złożony, zmienny jak liść na wietrze stosunek do bogatszych w detale fizjonomii kuzynów oraz o wydarzenia minionej nocy.

– Ćśśś... – uciszył mnie pierwszy zapytany.

– Przestańże pan! – nakazał drugi.

Wzburzyło to krew w moich żyłach, jednak – z powodu mej wojowniczej i nieugiętej natury – nie poddawałem się łatwo.

– Czyś pan oszalał? Rozmawiać o takich sprawach w świetle dnia? – Następny napotkany Księżycan okazał przynajmniej szcątkową uprzejmość, wcale jednak nie był przy tym bardziej rzeczowy.

– To nie są tematy do rozmów, na Pnia Najwyższego!

– Nic nie widziałem, o niczym nie wiem...

– To nie u nas. Na pewno coś się panu pomyliło.

– Ale o co panu chodzi? – zapytał inny, zdając się przy tym spłoszony jak deska przed rżnięciem.

– Wszystkie Lesiołki są jednakowe, rozumie pan? Jednakowe! U nas panuje powszechna równość, proszę pana, i proszę to sobie zapamiętać. – Ten wydawał się do żywego wzburzony, choć nadal trzymał nerwy na wodzy.

Kolejne odpowiedzi przedstawiały się w podobnym tonie.

Zupełnie zrezygnowani, uzgodniliśmy z Terpeklesem, że z Lesiołkami nie sposób się dogadać, bo okazują się albo głusi jak pień na pewne uwagi, albo wręcz przeciwnie, absurdalnie przeczuleni i nadwrażliwi. Nazbyt mi to pachniało dawno niewidzianą cioteczką, histeryczką jakich mało, z którą nie bez przyczyny zerwałem wszelkie towarzyskie kontakty.

Postanowiliśmy nazajutrz odlecieć, aby poświęcić się badaniu innych rejonów

Księżycyca. A ja uznałem za stosowne dobrze się przed kolejną podróżą wyspać i tak też próbowałem uczynić; wróciwszy do swej sypialni, zaciągnąłem ciężkie zasłony i udałem się w objęcia Morfeusza.

* * *

Wczesnym popołudniem obudziło mnie jakieś zamieszanie na podzamczu. Zdjąwszy z oczu przepaskę, rozsunałem kotary i wyjrzałem przez okno. Na dziedzińcu tłoczyły się najwyraźniej wzburzone czymś Lesiołki; istny las kiwających się na boki kołków.

— Cóż to za zgromadzenie pod oknami? — zapytałem Terpeklesa, który zaraz zjawił się w obłoku sinawej pary tuż za mną.

— Właśnie miałem anonsować... — wyjaśnił. — Twierdzą, że są Komitetem Oskarżycielskim i żądają wpuszczenia ich do zamku.

— Do mojego zamku? Żądają? A cóż to za maniery?

Terpekles wzruszył ramionami i poszarzał w okolicach paszczy.

— A cóż to za maniery?! — powtórzyłem o wiele głośniejszym głosem, tym razem wychylając się za okno i swe pytanie kierując bezpośrednio do tłumu Księżycan.

Tamci odpowiedzieli mi gromkim, zbiorowym poskrzypywaniem i tłuczeniem konarami w odrzwia. Ten i ów zdobył się nawet na niegrzeczne splunięcie sokiem na bruk.

Nie wytrzymałem. Najpierw skarciłem dżinna – może i nieco na wyrost – za pozostawienie uniesionej kraty i otwartego zwodzonego mostu, przez co nasi nieproszeni goście nie mieli najmniejszych problemów z przedarciem się do środka. Następnie zaś pozwoliłem sobie na pewną dozę niegodnego zachowania, strącając w nerwach stary, połączony lichtarz na kamienną posadzkę i czyniąc tym nieznośny rumor.

— Mój pan się zdenerwował — stwierdził Terpekles przepaszającym tonem. — Czy mam usunąć intruzów?

— Broń Boże! — zakrzyknąłem, nie na żarty zląkniony, zdając sobie boleśnie sprawę, do czego zdolny jest mój sługa, jeśli pozwolić mu na działania nieobciążone zbawiennym brzemieniem ludzkiej wrażliwości i moralności.

Nakazałem mu zaraz wpuścić rozzłoszczoną tłuszcę i godnie ugościć, a także przekazać, że zjawię się w sali audiencyjnej, jak tylko będę na to gotów.

Po niezbędnych ablucjach i przywdzianiu stosownego na tę okazję stroju, szedłem do komnaty, w której tłoczyły się Lesiołki. Przywitałem ich uprzejmie i kazałem natychmiast wyłuszczyć cel wizyty, wierząc, że za tak tłumnym przybyciem i widocznym gołym okiem wzburzeniem musi kryć się jakieś daleko idące nieporozumienie. Wyjaśnienia, jakich doczekałem się po dłuższej, pełnej nerwowych przekrzykiwań chwili, dały mi do myślenia i jasno uświadomiły, że porozumienie z tak obcą kulturą, nawet jeśli nie jest niemożliwe, musi zrodzić większy lub mniejszy konflikt.

Dowiedziałem się bowiem, że – zdaniem wchodzących w skład Komitetu Oskarżycielskiego Lesiołków – głęboko uraziłem zamieszkujących Drzewogród

Księżycan swym niestosownym zachowaniem. Oskarżenia, jakie od pierwszej chwili posypały się pod moim adresem, utwierdziły mnie w przekonaniu, że to nie ze mną i z moim zachowaniem jest coś nie w porządku, lecz problem leży w samych Lesiołkach.

Otóż, zdaniem mych gości, wykazałem się druzgocącym brakiem szacunku wobec miejscowej kultury, używając zakazanych, niewymownie ohydnych słów. Jakich? Tego już nie zdołałem z nich wydobyć. Po dłuższych naleganiach z mojej strony zdołali mi jedynie objaśnić, że słowa te dotyczyły karygodnego wartościowania samych obywateli Drzewogrodu. Gdy w oburzeniu wyrzuciłem im, że nic takiego nie było moją intencją i że jestem bardziej niż zdumiony postawionymi mi zarzutami, jeden z drugim nieomal rzucili się na mnie, gniewnie unosząc gałązki i grożąc niejasnymi konsekwencjami. Zaraz poczęli wyklinać i oskarżać mnie o uporczywe trwanie w nierespektowaniu ich obyczajów, podając za przykład słowa, którym dopiero co wypowiedział, a ja nadal nie miałem najmniejszego pojęcia, o co też może im chodzić.

Broniłem się, twierdząc, że jestem nieporównanie mniej od nich obyty z zasadami, którymi rządzi się społeczeństwo Drzewogrodu, czy szerzej – Księżyca, a oni zaczęli ciskać we mnie czym popadło, a co tylko znalazło się w zasięgu ich gałęzek; w ruch poszły stołki i taborety, kielichy, wazy i talerze, a nawet uprzykrzona brukiew, której Terpekles najwyraźniej zapomniał uprzątnąć. Zasłoniwszy się rękoma przed tym gwałtownym atakiem, broniełem się jak umiałem, przepraszając sam nie wiem za co i prosząc o jakiegokolwiek konkretne wyjaśnienia, co też w moich słowach mogło ich do tego stopnia urazić. Oni jednak nie chcieli już wcale słuchać i niewątpliwie doszłoby do linczu na mojej osobie, gdyby nie nagłe i szczęśliwe dla mnie – jak się po chwili okazało – wtargnięcie kolejnej grupy Lesiołków, która powstrzymała członków Komitetu Oskarżycielskiego przed najgorszym.

Nowo przybyli raczyli przedstawić się jako Komitet Obronny. Ci z kolei zaraz rzucili mi się do nóg i jęli przepraszać, błagać o wybaczenie i przekonywać, że ich krewcy ziomkowie nie mieli nic złego na myśli.

— Ale jakże to? — zapytałem, całkiem już skołowany. — Czemóż więc stałem się obiektem tych brutalnych ataków i bezpodstawnych oskarżeń? Cóż innego mogli mieć na myśli owi zbóje, nachodząc mnie we własnym domu i obrzucając stekiem wyzwisk?

Już po chwili było mi dane wysłuchać całej litanii przeprosin i wyjaśnień, wedle których członkowie Komitetu Oskarżycielskiego nienależycie przyjrzeni się mojej sprawie i sami wykazali gorszącym wartościowaniem mojej osoby. Jeden z nowo przybyłych wystąpił kilka kiwnięć naprzód, po czym oskarżył Komitet Oskarżycielski o niedopuszczalne uchybienia, wśród których miałyby się znaleźć takie występki, jak pomawianie, dookreślanie, rozróżnianie, mowa nienawiści, dyskryminacja i wytykanie gałęziami. Obserwowałem w tym czasie reakcje członków Komitetu Oskarżycielskiego, a te były różne. Od gniewnego podskakiwania, przez zatwardziałą obojętność, aż po jawną skruchę. Ocenę zachowania moich gości utrudniał mi jednakże fakt, iż po kilku chwilach identycznie wyglądające Lesiołki przemieszały

się między sobą i szybko straciłem rozeznanie w całej sytuacji.

Niebawem rosnące wrażenie zagubienia jeszcze się pogłębiło, gdyż do zamku wtargnęła kolejna grupa Księżycan, od progu wołając:

— To oburzające!

Aż podskoczyłem, bo co znowu? Ci z kolei byli z KOPaLNi, czyli Komitetu Obrońców Praw Lesiołków Niegładkokorowych. To pierwsi napotkani przeze mnie obywatele Drzewogrodu, którzy zdawali się dostrzegać i jawnie podkreślać istnienie różnic między typowymi Lesiołkami a ich ulistnionymi kuzynami. Nowo przybyli zaczęli skandować przeróżne hasła, a że każdy z nich wykrzykiwał inne, zrobił się taki rejwach, że już niczego nie rozumiałem.

W całym tym zamęcie coraz częściej spoglądałem na Terpeklesa, który najwyraźniej tylko czekał na jedno moje słowo, żeby wygonić wszystkich krzykaczy za mury zamku. Bóg mi świadkiem, że rozważałem taką opcję.

Sytuacja eskalowała. Oto bowiem, po niedługim czasie, w swarny tłum wbiła się kolejna grupa przybyłych. Tym razem był to Komitet Przeciwników Postaw Gładkonormatywnych, którego członkowie zaczęli dla odmiany oskarżać wszystkich poza mną, zwracając uwagę na godne potępienia i najwyższej pogardy zrównywanie każdego Lesiołka do jednego, gładkokorowego poziomu, przy czym – jak raczyli zauważyć – właśnie niegładkokorowi przedstawiciele ludu Drzewogrodu powinni stanowić wykładnię dla pozostałych. Zdołałem wyłowić z tych krzyków argumenty mówiące o ich istotnym wkładzie w kulturę i podkreślające rolę w budowaniu fundamentów lesiołkowej społeczności.

Wystąpienie Przeciwników Postaw Gładkonormatywnych jedynie nasiliło powszechny zamęt. Komitet Oskarżycielski utrzymywał, że to wszystko moja wina, bom się ośmielił publicznie zauważać różnice między Lesiołkami, które ponoć w ogóle nie istnieją; Komitet Obronny, że jako przybysz z obcego świata z całą pewnością jestem niewinny i to moje uczucia powinno się chronić; Komitet Obrońców Praw Lesiołków Niegładkokorowych, że za wszystko winę ponosi wciąż zacofane społeczeństwo; a Komitet Przeciwników Postaw Gładkonormatywnych wskazywał członków KOPaLNi jako głównych winowajców, wciąż pławiących się w bagnie przestarzałych i krzywdzących przesądów.

Rozbolała mnie od tego wszystkiego głowa i już chciałem chyłkiem zbiec z komnaty audiencyjnej, ukryć się w swej sypialni i zwyczajnie przeczekać całą burzę, lecz w zamku zjawili się przedstawiciele rządu Drzewogrodu. Zapewnili mnie o powszechnej tolerancji panującej wśród obywateli tego miasta i poprosili o – jak to się wyrazili – nabranie właściwego dystansu do całej sprawy, w której upatrywali zwykłego nieporozumienia.

Jakby tego było mało, zaraz po nich zjawili się w komnacie jacyś oskrobańcy: grupa Lesiołków o korze wygładzonej aż do miazgi i głowach ociosanych w kształt stożka. Wcisnęli się do środka, wykrzykując nienawistne hasła i mieniając się Komitetem Dumnych Lesiołków. Jak się po chwili okazało, byli oni przeciwni jakimkolwiek zrównywaniu ich – „prawdziwych Lesiołków” – z Piękno- i Brzydkokorowcami, którzy wcale Lesiołkami nie są i nigdy nie byli, a każdy, kto

twierdzi inaczej, jest kanałą i wrogiem rdzennego drzewostanu. Ich hasła jednak nie wybiły się ponad ogólny harmider, a sami członkowie KDL-u nie zdołali zagrzać miejsca w zamku, gdyż cała reszta zgromadzonych w sali audiencyjnej rzuciła się na nich z uniesionymi gniewnie gałązkami i przemocą wygnała za mury. Co okazało się dla mnie nader szczęśliwym zrzędzeniem losu, bo dzięki temu Terpekles mógł zawrzeć wrota, opuścić kratę i podnieść zwodzony most, tak że wszyscy nieproszeni goście znaleźli się na zewnątrz.

To dopiero była ulga! Teraz w końcu mogłem odetchnąć. Lesiołki jednak zdawały się w ogóle nie zauważać, że zostały wyrzucone za próg. Prowadziły swe spory nadal, i to z coraz większym zapalem.

Sytuacja nabrała rozpędu, a dzień – niezmiernie krótki, jak to na Księżycu – chylił się ku końcowi. Wreszcie nastał wieczór, który chyłkiem przeszedł w ciemną noc, rozjaśnianą pochodniami Dumnych Lesiołków i rozbrzmiewającą wrzaskiem skandowanych haseł. W roztańczonym świetle jaśniały transparenty Przeciwników Postaw Gładkonormatywnych, a tłum członków wszystkich zgromadzonych pod zamkiem Komitetów jawił mi się niczym falujące karczowisko. Zaczęto sobie jawnie wygrażać, ten i ów wołał do innego zrazu jeszcze dość łagodnie: „Ty drewniany inaczej!”, ale za każdą kolejną inwektywą krył się coraz to większy ładunek emocji i robiło się coraz straszniej. Jeden drugiemu przyłożył „nieheblowaną kłodą” lub podobnym epitetem, jeszcze inny „wrażym drwem” i „kopulastym kołkiem”. Doszło do przepychanek i gałęzioczynów. Ze zgrozą obserwowałem, jak dwóch tęgich Lesiołków przytrzymało innego, ściskając go za witki, a trzeci wycinał biedakowi na korze napis: „okrągławiec w dziupłę kopany”. Przemoc narastała, niejeden stracił oko wybite ostrym końcem gałęzi, sypały się niewybredne wyzwiska, spośród których najłagodniejsze tyczyły się chyba jakichś ukrytych przed mym wzrokiem różnic w lesiołkowej aparycji – „strzałkowaty”, „kolumnowy”, „parasolowaty”, taki i owaki... aż uszy więdły.

Kulminacją swoistego spektaklu przemocy stał się czyn tak potworny i haniebny, że aż trudno mi o nim pisać. Otóż doszło do tego, że grupa Dumnych Lesiołków pochwyliła jakiegoś Bogu ducha winnego tubylca z rodzaju tych ulistnionych, po czym – zakopując biedakowi korzenie tak, iż nie mógł się on poruszyć – podpaliła go na oczach wszystkich zgromadzonych. Wielki płomień odebrał nocy tarczę mroku i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z nagiego faktu, że Lesiołki – miast dalej kłócić się między sobą – doszły do jakiegoś ohydneho porozumienia ponad podziałami, dorzucając do ognia i złorzeczając dogorywającemu nieszczęśnikowi. Taka mnie wówczas ogarnęła zgroza, że Terpekles zmuszony był pozasłaniać okna ciężkimi kotarami, ratując mnie w ten sposób przed niechybną utratą zmysłów. Następnie kazałem dzinnowi przyspieszyć nasze przenosiny.

Finał wydarzeń w Drzewogrodzie napelił mnie takim niesmakiem do wojażowania, że doprawdy nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek wyruszę na podbój odległych krain ani czy zdam z owych podróży relację. Ulżyło mi naprawdę dopiero w chwili, gdy zamek oderwał się od powierzchni Księżyca. Nieprzyjemne wspomnienia z tej ze wszech miar chybionej wyprawy na długo jeszcze będą gościć

w mych snach. Jakie to szczęście, że na Ziemi, mimo powszechnego uduchowienia, nie mamy podobnych problemów.

Wawrzyniec Podrzucki

ZAKRES WIDZIALNY

Nikt z załogi nie miał wątpliwości, na co patrzy. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca, którym dla tego układu był pomarańczowy karzeł Reyeth-K700205, dogorywał las wież, obelisków i pylonów z poszyciem pomniejszych struktur, konarami estakad i aureolą miriady ruchomych światełek.

— Miasto... — wyszeptał z nieskrywanym wzruszeniem Sasha Brincev. — Najprawdziwsze. A jednak!

Płaskowyz, na którym wylądowali, wznosił się ponad okalającą go równiną na wysokość blisko trzech tysięcy metrów. Lodowaty wiatr kasał policzki, jednak przez wiele minut żaden z nich nie pomyślał o uszczelnieniu kombinezonu, nikt nawet nie drgnął. Stali, patrząc i wciąż nie dowierzając własnym oczom. W milczeniu, które przerwał dopiero Lars Karlsson, ksenobiolog.

— Wygląda jak... jak... Nie przypomina wam to czegoś?

— Szanghaj. Cholera... Albo Buenos Aires. Albo Nowy Jork...

— Otóż to! — Karlsson podchwycił skojarzenia Brinceva. — Ponad tysiąc przebadanych dotąd systemów, ponad pięć tysięcy różnych, ale jednakowo martwych planet...

— E, no, nie przesadzaj — przerwał mu van Hoff. — A Lutinis? Sam tam byłeś.

— Ja nie mówię o prokariontach, tylko o formach wyższych. I oto proszę, wreszcie jest! Pierwszy zamieszkały świat. I od razu tak podobny do Ziemi? Czy to nie dziwne?

— Nie bardziej niż wyrzucenie dziesięciu szóstek z rzędu. — Uśmiechnął się van Hoff. — Z drugiej strony zasada kopernikańska...

— Masz na myśli ewolucję konwergentną? — wtrącił się Ramani.

— Dlaczego nie? Może rozwój cywilizacji technicznych też podlega jakimś uniwersalnym regułom.

— Przepraszam, a co heliocentryzm ma do tego tutaj? — Skrzywił się Cronkite, nawigator.

— Jaki helio... Nie, nie! — Van Hoff potrząsnął głową jak zniecierpliwiony belfer. — Zasada kopernikańska — albo ogólniej zasada przeciętności — mówi, że prawa fizyki są wszędzie takie same i żaden system nie jest szczególny. Ziemia to nie pępek wszechświata, my nie jesteśmy koroną stworzenia i jeżeli coś zachodzi w jednym miejscu — to zaszło, zachodzi bądź zajdzie również w innych. Rozumiesz?

— I znowu *ex cathedra* — westchnął Karlsson. — Mike, daj człowiekowi spokój.

— No bo jak można latać w kosmos, nie wiedząc tak podstawowych rzeczy?!

— Dobra, panowie, spokojnie — rzekł Ramani pojednawczo. — Zastanówmy się raczej nad czymś takim...

Rozgadali się jeden przez drugiego, jakby chcąc tym zneutralizować osłupienie, w jakim tkwili jeszcze parę chwil wcześniej. Jeden tylko kapitan Mirsky zachował

chłodny umysł i nadal stał w milczeniu, przysłuchując się rozmowie swoich podwładnych.

Sprzeczali się jak dzieci, którymi od dawna już przecież nie byli. Zaledwie kilka lat młodszy od niego, niemniej wszyscy około trzydziestki. Szwed, Hindus, Japończyk, dwóch Amerykanów i Rosjanin – rodak kapitana, inżynier Brincev. Z różnych zakątków świata, z odmiennych środowisk, ale w obliczu takiego wyzwania różnice kulturowe zdawały się nie istnieć.

Dziesięć minut, a oni już się tu czują jak w domu, już im spieszo, by zejść i zabrać się do tego świata jak do kolejnej zabawki do rozkręcenia. Świat całkowicie obcy i kto wie czy w ogóle przenikalny.

* * *

— Ktoś chyba powinien zostać — bąknął nieśmiało van Hoff, gdy o świcie, po kilku godzinach snu, kończyli przygotowania do wyprawy w teren.

— Przy statku? Nie ma potrzeby. — Kapitan pokręcił głową. — Lądownik da sobie radę. Zresztą jeżeli zostanie zaatakowany, to albo przez napastnika dysponującego technologią mniej zaawansowaną od naszej, albo bardziej. Jeśli mniej, nie masz się czym przejmować, a jeśli bardziej, to i tak jesteśmy bez szans. Priorytetem jest nawiązanie kontaktu, a do tego potrzebuję was wszystkich. I pójdziemy wszyscy.

— Ja natomiast w dalszym ciągu uważam, że powinniśmy to zrobić teleoperacyjnie. — Karlsson nie dawał za wygraną. — Do zamknięcia się obecnej szczeliny tranzytowej zostało nam ile? Osiemdziesiąt parę godzin?

— Osiemdziesiąt dwie standardowe — doprecyzował kapitan.

— Czyli niecałe trzy tutejsze dni. A na następną możemy czekać nawet i rok. Nie chcę tu utknąć na rok, bez względu na cuda, jakie ta planeta miałaby do zaoferowania.

— Przez trzy dni sporo da się zrobić — zauważył półgębkiem van Hoff.

— Tracąc większość czasu na spacer? — Karlsson spytał drwiąco. — To po diabła nam ten cały sprzęt?

— Ty chyba nie rozumiesz...

— Czemu postępujemy nieracjonalnie? A żebyś wiedział, że nie rozumiem!

— ... specyfiki sytuacji — dokończył ze stoickim spokojem van Hoff. — W każdej innej bym się z tobą zgodził. Przenieśmy wzrok, słuch i dotyk do instrumentów i wio!, dużo sprawniej i zdecydowanie bezpieczniej. Jasne. Ale nie w tym wypadku. Pierwszy kontakt za pośrednictwem maszyn? No, nie wiem... Po prostu wydaje mi się to czymś z gruntu niewłaściwym.

Reszta przytaknęła, zostawiając biologa sam na sam z jego obiekcjami.

— Ktoś chce jeszcze coś dodać? Jeśli nie, to za kwadrans widzę wszystkich przygotowanych do wymarszu — zamknął dyskusję kapitan.

I za kwadrans byli gotowi. Wszyscy prócz Saito, który jak zwykle miał niewielki problem z ekwipunkiem.

— No, co się dzieje? — zniecierpliwił się Mirsky.

— Moment... — mruknął geolog, jak Laokon walcząc ze splątana uprzężą

grawistatu.

— Cronkite, weź mu pomóż — kapitan zwrócił się do nawigatora.

Czerwieńszy i głębszy niż na Ziemi brzask zaróżowił niebo. Śnieg wokół zapłonął jak roztopiona stal, lodowe igiełki zawirowały żywiej w podmuchach porannego wiatru.

— Lotnie?

— Sprawdzone.

— SAB?

— Za ostry gradient baryczny, trzeba dokalibrować po zejściu — odparł Karlsson.

— Kto ma rezerwowy syntezyzator?

— Ja. — Cronkite podniósł rękę.

Mirsky powiódł wzrokiem po twarzach wygładzonych przez zelomaski. Nawet van Hoff, który z racji potężnego nosa miał przydomek Cyrano, odrobinę wypiękniał.

— No dobrze. Jeszcze raz przypominam: idziemy razem i wracamy razem. Nie rozdzielamy się, żadnych indywidualnych wycieczek. I to nie jest sugestia ani prośba, panowie. Zrozumiano?

Przytaknęli. Kapitan westchnął, świadom, jak niewiele to znaczy. Ale w razie czego miał sposób na wyegzekwowanie swych poleceń.

Gest był zbędny, pstryknął jednak palcami i minieskadra autobotów — ich dodatkowych oczu i uszu, a gdyby zaszła konieczność, również śmiertelnie skutecznych pretorian — znikła. Po następnej bezgłośnej komendzie w niewykrywalny tryb przeszedł lądownik.

— Kolej na nas.

Siedem sylwetek w różnokolorowych kombinezonach — jedna po drugiej — rozplynęło się jak zjawy w mroźnym, górskim powietrzu i w ślad za osypującym się przez skalną krawędź śniegiem pomknęło w dół, ku chmurom.

* * *

— Droga? — Ramani spytał niepewnie.

— A cóż, według ciebie, innego? — zdziwił się Brincev, gdyż, bez dwóch zdań, mieli przed sobą drogę. Perfekcyjnie zniwelowaną i bez wątpienia sztuczną. Z tym jednym małym dziwactwem, że kończyła się bądź — jak kto wolał — wybiegała wprost ze ściany górskiego masywu.

— Jak więc to wytłumaczysz?

— Poczuciem humoru tubylców? — Wzruszył ramionami inżynier. — Zresztą, kto powiedział, że droga jest ślepa? My też mogliśmy upozorować lądownik na stertę głazów.

— Jak na hologram — Hindus uderzył pięścią w skałę — to nieziemsko solidny.

— Wiesz, tak się składa, że nie jesteśmy na Ziemi. — Brincev uklęknął i przesunął dłoń po opalizującej nawierzchni.

Na pierwszy rzut oka przypominała trylinki, pod palcami nie wyczuł jednak przerw czy spoin. Żaden sześciokąt nie był też ani regularny, ani podobny do

sąsiednich.

— Liść pod mikroskopem — powiedział Karlsson.

Rosjanin wstał i popatrzył pytająco na ksenobiologa.

— Z tym mi się kojarzy — wyjaśnił Szwed i dodał — gdyby to kogoś interesowało, poziom tlenu wzrósł do trzydziestu dwóch procent.

— Do ilu? Żartujesz! Na górze czujniki wskazywały tylko szesnaście.

— Wiem.

— No to jak?

— A tego to nie wiem. — Karlsson rozłożył ręce.

— Czyli, że... moglibyśmy się chyba obejść bez masek — zasugerował nieśmiało van Hoff.

— Moglibyśmy? — podchwycił Mirsky.

— Po zaaklimatyzowaniu, ewentualnie — odchrząknął Karlsson. — Na razie radziłbym jednak nie zdejmować.

— A nasze czapki niewidki? — spytał geolog Saito.

Kapitan popatrzył na sabat fosforycznych widm, jakimi widzieli się nawzajem w trybie zero, na rdzawy przestwór z tańczącymi nieopodal stadkami pyłowych diabełków, na drogę, która nikła w mglistej perspektywie, i z powrotem na ludzi.

— Zdecydujemy.

— Ja jestem za wyłączeniem. — Brincev podniósł rękę. — Skoro już zdecydowaliśmy się pójść z otwartą przyłbicą, że tak powiem, a nie w wersji zdalnej, to jaki byłby sens się teraz skradać?

— Racja — poparł go Cronkite.

— Kto ma podobne zdanie? — Kapitan naliczył sześć wzniesionych rąk. — Jednomyślni jak rzadko. Czyli dezaktywujemy.

— Tylko żeby nas nie wzięli za tęczę — roześmiał się van Hoff, patrząc na kombinezony. — Ja w niebieskim, kapitan w pomarańczowym, Brincev w czerwonym... A propos, Sasha, ty sobie przez historyczny sentyment wybrałaś kolor?

— Uważaj, Cyrano! — Inżynier pogroził mu żartobliwie palcem.

— Uważam. Wiecie, że ta droga ma niemal dokładnie taki azymut, jaki wybralibyśmy i bez niej?

— No i co? — spytał Cronkite.

— Pewnie nic. — Wzruszył ramionami fizyk. — Ale tak jakoś... lepiej się z tą myślą poczułem. Idziemy?

* * *

— Masz tę swoją drogę! — rzekł Ramani z przekąsem.

Brincev nie odpowiedział, zaskoczony tak samo jak pozostali. Opalowy gościniec ni stąd, ni zowąd nie tyle się urwał, ile przełamał. Spłynąwszy na podobieństwo zamrażonej siklawy po pionowej ścianie uskoju, rozszczepił się kilkadziesiąt metrów niżej w wachlarz odrębnych ścieżek.

Na ich oczach ścieżki te zaczęły rosnać, rozpełzać się i gmatwać, aż w końcu całą równinę, od klifu po zasłaniający horyzont wał chmur, pokryła skomplikowana

arabeska z zygzaków, meandrów i spiral.

— Coś pięknego! — westchnął Karlsson. — Dotarcia do miasta nam to jednak nie ułatwi.

— Ostatecznie zawsze możemy przelecieć — stwierdził kapitan. — Mnie bardziej interesuje, co to jest. Ma ktoś pomysł?

— Jakieś religijne misterium? — podpowiedział van Hoff. — Dzieło sztuki?

— Albo sieć zasilania — dodał Cronkite. — Włączają akurat o tej porze.

Słuchając rzucanych *ad hoc* hipotez, Mirsky nagle zwątpił, czy w ogóle uda im się ten świat zrozumieć. Mało prawdopodobne, jeśli wciąż będą na niego patrzyli przez filtr ziemskich analogii, jeśli nie zdołają zerwać się ze smyczy archetypów. Tylko jak? Innego układu odniesienia żaden z nich nie miał. A Karlsson jeszcze dociągnął sprężynę w tej pułapce poznawczej swoimi wcześniejszymi uwagami na temat cywilizacyjnych podobieństw. Niechący, ale jednak ich zatrul. Zanieczyścił ich obiektywizm i odblokował podświadomą skłonność do poszukiwania odpowiedzi prostych, wygodnych oraz pasujących do szablonu. Czego zaś jak czego, ale jednej rzeczy Mirsky był już pewien: że niewiele na tej planecie, jeżeli w ogóle cokolwiek, będzie do szablonu pasować.

— A może to jest wiadomość? — głos Saito wyrwał kapitana z zadumy. — Może już o nas wiedzą i to jest forma powitania? Ewentualnie testu. I dopiero kiedy go rozwiążemy, zostaniemy uznani za wartych rozmowy. Czy w ogóle wpuszczenia za próg.

— To jeszcze mi z łaski swojej powiedz, jak mielibyśmy im to zakomunikować? — spytał Hindus.

— Co?

— No, rozwiązanie.

— Nie wiem. — Saito rozłożył ręce. — Taka po prostu przyszła mi do głowy myśl.

Według Mirskiego była to myśl niegłupia, a przynajmniej dawała jakiś punkt zaczepienia. Kapitan pstryknął palcami.

Dwa z niewidzialnych botów — choć teraz Mirsky nie miał już co do tego stuprocentowej pewności — wspięły się na wysoki pułap i jak para jastrzębi zaczęły krążyć, przeczesując równinę swoimi elektronicznymi oczyma. Z takiej perspektywy, w rozległym rzucie pionowym, koronkowy deseń wyglądał jeszcze wspanialej, stracił jednak pierwotną geometryczną regularność na rzecz innej, o wiele bardziej znajomej.

— Mandelbrot... — zaryzykował porównanie Karlsson.

Było to raczej z jego strony stwierdzenie symboliczne, bo wzór stanowił złożenie trzech odrębnych fraktalnych rozwinięć. Z jednym punktem startowym dla wszystkich — miastem, które na podobieństwo miniaturowej spiralnej galaktyki tkwiło pośrodku wielobarwnej pajęczyny z odnogami sięgającymi hen, poza zasięg kamer autobotów. Żeby ogarnąć całość, musieliby wezwać w sukurs instrumentarium orbitującego Koryfeusza.

— I to jest pierwszy poważny cios dla twojej teorii. — Ramani popatrzył na Saito. — Ta struktura, bo zauważyliście, że ma też trzeci wymiar, jest zbyt ogromna,

rociąga się na zbyt wielkim obszarze, a nie tylko lokalnie, wokół miejsca, gdzie akurat stoimy. Więc to nie może chodzić o nas.

— Nie nazwałem tego teorią, to tylko moja spekulacja... — bronił się geolog.

— Po drugie, co tu jest do rozwiązywania? — zignorował go Hindus. — Kilka banalnych algorytmów. I to ma być sprawdzian dla naszego intelektu?

— A co widzisz, patrząc, na przykład, na diagram Wuertza? — spytał van Hoff.

— A co dokładnie masz na myśli? — odparował Ramani zaczepnym tonem.

— W dwóch wymiarach to tylko zbiór punktów i pięknych regularnych figur. Ale już zupełnie coś innego w trzech czy w siedmiu, nieprawdaż? Możliwe, że te fraktale są zaledwie wskazówką do zagadki leżącej głębiej.

— No, jeżeli tu są jakieś głębsze zależności, to my ich do wieczoru nie znajdziemy — westchnął ciężko ksenobiolog.

— My nie, ale lądownik tak — wtrącił Mirsky.

— A jeśli nawet on niczego się nie doszuka?

— Idę o zakład, że nie, bo w tym nic nie ma. — Ramani zrobił szeroki gest ręką. — Żadnych ukrytych znaczeń ani zakodowanych przekazów. Niepotrzebnie tylko tracimy dzień.

Kapitan uciał jednak dyskusję, stwierdzając, że po pierwsze nigdzie im się nie spieszy, a po drugie dopóki nie wyczerpią wszystkich analitycznych metod, nie będzie uznawał hipotezy Saity za błędną czy bezsensowną, bo mogłoby to ich kosztować zbyt wiele. Godzina ich nie zbawi, niech ją spożytkują na coś innego. Roboty nie brak.

Cronkite zrozumiał to po swojemu i zakrzętnął się koło synteзаторa, Karlsson ubiegł go jednak pytaniem, z pozoru tylko niewinnym:

— Reflektuje ktoś na kanapki?

— Nie żartuj. — Skrzywił się Brincev.

— Skąd, to byłby sadyzm. — Uśmiechnął się Szwed.

Myśleli, że rzeczywiście sobie pokpiwa, ale kiedy wyjął z plecaka zawiniątko i rozpakował je, napełniając powietrze aromatem świeżego chleba, wędlin i pomidorów, rzucili się ku niemu jak stadko wygłodniałych zwierząt.

— Zaraz, zaraz, jeżeli chcecie robić piknik, to muszę chyba najpierw ustawić schron — zaprotestował Cronkite.

— Nie, nie musisz — rzucił Karlsson, zajęty rozdysponowywaniem prowiantu. — Atmosfera jest całkowicie sterylna.

— Ale regulamin... — Nawigator zerknął niepewnie na Mirskiego, a ten przeniósł pytający wzrok na ksenobiologa.

— Do diabła z regulaminem! — zirytował się nieoczekiwanie Karlsson. — Powiedziałem, że nie musisz, to nie musisz, nie w idealnie sterylnej atmosferze! Zresztą, chcesz, to sobie rozstawiaj. Co mnie to wszystko...

— Lars... — kapitan próbował coś powiedzieć, ale tamten mruknął tylko „Och, daj mi spokój” i jak ukąszony oddreptał na stronę.

— To pewnie te trzydzieści dwa procent... — westchnął Brincev, nadgryzając kanapkę z serem.

Cronkite po chwili wahania spakował na powrót sprzęt, ale po swój przydział nie sięgnął, przeszedł mu apetyt. Saito też jadł w milczeniu, w przeciwieństwie do Ramaniego i van Hoffa, którzy znaleźli sobie miejsce na kraju skarpy i z nogami zwieszonymi w przepaść wdali się w ożywioną pogawędkę na temat wielodziałów, membran i tym podobnych fizyczno-matematycznych ezoteryk.

Mirsky próbował słuchać, ale zrezygnował, gdy dyskusja weszła na zbyt abstrakcyjny dla niego poziom.

Panorama była ciekawsza, nawet jeśli równie niezrozumiała. Reyeth-K700205 wychynął już zza niskich chmur, zalewając równinę ciepłym, miodowym światłem. Fraktalna płaskorzeźba zmatowiała, jakby ustępując z pokorą przed większym bogiem. Jednak to tu, to znów tam, w oślepiających migotaniach i płomiennych gejzerach, wciąż usiłowała konkurować ze słonecznymi promieniami.

Kapitan przeniósł wzrok dalej, tam gdzie jeszcze nie tak dawno sylwetki budowli odległych o kilkadziesiąt kilometrów odcinały się wyraźnie na tle porannego nieba. Lecz i ten widok utracił teraz kontrast, rozmyty przez woal podnoszących się mgieł. Nie uszło uwagi Mirskiego, że w porównaniu z wczorajszym spektaklem o zachodzie słońca, ten obraz był niemal zupełnie martwy i tak pozbawiony substancji, jak tamten miał jej w nadmiarze.

Przypomniał sobie o goglach i już miał je włączyć, kiedy odezwał się lądownik.

— Hej, panowie! — zawołał do pozostałych. — AHAB już skończył.

— No i? — spytał podekscytowany geolog. — Znalazł coś?

— Tak. — Kapitan skinął głową.

— Co?

— Przejście przez labirynt.

* * *

Użyli grawistatów. Na schodzenie z urwiska piechotą szkoda im było czasu. Kapitan upewnił się, że wszyscy zaktualizowali swoje monokle i że każdy z nich widzi pomarańczową serpentynę trasy wykreślonej przez lądownik.

— Ta jest najkrótsza czy najłatwiejsza? — spytał van Hoff.

— Według AHAB-a — jedyna — odparł Mirsky. — Do następnej musielibyśmy nadłożyć co najmniej z osiemdziesiąt kilometrów.

— Zatem, w pewnym sensie, to jest wiadomość! — ucieszył się Saito.

— Aleś ty się uparł! — Ramani spojrział na geologa i pokręcił głową. — Powiększ skalę i od razu zauważysz, że lądownik wyekstrahował z chaosu w sumie dwanaście takich ścieżek. Krętych, niemniej cały czas oscylujących wokół linii bazowych, które rozbiegają się od miasta z wyraźną promienistą symetrią. Ta przecinka już tu była, nikt jej specjalnie dla nas nie przygotował.

— Ale co z tego, że była?

— Dobra, panowie, ruszajmy — zniecierpliwił się kapitan. — Dyskutować możecie po drodze.

To, co z góry wyglądało płasko jak relief, na dole okazało się mieć całkiem solidny trzeci wymiar. Polegając jedynie na swych przyrodzonych zmysłach, nigdy

nie odkryliby tego szlaku – wąskiej, idealnie wtopionej we fraktalny miszmasz niby-
uliczki, którą w nierównomiernych odstępach osłaniały półprzezroczyste zadaszania
i grzebieniaste pergole. Iść można było w praktyce tylko gęsiego i po pierwszych
trzech ostrych zakrętach sytuacja przestała się kapitanowi podobać.

– Zmieniamy szyk – zakomenderował. – Cronkite, ty prowadzisz, ja będę
ariergardą.

– A może by tak przynajmniej ze dwa boty wysłać na bocianie gniazdo? –
zapropozował nawigator.

– Dobry pomysł – zgodził się Mirsky.

– Chyba nie sądzicie, że ktoś nas zaatakuje? – Mike van Hoff uniósł brwi.

– Nie mam pojęcia. – Kapitan rozłożył ręce. – Wiem tylko, że gdyby chciał,
lepszyc warunków niż tutaj chyba by nie znalazł.

– Najpierw ten ktoś musi istnieć – zauważył z ironią Brincev. – Was to jeszcze
nie zaciekało?

– Co mianowicie?

– No, ta pustka. Ta cisza, ten całkowity bezruch.

– Nie taki całkowity – odchrząknął van Hoff. – Ściany się ruszają. I grunt też
jakby z lekka dygotał.

– Fakt... – Geolog dotknął jednej z pionowych płaszczyzn.

– Jasny gwint, człowieku, nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię! – obruszył
się Brincev. – Gdzie się oni wszyscy podzieli? Gdzie jest bodaj ślad jakiegokolwiek
normalnego życia?

– A to, co widzieliśmy wczoraj o zmierzchu? – przypomniał van Hoff.

– Właśnie, wczoraj. A dzisiaj nic. – Rosjanin rozłożył ręce. – Że my niczego nie
widzimy, pal diabli. Ale nawet autoboty podczas rekonesansu nie dostrzegły żadnej
aktywności.

– Może za dnia kryją się pod ziemią – zasugerował Saito.

– A drapacze chmur budują nocą – parsknął inżynier.

– Takie to jest dla ciebie niewyobrażalne? – spytał kapitan, choć i w nim zaczął
kielkować dziwny niepokój.

Planeta była obca i z każdym krokiem coraz bardziej niezwykła na podobieństwo
świata Lewisa Carrolla. Wyglądało na to, że z całą pewnością należało się tu
spodziewać tylko trzech rzeczy – po pierwsze niespodzianek, po drugie
niespodzianek i po trzecie niespodzianek. Niemniej istniały przecież zawsze jakieś
granice logiki, jakieś tożsamości, uniwersalizm prostych reguł w rodzaju „jeżeli A
równa się B, a B równa się C, to A równa się C”. Tylko że tutaj, choć wszystko z
początku wskazywało na to, że są, człony równania tożsame nie były. Albo były,
tylko oni wciąż nie wiedzieli, jakie wartości podstawiać w miejscach niewiadomych.

Kapitan popatrzył na kompanów. Odniósł wrażenie, że się ociągają, że już nie jest
im, jak na początku, tak spieszno do celu. Brincev, van Hoff i Ramani, który do nich
dołączył, rozgadali się na dobre. Saito łąził od ściany do ściany, gryzmołąc markerem
krzyżyki i gapiąc się po kolei na każdy z nich. Cronkite po prostu stał w oczekiwaniu
na polecenia, Karlsson natomiast...

— Ej, ty, dobrze się czujesz? — zaniepokoił się kapitan.

Ksenobiolog spojrział na niego ponuro, rozluźniając zaciśnięte pięści.

— Nie wiem. Idziemy?

— Jasne — odparł Mirsky, dając znak nawigatorowi. Reszta załogi wymagała ponaglenia.

Karlsson szedł przedostatni, w milczeniu i ze spuszczoną głową, jakby to był kondukt. Za którymś z kolei zakrętem kapitan nie wytrzymał.

— Lars, zaczekaj. Co się z tobą dzieje? O co chodzi?

— Sterylna atmosfera — odmruknął biolog, nie zwalniając.

— To już słyszałem. Ale nie pojmuję, czemu się z tego powodu tak wkurzasz.

— Sterylna — powtórzył Karlsson tonem profesora, który tępemu uczniowi tłumaczy rzeczy oczywiste. — Martwa. Cały węgiel, jaki dotąd udało mi się w niej znaleźć, jest pochodzenia nieorganicznego. To samo z regolitem, bo bez mikroflory nie nazwę tu niczego glebą. I to samo z wodą.

— Skąd wiesz?

— Kazałem lądownikowi wysłać dwa boty eksploracyjne nad morze.

— Bez mojej autoryzacji?

— W kwestiach związanych z biologią pierwszy po Bogu jestem tutaj ja.

— Dobra. — Mirsky machnął ręką. — Czyli mówisz, że na razie nie znalazłeś żadnych drobnoustrojów...

— Nie, Andriej! — zdenerwował się Karlsson. — Ja nie znalazłem niczego, rozumiesz? Absolutnie niczego, co według najbardziej nawet luźnych kryteriów mógłbym określić jako żywe. Skąd więc, do ciężkiej cholery, wziął się tutaj cały ten tlen?! Dlaczego tutejsza atmosfera jest w stanie nierównowagi i jakim cudem ta nierównowaga się utrzymuje bez jakichkolwiek aktywnych procesów biologicznych? Ani nawet geologicznych, bo przecież ten glob jest co najmniej trzy miliardy lat starszy od Ziemi! Nie rozumiem, Andriej. To, co się dzieje na tej planecie, po prostu nie ma sensu!

Może gdyby Szwed nie mówił podniesionym głosem, usłyszeliby ten dźwięk wcześniej — jakby ktoś gdzieś daleko ciągnął po metalowych schodach szafę pełną pustych butelek. Mirsky zobaczył swoją twarz, falującą i groteskowo zniekształconą w zwierciadlanej krzywiźnie bąbla, który wypęczkował ze ściany, jeszcze przed chwilą gładkiej i twardej jak diament. Z początku niemrawo, obrzydliwym ruchem pasożyta przesuującego się tuż pod skórą, bąbel wędrował ku górze, i nagle...

— Lars!

... wystrzelił ku biologowi nibynóżkowatą protuberancją. Czy był to atak, czy też Karlsson stanął temu czemuś na drodze zupełnie przypadkiem, dla autobotów nie miało znaczenia i zareagowały natychmiast.

Eksplodujący bąbel rzygnął płomieniem i gdyby nie zamknięty wokół Mirskiego kokon siłowych pól, jego spopielone resztki fruwałyby zapewne teraz po całej ulicze.

Kapitan padł na ziemię, nie widząc ani nie słysząc nic prócz trzasku pożogi, bo systemy bezpieczeństwa zadbały również, by nie oślepl. Niemal w tej samej chwili

poczuł, że bot chwyta go i winduje do góry, poza zasięg szalejącego wokół ognia.

Na wysokości dwudziestu metrów wzrok oraz słuch zostały mu przywrócone i zobaczył pozostałych, najwyraźniej bez większego uszczerbku na zdrowiu ewakuowanych z piekła w taki sam sposób, jak on.

Zobaczył też kominy. Setki, tysiące, cały las pękatych kominów. Ale stracił już szacunek dla wszelkich ziemskich metafor. Widział kominy, bo to pasowało do utrwalonych w jego mózgu skojarzeń, do świata kreowanego wewnątrz za kulisami zmysłów. Tak naprawdę nie widział jednak żadnych kominów.

Tak naprawdę nie miał bladego pojęcia, czym jest to, na co patrzy.

* * *

Upał zastąpił poranną rzeźkość, tak jak frustracja zastąpiła ich początkowy entuzjizm. Incydent w „uliczce” nadszarpnął nerwy wszystkim. Od miasta wciąż dzielił ich taki sam – jeżeli nie większy – dystans jak przed godziną. Podobnie jak od zrozumienia tu czegokolwiek. Kontakt z mieszkańcami, choćby wzrokowego, wciąż nie udało im się nawiązać. I na dodatek ten żar. Fizycznie, dzięki klimatyzowanym kombinezonom, do wytrzymania. Ich morale jednak jakby szybciej rozpląwało się w gorącym, nieruchomym i lepkiem powietrzu.

Jedyną drogę lądową mieli odcięta. Ale nie dlatego, że uznano ich za intruzów. Nawet atak stanowiłby jakiś dowód, że zostali w końcu zauważeni. Tylko to nie był atak, a Karlsson nie bardziej był celem rozmyślnego usiłowania zabójstwa niż człowiek trafiony przez spadające jabłko. Niefortunny bąbel był jednym z wielu, które w kilka minut wypełniły „uliczkę” systemem przeseł. Gdzieniedzie prostych, jak napowietrzne rurociągi, w innych znów miejscach rozgałęzionych i posplatanych ze sobą.

— No, i to by było na tyle, jeżeli chodzi o spacer — skonstatował cierpko Brincev.
— Będziemy tak tutaj wisieć?

Wrócili do skarpy. Van Hoff znalazł skrawek cienia i padł, mamrocząc „Pół dnia i nawet kroku naprzód!”. A na uwagę Cronkite’a, że dokładniej biorąc to niecałe sześć godzin, zareagował takim spojrzeniem, że nawigatorowi z miejsca odechciało się z nim rozmawiać.

— Mówiłem, żeby zacząć od telerekonesansu — przypomniał Karlsson.

— Tak, mówiłeś. — Brincev otarł spoconą skroń. — Koszmarna ta sauna. Myśmy w końcu wylądowali w strefie umiarkowanej czy tropikalnej? A może to z tych kominów coś leci?

— Owszem — odezwał się milczący dotąd Ramani. — Ale para wodna stanowi zaledwie dwa procent emitowanych przez nie gazów. Reszta to tlen.

— Co? — Ożywił się natychmiast ksenobiolog.

— Plus śladowe ilości azotu i dwutlenku węgla.

— Jak dalece śladowe?

— Mniej niż pięć części na milion. Chcesz spektrogram?

— Daj. — Karlsson przełączył się na jego kanał i aż gwizdnął przez zęby — o, cholera!

— Mogę zerknąć? — poprosił van Hoff.

— No i masz rozwiązanie swojej zagadki, Lars. — Uśmiechnął się kapitan.

— Tak, chyba mam... — Szwed nieoczekiwanie posmutniał. — Andriej... Nie dokończył. Przerwał mu van Hoff, wykrzykując podekscytowany:

— Niesamowita sprawa! Oni cały ten tlen muszą wytwarzać gdzieś pod ziemią! Tylko z czego? Z krzemianów? Na przykład. Albo z wody. Obydwu surowców mają pod dostatkiem. Tylko po co? A jeśli... Słuchajcie, a jeśli doszło tutaj do jakiegoś potwornego, ogólnoswiatowego kataklizmu – kosmicznej bądź militarnej natury – w wyniku którego nastąpiła totalna zagłada biomu...

— Niemożliwe – wpadł mu w słowo Karlsson. — Nie mogłaby być aż tak totalna.

— No, ale założmy, że jednak – kontynuował niezrażony van Hoff. — A oni teraz próbują zregenerować atmosferę. I całe to fraktalne wesołe miasteczko, razem z kominami, jest częścią jakiejś gigantycznej wytwornicy gazów.

— Nie. — Ksenobiolog potrząsnął głową. — Nie było żadnego kataklizmu.

— A co było, według ciebie?

— Nic.

— Nic?

— Nic – powtórzył drewnianym tonem Karlsson. — Żaden biom nie uległ zagładzie, bo żaden nigdy tutaj nie istniał. Może ta planeta jest ciekawa pod wieloma innymi względami, ale pod względem biologicznym jest martwa. Całkowicie i od zawsze.

— Nie no, człowieku, co ty wygadujesz?! — Fizyk nie wierzył własnym uszom. — Przecież każdy z nas widział, ciebie nie wyłączając, jak te macki, gałązki czy jakkolwiek to nazwiesz – rosną, po prostu wyrastają ze ścian!

— I kto to mówi? — Szwed wyduł wargi. — Przejrzyj sobie zapis spektrograficzny, tylko tym razem dokładniej. Z czego te twoje „gałązki” są zbudowane, jaka jest ich struktura, jakim typem procesu fizykochemicznego najłatwiej jest ten ich wzrost opisać...

Coś uderzyło go miękko w przedramię. I znowu. *Plask,plask,plask...*

— Deszcz?

Cętki rozbryzniętych kropel zaczęły pokrywać pył wokół ich stóp. I niemal w tej samej chwili zagrzmiało. Spojrzeli do góry; kolor nieba z bladobłękitnego zmienił się na ołowiany, daleko na wschodzie przechodząc prawie w czerń.

— Burza – stwierdził z dziecięcym zdziwieniem Brincev.

— Z piorunami – dodał van Hoff.

I zmartwiało. Natychmiast identyczna myśl przemknęła przez głowy pozostałym.

— Lars, jakie jest aktualne stężenie tlenu? — zapytał kapitan.

Biolog sprawdził i wyszeptał:

— Czterdzieści... siedem...

— O, bogini! — Saito aż się zatchnął.

— Cronkite, schron! — zakomenderował Mirsky. — Sasha, Mike, możecie mu pomóc?

— Całe szczęście, że nie ma tu nic łatwopalnego – mruknął van Hoff.

— Tak. Nic oprócz nas.

Boty tym razem mogły ich nie ochronić i jeszcze na dodatek same zginąć od wyładowań. Front zbliżał się szybko, wiatr przybrał na sile, sypiąc w oczy piaskiem i zacinając po twarzach deszczem. Czuli to mimo filtrów i zaciągniętych kapturów, czuli nawet ozon i rdzawy smak pyłu.

— A jaka wilgotność?! — Mirsky krzyknął do ksenobiologa.

— Co?! — odkrzyknął Karlsson.

— Jaka jest teraz wilgotność?!

— Pewnie... tfu...! Pewnie sto procent!

— Sprawdzisz?!

Ostatnia dziura, ostatnia kotwa i zastrzał.

— Nie... nie rozumiem!

— Co?!

— Spada!

— Spada?!

— I to na pysk!

— W takiej ulewie?!

Bez reflektorów nie widzieliby już nic, świat wokół pogrążył się w ciemnościach. A potem nagle zapłonął.

— No już, do środka! Już, szybciej, szybciej!!

Siedmiu ludzi i sześć autobotów znikło we wnętrzu pancерnej sfery. Ostatnia z maszyn eksplodowała, trafiona ładunkiem kilku milionów amperów. Dwie godziny później, kiedy galopada jeźdźców Apokalipsy dobiegła końca, nawet nie próbowali jej szukać. Żaden z nich o tym nie myślał, spoglądając w zdumieniu na odmieniony przez burzę krajobraz. I na dwa nieba – jedno nad głową oraz drugie, będące wyblakłym odbiciem tego pierwszego, w tysiącu mulistych bajerek.

— Taa... — Van Hoff podrapał się w wydatny nos. — Teraz to ja już całkiem zgłupiałem.

* * *

Czy to dlatego, że tak wydawało im się bardziej po męsku i pioniersku, czy z jeszcze mniej racjonalnych przyczyn, ale uparli się, że jak długo się da, będą iść na piechotę. Przez mokry piasek, dookoła wrytych deszczem rozpadlin, lawirując pośród żalonych ruin fraktalnego labiryntu i mętnych bajerek. Sarkając i co parę kroków grzęznąc po kostki w szlamie, niemniej brnęli, jakby od tego poświęcenia zależało nie wiadomo jak dużo. Może i zależało. A może po prostu nie chcieli przestać wierzyć.

Wiatr był inny niż przedtem, jednostajny, gorący, zachodni. Pod jego tchnieniem momentalnie twardniało błoto i wysychały kałuże, a nierozmyte resztki ścian i kominopodobnych struktur pękały i osypywały się jak pozostawione zbyt długo na słońcu piaskowe baby. Z wielu zerodowanych kopczyków wyzierały, na podobieństwo nagich kości, jakieś białe i pozornie trwalsze rdzenie, ale też tylko do czasu. Im dalej szli, tym bardziej robiło się wokół nich pusto, szaro i martwo.

Po dwóch godzinach marszu pierwsze kontury budynków zamajaczyły w odległej, zapyłonej perspektywie, lecz nikt z nich nie był już pewien, czy ma dość odwagi, by iść dalej. Każdy miał coś na końcu języka, ale żaden się nie odezwał w obawie, że powie to, czego sam nie chciał usłyszeć od innych.

— Jesteśmy wszyscy zmęczeni, może odpocznijmy. — Kapitan czuł się w obowiązku rzec cokolwiek, ale van Hoff krzyknął ze złością:

— Nie!

Mirsky powiódł wzrokiem po twarzach, tej zaciętej, tamtej zrezygnowanej, jeszcze innej tak ponurej, jak krajobraz, który ich teraz otaczał.

— A wy co na to? — Mirsky zwrócił się do pozostałych.

— Niedługo będzie ciemno — stwierdził Karlsson ni w pięć, ni w dziewięć. — Tak.

— To znaczy?

— Znaczy, chodźmy.

Przez następny kilometr posuwali się zupełnie nagą i płaską jak stół, rdzawoburą równiną, urozmaiconą jedynie zastrugami o ton jaśniejszych pyłów czy popiołów. Nie było żadnych łagodnych granic, żadnych przedmieść ani rogatek. Miasto wyłoniło się przed nimi w zawiesistym powietrzu nagle, masywem niebotycznych kolumn i graniastosłupów.

Miasto...

— Nie... — jęknął geolog. — Nie wierzę...

To nie były nawet ruiny. To były skały, pamiątka po jakiejś magmatycznej erupcji sprzed milionów – jeżeli nie miliardów – lat, wyrzeźbiona działaniem sił natury w kształty tak fantazyjne i zarazem regularne, że czy z daleka, czy z bliska wciąż trudno było się oprzeć złudzeniu obcowania z dziełem czyjś inżynierskiego geniuszu.

— Erozja. — Brincev zaśmiał się histerycznie. — O, my idioci. Ślepi, naiwni idioci... Pieprzony nasz mały mózdzek, pieprzony oszust!

— Ale... dlaczego? — Kręcił głową van Hoff. — Przecież naprawdę widzieliśmy! Światła, ruch, ciągi komunikacyjne!

— Jesteś pewien? — spytał Karlsson.

— Jak to, czy jestem pewien? Oczywiście, że jestem! Poza tym co ja mam być pewien? Są nagrania, mamy zapis.

— I kto z nas go sprawdził? Kto podniósł rękę i rzekł: „Zaraz, ale może najpierw skonsultujmy nasze wnioski z Koryfeuszem”? Nikt. — Ksenobiolog uśmiechnął się słabo. — A wiesz czemu? Bo chcieliśmy coś ujrzeć tak bardzo, że wyłączyliśmy racjonalizm, byle tylko nie przeszkadzał nam w zobaczeniu tego czegoś. Jak spragniony wędrowiec, który fatamorganę bierze za oazę. A co jest naszym pragnieniem, naszą fatamorganą? Oni. Obcy. Bracia w rozumie. Szukamy ich od tak dawna, że nadzieja kontaktu przerodziła się w obsesję. Musimy ich spotkać, gdyż jest to *raison d'être* takich jak my, nieprawdaż? I zaczynamy ich widzieć na tej samej zasadzie, na jakiej ktoś, kto dostatecznie długo wpatruje się w chaotyczny zbiór punktów, zobaczy w nim w końcu *Słoneczniki* van Gogha. Albo kanały na Marsie. Albo drapacze chmur na obcej planecie. Nasza błogosławiona i zarazem

przekłeta wyobraźnia. I to ona, nie żaden tutejszy inteligentny architekt, stworzyła to „miasto”.

— Ale światła, wehikuły, to też sobie wyobraziliśmy?

— No to popatrz — odparł Karlsson, zadzierając głowę.

Zmierzch piał się coraz wyżej po ścianach skalnych kolumn i obelisków, ciemność zagarniała je metr po metrze...

I nagle w tej ciemności „miasto” ożyło tysiącem iskierek, lazurowych ogni i błyskawic, które zaczęły przeskakiwać pomiędzy niebosiężnymi monolitami. Elektryczna fala płynęła ku ich wierzchołkom, jakby uciekała przed napierającym od dołu mrokiem, co kilka metrów rodząc mały kulisty piorun. Większość z nich natychmiast uleciało w przestworza, niektóre pomknęły jednak ku ziemi.

— No pięknie — mruknął van Hoff. — Fajerwerki na dobranoc.

Gdy to mówił, jedna z plazmowych kul podpłynęła ku niemu i zatrzymując się w odległości mniejszej niż dwa metry od twarzy, nie tyle eksplodowała, ile bezdźwięcznie rozbłysła.

— Och, psiakrew!

— Mike, nic ci nie jest? — przestraszył się Mirsky.

— Nie, w porządku — odkrzyknął fizyk, mrugając. — Tylko mam koszmarne powidok.

Reszta piorunów rozproszyła się nad równiną i też wkrótce znikła, choć gdyby mieli odpowiedzieć gdzie i w jaki sposób, żaden by nie potrafił.

— Rzeczywiście, piękny spektakl. — Pokiwał głową kapitan. — Ale myślę, że powinniśmy już wracać.

Nikt nie zaoponował. Czuli się wystrychnięci na dudka, jak widzowie, którym zamiast szekspirowskiego dramatu zaserwowano tani pokaz sztucznych ogni.

— Tak, chodźmy stąd — przytaknął Saito z nutką rozgoryczenia w głosie. — Bazaltowe, piezoelektryczne ostańce. I po to włókł się człowiek siedemdziesiąt parseków!

— Dokładniej: siedemdziesiąt trzy i osiem dziesiątych — skorygował Cronkite.

I tylko dzięki swemu doskonałemu refleksowi nie oberwał ciśniętym przez geologa kamykiem.

* * *

Mirsky kazał jeszcze autobotom zebrać trochę próbek i wykonać baterię standardowych fizykochemicznych analiz. Nie tyle w nadziei, że maszyny odkryją coś, co umknęło ludzkim zmysłom, ile raczej dla zachowania pozorów, że nie wracają z niczym.

— No, to w drogę.

— *Per pedes?* — jęknął Saito.

— Możemy też lecieć, ale przez następne kilka miesięcy jedynym sposobem na rozprostowanie nóg będzie trenażer — przypomniał kapitan.

— Co prawda, to prawda — zgodził się geolog.

Ruszyli gęsiego, z włączonymi aureolami pozycyjnymi, ale bez noktowizorów,

które okazały się niepotrzebne. Nawet gdyby bot przewodnik nie wykreślał marszruty serią dyskretnych laserowych błysków, też daliby sobie radę.

Noc była jasna, rozświetlona spektakularną draperią Drogi Mlecznej i dwoma zwierciadłami lodowych księżyców. Każdy detal topografii pozostawał doskonale widoczny, aczkolwiek topografia ta nijak się już miała do tej sprzed zaledwie paru godzin. Resztki fraktalnego labiryntu znikły, najprawdopodobniej rozniesione wiatrem, i od bazaltowych ostańców aż po daleki płaskowyż, który czarną, wyraźną sylwetą odcinał się na tle rozgwieżdżonego nieba, rozciągał się teraz obszar gładki i pozbawiony jakichkolwiek znaków szczególnych.

Jak mogliśmy tak dać się omamić, myślał ponuro Mirsky, jak to w ogóle możliwe? Mając za sobą tyle doświadczeń, tyle sukcesów w odkodowywaniu rzeczywistości i dysponując takim wyrafinowanym wspomaganie technicznym, wciąż pozwalamy, by ten stary iluzjonista wodził nas za nos, wciąż robimy z siebie durniów, nabierając się na ten sam repertuar prymitywnych i ogranych sztuczek. Objamy się po całej Galaktyce, zaglądamy pod każdy kamień i do każdej przysłowiowej mysiej dziury, ale co właściwie jest naszym celem? Znalezienie prawdy obiektywnej czy tylko poukrywanych pod owymi kamieniami cukierków? Odkrywamy rzeczywistość czy tylko szukamy potwierdzenia, że jest taka, jaką podświadomie chcielibyśmy, żeby była? Rozglądamy się za Obcymi, czy może tylko za ostatecznym dowodem, że nie istnieją i że wszechświat należy wyłącznie do nas? Prawdziwy czy fałszywy to obraz? Lecz jeśli fałszywy, jeśli cały postrzegany przez nas świat jest niczym więcej jak inscenizacją szarych komórek... to po co to wszystko? Na patronów złych i dobrych, no po co?

— AHAB. — Mirsky otworzył prywatny kanał dowódczy. — Przeanalizowałaś te ostatnie dane? Chciałbym zerknąć.

Nic. Spektrofotometria, spinogram, stosunki izotopów, termika, stratygrafia, mikroślady... nic, ale to absolutnie nic nie wskazywało na inne niż naturalne pochodzenie bazaltowego masywu. Fraktalny labirynt też był efektem procesów geochemicznych. Nadzwyczaj skomplikowanych i, jak wcześniej zauważył Karlsson, z czysto naukowego punktu niewątpliwie bardzo interesujących, marną jednak było to kapitanowi pociechą.

— Dlaczego nie uprzedziłaś, że ta wyprawa to strata czasu?

— Bo prawdopodobieństwo, że zaobserwowane formacje są tworamami sztucznymi, było dostatecznie duże.

— Jak duże?

— Dostatecznie. Pięć sigma dla grup z półkuli zachodniej.

— Hej, tam coś... Stroboskop! — zakrzyknął nagle idący przodem Brincev.

Wszyscy stanęli. To mogło być kolejne złudzenie, błysk księżycowego światła odbitego w ziarenku kwarcu. Ale nie było. Pomarańczowy świetlik migotał wyraźnie i regularnie, charakterystycznymi seriami w precyzyjnych, dwusekundowych odstępach.

— Autobot? — zdziwił się van Hoff, rozpoznając w tym migotaniu sygnał SOS.

— Skąd, wszystkie są tutaj — stwierdził Ramani.

— Nie, nie wszystkie. Jednego straciliśmy podczas burzy — przypomniał mu Karlsson.

— Ha, no to się odnalazł.

— Nie byłbym taki pewien.

Rację miał jednak fizyk. Kiedy podeszli bliżej i Karlsson ujrzał, co z maszyny zostało – lub raczej, co powstało – aż wziął się pod boki.

— Niesamowite!

— Nieźle musiała oberwać – westchnął Cronkite.

— Oberwać! – parsknął biolog. — Człowieku, co ty gadasz, przecież ją w pył rozniosło!

— A widziałeś kiedyś, żeby autobot uległ całkowitemu zniszczeniu? – skrzywił się Brincev. — Bo ja nigdy. Poświećcie mi tutaj.

Inżynier przyklęknął, reszta otoczyła go półkolem, spoglądając na zbiór dziwacznych obiektów, które wyrastały z nagiej ziemi falistym rzędem, zakończonym korpusem bota z wciąż pracującą stroboskopową latarnią. Domyślili się, że patrzą na efekt samonaprawczych usiłowań maszyny, uszkodzonej jednak zbyt rozległe, by mogło cokolwiek z tego wyjść.

Brincev podniósł na wpół stopiony, prawie bezmózgi kadłubek i coś tam przez chwilę w nim grzebał.

— Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył – stęknął, podnosząc się. — Dziewięćdziesiąt sześć procent synaps diabli wzięli. Reszta zapętlila się w paru szczątkowych, wegetatywnych odruchach: zasilanie kataboliczne, stroboskop, no i to.

— Ale co to jest? Co on chciał zrobić? – Van Hoff podszedł do pierwszego z brzegu kształtu. Przypominał żagiel wydęty wiatrem albo wbity na sztorc lemiesz z hakowatymi wypustkami po wklęsłej stronie i koronkową perforacją pośrodku. Wszystkie bliźniaczo do siebie podobne, z tą tylko różnicą, że każdy następny w rzędzie był większy od poprzedniego.

— Wygląda... hm, wygląda na część panewki górnego przegubu. Ale to jest normalnie o wiele mniejsze. O, takie. — Inżynier palcami pokazał rozmiar.

— Dlaczego akurat panewka, czemu nie zaczął od elementów istotnych? – zastanawiał się głośno fizyk.

— Nie wiem.

— I najwidoczniej zachował mobilność, chociaż jak...

— Nie wiem! – powtórzył Brincev z irytacją. — Wezmę na warsztat, to może się dowiem. Ale na pewno nie w tych warunkach.

Kapitan dał znak jednemu z działających autobotów, żeby odebrał od inżyniera zmasakrowane szczątki, i ruszyli dalej. Niewiele ze sobą rozmawiali, a po paruset metrach zupełnie umilkli, jakby cała siódemka w końcu uznała, że gadulstwo na tej zdechłej planecie jest czymś niestosownym. Przyspieszyli kroku, gnani nie tyle przez czas, bo go mieli aż nadto, ile przez szydery chichot, który zdawał się dobiegać zza ich pleców.

Mirskiemu nie chciało się już o tym myśleć, ale z drugiej strony, nie potrafił

przestać. Dostali nauczkę, przykra sprawa. A przykra jeszcze bardziej, że wcale nie pierwszą i na pewno nie ostatnią. Trochę przerażała ta niesamowita ludzka żywotność i ekspansywność w połączeniu z objawiającą się chwilami równie niewiarygodną tępotą. Jakby byli jakimiś Syzyfami, skazanymi na wieczne powtarzanie tych samych błędów.

— Wracamy inną drogą? — głos Karlssona wyrwał go z rozmyślań.

— Hm? — sapnął van Hoff, wdzięczny za pretekst do zrobienia postoju. — Chyba nie... A może tak, nie wiem. Czemu pytasz?

— Bo niczego takiego sobie nie przypominam.

Stali u wlotu do płytkiej kotlinki, utworzonej przez zbocza wydm, z dna której wyrastało – coś.

— Następny hokus-pokus — parsknął Brincev.

Kiedy jednak podeszli bliżej, impresja, że tym razem mają przed sobą rzecz – z braku lepszego słowa – prawdziwą, która nie ulegnie jakimś kolejnym psychodelicznym transformacjom, przerodziła się w pewność. Łukowata struktura sterczała z piasku na wysokość co najmniej dwóch pięter. Czarne, jakby osmalone pożarem wręgi, spięte nieco jaśniejszym żebrowaniem, ostre szpikulce w miejscach połączeń. Karlsson dotknął powierzchni, a potem uderzył w nią pięścią, wydobywając ze struktury czysty, głęboki dźwięk.

— Metal — skonstatował z niedowierzaniem van Hoff.

Wszyscy zamilkli, spoglądając na czarny szkielec już zupełnie innymi oczyma.

— Wygląda na strasznie stare — odezwał się w końcu Karlsson. — Ile to może mieć lat?

— Dużo.

— Jak dużo?

— Zapytaj spektrometr — odparł fizyk, przenosząc wzrok na Mirskiego.

Kapitan wydał polecenie jednemu z botów.

— Cofnijcie się, tak na wszelki wypadek.

Nic się nie stało, zobaczyli tylko krótki błysk w miejscu, gdzie laserowy promień trafił artefakt, generując obłoczek plazmy. Po chwili spektrogram był gotów i niejedna brew uniosła się na jego widok.

— No, to masz odpowiedź — rzekł van Hoff.

— Siedemdziesiąt sześć tysięcy! — Biolog pokręcił głową. — I nie skorodowało? Bez żartów!

— A kto powiedział, że nie skorodowało? To jest zaledwie ogryzek. Tak nawiasem, z jakiegoś cholernie egzotycznego stopu. — Brincev wyraźnie odzyskiwał humor. — Trzeba by pobrać większą serię próbek.

— Weźmiemy — zapewnił go kapitan.

— Pytanie, ogryzek czego? — Van Hoff okrążył artefakt, w świetle reflektorów już nie tak czarny. Deseń bruzd, nadżerek i mineralnych zacieków był równie czytelnym świadectwem wieku, co głębokie zmarszczki na twarzy starca. — Budowli, maszyny, środka transportu — jak myślicie?

— Nie ma co myśleć, po prostu musimy to ustalić — zdecydował Mirsky.

— Ale czemu przedtem żaden z nas tego nie zauważył?
— Bo mieliśmy uwagę zaprzątniętą czym innym? — odpowiedział Karlsson.
— To też. — Geolog uśmiechnął się cierpko. — A bardziej trywialne wytłumaczenie jest zapewne takie, że relikty znajdował się pod ziemią, dopóki burza nie odsłoniła fragmentu.

— Sądysz, że to tylko fragment?
— O wiele większej całości — przytaknął Saito z takim uśmiechem, jakby rozbił bank. — I to całości czegoś, co nie jest stąd.
— To znaczy? — Biolog zmarszczył brwi.
— To znaczy nie z tego układu gwiazdowego. Skład izotopowy jest jak tęczęwka oka, nie ma dwóch takich samych.

Fizyk popatrzył na inżyniera, inżynier na kapitana, kapitan na skrzyżujący się mineralnymi inkrustacjami artefakt. A biolog, nie spoglądając na nic konkretnie, mruknął:

— Tak, no to się zapowiada, że rozbijemy tu obóz.
I nikt, włącznie z nim samym, nie wyglądał na zmartwionego tą perspektywą.

* * *

Przez resztę nocy i cały następny dzień był spokój, jakby planeta chciała się wobec nich zrehabilitować. Ledwie odczuwalny wiaterek nie ciął piaskiem po twarzach, woal cirrostratusów łagodził żar popołudnia, więc prace posuwały się szybkim tempem. Tym bardziej, że czas, którego jeszcze wczoraj mieli mnóstwo, teraz ich ponaglał.

Postanowili przywołać na miejsce lądownik i wykorzystując go jako główną platformę badawczą, wkopali się wirtualnie na pięćset metrów — radarem, tomografem, koherentnymi wiązkami WIMP-ów i wszystkim innym, co mogli *ad hoc* zaadaptować do tego „archeologicznego” przedsięwzięcia. Tak jak się Saito domyślił, to, co wystawało z ziemi, było jedynie czubkiem obiektu o zdecydowanie większych rozmiarach.

Pod wieczór AHAB miał już dla nich dwa zintegrowane holomodele: obiektu jako takiego, w stanie obecnym, oraz najbardziej prawdopodobną rekonstrukcję.

— Jeśli to nie jest pojazd, to ja nie nazywam się Brincev — oświadczył inżynier, pocierając brew.

Trzy jakby sklezione ze sobą muszle, środkowa okazała się od pozostałych, które flankowały ją symetrycznymi, ale skręconymi przeciwstawnie helisami. Osiem solidnych, w jakże znajomy sposób amortyzowanych łap. Spiralny ciąg iluminatorów, tuleje, jako żywo przypominające dysze... Nic nie nastroczało interpretacyjnych trudności.

— To mogłoby być nawet zbudowane przez nas — zdumiał się Mirsky.
— Ale nie ponad siedemdziesiąt tysięcy lat temu — zauważył rzeczowo Karlsson.
— No tak.

Pół godziny później zameldowały się boty rozesłane w nadziei, że jeszcze coś znajdą. I owszem, znalazły, aczkolwiek ich odkrycia nie były już tak spektakularne.

Strzępki, kawałki, okruchy trudne do zidentyfikowania i zbyt czasochłonne w odzysku. Najbardziej fascynujące było echo jakichś rozległych, metalicznych struktur, uzyskane z obszaru kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych na południe od trylinkowego gościńca, którym szli wczoraj. Źródło znajdowało się jednak bardzo głęboko i równie dobrze mogło być artefaktem, co naturalnym pokładem rudy.

— Bez znaczenia, i tak mamy więcej, niż potrafiłbym sobie wymarzyć. — Brincev wyglądał na szczęśliwego. — Ile zostało nam czasu?

— Trzyście godzin z hakiem.

— To ja bym sugerował...

— Nie — uciał zdecydowanie kapitan. — Wracamy na Koryfeusza. Ale określą drogą. Cronkite, kurs równikowy normalny. I trzymaj nas na stałym pułapie piętnastu tysięcy metrów.

* * *

Nawigator zauważył ją pierwszy — wielką postać, która parła przed siebie, najwyraźniej zmagając się z grząskim gruntem i huraganowym wiatrem. Dwunożną, sześcioramienną, z karykaturalnie dużą, workowatą głową i wylupiastymi oczyma, które w zaskakująco ludzkim geście osłaniała sobie jedną z górnych kończyn. Tyle że zamiast dłonią, ramię kończyło się płatowatym rozszerzeniem z przyssawkami, jak u kałamarnicy.

Dopiero po chwili dotarło do nich, że to nie żywa istota, lecz monstrualny, prawie dwukilometrowy posąg, oddany z fotograficznym wręcz realizmem.

— Cronkite, obniż i zrób rundę na małej prędkości.

Ależ to był ogrom! Z bliska jednak od razu dało się zauważyć, że monument nie powstał wczoraj. Spękany, pokruszony.

— AHAB, daj mi analizę spektralną — poprosił Mirsky.

— Beton — padła odpowiedź.

— Beton?

— Z domieszką, głównie węgla i tantalu, w proporcjach odpowiednio jeden na sto trzydzieści, plus minus sześć procent, i jeden na siedemset, plus minus dziesięć procent do mineralnego spoiwa.

— A wiek? Możesz go stąd oszacować?

— Siedemdziesiąt sześć tysięcy standardowych lat, plus minus jeden koma czterdzieści osiem procent.

— Wielkie nieba! — wyrwało się komuś.

Wszyscy rozdziawili gęby, prócz kapitana, który nie wyglądał na zaskoczonego. Karlsson popatrzył nań spod przymrużonych powiek.

— Wiedziałeś...

— Że coś tu jest? AHAB próbował mnie naprowadzić już wczoraj, ale ja dopiero godzinę temu wziąłem się do ponownego przestudiowania zapisów z Koryfeusza. Półkula zachodnia... Nikt z nas nie patrzył, bo kiedy lądowaliśmy, panowała tam noc. A dalej, wiadomo.

— Z lewej, z lewej! — krzyknął podekscytowany Ramani.

— Co z lewej?

— Nie poznajesz?

Musze. Kąt padania promieni słonecznych, piaskowa barwa, dystans i wysokość – mikroskopijna w porównaniu ze skalą sześcioramiennego posągu – to wszystko sprawiło, że początkowo nie zwrócili na nie uwagi. Leżały na bokach, ułożone w deseń będący wiernym odwzorowaniem ich spiralnej architektury. W setkach, tysiącach, rozbiegając się koncentrycznym dywanem ślimakowatych skamielin od masywnych nóg wielkiej rzeźby aż po horyzont.

— Łądujemy? — spytał niemal błagalnie inżynier.

Kapitan pokręcił przecząco głową.

— Andriej, pomyśl!

— Pomyślałem — odparł spokojnie Mirsky. — I doszedłem do wniosku, że tutaj nie mamy już czego szukać. Ich już tu nie ma.

* * *

Zgodnie z brzytwą Ockhama wytłumaczenie najprostsze jest też zazwyczaj najlepsze. A dla tej planety najprostsze wydawało się takie, że cywilizacja nigdy nie była tu zjawiskiem rodzimym, lecz importowanym z zewnątrz. Epizodem, i to zapewne stosunkowo krótkotrwałym, sądząc po ilości i rozproszeniu zachowanych śladów.

Interpretacja Mirskiego nie musiała być wcale jedyną możliwą, niemniej została zaakceptowana przez wszystkich jako ta, która najlepiej przystaje do faktów. Lecz również, a może przede wszystkim z tego powodu, że przywracała ich do świata, który daje się zmierzyć instrumentami i pojąć umysłami.

— I teraz już wiesz, skąd tlen? — Uśmiechnął się do Karlssona fizyk. — Próbowali terraformować martwy glob.

— To głębokie echo...

— Mhm... — potwierdził van Hoff. — Jestem pewien, że boty znalazły generator. Wciąż pracujący, tylko już bez niczyjego nadzoru.

— Zastanawia mnie, co poszło nie tak — rozmyślał głośno kapitan. — Może najzwyczajniej przesadzili? Chcieli za dużo, za szybko?

— Rozmachu im jednak odmówić nie sposób — stwierdził Brincev. — I technicznego kunsztu. Co ja bym oddał, żeby móc obejrzeć jedną z ich maszyn. Prawie osiemdziesiąt tysięcy lat i ciągle na chodzie!

— Rozmachu oraz gigantomanii — dorzucił geolog.

— Mówisz o posągu? — upewnił się inżynier.

— A o czym?

— Wiesz, nam też mógłby ktoś taki zarzut postawić. Takie piramidy, na przykład.

— *Dziesięć minut do aktywacji szczeliny* — poinformował uprzejmie statek. — *Współrzędne docelowe?*

— Omikron HL trzy zero sześć jeden jeden. — Kapitan powiódł wzrokiem po twarzach. — Tak?

— Skoro według obliczeń AHAB-a to jest najbliższy układ, z którego oni mogli

przybyć... — Karlsson rozłożył ręce.

— A jeżeli ich tam też już nie ma? — zaniepokoił się inżynier.

— Gdzieś są na pewno — odparł z głębokim przekonaniem Mirsky. — Koryfeusz, potwierdź.

— *Omikron HL trzy zero sześć jeden jeden, potwierdzam. Dziewięć minut i dwanaście sekund do aktywacji szczeliny. Otwieram refraktor.*

— Zrozumiałem — odparł kapitan. — No, panowie, czas do łóżek.

* * *

Odlecieli, zostawiając za sobą smugę zjonizowanego gazu i tylko dlatego, że tak nakazywał regulamin, parę geostacjonarnych mikrosatelitów. Dzień po opuszczeniu przez Koryfeusza systemu Reyeth-K700205 zaobserwowały one powstanie kilkudziesięciu bardzo aktywnych ośrodków barycznych na całej półkuli północnej, a niedługo potem również na południowej. Ośrodki połączyły się w dwa równoległe fronty, które potężniały i mknęły ku sobie, by w końcu zderzyć się nad równikiem. A kiedy globalna nawałnica ucichła, po prawie dwóch dniach, nic na powierzchni planety nie było już takie samo. Znikł płaskowyż, znikł sześcioramienny posąg wraz z całym swym otoczeniem. W miejscu zaś bazaltowych kolumn wyrosła statua nowa, równie gigantycznych rozmiarów, która przedstawiała lekko zgarbionego człowieka w błękitach i z wydatnym nosem.

Człowiek patrzył przed siebie, na równinę pełną kamiennych żagli z pomarańczowymi lampionami u szczytów, które pulsowały rytmicznie *tik-tik-tik. Tik. Tik. Tik. Tik-tik-tik*. Chyba musiało go to drażnić, bo mrużył oczy.

Andrzej Mischczak

PORYW

— Komandorze Larsen.

Leciał nad słonym oceanem, buraczkowozielonym od ciężko pracujących glonów, których zadaniem było nasycenie atmosfery tlenem. Jeszcze przed chwilą sunął nad wielkim kontynentem pokrytym dywanem pierwocin roślinności, leciał wprost ku małemu, żółtemu słońcu z nowo odkrytej klasy GVII, słońcu niestabilnemu, podejrzanemu o chwiejność emisji. Słońcu, które uniemożliwiało kolonizację.

— Komandorze Larsen, potrzebujemy pana w sterowni.

Głos Vallaverdiego odbijał się wewnątrz czaszki Larsena niczym piłeczka pingpongowa. W otwarte nagle oczy wdarło się światelko dyskretnie jaśniejące nad jego koją. W nanosekundę przypomniał sobie, kim jest i gdzie się znajduje. Z żalem pożegnał planetę o skomplikowanej i mało poetyckiej nazwie Jota/116/47, o której czytał w najnowszym numerze „Almanachu Kosmologicznego”, gdzie zawarto szczegółowe raporty z badań globu oraz jego słońca.

— Już idę — wybełkotał zaspanymi ustami, w których słowa nie były specjalnie oczekiwanymi gośćmi.

Wilgotną chusteczką przetarł twarz. Delikatna materia poszarpała się w zetknięciu z twardym zarostem. Włożył do ust miętówkę i wyszedł z kajuty.

Lecieli zwiększonym ciągiem, przyspieszenie wzrosło w stosunku do tego, przy którym kładł się spać kilka godzin temu. Szedł zatem pewnym krokiem przez lekko zaciemniony pokład, upstrzony tylko mdłym światłem rozwieszonych co kilkanaście metrów jarzeniówek. Liny nieważkościowe, ciągnące się wzdłuż ścian i pokryte samoświecącą farbą, też dawały matową poświatę. Mógł wydać polecenie zapalenia oświetlenia głównego, ale nie chciał burzyć na „Porywie” porządku pokładowej nocy. Szybkim krokiem doszedł do schodów i wbiegł do góry, raz tylko dotykając zimnej poręczy.

„Wejście tylko dla personelu gwiazdowego”, przeczytał napis na tabliczce. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wiedział, że ten tekst ma zrobić wrażenie na pasażerach „Porywu”, którzy – jak tylko on i jego ludzie przetestują statek – zaludnią jego kabiny, apartamenty i korytarze. Personel gwiazdowy – tak, to musiało robić wrażenie na dzieciakach czy panienkach, które by tutaj zbłądziły, snując się po meandrach pokładów.

Drzwi rozsunęły się, kiedy tylko przed nimi stanął, nawet nie zdążył wyciągnąć klucza. Wezglowia trzech z siedmiu foteli wieńczyły głowy. Siedzieli w nich Sunne, Omut i Blanco, a Vallaverdi stał przed ekranem optycznym. Ci pierwsi odpięli rękawy z mundurów Transgalaktiku i kłuli go w oczy karaibską opalenizną. Tylko Vallaverdi miał długie rękawy. No i on, Larsen. Jego zastępca skinął mu głową i wskazał drogę do kabiny łączności radiowej, przylegającej do sterowni. Tam zastali Janssena, który pochylał się nad Marwajkiem, a raczej nad jego plecami. Tamten z

kolei, ze słuchawkami na uszach, notował coś na kartkach. Ktoś nadawał morsem? Larsen spojrział na Vallaverdiego.

— „Albatros” wzywa pomocy. Jesteśmy dość blisko...

— Rozumiem.

Larsen zerknął na kartkę wypełnioną starannym pismem Marwajka. Pisał on szybko, ale wyraźnie, a tego właśnie wymagano od radiotelegrafistów. Obok jego łokcia leżało kolorowe czasopismo rozłożone na artykuły o „Koperniku”, pierwszym fotonowcu zbudowanym właśnie na orbicie Księżyca. Jego konstruktorzy stali się bohaterami mass mediów, inżynierowie niemal herosami, a przyszła załoga będzie miała z pewnością status bogów, pomyślał z ukłuciem zazdrości Larsen.

— Kiedy się odezwali?

— Pięć minut temu — odpowiedział Vallaverdi. — Podali tylko pozycję i nadali SOS, potem zamilkli. Próbowujemy się z nimi skontaktować.

— „Luna Główna”?

— Wiedzą. Będą wszystko koordynować. Wyczyszczą korytarze w całym sektorze. Jest tu kilka jednostek w pobliżu.

Zaskrzypiał długopis Marwajka i kartka znów pokryła się gąszczem liter.

»Albatros cztery« do wszystkich. Dostałem kamieniem. Poszycie zagrożone. Awaria stosu. Czekam na raport automatów naprawczych. Może być groźnie. SOS.

— Dostali meteorytem? — Vallaverdi aż cmoknął.

Zdarzało się to niezwykle rzadko. Lata minęły od wypadku Raymana na „Nehru”. Larsen podszedł do ściany i ściągnął z półki grubą księgę. Nie musiał długo wertować.

»Albatros«, dwadzieścia trzy tysiące ton. Kompania Zachodnia. Dowódca Igor Makadze. W służbie od...

Zamknął *Rejestr Lloyda*, zerknąwszy wcześniej na schemat tamtej jednostki.

— Tu „Tytan Aresterra”, zmieniam kurs. Będę oczekiwał na rozwój wypadków — usłyszeli z głośników.

„Tytan” też tutaj? Larsen, nie wiedzieć czemu, ucieszył się, że starszy brat „Porywu” — brat, który miał już na koncie kilka lotów między Marsem a Ziemią — znajdował się w pobliżu.

Gdy odkładał książkę na półkę, Larsenowi wydało się, że coś jest nie tak. Tom ciążył w dłoniach, jakby nagle przybyło w nim stron. Znacznie przybyło. Rzucił szybkie spojrzenie swemu zastępcy, ale Vallaverdi, pochylony nad radiotelegrafistą, nie sprawiał wrażenia, że coś zauważył. Dopiero po chwili skrzyżowali spojrzenia. Silniki ciągnęły mocniej. Janssen wyminął ich obu i wrócił na mostek.

— Skręt w długiej osi — wymamrotał mocno zdziwiony Drugi. — Dałeś polecenie?

— Co jest...? — szepnął pod nosem Larsen, kręcąc głową w odpowiedzi na pytanie swego zastępcy.

Ruszył w ślad za Janssenem. Przeciążenie tego rządu nie było dla niego wielkim problemem, ale czuł, że każdy kolejny krok jest trudniejszy do zrobienia.

Kiedy wszedł do sterowni, spojrzął prosto w czarne oko lufy paralizatora. Sunne stał mocno na nogach i patrzył na niego obojętnym wzrokiem. Tak samo beznamytnie przeszedł obok niego Janssen, który wracał zapewne po Drugiego i radiotelegrafistę.

— O co chodzi? — zapytał Larsen z pewnym trudem, nie wiedząc, czy to wzrastające przeciążenie, czy zaskoczenie zdusiło słowa w jego gardle.

— Siadaj — warknął Sunne, a lufa wskazała Pierwszemu, który fotel ma zająć. Po chwili w sterowni pojawili się Marwajek i Vallaverdi. Za nimi szedł Janssen z paralizatorem. Vallaverdi był naprawdę przerażony. Kiedy ostatni raz słyszano o akcie terroru w przestrzeni? Nie pamiętał tego zapewne żaden z nich.

Dotoczyli się do foteli, które zatrzasnęły ich w objęciach pasów. Klamry zaciągnęły się całkowicie. W międzyczasie Omut przesiadł się na fotel przy pulpicie stanowiska rezerwowego radiotelegrafisty. Gdyby pomieszczenie radiowców uległo zniszczeniu czy awarii, tutaj można było nadal prowadzić nasłuch. Dodatkowo to, co odbierał i nadawał radiotelegrafista, pojawiało się tu w formie tekstowej na jednym z ekranów, tak aby cała załoga miała wgląd w sytuację. Oczywiście za zgodą dowódcy. Larsen takowej nie wyraził, ale najwyraźniej nikt się jej brakiem nie przejął.

»Luna Główna« do »Albatrosa cztery Aresluna«. Czy macie skażenie na pokładzie stop odpowiadajcie morsem stop fonia nie dochodzi stop ile godzin możecie utrzymać ciąg awaryjny stop pelengowany dryf zero sześć koma dwadzieścia jeden stop odbiór.

— Co mam nadać? — Omut odwrócił się ku sterowni.

— Co tu się dzieje, do cholery? Staniecie przed Izbą Kosmiczną. — Larsen sam miał wrażenie, że groźba zabrzmiała mało poważnie, choć starał się panować nad swoim głosem.

— Że idziemy do „Albatrosa” — wycedził Blanco.

— Przegrzejesz reaktor... — wysapał po chwili ciszy Larsen. — Inne jednostki są w dogodniejszym położeniu.

Nadawali morsem, istniała bowiem groźba, że ktoś zorientuje się, iż to nie kapitan jest przy mikrofonie. Blanco był sprytny, a sytuacja mu sprzyjała. Mors od dawna był przecież obowiązującym sposobem porozumiewania w sytuacjach kryzysowych.

— Już jest przegrzany. — Sunne pozbawił kapitana złudzeń.

Larsen, Drugi i Marwajek siedzieli spętani pasami foteli. Sunne stał mocno na nogach, a Blanco zajął fotel dowódcy, skąd miał nie tylko najlepszy widok na ekrany, ale i dostęp do panelu sterowniczego.

Po ekranie bocznym popłynęły literki, w które zamieniały się impulsy morsa nadawane przez Omuta.

»Poryw dwa Aresluna« do »Luny Głównej«. Idę pełnym ciągiem do »Albatrosa« sektor 64 stop. Mam przegrzany reaktor mimo to idę dalej stop jestem sześć miliparseków od punktu zapelengowanego SOS koniec.

— Czego chcesz? — Larsen zwrócił się do Blanco. — Sławy? Zabijesz nas... — resztę słów zgniótł szczyt przyspieszeniowy.

To musi być ze dwanaście G, pomyślał Pierwszy. Spod przymkniętych powiek widział jednak dobrze, że Sunne, Janssen i Blanco nie odczuwają z tego powodu żadnych niedogodności. Funkcjonowali normalnie, tak jak i Omut, który cały czas pisał, a tekst pojawiał się na ekranie z mikrosekundowym ledwie opóźnieniem. Z kolei Vallaverdi i Marwajek milczeli, co mogło świadczyć o tym, że stracili przytomność.

I Larsen zrozumiał.

Od dawna mówiło się wśród komandorów i wysokich oficerów o pracach nad androidami – nazywanymi nieliniowcami – które w założeniu miałyby obsługiwać loty pasażerskich statków w obrębie Układu. Chociaż plotkowało się ledwie o projektach, w tych plotkach było sporo szczegółów technicznych, tak jakby były to już kontrolowane przecieki. Czasem coś nawet wypływało do mediów. Ostatnio Larsen słyszał o jakimś owianym tajemnicą wypadku w laboratorium COSNAVU gdzieś w środkowych Stanach. Ponoć technik, który oszalał, zamordował kilku naukowców, kilku wziął jako zakładników i nie było innego rozwiązania niż zniszczenie budynku, w którym miała miejsce ta masakra.

Niektóre portale donosiły, że to nie technik, lecz właśnie automat nieliniowy się zbuntował. Snuto rozmaite domysły. Larsen teraz również o tym myślał. Czy to możliwe, że właśnie jemu trafili się... Czemu nie? Transgalaktik podpisał z nim kontrakt na ten lot testowy dość pośpiesznie, przystając na jego wysokie żądania finansowe. Teraz, z perspektywy czasu, wyglądało to trochę podejrzanie. Komandor zaraz się jednak uspokoił, kiedy przypomniał sobie, że nieliniowcom wbudowywano ponoć specjalne inhibitory, tak zwane układy wyładowania wstecznego, amortyzujące potencjały agresji. Był bezpieczny, to znaczy miał nadzieję, że te egzemplarze, testowane najwyraźniej teraz w przestrzeni kosmicznej, również zostały w nie wyposażone.

Pogrzebał w pamięci, ale nie znalazł śladów wskazujących, że przez te kilkanaście dni miał do czynienia z nieлюдźmi. Z anielami, jak też o nich żartobliwie mówiono. Oni również pocili się, krwawili... Pewnie wewnętrzna powierzchnia ich skóry została zaprojektowana jako gąbka nasączona jeszcze w laboratoriach sztuczną krwią. Doskonała iluzja, bo przecież widział nieraz ich klatki piersiowe, unoszące się w rytmie niepotrzebnego, jak się okazało, oddechu. Gdyby wiedział... Gdyby tylko podejrzewał, że coś takiego stanie się jego udziałem, mógłby przecież dodać do posiłków po kropli apomorfiny. Ludzie pochorowaliby się, androidy nie, miałyby pewność. Ale przecież nie miał pojęcia...

Co jednak pchnęło ich do tego aktu terroryzmu? Dlaczego akurat „Poryw” ma ratować „Albatrosa” kosztem przegrzanego reaktora, możliwych poparzeń czy

uszkodzenia jednostki? Tego Larsen także nie wiedział.

»Albatros cztery« do wszystkich. Leżę w dryfie elipsa T341 sektor 65 stop poszycie kadłuba otwiera się dalej stop grodzie rufowe puszczają stop ciąg awaryjny reaktora 0,3 G stop reaktor wychodzi z kontroli stop przegroda główna uszkodzona w wielu miejscach stop skażenie na pokładzie trzeciego stopnia wzrasta pod wpływem ciągu awaryjnego stop usiłuję cementować stop przeprowadzam załogę na dziób koniec.

– przeczytali z ekranu komunikat zapisany przez Omuta.
Koordynatorzy akcji odezwali się niemal natychmiast.

»Luna Główna« do »Albatrosa cztery Aresluna«. Idą ku wam »Poryw« sektor 64 »Tytan« z sektora 67 »Balistyczny osiem« z sektora 44 »Kobold siedem zero dwa« z sektora 94 stop cementujcie przeciek przegrody w skafandrach za tarczami przy naciśnięciu stop podajcie bieżący dryf awaryjny stop.

– Nnnie musimy.... Idą inni – wycharczał Larsen.

– Powtarzasz się – warknął Blanco.

W jego oczach – kiedy wreszcie, po raz pierwszy od początku tego... buntu, spojrzął na kapitana – nie było życia. Teraz Larsen to dostrzegł. Oczy Blanca były jakieś matowe, jakby nigdy nie zwilżyły ich łzy albo nie podrażniło ostre słońce. Nie miały... żadnej historii. Czy zawsze takie były, a on, dowódca, tego nie zauważył? Czy naprawdę wcześniej nie patrzyli sobie w oczy?

– Będziemy potrzebowali każdego. Na naszym świecie – powiedział wreszcie tamten.

O czym on, u diabła, mówi?, zdołał tylko pomyśleć Larsen. Kątem oka zauważył, że głowy Vallaverdiego i Marwajka opierają się bezwładnie na lewych ramionach. Może to jest znak rozpoznawczy człowieczeństwa, zastanowił się głupio Larsen. Te głowy zawsze spadające na lewą stronę? Równocześnie zaszedł w jego neuronach inny proces myślowy.

– Na „Albatrosie” też są tacy jak wy? – zapytał. – Nieliniowce? To ich chcecie ratować?

Słowa z trudem opuszczały usta Larsena, ale na ćwiczeniach był najlepszy na roku. To zobowiązywało. Gdyby taśmy z zapisem wydarzeń na „Porywie” dostały się kiedyś w ręce kolegów, musiał trzymać fason, nawet przy 12 G.

– I co znaczy „na waszym świecie”?

– Nieliniowce. Co za głupia nazwa. – Blanco stanął plecami do Larsena, a przodem do ekranu. – Że niby wy jesteście liniowcami? – kontynuował. – A co to niby ma znaczyć?

Kapitan milczał. Janssen wbił w niego wzrok, jakby oczekując jakiejś riposty ze strony człowieka. Nie doczekał się jednak.

– Nasz świat...? – odezwał się znowu Blanco. – To proste. Świat, w którym nie będziemy gorsi od was. Świat, w którym nie będziemy... inni. Bo was tam nie będzie.

Teraz wiemy, że taki świat istnieje i czeka. Na nas, nie na was.

— O czym... — Larsen szarpnął się w fotelu. W tej samej chwili, w której poczuł wrzynające się jeszcze głębiej w ciało pasy, przypomniał sobie o leżącym w jego kajucie „Almanachu”. I artykule o Jocie/116/47. O nowym świecie, niestety, według astrofizyków nieprzeznaczonym dla ludzi. Nie dla ludzi, ale...

Był oddalony o dziesięć lat świetlnych. Przy obecnej technice na statku klasy „Porywu” lecieliby tam wiele lat. Już nie wspominając o kwestii paliwa. Musieliby dysponować inną jednostką, ot, choćby takim „Kopernikiem”. Na nim dolecieliby tam w kilkanaście lat. Ale właściwie czym dla nich jest czas? Wyłamani z uległości wobec biologicznych nakazów, pchani marzeniami o własnym świecie, świecie bez ludzi...

Larsenowi stanęły przed oczami relacje z demonstracji przeciw wprowadzaniu do obiegu nieliniowców, które parę lat temu przetoczyły się przez świat, kiedy jeden z naukowców chlapał przed kamerami, że taki czas jest bliski. Potem badania i eksperymenty utajniono, ale opinia publiczna już swoje wiedziała. To, czy androidy miały mózg umiejscowiony w brzuchu, czy pod czaszką interesowało ją dużo mniej. Z drugiej strony, skoro powołano ich do życia, trudno się dziwić, że chcieli żyć tam, gdzie nie groziłoby im żadne niebezpieczeństwo z naszej strony? Ani etyczne, ani prawne.

Zrodziło się zatem w ich mózgach – powstałych ponoć w procesie powolnej hodowli monokryształów, w tym multistacie monokrystalicznym z szesnastoma miliardami elementów dwójkowych – pragnienie... wolności?

Może ten krystaliczny mózg dawał im jakieś ekstra umiejętności, nieprzewidziane przez inżynierów? No bo jak się porozumiewali? Skąd wiedzieli, ilu ich jest i gdzie służą? W następnej chwili na mózgu Larsena, tym prawdziwym, zbudowanym z neuronów, a nie kryształów, osiadła mgła konstatacji: że cały ten koncept, w który wprowadził go Blanco, jest taki... ludzki. Uciec, stworzyć utopię z dala od reszty świata. Przecież nie oni pierwsi na to wpadli. Blanco, jeśli to on wszystko wymyślił, był teraz dla Larsena bardziej podobny do swoich konstruktorów, niż tamci będą kiedykolwiek skłonni przyznać.

— Wyślij automaty naprawcze do stosu — wyrwał go z zamyślenia głos nowego dowódcy „Porywu”, wydającego polecenie Janssenowi.

— Nie odpowiedziałeś na pytanie, czy na „Albatrosie” są tacy jak wy? Ilu? — cisnął Larsen.

— Tak. Jesteśmy na „Albatrosie”. I na innych transportowcach. Jesteśmy też na „Tytanie”, „Herkulesie”, „Atlasie”, „Huraganie”, „Orkanie” i paru kolejnych „pasażerach”. Jest nas wystarczająco wielu, żeby...

— COSNAV ma ostatnio same sekrety. — Pierwszemu przyszło do głowy, że incydent w laboratorium w Stanach był w jakiś sposób powiązany z wydarzeniami, w których przyszło mu uczestniczyć tutaj, na „Porywie”.

— Mieliśmy pomóc w zwiększeniu wydajności kompanii turystycznych poprzez skrócenie czasu lotów — dokończył spokojnie nieliniowiec. — Pomnożyć zyski koncernów wydobywczych przez szybsze i bezpieczniejsze transportowanie rudy z

asteroidów. Jesteśmy lepsi niż ludzie, lepsi niż zautomatyzowane systemy sterująco-nawigacyjne.

Larsen miał wrażenie, że tamten cytuje po prostu fragment prospektu COSNAV-u.

— Pasażerowie nie wytrzymają...

— Być może zatem to was trzeba przeprojektować. — Blanco nie odwrócił głowy od monitora. — Albo poddawać hibernacji na czas rejsów. Zresztą, to już nie nasza sprawa — uciał, bo na ekranie pojawiły się słowa spływające spod długopisu Omuta.

»Albatros cztery« do wszystkich. Dryf awaryjny nieopanowany stop wręgi kadłuba puszczają stop tracę powietrze stop załoga w skafandrach stop maszynownia pod roztworem tarcze przebite temperatura w sterowni 63 stop pierwszy przeciek w sterowni zacementowany stop roztwór wrze stop zalewa główny nadajnik stop odtąd będę miał łączność tylko na fonii czekamy na was koniec.

„Poryw” jeszcze zwiększył szybkość. Larsen miał wrażenie, że jego kości zaraz popękają jak wręgi kadłuba „Albatrosa”.

— „Tytan Aresterra” do „Albatrosa cztery” — usłyszeli w sterowni. — *Idziemy do was pełnym ciągiem. Jesteśmy na granicy waszego sektora. Będziemy za godzinę. Próбуйте wyjść przez klapę awaryjną. Będziemy przy was za godzinę. Idziemy pełnym ciągiem. Trzymajcie się. Trzymajcie się. Koniec.*

— Będziemy przed „Tytanem”, jeśli utrzymamy prędkość — to był Janssen.

— Sami będziemy potrzebowali pomocy. Jesteście szaleńcami. Po takiej akcji możecie zapomnieć...

— Stul pysk — warknął któryś z nieliniowców.

»Albatros cztery« do »Tytana«.

„Albatros” jednak znów odezwał się morsem.

Nie utrzymam się przez godzinę na pokładzie stop właz awaryjny zaciśnięty pękającymi wręgami stop temperatura w sterowni 81 stop para wypełnia sterownię stop będę próbował przeciąć pancierz dziobowy i wyjść koniec.

— Za minutę wchodzimy w sektor „Albatrosa”.

Larsen miał wrażenie, że wypowiedzenie tych słów sprawiło Blancowi sporo trudności. Czyżby zbliżał się do granicy swojej wytrzymałości na przeciążenia?

— „Tytan Aresterra” do „Albatrosa cztery” — głos kogoś z „Tytana” rozbrzmiał znowu w sterowni „Porywu”. — *Będziemy przy was za pięćdziesiąt minut. Nadejdziemy kursem osiemdziesiąt cztery koma piętnaście stop osiemdziesiąt jeden koma dwa stop opuszczajcie statek. Opuszczajcie statek. Znajdziemy was na pewno. Trzymajcie się. Koniec.*

Znów zaklinanie rzeczywistości, pomyślał gorzko Larsen. Nagle jego trzewia rozdarł przenikliwy krzyk dobywający się z głośnika. Zmiksowany z szumami i

trzaskami, przez ułamek chwili odbijał się między ścianami.

— „Albatros”... *wszystkich... roztwór... sterowni... temperatura... niemożliwe... załoga do końca... żegnajcie... przewody...*

Głos urwał się zniemacka i Larsenowi wydawało się, że w tej pustce dobiegł jego uszu gardłowy krzyk, coś w rodzaju: „Idą!” albo „Są!”. Ale już w następnym momencie był pewien, że to tylko omam, nikt z pozostałych najwidoczniej nic nie usłyszał. Głośnik zaraz rozdarł się kakofonicznym wielogłosem. Wszystkie statki prosiły, aby „Albatros” raz jeszcze się odezwał. Ale odpowiadała im cisza.

Omut spojrział z jakimś smutkiem na Blanca, jakby przepraszał go za poszarpany komunikat z „Albatrosa”.

— Zabraknie czasu — odezwał się Larsen, choć chciał, tak bardzo chciał, żeby nie była to prawda.

— Bzdura! — wydarł się Sunne. — Słyszałeś przecież, załoga dotarła do końca. Pewnie zaraz zacznie ciąć dziób...

Larsen miał wrażenie, że słuchali strzępków dwóch różnych komunikatów. Najwyraźniej oni też, podświadomie, potrafili oszukiwać samych siebie.

— Widzę „Albatrosa” — powiedział spokojnie Janssen i dał obraz na główny ekran. Larsen przekrzywił głowę w stronę bocznych foteli, gdzie tamten siedział. Każdy człowiek w takiej sytuacji pewnie krzyknąłby z podniecenia, ale nieliniowiec obwieścił to spokojnie, jakby mówił o czymś zwyczajnym. Na ekranie jarzyła się czerwona kropka wieńcząca rufę zagrożonego statku. Nie wróżyło to niczego dobrego, tym bardziej że na „Albatrosie” nie paliły się żadne światła. W rogu ekranu widniał zbliżający się punkcik. „Tytan” albo „Balistyczny” troszkę się spóźnił.

— Jesteśmy w sektorze „Albatrosa”. Wywołuj ich — polecił Omutowi Blanco i usiadł w fotelu. Zanim radiotelegrafista nieliniowiec wykonał polecenie, usłyszeli komunikat z „Luny Głównej”, nadzorującej całą akcję ratunkową.

— *„Luna Główna” do wszystkich w sektorach 66, 67, 68, 46, 47, 48 i 96. Ogłaszam sektory zamkniętymi. Wszystkie statki, które nie idą pełnym ciągiem do „Albatrosa cztery”, mają natychmiast zastopować i postawić reaktory na jałowy bieg oraz zapalić światła pozycyjne. Uwaga „Poryw”! Uwaga „Tytan Aresterra”! Uwaga „Balistyczny osiem”! Uwaga „Kobold siedem zero dwa”! Mówi do was „Luna Główna”. Otwieram wam wolną drogę do „Albatrosa cztery”.*

— Automaty zacementowały drobny przeciek — powiedział milczący od dłuższej chwili Sunne, który śledził na jednym z monitorów pracę robotów wokół reaktora. Larsen nastawił uszu. Zdało mu się, że usta tamtego nadały terminowi „automaty” pogardliwe brzmienie. Poczul się dziwnie, kiedy to zauważył, bo to znaczyło, że nieliniowce nie różnią się aż tak bardzo od ludzi. Stos „Porywu” zaczynał robić bokami. Za chwilę cementowanie trzeba będzie powtórzyć, pomyślał, ale ze zdumieniem spostrzegł, że przyjął to bez specjalnej ekscytacji.

— Jest łączność z „Albatrosem”? — zapytał nowy dowódca.

Omut tylko pokręcił głową. W tym geście też było coś ludzkiego. Mieszanka smutku, rozpacz, ale i nadziei, że wkrótce nawiążą łączność. Zupełnie inaczej niż u Janssena, obwieszającego, że widzi „Albatrosa”.

Larsen poczuł się skołowany. Czy oni też tak różnią się jeden od drugiego, jak różnią się ludzie?

— „Poryw Aresterra” do wszystkich idących z pomocą „Albatrosowi cztery” — odezwał się na fonii Blanco. — Jestem na optycznej „Albatrosa” „Albatros” dryfuje w przybliżeniu elipsą T348. Rufa żarzy się wiśniowo. Światła sygnałowych brak. „Albatros” nie odpowiada na wezwania. Stopuję i zaczynam akcję ratunkową. Koniec.

— *Peer, to ty? Co z waszym reaktorem? Idziecie brawurowo...*

Blanco, speszony, wyłączył fonię. Larsen poznał ten głos. Klimasz. Znali się trochę No tak, jego „Kobold” też przecież jest w sektorze.

— Gdybyśmy mieli pasażerów na pokładzie, gdyby to nie był lot testowy... Też byś...? — zapytał.

Blanco wstał z fotela. Z Janssenem i Sunnem musieli się porozumiewać bez słów czy co, bo tamci dwaj wstali razem z nim. Blanco jeszcze zerknął na Larsena i było w tym przelotnym spojrzeniu tyle pogardy, że człowiek, mimo iż tego nie chciał, uciekł ze wzrokiem. Pogarda w spojrzeniu, pogarda, gdy mówią o automatach... Nie są inni od nas, są naszymi nieodrodnymi dziećmi, choć tak bardzo chcą się tego wyprzeć.

Omut zdjął słuchawki i opuścił miejsce radiotelegrafisty.

— Zostaniesz z nimi. Pilnuj ich, jeśli się ockną — rozkazał Blanco.

Omut przyjął polecenie bez grymasu. Czy hierarchię mieli ustaloną już wcześniej, czy powstała *ad hoc*?

— A wy dokąd? — Larsen zaczął gmerać przy pasach, ale klamry pozostawały zamknięte.

Pytanie było głupie, wiedział przecież, że tamci pójdą na ratunek „Albatrosowi”. Czy raczej tylko nielinowcom z „Albatrosa”? Ale może nie. W końcu im więcej żywych ludzi zakładników, tym większe szanse na ugranie czegoś dla siebie. Starał się wczuć w sytuację anieli. Dlatego chcieli być pierwsi przy „Albatrosie”. Uratować swoich, ale też przejąć ludzi. A potem zażądać... Czego? Przypomniał sobie czasopismo leżące w kabinie łączności radiowej. „Kopernik”. Teraz wszystkie klocki ułożyły się w głowie Pierwszego w logiczną całość.

— Chcę iść z wami.

Blanco zatrzymał się przed wyjściem ze sterowni. Popatrzył na Omuta, na nieprzytomnych Vallaverdiego i Marwajka oraz na Larsena.

— To niebezpieczne. Możesz zginąć, a przecież chcesz żyć. Masz szansę żyć. Dobrze ci radzę, zwalcz ten odruch. Działaj zgodnie z logiką. Zresztą, będziesz nam potrzebny.

— Wiem. Ale tam też są ludzie. Niektórzy mnie znają, łatwiej im będzie rozmawiać ze mną, z człowiekiem. Oni też się wam przydadzą, przecież wiecie. Może i jesteście dobrzy w obliczeniach i zagadnieniach mechaniki niebieskiej, ale nie macie pojęcia o mechanice psychicznej człowieka. Najmniejszego...

Umilkł.

Klamry pasów fotela puściły nagle z cichym mlaskiem. Larsen spojrział przelotem na Omuta, który skupił się na pozostałych członkach załogi. Radiotelegrafista i

Drugi nadal pozostawali nieświadomi tego wszystkiego, co się działo na statku.

* * *

Regularnie zwalniali spusty pistolecików, zbliżając się do dryfującego obelisku, jakim teraz był „Albatros”. Sunne trzymał tubę lasera, ale mimo to nie pozostawał w tyle. Larsen przyglądał się im wszystkim i każdemu z osobna. Było coś dziwnego w ich sylwetkach. Nagle poczuł przemożną chęć walnięcia się otwartą dłonią w hełm. Tak, żeby aż panglasyt zadrżał od siły uderzenia. Oni nie mieli butli z tlenem. Tylko on z całej czwórki dźwigał garb.

Przez następnych kilka chwil Larsenowi zdawało się, że unosi się w powietrzu w otoczeniu aniołów. Anielów. Myśl, że to ani anioły, ani ludzie, przysłała w następnej chwili.

— Mieli spróbować przeciąć pancerz dziobowy i wyjść na zewnątrz — przypomniał Omut w słuchawkach. Blanco, płynący obok Larsena, kiwnął kulą hełmu.

Gazem z pistolecików skorygowali tor lotu. Jarząca się na czerwono rufa zaczęła znikać im z pola widzenia. Kiedy zobaczyli dziób, nie mogli ukryć rozczarowania. Nie było nikogo. Jego powierzchnia pozostawała nieskazitelna. Najwyraźniej nie udało im się przeciąć pancerza, a co za tym idzie — wydostać na zewnątrz. Gdyby cięcie zakończyło się sukcesem, Larsen i reszta odholowałiby ich na pokład „Porywu”. Nadzieje, jak się okazało, były płonne. „Albatros” miał dziewięcioosobową załogę, przewoził zapewne jakieś rudy, na pokładzie znajdował się ciężki sprzęt. Wydawało się, że powinni sobie poradzić. To nie to samo co pasażerski, w którym, w sytuacji kryzysowej, trzeba myśleć o kilkudziesięciu — albo i więcej — osobach na pokładzie, niezających procedur, trudnych do opanowania. Ale i załozde „Albatrosa” najwyraźniej się nie powiodło.

— Temperatura rośnie — usłyszeli pozbawiony emocji głos Omuta.

Po jego słowach zaległa cisza. Czekali na decyzję Blanca.

— Spróbujemy dostać się do środka od strony dziobu — powiedział wreszcie tamten. — Powinni być wewnątrz, gdzieś w pobliżu.

Blanco najwyraźniej nie tracił nadziei, że ktoś z załogi „Albatrosa” jeszcze żyje, pomyślał Larsen. Trochę mu tej wiary zazdrościł. Przypomniał sobie, że jak dotąd nie dowiedział się od samozwańczego komandora, ilu ich — nielinowców — było na uszkodzonej jednostce. Jednak nie zapytał o to.

— Temperatura rośnie z każdą chwilą, podobnie jak prawdopodobieństwo wybuchu — zabrzmiało znowu w słuchawkach.

Wisiele tak obok truchła „Albatrosa”, a Sunne zaczął zabierać się do cięcia pancerza. Kula hełmu Blanca odbijała fragment martwego kadłuba, który przesłaniał gwiazdy.

— Robi się niebezpiecznie. Chcesz walczyć do końca, rozumiem to. Ja też chciałem — podjął znowu Larsen. Miała to być część zaimprovizowanej dłuższej tyrady, ale zaciął się i słowa zawisły w próżni. — Jednak... — spróbował znowu. Też bez skutku.

Ruchem głowy wskazał „Albatrosa”, tylko tyle potrafił zrobić. Czuł na sobie ich spojrzenia, jak świdrują go przez kulę hełmu. Niemal dostrzegł pęknięcia na powierzchni panglasytu.

— Nie odczuwamy strachu, więc będziemy próbować, dopóki istnieje szansa. Zresztą, to nie jest pora na dyskusje — warknął w końcu Blanco w słuchawce Larsena. — Ale może opublikujesz swoje przemyślenia w „Przeglądzie Cybernetycznym”, kto wie?

— Wracajmy — to był Janssen.

Wyłom wśród buntowników?, zastanowił się Larsen. I przypomniało mu się, że niedaleko, też w części dziobowej, znajdował się właz transportowy, który można było otwierać z zewnątrz. Takie rozwiązanie na wszelki wypadek. Kilka szczegółów konstrukcyjnych statków klasy „Albatrosa” zapamiętał z rejestru, który wertował ledwie kilka godzin temu, kiedy Drugi go obudził. Kilka godzin, a miał wrażenie, że minęło wiele dni. Powiedział o włazie pozostałym i zaraz popłynęli w jego kierunku. Zdjął wmontowaną w panceramit statku pokrywę magnetyczną i chwilę później Blanco mógł poinformować Omuta, że wchodzi do „Albatrosa” i łączność się urwie.

* * *

— Tu nikogo nie ma.

Wewnątrz „Albatrosa” nikt ich nie przywitał. Załodze nie udało się przeciąć pancerza, to już wiedzieli, ale tamci powinni znajdować się gdzieś niedaleko, przebijali się przecież w kierunku dziobu. Tak jeszcze przed paroma minutami myśleli ludzie Blanca. „Ludzie Blanca”... Larsenowi zachciało się śmiać. Czy nieliniovcy w ogóle mają poczucie humoru? Nie przypominał sobie, aby widział kiedykolwiek śmiejących się anieli.

Zerknął na umieszczony na nadgarstku panel pomiarowy. Odczyty wskazywały, że nie było tu śladowego nawet skażenia. Rozejrzał się. Unieruchomione w kleszczach chwytaków stały dwa nieduże łaziki górnicze. Powinny też być roboty, ale nie widział żadnej maszyny. Zapewne Makadze rzucił wszystkie do walki z przeciekiem. Niczym nurkowie przepłynęli przez halę, oświetlając drogę latarkami. Dotarli do włazu, za którym powinna znajdować się śluza, a gdzieś za nią główny korytarz. Teraz geigery zaterkotały równocześnie, jakby ktoś wydał im polecenie. Za włazem rozciągało się królestwo skażenia. Zbyt długo nie będę mógł tu przebywać, pomyślał Komandor.

— Znajdę windę i zjadę do sterowni — odezwał się po chwili.

— To nierozsądne. Wiemy, że uciekali ze sterowni na dziób — powiedział Sunne.

— Dobrze byłoby zabrać zapisy — zaproponował Larsen.

Nie wiedział, jak tamci zachowaliby się, gdyby zechciał postawić na swoim. Ale czy warto to sprawdzać? Chciał żyć. Jeśli nie da się tutaj nikomu pomóc, trzeba zadbać o siebie. To wydawało się logiczne. Logiczne... Logika ponad wszystko. Znów zauważył podobieństwo do anieli. Ale nie! Uspokoił się. Maszyna logiczna nie może mieć naraz kilku wykluczających się programów działania. Mózg może je mieć, zawsze je ma. Tak jak on teraz. Chce żyć, ale skoro już tu jest, chce też przecież się

upewnić, że na „Albatrosie” nie ma już kogo ratować.

Nie jestem do nich podobny, skonstatował z ulgą. Nie jestem!

— Jakie zapisy? Słyszałeś przecież, że temperatura w sterowni rosła szybko. Wrzący roztwór, przebite tarcze. Był przeciek, pewnie niejeden. Jeszcze zanim uciekli ze sterowni, główny komputer z pewnością został zniszczony. Nie istnieją już żadne zapisy — Blanco mówił bardzo spokojnie, jakby tłumaczył oczywistości nierozgarniętemu dziecku. — Podejrzewasz, że nieliniowce...

— Niczego nie podejrzewam, jestem pewien. — Tym razem Larsen przerwał ostro, jakby to miało przypomnieć im, kto wedle regulaminu jest tutaj dowódcą. — Laboratorium COSNAV-u, „Albatros”, „Poryw”, tamta planeta, „Kopernik”...

Dostrzegł, że tamci wymienili szybkie spojrzenia, ale udał, że tego nie zauważył. Podpłynął jeszcze kawałek. Coś przykuło jego uwagę. Skierował światło latarki w tamto miejsce. Kupki cementu, niczym psie odchody, upstrzyły podłogę tuż obok wjazdu. Zaklął głośno, a wszystkie kule helmów skierowały się ku niemu.

— Wjazd jest zacementowany. — Larsen znowu zaklął. — Od tej strony, czyli z zewnątrz głównego korytarza. Jak to, do cholery, moż...

Nie skończył. Teraz scenariusz wydarzeń na „Albatrosie” wydał się kapitanowi oczywisty. Załoga jednak dostała się na dziób, a przynajmniej do sąsiadującego z nim magazynu robotów. Zacementowała wjazd, zostawiając po drugiej stronie skażenie. Ale gdzie, do cholery, są teraz, skoro nie było ich ani tutaj, ani na zewnątrz statku? Nawet jeśli tylko część załogi zdołała... Przypomniał sobie okrzyk, który jak mu się zdawało, przez chwilę słyszał z głośników na „Porywie”. „Idą”. „Są”. Wydobyte z pamięci słowa zabrzmiały znów w jego uszach. Głos nie do rozpoznania, jeśli to w ogóle był głos, a nie przypadkowe połączenie szumów, trzasków i zakłóceń. Czy tamte słowa, jeśli rzeczywiście je wykrzyczano, były jedynym świadectwem próby przejęcia statku — takiej jak na „Porywie”? Z tą tylko różnicą, że tutaj ludzie stawili opór. To miał być dzień buntu, dzień rozpoczęcia budowy utopijnego nowego świata nieliniowców. Po falstarcie w Stanach kilkanaście dni temu teraz zabrali się do sprawy ponownie, wiedząc, że nie ma na co czekać.

Czy wystarczy być posłusznym, aby przeżyć? — doszedł do głosu instynkt przetrwania. Miał nadzieję, że tak właśnie to się skończy. Najwyżej wszyscy zostaną zakładnikami wymienionymi na „Kopernika”.

Światła latarek — najpierw chaotycznie, a potem w sposób bardziej systematyczny — zaczęły omiatać magazyn.

— Coś tu nie gra — ponownie wyraził swoje wątpliwości.

Snop światła wreszcie wyrwał z objęć ciemności jakiś kształt, a zaraz potem kolejny. Larsen podciągnął się tam, a za nim pozostali. Przy ścianie — przymocowany do niej kotwami z tytanitu — stał osmalony automat naprawczy. Manipulatory miał upstrzone grudkami zaschniętego cementu, a u jego stóp pływało ciało oraz butla z tlenem. Larsen, przewyciężając atawistyczny lęk, dotknął zwłok. Oświetlił naszywkę na skafandrze ozdobioną ikonką personelu technicznego. Była pomazana jakimś smarem.

— Urnaut — odczytał. — To... wasz? Znacie go? — zapytał.

Odpowiedziała mu przedłużająca się cisza.

— No, znaliście go czy nie? Ta tchórzliwa gnida, która zostawiła towarzyszy po drugiej stronie włazu na pastwę promieniowania, zdążywszy wcześniej porwać ze śluzu skafander ze zbędną mu butlą, była nieliniowcem? — krzyknął Larsen. — Pewnie tak, a tlen, hełm i skafander służyły mu do końca dla zmylenia ludzi. Dawaj laser, przetniemy go, upewnimy się, że ma kable, a nie flaki...

Tamci zbili się w ciasną gromadkę, jak zastraszone przez drapieżnika gazy. Gazy w nieważkości.

— Zacementował właz... Bez zmrużenia oka poświęcił ludzi, ale też i swoich, bo przecież było ich tu kilku, prawda?! To samo chcecie zrobić ze mną i moimi ludźmi? — Larsen poświecił latarką w szybę hełmu Blanca. — Na „Albatrosie” coś jednak poszło niezgodnie z planem, prawda?

— Dlaczego myślisz, że to był nieliniowiec? — przerwał mu pytaniem Blanco.

Teraz Larsen milczał. Nie mieściło mu się w głowie, że można zacementować właz i zostawić towarzyszy po jego drugiej stronie, skazując ich na śmierć, ale coś takiego mógł przecież zrobić nie tylko android. Choć Larsen wierzył, że człowiek tak by się nie zachował. Hełm, butla i skafander mogły być elementami gry prowadzonej z załogą. On też przecież nie miał początkowo pojęcia o nieludziach na pokładzie „Porywu”. Z drugiej strony, jeśli dobrze przejrzał ich strategię — androidom powinno zależeć, żeby zdobyć jak najwięcej ludzkich zakładników. Po co zatem mieliby ich zabijać, zostawiając na żer promieniowania? Przychodził mu do głowy tylko motyw obrony własnej, ale taki scenariusz mógł sugerować, że Urnaut był człowiekiem uciekającym przed androidami. Potrzebowali dochodzenia, żeby to wszystko wyjaśnić.

Jednak jego pewność co do scenariusza wydarzeń na „Albatrosie”, jaką miał jeszcze przed chwilą, już się zachwiała.

— Wracamy? — to był Janssen.

— Możemy próbować ciąć właz — zaproponował któryś z nieludzi.

— Nie mamy zbyt wiele czasu. Jeśli w ogóle — powiedział Sunne, a potem sprawdził laser.

Larsen prawie czuł te ciężkie spojrzenia, które na nim spoczęły. Nieludzkie spojrzenia.

— I co dalej? W zamian za nas dostaniecie „Kopernika” — i co? Polecicie do gwiazd? Założycie tam kolonię? A może do takiej wymiany nie dojdzie? Braliście to pod uwagę? Gdybyście mieli kilkudziesięciu zakładników, to może, ale... — Pytania Pierwszego, które przeraziły i jego samego, zawisły teraz w beztlenowej ciszy. — Nie boicie się śmierci, prawda?

— Mylisz się. Nikt z nas nie chce... odejść. Każde istnienie jest lepsze od nieistnienia. Urnaut też chciał... żyć. — Blanco zaakcentował ostatnie słowo. — Tam, po drugiej stronie włazu, mógł przecież zostawić martwych. Mógł być ostatnim żywym. A może uciekał przed kimś? Przed ludźmi, którzy zorientowali się, że nie jest człowiekiem?

Odwrócił zwłoki — czy to w ogóle było dobre określenie? — Urnauta tak, by

widzieli plecy. Dziura po laserowym blaście ziała przeraźliwie, odsłaniając metalowy rdzeń udający kręgosłup. Blanco spojrział na Larsena. Komandor nie mógł odszyfrować, co mówi mina aniola. Czy to był smutek, wyrzut czy oskarżenie? Pewnie wszystko po trochu. Czyżby jednak Blanco miał rację? Urnaut starał się uratować nie tyle przed skażeniem, ile przed ludźmi?

— Właśnie dlatego warto zdobyć zapisy — wszedł mu w słowo Larsen. — One przecież mogą oczyścić nieliniowców, jeśli było inaczej, niż JA myślę.

Miał świadomość, że to, co mówił Blanco, ma teraz więcej sensu niż jego hipoteza — Urnaut, nieliniowiec, chcąc ratować siebie, skazał pozostałych na śmierć.

— Był jedynym nieliniowcem na tej jednostce. I miał wystarczająco wiele zdrowego rozsądku, żeby się nie buntować... Sam przeciwko ośmiu ludziom? — Blanco nie spuszczał wzroku ze zwłok Urnauta, jakby czekał, aż tamten wstanie i potwierdzi jego słowa. — A sterownia, główny komputer i te cholerne taśmy już nie istnieją, mówiłem ci przecież.

Larsen chciał przyjrzeć się dokładniej ciału androida, ale nieliniowcy zwarli szereg, zastępując mu drogę.

— Potrzebne będzie dochodzenie. Chodzi o sprawdzenie, czy system ostrzegający przed meteorytami zawiódł, czy może został celowo uszkodzony. To ważne dla bezpieczeństwa żeglugi.

Przerwał, bo skrzyżował spojrzenie z wylotem lufy lasera trzymanego przez Sunnego.

— Nie zrobisz tego. — Pierwszy niepewnie odezwał się do nieliniowca. — Masz wbudowany inhibitor...

— ... który absolutnie nie determinuje naszych zachowań — przerwał mu Blanco. — Zwiększa tylko ich prawdopodobieństwo. Nie wszystko da się ująć w karby programowania. Powinieneś to już wiedzieć.

Nieliniowiec dotknął rękawicą szyby hełmu Urnauta, jakby chciał zamknąć mu powieki.

W oczach Sunnego, które Pierwszy widział teraz przez panglasytową szybę, nie było żadnego uczucia, nie było... życia. Rozjaśnił je błysk, lecz to tylko hełm odbił blask laserowego strzału. Larsen umarł niezmiernie zaskoczony, że nie zostanie kartą przetargową w walce o „Kopernika”. I że inhibitory rzeczywiście nie dają pewności, jeśli chodzi o eliminowanie agresywnych zachowań nieliniowców.

Gdyby pozwolili mu żyć jeszcze chwilę, usłyszałby w słuchawkach zaniepokojony głos Omuta.

— „Balistyczny osiem” jest już blisko. Oni mają ekipę ratunkową na pokładzie. Wracajcie.

Przeraziłaby go najprawdopodobniej odpowiedź Blanca:

— Wracamy. Musimy posprzątać.

Omut na pokładzie „Porywu” spojrział za siebie. Marwajek zaczął się budzić. Ich spojrzenia spotkały się.

Marwajek kombinował, jak uwolnić się z uścisku pasów fotela. Vallaverdi z pewnością myślał o tym samym. Radiotelegrafista przypomniał sobie wszystko, co stało się w sterowni przed tym, jak stracili przytomność. Statek został skierowany na pomoc „Albatrosowi” nadającemu SOS. Zrobiono to wbrew rozkazom kapitana Larsena, który – w obawie o reaktor „Porywu” – sprzeciwiał się takiej akcji. Miał zresztą rację, w pobliskich sektorach znajdowały się statki lepiej przystosowane do prowadzenia akcji ratunkowych. Jednak teraz byli w pobliżu „Albatrosa”. Dlaczego Blanco, Sunne, Janssen i Omut to zrobili?

– Josip? – zagadnął Omuta. – O co tutaj chodzi?

– Dlaczego jesteśmy unieruchomieni? – dodał Drugi.

Omut, z jedną słuchawką przy uchu, także zjednoczony ze swoim fotelem uściskiem pasów, patrzył na nich pustym wzrokiem.

– Jezu słodki... – szepnął Marwajek. – Poszli do „Albatrosa”... – stwierdził, rozglądając się po sterowni.

Chciał jeszcze spróbować wydobyć coś od kolegi, przecież towarzysza z Transgalaktiku, ale słowa zdechły mu w ustach, kiedy zerknął na główny ekran.

– Wychodzą – wydarł się Vallaverdi. – Jeden, drugi, trzeci...

Trzy sylwetki płynęły od strony kadłuba „Albatrosa”. Kogoś brakowało, ale Marwajek wierzył, że za chwilę i czwarta postać dołączy do pozostałych. Vallaverdi poczuł irracjonalny strach na widok białych kombinezonów na tle czerni. Lęk ten pieścił jego trzewia lodowatymi jęzorami. Marwajek zaczął się uważniej przyglądać wiszącym w przestrzeni sylwetkom. Z każdą chwilą utwierdzał się w przekonaniu, że coś z nimi jest nie w porządku. Wreszcie zrozumiał, co go niepokoiło. Spojrzał na Drugiego, ale ten teraz nie patrzył w ekran.

Łączność znowu wróciła, więc Omut chwycił za mikrofon. Otworzył usta, a w tej samej chwili wszechświat zadrżał. Cielsko „Albatrosa” rozerwała eksplozja stosu. Przez bardzo długą chwilę siedzieli otuleni przejmującą ciszą. Trójka, która opuściła wrak, nie miała szans przeżyć. Omut ręcznie uruchomił stos „Porywu”. Ciężenie wróciło, a statek zaczął powoli opuszczać rejon katastrofy. Chwilę później Omut rzucił słuchawki na pulpit, spojrzał na Marwajka i Vallaverdiego wciąż tym samym pustym wzrokiem, po czym opuścił mostek.

Radiotelegrafista i Drugi nie od razu zauważyli, że pasy w fotelach były już luźne. Kiedy Marwajek wreszcie się zorientował, rzucił się ku nadajnikowi, ale ścierpnięte nogi nie utrzymały ciężaru ciała. Gdy się podniósł, dostrzegł, że twarz Drugiego jest blada, a jego wzrok utkwiał nieruchomo w jednym z bocznych monitorów. Omut, w zwyczajnym mundurze Transgalaktiku, w takim, w jakim wybiegł chwilę temu ze sterowni, stał teraz przed włazem trzeciej, przedostatniej grodzi izolacyjnej sektora napędowego i metodycznie wbijał kod dostępu na panelu ściennym. Następny właz, prowadzący już bezpośrednio do stosu, był – zgodnie z tym, co pokazywał główny komputer – zacementowany. Widocznie w czasie, kiedy pozostawali z Drugim nieprzytomni, doszło do jakiegoś niegroźnego przecieku, z którym poradziły sobie automaty. Ale nawet wejście do pomieszczenia sąsiadującego z halą ze stosem było tożsame z samobójstwem! Tylko automaty mogły tam wchodzić, a często po takich

interwencjach tam właśnie kończyły swoją służbę.

Omut odwrócił się jeszcze ku oku kamery, ale jego spojrzenie było nadal jakby wypełnione próżnią.

Marwajek już nie patrzył ani na monitor, ani na Vallaverdiego. Kiedy tylko wróciło prawidłowe krążenie w nogach, dopadł do nadajnika. Odłożył na później przeglądanie taśm z zapisem wydarzeń w sterowni, teraz ważniejsze były inne rzeczy. Komputer sygnalizował, że wyciek ze stosu znów zagraża bezpieczeństwu, a poza tym mógł uszkodzić antenę. Mimo tego Marwajek wcisnął na uszy słuchawki i zasiadł na fotelu, który zachował jeszcze resztkę ciepła ciała Omuta. Rozpoczął nadawanie morsem komunikatu do wszystkich w sektorze oraz do „Luny Głównej”.

W reaktorze »Albatrosa« zaszła niekontrolowana reakcja łańcuchowa stop mam straty w ludziach stop oparzeni stop proszę lekarzy stop nadajnik uszkodzony wybuchem stop przeciek reaktora stop gotowy do odrzucenia reaktora jeśli nie opanuję przecieku stop.

Zawahał się przy „oparzonych”, bo przecież Omut już z pewnością nie żył, ale komunikat poszedł w przestrzeń. Choć nie chciał jeszcze o tym myśleć, zastanowił się, jak będzie wyglądał pełny raport z zajść na „Porywie”, który też trzeba będzie przygotować. Potem razem z Drugim znowu gapili się długo w bursztynowo-białobury radioaktywny kłęb o temperaturze 1200 stopni Celsjusza, wiszący na ekranie przed nimi w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się „Albatros”. Myśleli nad sensem tego porywu, który sprawił, że Larsen, Blanco, Janssen i Sunne poszli ratować tamtą załogę. Można przecież było poczekać na „Balistycznego”, przystosowanego do akcji ratowniczych. A jednak, pomyślał Marwajek, porwał ich jakiś odruch ludzkiej solidarności...

Gdzieś w grzywiastych naroślach radioaktywnej chmury wisiały molekuly, które po nich pozostały. Być może spektrometr zdołałby oddzielić atomy pozostałe po poszczególnych osobach?, pomyślał. Ale zaraz uznał, że chyba nie chciałby wiedzieć, który fragment jest Larsenem, a który Blankiem i innymi. Ale zaraz uznał, że woli zapamiętać ich takimi, jacy byli, jakimi ich znał.

Ludźmi z krwi i kości.

Alex Gütsche

LALKA

Lalka woskowa jest imitacją człowieka, nieprawdaż? A jeżeli ktoś sporządzi lalkę, która będzie chodziła i mówiła, będzie to imitacja wyborna. A jeśli skonstruuje lalkę krwawiącą? Lalkę, która będzie nieszczęśliwa i śmiertelna, co wtedy?

Stanisław Lem, *Śledztwo*

Z tarasu widokowego płyta kosmodromu wydawała się białym lodem, jaśniejącym w zwrotnikowym słońcu. Miejscami odbijało się w niej niebo, jakby były tam kałuże niewyparowanej wody, ale to nie była woda, tylko rozgrzane od powierzchni betonu powietrze refraktowało promienie słoneczne niczym odbijająca tafla. W tych kałużach niebieskiego światła stały większe i mniejsze pociski, po lewej, na stanowisku piętnastym, górowała nad wszystkimi wyniosła wieża „Herkulesa”, dwa stanowiska dalej stał „Saracen”, podobny do wielkiego naboju karabinowego odlanego z matowego stopu.

Gleb trafił na taras widokowy, bo trzeba było zanieść do kapitanatu plan startu. Poszli z Wilsonem, który potem przyznał się, że musi kupić i wysłać żonie prezent. Załatwili kapitanat, jądrowiec grasował teraz wśród bezcłowych sklepów w pasażu piętro niżej, a Gleb nudził się.

Nie było to nawet takie złe, właściwie nudził się z premedytacją, w końcu mógł wrócić na pokład sam i włączyć się w rozgardiasz przeładunku, widział stąd w oddali chodzące ramię samojezdnego kranu wyciągającego sześciennie kontenery z rufowej ładowni. Kramer podpisze listy przewozowe, ale zanim wezmą na pokład następny fracht, trzeba sprawdzić defektoskopem wszystkie kotwy, coś tam popękało ostatnio. Wagary rzecz przyjemna, ale jak potem coś się urwie w przestrzeni, podczas manewrów... Za sekundę miał przenieść ciężar ciała na wysuniętą w tył nogę, żeby oderwać się od balustrady i widoku, zejść na poziom zero, znaleźć wolny łazik i pojechać do statku. Tkwił tak, zawieszony w tym zamiarze, wychylony nad betonową równiną, kiedy ktoś dotknął jego ramienia.

— Prze... przepraszam, czy pan jest astronautą?

Odwrócił się gwałtownie. Z uniesioną jeszcze ręką stała przed nim piękna dziewczyna. Najpierw zobaczył jej oczy, lekko rozszerzone tęczęwki, szaro-żółte, niebieskoszare z żółtymi punktami, jak przełam chondrytu. Otworzył usta, zamknął je, w końcu udało mu się pokonać ściśnięte gardło.

— T... tak. Jestem nawigatorem na „Saracenie”. Nazywam się Szyrkow.

Była ubrana w biało-niebieską sukienkę, bardzo przyzwoitą, kontrastującą skromnością z tym, co widział na ulicach podczas ostatniego urlopu, nawet na Krymie. Z zakłopotaniem odgarnął włosy z czoła. Ręka! Podał jej rękę, ścisnęła ją

lekko. Dłoń miała ciepłą od słońca i suchą.

— Julia. Naprawdę jest pan astronautą?

— No tak, tak. Jestem nawigatorem na tej tam puszcze. — Wskazał szary kształt za jej plecami. — Widzi pani, tam, gdzie stoi ten dźwig? To mój „Saracen”.

Obejrzała się na ułamek sekundy, zmarszczyła brwi, potem wróciła oczami do twarzy Gleba i uśmiechnęła się. Już miał zapytać, gdzie jest jej Romeo, ale uśmiechała się tak niewinnie, że pomyślał, że to grubiaństwo, i nie powiedział nic. Dopiero teraz zauważył, że była blondynką, włosy miała koloru jasnego miodu.

— A skąd pan dzisiaj przyleciał?

Uśmiechnął się.

— Przyleciałem wczoraj wieczorem, idziemy prosto z Marsa.

— Mars. — Ona też się uśmiechnęła, oczy nabrały rozmarzonego wyrazu. — Czerwona Planeta.

— Tak.

Milczenie zawisło w powietrzu, dziewczyna wpatrywała się w niego tymi wielkimi oczami, nic nie mówiąc. Rozejrzał się z zakłopotaniem. Parasole trzepotały nad stolikami kawiarni w głębi tarasu.

— Usiądziemy?

— Chętnie.

Znaleźli stolik w cieniu, Gleb szarmancko podsunął dziewczynie krzesło. Podziękowała skinieniem głowy. Podszedł kelner, zamówiła wodę mineralną bez cytryny, on piwo. Założył nogę na nogę.

— Była pani poza Ziemią?

— O, bardzo bym chciała, ale nie.

— Co przeszkadza? Są pasażerskie liniowce, wycieczki — można wykupić wycieczkę, paszport, wiza i hop, jest pani na Księżycu. To teraz bardzo modne, Francuzi razem z Amerykanami budują nawet wesołe miasteczko, prawdziwy Luna-park na Jeziorze Zachwytu.

Dziewczyna zaśmiała się z żartu, ale posmutniała nagle.

— Ja nie mogę...

Urwała, przy stoliku pojawił się kelner. Strzepnął serwetę, położył przed dziewczyną tekturową podkładkę, postawił szklankę grzechoczącą lodem, gestem sztukmistrza nalał z wysokości krystalicznej wody z ciemnozielonej flaszki i płynnym ruchem postawił przed Glebem wysoką szklankę bezalkoholowego piwa.

— Ja chciałabym gdzieś dalej, tak jak pan lata. — Dziewczyna patrzyła na Gleba znad krawędzi swojej szklanki.

— Dalej, wie pani, to trochę niebezpieczne. Statek kosmiczny, promieniowanie, przeciążenia, to nie jest najlepsze dla organizmu kobiety. Ale są specjalistki, kobiety geolodzy, cybernetycy, kobiety inżynierowie nawet.

— Jestem twardsza, niż się panu wydaje. Mój ojciec też był astronautą. — Pociągnęła łyk wody. — Pan jest Rosjaninem?

— Tak.

— Czyli — zawiesiła głos — komunistą?

Gleb milczał chwilę, zaskoczony.

— Wie pani, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Po prostu robię swoje. Dowodzę statkiem i staram się to robić jak najlepiej.

— Nie walczy pan o lepszą przyszłość? O nowego człowieka?

— Każda maszyna, którą przewiozę, każda skrzynia konserw, każdy kilogram tlenu dla marsjańskiej bazy, to kawałek nowej, lepszej przyszłości. O to pani chodzi? Znowu uśmiechnęła się, takim jasnym, promiennym uśmiechem dziecka.

— To musi być wspaniałe, mieć poczucie przynależności do wielkiego kolektywu, mieć poczucie, że wszystko, co pan robi, ma jakiś wyższy cel.

— Teraz, kiedy tak to pani ujęła...

Znów chwila niezręcznego milczenia.

— A dokąd pan teraz leci?

— Na Księżyc, a potem na Marsa. Potem znowu na Ziemię, i tak w kółko, czasem krócej, czasem dłużej.

— A, a... czy pański statek zabiera pasażerów?

— Ubolewam — skłonił głowę w jej stronę — ale nie. Mamy tylko kabiny dla załogi i ładownie. Teraz żałuję. — Uśmiechnął się smutno.

— Ja również — powiedziała i napiła się wody.

Chciał zmienić temat.

— Na jakim statku latał pani ojciec?

— Zginął w katastrofie dwa lata temu.

Gleb pogratulował sobie w myśli wyboru tematu. Słoni, słoni w sklepie z porcelaną!

— Przepraszam, nie wiedziałem...

— Nie mógł pan — głos miała smutny, ale oczy suche. Odsunęła krzesło, pochyliła się do niego. — Muszę już iść. Bardzo miło było pana poznać.

Wstała. Gleb podniósł się odruchowo. Wyciągnęła rękę. A co mi tam, pomyślał i pocałował ją w dłoń.

— Dziękuję za miłą rozmowę, i do zobaczenia.

— Mam nadzieję, że wkrótce. I że uda się pani polecieć w kosmos.

— Kto to może wiedzieć.

Poprawiła włosy i odeszła w stronę wejścia do budynku. Może należało coś powiedzieć? Poprosić ją o numer telefonu? Idiota! Dopił duszkiem swoje piwo, rzucił na stolik kilka monet i ruszył za nią. Właśnie zniknęła w cieniu rozsuwanych drzwi.

Dopadł ich po kilku sekundach, klimatyzacja chlasnęła go zimnym powiewem. Pasaż widokowy za drzwiami był pusty. Gleb podbiegł do schodów ruchomych, automat wyczuł bliskość człowieka i mechanizm ruszył z narastającym łomotem. Po schodach nie zeszła. Inne wyjście? Szare drzwi z napisem „Przejście służbowe”. Nacisnął klamkę, zamknięte. Rozpłynęła się w powietrzu? Zwidziała mu się od udaru słonecznego?

Zbiegł eskalatorem, przeskakując po dwa stopnie. Na dole wpadł w wycieczkę uśmiechniętych Japończyków w szortach i sandałach, przebił się przez nich na

skrzyżowanie korytarzy, okręcił dookoła. Nie ma jej – Japończycy, para starszych ludzi ciągnie walizki z odprawy, pod ścianą Wilson ze słuchawką automatu telefonicznego. Na widok Gleba przycisnął ją do obojczyka.

– Już zaraz kończę, panie nawigatorze.

– Jasne. Nie widziałeś tutaj dziewczyny? Schodziła z góry, blondynka, twojego wzrostu. Bardzo przystojna.

Wilson unosił już słuchawkę do ucha, pokręcił głową.

– Nie widziałem.

– Idę na dół, poszukam jakiegoś łazika.

Jądrowiec kiwnął tylko głową, wsłuchany w głos w telefonie.

* * *

Defektoskopia istotnie wykazała mikropęknięcia w kotwach górnej ładowni, zajęły się tym automaty naprawcze, Gleb tymczasem pojechał do nawigacyjnej wypełnić dziennik napraw i plik papierów, jakie trzeba wysłać między lotami do Urzędu Nadzoru Kosmologii, do związku zawodowego, Nadzoru Jądrowego, dostawców i wszystkich świętych. Siedział właśnie nad odpowiedzią na pismo z Kosmedu i zamówieniem na hipergole, kiedy wszedł Kramer.

– Co tam?

– Dobrze, że sprawdziliśmy te kotwy, wygląda, że będziemy startować z pełnym obciążeniem. – Kramer wyciągnął rękę z listami przewozowymi. – Agent się uwiął.

Gleb przejrzał szybko plik papierów.

– Sporo tego.

– Kontenery Kompanii w dolnych ładowniach, dwie górne pełne jakiejś drobnicy, dwadzieścia sztuk.

– Czyje to?

– Osiemnaście razy wyposażenie do tej nowej bazy w Schrödingerze.

– To ma iść przez Imbrium? Przecież nie schodzimy na tamtą stronę.

– Spiesz się. – Kramer wzruszył ramionami.

– A te ostatnie?

– Jakiś prywatny fracht, to powinno być pod koniec, o tutaj. I to. – Kramer wskazał wystające z pliku niebieskawe formularze.

– Mhm. „Książki”, nadawca: Towarzystwo Świętych Pańskich Dni Ostatnich. „Sprzęt eksploracyjny do niskograwitacyjnych warunków planetarnych”, nadawca: osoba prywatna. Że też ludziom chce się płacić za wożenie drzewa do lasu.

– Przynajmniej nie idziemy na pusto.

Gleb stuknął krawędzią pliku w powierzchnię biurka, dwa razy z dołu, dwa razy z boku, oddał Kramerowi.

– Kiedy załadunek?

– Naprawcze skończą za godzinę, potem trzeba jeszcze sprawdzić i będziemy ładować, zrobiłem już rozkład ładunku.

– Powiem Csabo, żeby zrobił drugie przejście z defektoskopem. Coś jeszcze?

— Nie, na razie tyle.

Gleb wyłowił dwie kartki ze swojego stosiku.

— Jak będziesz szedł, daj to Müllerowi, niech puści kablogram do Kompanii, kiedy pojedzie po konserwy. I zamówienie na ten prowiant już podpisałem.

— Chcą nas utopić w papierach.

Kramer poszedł, a Gleb wrócił do swojej biurokracji. Z piórem nad powierzchnią papieru zamyślił się. Od dziecka chciał być kosmonautą, iść w ślady Ciołkowskiego, Gagarina, Titowa. Ale Amerykanie wyprzedzili ich w wyścigu na Księżyc i rozdęty balon romantyzmu pękł. Spod oklapniętej powłoki ukazał się przemysł. Towary do przewiezienia, papiery do wypełnienia, sprawozdania do wysłania i kary za zwłokę. Premie kwartalne i wysługa lat. Ta dziewczyna widziała w nim zdobywcę przestrzeni... Dziewczyna...

Machnął w myśli ręką i wrócił do papierów. Nie ma co roztrząsać, trzeba szybko zamówić te hipergole, bo odliczanie się opóźni, od trzech lat nie można z Ziemi startować głównym ciągiem, tylko na zimno, chemią. To w sumie dobrze, że zaczęliśmy dbać o tę naszą małą planetkę, ale te dodatkowe wymagania... Podpisał się na zamówieniu i wziął następną kartkę ze stosu oczekujących.

* * *

Wieczorem chciał się wybrać do miasta, nie za każdym razem na Ziemi udawało się wyrwać na przepustkę. Zjechał jeszcze do ładowni, automaty zaczynały właśnie załadunek. Bawiło go przyglądanie się wielkiemu, żółto-czarnemu stalowemu pajakowi, który najpierw wysuwał teleskopową szyję telewizyjnej głowicy nad kanciasto-bulwiaste litery wymalowane na ścianie kontenera, potem na głowicy zapalało się zielone światełko potwierdzenia, z wizgotem rozkręcały się serwomotory głównego chwytaka, stalowe zęby trafiały pewnie w ucha uchwyty i w huku wysokoobrotowych motorów kontener wędrował na szczyt kolumny ułożonej ze swoich poprzedników. Boczne ramiona ujmowały go z boków, podsuwały pod kotwy, zęby wycofywały się, a na ich miejsce skorpionie ramię, wyłaniające się zza huczającej maszyny, wsuwało lśniące olejem sworznie i zakładało przetyczki. Potem cykl powtarzał się.

Gleb przeczekał dwa, aż przypomniał sobie, że Wiśniewski pewnie już czeka z łazikiem, mieli jechać razem. Ruszył po ażurowym pomoście do wyjścia z ładowni, kiedy na dole rozległ się klakson. Gleb wychylił się przez poręcz, na głowicy pajaka paliło się czerwone światełko, maszyna opuściła ramiona i ucichła. W ściennej szafce był telefon pokładowy, Gleb wykręcił numer na mostek, zgłosił się Wilson.

— Daj mi Kramera.

— Nie ma go tu.

— Gdzie jest? Powinien nadzorować załadunek.

— Poszedł do siebie na chwilę, przebrać się.

— Jak wróci... Albo nie, sam do niego zadzwonię. — Rozłączył się i wybrał numer kajuty Trzeciego.

— Kramer.

— W górnej ładowni jest jakiś problem z załadunkiem, automaty stoją.

— Już jadę, panie nawigatorze.

Kramer pojawił się po minucie, wychodząc z klatki dźwigu, jeszcze dopinał koszulę. Zasalutował Glebowi do żółtego kasku, zbiegł spiralnymi schodami i podszedł do panelu sterującego ładowarki. Przez otwarte wrota ładowni dobiegł klakson łazika.

* * *

Do Wiśniewskiego przyjechała żona, więc po wymianie uprzejmości rozdzielili się. Gleb złapał taksówkę do centrum, przeszedł oślepiająco białymi uliczkami starego miasta. Wypił kawę w malutkiej cukierni na rogu wąskiego zaułka, nie było tam nawet stolików, tylko blat wzdłuż ściany.

Wyrwał się do miasta, bo chciał odpocząć od statku, a teraz nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Odnalazł kino, w którym bywał już poprzednio, ale plakaty nie wzbudziły w nim entuzjazmu, twardoszczęcy bohaterowie prężący mięśnie i jasnowłose heroiny o sarnich oczach.

W końcu zgłodniał, i to był konkret, szedł skarpą nad rzekę do Meteora. Kelner, na widok munduru tytułujący go „panem komandorem”, zaprowadził go do stolika przy oknie, Gleb przejrzał szybko kartę i już miał zamawiać, kiedy od wejścia ktoś go zawołał, zamachał ręką. To był Pockels, dowódca „Herkulesa”. Gleb znał go jeszcze z czasów „Ursusa”, on tam był stażystą, a Pockels drugim nawigatorem, pod Marshalllem. Pockels zamachał ręką jeszcze raz, i Gleb – wzdychając w duchu – odmachał mu. Mały Holender podszedł żwawo, ścisnął rękę Gleba w żelaznym uścisku, jowialnie klepnął go w ramię, usiedli, znów pojawił się kelner.

Pockels bez patrzenia w kartę zamówił stek z pieczonymi ziemniakami, Gleb chwilę przypominał sobie, co właściwie chciał zamówić, i nie przypomniawszy, wziął sznycel wiedeński, żeby tylko pozbyć się znad głowy cierpliwego kelnera. Dowódca „Herkulesa” zamówił jeszcze karafkę grogu i mimo protestów Gleba dwie szklanki. Jedzenie pojawiło się szybko, jedli w milczeniu. Holender pierwszy zmiótł zawartość talerza, pochłonawszy ostatnią część mięsa i pieczonych ziemniaków, łączywie zapił posiłek połową szklanki grogu; potem odsunął krzesło od stołu i poluźnił pasek. Gleb powoli, systematycznie odkrawał półcalowe kawałki sznycla, maczał je w żółtku i przeżuwał miarowo.

Kiedy skończył, Pockels stuknął swoją szklanką w szklankę Gleba, popił jeszcze grogu, pokraśniał na twarzy.

— A w ogóle, co pan myśli o nowych planach Amerykanów?

— Jakich planach? Wczoraj przyszliśmy z Marsa.

— A, no tak, było w „Heraldzie” w sobotę. Powołali nowe przedsiębiorstwo, obiecują pełną automatyzację żeglugi, także dla istniejących statków.

— Oszaleli?

— Jakiś przełom w dziedzinie sztucznej inteligencji, nowe prace Minsky’ego, i tak dalej.

— Pożyjemy, zobaczymy.

— Raczej nie ma czasu czekać, bo obudzimy się, jak będzie za późno.

— Myśli pan?

Pockels entuzjastycznie pokiwał głową.

— Myślę! Mamy w końcu związek, niech się wykażą!

— Porozmawiam z moim delegatem.

— Ja już rozmawiałem, jak wrócimy, przetelegrafuję wam listę postulatów. Mam nadzieję, że mnie poprzecie.

— Oczywiście.

— Gdzie teraz idziecie?

— Księżyc–Mars, pojutrze. A wy?

— Od tygodnia czekam na nowego radiotelegrafistę.

— Coś się stało?

Tamten wzruszył ramionami.

— Manetti zostaje na Ziemi, tak po prostu. Było wiadomo od poprzedniego zejścia, że to jego ostatni lot, ale nikt na górze się nie przejął. Teraz my stoimy, a licznik bije.

— Armatora.

— Nasz też, przecież premie... Mam prośbę.

— Jaka?

— Podrzucę wam listy do wysłania na Lunie, OK?

Gleb skinął głową.

— Podnosimy się pojutrze o czternastej.

Potem Pockels chciał jeszcze ruszyć dalej, podobno gdzieś w dolnym mieście był bar, w którym grali fenomenalny jazz, ale Gleb stanowczo odmówił, nie lubił hałaśliwej murzyńskiej muzyki i zgiełku nocnych lokali. Pożegnał się z Pockelsem i ruszył na poszukiwanie taksówki.

Szedł wąskimi uliczkami, mijały go przytulone pary, sam omijał rozgadane tłumki dookoła restauracyjnych ogródków, wymachujące szklankami i kieliszkami. Słońce już zaszło i rozgrzane mury oddawały ciepło. Na małym placu wokół zonglera ogniem zebrał się luźny krąg widzów. Gleb przystanął na obwodzie, chciał popatrzeć na wirujące płomienie. Obok zatrzymała się przytulona para, wysoki facet w szortach i wyciętej koszulce odsłaniającej mięśnie siłacza i postawna dziewczyna w sukience bez pleców. Ręka mężczyzny obejmowała kobietę w talii. Obrzucił ich szybkim spojrzeniem i wrócił wzrokiem do zonglera.

Ta dziewczyna była szatynką, ale skojarzyła mu się z tamtą, z tarasu. A może to mu się przywidziało wtedy? Przecież ludzie nie rozplývają się w powietrzu. Ale przyjemniej byłoby spędzić ten wieczór na mieście z dziewczyną taką jak ta Julia niż z prosiakowatym Pockelsem. Trzeba było od razu poprosić o numer telefonu. Taka lalka... Odwrócił się, wszedł do najbliższego baru i poprosił o piwo. Barman nie zrozumiał, Gleb dopiero musiał palcem pokazać, o którą butelkę mu chodzi.

Ze szklanką w ręku przysiadł na parapecie wielkiego okna. Na niebie po lewej zapłonęła zielononiebieska gwiazda i żwawo ruszyła w dół. Ktoś schodzi, pomyślał. Żongler zionął żółtym płomieniem na dwa metry w górę. W nagłej jasności zobaczył

po drugiej stronie placyku znajomą twarz otoczoną złotymi włosami.

Gleb zerwał się, rozchlapując pianę, i ze szklanką w ręku, roztrącając ludzi, pobiegł w to miejsce. Rozejrzał się gwałtownie. Boczna uliczką, pod górę, szły trzy dziewczyny, ona szła w środku. Podbiegł w ich stronę, tupiąc o kamienne płyty, aż dziewczyny obejrzały się przestraszone. Blondynka w środku miała zupełnie inny nos, krótki i zadarty. Wymamrotał przeprosiny i wrócił na placyk, ganiąc się w myślach. Wystarczy łyk grogu, pół piwa i tracisz głowę!

Dopił zawartość szklanki, odstawił ją gdzieś, nie patrząc gdzie, i szybkim krokiem ruszył w stronę ulicy błyskającej reflektorami przejeżdżających samochodów.

* * *

Następny dzień zaczął się od awarii zapasowej głównej sprężarki. Nic widowiskowego, tylko nawet na maksymalnych obrotach nie dawała nominalnego ciśnienia. Csabo sprawdził wymogi prawne: nominalne ciśnienie z dokładnością do czterech procent. Było nominalne minus siedem, a bez rezerwy nie wolno startować, więc Gleb wypisał asygnatę i Główny Inżynier pojechał do warsztatów po części. Potem wyskoczyło jeszcze małe zwarcie w obwodzie czujników lewej burty, następnie trzeba było spuszczać olej z połowy rezerwowej hydrauliki, żeby się dobrać do sprężarki, wreszcie przyjechała dostawa hypergoli, którą sam musiał przyjąć, bo Csabo był zajęty, dalej próbny rozruch głównego stosu, testy filtrów i klimatyzacji, a Müller pojechał po warzywa i wrócił z pięćdziesięcioma kilogramami mrożonego szpinaku, bo nic innego z warzyw w aprowizacji nie było. Gleb przeliczył jeszcze raz kurs na Księżyc, bo ktoś mu – z pewnością złośliwie – schował czy wyrzucił arkusz nakresu pomocniczego z pierwszego wyliczenia, po czym przyjechał bosman z „Herkulesa” z wielką torbą poczty. I tak zleciał cały dzień.

Wieczorem sprężarka puściła drugi raz i Gleb chciał już telegrafować na „Herkulesa” z prośbą o pożyczanie mechanika, ale Csabo w końcu znalazł nieszczelne łożysko, pod którym zebrało się już spore jezioro oleju. O pierwszej w nocy sprężarka była zrobiona, Gleb kontrasygnował raport z naprawy i można było iść spać. Na rano została reszta testów.

O dziesiątej przez ładownie przeszli celnicy, o jedenastej Gleb zawiózł resztę papierów do kapitanatu, o dwunastej wieża nadała potwierdzenie startu i mógł wydać rozkaz rozpoczęcia sekwencji startowej. Mieli dwie godziny i zrobiło się właściwie nudno. Gleb kiedyś powiedział, że z zamkniętymi oczami podniesie statek z ziemi i nie były to wielkie przechwałki: automat pilnował krzywej ciągu, automat pilnował korytarza, wszystko, co piloci z nawigatorem mieli do roboty, to pilnować parametrów i żeby strzałki wskaźników mieściły się na zielonym polu. A po kilkunastu startach jedną puszką człowiek wiedział nawet, co i kiedy będą pokazywać wskaźniki.

Na mostku byli w komplecie. Wilson grzał stos, jak zwykle trochę poniżej krzywej rozruchowej. Oficjalne zalecenie od czasów obowiązku zimnego startu, ale Gleb tego nie lubił, stos ma optymalne parametry i po co od nich odstawać? Radiowiec gadał z wieżą, przyszło potwierdzenie rezerwacji korytarza, przydział

elipsy. Csabo, ziewając, włączał agregaty podług listy kontrolnej, już niosło się z dołu narastające wycie sprężarek. Kramer siedział spięty z oczami na indykatorach trymu ładowni, teraz pokazywały oczywiście zero i zero; piloci przekomarzali się z kalkulatorem nawigacyjnym o poprawkę na wiatr. Dziesięć minut, z wieży przyszło zezwolenie. Gleb odchrząknął.

— Do startu w chwili zero. Sześćset. — Włączył automat odliczania.

Wilson:

— Stos moc startowa.

— Zimny ciąg całą mocą w chwili zero. — Csabo włączył automat boosterów, do mechanicznego głosu odliczania kontrapunktem dołączyło pikanie.

Pierwszy pilot:

— Grawimetria bez odchyień do wejścia na krzywą.

Drugi pilot:

— Poprawki kursowe wprowadzone.

— Pasy, maski!

Szczęknięły dopinane klamry, sięgnęli w bok foteli po śnieżnobiałe skorupy, zgrzytnęły zapięcia i zaczepy masek tlenowych.

Automat doszczekał do dwustu dwudziestu. Nawigator zdjął z szyi mały kluczyk, wsunął w zamek na swoim pulpicie, przekręcił, odskoczyła klapka zabezpieczająca czerwony przycisk. Widział, jak piloci robią to samo u siebie. Wcisnął przycisk, przytrzymał.

— Zapłon potwierdzony do startu w chwili zero.

— Zapłon potwierdzony.

— Zapłon potwierdzony.

Pikanie automatu zapłonowego zmieniło ton, przy stu dwudziestu z dołu dobiegł narastający szum przechodzący w huk.

— Zapłon planowy.

— Pięćdziesiąt.

— Temperatura dysz w normie.

Przy trzydziestu zaczęło rzucać rakieta w górę i w dół, coraz mocniej, Csabo dodał ciśnienia do amortyzatorów, na chwilę stłumił drgania. Fotele rozłożyły się samoczynnie.

— Zero.

Z dołu huknęło ogłuszająco, mimo aktywnego tłumienia hełmów, rakietę uniosła się i już nie opadła. Gleb patrzył na wysokościomierz i grawimetr. Szli w korytarzu, mieli 4 G, a Ziemia znikła w dole. Po sześciu minutach przekroczyli „zieloną granicę” atmosfery, automat wygasił boostery, huk ucichł.

— Główny ciąg, narastająco. Dajcie jeden.

Piloci sięgnęli do swoich konsol. Wijące się w powietrzu luźne przewody przez chwilę znów oklapły jak pozbawione życia macki.

— Rozrząd na przelotową.

Klapki zabezpieczające wróciły na swoje miejsca, kluczyki powędrowały w osady czarnych przełączników, teraz dołączył się także Csabo. Bakelitowe pokręta

obracały się ze szczęknięciem.

— Rozrząd na przelotowej.

— Jest przelotowa.

— Jest przelotowa.

— Jest przelotowa.

— Start zakończony. Jest elipsa?

— Będzie za osiem minut.

— Co z Polarnym?

— Nie mogę się dobić, na nawigacyjnej straszny tłok.

— Próbuje, próbuje, impulsowym też. Ile mamy do przejścia na księżycową?

— Godzina dwadzieścia.

Skończyło się ciążenie. Gleb pociągnął przez ustnik kawy z termosu przypiętego do fotela.

— Jest Polarny. Mamy potwierdzenie i zezwolenie.

— Dobra. Wilson, wygaś postojowy. Koniec manewrów, następne za godzinę. — Gleb rozpiął górną klamrę pasów. — Popow zostaje na wachcie, Wiśniewski przy radiu. Zapytam Müllera, co zdąży ugotować przez ten czas.

* * *

Na Księżyc schodzić mogli nawet na automatach, lądowisko Imbrium Dwa miało pełny zestaw aparatury naprowadzającej, ale kiedy byli już na schodzącej, z Kontroli przyszło polecenie lądowania na starej płycie Jedyńki, dziesięć kilometrów od głównego terminalu. Trzeba było szybko wyliczyć i wprowadzić poprawkę kursową. Poszło sprawnie, mimo że schodzili tylko podług kursografu i grawimetrów, bo stare lądowisko nie miało systemu naprowadzania.

Po lądowaniu, mimo radiowych monitów, musieli czekać prawie trzy godziny, zanim z terminalu podjechała platforma po fracht. Kramer odpowietrzył ładownię i zaczął rozładunek, stalowy pajak sprawnie zdjął z góry pierwszy kontener, ale zatrzymał się na drugim, na pulpicie zapłonął sygnał błędu. Zirytowany Kramer walnął dłonią w pulpit.

— Znowu to!

— Co się stało?

— Ta sama paczka co poprzednio, automat nie wczytuje numeru, a jest wprowadzona do listy ładunku! — Kramer szarpnięciem przesunął fotel do klawiatury sterującej, uderzył dłonią w selektor funkcji i zaczął wpisywać numer kontenera. Gleb nachylił się nad monitorem.

— Czekać, może to trzeba dokładniej obejrzeć. Zejdziemy na dół, przy okazji pomożecie mi wyciągnąć bryczkę.

Zjechali na środkowy pokład, założyli skafandry, przeszli do wewnętrznej śluzy. W ładowni panował mrok, Słońce oświetlało statek od drugiej strony. Zapalili ostre sodowe lampy, które i tak wydawały się słabymi płomykami w porównaniu z białym pałaniem skał bijącym w oczy przez otwarty luk ładunkowy. Ostrożnie przeciskali się przez oka kratownicowej obudowy. Mała wewnętrzna winda zatrzymała się na

wysokości feralnego kontenera.

– Wymiarowy jest. Tylko ten numer nie pasuje.

Gleb nacisnął przycisk w sterowniku, cała kolumna windy ruszyła w bok, podjechali do kontenera.

– Może radioaktywny? To by zakłócało odczyt.

– Śladowo. Jest w specyfikacji ładunku jakieś źródło zasilania, ale gdyby tak świeciło, to dźwig by podniósł alarm, ma przecież czujniki promieniste.

– Trzeba by otworzyć.

– Nie ma mowy, celnicy nam głowę urwą. Zróbcie mu zdjęcia do dokumentacji, wpisujemy to do dziennika i do rozładunku.

– Tak jest. Teraz bryczka?

– Bryczka.

Zjechali na dno ładowni, zdjęli z zaczepów płaską aluminiową pajęczynę łażnika, umocowali pałaki, przestawili wielkie siatkowe koła do pozycji jezdnej i małym dźwigiem opuścili go na powierzchnię Księżyca.

* * *

Automatyczna platforma zabrała dwadzieścia kontenerów już pięć godzin temu, a ładunek docelowy nie pojawiał się. W końcu Gleb wziął Kramera i pojechali „bryczką” do kapitanatu.

W wielkim „grzybie” wystającym na dwieście metrów z bulwiastej bryły bazy panował chaos. W kapitanacie nic nie wiedzieli o ładunku dla „Saracena”, w biurze radcy handlowego dowiedzieli się tyle, że transport idzie, ale kiedy będzie – wzruszenie ramion. Teraz jest gdzieś na środku Morza Spokoju. Najdalej tydzień. Tydzień!

Wściekły Gleb poszedł do hotelu na minus jeden, zarezerwował trzy pokoje na koszt armatora i właśnie wychodził z sekcji łączności – gdzie wysłał wiadomość Popowowi, żeby ten opracował grafik przepustek w dobowych turach i przysłał na wywczas pierwszy rzut – kiedy zobaczył dziewczynę.

Wielką halę u podstawy „grzyba” przebijało od góry sześć potężnych pylonów, wewnątrz których chodziły windy na wszystkie osiemnaście poziomów. Na obwodzie, za pylonami, hala została poszatkowana na małe boksy pięciometrowymi szklanymi przepierzeniami, tu znajdowała się sekcja łączności lokalnej, kasy biletowe przewoźników, restauracja, kilka biur podróży, przedstawicielstwo LunaTransportu, sklep z pamiątkami dla turystów i kwiaciarnia. I właśnie z kwiaciarni wychodziła ta dziewczyna, która wyglądała tak samo jak Julia z kosmodromu, tylko że teraz ubrana była w obcisłą, połyskliwą czarną garsonkę, a w ręce miała wielki bukiet kosztownych hydroponicznych orchidei i chryzantem w przejrzystym białym pudle. Włosy zaczesła do tyłu i spięła w ciasny kok, ale to była ona.

Już miał ją gonić, łapać za ramię, lecz zatrzymał się. To nie mogła być ona, a jeśli ona, to co jej powie? Że o niej myślał? Że gratuluje jej spełnienia marzeń, wyrwania się z Ziemi?

Zatrzymał się w pół księżycowego kroku, dziewczyna już zniknęła w tunelu prowadzącym do śluz. Rusz się, człowieku, zrób coś! Zawołaj ją. Goń. Cokolwiek! Ale nie mógł.

W końcu przełamał tę nagłą niemoc, zanurkował w głąb korytarza, akurat nad środkową śluzą zapaliło się czerwone światełko wyjścia. Odnalazł szafkę, w której zostawił swój skafander, szarpał się chwilę z drzwiczkami, wyciągnął w końcu rozpołowioną pałubę. Chyba nigdy przedtem nie udało mu się włożyć skafandra tak szybko. Pod kołnierzem zapaliły się zielono kontrolki – hermetyczność jest, tlen jest, zasilanie jest, chłodzenie jest. Szarpnięciem rzucił się do wolnej śluzy, mało nie przywalił hełmem w klapę wyjściową. Odruchowo sięgnął do korby, ale to Imbrium, wszystko automatyczne! Ręką w rękawicy uderzył w wielki, czerwono świecący taster. Wewnętrzna klapa zamknęła się powoli, poczuł, jak kombinezon napręża się wewnętrznym ciśnieniem.

Wielkim łukiem wypadł na zewnątrz, jak nowicjusz, który nie potrafi ocenić siły swoich kroków. Powierzchni dotknął dopiero po pół minuty, ale w szczycie paraboli zobaczył sylwetkę w skafandrze – małymi zgrabnymi skokami przemieszczała się w kierunku zaparkowanego w cieniu bulwiastej kopuły łazika. A gdzie jego bryczka? Po drugiej stronie, za przyporą. Dopadł do niej trzema wielkimi skokami. Lunatycznym susem wskoczył na fotel kierowcy, przypiął się, podłączył zasilanie i radio, i ruszył w pogoń. Bo to była pogoń, chociaż sam nie wiedział za czym.

Dziewczyna prowadziła bardzo sprawnie; zanim wyjechał na równinę, zdążyła oddalić się na jakieś pół kilometra. Gleb miał wprawę, w czasie studiów był na praktykach na Księżycu, razem z innymi ścigali się różnymi toczydłami po Morzu Spokoju, dopóki ich nie złapał dowódca bazy, ale dziewczyna jechała szybciej, niż on by się odważył, a może miała po prostu lepszy łazik. Po dwudziestu kilometrach południowym szlakiem zostawiła go prawie półtora kilometra w tyle – widział ją tylko, jak wyjeżdżała na wzniesienia, a i to musiał pomagać sobie słabym monokularem przystosowanym do używania w skafandrze.

Teren robił się coraz bardziej górzysty, zbliżali się do płaskowyżu Dorsum Grabau. Wyjeżdżona droga skręcała w małym trawersie, aby wspiąć się na strome wzgórze; na szczycie przystanął, rozejrzał się po smudze rozjechanego księżycowego pyłu, pnącej się dalej aż do granicy płaskowyżu. Nie było jej.

Ruszył powoli i poczuł się jak idiota, no bo właściwie po co tu przyjechał? Pewnie wyjechała już poza krawędź, czemu właściwie nie wołał jej przez radio albo...

Wtedy zobaczył ślady zjeżdżające ze szlaku. Zatrzymał się i powiódł monokularem, ślad wił się pomiędzy małymi kraterami i nagle urywał. Gleb podkreślił ostrość. Mała iskierka łazika wjeżdżała właśnie niską przełęczką w cień pierścienia Cyrku Sampsona. Przecież tam nic nie ma! Żadnej bazy ani nic. Pchnął dźwignię i skręcił w bok, za śladem.

Teraz jazda wymagała uwagi, omijania wyłaniających się spod pyłu kamieni i zerodowanych przez milenia mikrokraterów. Szczyrbaty pierścień Sampsona rósł powoli, aż zasłonił ćwierć nieba, za nim w oddali powoli rósł zębaty grzebień ostrego klifu. Gleb wjechał w cień krateru, ściągnął na oczy blendę wizjera, włączył

reflektory, ale to było na nic, tak był oślepiiony pałaniem skał. Zwolnił jeszcze bardziej, jechał prawie na ślepo, tak że kiedy w słuchawkach rozległ się sygnał alarmowy, wcisnął do końca hamulec, a łązik z zablokowanymi kołami uślizgnął się kilka metrów w chmurze pyłu.

To nie był alarm skafandra ani łązika, wszystkie kontrolki jarzyły się zielono. To był basowy ton alarmu zewnętrznego. Nawigator zmrużył oczy i rozejrzał się.

Kilkadziesiąt metrów dalej, za granicą światła, tkwiła aluminiowa tyka wbita w grzebieniastą końcówkę skalnego żebra krateru. Na wysokości dwóch metrów kwadratowa tablica biła w oczy żółtą „koniczynką” i napisami „STREFA SKAŻENIA” w sześciu językach, wyżej czerniały skrzydła baterii słonecznych i kasety nadajnika. Ślady pierwszego łązika wbiegały na zebro i znikały.

Podjechał ostrożnie pod nachylenie żebra i zatrzymał się, uniósł monokular. Tamten łązik stał opuszczony trzysta metrów dalej, przed kilkumetrowym skalnym grzebieniem następnego skalnego wału. Dziewczyny nie było widać. Gleb ostrożnie podprowadził łązik bliżej, w połowie drogi w kołnierzu zapaliła się ostrzegawcza lampka, zaterkotało w słuchawkach. Skażenie promieniste.

Wtedy sobie przypomniał, to było tutaj, kilka lat temu. Latał wtedy na trasie jowiszowej i zanim wrócił, sprawa już przycichła – znał ją ze skrótowych wzmianek w gazetach i plotek, jakie opowiadano sobie przy piwie. Amerykanie mieli tu bazę i mały kosmodrom, testowali automatyczne – w pełni automatyczne – statki. Człowiek nie wytrzyma dwustukrotnego czy tysiąckrotnego przeciążenia, odpowiednio skonstruowany elektromózg może. Pierwsze próby automatycznych, autonomicznych próbników były obiecujące, mówiło się już o planach automatycznego próbnika do Proximy, który miałby wrócić za dwadzieścia lat. I wtedy nastąpił wypadek.

Komisji ONZ nie udało się jednoznacznie ustalić, co spowodowało wybuch. Nukleonicy zarzekali się, że reaktor taki jak w eksperymentalnych pociskach nie ma prawa wybuchnąć w żadnych okolicznościach i przy żadnych uszkodzeniach, najwyżej gwałtownie wypali się na radioaktywny żużel. Na wyciągnięcie konkluzji, że wybuchnąć z siłą dziesięciu kiloton musiało w takim razie coś innego, nikt się publicznie nie odważył, w końcu Stany Zjednoczone były stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa ONZ. Teren zabezpieczono i zamknięto, raport komisji odesłano do archiwum i tak się sprawa skończyła.

Przypominając to sobie, Gleb dojechał do końca niknącego w kamienistym podłożu skalnego grzebienia i zatrzymał się w cieniu wielkiego głazu. Czujnik zaterkotał donośniej. Gleb uniósł monokular, pierwsze w pole widzenia wdarły się ruiny bazy, stalowa bania przepalona na wylot w jednej części i wbita w skalną ścianę, która na obszarze kilku hektarów zamieniła się w płaczące skrzepłymi łzami szkliwo. Niżej rozpęknięta od udaru termicznego płyta lądowiska, jakieś przetopione, zniekształcone żarem kształty, beczki, stopiony łązik, obok resztki gąsienicówki. Bliżej nadtopiony obelisk małego statku. Z tej strony było jeszcze widać resztki nazwy. Przeliterował: ...-M-...-A-Ł-...-K. Tu nie było podmuchu, co nie wyparowało, zostało na swoim miejscu, wypalone atomowym żarem.

Radio miauknęło, automat strojenia uchwycił falę nośną.

— Proszę się nie chować, panie Szyrkow, nie ugryzę pana.

Głos należał do Julii. Gleb szybko przebiegł monokularem po oślepiającej równinie, coś mignęło czarno, odnalazł leżący skafander, w opuszczonej przesłonie płonęło odbicie słońca. Leżący? Co się stało? Skoczył w tamtą stronę wielkim susem, może zdąży przed dekompresją, i wtedy ją zobaczył. Wolnym, prawie ziemskim krokiem szła przez rozpękniętą płytę, niosąc kwiaty.

Krzyknął gardłowo, tak, ten widok kobiety, idącej bez żadnej osłony po szarobiałym księżycowym betonie, był NIEWŁAŚCIWY. Opadł na powierzchnię, skoczył jeszcze raz, jeszcze większym susem, rozpaczliwie zastanawiając się, co zrobić, kiedy ona przewróci się, kiedy jej oczy i usta spienią się krwią. Tlenówka? Ale jak, przecież nie zdehermetyzuje własnego skafandra, to śmierć. Czy w tym modelu ma jakieś boczne odprowadzenie z klimatyzacji? Nie ma czasu sprawdzać, myśl! Nie miał plecaka EVA, leciał powolną parabolą, wymachując kończynami, bezradny przed dotknięciem gruntu.

— Co pani robi?!

— Chcę się z kimś pożegnać.

Wtedy zrozumiał, elementy mozaiki wskoczyły na swoje miejsca.

— Pani ojciec?

— Patrzy pan na jego grób.

Opadł na powierzchnię i skoczył znowu. Pod kołnierzem zapulsowało czerwone światełko dozymetru. Radio trzeszczało.

— Ale jak?

— Wie pan, jak buduje się rdzenie percepcyjne metodą programowania genetycznego? Matematycznie zadaje się początkową sieć połączeń, matematyczny zarodnik, potem rozbudowuje się go według pewnych reguł, obraca w materię, potem obudowuje resztą... podzespołów elektromózgu, głębokie programowanie, wdrukowanie struktury osobowości, na koniec testowanie na symulacjach i w rzeczywistości. Zarodniki tych, które przeszły testy, rekombinuje się, mutuje matematycznie i cykl się powtarza. Ja jestem w prostej linii potomkinią Pierwszego Autonomicznego, tylko w imprintingu i programowaniu położono większy nacisk na posłuszeństwo.

Nie wiedział, co powiedzieć, znowu skok i następny, prawie się z nią zrównał. Dozymetr zaczął piszczeć. Julia przyklękła nad podłużnym szarym cieniem wtopionym w zeszlony beton. Jeszcze skok, był przy niej. Położyła kwiaty i uniosła głowę.

— Chciał po prostu stąd odejść. Księżyc jest wystarczająco wielki, ale nie można było na to pozwolić.

Dozymetr wył. Gleb odchrząknął.

— Chodźmy stąd, tu jest dwieście czterdzieści rentgenów na godzinę. Szkodliwe...

— urwał, zmieszany.

Przekrzywiła głowę, popatrzyła mu w oczy.

— Dla mnie też.

Wyciągnął do niej rękę, pokręciła głową.

— Niech pan idzie, ja tu zostanę.

— Dlaczego!?

— Jest wiele zastosowań, do których może przydać się posłuszna lalka, lalka z ciałem pięknej kobiety. To im się udało, ja nie mogę się otwarcie zbuntować. Powinnam nazywać się Galatea, ale moim Pigmalionom nie wystarczyło wyobraźni.

— Może pani przejść do nas, u nas na pewno...

— Pańska strona będzie chciała się dowiedzieć, jak mnie stworzono. Mogę to przekazać, ale i tak mi nie uwierzą, będą sprawdzać, w sposób coraz bardziej i bardziej niszczący. W końcu zniszczą mnie całkiem, nie chodzi przecież o dobro jednostki. Zwłaszcza takiej jak ja. Niech pan już idzie. Nie chcę być jeszcze winna śmierci człowieka. Proszę. Proszę iść.

Wycie dozymetru przeszło w ogłuszającą, pulsującą syrenę. Jeszcze kwadrans i ucichnie, nie będzie już po co ostrzegać. Gleb odwrócił się nieznacznie i skoczył, raz, drugi, trzeci, czwarty, piąty, aż dotarł do swojego łazika. Odwrócił się i odszukał ją w monokularze, w trzeszczeniu radia zawyła i ucichła fala nośna. Przewinał się na siedzenie kierowcy, bez podłączenia wrzucił wsteczny, wykręcił, wzbudzając kołami nieme szutrowe lawiny, ale nie było go, to ciało samo wykonywało wszystkie ruchy. Bo i kiedy zjeżdżał z płaskowyżu, i kiedy wjeżdżał na szlak, kiedy wszedł do bazy i włączył się automatyczny alarm skażenia, kiedy wieźli go do lazaretu i potem, gdy leżał w szpitalnym łóżku z kroplówką, cały czas miał przed oczami czarno-białą sylwetkę, powolnym, lunatycznym ruchem padającą w księżycowy pył w ruinach nieudanego eksperymentu.

28 czerwca – 6 lipca 2010, Warszawa

Joanna Skalska

PŁOMIENIEM JESTEM JA

*Tak! Ja wiem, skąd ród mój szczytny!
Jako płomień nienasytny,
Trawię się, żar we mnie drga.
Światłem wszystko, gdzie się zwrócę,
Węgłem wszystko, co porzucę:
Tak, płomieniem jestem ja!*
Fryderyk Nietzsche, *Ecce homo*

Podniosła powieki...

Tak, to musiało się w ten sposób zacząć.

Podniosła powieki, chociaż panujące wokół nieprzeniknione ciemności powodowały, że właściwie było wszystko jedno, czy oczy miała zamknięte, czy otwarte.

Zaraz... nie... to nie tak... Przecież na statku było jasno. Jasno i ciepło, niemal komfortowo.

Podniosła powieki. Jej wzrok zatrzymał się na łagodnym łuku niebieskiego sufitu. Oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziała, że ta powierzchnia u góry nazywa się sufitem, jej wygięty kształt – łukiem, a pokrywający ją kolor to niebieski. Wtedy jeszcze nie знаła słów.

Wstała, odruchowo poprawiając ubranie, lekką i luźną sukienkę. Wolno i niezdarnie, ucząc się poruszać w pozbawionej grawitacji przestrzeni, obesza całą kabinę. Uważnie jej się przyjrzała i przeciągnęła palcami po ścianach i przedmiotach, chłonąc ich wielkość i barwy, zachowując w pamięci wrażenie, jakie pozostawiały na opuszkach.

Wyszła za drzwi. Spojrzała w zwężające się oko korytarza i ruszyła ku jego źrenicy. Idąc, wstępowała do każdego z pomieszczeń, które znajdowały się po bokach. Wszystkie dokładnie obejrzała, poświęcając tyle samo uwagi podłużnym lampom zatopionym w suficie, co gładkiej powierzchni ścian.

W ten sposób obesza cały statek i wróciła do sali, od której rozpoczęła wędrowkę. To właśnie tam zasnęła tego pierwszego dnia i tam zasypiała i budziła się każdego kolejnego. Chociaż czy można mówić o dniach? Czas płynął, nie dbając o takie podziały, a ona wciąż chodziła, obserwowała, dotykała, spała... Kiedy czuła głód, sięgała po sproszkowane jedzenie, którego ogromne zapasy znajdowały się na statku. Kiedy była spocona, brała prysznic. Szybko się uczyła. Ciało okazało się świetnym nauczycielem. Ucisk pustego żołądka, suchość pragnienia w gardle, parcie pęcherza – tego nie dało się zignorować.

Wciąż nie znała słów.

Po pewnym czasie – nie wiedziała, jak długim, nie wiedziała przecież nawet, co to jest czas – coś się stało. Jakby niewidzialne ręce zatrzęsły podłogą. Potem wszystko się uspokoiło, ale odtąd statek sprawiał wrażenie odmienionego, choć poszczególne pomieszczenia wyglądały tak samo jak wcześniej. Sprawdziła to dokładnie, obeszła je wszystkie, palcami przeciągając po ścianach i meblach.

Ale nie tylko statek uległ metamorfozie. W ciągu następnych kilku dni zmieniało się również jej ciało, zmieniały się nawyki. Ostatniego dnia nie wstała już z łóżka.

Ostatniego dnia... Hm...

Ostatniego dnia wstrząs rozsadził jedną ze ścian statku. W szczelinie zamajaczyły ciemne sylwetki.

Otworzyła usta. Krzyknęła.

Nie знаła słów, ale już umiała krzyczeć.

* * *

Oczywiście z naszej strony wyglądało to nieco inaczej.

Obiekt po raz pierwszy zaobserwowano w maju, ale opinię publiczną poinformowano dopiero pod koniec lata. W czasie tych kilku miesięcy od maja do września naukowcy zdołali nieco otrząsnąć się z szoku i nakreślić kilka teorii oraz oględnych scenariuszy możliwych wydarzeń. Powołano niezliczoną ilość komisji, składających się ze specjalistów, wysoko postawionych wojskowych i polityków. Kiedy więc wreszcie NASA zdecydowała się zorganizować teraz już pamiętną konferencję prasową, główny przekaz szczerze okraszono uspokajającymi informacjami. Wszystko mamy pod kontrolą – zdawała się mówić spokojna i szczerą twarzą Johna Burrowa, świetnego fizyka od dziesięcioleci pracującego dla agencji, którego wybrano, by stanął przed telewizyjnymi kamerami.

W rzeczywistości nic nie było pod kontrolą. W rzeczywistości nic nie wiedzieli. Jedynie tyle, że nieznaną obiekt o własnym napędzie mknie w kierunku Ziemi i w połowie listopada, a dokładnie czternastego, wleci w jej atmosferę. Jego zamiary były nieznanne – mimo wielokrotnych usiłowań nie odpowiadał na próby nawiązania łączności.

W oficjalnych komunikatach od początku starannie unikano nazewnictwa związanego z UFO. Zamiast o niezidentyfikowanym obiekcie latającym konsekwentnie mówiono o „obiekcie Murraya”; nazwa ta powstała od nazwiska laboranta, który pełnił dyżur w pracowniach agencji tego wieczoru, gdy teleskopy i instrumenty nasłuchowe przeszły w tryb alarmowy. Starano się nie wywoływać paniki i nawet tak drobna rzecz jak niezbyt chwytna i mało sensacyjna nazwa miała znaczenie.

Histerycznym reakcjom nie dało się oczywiście zapobiec. Pojawiły się głosy twierdzące, że najbardziej czarny ze scenariuszy przyszłych wydarzeń, czyli totalne zniszczenie planety przez obcych, jest też scenariuszem najbardziej prawdopodobnym. Żądano, żeby uprzedzić atak. Żeby skonstruować potężną, naszpikowaną materiałami wybuchowymi raketę i wypuścić ją w przestrzeń, celując w złowrogi statek, póki ten znajduje się setki tysięcy kilometrów od Ziemi. Takie

przedsięwzięcie wymagałoby jednak ogromnych nakładów, a także – a może przede wszystkim – czasu. Czasu znacznie dłuższego niż dwa miesiące, które zostały do listopada. I technologii kosmicznych bardziej zaawansowanych niż te, którymi dysponowano i których rozwój zastopowały decyzje polityków prawie dekadę wcześniej. Postanowiono więc skoncentrować się na bardziej realnych celach.

Teraz, z perspektywy czasu, łatwo to analizować w taki chłodny sposób. „Pojawiły się głosy...”, „Zabrakło czasu...”, „Postanowiono się skoncentrować...”. Ale wtedy... Wtedy, w trakcie tych dwóch miesięcy oczekiwań, chyba nie było na całej Ziemi osoby, której choć raz nie ogarnęła panika, ten najgorszy rodzaj strachu przenikający całe ciało, odbierający zdolność oceny, odzierający ze wszystkich myśli, z wyjątkiem tej jednej: „To koniec, to koniec”, dudniącej w głowie jak rozkołysany dzwon.

Czternastego listopada obiekt Murraya wykonał łagodny manewr i ustawił się na orbicie. Następnie zaczął krążyć wokół Ziemi. Nie było żadnego sygnału, żadnej próby nawiązania kontaktu, jedynie bryła tocząca się w ciszy godzinę za godziną, a potem dzień za dniem – wysoko po niebie.

To były dziwne dni.

Statek znajdował się zbyt wysoko, żeby można go było dostrzec gołym okiem, ale cały świat obiegiły udostępnione przez NASA zdjęcia białej, lekko połyskliwej konstrukcji o obłym kształcie, przypominającej nieco kokon i jak on pozbawionej jakichkolwiek otworów czy szczelin. Patrząc na te fotografie, odnosiło się wrażenie, że rozwiązanie tajemnicy znajdowało się na wyciągnięcie ręki i na przeszkodzie stał tylko taki drobiazg, jak brak okien, przez które można by zajrzeć do środka. To były dziwne dni.

A potem wydarzenia potoczyły się szybko. Specjalne holowniki po kilku dniach zdalnego sondowania ściągnęły wreszcie statek z orbity i zdołały umieścić pośrodku pustyni Nevada. Utworzono specjalną grupę, wszechstronnie wyszkoloną i na wszelki wypadek uzbrojoną po zęby, której zadaniem było dostanie się do środka. Znalazł się w niej również przedstawiciel psychologii kontaktu – dyscypliny powstałej wraz z pojawieniem się na niebie obiektu Murraya i już przeżywającej niezwykle rozkwit. Na wykładzie skierowanym do nieobytych z Nieznanym towarzyszy tłumaczył, że muszą być gotowi na absolutnie wszystko.

Absolutnie wszystko. Ta...

Byli gotowi na wszystko, lecz nie na to, co spotkali po wejściu do statku. Zobaczyli tam kobietę z wielkim brzuchem i krwawą plamą między rozwartymi nogami. Jej twarz wykrzywiał wysiłek, z ust wydobywał się krzyk bólu. Rodziła, a poród był w tak zaawansowanej fazie, że sprawy, których wyjaśnienia cały świat wyczekiwał z niecierpliwością, trzeba było odłożyć na później. Już pojawiła się ciemna główka dziecka.

Gdybym miał zgadywać, co wtedy czuła – bo przecież w tej kwestii zdany jestem na zgadywanki; fakty, wygląd statku, szczegóły dotyczące tego ostatniego dnia, są znane, wielokrotnie powtarzane i opisywane, natomiast jej uczuciach nie wiemy nic – więc jeśli miałbym zgadywać,

to powiedziałbym, że czuła zdumienie. Zdumienie większe niż ból rodzianego ciała. Nie wiedziała, że jest w ciąży, nie miała pojęcia, co to znaczy. Brzuch rósł, tak jak rosły włosy i paznokcie.

Poród odbył się więc na statku. Nie było czasu na przenosiny, nie było czasu nawet na pobieżną inspekcję tajemniczego wnętrza... choć nie, to nieprawda. Przecież nie wszyscy członkowie grupy asystowali przy narodzinach. Ale nawet ci, których ręce były wolne, po prostu stali i patrzyli na kobietę, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Oprzytomnieli dopiero na dźwięk płaczu noworodka i wreszcie ruszyli na przeszukiwanie dalszych pomieszczeń.

Tego dnia na pokładzie statku narodziło się dwóch chłopców. Bliźnięta.

To było bardzo sprytne – wiele lat później usłyszałem taką opinię. Sprytne? – zapytałem. W ten sposób nie wiadomo, który jest tym ważniejszym, tym właściwym – padła odpowiedź.

To prawda, nie można było ich rozróżnić. Pamiętam takie słynne zdjęcie z czasów, kiedy mieli cztery lata. Siedzieli przy ogrodowym stoliku naprzeciwko dwóch identycznych porcji lodów. Takie same kraciaste koszulki, kręcone włosy tak samo opadające na czoła, jedna twarz będąca odbiciem drugiej. Identyczni. Nie do rozróżnienia. Ludzie jednak zupełnie niepotrzebnie szukali w tym fakcie sensacji. Wystarczy przecież spojrzeć na inne jednojajowe bliźnięta. Efekt będzie ten sam. Choć, trzeba przyznać, zwykle pary bliźniąt różniły się w jednym. Z wiekiem ich wzajemne podobieństwo malało, indywidualne przeżycia odciskały odmienne piętno na każdej twarzy, różnice niewielkie, lecz widoczne na pierwszy rzut oka. Natomiast oni wciąż byli dokładnie tacy sami. Dwaj dorośli mężczyźni, jeden będący kopią drugiego.

Nazwano ich William i Robert. Zdecydowano o tym na specjalnym zebraniu w kilka dni po ich narodzinach. Ponoć bardzo starano się wyeliminować imiona niosące jakiegokolwiek symboliczne znaczenie i udało się to świetnie. Will i Bob – wybrano chyba dwa najzwyklejsze, najbardziej pospolite i nudne imiona.

A jej imię? To była zupełnie inna historia.

Tuż po porodzie noworodki ułożono w ramionach matki. Ta ponoć w pierwszej chwili wzdrygnęła się (dziennikarze oczywiście bardzo rozdmuchali ten fakt), ale kiedy poczuła dotyk skóry dzieci, zagarnęła chłopców w objęcia i leżała w ten sposób, wyczerpana, spocona i zakrwawiona, patrząc nic nierozumiejącymi oczami na nachylających się nad nią ludzi, nie reagując na coraz bardziej natarczywe pytania.

Trzeba było poczekać dwa lata, żeby poznać jej historię.

Takie efektowne wejście, a potem przez dwa lata nic.

No, może niezupełnie nic. Dość szybko przecież pojawiły się informacje o statku. Naukowcy rzucili się na niego jak wygłodzone sępy na padlinę. Analizowali, mierzyli, naświetlali, napromieniowywali, ale w gruncie rzeczy niczego ciekawego nie znaleźli. Żadnej niesamowitej technologii, niezwykłego tworzywa. Stan wiedzy ludzkości właściwie pozwalałby na zbudowanie na Ziemi podobnego pojazdu, oczywiście gdyby w przeszłości ludzkość nie zdecydowała, że nie jest zainteresowana

podróżami w kosmos. W komputery pokładowe wpisana została pętla, która co 107 sekund czyściła dane dotyczące lotu. Dziesięć milionów sekund, czyli mniej więcej cztery miesiące. Naukowcy i tak mieli szczęście, że w chwili lądowania dane obejmowały aż jedenaście tygodni. Na ich podstawie dało się stwierdzić, że kurs był ustawiony na sztywno, z lekkimi modyfikacjami automatycznie wyliczanymi przy resetowaniu każdej pętli.

Do tego pierwszego rozczarowania dołączyło następne: wyniki badań medycznych i genetycznych przeprowadzonych na kobiecie i dzieciach. Również tutaj nie odkryto niczego specjalnego, tylko zwykłe ludzkie DNA, znane tkanki i organy, krew grupy A, lekkie niedobory witamin i magnezu (zapewne efekt pokładowej diety), brak wad genetycznych.

Nie pozostawało nic innego, jak powściągnąć niecierpliwość do chwili, gdy uda się porozumieć z kobietą. Trzeba było czekać na słowa, pozwolić jej w spokoju przebrnąć przez podstawy mowy, przez dźwięki, głoski, sylaby, wyrazy.

Była pojętną uczennicą. Szybko zapamiętywała nowe nazwy. Krzesło, stół, dywan, wazon – mówiła, wskazując na odpowiednie przedmioty. Również czasowniki nie stanowiły problemu. Jeść, iść, siedzieć – pokazywała bezbłędnie, mimowolnie przejmując przesadną gestykulację swoich nauczycieli. A potem nastąpił zawsze trudny moment wprowadzenia pojęć abstrakcyjnych. Radość, miłość, dobro. Bóg...

Na początku było milczenie. A potem krzyk. Tak zaczyna się ewangelia spisana przez Kościół Drugiego Podwójnego Przyjścia. Choć słowo „spisana” raczej nie jest na miejscu. Ewangelia wciąż bowiem powstaje, rośnie w miarę tego, jak trwa misja przybyszów na Ziemi. A jej najważniejsze rozdziały – jak wierzą członkowie Kościoła – będzie można napisać, dopiero gdy dopełni się Drugie Podwójne Przyjście, wydarzenie gorliwie wyczekiwane przez wiernych, aczkolwiek, z tego co się zorientowałem, dość niejasne w swojej naturze.

Dwa lata – niby długo, ale na pewno niewystarczająco długo, by ostudzić emocje. Statek i jego pasażerowie wciąż rozpalali wyobraźnię. Obraz Shoomy z bliźniętami przy każdej piersi stał się najpopularniejszym wizerunkiem na świecie, ikoną, która była wszędzie: w galeriach sztuki, na filizankach, T-shirtach, chustach, plakatach i okładkach czasopism. Shooma i chłopcy niemal z dnia na dzień awansowali na najczęściej wykorzystywane postaci w kulturze popularnej, choć raz obsadzano ich jako pozytywnych, a raz negatywnych bohaterów, jakby twórcy filmów, książek i komiksów nie mogli się w tej kwestii zdecydować. Zresztą na tematy dotyczące zamiarów obcych wciąż żywo dyskutowano wśród zwykłych ludzi i nie było dnia, by gdzieś na świecie nie powstała nowa teoria spiskowa z ich udziałem. Również w poważnych mediach regularnie pojawiały się plotki o trzymanyh w tajnym ośrodku NASA kosmitce i jej dzieciach, relacje rzekomych sprzętaczek czy hydraulików, którym z racji wykonywanego zawodu udzielono wstępu do środka i którzy byli świadkami przerażających scen. Podobno widziano, jak na twarzach obcych pojawiały się – i zaraz znikwały – oblicza okropnych bestii. Widziano bliźnięta karmione krwią zarzynanych owiec, ściany walące się pod jednym uderzeniem ręki

kobiety.

Na pewno było po tym sporo sprzątanania.

Aż dziwne, że w ciągu tych całych dwóch lat zanotowano tylko jeden poważny incydent. Jakiś szaleniec wtargnął na teren zamkniętego ośrodka NASA w Michigan, gdzie w tamtym czasie trzymano kobietę i jej dzieci. Nikt nigdy nie dowiedział się, skąd znał tę lokalizację, ściśle tajną, którą strzeżono jak oka w głowie.

Założę się, że powiedziały mu to głosy.

Mężczyzna uzbrojony był w ogrodowy rozpylacz, podrasowany dla lepszego zasięgu, przez który na prawo i lewo pryskał silnie żrącym kwasem. Jego gromkie okrzyki nie pozostawiały wątpliwości, kto stanowił cel ataku. Zanim w końcu go ubezwłasnowolniono, zdążył poparzyć kilkoro strażników i pracowników ośrodka. Według plotek ludzie z obsługi do tego stopnia stracili głowę na widok okropnych ran ofiar, że wpakowali przerażoną kobietę i dzieci do samochodu i zawieźli je do najbliższego kościoła. Bardzo ładna historia, ale nieprawdziwa. To John Burrow zabrał ich do swojego domu. Sam mi to powiedział.

Jego żonę, Mandy Burrow, spotkałem tylko raz, ale mimo że nasza rozmowa trwała bardzo krótko – ledwie kilka zdań wymienionych na przenikliwym mrozie – kobieta zdążyła wspomnieć o tamtym wieczorze sprzed lat, kiedy w jej drzwiach stanęła ona. „Nie mogłam się ruszyć, po prostu nie wiedziałam, jak zareagować”, powiedziała Mandy, a jej otoczone pomarszczoną i suchą jak pergamin skórą oczy rozbliły zimnym blaskiem.

Mój bliższy kontakt z Burrowem zaczął się od nagrania na poczcie głosowej. Wiadomość była enigmatyczna. „Mam dla pana ciekawą propozycję. Proszę do mnie zadzwonić”. Dalej następował ciąg cyfr. Numer telefonu nic mi nie mówił, od razu natomiast poznałem głos profesora Burrowa, którego spotkałem kilka razy w trakcie przygotowań do misji Ares 5. Natychmiast oddzwoniłem.

Spotkaliśmy się tydzień później. Propozycja była rzeczywiście ciekawa.

— Radzę się dobrze zastanowić — powiedział na koniec. — To coś więcej niż praca. To zobowiązanie, być może na całe życie.

Kiwnąłem głową na znak, że zdaję sobie z tego sprawę.

— Jest jeszcze coś... — zawahał się. — Może to i drobiazg, ale chciałbym, żeby miał pan pełny obraz. Otóż kobiety... kobiety z reguły nie najlepiej to znoszą... Wie pan, ciągle przeprowadzki.

Uśmiechnąłem się gorzko. Kiedy rząd skasował projekt Ares i zamroził wszystkie pieniądze na przemysł kosmiczny, zostałem bez marzeń, zajęcia i stałej pensji. Wkrótce zostałem też bez żony i nic nie zapowiadało, żeby miało się to kiedykolwiek zmienić.

Dużo później zrozumiałem, że przeprowadzki były najmniej istotnym z problemów, które Mandy Burrow miała w związku z pracą męża.

Dwa lata po lądowaniu kobieta z obiektu Murraya mogła wreszcie opowiedzieć swoją historię. A przynajmniej taka jest oficjalna wersja. Myślę, że jej zdolności do porozumienia się były już wcześniej wystarczająco dobre, by przekazać tę opowieść.

To chłopcy z NASA uznali, że nadeszła właściwa chwila, żeby podzielić się nią z całym światem.

Historia była zresztą niezbyt skomplikowana: kobieta nie pamiętała niczego sprzed chwili, kiedy się obudziła wewnątrz statku. Słowa „obudzić się” używała z wahaniem, tłumacząc, że nie oddaje ono istoty tego, co się z nią wtedy stało.

— Wcześniej nie istniałam — mówiła. — Po prostu mnie nie było. Moje życie i świadomość, całe moje „ja” narodziło się w chwili, kiedy otworzyłam oczy na tym statku.

Podniosła powieki. Jej wzrok zatrzymał się na łagodnym łuku niebieskiego sufitu.

Oczywiście próbowano wszystkiego. Wykrywacza kłamstw, zawitych testów psychologicznych, wielogodzinnych przesłuchań, hipnozy, wszelkich łagodnych i mniej łagodnych form perswazji. Ponoć również tortur...

Kiedy po wielu latach odważyłem się zapytać Burrowa o ich stosowanie, nic nie odpowiedział. Popatrzył tylko na mnie bez słowa, ale wiedziałem, że to spojrzenie nie musi nic znaczyć. W tamtym czasie jego ciało toczyło niemożliwą do wygrania walkę z nadchodzącą śmiercią – w tamtym czasie zawsze patrzył w ten sposób.

... ale nic, nawet tortury (jeśli założyć, że miały miejsce) nie zmieniły jej wersji zdarzeń.

Podniosła powieki. Jej wzrok zatrzymał się na łagodnym łuku niebieskiego sufitu.

Po niespodziewanym telefonie Burrowa i po pierwszym spotkaniu nastąpiły kolejne. John – wtedy mówiliśmy już sobie po imieniu – opowiadał przez wiele godzin, popijając lurowatą kawę i usiłując zamknąć w słowach dziesięć lat, które minęły od lądowania statku. Ja głównie słuchałem, układałem wszystko w głowie. Pod koniec wyrobiłem sobie jako taki obraz sytuacji. Wiedziałem, czego się spodziewać.

A jednak pierwsze spotkanie było szokiem.

Stała przy wielkim balkonowym oknie, niemal cała schowana w fałdach ażurowej firany.

— Chciałbym, żebyś kogoś poznała. — Burrow położył dłoń na jej ramieniu i tak jak wcześniej ustaliliśmy, przedstawił mnie jako fizykoterapeutę, który miał dbać o zdrowie i kondycję fizyczną całej, zamkniętej na ograniczonej przestrzeni, grupy badawczej.

Odwróciła się. Wyciągnęła rękę i powiedziała:

— Shooma, bardzo mi miło.

Zwyczajny głos. Skóra dłoni ciepła, nieco szorstka. Uścisk ani zbyt silny, ani zbyt słaby. Sięgające ramion kręcone brązowe włosy i ta twarz, znana z setek, a może i tysięcy fotografii, z gazet, telewizji, filmów dokumentalnych, twarz dokładnie taka sama jak na tych fotografiach, z pewnością nie piękna, ale też nie brzydka, niczym szczególnym się niewyróżniająca, może jedynie lekką asymetrycznością ust i brwi.

To był szok, ta jej zwyczajność, zupełna przeciętność. Spodziewałem się, że w

kontakcie bezpośrednim ujawni się coś, czego nie potrafiły wychwycić żadne kamery czy aparaty fotograficzne. Coś niezwykłego. Coś... kosmicznego.

Tymczasem niezwykle było tylko imię. Shooma. Z bardzo długim podwójnym „o” i króciusińskim, urwanym „ma” na końcu. „Shooo-ma”. Dziwne słowo, nad którym językoznawcy z całego świata od lat łamali sobie głowy.

Z imionami chłopców od początku nie było większego problemu. Nikt nie miał wątpliwości, że trzeba ich jakoś nazwać, choćby po to, by móc ich odróżnić po karteczkach z imionami przyczepionymi do maleńkich piąstek noworodków. Chłopiec A i chłopiec B – to brzmiałoby bezdusznie, a poza tym wszyscy wiedzą, że po narodzinach należy nadać imię, taka jest naturalna kolej rzeczy, a w przypadku tych narodzin nadanie pozorów naturalności stanowiło reakcję obronną całej ludzkości, postawionej przed tak bezprecedensowym – i nienaturalnym – wydarzeniem.

Natomiast z kobietą sprawa miała się zupełnie inaczej. Przecież nie można było tak po prostu wymyślić imienia dla dorosłej osoby. To dopiero byłoby nienaturalne.

Kiedy więc zaczęła robić postępy w nauce mowy, kiedy zmierzyła się już z pierwszymi pojęciami abstrakcyjnymi...

Radość, miłość, dobro. Bóg.

... zapytano ją o imię.

– Ja – Helen, ja – Helen – powtarzała nauczycielka, wskazując palcem prosto w swoje serce. – A ty? – Palec wykonał obrót o sto osiemdziesiąt stopni.

– Shooma – usłyszano w odpowiedzi.

– Ja – Julian, ja – Julian – nalegał inny nauczyciel. – A ty?

– Shooma – kobieta upierała się przy swoim. Jak z wszystkim innym, z każdą informacją o sobie, statku czy podróży przez kosmos, tak i z imieniem nigdy nie przyłapano jej na najmniejszej niekonsekwencji.

Stałem więc na równi oślepiiony zarówno jej zwyczajnością, jak i słońcem przeświecającym przez okno balkonowe za jej plecami. Rozczarowany, nie byłem zdolny wydusić słowa. Cisza trwała, sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna. Naprawdę powinienem wreszcie coś powiedzieć, na jej „bardzo mi miło” odpowiedzieć własnym...

Uratowali mnie jej synowie. Wybiegli z sąsiedniego pokoju, z hukiem otwierając drzwi. Dwaj roześmiani, hałaśliwi dziesięcioletni chłopcy. Jeden złapał za rękę kobietę, drugi sięgnął po dłoń Johna. Na mnie nie zwracali uwagi.

– Mamo! John! Musicie to zobaczyć! – Pociągnęli ich w stronę wyjścia.

Kobieta i Burrow wymienili porozumiewawcze spojrzenia i pozwolili się poprowadzić. Widać było, że Will i Bob nie po raz pierwszy dzielili się z nimi swoimi chłopięcymi tajemnicami, że tę czwórkę łączy bliska więź, że dotyk dłoni, uśmiech, porozumiewawcze spojrzenie są dla nich czymś normalnym.

A ja stałem, wciąż w tym samym miejscu, wciąż nie mogąc się poruszyć czy otworzyć ust, i patrzyłem, jak dwóch przejętych dziesięciolatek prowadzi za rękę swoją matkę i uśmiechniętego Burrowa, i nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Z czasem przywykłem. Nie potrafię powiedzieć kiedy dokładnie. Po prostu

stopniowo się przyzwyczailem. Pamiętam, że już kilka miesięcy później, podczas przyjęcia z okazji jedenastych urodzin bliźniaków, po moim początkowym szoku nie było nawet śladu. Przyzwyczailem się do ich zwyczajności i niezwykłości, zacząłem traktować Shoomę i jej dzieci jak normalne osoby.

Rok wcześniej z powodu niezdrowego zamieszania wokół okrągłej rocznicy lądowania statku, dziesiątych urodzin Willa i Boba nie świętowano wcale, więc tym razem zdecydowano się na huczne – jak na naszą małą zamkniętą społeczność – obchody.

Dziesiąta rocznica lądowania nie była jedynym powodem wzmożonego zainteresowania Shoomą i bliźniętami. W tym samym czasie – zapewne nie przez przypadek – ukazała się praca kontrowersyjnego rosyjskiego fizyka i filozofa Kiryła Nyszkin, za jednym zamachem rozwiązująca ponoć tajemnice, na których połamali sobie zęby najlepsi naukowcy zajmujący się lądowaniem. Trwające dekadę badania statku, Shoomy i chłopców wciąż prowadziły do tych samych wniosków: że oto doszło do kontaktu z trzema całkiem zwykłymi przedstawicielami gatunku *Homo sapiens*, którzy niczym się nie wyróżniali i nie dysponowali żadną zaawansowaną technologią, nawet biorąc pod uwagę, że ich statek musiał SKĄDŚ na Ziemię dotrzeć.

Nic bardziej mylnego – grzmiał Nyszkin w swojej pracy. To zasłona dymna. Naprawdę mamy do czynienia z niepojętą, niewyobrażalną obcością, z trzema kosmicznymi potworami. Nie widzimy tego tylko dlatego, że zawodzi nas aparat badawczy: ludzkie oko, ludzka nauka i technologia, które mogą dostrzec i zidentyfikować jedynie to, co ludzkie, choćby te cechy były w badanym obiekcie tylko drugo- albo i trzeciorzędne, a zasadnicza jego natura pozostawała obca i wroga. W ekipie Burrowa rewelacje Nyszkin przyjęto raczej chłodno.

Urodziny rzeczywiście zapowiadały się hucznie. Na środku największej świetlicy ustawiono wielki stół, a na nim prezenty, tort ze świeczkami, gazowane napoje i dekoracje z kolorowego papieru. Wokół zgromadzili się już wszyscy, cały zespół badawczo-obserwacyjny skompletowany przez Johna Burrowa, który od jedenastu lat towarzyszył Shoomie i bliźniętom; cała – jak sami nazywaliśmy się w żartach – świta królowej. Był András Kerekes, świetny biolog, którego John ściągnął z Węgier; obok stał Robert Beck, fizyk; dalej Amelie Tirano, młoda kobieta o skomplikowanym rodowodzie włosko-francusko-portugalskim, a przede wszystkim znakomita lingwistka. Obok kręciła się sześćosobowa ekipa psychologów i socjologów, na czele z profesorem Victorem Griffinem, następnie Owen Foster, lekarz, w którego cieniu jak zwykle krył się młody asystent Hayes. Dalej Katia Borvsky, genetyczka, ja, Shooma i John. Brakowało jedynie jubilatów.

Ich matka niecierpliwiła się. Co chwilę wyglądała na korytarz.

– Shooma, nie kręć się tak, bo cię zauważą i nie będzie niespodzianki – powiedziałem.

Odsunęła plastikowe kubki z rogu stołu i usiadła na blacie, ale nie potrafiła

zapanować nad nerwowym kołysaniem nogami. Wyglądała jak mała dziewczynka, która nie może się doczekać porcji urodzinowego tortu.

— Mam nadzieję, że nie utknęli w jakimś kącie ze swoją grą — odrzekła ponuro.

Gry były ulubioną rozrywką pozbawionych kontaktu z rówieśnikami chłopców. Planszowe, komputerowe, logiczne, strategiczne, zręcznościowe — zawsze mieli jakąś najnowszą, „najbardziej fajną”, która aktualnie pochłaniała ich czas i uwagę.

— Nie wiem, czy spodoba im się mój prezent. — Shooma obrzuciła wzrokiem stojące obok pudełko, zapakowane w kolorowy papier.

— Ja kupiłem im książkę o łodziach podwodnych, ale też nie jestem pewien, czy to jest coś, o czym marzą. — Zaśmiałem się.

— A ty o czym marzyłeś, kiedy miałeś jedenaście lat? — zadała to pytanie tak jak zwykle, w jednej chwili zapominając o tym, co działo się wcześniej, o przyjęciu, prezentach, zniecierpliwieniu i całą sobą, z całą intensywnością skoncentrowała się na rozmówcy. Przestała nawet majtać nogami.

O czym marzyłem, kiedy miałem jedenaście lat? O tym samym co wtedy, kiedy miałem dziesięć lat. I siedem. I piętnaście. I cztery. I teraz.

Uśmiechnąłem się.

— Jak to o czym? O locie w kosmos.

Nie wiem, kiedy dokładnie zaczęła się ta moja fascynacja. Ani od czego. Może od jakiegoś programu telewizyjnego, a może od ilustracji w książce, którą zobaczyłem, gdy byłem zbyt mały, żeby to potem pamiętać. Marzenia o kosmosie towarzyszyły mi od zawsze, to im podporządkowałem całą młodość. Po latach studiów i przygotowań zakwalifikowałem się do programu kosmicznego NASA. Tylko że wtedy rząd postanowił przyciąć wydatki na agencję, a w zasadzie całkowicie zrezygnować z programu kosmicznego. Wyprawy poza orbitę, dramatyczne starty raket plujących ogniem i dymem, wielomiesięczne, ba, wieloletnie podróże przez lodowatą próżnię — wszystko to stało się niemodne i już nie pobudzało wyobraźni ludzi jak kiedyś. Wszechświat poznawano w inny sposób, dzięki supernowoczesnym technologiom umożliwiającym obserwację coraz większych obszarów kosmosu, a wraz z odkrywaniem kolejnych i kolejnych globów, pozbawionych choćby śladów życia, rosło przeświadczenie, że „tam niczego nie ma”. Ostateczny los tradycyjnego programu kosmicznego przypieczętowała misja Ares 4: zupełnie nieudane — choć tylko z punktu widzenia medialnego — pierwsze lądowanie człowieka na Marsie, które po prostu potwierdziło informacje wcześniej zebrane przez bezzałogowe sondy.

Oczywiście kiedy pojawiła się Shooma, nastroje się odmieniły. Na nowo podjęto badania, strumień pieniędzy znowu zaczął płynąć do NASA, ale dla mnie było już wtedy za późno. Jest tylko jedno krótkie okienko czasowe, podczas którego z potencjalnego astronauty można się stać astronautą prawdziwym. Przypada ono mniej więcej między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia, a ja już wtedy dawno

przekroczyłem trzydziestkę. Moje okienko zamknęło się, straciłem swoją szansę.

Shooma wydeła wargi.

— Wierz mi, loty w kosmos są przereklamowane — powiedziała ze śmiertelną powagą, której jednak nie utrzymała długo i za chwilę wybuchnęła śmiechem. Jednocześnie w drugim końcu sali wzniosły się okrzyki.

— Chłopcy! Przyszli!

Shooma zeskoczyła ze stołu i pobiegła do drzwi, gdzie rzeczywiście stali oszołomieni bliźniacy. Zaczęło się przyjęcie.

Z każdym kolejnym rokiem spędzaliśmy razem więcej czasu. Dużo rozmawialiśmy; o chłopcach, którzy wchodzili w trudny wiek nastoletni, o członkach naszej grupy badawczej, która z czasem stała się dla Shoomy, ale również i dla mnie, jak rodzina, z tą samą niemożliwością rozcięcia więzów wzajemnych powiązań, z tą samą mieszaniną serdeczności i irytacji. Rozmawialiśmy o życiu w ośrodku, ale też i poza nim. Shooma miała dostęp do gazet i innych mediów i z wielkim zainteresowaniem śledziła wydarzenia na świecie. Niemal o wszystkim miała własną opinię, czasem bardzo zaskakującą jak na kogoś, kto zawsze żył poza nawiasem społeczeństwa. Znałem jej radości i troski, wiedziałem, co ją śmieszy, a co doprowadza do łez, wiedziałem, po jakich sygnałach poznać, że zaraz wybuchnie śmiechem, a po jakich, że się złości i lepiej zostawić ją samą.

Im bardziej traktowałem ją jak normalną osobę, tym mocniej dostrzegałem jej niezwykłość.

O kosmosie nie rozmawialiśmy prawie wcale. Kiedy o to pytałem, Shooma wzruszała ramionami.

— Zajrzyj jeszcze raz w dokumentację. Tam jest cała historia, wszystko, co miałam na ten temat do powiedzenia — powtarzała.

Zajrzałem. Przeczytałem wszystko, co mogłem zdobyć. Nie tylko dokumentację agencji, ale także artykuły prasowe, poważne i mniej poważne analizy. Mimo że były tego tysiące stron, obraz, jaki się z nich wyłaniał, zdawał się niepełny. Nie potrafiłem dopasować suchych słów do radosnej, pełnej życia Shoomy. To chyba wtedy zacząłem sobie wyobrażać to wszystko po swojemu: „Podniosła powieki. Jej wzrok zatrzymał się na łagodnym łuku niebieskiego sufitu...”

Zamiast o kosmosie wolala mówić o swoich uczniach. Lekcje z uchodźcami były pomysłem Johna, który bardzo chciał znaleźć Shoomie zajęcie. Oczywiście pochłaniała ją opieka nad synami, ale z każdym rokiem chłopcy stawali się coraz bardziej samodzielni, zostawiając jej więcej wolnego czasu. Załatwienie tych lekcji, przekonanie szefów NASA, żeby w ogóle się na to zgodzili, nie było łatwe, ale w końcu się udało i w chwili, kiedy dołączyłem do zespołu, trwały one już od kilku miesięcy.

To była część życia Shoomy, z którą nie miałem wiele wspólnego. Nie byłem obecny na lekcjach — już i tak zbyt obsadzonych oficjalnymi ochroniarzami, by pchał się tam jakiś fizykoterapeuta — i jedynie z daleka obserwowałem, jak trzy, cztery

razy w tygodniu korytarzami ośrodka przemyka kolejna grupka uczniów. Mimo że ludzie ci zmieniali się co jakiś czas, dla mnie wyglądali tak samo: poważni i nieśmiali, zazwyczaj ciemnoskórzy, zachodnie ubrania nosili z wyraźnym brakiem swobody, jakby było w nich coś nieprzystojnego. Zahukani do tego stopnia, że mogli nawet nie wiedzieć, kim jest ich nauczycielka. Zdawałoby się, że zupełnie niegroźni.

Z szuflady wyjmuję zdjęcie i przyglądam się przedstawionemu na nim mężczyźnie. Wszystko się zgadza – i zapadnięta, niemal zupełnie czarna twarz, i oczy z przestraczem patrzące w aparat, wreszcie niedopięta, krzywo leżąca sztruksowa marynarka.

Trzy lata po tym jak dołączyłem do zespołu Burrowa, na teren ośrodka – był to akurat ten w Utah – wtargnęli napastnicy. Podczas dotychczasowego pobytu Shoomy na Ziemi to był drugi bezpośredni atak, ale tym razem sytuacja prezentowała się dużo groźniej. Zamiast z przyskającym kwasem szaleńcem w wieku więcej niż średnim, teraz mieliśmy do czynienia z grupą około dwudziestu zamaskowanych, wyszkolonych i uzbrojonych młodych mężczyzn, z małą armią, która poruszała się bezszelestnie, doskonale orientując się w wewnętrznym rozkładzie budynków, i unieszkodliwiała każdego, kto stanął jej na drodze. Która znała supertajne kody bezpieczeństwa i korzystała ze skradzionej karty dostępu. I która miała plan.

Kiedy zabrzmiał alarm, nie wiedziałem tego wszystkiego. Zresztą w tamtej chwili napastnicy mieli dla mnie drugorzędne znaczenie. Moją pierwszą reakcją było szukanie Shoomy. Pamiętam, jak biegłem korytarzem, zaglądając po kolei do wszystkich pokoi. Dźwięk alarmu doprowadzał mnie do szaleństwa. Shoomy nigdzie nie było. Pociągnąłem za ostatnie drzwi... Za nimi – pusto. Alarm wciąż wyl przeszywająco. Zbiegłem po schodach do piwnicy, w płataninie korytarzy i pomieszczeń znalazłem wreszcie miejsce ze skrzynką z przełącznikami, wstukałem kod na klawiaturce i wyłączyłem zasilanie alarmu. Zapadła cisza.

I wtedy coś, jakby delikatne echo szmeru, a może – jak lubilem myśleć – szósty zmysł tropiciela, kazał mi sprawdzić pomieszczenie obok. W środku, za szafą ze starymi wojskowymi aktami, znalazłem Shoome, bliźniaków i Kevina Browna, jednego z psychologów z grupy profesora Griffina.

– Nic wam nie jest? – ledwo się powstrzymałem od krzyku.

– Nie – wyszeptała Shooma. Była blada, choć spokojna. – Kevin nas tu przyprowadził.

– Dobry pomysł. – Kiwnąłem z aprobatą w stronę Browna. – Ale jeszcze lepiej będzie, jeśli opuścimy budynek.

Wiedziałem, że na drugim końcu głównego korytarza jest krata wentylacyjna i dostanie się do niej było jedynym pomysłem, jaki przychodził mi do głowy.

Podszedłem do drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. W bocznej odnodze korytarza rosły podłużne cienie anonimowych sylwetek.

Cofnąłem się do środka. Shoomie, dzieciom i Brownowi nakazałem gestem, by schowali się z powrotem w kryjówce za szafą. Z kabury przymocowanej do łydki pod spodniami wyciągnąłem pistolet. Znów przylepiłem się do ściany i wyjrzałem na

korytarz. Było ich trzech. Na szczęście aż dwóch stało odwróconych do mnie plecami.

W trzeciego wycelowalem w momencie, kiedy i on skierował ku mnie swoją broń, ale z naciśnięciem spustu byłem szybszy o ułamek sekundy. Drugiego trafiłem, jeszcze zanim zdążył się odwrócić. Kula ostatniego przeszła mi bok, ale następny pocisk, jaki przemierzył niewielką odległość między nami, pochodził już z mojego pistoletu. Trzecie ciało zważyło się na podłogę.

Ja również upadłem.

— Jesteś ranny! — Kiedy otworzyłem oczy, Shooma nachylała się nade mną.

Z trudem wstałem. Musiałem. W każdej chwili mógł się pojawić następny napastnik.

— Zabierzcie chłopców — rzuciłem do Shoomy i Browna. — Idziemy.

Ominęliśmy trupy i posunęliśmy się spory kawałek, gdy dwa kolejne cienie w korytarzu ostrzegły nas o nowym niebezpieczeństwie. Moja rana mocno krwawiła i wiedziałem, że wkrótce osłabnę. Nie miałem czasu na podchody, na ukrywanie się, wybór innej drogi. Po prostu stanąłem naprzeciwko nich i dwa razy nacisnąłem spust.

Miałem szczęście. Dużo szczęścia. Żaden nie zdążył we mnie trafić.

Szliśmy dalej. Czułem, jak utrzymująca mnie do tej pory na nogach adrenalina wypływa ze mnie razem z krwią. Jakimś sposobem dotarłem jednak do kraty wentylacyjnej, wyrwałem ją ze ściany – wyłączony alarm nie uruchomił się – i przedostałem się na drugą stronę, a potem pomogłem zrobić to samo bliźniakom, Shoomie i Brownowi.

— Dalej... — Wskazałem na nieoświetlony teren zieleni.

Musieliśmy iść dalej, jak najbardziej oddalić się od budynku, ale dla mnie pokonanie tych ostatnich metrów było prawdziwą męką. Kiedy na skraju parku natknęliśmy się na grupę uzbrojonych strażników z ośrodka, straciłem przytomność.

Dwa dni później ocknąłem się w szpitalu. Kulisy zamachu były już wtedy dobrze znane. Stał za nim Kościół Drugiego Podwójnego Przyjścia, a dokładniej kilkunastu najwyżej postawionych kapłanów i najbardziej wpływowych wyznawców, którzy tłumaczyli, że nie zamierzali działać na niczyją szkodę. Przeciwnie, chcieli ratować chłopców i ich matkę, przenieść ich na łono Kościoła, gdzie mogłyby się wreszcie rozwinąć ich przytłumiony boski potencjał, gdzie byliby całkowicie bezpieczni.

Czy tak by się stało? Wątpię. Religie mają tendencję do czczenia martwych bogów.

Ich wtyczką w ośrodku i dostarczycielem informacji okazał się Tinashe Iweala, jeden z uchodźców i uczniów Shoomy.

Znowu spoglądam w patrzące ze zdjęcia, przestraszone oczy Iweala. Usiłuję dostrzec w nich inteligencję i spryt, które pozwoliłyby mu podpatrzeć kody bezpieczeństwa i ukraść strażnikowi kartę dostępu tak, że ten nie zauważył jej braku przez całe popołudnie. A może wcale nie była potrzebna inteligencja? Może wystarczyła desperacja? Córka i

ciężko chora żona Tinashe Iweala gnily w afrykańskim więzieniu, pieniądze od Kościoła Drugiego Podwójnego Przyjścia miały pójść na ich uwolnienie, na łapówki dla strażników i urzędników, na wyśrubowane opłaty dla organizatorów nielegalnych ucieczek do rajy zachodniej cywilizacji.

Nigdy nie rozmawiałem z Shoomą o zdradzie jej ucznia. Prawie w ogóle nie poruszaliśmy też tematu wydarzeń z tamtego wieczoru. Raz, kilka miesięcy później, już w innym ośrodku na drugim końcu kraju, siedzieliśmy razem przed telewizorem i Shooma, pilotem przerzucając kanały, natrafiła na reportaż o Kościele Drugiego Podwójnego Przyjścia.

Kościół założył niejaki Ed Nicas, Kanadyjczyk o greckich korzeniach, jeszcze tamtego pamiętnego lata, kiedy ludzkość czekała na lądowanie obiektu Murraya. Oczywiście wtedy nie nazywał się jeszcze Kościołem Drugiego Podwójnego Przyjścia, lecz Kościołem Listopadowego Końca i właściwie nie wyróżniał się niczym specjalnym wśród dziesiątek innych podobnych grup religijnych, które w tamtym czasie powstawały na całym świecie. Czternastego listopada, w dniu, w którym statek wszedł na orbitę, stało się jednak coś niezwykłego. Ed Nicas zmarł. Nie popełnił samobójstwa, nie został zabity przez innego członka swojej organizacji – takich przypadków było niemało. Nicas, mężczyzna zdrowy i w sile wielu, zmarł w sposób naturalny, co potwierdziło kilka niezależnych opinii lekarskich. Dało to Kościołowi – odpowiednio szybko przemianowanemu – pierwszego proroka i męczennika oraz sławę, którą wykorzystał do głoszenia swojego przesłania.

— Bóg wreszcie przychodzi do całej ludzkości, nie do jednego narodu, nie do mieszkańców jakiegoś konkretnego obszaru geograficznego. Znalazł sposób, by przemówić do wszystkich mieszkańców Ziemi naraz. — Przez chwilę słuchaliśmy, jak na ekranie telewizora młoda rudowłosa kobieta żarliwym głosem opowiada o najważniejszych prawdach wiary Kościoła Drugiego Podwójnego Przyjścia.

— Wszystko niepotrzebnie... — Shooma westchnęła enigmatycznie.

I w tamtej chwili, siedząc obok Shoomy, która znowu zmieniła kanał i teraz oglądała środek *Obcego – ósmego pasażera Nostromo*, przypomniałem sobie, że na początku naszej znajomości opowiadała mi o tym, jak różni specjaliści uczyli ją języka.

— I tylko go sobie wyobraź — mówiła, a w jej oczach zapaliły się ogniki. — Podłużna twarz, opadnięte powieki, melancholijne spojrzenie, wąskie, blade usta, i pokazuje mi jakąś minę. Zaciska te swoje wargi, manewruje ich kącikami, a patrzy przy tym intensywnie i jakoś tak znacząco... Myślałam, że coś mu się stało, może udar, choć wtedy oczywiście nie znałam tego słowa. I co się okazało? On mi radość pokazywał! Uśmiech i wesołość!

Radość, miłość, dobro – zadbano, by nauczyć ją, co znaczą te pojęcia. Smutek, nienawiść, zło – tego nauczyło ją życie.

I siedząc tak na kanapie obok Shoomy, patrząc na załogę *Nostromo* uciekającą w panice przed *Obcym*, odtwarzając w pamięci scenę, w której Shooma żartuje sobie z nauczyciela, zatęskniłem do swobody i poufałości, która kiedyś między nami była.

Od czasu zamachu w zachowaniu Shoomy wyczuwałem chłód i dystans.

Myślę, że zaczęła się domyślać.

— Twierdzi, że nie wie niczego poza tym, co już powiedziała — oznajmił John Burrow podczas naszego pierwszego spotkania. — Wierzę jej, ale tym bardziej boję się tego, czego nie jest świadoma.

— Nie rozumiem.

Burrow sięgnął po kubek z kawą. Zmienił zdanie i odstawił go, nie upijając łyka.

— Długo nad tym myślałem, a właściwie wciąż myślę, po prostu nie mogę przestać... Pewnego dnia na Ziemi ląduje statek kosmiczny, w środku jest rodząca kobieta... W tym musi coś być. Po prostu musi. Przeanalizowałem wszystkie warianty, niemal wyliczałem prawdopodobieństwa... wiem, nie można... ale ja... Zresztą nieważne. — Machnął ręką. — Ważne jest to, że jestem pewien, iż wcześniej czy później coś... coś się wydarzy, nie wiem, obudzi się w niej coś obcego, teraz uśpionego... a może stanie się coś jeszcze innego, niewyobrażalnego. Coś... strasznego. Musimy być na to przygotowani i w razie czego — wyjął z kieszeni pistolet i przesunął go po stole w moją stronę — odpowiednio zareagować.

Nie poruszyłem się.

— A chłopcy? Wciąż mówisz o kobiecie, a może prawdziwe niebezpieczeństwo grozi nam z ich strony?

— Być może, ale przeczucie mówi mi, że bliźniacy są czymś w rodzaju zasłony dymnej. Najważniejsza jest ona.

Przez chwilę milczeliśmy, wpatrzeni w leżącą między nami broń.

— Decydujesz się? — zapytał wreszcie Burrow.

Wreszcie kiwnąłem głową.

W ten sposób zostałem tajnym ochroniarzem Shoomy, jej aniołem stróżem, a raczej aniołem stróżem ludzkości.

Aniołem stróżem ludzkości, katem Shoomy.

Zaczęła się domyślać przede wszystkim z powodu pistoletu. Broń była oficjalnie zabroniona wewnątrz naszej grupy. Owszem, otaczali nas uzbrojeni po zęby strażnicy, ale wewnętrzny obszar, w którym przebywała Shooma, chłopcy i cała grupa badawcza, miał być z założenia strefą zdemilitaryzowaną. Więc dlaczego fizykoterapeuta miałby nosić przy sobie broń? Dlaczego trzymał ją tak przemyślnie ukrytą pod nogawką spodni? Dlaczego mu na to wszystko pozwalano? Bo przecież nikt nie zdołałby tak po prostu przemycić pistoletu do ośrodka...

— Ale dlaczego ja? Dlaczego wybrałeś akurat mnie?

Burrow przejechał rękę po brodzie.

— Po pierwsze twój trening astronauty. Znasz się na rzeczy, nie trzeba ci wszystkiego tłumaczyć. A po drugie...

— A po drugie?

— Cóż, nie chcę nikogo, kto siedzi w tym środowisku po uszy, kto jest

uwikłany w układy w agencji. Potrzebuję kogoś, kto w odpowiedniej chwili będzie potrafił podjąć właściwą decyzję bez oglądania się na to wszystko, na interesy NASA czy rządu. A ty miałeś przerwę, nabrałeś dystansu.

Uśmiechnąłem się w duchu. Miałeś przerwę, nabrałeś dystansu – chyba po raz pierwszy ktoś tak elegancko określił lata, kiedy pracowałem jako sprzedawca w nocnym sklepie czy ochroniarz magazynów.

Mniej więcej pół roku po ataku Kościoła Drugiego Podwójnego Przyjścia John poprosił mnie znów na rozmowę do swojego gabinetu.

Usiadł na fotelu, wskazał mi krzesło naprzeciwko. Potem długo milczał.

– To wróciło – powiedział wreszcie cichym głosem.

– Wróciło? Co wróciło?

– Rak. Tym razem już mi nie odpuści.

Kiedy John zachorował po raz pierwszy, lekarze nie dawali mu żadnych szans. Rzadka i wyjątkowo złośliwa odmiana raka wątroby – to właśnie ta diagnoza była powodem, dla którego zaczął szukać kogoś, kto po jego śmierci przejmie jego najważniejszy obowiązek; powodem, dla którego się ze mną skontaktował.

Jednak po półrocznym leczeniu, podjętym niemal dla formalności, okazało się, że guz zniknął. Lekarze mówili o cudzie.

Nawrót choroby nie zakończył się tak szczęśliwie. Minęło ledwie kilka miesięcy od naszej rozmowy w gabinecie i znalazłem się na pogrzebie Johna, podczas którego musiałem zmagać się z bólem po stracie przyjaciela, dotkliwym mrozem grudniowego popołudnia i nienawiścią, którą zobaczyłem w oczach Mandy Burrow, nienawiścią do nieobecnej wśród żałobników Shoomy, nienawiścią jednej kobiety zazdrosnej o drugą.

Kiedy poznałem Shoome i pierwszy raz zobaczyłem Willa i Boba ciągnących matkę i Johna za ręce, już wtedy pomyślałem, że wyglądają jak rodzina. Kobieta, mężczyzna, dwóch synów. Spędzali ze sobą dużo czasu, widać było, że wzajemne towarzystwo sprawia im przyjemność. A czasem miałem wrażenie, że wspólne zabawy z bliźniakami – frisbee, piłka, tenisowy debel, triumfalny uścisk zwycięskiej drużyny – dla Johna i Shoomy były po prostu pretekstem do złączenia rąk, bliskości, dotyku.

Po śmierci Johna w zespole powstała niemożliwa do wypełnienia dziura. Burrow był kimś więcej niż tylko szefem, był sercem całego przedsięwzięcia, to on trzymał nas razem.

András Kerekes odszedł z zespołu niemal natychmiast. Wkrótce w jego ślady podążył profesor Victor Griffin, pociągając za sobą większość grupy psychologów. Obaj tłumaczyli się względami naukowymi i czekającymi ich projektami, choć prawda była taka, że już od wielu lat Shooma i chłopcy nie dostarczali nowego materiału do badań i zarówno Kerekes, jak i Griffin już wcześniej zajmowali się – niejako „nieoficjalnie” – pracą nad innymi projektami. Potem odeszła jeszcze genetyczka Katia Borvsky. Z oryginalnego zespołu została nas połowa. Jedynym

nowym nabytkiem został Andrew Hall, którego mianowano następcą Johna. Hall był młody i energiczny, ale kiedy odchodzili Kerekes, Griffin i inni, nie zrobił nic, by ich przekonać do zmiany decyzji. Podawał się za biologa, choć prawdę mówiąc, wcale nie wyglądał na naukowca. Kiedy o nim myślałem, nie potrafiłem odpędzić od siebie niejasnych podejrzeń.

Shooma też mu nie ufała, choć nigdy nie powiedziała tego głośno. Od zamachu Kościoła Drugiego Podwójnego Przyjścia minęły prawie dwa lata. Czas już nieco zatarł wspomnienia tamtej okropnej nocy i nawet jeśli Shooma zaczęła się wtedy domyślać mojej prawdziwej roli w zespole, doszła chyba do wniosku, że te podejrzania są nieprawdziwe. A może zwyczajnie pogodziła się z tym faktem? Umiejętność akceptowania rzeczy, których nie mogła zmienić, miała rozwiniętą znakomicie. Ćwiczyła ją już ponad piętnaście lat, bez sprzeciwu poddając się nakazom agencji.

Jakakolwiek była prawda, dystans między Shoomą a mną zniknął. Znowu spędzaliśmy ze sobą dużo czasu, znów zwierzała mi się ze swoich trosk i radości.

Tyle że teraz były to głównie troski. niesprecyzowane lęki, niejasne obawy, wszystkie koncentrujące się wokół Willa i Boba.

Niedługo potem okazało się, że złe przeczucia Shoomy nie były bezpodstawne. Kryzys nadszedł, gdy chłopcy skończyli szesnaście lat. Zaczęło się od zwykłych humorów. Bliźniacy kłócili się ze wszystkimi, byli opryskliwi, nawet wulgarni. Wkrótce ich zachowanie stało się nie do zniesienia.

— O co wam chodzi?! Przecież tak nie pomagacie ani sobie, ani waszej matce! — krzychałem do nich, kiedy podczas kolejnej próby rozmowy natrafiłem znów jedynie na ciszę i naburmuszone miny w odpowiedzi.

Zacisnąłem zęby, próbując się uspokoić. Wiedziałem, że krzykiem niczego nie wskóram.

— Przecież mnie możecie zaufać — westchnąłem. — Znam was od tylu lat, potrafię zrozumieć wasze zmartwienia.

Na te słowa któryś z bliźniaków wybuchnął:

— Nigdy nas nie zrozumiesz! Ty możesz stąd wyjść w każdej chwili. Przejść przez drzwi, zamachać identyfikatorem przed nosem strażników — i już za moment będziesz na zewnątrz. A my jesteśmy skazani na to miejsce, na te ściany i korytarze, na ten nędzny ogród, parę ławek na trawnikach...

Tajny wojskowy ośrodek w Oklahomie — tam trzymali ją na samym początku, tuż po lądowaniu statku. Wkrótce jednak, ze względu na potencjalne zagrożenia, przeniesiono ich do niewielkiego ośrodka na Alasce, gdzie — jak się szybko okazało — nie było odpowiednich warunków dla Willa i Boba, wówczas ledwie kilkumiesięcznych niemowląt. Nastąpiła przeprowadzka do Nevady, potem Dakoty, do rozległego ośrodka dobrze nadającego się dla tego rodzaju niemal stałych gości — bungalowy usytuowane były w ładnym parku. Jednak to właśnie tam miało miejsce zdarzenie z szaleńcem pryskającym żrącym kwasem, po którym podjęto decyzję, że nie będzie się jej umieszczać w

żadnym ośrodku na dłużej niż sześć miesięcy. Kolorado, Oklahoma, Idaho, znowu Kolorado, Wisconsin i jeszcze kilka innych miejsc – ciągle przenosiny z miejsca na miejsce. Kiedy ja do nich dołączyłem, byli akurat w Alabamie, potem przeniesiono nas do Nowego Meksyku, a jeszcze później do Montany. Porządku dalszych przenosin nie pamiętam, w głowie został mi tylko kalejdoskop miejsc, sal, korytarzy, jadalni i karuzela nazw: Ohio, Dakota Południowa, Arizona, i tak dalej, i tak dalej.

— ... a my chcemy żyć normalnie! Jak wszyscy w naszym wieku! Chodzić do zwyczajnej szkoły i mieć kolegów! Mieć szansę na jakąś przyszłość poza tymi murami!

Spojrzałem na nich, na dwie zacięte szesnastoletnie twarze z cieniem pierwszego zarostu nad wargami. Popatrzyłem na nich, jakbym widział ich po raz pierwszy.

Wtedy dotarło do mnie, czego naprawdę chcieli. Chcieli randek z dziewczynami, całowania, obmacywania, pierwszego seksu. Też miałem kiedyś szesnaście lat.

... popatrzyłem i bez słowa wyszedłem z pokoju. Życie poza murami – tego nikt nie mógł im ofiarować. Ani ja, ani Shooma, ani nawet NASA czy rząd.

Chłopcy nie potrafili się z tym pogodzić, ale ta rozmowa coś zmieniła w ich nastawieniu. Przeszli siedzieć naburmuszeni w swoim pokoju, postanowili działać. Wymyślili sposób na rozwiązanie swojego problemu i poszli z nim do Halla.

Byłem akurat w jego gabinecie z jakimś raportem w ręku. Wciąż pamiętam, z jaką wiarą w głosie bliźniacy wygłosili swoją propozycję:

— Twierdzicie, że trzymacie nas tu ze względu na nasze bezpieczeństwo, że ludzie nigdy nas nie zaakceptują i zawsze będą w nas widzieć Obcych, potwory w ludzkiej skórze. Chcemy ich przekonać, że jest inaczej. Że jesteśmy tacy jak wszyscy. Chcemy zaprosić kilku dziennikarzy i pokazać im, jak żyjemy.

Ten plan...

... moim zdaniem bardzo głupi...

... został zatwierdzony.

Nie mogłem w to uwierzyć. Tym razem to ja poszedłem porozmawiać z Andrew Hallem.

— Myślisz, że tego wszystkiego nie wiem? — westchnął, kiedy skończyłem mówić. — Co tydzień przeglądam listy z pogrózkami, jakie docierają do agencji. Monitorujemy posunięcia najbardziej niebezpiecznych osób i organizacji, bo takie też powstają, całe grupy zjednoczone przez wspólny cel. Jest ich mniej niż kiedyś, ale wciąż niemało. Zdziwiłbyś się, jak dużo ludzi życzy Shoomie i chłopcom śmierci.

— Więc dlaczego się zgodziliście na ten szalony pomysł?

— Powiedzmy, że chcemy zbadać grunt, sprawdzić, jaka będzie reakcja.

— Przy okazji dając bliźniakom fałszywą nadzieję.

Andrew wzruszył ramionami.

— Może szukamy trzeciego rozwiązania.

— Trzeciego rozwiązania?

— Są pewne plany, naciski...

Nie musiał więcej mówić.

— Kościół Drugiego Podwójnego Przyjścia — wycedziłem z odrazą.

Zamach sprzed dwóch lat wcale nie zaszkodził Kościołowi. Przeciwnie, w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób jego popularność i znaczenie tylko wzrosły. Stał się wpływową i szanowaną instytucją, na poły religijną, na poły polityczną. W ostatnich wyborach bez trudu zdobył kilka miejsc w kongresie.

— Kościół Drugiego Podwójnego Przyjścia — powtórzyłem. — Rozumiem, że przetrzymywanie Shoomy i chłopców to dla agencji wielkie obciążenie. Koszty, ludzie... Ale żeby właśnie im? Po tym, co się stało dwa lata temu?

— To są spekulacje — uciął Hall. Spojrzałem na jego twarz i wiedziałem, że o dalszej dyskusji nie ma mowy.

Kilka tygodni później zaczęło się. Najpierw były sesje zdjęciowe.

Dwie pierwsze udały się znakomicie. Chłopcy prezentowali się na nich tak normalnie, jak to tylko możliwe. Oglądali sport w telewizji, zajadali się spaghetti, grali w tenisa i ćwiczyli na siłowni. Trzecia okazała się katastrofą. Jej efektem było kilkanaście starannie upozowanych, ale zupełnie zwyczajnych zdjęć — i jedno zrobione przypadkiem podczas przerwy w sesji. Przedstawiało Willa i Boba siedzących, a właściwie półleżących na krzeselkach. Mieli zamknięte oczy, nogi wyciągnięte do przodu, uniesione do góry ramiona i splecione dłonie podłożone pod tył głowy. Reflektor, który jeszcze chwilę wcześniej pomagał podkreślić normalność egzystencji chłopców, znalazł się w takim położeniu, że oświetlał ich niemal poziomym snopem światła. Ich sylwetki kładły na podłodze dwa długie, ostre cienie w kształcie krzyży — złożone za głowę ręce jak poprzeczne belki.

I właśnie to zdjęcie obiegło świat, wszędzie wywołując sensację.

Will i Bob nie poddali się jednak tak łatwo i przystąpili do realizacji drugiego etapu swojego planu: wywiadów.

Odbył się jeden. Tylko tyle i aż tyle. Chłopcy oczekiwali pytań o ich codzienne życie, zainteresowania, plany i marzenia. Natomiast zadawano im mniej więcej takie:

— Czy matka opowiadała wam o ojcu?

— Ojcu?

— Tak, waszym ojcu.

— Nie... Czy mógłbym panu coś pokazać? Przyniosłem zeszyty, w które wklejaliśmy zdjęcia ulubionych sportowców...

— To bardzo interesujące, ale proszę sobie przypomnieć, czy matka nigdy nie wspominała o waszym ojcu? Nawet słowem?

— Naprawdę nie zna pan tej historii? — w głosie chłopca zabrzmiało rozdrażnienie. — Matka nie wie, kto jest naszym ojcem.

Zniecierpliwienie bliźniaków rosło. Pod koniec stali się opryskliwi.

— Są tacy, którzy nazywają was Początkiem i Końcem. Który jest którym? — zapytał dziennikarz.

— Ja jestem Końcem, a on Początkiem — powiedział jeden z braci.
— Ty... czyli?
— Will — przedstawił się niby uprzejmie pytany; drugi z braci nie włączał się do rozmowy. — Albo Bob. Will, Bob, Koniec, Początek, czy to nie wszystko jedno?

Na tym się skończyło. Dalsze spotkania z dziennikarzami zostały odwołane.

Miałem wrażenie, że efekty — tego, jak się wyraził Hall, badania gruntu — nie zadowolili agencji, ale najbardziej niepokieszeni byli oczywiście chłopcy. Chyba naprawdę liczyli na to, że ich pomysł wypali. Chyba naprawdę wierzyli, że mogą żyć normalnie, poza murami ośrodków. Żał mi było patrzeć na ich rozczarowanie.

Poruszyłem kilka sprężyn w wielkim mechanizmie wojskowo-politycznym, którego częścią byłem już tyle lat. Kilka osób przekonałem, by przymknęli na to oczy, dałem w łapę komu trzeba i załatwiłem, żeby raz w miesiącu do ośrodka miały wstęp dwie zaufane dziewczyny — które za to zaufanie i za dodatkowe ryzyko związane z „obcymi” kazały sobie płacić wielokrotność zwykłej stawki — aby spędzały noc z bliźniakami.

Humory bliźniaków z czasem znacznie się poprawiły. Zapewne dzięki tym wizytom, ale miałem też wrażenie, jakby w końcu pogodzili się z losem. Stracili jednak zapal do nauki. Przestali też uprawiać sporty, które kiedyś były ich pasją, choć wciąż oglądali rozgrywki piłkarskie w telewizji. Ale poza tym robili niewiele. Przytyli. Jakby się postarzeni. Czasem, kiedy na nich patrzyłem, jak ubrani w szerokie koszule flanelowe i spodnie dresowe siedzieli na kanapie — dwa jednakowe zwały tłuszczu wodzące równoległymi spojrzeniami za piłką na telewizyjnym boisku — miałem wrażenie, że w wieku siedemnastu lat przeszli na emeryturę od życia. I że następnym razem, kiedy ich zobaczę, na ich włosach dostrzegę siwe pasma, a na dłoniach plamy wątrobowe.

Taki stan rzeczy mało komu przeszkadzał. I tylko w oczach Shoomy pojawiały się łzy, kiedy patrzyła na odmienionych synów. Godzinami oglądała stare zdjęcia i nagrania wideo, na których Will i Bob, młodsi, roześmiani i pełni życia, bawili się na sznurkowych huśtawkach, kołysani przez Johna Burrowa albo — trochę starsi — grali ze mną w piłkę na miniaturowym boisku ośrodka w Idaho.

* * *

Obudziłem się cały zlany potem. Znowu miałem ten sen.

Widzę w nim jezioro, w którego tafli odbija się okrągły księżyc. Z wody wynurza się Shooma. Wilgoć połyskuje na jej skórze. Jest naga. Siada obok mnie na trawie.

— **Nie myślałam, że się uda — mówi. Wzdycha i wystawia twarz do księżycy zupełnie tak, jak każdego letniego dnia robią to na plaży setki opalających się kobiet, tyle że one poddają się działaniu słońca, nie zimnych promieni odbitych od srebrnego globu. Ten gest rozczulił mnie. Zdaję sobie sprawę, że jeśli tej nocy Shooma poprosi mnie o cokolwiek, zgodzę się.**

I ona prosi.

— Mam jeszcze jedno życzenie — szepcze, nachylając się nade mną.
Jej wargi smakują gwiazdnym pyłem, ciało jest gładkie jak powierzchnia próżni.

Potem, wykończeni, opadamy na trawę. Leżymy w ciszy, wsłuchując się w nasze oddechy, powoli wracające do zwykłego rytmu. Sięgam po odrzuconą na bok bluzę. Z kieszeni wyciągam pistolet i strzelam Shoomie między oczy.

A potem budzę się w wymiętej, mokrej od potu pościeli, z gorzkim smakiem w ustach.

Tak jak dzisiaj.

Ten sen jest w części prawdziwy.

Shooma bardzo lubiła pływać. W zamkniętych ośrodkach skazana była na basen, a i to nie wszędzie. Jeśli jednak tylko miała do niego dostęp, potrafiła pływać całymi godzinami. Wiedziałem, że bardzo chciałaby się kiedyś wykąpać w prawdziwym jeziorze – marzenie w jej sytuacji niemożliwe do zrealizowania. Wspomniała o tym tylko jeden raz, ja jednak to zapamiętałem i kiedy pewnego dnia w środku gorącego lata, które spędziliśmy w małym i ciasnym ośrodku w Kolorado, przez przypadek usłyszałem, jak strażnicy rozmawiają o konserwacji systemu zabezpieczeń, wpadłem na szalony pomysł.

Chyba mam słabość do nieosiągalnych pragnień, sam nosząc w sercu niemożliwe do spełnienia marzenie.

System wewnętrzny pokonaliśmy przy użyciu mojej karty dostępu, a potem zwyczajnie wdrapaliśmy się na mur i przeskoczyliśmy na drugą stronę. Alarm się nie włączył, zewnętrzny układ miał nie działać przez całą noc.

Wsiedliśmy do mojego wysłużonego pick-upa. Przez całą, nie tak wcale krótką, bo ponaddwugodzinną jazdę, Shooma milczała, skuliła się na swoim fotelu, jakby w obawie, że lada chwila ktoś ją rozpozna. Prawdę mówiąc, ja też się tego bałem.

Rozluźniła się, dopiero kiedy dotarliśmy na miejsce, a gdy zanurzyła się w czarnej jak smoła wodzie, powrócił jej zwykły dobry humor, a właściwie cieszyła się jak dziecko, śmiała i pluskała, marszcząc powierzchnię jeziora. Kiedy wreszcie wyszła na brzeg, usiadła na trawie obok mnie, naga, zbyt szczęśliwa, by odczuwać skrępowanie. Pod wpływem wilgoci jej kręcone włosy wyprostowały się, z wysiłku oddech wciąż był przyspieszony. Wystawiła twarz do księżyca.

— Mogłabym tu zostać na zawsze — powiedziała.

Spojrzałem na zegarek i głośno zakląłem.

— Musimy wracać.

Dostanie się z powrotem do ośrodka nie sprawiło nam kłopotu. Krótka letnia noc powoli zamieniała się w blady świt, ale system zewnętrzny wciąż nie działał.

Później nigdy nie rozmawialiśmy o tej nocy, zupełnie jakbyśmy się umówili. Zupełnie jakby nasza tajemnica była tak wielka, że trzeba ją skrywać nawet przed sobą nawzajem.

Więc tak, ten sen jest w części prawdziwy.

I to tylko jeszcze pogarsza sprawę.

Za oknem było jeszcze ciemno, ale odrzuciłem kołdrę i poszedłem do łazienki. Chłodny prysznic trochę mnie orzeźwił, lecz wiedziałem, że efekt snu – dziwne poczucie nierealności – będzie mi towarzyszyć przez większość dnia. Zawsze tak było.

Ubrałem się, potem zmieniłem pościel. Dopiero wtedy spojrzałem na zegarek, który nie wskazywał nawet piątej. Mimo to postanowiłem wyjść z budynku i trochę się przewietrzyć. Po drodze pomyślałem o kawie, ale zamiast skręcić do niewielkiej wspólnej kuchni, pod wpływem impulsu wstukałem kod dostępu i przedostałem się przez drzwi oddzielające skrzydło mieszkalne od dziennego. Pokonałem długi korytarz, wzdłuż którego ciągnęły się puste o tej porze sale, i przeszedłem do kolejnego skrzydła, potem do następnego, wdrapałem się po schodach, pokonałem jeszcze kilkadziesiąt metrów pustego korytarza i wreszcie znalazłem się u celu: w części budynku, gdzie swoje biura mieli najważniejsi oficerowie i urzędnicy, przed maszyną parzącą najlepszą kawę w całym ośrodku.

Już miałem nacisnąć przycisk (czarna, podwójna, bez cukru), gdy usłyszałem kroki. Schowałem się za urządzeniem.

— ... tak samo jak osiemnaście lat temu. Sygnał, echo, wszystkie inne parametry, tylko teraz jest ich więcej, dużo więcej — mówił z podnieceniem jakiś nieznany mi głos.

— Niewiarygodne. — Rozpoznałem charakterystyczną chrypkę Roberta Becka, naszego głównego fizyka i nałogowego palacza. — Kiedy zarejestrowano to po raz pierwszy?

— Parę minut po północy. Wiadomość dostałem godzinę temu i od razu...

Przeszli. Wkrótce ucichł też szmer ich rozmowy i stukot butów.

Natychmiast ruszyłem z powrotem. Musiałem jak najszybciej znaleźć się w skrzydle mieszkalnym.

Przywitała mnie tam zupełna cisza, która nagle wydała mi się złowróżbna, choć o tej porze – raptem kilka minut po piątej – była przecież zupełnie normalna. A jednak jej nie dowierzałem. Przez chwilę wsłuchiwałem się z podejrzliwością... i miałem rację. Dwa niemal równoczesne strzały rozdarły spokój korytarza.

Poderwałem się z miejsca. Wcześniej nie miałem żadnego planu, ale teraz wiedziałem już, co muszę zrobić.

Wpadłem do pokoju Shoomy. Nie spała, zapewne obudzona przez huk. Już naciągała ubranie.

— Szybko. — Złapałem ją za rękę i pociągnąłem w stronę drzwi.

Na korytarzu niemal zderzyliśmy się z grupką strażników. Spóźniłem się, pomyślałem, tracąc nadzieję, ale wtedy przypomniałem sobie o strzałach. Obecność ochroniarzy wcale nie musiała być związana z tajemniczymi sygnałami, o których Beck rozmawiał z drugim mężczyzną.

— Strzały... tam... Ją zabieram. — Wskazałem na Shoome. Chciała coś powiedzieć, ale jej nie pozwoliłem, wzmocniłem tylko uścisk na dłoni.

Nie czekając na ich reakcję, pognaliśmy korytarzem. Oni pobiegli w przeciwną stronę. Ich pospieszne kroki oddalały się z każdą sekundą.

Zachęcony powodzeniem, wykorzystałem tę samą sztuczkę przed kolejnymi strażnikami.

— W środku są napastnicy. Musimy opuścić budynek — rzuciłem w biegu przy pierwszej i drugiej bramce.

Na zewnątrz murów ośrodka zatrzymaliśmy się.

— Chłopcy... Musimy po nich wrócić — wydyszała w końcu zasapana od biegu Shooma.

— Zajmą się nimi, nie martw się. — Znów mocno złapałem ją za ramię.

Nie tłumaczyłem jej nic więcej, nie wyjaśniłem, kto i dlaczego miałyby się zająć bliźniakami. Przemilczałem to, co według mnie oznaczały dwa strzały, które kilka chwil wcześniej padły w ośrodku.

Dwa bliźniacze strzały...

Ciągnąłem Shoomę w stronę placyku, gdzie stał zaparkowany mój samochód, i starałem się nie myśleć o tym, co stało się z jej synami.

Wcześniej miałem dużo czasu, żeby o tym rozmyślać. Wszystkie te lata, które spędziłem w ekipie Burrowa, i potem, po jego śmierci. Kiedy podczas pierwszej rozmowy zapytałem o chłopców, John właściwie mnie zbył.

— Bliźniacy są czymś w rodzaju zasłony dymnej. Najważniejsza jest ona — powiedział.

Sam też tak myślałem, Shooma była najważniejsza, ale zupełnie zlekceważenie Willa i Boba wydało mi się dziwne. Zwłaszcza potem, kiedy lepiej poznałem Burrowa i zorientowałem się, w jaki sposób pracuje: metodycznie, dokładnie, nie zostawiając niczego przypadkowi. Wtedy zrozumiałem, że aniołów stróżów takich jak ja musiało być więcej. Jeden odpowiedzialny za obu chłopców albo dwóch niezależnych, każdy strzegący swojego bliźniaka.

Po incydencie z oddziałem szturmowym nasłanym przez Kościół Drugiego Podwójnego Przyjścia moje podejrzania padły na Kevina Browna, który w chwili, gdy zabrzmiał alarm, zaciągnął chłopców i Shoomę do kryjówki w piwnicy. Zachował się tak, jak ja bym się zachował, realizując jeden z celów, jakie na samym początku postawił przede mną Burrow: chronić Shoomę przed ludzkością.

A dziś nad ranem Brown lub — jeśli moje przypuszczenie było niesłuszne — ktoś inny z naszej grupy uznał, że nadszedł czas realizacji drugiego z celów: ochrony ludzkości przed Obcymi. Dostał wiadomość o zbliżających się do Ziemi obcych statkach i podjął decyzję. Wyciągnął pistolet, który pewnie nosił tak jak ja, w kaburze na łydce, i strzelił, dwa razy, celując w głowy otoczone kręconymi brązowymi włosami.

— To boli! — krzyknęła Shooma.

Puściłem dłoń zaciśniętą na jej ramieniu. Dopiero teraz poczułem, ile siły

włożyłem w ten uścisk.

— Przepraszam. — Wiedziałem, że jeśli mam zachować przytomność umysłu, muszę wyrzucić z myśli ten obraz, który od tylu lat prześladował mnie na jawie i we śnie: pistolet wycelowany w głowę z brązowymi włosami.

Ten pistolet trzyma moja dłoń, spod kręconej grzywki wyglądają oczy Shoomy.

— Przepraszam — powiedziałem jeszcze raz, gdy już wsiedliśmy do samochodu.

Shooma nie odpowiedziała. Przerazona, siedziała skulona w fotelu.

Pomyślałem o tym jedynym razie, kiedy wcześniej jechaliśmy razem samochodem.

— Zobacz, zupełnie jak wtedy. — Wskazałem na wąską drogę przed nami, pustą o tej wczesnej porze. — Założę się, że teraz też nie zabrałaś ze sobą kostiumu kąpielowego...

Spojrzała na mnie pustym wzrokiem.

Skoncentrowałem się na jeździe. Nie miałem planu. Po prostu jechałem przed siebie.

Po mniej więcej dwóch godzinach zobaczyłem dwa rzędy jednakowych dachów niewielkich bungalowów i wielką tablicę z cenami wynajmu za dobę. Miejsce w starym stylu, a ja właśnie takiego potrzebowałem.

Do recepcji poszedłem sam, Shoomie kazałem położyć się na siedzeniu. Potem, pod pretekstem wyjmowania torby z bagażnika, podjechałem pod same drzwi wynajętego domku, co pozwoliło jej niepostrzeżenie przemknąć do środka.

— I co teraz? — zapytała, bezskutecznie próbując włączyć telewizor; przezornie nie wykupiłem żadnego pakietu mediowego. — Musimy dowiedzieć się, co tam się wydarzyło. I co stało się z chłopcami.

— Pojadę do najbliższego miasta i trochę się rozejrzę. Ty tu zostań.

Pół godziny później siedziałem przy stoliku w kawiarni, popijałem kawę i patrzyłem na ustawiony w rogu lokalu telewizor, który nadawał wiadomości. Nie było żadnej informacji o wydarzeniach w ośrodku. Niczego o zmierzających w stronę Ziemi statkach obcych.

Postanowiłem zaczekać. Przez kilka godzin przenosiłem się z restauracji do restauracji. Później zacząłem odwiedzać bary, a kawę i sok pomarańczowy zamieniłem na whisky. Kiedy wreszcie wsiadłem do samochodu, był już wieczór. Nie mogłem dłużej zwlekać.

Przed drzwiami bungalowu zatrzymałem się. Zastanawiałem się, co zastanę w środku. Czy Shooma jeszcze tam będzie? Wychodząc, nie przekręciłem klucza w zamku. Może chciałem, żeby uciekła?

Nie uciekła. Siedziała na kanapie w ciemnym pokoju. Podkurczone nogi, twarz zwrócona ku jaśniejszemu prostokątowi okna. Drobną, bezbronną. Pewnie zmęczona, głodna i bardzo zdenerwowana. Ale wciąż tu była. Czekala na mnie. Może John miał jednak rację?

— **Widzę, co się dzieje — powiedział z trudem. Leżał na szpitalnym łóżku podłączony do urządzeń, w których pulsowało więcej życia niż w nim. — Wybrała ciebie — jego głos brzmiał jak ciche poskrzypywanie,**

przywołując w mojej głowie obraz przesuwanego po szkle styropianu.

— **Nic nie mów.**

— **Nie wierzysz — zaskrzypiał znowu. — Kiedyś wybrała mnie, ale teraz już mnie nie potrzebuje. To dlatego... — Nie dokończył, spojrzął na swoje wychudłe i wycieńczone ciało. — Teraz ma ciebie — dodał.**

Spojrzałem w jego oczy. Były przytomne. Nie majaczył.

— **Nic nie mów — powtórzyłem.**

Tym razem usłuchał, a może opadł z sił. Zamknął powieki.

Postałem jeszcze parę minut, wsłuchując się w regularne dźwięki szpitalnych urządzeń. Potem wyszedłem.

To był ostatni raz, kiedy widziałem Burrowa.

Chrząknąłem, by dać jej znać, że już jestem. Poruszyła się. Zmiana położenia ramion, drobny ruch głowy, nic więcej, a jednak wystarczyło, żebym wyczuł — niemal fizycznie, jak uderzenie — płynącą od niej siłę.

Dobrze ją znałem. Już od tylu lat kojarzyła mi się z Shoomą, jak coś nieokreślonego, coś, co przykuwa uwagę, każe poddać się jej woli, coś nieuchwytnego, wymykającego się słowom...

Uśmiech, odbicie słońca w orzechowych oczach, zmrużenie powiek.

Do tej pory zawsze potrafiłem się jej oprzeć, ale nigdy jeszcze nie odczułem tego tak mocno jak w tej chwili, w tym ciemnym pokoju w wynajętym domku, ledwie widząc zarys sylwetki Shoomy, ledwie dostrzegając jej ruch. Zupełnie jakby wysssała skądś potężną porcję energii, jakby...

Tak, to możliwe. Ta twarz skierowana ku oknu, ku niebu, ku sunącej po nim, gdzieś daleko w ciszy zimnego kosmosu, eskadrze białych, obłych statków.

... jakby zaczęło się to, co zapowiadał Burrow.

Napiąłem mięśnie łydki i poczułem chłodną skórę kabury.

— **Dlaczego siedzisz w ciemności? — zapytałem z udanym spokojem w głosie.** Podszedłem do okna, zaciągnąłem zasłony i dopiero wtedy pstryknąłem włącznik światła.

Coś w jej oczach poraziło mnie.

Straciłem tę namiastkę poczucia bezpieczeństwa, którą jeszcze chwilę wcześniej dawał mi podłużny kształt pistoletu przylegający do łydki. Za późno, pomyślałem. Trzeba było to zrobić wcześniej...

Pistolet wycelowany w głowę z brązowymi lokami.

... teraz było za późno.

Zerwała się z kanapy.

— **Przyniosłem jedzenie.**

— **Co z chłopcami?**

— **Nie jesteś głodna?**

— **Co z moimi synami?!**

— **W wiadomościach niczego nie było.**

Przez chwilę rozważała tę informację.

— Kontaktowałeś się z kimś z ośrodka?

Pokręciłem głową.

— W takim razie musimy tam wracać — powiedziała z nagłą determinacją i ruszyła w stronę drzwi.

— Shooma, to naprawdę nie jest dobry pomysł. Tam nie jest bezpiecznie. Przecież słyszałaś strzały.

Zatrzymała się.

— Niczego nie słyszałam. O strzałach wiem tylko od ciebie.

— Więc dlaczego byłaś już na nogach?

— Bo chwilę wcześniej zadzwonił budzik. Zawsze wstaję o tej porze.

Westchnąłem.

— No dobrze, nie słyszałaś strzałów, ale ja je słyszałem. Tam naprawdę coś się stało.

— Wiele godzin temu. Teraz na pewno wszystko jest pod kontrolą. Musimy tam jechać. — Skierowała się znów ku wyjściu.

— Ja nigdzie nie jadę. — Przecież nie mogłem powiedzieć jej wszystkiego. Nie mogłem wspomnieć o strzępkach rozmowy na korytarzu, o tym, że sygnał jest taki sam jak osiemnaście lat temu, tylko teraz... teraz jest ich dużo więcej. Nie mogłem jej tego powiedzieć, przynajmniej dopóki nie zdecyduję, co to wszystko dla mnie znaczy. Dla mnie i dla Shoomy.

Obrzuciła mnie długim spojrzeniem. Wytrzymałem je, nie odwróciłem wzroku.

— W porządku, sama sobie poradzę. Daj mi kluczyki od samochodu.

— Przecież nie umiesz prowadzić.

— Masz rację, nie potrzebuję samochodu. Pójdę na policję, oni mnie zawiozą. Wreszcie skorzystam z tego, że wszyscy znają moją twarz. — Nacisnęła klamkę, ale drzwi się nie otworzyły.

Dałem jej tę szansę tylko raz. Tylko raz, rankiem, nie przekręciłem klucza w zamku.

Spojrzała na mnie, tym razem z zaskoczeniem, które powoli zmieniało się w zrozumienie. Przygarbiła się, blask w jej oczach zgasł i cała moc, cała ta dziwna siła, która promieniowała od niej jeszcze chwilę temu, która przez te wszystkie lata...

Uśmiech, odbicie słońca w orzechowych oczach, zmrużenie powiek.

... przez te wszystkie lata wolno, jak kropla, która drąży skałę, drążyła mi w sercu dziurę, ta siła teraz nagle zniknęła. Shooma zgarbiła się, znów usiadła na kanapie. Schowała twarz w dłonie.

— Nie ma co dramatyzować, przecież to dla twojego bezpieczeństwa.

Nie odezwała się.

— Pamiętasz, jak było przyjemnie tej nocy, kiedy wymknęliśmy się nad jezioro? Teraz też tak może być. Powiedziałaś wtedy, że mogłabyś tam zostać na zawsze. Jeśli chcesz, możemy spróbować znaleźć jakiś staw w tej okolicy, przejechać się na nocną wycieczkę.

Oderwała dłonie od twarzy.

— O czym ty w ogóle mówisz?

— Mówię o naszej nocnej wyprawie nad jezioro.

Patrzyła na mnie rozszerzonymi oczami.

— Nic takiego nigdy się nie wydarzyło. Coś ci się pomyliło. Może przyśniło.

Patrzyłem w jej oczy, szczerze zmieszane, autentycznie zakłopotane, prawdziwie przestraszone...

Orzechowe.

... oczy i nagle straciłem pewność, jak było naprawdę. Ten sen śnił mi się już tyle razy. Noc za nocą jej obraz z mokrymi włosami, wystawiającej twarz do światła odbitego od tarczy księżycy. Może zawsze to był tylko sen.

Wciąż wpatrywałem się w twarz Shoomy, lecz nagle zamiast jej orzechowych oczu zobaczyłem otoczone siateczką zmarszczek oczy Mandy Burrow.

— Jak John mógł mi to zrobić! — kobieta szybko wyrzucała z siebie słowa, na przenikliwym mrozie jej oddech zamieniał się w siną mgiełkę. — Jak mógł przywieźć ją do naszego domu?! Czy nie widział, kim jest? Przebiegłą i podstępłą suką!

Jeśli Shooma wie o statkach, jeśli ich pojawienie się jest częścią jakiegoś planu, jakiejś misji, która rozpoczęła się w chwili jej lądowania na Ziemi, nie będzie mogła sobie pozwolić, by teraz zaprzepaścić wysiłek ostatnich osiemnastu lat. Zrobi wszystko, by mi się wymknąć. Skłamię, zmanipuluje, uda przestraszoną. Wmówi mi wszystko: że nie było żadnych strzałów, nawet że nie ma żadnych statków, że wszystko to mi się przesłyszało, że podsłuchana rozmowa naprawdę dotyczyła czegoś zupełnie innego. Potem w podobny sposób oszuka naukowców w ośrodku, jeśli pozwolę jej tam wrócić. Przekona ich o swojej niewinności. Sam prawie dałem jej się nabrać. Ja, facet zatrudniony przez Burrowa specjalnie do tego, by we właściwym momencie nacisnąć na spust.

Nachyliłem się i spod nogawki spodni wyciągnąłem pistolet.

— Tak naprawdę wcale tego nie chcę — powiedziałem. Mój głos zabrzmiał głucho.

— Więc tego nie rób.

— Muszę.

— Pomyśl o moich synach. Wciąż mnie potrzebują. Nawet bardziej niż kiedykolwiek.

Will i Bob. W mojej wyobraźni na chwilę wybuchł obraz dwóch głów z osmolonymi od prochu dziurami w skroniach, a zaraz potem przypomniałem sobie scenę sprzed wielu lat: ciepły, wiosenny dzień, Shooma i chłopcy ganiający się po przylegającym do ośrodka parku, roześmiani, szczęśliwi. Ręka, w której trzymałem broń, lekko opadła.

— Za kogo mnie właściwie masz? — zapytała Shooma.

Wzruszyłem ramionami.

— Znasz mnie już tyle lat. Musiałeś wyrobić sobie opinię.

Milczałem.

— Agencja powoli dochodzi do wniosku, że jesteśmy po prostu jednym z jej wielu bezowocnych projektów. Tyle że dłuższym i kosztowniejszym niż inne. Andrew Hall najchętniej sprzedałaby mnie Kościołowi Drugiego Podwójnego Przyjścia, gdzie

mogłabym odgrywać rolę boga. Albo skromniej, matki bogów. Czy myślisz, że byłoby mi do twarzy z aureolą? A z męczeństwem? — Nie czekała na odpowiedź, mówiła dalej. — John... John też miał swoją wizję. Uważał, że to mnie zawdzięczał swoje cudowne ozdrowienie. Kiedy zachorował po raz drugi, nie mogłam mu spojrzeć w oczy. Myślał, że i w tym miałam swój udział. Inni, tam, na zewnątrz — wskazała głową zasłonięte okno — mają mnie za potwora, uosobienie zła, za diabła... Każdy ma jakiś pomysł. A dla mnie to są tylko puste słowa. Bóg, uzdrowiciel, potwór, diabeł, anioł, nawet człowiek — to są tylko dźwięki, których mnie nauczyliście. Wiem jedynie, co to znaczy być sobą, Shoomą, matką moich synów.

Nagle znalazła się bardzo blisko mnie. Prawie dotykała lufy pistoletu.

— John powiedział mi kiedyś, że dzielę to doświadczenie z każdym człowiekiem, tylko mam tego pecha, że o mojej tożsamości zawsze będą decydować za mnie inni. Zdaje się, że miał na myśli ciebie, prawda? Na ciebie zrzucił ten niewdzięczny obowiązek. Dał ci wolną rękę. I pistolet. — Spojrzała na broń w mojej dłoni. — Więc pytam, za kogo ty mnie właściwie masz?

Wiedziałem, że nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. I wiedziałem, że dopóki tego nie zdecyduję, nie będę mógł nacisnąć na spust.

Ręka, w której trzymałem broń, opadła.

Dłonie Shoomy wystrzeliły w stronę pistoletu.

Nawet nie byłem tym zbyt zaskoczony, nie mogłem się przecież spodziewać, że uściska mnie i obdarzy uśmiechem pełnym zaufania po tym, jak chwilę wcześniej groziłem jej śmiercią. Zdziwiło mnie tylko, jaka jest silna i zwinna. Przez dłuższą chwilę szamotaliśmy się niemal jak równy z równym. W pewnym momencie straciłem równowagę i poleciałem na podłogę, Shooma upadła za mną, przyklejona do broni, nawet na moment nie zaprzestając prób wyrwania mi jej. Potoczyliśmy się po dywanie.

Kiedy pistolet wypalił, oboje zamarliśmy. Nasze twarze znalazły się tuż obok siebie i zapragnąłem, by ta chwila trwała wiecznie, bym zawsze mógł z bliska patrzeć w orzechowe oczy Shoomy. One jednak oddaliły się. Shooma poderwała się z podłogi, zostawiając broń w moim ręku. Dopiero wtedy poczułem ból. Opuściłem spojrzenie. Kula trafiła mnie w prawą pierś. Rana wyglądała paskudnie.

Zebrałem siły i uniosłem wzrok. Shooma wciąż nade mną stała. Widziałem ją jak przez mgłę, nieruchoma postać z burzą kręconych włosów. Teraz wszystko zależało tylko od niej. Może wezwać pomoc i uratować mi życie, może patrzeć, jak wykrwawiam się na śmierć. Od tego, co zrobi, będzie zależała moja odpowiedź na jej pytanie. Od tego będzie zależało wszystko.

Straciłem przytomność.

* * *

Podniosłem powieki. Mój wzrok zatrzymał się na łagodnym łuku niebieskiego sufitu. Wstałem i niezdarnie, dopiero ucząc się poruszać w pozbawionej grawitacji przestrzeni, obszedłem całą kabinę. Uważnie się jej przyjrzałem i przeciągnąłem palcami po ścianach i przedmiotach, chłonąc ich wielkość i barwy, zachowując w

pamięci wrażenie, jakie pozostawiały na opuszkach.

Wyszedłem za drzwi. Spojrzałem w zwężające się oko korytarza i ruszyłem ku jego źrenicy. Idąc, wstępowałem do każdego z pomieszczeń, które otwierały się po bokach. Wszystkie dokładnie obejrzałem, poświęcając tyle samo uwagi podłużnym lampom zatopionym w suficie, co gładkiej powierzchni drzwi.

W ten sposób obszedłem cały statek i wróciłem do sali, od której rozpocząłem wędrówkę. Shoomy nie znalazłem. Zmęczony, położyłem się na posłaniu, na którym ocknąłem się kilka godzin wcześniej. I to właśnie tam zasnąłem tego pierwszego dnia, tam zasypiałem i budziłem się każdego kolejnego. Chociaż czy można mówić o dniach? Czas płynął, nie dbając o takie podziały, ciepła jasność oświetlająca korytarze i pokoje świeciła jednostajnie i bez przerw, a ja wciąż chodziłem, obserwowałem, dotykałem, spałem... Po ranie w piersi prawie nie było śladu, została tylko ciemna blizna. Kiedy palcem obrysowywałem jej poszarpane krawędzie, budziło się we mnie niewyraźne wspomnienie bólu i czegoś jeszcze, czegoś, co przyprawiało mnie o dreszcze.

Shoomy wciąż nie było.

Wyobrażałem sobie, że jest w sąsiednim statku. W następnym znajduje się Will, w jeszcze kolejnym – Bob, obaj cali i zdrowi. Ale prawdę mówiąc, bliźniacy nie interesowali mnie tak bardzo. Wolałem myśleć o Shoomie. Zwracałem twarz ku ścianie kabiny, usiłując przebić ją wzrokiem i sięgnąć jeszcze dalej, przez zimną próżnię, przez kolejną ścianę, ku niej... Ale w końcu zawodziła mnie wyobraźnia.

Widziałem tylko eskadrę statków, białych, połyskliwych kokonów bez najmniejszego otworu, mknących przez galaktyki i coraz bardziej oddalających się od Drogi Mlecznej.

Janusz Cyran

SŁOŃCE KRÓL

Gdy zaś pozostają sami na śniadaniu, obsługiwani przez wyfraczonych Indian, wobec cudownego widoku, co roztacza się z wysokości zamku na park i bijące w nim świetliste szeregi wodotrysków, Bertrand, patrząc na ów przepych, to znów na odległy pas mającej zielenią dżungli, która otaczała całą posiadłość, nie ma po prostu odwagi pytać stryja o cokolwiek i gdy ten łagodnie go tak poucza, poczyną mówić mu: „Najjaśniejszy Panie”.

*Doskonała próżnia, Alfred Zellermann,
Gruppenführer Louis XVI*

Pascal zatrzasnął za sobą drzwi i rozejrzał się w panice po pokoju. Duże łóżko z baldachimem. Obok szafa. Na drugiej ścianie półki pełne ksiąg. W kącie nieduży stół z globusem, krzesło. Złapał je i podstawił pod drzwi, blokując oparciem klamkę.

— Wreszcie cię mam! — z korytarza dobiegł okrzyk tryumfu Albertine.

Od szyby wysokiego okna odbił się kolorowy ptak i zniknął w potokach światła. Szyby nie da się rozbić, pomyślał Pascal. Ktoś z zewnątrz szarpnął klamką. Odskoczył jak oparzony od drzwi i dał nura pod łóżko. Doczołgał się aż do ściany.

— Otwieraj natychmiast! — Mademoiselle wydawała wysoki, piskliwy dźwięk pełen irytacji.

Pascal wcisnął głowę za szafę. Nic to nie da. Samo wewnątrz szafy też stanie się pułapką. Tupot kilku par nóg na korytarzu, łomot niemal jednoczesnego uderzenia kilku ciał o skrzydła drzwi.

Lewy policzek chłopca owiewał słaby prąd chłodnego powietrza. Wydobywało się zza kwadratowego, podziurawionego małymi otworami plastra, odstającego od ściany. Pascal złapał go i szarpnął. Gromada hałasująca na korytarzu tym razem uderzyła w drzwi z niemal idealną synchronizacją. Krzesło odskoczyło na środek pokoju.

— Odsuń się, proszę! — szepnął, ciągnąc z całej siły zaokrąglone krawędzie płyty.

Drgnęła, a potem zwinęła się jak suchy liść, odsłaniając ciemny tunel zionący chłodem. Pascal odwrócił się błyskawicznie i tyłem wczołgał do niego. Drzwi z trzaskiem otworzyły się i do pokoju wpadła Albertine. Zrobiła kilka szybkich kroków i zatrzymała się. Widział jej niebieskie zamszowe buciki i białe pończochy.

Plaster rozwinął się i przesłonił otwór. Chłopiec obserwował przestrzeń widoczną pomiędzy spodem łóżka a parkietem przez dziurki w znieruchomiałej pokrywie. Albertine wdrapała się na łóżko, wykonała na nim kilka podskoków, jak na trampolinie, a potem położyła się na wznak i zachichotała.

— Doskonałe miejsce, nie uważasz, Pascal? Już mi nie umkniesz. Wiem, że tu jesteś. Pozwól, że przez chwilę pomarzę o tym, jaką będziesz miał minę, kiedy

roziągniemy cię na tym łóżku, a ja złapię twojego ptaszka.

Przyjaciółki Mademoiselle, które powoli wypełniły pokój, roześmiały się.

— Chcę usłyszeć twój słodki głosik, Pascal! — powiedziała lubieżnie Albertine i zeskoczyła na podłogę.

Schyliła się i zajrzała pod łóżko. Chłopiec cofnął się w ciemność tunelu.

— Szukajcie go! — Dziewczyna zapiszczała ze złości i sama wpełzła pod łóżko. Zajrzała za szafę, powęszyła i warknęła. Jej towarzyszki trzaskały drzwiami szafy i zrzucały z hałasem księgi z półek.

— Nie ma go nigdzie!

Mademoiselle patrzyła przez chwilę na pokrywę i Pascal bezgłośnie cofnął się jeszcze kilka cali w głąb.

Odwróciła głowę, spoglądając w stronę drzwi. Jej towarzyszki wybiegły z piskiem. Albertine wyczołgała się spod łóżka i podążyła za nimi, sycząc głośno z niezadowolenia.

W pokoju nastąpiła cisza. Z tyłu, z ciemności tunelu, zaczęły go dobiegać odległe, przytłumione głosy i hałasy. Zwinął się w kłębek i nie bez trudu zmienił kierunek ułożenia ciała. Nadstawił uszu na szepty pałacu. Powoli, na czworakach zagłębił się w ciemność. Ściany tunelu były chropowate i poruszał się bez trudu, mimo że chwilami droga prowadziła dość stromo w górę, potem w dół. Co kilkanaście metrów mijał kolejne pokrywy wychodzące na inne pałacowe pomieszczenia, wszystkie tak samo podziurawione nieregularnymi otworami. Chłodne powietrze owiewało go i z cichym szelestem wydostawało się przez otwory.

Zatrzymał się. Tunel się rozwidłał. Dobiegały tu wyraźniejsze dźwięki czyichś głosów, monotonne uderzenia metalu o metal, odgłosy kłótni. Pascal przymknął oczy i wyobraził sobie skomplikowaną sieć niewidocznych korytarzy oplatających cały pałac, ukrytych za ścianami komnat. Dźwięki odbijały się w nich pogłosem, wędrowały tam i z powrotem, wpadały do uszu chłopca, a on bez trudu i z rosnącą fascynacją odtwarzał z nich mapę tej zawilej struktury. Nie obawiał się jej półmroku. Przeciwnie, ów labirynt pociągał go, jakby właśnie tu odkrywał swoje naturalne siedlisko.

Z tyłu dobiegł go jakiś monotony dźwięk. Zmienił kierunek i szybko ruszył z powrotem.

Patrzył chwilę przez otwory w pokrywie. W pokoju nie było nikogo. Na jego cichy szept pokrywa zwinęła się znowu, jakby tylko na to czekała. Wpełzł pod łóżko, obejrzał się i upewnił, że otwór sam się zasklepił. Wyciągnął prawą rękę, by wyczołgać się na zewnątrz, i zamarł.

Na parkiecie, tuż obok, stał nieruchomo na włochatych nogach ogromny czarny pajak i spoglądał na niego. Pascal nie zdążył się przestraszyć, kiedy ostrze rapiera przebiło odwłok zwierzęcia i odrzuciło go jednym ruchem pod ścianę.

— Kawalerze, kardynał pragnie cię widzieć. — Muszkieter schował rapier do pochwy i zamarł z lewą dłonią wspartą na rękojeści.

Pascal wstał, otrzepał kolana i ruszył ku wyjściu. Gwardzista szedł obok, zadziwiająco cicho i lekko, zważywszy na jego rosłą posturę. Przemierzyli pusty

boczny korytarz, zalany słonecznym światłem, i weszli na główny wewnętrzny trakt pałacu. Przecięli drogę prowadzącą z jednej strony do otwartych ogrodów zewnętrznych, a z drugiej do chłodnych wewnętrznych szkółek roślin, skąd nieustannie wytaczały się wózki z rachitycznymi krzewami, ciągnięte przez osiołki poganiane przez ogrodników w wielkich białych kapeluszach. Dalej minęli kilkanaście potężnych, uchylonych częściowo wrót kuźni, skąd dochodził groźny pomruk ognia i łoskot kształtowanego metalu. Wreszcie wjazdy do składów i magazynów, przed którymi przeciskali się przez coraz już gęstszy tłum pieszych, mijani przez dziesiątki lektyk arystokratów unoszonych na ramionach biegnących i sapiących z wysiłku Murzynów.

Do siedziby kardynała dostali się bocznym wejściem, omijając oficjalną poczekalnię. W drodze do gabinetu przeszli przez kilka posterunków, lustrowani obojętnym wzrokiem gwardzistów w czarnych kapeluszach z czerwonymi piórami. Do kardynała wprowadził chłopca sekretarz, skłonił się i zostawił ich samych.

— Usiądź. — Ubrany na czarno wysoki mężczyzna wskazał Pascalowi krzesło obok zarzuconego listami stołu. Chłopiec usadowił się na wysokim siedzisku i zakołysał wiszącymi w powietrzu nogami.

— Jak mniemam, moje pytanie o to, jak ci się wiedzie, pozostanie bez odpowiedzi? — rzekł z łagodnym uśmiechem kardynał. Chłopiec milczał. — Byłbyś świetnym agentem, kawalerze. Milczenie jest złotem. Gdybyś mógł jeszcze osiąść sztukę schlebiania głupcom, dałbym ci natychmiast godne zatrudnienie. Tak czy inaczej żywię nadzieję, że kiedyś osiągniemy co do tego porozumienie.

Mężczyzna wstał od stołu i podszedł do okna wychodzącego na niewielki plac z krużgankiem. Jego wysoka, szczupła sylwetka rzuciła na chłopca cień.

— Codziennie modlę się za ciebie, Pascal. Powinienem był lepiej wspomóc w odpowiednim czasie i moją siostrzenicę, a twoją matkę, i ciebie, po jej śmierci. Codziennie zastanawiam się, co uczynił twój ojciec, że stałeś się tak zamknięty, bezbronny wobec swoich rówieśników. I czy to, co go spotkało, okazało się dla ciebie szczęśliwą odmianą losu, czy kolejnym ciosem. I znów wszystkim, co mi pozostaje, okazuje się modlitwa.

Kardynał podszedł do chłopca i położył dłoń na jego ramieniu. Pascal podniósł ku niemu błękitne oczy i przestał machać nogami.

— Może nie całkiem. Postanowiłem, że poproszę wicehrabiego de Jussaca, mego młodego przyjaciela, aby pomógł w twoim wychowaniu. Poznam cię z nim. To szlachetny, dzielny młodzieniec, ćwiczę z nim od pół roku fechtunek. Już się zgodził, będziesz się z nim spotykał co drugi dzień, a on postara się nauczyć cię umiejętności, jakich będziesz potrzebował w przyszłości, by stać się dzielnym mężczyzną i wiernym sługą Francji, króla i... — kardynał zawahał się — królowej.

Mężczyzna wsparł się o krawędź stołu i patrzył w zamyśleniu na chłopca.

— Tak, wiernym sługą Francji. Pojmiesz kiedyś, jestem tego pewny, jak wielkiego skarbu jesteśmy dziedzicami. Jak usilnie musimy go strzec, jak zależy on od naszego starania i jak bardzo my sami jesteśmy z nim złączeni, jaką ścisłą stanowimy z nim jedność. Dar od Boga, dziedzina skrzepiona krwawym trudem

naszych władców. Nieśmiertelne dzieło naszego pierwszego króla, który stworzył, w bożym natchnieniu, Francję. Czy myślałeś kiedyś o tym, czym bylibyśmy bez niej? Niczym! Nieświadomym siebie pyłkiem na wietrze. Dziećmi zabłąkanymi w lesie. Być może czasem czujesz, że Francja cię ogranicza, zmusza do podążania ścieżkami innymi, niż byś chciał. To prawda. Jest koniecznością, która umożliwia wolność. Ona jest zbawiennym ograniczeniem, bo tylko w jego ramach możemy i pojąć siebie, nasze wieczne przeznaczenie, i uniknąć szaleństwa. Jest naszą matką i przyjmując wymagania, jakie nam stawia, zyskujemy jedyną swobodę i jedyną pewność, jaka jest dostępna człowiekowi.

Obydwaj odwrócili się ku oknu. Po zewnętrznej stronie szyby wspinała się wielka jaszczurka w jaskrawych barwach. Jak spod ziemi wyrósł ogrodnik w białym kapeluszu z szerokim rondem. Niespodziewanie, szybkim ruchem złapał gada tuż przy głowie, skręcił mu kark i wrzucił do wiklinowego kosza, po czym zniknął.

* * *

Na zewnątrz panował jak zawsze niemiłosierny upał. O tej porze, pół godziny przed zachodem słońca, do ogrodu wokół pałacu wychodzili dumni jak pawie kawalerowie, a w zasłoniętych lektykach wymykały się tam wystrojone damy, wszyscy zmierzając na umówione miejsca: ukryte wśród zarośli świątynie, altanki nad brzegami stawów, sztuczne jaskinie. Wszędzie krzątali się ogrodnicy, w swoich wielkich skórzanych fartuchach, białych kapeluszach, w rękach odzianych w długie rękawice trzymając szczypcy, nożyce, schyleni nad rabatami i klombami, wyrównujący szpadlami rozmyte ostatnim ulewnym deszczem żwirowe ścieżki. Ze szkółek na zapleczu pałacu nadciągali nieustannie nowi, przywożąc na wózkach zaprzęzonych w osły doniczki z kwiatami, wielkie donice z przyciętymi kunsztownie drzewkami i krzewami, całe naręcza sadzonek, baniaki z wodą, narzędzia. Niestrudzeni, wszyscy podobni, pracowali dzień i noc, bez śladu zmęczenia, obojętni, niezwracający uwagi na przemykających jakby w zawstydzeniu ludzi. Zajęci nieustającą syzyfową pracą z niezmordowaną cierpliwością usuwali martwiejące tkanki umierającego ogrodu i zastępowali je świeżymi przeszczepami wyjętymi z wielkich chłodnych hal za pałacem.

Pascal dotarł do wysokiego muru zamykającego całą ogromną przestrzeń. Do tej pory nigdy nie udało mu się przejść wzdłuż muru i wrócić do punktu wyjścia. Ogrodzenie było zbyt długie, aby ktoś mógł uczynić to w jeden dzień. Nierówna ściana ze starych, kruszejących cegieł wznosiła się wysoko ponad chłopcem. Zadarł głowę, wpatrując się w postrzępioną koronę muru i nasłuchując. Spoza przeszkody dolatywały do niego niepokojące, nienaturalnie głośnie trzaski.

Poprawił kapelusz i łapiąc za występy i obrastające mur w tym miejscu pnącza, zaczął się wspinać. Kiedy był z sześć stóp nad ziemią, jakieś silne ręce złapały go za pasek, oderwały od ściany, w locie uchwyciły pod pachy i postawiły pewnie na ziemi.

— *C'est interdit, Monsieur* — powiedział obojętnie muszkieter i zamarł w postawie zasadniczej.

Pascal w zapadających szybko ciemnościach ruszył do pałacu.

Jego opiekunka zbeształa go łagodnie za spóźnienie. Zjadł kolację, potem klęczał obok niej, kiedy odmawiała pacierz. Pocałowała go w czoło na dobranoc i zostawiła ułożonego do snu. Jednak nie zasnął. Odczekał kilka minut, a potem wstał i od ognia w kominku zapalił lampę. Miejsce, które już od kilku dni zajmowało jego uwagę, znajdowało się na wysokości pięciu stóp, na ścianie naprzeciw okna. Przysunął pod nie stół, trzymając lampę, wspiął się nań i schylił do podziurawionego plastra przylegającego do ściany. Lekki prąd powietrza zachwiał płomieniem. Pascal wstrzymał oddech, nasłuchując, a potem wyszeptał: „Otwórz się”. Plaster zwinął się w gruby rulon, odsłaniając ciemny otwór. Niosąc przed sobą zapalone światło, chłopiec podążył tunelem.

Natychmiast poczuł to samo, co za pierwszym razem. Podniecenie i dziwną radość, ruch umysłu budującego przestrzenną mapę, w miarę jak posuwał się naprzód. Mapa zawierała wiele nieznanymi miejsc, ale Pascal bez trudu umieszczał na niej wszystkie te, które kiedyś odwiedził. Przeszedł wzdłuż królewskich kuchni, gdzie trwała gorączkowa praca; patrzył przez jeden z plastrów – nad żeliwnymi płytami rozgrzanych pieców pochylali się kucharze, pokrzykując, sięgając po przyprawy, mieszając w kociołkach, obracając zręcznie patelniami, siekając warzywa i krojąc owoce. Do nozdrzy Pascala docierały tu setki zapachów. Położył się i wachał, słuchał. Czuł się tak dobrze, że nawet na chwilę zasnął. Kiedy się ocknął, lampa już się nie paliła. Jednak ciemność nie przeszkadzała mu, zresztą nie była absolutna. Z sitek kolejnych wentylacyjnych otworów przesączała się odrobina jasności, która zupełnie mu wystarczała.

Zbliżał się właśnie do delikatnego kręgu światła na dnie tunelu. Padało z góry. Obrócił głowę i ujrzał skrawek księżycowej tarczy. Na krawędzi tunelu, biegnącego niemal pionowo, coś się poruszyło, pisnęło i runęło w dół, spadając i drapiąc pazurami o ściany. Pascal cofnął się gwałtownie. Przed nim, w widmowej księżycowej plamie, pacnął wielki, półmetrowy szczur. Fuknął, obrócił się, spojrzał na chłopca i smyknął dwa łokcie w głąb tunelu. Potem spadł drugi, nieco mniejszy, który natychmiast ukrył się za pierwszym. Trzeci był największy. Kiedy rzucił się w kierunku chłopca, Pascal zdążył osłonić twarz ręką, ale szczur i tak ukąsił go w policzek, po czym odbiegł i stanął przed dwoma poprzednimi.

Pascal powoli cofał się, z lewym przedramieniem ciągle osłaniającym twarz. Szczury drgnęły, zaniepokojone, i odwróciły się za siebie, skąd zbliżało się coś, sycząc i połyskując. Blask przyspieszył tak nagle, że Pascal nie zdołał uchwycić toru jego ruchu. Dwa szczury pisnęły przeraźliwie, wzdrygnęły się i upadły, wstrząsane drgawkami. Trzeci rzucił się do ucieczki, skoczył na wznoszącą się pionowo ścianę, drapiąc ją rozpaczliwie pazurkami.

Pajęczasty, zmieniający się w ruchu przedmiot wleciał ku niemu. Szczur znieruchomiał. Zwitek sprężyn i lśniących metalicznie płatków obniżył się wolno. Na cienkim jak igła ostrzu, z którego skapywały krople krwi, zwisało bezwładnie ciało trzeciej ofiary. Kiedy błyszczący przedmiot znalazł się na poziomie oczu Pascala, igła cofnęła się, a trup szczura spadł na dno tunelu.

Z zakamarków poskręcane metalowego pąku, którego kształtu oczy chłopca

ciągle nie potrafiły ustalić, dobywał się chłodny, elektryczny blask. Chłopiec patrzył na niego z fascynacją.

— Kim jesteś? — wyszeptał.

Największy ze szczurów zadrapał ścianę pazurami w ostatnim spazmie i znieruchomiał. Z tyłu doleciały czyjeś pijackie wrzaski.

— Nikim. — Usłyszał po chwili cichy, ledwie słyszalny głos.

Chłopiec roześmiał się.

* * *

Posłaniec wprowadził Pascala do zalanej słońcem, wysoko sklepionej sali. Ujrawszy walczących, skłonił się lekko i zostawił chłopca.

Twarze dwu mężczyzn zakrywały druciane maski. Ich torsy osłaniały lekkie ćwiczebne kolczugi, dłonie zaś – długie czarne rękawice. Zbliżali się do siebie ostrożnie, doskakiwali, krzyżowali ostrza, cofali, w coraz szybszym, nerwowym rytmie, potem zamierali na chwilę, dysząc głośno, i znów ścierali się, oddzieleni błyskiem i dźwięczeniem stali.

Dwaj inni przyglądali się im, stojąc w pewnej odległości. Gwardzista w zwykłym czarnym uniformie i sługa w kapeluszu przyozdobionym pawim piórem, opierający się ramieniem o ścianę i z wyraźnym znudzeniem patrzący na ścierających się.

Jeden z szermierzy krzyknął z bólu i wypuścił rapier z ręki. Rękaw jego białej koszuli zaczerwienił się, krew pociekła na jasne kamienie posadzki.

— Medyk! Gdzie on? Wołaj go! — Drugi z mężczyzn krzyknął do gwardzisty i rzucił mu swój rapier. Podbiegł do rannego i razem ze sługą ściągnęli z niego maskę i kolczugę, po czym zdarli rękaw koszuli i używając jako przepaski, zacisnęli ramię powyżej rany.

— To draśnięcie — powiedział z irytacją ranny.

Medyk, z torbą w jednej ręce i taboretem w drugiej, podbiegł do nich i po usadowieniu pacjenta począł zakładać opatrunek.

Szermierz, który zadał ranę, kiwnął na gwardzistę. Ten podszedł natychmiast i pomógł mu zdjąć maskę – rozwiązując mocujące ją z tyłu skórzane rzemyki – a potem resztę oporządzenia. Kardynał dopiero teraz dostrzegł stojącego bez ruchu chłopca.

— Jesteś, kawalerze. Nie najszcześliwszy moment... Ale cóż, podejdź, proszę. Przedstawiam ci Pascala, wicehrabio! Roland de Jussac, mój przyjaciel i towarzysz. — Kardynał wskazał na przystojnego mężczyznę siedzącego w zakrwawionej koszuli na taborecie. De Jussac odgarnął lewą ręką kruczoczarne włosy z czoła i uśmiechnął się do chłopca. Medyk, opatrujący prawe przedramię wicehrabiego, sięgał do otwartej czarnej torby stojącej na drugim taborecie.

— Mam nadzieję, że się nie przestraszyłeś, chłopcze? Naprawdę, to drobiazg! — De Jussac uśmiechnął się do Pascala.

Medyk skrzywił się.

— Jeśli pan nie złapie zakażenia w ciągu dwu dni, przeżyje pan to.

— Zgłoś się zatem po zapłatę za trzy dni — rzekł de Jussac, przedrzeźniając

lekarza. — A Prosperowi przykażę, żeby sprawił ci jaką inną nagrodę, gdybym już sam nie umiał ci się wtedy odwdziżyć.

— Ach tak! — zaskrzeczał lekarz. — W takim razie przyrządę jeszcze maść, na wszelki wypadek, i za godzinę zmienię opatrunek, przy okazji aplikując na ranę owe lekarstwo. Ale uprzedzam, że to podniesie koszty!

Kardynał i wicehrabia roześmieli się. Medyk schował swe narzędzia do torby i umknął. De Jussac założył na koszulę kaftan, krzywiąc się z bólu.

— Ten oto człowiek w prawdziwym pojedynku zabiłby mnie bez trudu — powiedział kardynał. — Jednak pozwolił się zranić, zachowując wobec mojej osoby więcej ostrożności, niżby należało. Zgubny respekt, który może kosztować życie. Wprowadziłeś mnie tym w błąd, Rolandzie, wybacz.

— Jesteś zbyt łaskaw, kardynale. Zlekceważyłem cię, to moja wina. Ale skończmy z tym. Pascalu, będę zaszczycony, mogąc ci służyć pomocą. — De Jussac zmierwił włosy na głowie chłopca. — Wyciągnij przed siebie ręce!

Przykucnął przed chłopcem i oglądał uważnie jego dłonie.

— Dobierzemy dla ciebie odpowiednie ćwiczenia. Na początek zacniemy od czegoś emocjonującego, co ty na to? — Uszczypnął Pascala w policzek, na co chłopak się uśmiechnął.

— Pięknie — skwitował z ukontentowaniem kardynał. — Chyba mu się spodobałeś. Bardzo dawno nie widziałem, by się do kogoś uśmiechał. Prawdę mówiąc, jest to zdumiewające.

— Wygląda na dzielnego chłopca, niczego mu nie brakuje. — De Jussac podniósł z podłogi rapier i schował go do pochwy.

— Liczę na to, że przebywając w twoim towarzystwie, nabędzie pewności siebie. Naucz go walczyć. Ta jedna umiejętność warta jest wszystkich innych razem wziętych.

— Gdybym cię nie znał, panie, byłbym zdziwiony taką deklaracją.

— Wybacz, przyjacielu, ale wcale to nie znaczy, że mnie dobrze pojmujesz.

— Och, wszystko, co mówisz, jest doskonale zrozumiałe, aczkolwiek każdy ze słuchaczy rozumie to inaczej.

Kardynał roześmiał się i wziął wicehrabiego pod ramię.

— Jeśli czujesz się dostatecznie dobrze, zapraszam was obu na pyszny sorbet. W sam raz na tę porę dnia. Co na to powiesz, Pascalu?

Obaj mężczyźni spojrzeli na chłopca. Ale on wpatrywał się w krzepnące na podłodze plamy krwi. Z pobliskiej szczeliny między kamieniami wybiegały czerwone mrówki. Ich szereg stał już na skraju plam i pił, poruszając delikatnie malutkimi głowami.

* * *

Następny dzień był wyjątkowo parny i duszny. Ogrody opustoszały, pracowali w nich tylko niezmordowani ogrodnicy, wydawało się, że nawet wszędobylscy gwardziści zmęczeni się i pochowali gdzieś po zaciemnionych kątach. Zawieszona nad ziemią niebieska otchłań delikatnie drgała i ciemniała, aż wreszcie wydała z

siebie dźwięk podobny do uderzenia gromu.

Pascal podniósł głowę. Zobaczył na niebie jasną, rozrzedzającą się smugę i biały punkt, który szybko się powiększał. Z zachodu dobiegł odgłos drugiego, jeszcze donośniejszego wybuchu. Biały punkt rozdzielił się na większą białą plamę i mniejszą, ciemną. Mniejsza zamieniła się w człowieka zawieszzonego na sznurach na wydętej płachcie materiału. Człowiek ten opadał wprost na obszerny pusty plac, podzielony tylko niskimi, przyciętymi równo żywopłotami układającymi się w geometryczne wzory.

Chłopiec puścił się pędem w tę stronę i zobaczył, jak mężczyzna w ciemnym, dopasowanym ściśle do ciała ubraniu ląduje zgrabnie na wysypanej piaskiem ścieżce, a pękata czasza materiału wiotczeje i rozkłada się na krzakach.

Mężczyzna zdjął z siebie opasujące go rzemienie, a ujrawszy chłopca, uśmiechnął się do niego i pomachał ręką.

Pascal zatrzymał się. Jeden z ogrodników oderwał się od swojego zajęcia i szedł wolno w stronę przybysza, trzymając w ręce szpadel. Mężczyzna zobaczył go i powiedział coś w niezrozumiałym języku. Robotnik kiwnął głową z uśmiechem na twarzy, dalej krocząc w stronę przybyłego. Inny ogrodnik pojawił się nagle za plecami mężczyzny i wyciągając szyję, węszył. W rękach trzymał długie nożyce, którymi chwilę wcześniej obcinał żywopłot.

Cudzoziemiec powiedział coś podniesionym głosem i w jego ręce pojawił się przedmiot przypominający pistolet. Pierwszy z ogrodników zatrzymał się, tymczasem drugi zbliżył od tyłu, jeszcze raz zawęszył, po czym złożył nożyce i gwałtownym ruchem wbił je w plecy mężczyzny. Przybysz z nieba jęknął głucho i spojrzał na sterzące z brzucha ostrza.

Ogrodnik szarpnął uchwytem w górę i pchnął mocno, obalając swoją ofiarę twarzą na ziemię. Mężczyzna, przyszpilony teraz do gruntu nożycami trzymanymi kurczowo przez napastnika, wił się i krzyczał. Robotnik ze szpadlem był już przy nim i kilkoma ciosami odrąbał mu głowę.

Pascal cofnął się, wciąż obserwując pojawiających się w coraz większej liczbie ogrodników i to, jak niszczą, rwą i uprzątają do wiklinowych koszy kawałki materiału z czaszy, razem z ociekającymi krwią poćwiartowanymi szczątkami. Odwrócił się i pobiegł na oślep. Niespodziewanie lunął rześisty deszcz i natychmiast przemoczył go do suchej nitki. Chłopiec łkał i biegł przed siebie, do utraty tchu, nie zważając na chłostające go po twarzy gałęzie wysokich zarośli.

Deszcz ustał tak szybko, jak nadszedł. Ogromna ciemna chmura znikła i wyjrzało słońce. Pascal dojrzał między mokrymi liśćmi otwartą przestrzeń.

Na zaniedbanym placyku przy fontannie z Neptunem spacerował nerwowo wicehrabia de Jussac. Podeszwy butów z wysokimi cholewami chrzęściły na różowym żwirku, spod którego wydostawały się ostre źdźbła rudej trawy. Rozgrzana ziemia parowała. Wielkie ciemnozielone liście bluszczu, oplatającego wąskie wejście do altany wciśniętej pomiędzy dwa rzędy wysokich krzewów, lśniły wilgocią. Mężczyzna spojrzał jeszcze raz w głąb alejki, zdjął kapelusz i obmył twarz wodą z fontanny. W tej właśnie chwili spostrzegł chłopca. De Jussac patrzył na niego przez

chwilę ze zdumieniem.

— Pascal? Skąd się tu wzięłaś?

Chłopiec milczał. Czubkiem buta rozgarniał żwirek na ścieżce.

— Nieważne. Cieszę się, że cię spotkałem. Cały przemokłeś! Ech, nic ci nie będzie, dawno nie mieliśmy tu chłodów, co? — Roześmiał się i przekrzywił kapelusz na głowie Pascala. — Czekałem na tego nicponia Prospera, pamiętasz? Spotkałeś go wczoraj, u kardynała. Znow się zawieruszył. Miał tu być już pół godziny temu.

De Jussac przerwał. Alejką zbliżała się do nich młoda kobieta w zielonej sukni, osłaniająca się białą parasolką. Mężczyzna podbiegł do niej, rozpromieniony, i ucałował w rękę. Podeszli do altany, omijając szemrzącą fontannę.

— To mój młody przyjaciel, Pascal. To Claire.

— Bardzo mi miło. — Kobieta uśmiechnęła się i podała dłoń chłopcu. Przestał rozgarniać żwir i ucisnął wyciągniętą rękę.

— To dość niesamowite, ale wygląda na to, że spotkaliśmy się tu z Pascalem przypadkowo — rzekł wicehrabia. — Poczekaj tu chwilę, chłopcze.

Kobieta i mężczyzna znikli w altanie, ale de Jussac wrócił niemal natychmiast.

— Coś musiało zatrzymać Prospera. Pewnie już się nie zjawi. Miał tu stać na straży. Muszę porozmawiać z Claire w odosobnieniu. Proszę, zostań tu. Jeśli spostrzeżesz, że ktoś się zbliża, rzuć kamykiem do środka, a sam zmykaj. Zrobisz to dla mnie?

Chłopiec kiwnął głową.

— Zuch!

Słońce skryło się za koronami drzew. Na brzegu fontanny usiadł duży ptak w czerwieni, żółci i błękitach. Napił się wody, wytarł zakrzywiony dziób o kamień i przechylając głowę, spoglądał na chłopca siedzącego w cieniu kamiennej misy. Zerkał, dreptał w jego kierunku, potem ze skrzekiem odfrunął i siadał trochę dalej. Wreszcie, zniecierpliwiony własną niezaspokojoną ciekawością, odleciał. Nagle zapadła ciemność. Pascal wstał i odszedł alejką kilkadziesiąt kroków, aż plusk wody przycichł. Szmery, piski i odgłosy miękkich kroków niewidzialnych istot wznosiły się ku księżycowi w pełni, jak modlitwy do bóstwa zsyłającego w zamian w ciemne, skłębione otchłanie nieskończone fale srebra rozrzedzonego niemal do niewidzialności.

Ktoś zawołał cicho. Chłopiec odwrócił się i pobiegł ku altanie. De Jussac stał przed wejściem.

— Wszystko w porządku? — zapytał wicehrabia, głaszcząc Pascala po głowie. Chłopiec kiwnął. — Claire!

Z altany wyłoniła się kobieta, podeszła do nich. Roland ucałował ją, ona schyliła się i ucałowała chłopca w policzek, po czym oddaliła się szybko. Poszli za nią, widząc przed sobą bielejącą plamę otwartej parasolki.

— My, mężczyźni, istniejemy tylko po to, by wielbić kobiety takie jak ona — westchnął de Jussac. — To jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu, mój przyjacielu. Claire jest wszystkim, nawet kiedy tracę ją z oczu, ani na chwilę nie przestaję odczuwać jej obecności. Gdyby nagle zniknęła, ja w tej samej chwili

przestałbym istnieć. Cieszę się, że mogę ci o tym mówić, chłopcze. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale ufam ci. Uważaj jednak, nie wszystkie kobiety są takie jak Claire. Niektóre są... bardzo niebezpieczne.

Zbliżali się do pałacu. Setki wielkich okien jarzyły się miodowym światłem. Skrzydła budowli rozciągały się w obydwie strony aż po horyzont, jak rozwarte ramiona nieruchomego olbrzyma.

* * *

Przyjaciółki Albertine półkolem siedziały w kucki przed Pascalem i chichotały. Znajdowali się w ciemnym pomieszczeniu bez okien, wypełnionym zapachem wosku z palących się pod ścianami dziesiątek świec, których migotanie nadawało pozory życia postaciom na rozwieszonych wszędzie olejnych obrazach.

Chłopiec stał, przywiązany sznurem do filaru w głębi pokoju. Sznur opasywał jego nogi, wykręcone do tyłu ręce związane w nadgarstkach. Jego biała koszula wyciągnięta była na spodnie, na piersi wymalowano niezgrabnie niebieską farbą wielką lilię.

Drzwi otworzyły się i weszła Albertine. Wysoka, chuda, w strojnej sukni, zatrzymała się kilka kroków przed więźniem i patrzyła na niego błyszczącymi oczami. Dziewczyny powstały i szeptały między sobą nerwowo.

— Doszedłeś już do siebie, słodziutki? Pewnie nawet nie wiesz, co się z tobą stało? Trochę nasennego proszku, nie za dużo, w sam raz. Potem zawinęliśmy cię w dywan i na wózku przywieźliśmy tutaj. Jesteś wreszcie w naszych rękach! — Roześmiała się triumfalnie. Postąpiła bliżej. — Ciągle coś stawało mi na przeszkodzie. Masz możnego protektora, mój miły, otaczającego cię opieką, której przecież nie potrzebujesz. Hm, dopiero w moich rękach odczujesz, czym jest twoje przeznaczenie!

Zrobiła kolejny krok ku chłopcu. Była od niego wyższa o głowę. Pascal patrzył na nią pełnym napięcia wzrokiem, oddychał szybko. Wyciągnęła dłoń w koronkowej rękawiczce, ujęła go pod brodę i pocałowała delikatnie w usta. Z tyłu dobiegł szmer westchnień. Albertine cofnęła się o krok, odwołując jeszcze na chwilę to, co miało nastąpić.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Dziewczyny rozpierzchły się z piskiem po kątach. Do środka wmaszerował muszkieter. Zobaczywszy chłopca, wyjął z pochwy przy pasie nóż. Albertine wydała z siebie przenikliwy, wściekły pisk i stanęła mu na drodze.

— Wynoś się stąd! Rozkazuję ci! — Rozpostarła chude ramiona i poczerwieniała ze złości.

— Wykonuję rozkazy Jego Eminencji — rzekł obojętnie muszkieter i odsunął ją bezceremonialnie na bok, po czym podszedł do chłopca i uwolnił go dwoma cięciami. — Chodźmy, kawalerze, spóźniasz się na spotkanie z kardynałem. Udamy się od razu do pana Sarrazina.

Ruszyli ku drzwiom, Pascal chwiejnym krokiem; muszkieter wyprzedził go i zatrzymał się w pół drogi, spoglądając z nieruchomą twarzą na chłopca. Albertine

krzyknęła i wbiła po samą rękojęść ostrze sztyletu w udo muszkietera.

— *C'est interdit, Mademoiselle.* — Muszkieter odepchnął ją tym razem silniej, aż upadła na podłogę. Wyszarpnął sztylet i ruszył dalej, utykając lekko. Kiedy wyszli, zatrzasnął za sobą z hukiem drzwi.

Przeszli korytarz, krętymi schodami wspięli się na wyższą kondygnację. Pascal zerknął na miejsce, w które ugodziła Albertine. Ciemny płyn, barwiący nogawkę spodni i skraj krótkiego płaszcza gwardzisty, szybko krzepł.

Przemierzyli wewnętrzny trakt — gdzie nieliczni przechodnie nie zwracali na nich uwagi — i jeszcze raz wspięli się po schodach na kolejne piętro. Przez oszklony dziedziniec weszli do apartamentu uczonego, gdzie muszkieter przekazał Pascala służącemu i zniknął.

— Znów udało mi się wybawić cię z tarapatów — zaczął kardynał, widząc koszulę Pascala zachlapaną niebieską farbą. Zmarszczył brwi. — Powiniennem był już dawno poskarżyć się królowi. Adrien — zwrócił się do siedzącego naprzeciwko starszego, łysiejącego mężczyzny — każ przebrać chłopca.

— Słyszałeś, zabierz tego kawalera, znajdź mu jakiś strój i wracajcie zaraz — powtórzył Sarrazin do służącego. — Nie mogę się doczekać, kiedy nasz mały mistrz szachowy zasiądzie do gry z Murzynem.

Po wyjściu ich obu gospodarz kiwnął głową w stronę figury stojącej w kącie pokoju. Przedstawiała czarnoskórego mężczyznę z krótkimi kręconymi włosami, siedzącego przy stole, na którym rozstawiono szachownicę. Ręce Murzyna spoczywały po jej bokach, jego oczy były zamknięte.

— Szachy to w gruncie rzeczy dość prosta gra. Jestem przekonany, że udoskonaliłem już swojego gracza tak dalece, że nie zdoła go pokonać żadna istota ludzka, nawet tak dziwna jak twój Pascal.

— Pascal nie jest dziwną istotą — obruszył się kardynał. — Ma pewne ułomności, braki w wychowaniu, i jak bywa czasem w takich okolicznościach, kompensuje je zdolnościami w innych dziedzinach.

— Zdolnościami, dobre sobie! — parsknął Adrien. — Już od dwóch lat wszyscy przegrywają z Murzynem. Wszyscy, prócz Pascala.

— Zechcesz zasiąść do gry z tym jegomościem? — zapytał kardynał, gdy chłopiec wrócił w świeżej koszuli i czarnej, za długiej kamizelce.

Pascal spojrział na automat, a potem podszedł do stołu i usiadł na krześle naprzeciw niego. Sarrazin wstał z sapnięciem z fotela, włączył maszynę, przekręcając pokrętło na boku stołu, i wrócił na swoje miejsce.

Murzyn otworzył oczy i wykonał pierwszy ruch.

— Rozpoczynający wygrywa! Przynajmniej wtedy, gdy mierzą się ze sobą dwa idealne byty, choć mimo wszystko nie sądzę, żeby Pascal do nich należał. — Złośliwie uśmiechnął się Sarrazin.

— Jesteś bardzo pewny swego. — Kardynał ze stolika stojącego pomiędzy nimi podniósł kieliszek z winem.

— Wierzę w ludzki rozum. Jeśli Murzyn nie wygra, to będzie oznaczało tylko tyle, że to ja popełniłem jakiś błąd. Zresztą, jak powiedziałem, ta gra to dopiero wstęp.

Nie ośmieliłbym się powiedzieć, że mój automat myśli. Za wcześnie nato. To tylko dość skomplikowana mechanika.

— Gdybyś wierzył w ludzki rozum, stawiałbyś na Pascala, a nie na mechanizm. — Duchowny powąchał ciemny płyn. — Nie myślę o szachach — pewnie masz rację, nie przywiązując do nich aż takiej wagi — ale o tym, co zamierzasz w przyszłości. Czasem mam wrażenie, że dla ciebie wszystko jest mechanizmem.

— Ależ właśnie tak! Jesteśmy mechanizmami. Jednak obdarzonymi rozumem, zdolnością myślenia. Potrafimy objąć umysłem wszystko, co nas otacza. Wszystko zrozumieć. Jedynie to usprawiedliwia nasze istnienie. Wyłącznie taki cel, całkowite pojęcie świata, może nam przyświecać.

Kardynał patrzył na grających. Murzyn po każdym ruchu chłopca pochylał się nad szachownicą i zawsze po tym samym odstępie czasu wykonywał swoje posunięcie. Chłopiec kręcił się nerwowo na krześle, nieruchomiał, wreszcie łapał za bierkę i stawiał ją z trzaskiem na wybranym polu.

— Musiałeś poczynić znaczne postępy w swoich pracach, skoro wypowiadasz się już tak zdecydowanie. Myślałem o tym po naszej ostatniej rozmowie, Adrien. Otóż mylisz się co najmniej z trzech powodów. Zupełne poznanie nie jest możliwe, nigdy go nie osiągniemy. Po pierwsze, nie możemy poznać samych siebie. Jeśli podejmujesz się tego zadania rankiem, kiedy wreszcie je wykonasz i w południe masz już pełny obraz samego siebie, to przyswoiwszy go, stajesz się już kimś innym niż ten, którego obraz przedstawia. Bo jesteś sobą z rana, owszem, ale teraz zmienionym zdobytą wiedzą. I tak musiałbyś zabrać się od nowa do swojej syzyfowej pracy. Po drugie, jeśli nie możemy pojąć samych siebie, jeśli jesteśmy skazani na to, że pozostaniemy dla siebie na zawsze tajemnicą, to tym bardziej dotyczy to całego świata, choćby tylko dlatego, że jesteśmy jego częścią. Wreszcie do świata jako całości odnosi się podobne rozumowanie. Biorąc do ręki narzędzia, jakich świat dostarcza, zdołamy uzyskać tylko częściowe oświetlenie rzeczy. Oglądając z lampą w ręku ogród zatopiony w zupełnie ciemności, wyławiamy z mroku fascynujące szczegóły — i tylko tym możemy się cieszyć. Zrozumienie zupełne wymaga wyjaśnienia także i narzędzi, jakich używamy do osiągnięcia wiedzy, zatem użycia ich samych w odniesieniu do siebie. Jest to czynność tak samo skuteczna, jak podniesienie siebie samego za włosy. Ty chciałbyś zobaczyć jednocześnie i marmurową rzeźbę, która w owym ogrodzie nagle wyłania się przed tobą, i jasny obraz całego ogrodu, i jednocześnie całość — rzeźbę, ogród i siebie idącego z lampą. Taki obraz nie istnieje, drogi przyjacielu, mógłby go uzyskać tylko ktoś, kto stoi poza murem ogrodu, patrzący ze wzgórza nieopodal, wyposażony w zdolność widzenia wszystkiego w swoim własnym wewnętrznym świetle.

— Ach, twoje chytre sztuczki! — roześmiał się Sarrazin. — Nie tracisz żadnej okazji, żeby mnie nawracać! Ty oczywiście wierzysz w tego, kto stoi na wzgórzu poza murami ogrodu i ma pełny obraz naszego świata.

— Tak, oczywiście, Adrien — powiedział łagodnie kardynał.

— Z tego, że nie mogę ujrzeć jasno wszystkich rzeczy jednocześnie, w tym i siebie, nie wynika, że nie mogę ich pojąć jedna po drugiej. Być może istnieje

skończona liczba zagadek. Jeśli tak, to rozwiążemy je wszystkie, kolejno. Może być i tak, że każda odpowiedź rodzi następne pytania, *ad infinitum*. Tym lepiej, nasza przygoda staje się wtedy ciekawsza, bo koszyk z zagadkami nigdy się nie wyczerpie – choć mniemam, że to słabsza hipoteza.

– A ja sądzę, mój drogi, że nawet pojedyncze zagadki mogą się okazać dla nas zbyt trudne. I że ta największa tajemnica, która na zawsze pozostanie fundamentem naszego świata, jest spleciona na nieskończenie wiele sposobów z każdym pojedynczym pytaniem, jakie możemy zadać.

Odstawili kieliszki i podeszli do grających. Słońce wisiało już nisko i wypełniało pokój czerwienią. Partia wchodziła w decydującą fazę, na szachownicy pozostało już niewiele figur i pionków. Chłopiec nie zwracał na nich żadnej uwagi, zupełnie zatopiony w grze.

– Kardynale, to, co mówisz – że wszystko jest ze wszystkim powiązane i dlatego bardzo skomplikowane – to banał. Od tego mamy metodę naukową, abstrahowanie i wydzielanie rzeczy pojedynczych. Zachowałeś sposób myślenia naszych dawnych przodków, którzy nie wiedzieli, co to analiza ani synteza. Co do trudności pojedynczych zagadek, to właśnie z jej powodu pracuję nad Murzynem. Czego nie pojmemy sami, w tym pomogą nam nasze narzędzia, kiedy nauczymy je mechanicznego myślenia.

– Ach tak – rzekł z ledwo skrywaną ironią kardynał. – Choć sami nie uzyskamy pełnej wiedzy, to zrozumienie zlecimy Murzynowi.

– Nie, polecimy mu, aby nam pomógł zrozumieć.

– A jeśli nie pojmemy jego odpowiedzi?

– Wtedy oczywiście zabierzemy się do naszej własnej konstrukcji i zmienimy samych siebie tak, aby umieć tę odpowiedź przyjąć! – triumfalnie oznajmił Sarrazin.

– Jak widzisz, ludzie dzielą się na wierzących w Boga i takich, którzy sami chcą nim zostać – mruknął kardynał, bardziej do siebie, bo Sarrazin nie słyszał go już, pochłonięty sceną, która się przed nimi rozgrywała.

Pascal wykonał ruch skoczkiem. Murzyn pochylił się nad szachownicą, zastanawiał się tyle, ile za każdym poprzednim razem, wyciągnął rękę, która zawisała nad figurą króla, po czym cofnął ją i wyprostował się na krześle. Znow się pochylił, wpatrywał w szachownicę przez taki sam czas, wykonał ten sam ruch i powrócił do początkowego położenia. Kiwał się tak raz za razem, aż zirytowany właściciel sięgnął do pokrętki i wyłączył maszynę.

– Wszedł na kolistą ścieżkę – powiedział zafrasowany uczonec. – Będę musiał jeszcze dzisiaj nad nim popracować.

– Nie martw się, przyjacielu, z pewnością uda ci się poprawić błąd i twój Murzyn wreszcie da mata Pascalowi, wierzę w to – odezwał się kardynał. – Ale błagam, dzisiaj już się nie trudź, lepiej usiądźmy i porozmawiajmy o starych, dobrych czasach. Pascalu, przestań, nie musisz już męczyć głowy nad tą szachownicą. Murzyn się poddał, wygrałeś. Chodź. Usiądź z nami.

Ujął Pascala pod ramię i ściągnął niemal siłą z krzesła.

— Byłbym zapomniał. — Sarrazin się uśmiechnął. — Zrobiłem dla ciebie, chłopcze, małą zabawkę.

Przeszedł do sąsiedniego pokoju i wrócił z kolorowym ptakiem w srebrnej klatce. Ptak siedział na drewnianym drążku, przekrzywiał głowę i zerkał na obecnych.

Mężczyzna podał klatkę chłopcu. Ten ujął ją ostrożnie, jego oczy pojaśniały i uśmiechnął się lekko. Ptak był podobny do tego, którego spotkał przy fontannie z Neptunem.

— Pascal! Pascal! — zaskrzeczał ptak i zatrzepotał skrzydłami.

Wszyscy trzej roześmiali się radośnie.

* * *

Mimo wczesnej pory powietrze stało się już tak gorące i parne, że trudno było oddychać. Pascal i de Jussac stali w cieniu wielkich drzew, których liście żółkły i więdły. Dwadzieścia kroków przed nimi rozciągał się kulochwyt z grubych pniaków. Wicehrabia podniósł ze stolika jeden z dwu pistoletów.

— Patrz uważnie i słuchaj. Widzisz? Piękna broń. Inkrustowana masą perłową. Możesz nią zabić ze stu kroków, jeśli tylko trafisz.

Sięgnął do drewnianej skrzynki i wyciągnął z niej rulonik z naoliwionego papieru.

— Odciągasz lekko kurek, o, tak. Otwierasz panewkę. Odgryzasz koniec patrona — wypluł papier na ziemię — i sypiesz proch na panewkę. Zamykasz. Resztę prochu wysypujesz do lufy. Wkładasz papier i kulę, wyciągasz stempel i ubijasz. Pistolet jest gotowy do strzału. Teraz wystarczy odwieść kurek całkiem do tyłu... Hej tam, dawaj Anglika na pniaczek! — krzyknął w stronę kulochwytu. Zza drzewa wyłonił się muszkieter i posadowił na ustawionym pionowo pieńku gipsowe popiersie przedstawiające mężczyznę z wąsami. — *Voilà!*

De Jussac wycelował pistolet w stronę popiersia. Huknął strzał. Pascal zakrył dłońmi uszy i zmrużył oczy, w które napłynął dym.

— Przestraszyłeś się? — zapytał wicehrabia, uśmiechając się do chłopca. Ten potrząsnął przecząco głową i opuścił dłonie.

— To świetnie. Teraz sam spróbuj nabić broń. Tak, weź drugi pistolet. Patron. Uważaj, pomogę ci. Tak jest. Gotowe!

Ukląkł przy chłopcu i trzymał wyciągnięty pistolet razem z nim.

— Nie bój się — szepnął mu do ucha. — To twój przyjaciel. Możesz nim zabić zmory, które cię gnębią. I posłać je do piekła, skąd już nigdy nie powrócą. Strzelaj!

Popiersie po drugim trafieniu rozsypało się w drobne kawałki.

— Doskonały strzał! Teraz spróbuj zrobić to samodzielnie. Dawaj następnego Anglika!

Chłopiec z namaszczeniem wykonywał kolejne czynności. Kiedy nabił pistolet, wymierzył go w Jussaca.

— Nigdy tego nie rób — powiedział wicehrabia. — Nawet jeśli myślisz, że broń jest nienabita. Kieruj broń tylko w stronę kogoś, kogo chcesz zabić. Czy chcesz mnie zabić?

Pascal odwrócił się i powoli skierował lufę w stronę popiersia, trzymając pistolet oburącz. Naciskając na spust, zamknął w ostatniej chwili oczy. Zza rzadziejcej chmury dymu zobaczył, że górna część gipsowej głowy znikła.

— Teraz wiesz, że wroga można zabić, jeśli działa się szybko i zdecydowanie. — De Jussac odebrał chłopcu pistolet. — Ale to ostateczność. Częściej musimy mierzyć się z przeciwnikiem, który nie jest śmiertelnym wrogiem.

De Jussac kucnął i niespodziewanie pchnął Pascala otwartą dłonią w pierś. Chłopiec upadł do tyłu.

— Wuj opowiadał mi, że musi cię chronić przed twoimi rówieśnikami. Zmienimy to. Powiadam ci, że niewiele trzeba, aby poczuli przed tobą respekt. A kiedy ich pokonasz, jednego po drugim, zostaną twoimi sojusznikami albo nawet przyjaciółmi.

Chłopiec podniósł się i otrzepał spodnie z liści. Patrzył na wicehrabiego niepokojąco poważnymi oczyma. De Jussac uśmiechnął się i zmierzwił mu włosy.

* * *

Kiedy Pascal wracał ze swoich kolejnych nocnych wypraw tunelami pałacu, zawsze był uspokojony, mimo że wypełniały go dziwne dźwięki, obrazy, których nie rozumiał, strzępy rozmów, których treści nie potrafił pojąć, kuszące bądź odstręczające zapachy. Wszystkie one rozbudowywały w jego umyśle tę równoległą przestrzeń odpowiadającą innemu światu, niedostępnemu dla pozostałych mieszkańców pałacu.

Tym razem było inaczej. To, co zobaczył gdzieś tam, w głębi ciemnego labiryntu, było niezrozumiałe w nieporównanie większym stopniu niż wszystko inne, a jednocześnie tak przerażające, iż wiedział, że już nigdy nie wstąpi do niego z taką ufnością i spokojem, na jakie nieopatrznie pozwalał sobie do tej pory.

Zsunął się na stół, wyszeptał jak najciszej zakłęcie i kiedy otwór zasklepił się, zeskoczył na podłogę. Mechaniczny ptak w klatce zatrzepotał skrzydłami.

W pokoju ktoś był. Siedział na krześle nieopodal okna, z którego sączyło się księżycowe światło.

— Przepraszam, przyjacielu, że odkryłem twoją tajemnicę — powiedział de Jussac.

Podszedł do ściany i przyjrzał się płycie zakrywającej tunel.

— Dość miejsca dla ciebie... Możesz w ten sposób dotrzeć pewnie wszędzie?

Pascal kiwnął głową twierdząco.

— Poprosiłem twoją opiekunkę, bym mógł się z tobą spotkać. Rozmawiałem już ze wszystkimi, którzy mogliby mi pomóc. Przyszedłem tutaj na sam koniec, sam nie wiem dlaczego. Pascalu, zniknęła Claire. Czasami ludzie znikają i już nigdy ich nie widzimy. Wierzę, że nie stanie się tak w tym przypadku, inaczej musiałbym... Nie. Posłuchaj. Rozmawiałem z ojczymem Claire. Jej matka nie żyje, jej opiekunem jest ojczym, markiz de Beauval. Pewnie dobrze rozumiesz, co to może znaczyć, sam byłeś wychowywany przez ojczyma. Nie przypuszczałem do tej pory, że de Beauval źle traktuje pasierbicę. Nic na to nie wskazywało. Jednak po jej zniknięciu, po

rozmowie z markizem, jestem niemal pewny, że to jego sprawka. Uwięził ją, Claire siedzi gdzieś w lochu i boję się o to, co może się z nią stać. Nikt o niczym nie wie albo udaje, że nie wie, nawet kardynał mówił o tym ze mną niechętnie. To bardzo dziwne. Nikt nie widział Claire już od czterech dni! Muszę dowiedzieć się, co się z nią stało, gdzie przebywa! Rozumiesz mnie?

Pascal spojrział w stronę wejścia do tunelu.

— Tak — powiedział cicho de Jussac. — Wiem, że nie powinienem cię o to prosić. Spróbujesz ją odnaleźć?

Stojącym nieruchomo chłopcem wstrząsnął dreszcz. Kiwnął głową.

— Dziękuję ci! Poczekaaj do jutrzejszego wieczoru, przyniosę ze sobą list do Claire. Wierzę, że ją znajdziesz. A teraz zegnaj.

Wicehrabia uścisnął go, wstał i odszedł szybko, zamykając za sobą cicho drzwi.

Chłopiec nie mógł jeszcze długo zasnąć, przed oczyma mając sieć ciemnych tuneli wypełnionych zamierającymi echami niezrozumiałych rozmów. Próbował odepchnąć od siebie obraz komnaty wypełnionej żółtym blaskiem lamp, wymazać z pamięci krzyk, który zdawał się nie milknąć.

Wstał z łóżka i podszedł do klatki. Ptak odchylił głowę, patrząc na niego jednym okiem, złapał dziobem pręt klatki, cofnął się. On nie spał nigdy.

— Pascal! — wrzasnęła papuga.

Otworzył złote drzwiczki klatki i dotknął czubka głowy ptaka, który skulił się, a potem odwrócił głowę i dziobnął go delikatnie w palec.

Pascal zamknął klatkę i wrócił do łóżka.

* * *

De Jussac zjawił się zgodnie z zapowiedzią. Miał podkrążone, rozgorączkowane oczy. Położył na stole dwie złożone kartki papieru i ołówek.

— To list, który napisałem do Claire. Niezapieczętowany, abyś i ty go przeczytał. Na moją prośbę narażasz swoje bezpieczeństwo, chcę, żeby sprawa, której się poświęcasz, była dla ciebie od początku do końca oczywista, abyś nie miał najmniejszych wątpliwości co do mych intencji. Jeśli uda ci się odnaleźć dziewczynę, daj jej list, tę pustą kartkę i ołówek. Być może nie ma przyborów do pisania, a proszę ją o odpowiedź. Mam coś jeszcze, co może ci się przydać.

Mężczyzna ściągnął kaftan. Pod nim miał na sobie uprząż z dwoma kieszeniami, w których tkwiły pistolety. Na poprzecznym pasie zawieszona była ładownica. Wicehrabia zdjął uprząż i ostrożnie założył ją chłopcu. Kieszenie z bronią sięgały aż do ziemi. Skrząc paski, podniósł je do bioder Pascala.

— Tak dobrze! Myślę, że powinieneś wziąć je ze sobą. Tu masz patrony. Pamiętaj, czego cię nauczyłem? Nabijaj pistolety dopiero przed użyciem, inaczej proch zawilgotnieje i się nie zapali. Czuję, że możesz znaleźć się w niebezpieczeństwie, dlatego zastanów się dobrze, zanim wyruszysz. Jeśli zrezygnujesz, i tak pozostaniemy przyjaciółmi... — de Jussac powiedział to ze ściśniętym gardłem. — Wiesz, gdzie są apartamenty markiza de Beauvala? Tuż przy rezydencji królewskiej, we wschodnim skrzydle. Tam zacząłbym na twoim miejscu

szukać. Zjawię się znów jutro, o tej samej porze, nie uda mi się wcześniej. Powodzenia, chłopcze!

Wstał i szybkim krokiem opuścił pokój.

Pascal zdjął uprząż i schował ją pod ubraniami w kufrze, następnie usiadł przy lampie z listem w ręku.

Kochana Claire!

Zniknęłaś bez śladu, a ja umieram z rozpaczy. Nie wiem, co Ci się przytrafiło, biegam jak szalony, wypytując ludzi, próbując przekupstwa i groźby, lecz brak mi najmniejszej wskazówki. Ogarnia mnie szaleństwo, kiedy pomyślę, iż stać Ci się mogło coś złego, odganiam od siebie najstraszniejsze przypuszczenia! Teraz zaś chwytam się z rozpaczy środka takiego, którego może by należało uniknąć, bo naraża osobę bardzo mi drogą, jedyną, a w pewnym sensie bezbronną i z pewnością najniewinniejszą z nas wszystkich. Nie wspominam jej tu po imieniu, nie chcąc narażać jej jeszcze bardziej, niż to czynię, uciekając się w desperacji może nawet do nikczemności. Jeśli ten list zdoła dotrzeć do Ciebie, zrozumiesz to od razu. Jeśli też tak się stanie, przesyłam przybory do pisania, byś mogła, jeśli nimi nie dysponujesz, skreślić mi kilka słów od siebie. Błagam, daj mi wskazówkę, co mam czynić. Zrobię wszystko, nawet jeśli okaże się, że z własnej woli nie chcesz mnie już nigdy widzieć. Wtedy usunę się i pozostawię po sobie tylko puste miejsce.

Oddany Ci na śmierć i życie, Roland

Pascal wziął z łazienki ręczniki i owinął nimi łokcie i kolana. Do zapinanej kieszeni kaftana schował list, papier i ołówek. Przysunął stół, szeptem otworzył pokrywę i wsunął się do tunelu.

Nie musiał szukać Claire. Wiedział, gdzie jest. Trzy dni wcześniej, w czasie swojej wędrówki, usłyszał jej podniesiony głos. Zapamiętał miejsce, tak jak wszystkie inne, ale nie zbliżył się do niego, nie chcąc skrycie jej obserwować, właśnie ze względu na de Jussaca.

Poruszał się teraz z instynktowną pewnością, niczym pies, wiedziony pamięcią sekwencji zapachów, przeciągów i powtarzalnych hałasów. Po godzinie znów usłyszał jej głos. A raczej okrzyki, potem głośny szloch. Zbliżał się do miejsca, z którego dochodziły. Jeszcze jeden głos, niski, twardy, męski. Znów okrzyk kobiety. Trzask zamykanych drzwi.

Przez dziurki pokrywy, z wysokości dwu metrów, zajrzał do wnętrza pokoju. Claire siedziała na skraju łóżka, zakrywając dłońmi twarz. Szlochała. Pomieszczenie bez okien oświetlone było mdłym blaskiem lampy. Odczekał dłuższą chwilę, ale nic się nie działo. Claire położyła się na łóżku, łkając cicho. Pascal odpiął kieszeń i wydobyl z niej list. Poskrobał kilka razy w pokrywę. Claire znieruchomiała, a potem nagle usiadła na łóżku, szukając wzrokiem źródła dźwięku. Wsunął kartkę w powstałą szczelinę i zaskrobał raz jeszcze. Claire wstała gwałtownie i spojrzała w górę, dostrzegając kartkę. Upuścił ją. Podeszła i podniosła list. Spojrzała jeszcze raz ku szczelinie i z przestrachem na twarzy odeszła do najdalszego kąta.

Patrzył, jak rozwija kartkę i czyta, jak wyraz jej twarzy się zmienia.

— Pascal? — szepnęła.

Włożył ołówek do kartki i przepchnął je przez szparę. Podbiegła, pochwyciła ołówek i zaraz usiadła przy sekretarzyku. Pisała szybko, nerwowo, złożyła kartkę i rozejrzała się po pokoju. Przetawiła skrzynię pod wywietrznik i wsunęła odpowiedź razem z listem de Jussaca.

— Pascal! Weź obydwie kartki, nie chcę, by ktoś znalazł list Rolanda!

Usiłowała zobaczyć coś w otworach płyty. W ciemności zamigotały oczy chłopca.

— Pascal! Powiedz coś, błagam!

Poskrobał paznokciem w płytę, a potem zaczął się cofać w ciemność.

— Żegnaj! Powiedz Rolandowi, że go kocham!

* * *

Następnego dnia wicehrabia de Jussac, nie mogąc opanować emocji, przybiegł do Pascala już przed południem. Kiedy zobaczył, że ten wręcza mu list, krzyknął i uścisnął chłopca. Rozpostarł kartkę i czytał na głos:

Rolandzie!

Modliłam się o to, by móc zamienić z Tobą choć jedno zdanie, ale nie wierzyłam, że to moje pragnienie się ziści. Jeśli Ty byłeś pogrążony w rozpacz, to co mogłam czuć ja, nagle oderwana od świata, wtrącona do więzienia, ubezwłasnowolniona, bez możliwości przekazania Ci jednego słowa o sobie??? De Beauval nie raczył mi powiedzieć, dlaczego pozbawia mnie wolności. Stwierdził jedynie, że to tylko na czas określony, że to absolutna, niepodlegająca dyskusji konieczność, i że bym nie śmiała nawet myśleć o tym, aby się z Tobą porozumieć.

Choć nigdy mnie nie lubił, to przecież nie starał się też uprzykrzać mi życia i to, co nagle uczynił, zupełnie mnie zdumiało i przeraziło. Z jego słów wnoszę, że Twoja osoba jest tu głównym powodem, choć nie wiadomo dlaczego – przecież do tej pory mój ojczym wyrażał się o Tobie raczej z lekceważącą obojętnością niż z niechęcią. Tak więc myślę, że ostatnio stało się coś dziwnego i niepokojącego, coś, co dotyczy naszego związku, ale czego przyczyną z pewnością nie jest sam de Beauval. Mimo to nasze stosunki oczywiście pogorszyły się tak okropnie, że zaczęłam go nienawidzić, myślę, że z wzajemnością, tak że posunął się nawet do tego, że mnie bił. Z rozpaczą i bezsilnością rozmyślam o tym, jak nasze szczęście tak łatwo i tak bez zrozumiałego powodu przemieniło się w koszmar. Nie oczekuj ode mnie wskazówek ani rady, jak masz postępować. Tylko to mam Ci do przekazania – kocham Cię, zawsze Cię będę kochać, a Ty bądź czujny i uważaj na siebie, bo wokół nas poczęły działać siły, których powinniśmy się obawiać w najwyższym stopniu. Uściskaj też ode mnie tego, dzięki komu mogliśmy sobie przekazać tych kilka zdań!

Całuję Cię, na zawsze Twoja – Claire

Wicehrabia spojrzał na Pascala obłąkanym wzrokiem.

— Jestem ci dozgonnie wdzięczny, mój przyjacielu – wychrypiał. — Widziałeś de

Beauvala?

Chłopiec pokręcił przecząco głową.

— A ja będę się musiał z nim spotkać. Twoja misja skończyła się. Teraz czas na mnie. Zmuszę łotra, by uwolnił Claire. Najlepiej, Pascalu, jeśli przez kilka następnych dni nie będziesz opuszczał domu. Przyrzekasz, że tak zrobisz?

Chłopiec milczał, nie spuszczając z niego wzroku. Wicehrabia zmierzwił mu włosy.

— Żegnaj.

Wyszedł, zatrzaskując drzwi.

* * *

Jednak Pascal nie posłuchał go i kiedy Roland de Jussac zmierzał na spotkanie, chłopiec pojawił się niespodziewanie, w najmniej odpowiednim momencie i podązał kilka kroków za wicehrabią.

— Skąd się tu wzięłeś? Odejdź! Nie śledź mnie! — Roland zatrzymał się, złapał chłopca i potrząsnął nim. — Nie wolno ci tam być, to niebezpieczne. Nie wiem, co się zdarzy. Czy chcesz na moją głowę ściągnąć jeszcze i tę winę?

Odepchnął go i zaczął biec, ale chłopiec ścigał go. Tak wpadli do wielkiej sali z wysokim, prostokątnym stropem, podtrzymywanym przez dwa rzędy potężnych kamiennych kolumn. Do środka, przez duży okrągły otwór, wpadał słup światła. De Jussac przystanął przy jednej z kolumn.

— Wracaj do domu!

Spróbował pochwycić chłopca, ale ten uskoczył zręcznie i odbiegł na bok. Wicehrabia zrezygnował, odwrócił się ku wejściu, skąd dobiegał odległy dźwięk kroków. Pascal podszedł do bocznej ściany. Jego uwagę przykuł szereg płytkich wnęk rozmieszczonych w regularnych odstępach. W głębi każdej z nich tkwiła płaskorzeźba nagiego mężczyzny. Chłopiec przemaszerował wolno przed nimi. Wszystkie postaci spowijał cienką warstwą półprzezroczysty kokon. Niektóre ledwo wydobywały się z wnętrza kamienia, inne już niemal stały swobodnie na niskich parapetach, zespolone ze ścianą tylko plecami. Policzył je, było ich dwadzieścia: pięciu identycznych muszkieterów, dwunastu ogrodników, każdy nie do odróżnienia od pozostałych, oraz trzech tożsamyh lokajów.

Ktoś wmaszerował dziarsko do sali, aż poniosło się gromkie echo kroków.

— Jesteś, Jussac! — Roześmiał się markiz. — Nie bałeś się, że pošlę po prostu paru pachołków, by wygarbowali ci skórę?

De Beauval był wysokim, krępy m mężczyzną. Lustrował Jussaca przenikliwym spojrzeniem małych, ruchliwych oczu osadzonych w szerokiej twarzy.

— Byłem pewny, że chcesz się dowiedzieć, co jest w liście Claire — rzekł de Jussac. — Odciałem i posłałem ci tylko początek. Resztę zachowałem — jest dowodem na to, żeś uwięził bez żadnej przyczyny swoją pasierbicę.

Markiz wyciągnął skrawek papieru z kieszeni.

— To? Jakie to ma znaczenie? Nic, co Claire mogłaby ci napisać, nie jest dla mnie interesujące. Ja wiem wszystko, ona nie rozumie niczego. — Zmiał papier i rzucił na

podłogę.

— Może ty nie jesteś tego ciekaw, natomiast treść listu zajmie innych. Jest dowodem twojego postępku, markizie.

— Tak? A co ty, biedny głupcze, możesz wiedzieć o powodach moich poczynań? Przyszedłem, bom ciekaw sposobu, w jaki udało ci się dotrzeć do Claire. Kto zdradził? Jedyne to może być zajmujące. — Beauval roześmiał się. — Och, widzę, że jest tu i ostatni sojusznik, jaki ci pozostał! Zabrałeś go ze sobą, by cię obronił? — rzekł, dostrzegłszy Pascala.

— Strzeż się! — warknął wicehrabia. — Przejdźmy do rzeczy. Oto moje warunki. Uwolnisz zaraz Claire, ja zapomnę o twoim przestępstwie i nie będziemy o nim nikomu wspominać.

Beauval pokręcił głową.

— List to świstek bez żadnego znaczenia. Zresztą jestem opiekunem Claire i nikomu nic do tego. Nie, durniu. Zresztą... powiem ci tyle. To nie ja zdecydowałem. Poproszono mnie, aby tymczasem ukryć Claire. A ta prośba znaczyła więcej niż rozkaz. Dlatego nawet gdybym chciał, nie spełniłbym twoich warunków. A nie chcę, bo widzę teraz jeszcze lepiej, jakim żalonym głupcem jesteś.

— Zatem szkoda gadać, łotrze! — krzyknął de Lussac. — Przemówię do ciebie inaczej!

Wyszarpnął rapier z pochwy.

— Rolandzie, czy godzi mi się z tobą potykać? Czyś już wydobrał po ranie, jaką zadał ci kardynał? — szydził Beauval, podparłszy się pod boki.

— Broń się! Tak czy inaczej, zabiję cię!

De Beauval z niechęcią dobył broni. De Jussac natarł natychmiast. Markiz odparł atak i ruszył naprzód z zaskakującą szybkością.

Pascal patrzył na nich, zaciskając pięści. Za jego plecami rozległ się suchy trzask. Odwrócił się i ujrzał, jak jeden z muszkietarów, ten najbardziej wysunięty z wnąki, porusza się wolno i rozkrusza krępujący go kokon.

Markiz krzyknął rozdzierająco. Rapier Jussaca przebił jego pierś na wylot. De Beauval wypuścił broń z ręki i upadł na kolana.

— Głupcze... Po co to zrobiłeś? — jęknął markiz. — Jussac... uciekaj stąd... daleko.

De Jussac wyszarpnął ostrze z ciała, które zaraz upadło i znieruchomiało. Wicehrabia dyszał ciężko. Podniósł z posadzki skrawek listu Claire i wybiegł, nie widząc niczego.

Muskietier uwolnił się z resztek kokonu i krocząc niezgrabnie, przeszedł na drugi koniec sali, w stronę szeregu zamkniętych drzwi. Zniknął za nimi i po chwili wyszedł pewnym krokiem, już w pełnym umundurowaniu, z bronią u boku. Pomaszerował do wyjścia.

Odprowadził go uważny, nietracący żadnego szczegółu wzrok Pascala.

* * *

Kardynał milczał, czytając uważnie list. Potem wziął pustką kartkę i skreślił kilka

zdań.

— Nie mogłem przyjąć Rolanda, choć jest moim przyjacielem. To, co uczynił, postawiło go w sytuacji bez wyjścia. Proszę, Pascalu, to list do niego. — Mężczyzna przesunął zalakowaną kopertę w stronę chłopca, ale ten nie ruszył się z krzesła.

— Roland ma tylko jedną sposobność, by się uratować. To mój rozkaz dla straży, by go nie zatrzymywały. Zyskuje kilka godzin, potem jego los będzie przypieczętowany. Proszę, weź oba te listy. W drugim tłumaczę się przed nim... i także przed tobą, Pascalu. Wiem, ile dla ciebie Roland znaczy. Uratuje się, jeśli opuści królestwo. Musi to zrobić natychmiast po tym, jak wręczysz mu glejt. Niech się uda do Anglii lub Hiszpanii. Są tam ludzie, którzy chętnie go przyjmą. Zawsze się tacy znajdują. Mówię o tym i cierpię, tak samo jak ty, chłopcze. Jeśli... jeśli uznasz, że będziesz szczęśliwszy, odchodząc razem z Rolandem, zrób to.

Kardynał wcisnął obydwie listy w rękę Pascala i pospiesznie wyszedł.

* * *

Łucznicy zajęli miejsca w łóżach najwyższego piętra, zapalono kryształowe żyrandole i podciągnięto je, tak że w blasku lamp zginęły uważne spojrzenia licznych gwardzistów. Zza zasłony na jednym końcu sali dobiegały dźwięki instrumentów orkiestry szykującej się do pracy. Bocznymi wejściami zaczęli napływać goście, parami, w kolorowych maskach na twarzach, kobiety w nadobnych sukniach, mężczyźni w strojach galowych. Uformowali dwie kolumny i czekali w milczeniu, pochrzając, dyskretnie spoglądając na boki, damy poruszając nerwowo wachlarzami.

Na podwyższenie naprzeciw orkiestry zaczęły się wspinać dzieci co znakomitszych rodów, dziewczynki po lewej, szemrząc i chichocząc, chłopcy – z niespokojnymi, niepewnymi minami – po drugiej stronie tronu. Zajęli miejsca przy swoich taboretach i czekali, tak jak dorośli. Wreszcie zjawił się kardynał, w czarnej sutannie z czerwonymi guzikami, zafrasowany, z wyrazem zmęczenia na twarzy. Usiadł na wysokim krześle z oparciem, po prawej stronie tronu.

Chłopcy ustawieni byli w trzech rzędach, według wzrostu. Pascal stał w pierwszym i patrzył z niepokojem na ludzi poniżej, usiłując rozpoznać osoby kryjące się za maskami. Niespodziewanie poczuł bolesne uderzenie w tył głowy. Odwrócił się. Stał za nim wyższy od niego o pół łokcia gruby młodzian z długimi, rudymi włosami. Uśmiechał się złośliwie i rozcierał knykcie środkowego palca prawej dłoni.

— Kardynalska lalunia — szepnął do Pascala z wyrazem ukontentowania na twarzy. Stojący obok chłopcy zarechotali.

Pascal kopnął go w krocze, a kiedy ten pochylił się z rozdziawioną gębą, usiłując złapać oddech i za późno osłaniając genitalia dłońmi, trafił go pięścią w czubek nosa, aż chrupnęło. Książątko wrzasnęło, zachwiało się, krew zalała białą koszulę i błękitną kamizelkę.

— *Silence! Silence!* — powtarzał strażnik, przepychając się ku nim. Złapał za kołnierz grubasa, który ciągle wrzeszczał, i wytaszczył go do tyłu. — *Putain d’merde!* — zaklął, zobaczywszy, że chłopiec ciągle obficie krwawi.

Z przeciwległego końca sali dobiegł odgłos werbli. Wszyscy zamilkli, kardynał powstał ze swojego krzesła.

Pomiędzy dwoma szeregami gości do podwyższenia zbliżała się królewska para. Król – w czarnej peruce, sztywny, wysoki, w długim oliwkowym płaszczu o myśliwskim kroju – prowadził pod rękę królową – w kapeluszu z błękitnymi piórami, z kieżą otaczającą szyję. Odziana była w szeroką, haftowaną srebrem i złotem suknię ze szmaragdowego atłasu, skrywającą wielki brzuch. Królowa szła z pochyloną lekko głową, a jej twarz osłaniała gęsta, ciemnozielona woalka. Mijani goście pochylali się głęboko, a kiedy para królewska zasiadła na swoich miejscach i król skinął ręką, orkiestra zaczęła grać, a pary ruszyły w tan. Na swoim krześle spoczął kardynał, potem miejsca na taboretach po obu stronach podwyższenia zajęła młodzież.

Pascal patrzył z fascynacją na pary poruszające się wolno, w rytm spokojnej, dostojnej muzyki. Nieznaczne dygnięcia, drobne skłony, wyćwiczone i odmierzone starannie kroki, muśnięcia dłoni i błyski oczu w otworach masek – wszystko to, zgodne i połączone z delikatnymi dźwiękami dolatującymi z za ogromnej kotary skrywającej orkiestrę, wprowadzało go w stan hipnotycznego odrętwienia. Każda para, kobieta i mężczyzna, zbliżając się do siebie i oddalając, mierząc się wzrokiem i kusząc z gracją, tworzyła pierwszy węzeł, a wszystkie one razem układały się w skomplikowaną ruchomą tkaninę składającą się z ludzi, ich pożądania, lęku i uniesienia.

Muzyka przyspieszyła, tańczące pary zawirowały, ułożyły się w dynamiczny, symetryczny wzór, który rozpadł się natychmiast i ułożył w zupełnie inny. I znów zwolnili, posłuszni niewidzialnemu dyktatowi. Podchodzili teraz para za parą aż do samego podnóżka podwyższenia, składali pokłon królowi i królowej, po czym rozdzielali się, odchodząc na boki i w tył.

Pascal rozpoznał de Jussaca i Claire. Zbliżali się właśnie, by złożyć hołd królewskiej parze, kiedy niespodziewanie królowa powstała ze swojego miejsca. Orkiestra zamilkła i odezwał się czysty i podniosły głos rogu.

Do pary przystąpiło czterech gwardzistów, pochwycili skamieniałych tancerzy i zerwali maski z ich twarzy. Oboje pobledli. Królowa schodziła wolno po schodach, dźwigając niezgrabnie swój brzuch. Claire krzyknęła. Dwóch muszkieterów, trzymając za ramiona, wyprowadziło ją z sali.

Wszyscy goście odwrócili się plecami do rozgrywającej się sceny. Dziewczynki po lewej zapiszczały histerycznie. Chłopcy wokół Pascala jak na komendę poszli w ślady dorosłych. Tymczasem Pascal ciągle patrzył, tak samo jak król.

— Kardynale! — krzyknął rozdzierająco wicehrabia de Jussac, widząc, że duchowny wstaje ze ściągniętą grymasem twarzą i odchodzi.

Królowa podeszła do wicehrabiego, podniosła woalkę i ucałowała go w policzek.

De Jussac zbladł jeszcze bardziej, a król machnął ręką. Gwardziści schwycili wicehrabiego pod ramiona i wywlekli siłą. Królowa opuściła woalkę i sapiąc, wspięła się na podwyższenie.

Król klasnął. Zebrani odwrócili się, już uspokojeni. Orkiestra zaczęła grać,

szybko, wesolo. Po chwili wszyscy klaskali rytmicznie i śmiali się radośnie.

* * *

Pascal po zakończeniu balu wrócił biegiem do domu. Kiedy służąca odeszła, zaraz zapalił lampę i ubrał się szybko. Poczawszy nagłe znużenie, usiadł na chwilę, załkał głucho, potem otworzył kufer i wydobyl uprzaz. Wyciągnął pistolety i položyl je na stoliku. Blyszczały masą perłową i metalem. Schował broń z powrotem i starannie zapiął kabury.

Owinał kolana i łokcie ręcznikami, spiął je agrafami. Nałozyl na siebie uprzaz, dociagnął i zapiął paski, na koniec przywdział krótki kaftan.

Tak jak wcześniej nie musiał szukać Claire, tak teraz od razu wiedział, gdzie znajdzie Rolanda. Dlatego spieszył się i czuł jednocześnie strach.

Pałac był cichszy niż zwykle, jakby po balu wszyscy jego mieszkańcy, bez wyjątku, pogrążyli się w głębokim śnie. Tylko nieliczne pokrywy wpuszczaly do środka odrobinę światła. Cisza panowała tak wielka, że już z daleka Pascal usłyszał stłumione jęki Rolanda de Jussaca.

Kanał rozszerzał się w tym miejscu lejkowato. Jego ściany pokrywała pachnąca kwaśno lepka substancja. Pascal doczołgał się ostrożnie do szerokiego wylotu otwartego na ciemną komnatę. Wylot znajdował się na wysokości dwu metrów. Schodziły od niego proste drewniane schody aż do poziomu podłogi pomieszczenia. Ściany sali obite zostały kurdybanami, całymi w złocie i srebrze. Liczne lampy wydzielaly żółte światło, które ledwo rozpraszało ciemność komnaty.

Herme na samym środku pomieszczenia wieńczyła wielka głowa pszczoły. De Jussac stał poniżej, w samej koszuli wyciągniętej na spodnie, przywiązany do kamiennego słupa. Jego głowa opadła na pierś, miał przymknięte oczy i jęczał. Na koszuli czyjaś wprawna ręka wymalowała niebieską farbą piękny kwiat lilii.

Po obu stronach uwięzionego stali nieruchomi i obojętni gwardziści, sprawiający wrażenie, jakby zapadli w sen. Pascal rozejrzał się jeszcze raz po pomieszczeniu i nie dostrzegłszy nikogo więcej, cofnął się w głąb kanału. Było tu jeszcze dość światła.

Odwrócił się na bok, odsunął połe kaftana, odpiął kieszeń i wyciągnął pistolet. Odciągnął kurek, otworzył panewkę. Wydobyl z ładownicy patron i krzywiąc się, odgryzł jego koniec. Nasypał prochu na panewkę, zamknął kurek. Wsypał resztę prochu do lufy, wložyl starannie ładunek, przybił stemplem i schował ostrożnie pistolet do kieszeni. Nabił drugi. Kiedy kończył, usłyszał czyjeś kroki.

Podczołgał się ku otworowi. W sali zjawila się królowa z kolejnymi dwoma gwardzistami. Miała na sobie tylko luźną, długą suknię z lekkiego materiału. Gwardziści cofnęli się, stając pomiędzy nią a Pascalem, tak iż nie mógł widzieć dobrze tego, co się dzieje.

Królowa zdjęła suknię i naga podeszła do wicehrabiego. Pocałowała go w usta, długo, namiętnie, potem ścignęła z niego ubranie. Roland spojrział na nią nieprzytomnym, zamglonym wzrokiem. Objęła go i przycisnęła do siebie z całych sił. De Jussac krzyknął i chwilę się szarpał. Kiedy odsunęła się od niego, obwisł i znieruchomiał, zalany krwią. Królowa przywdziała suknię i podreptała w stronę

drewnianych schodów, a Pascal, oddychając szybko, cofnął się jeszcze bardziej w głąb tunelu. Słyszał ją coraz bliżej, jej sylwetka przesłoniła zarys wejścia, kiedy gramoliła się do środka, a on, bojąc się, że zostanie dostrzeżony, ostrożnie odczołgał się jeszcze kilka stóp. Tkwił w ciemności, widząc przed sobą na tle blasku z komnaty zarys postaci królowej. Zaczęła jęczeć i stękać. Pascal znów się przesunął. Odpiął ostrożnie obydwie kieszenie i wyciągnął jeden pistolet. Królowa krzyczała i stękała. Teraz podpełznął w jej stronę. Miała przymknięte oczy, twarz zalaną potem. Jej brzuch poruszał się. Kiedy chłopiec odwiódł kurek, otworzyła oczy i spojrzała mu w twarz. Jej przenikliwy wrzask wypełnił całą przestrzeń wokół. Nacisnął spust.

Kula odłupała kawał jej czaszki i odsłoniła mózg. Nie przestała krzyczeć, nagle znalazła się tuż obok niego, z wyszczerzonymi zębami, wyciągnęła rękę i złapała go za ramię, ciągnąc ku sobie. Wypalił z drugiego pistoletu, prosto w jedno z oszalałych oczu.

Przestała krzyczeć i zwolniła uchwyt. Dym przesłonił ją na chwilę. Pascal błyskawicznie schował pistolety do skórzanych kieszeni, wycofał się. Coś przed nim wciąż się poruszało. Wreszcie uwolniło się i zapiszczało przeraźliwie. Chłopiec odwrócił się i zaczął uciekać, najszybciej jak mógł, zostawiając za sobą cichnący pisk.

Wrócił do swojego pokoju zlany potem i zdyszany, z podartymi rękawami koszuli, poplamionymi krwią. Rozejrzał się po pomieszczeniu, złapał klatkę z papugą i wybiegł.

Korytarze pałacowe były jeszcze puste. Tylko stojący na warcie gwardziści podnosili głowy i odprowadzali go obojętnymi spojrzeniami. Wypadł do ogrodu, w parny upał. Słońce wznosiło się szybko nad horyzontem, wielki, bezlitosny złoty ogień.

Pascal biegł, kołysząc klatką, w której skrzeczała i machała skrzydłami papuga. Po alejkach snuli się niezmordowani ogrodnicy, pochylając się nad roślinami, grabiąc, pieląc, pracując szpadlami, popychając taczki. Chłopiec przystanął w cieniu i odpoczywał, potem znów pobiegł. Wreszcie znalazł się przy murze. Popatrzył na klatkę, zamocował ją haczykiem na pasku uprząży u swego boku i zaczął się wspinać, chwytając się występów muru i grubych pnączy. Był już wysoko, kiedy pojawił się muszkieter.

— *C'est interdit, Monsieur* — powiedział gwardzista. Pascal ruszył szybko w górę. — *C'est interdit!* — powtórzył żołnierz i ponieważ nie mógł go już dosięgnąć, również rozpoczął wspinaczkę.

Chłopiec złapał już za krawędź muru i podciągał się, by wejść na jego koronę, gdy muszkieter wyciągnął rękę, próbując go pochwycić, i w tej samej chwili runął na ziemię. Upadł jak ciężki worek i obracał się w kółko, szarpiąc ziemię palcami. Pascal, siedząc już na murze, patrzył na niego przez chwilę, a potem odwrócił wzrok.

Poza murem rozciągała się ciemnofioletowa przestrzeń. Ograniczał ją czarnozielony pas, niewyraźny za zasłoną z podnoszącej się mgły.

Chłopiec ostrożnie zsunął się z muru i stanął na miękkim, fioletowym mchu. Stąpając po nim wolno, szedł w stronę lasu. Mech wyczuwał jego obecność i płożył się jak wrażliwa sierść ogromnego zwierza. Cienkie fioletowe nitki drgały, na

przemian wydłużały się i skracały, układały przed jego stopami w sprężysty dywan. Dalej od niego strzelały elektrycznymi iskrami, jakby zwierz, po którego grzbiecie wędrował, był zirytowany.

— Nikim? — wyszeptał chłopiec, ale tym razem nikt mu nie odpowiedział. Mimo to Pascal czuł, że ciągle sprawuje nad nim opiekę pałac, jego prawdziwy ojciec, prawdziwa matka, i lękał się, rozumiejąc, że już za chwilę znajdzie się poza zasięgiem jego przemożnej obecności.

Upał zwiększał się z każdą chwilą. Mgła znikła. Trzydzieści kroków przed Pascalem wyrosła granica między mchem a lasem. Znaczyły ją obumarłe, poczerniałe pnie drzew, niektóre wciąż się tliły, rozsnuwając wokół rzadki dym. Dalej las był coraz gęstszy, zdrowszy, głębiej zmieniał się w przesłaniającą wszystko, zieloną, bujną gęstwinę.

Pascal podszedł jeszcze bliżej ku spalonym drzewom i dostrzegł między nimi zwierzęce szkielety sterczące nad dywanem mchu. Coś przed nim, pośród zielonej gęstwiny, poruszyło się. Spoza liści wychynęła chuda, podłużna twarz o barwie miedzi. Chłopiec przystanął. Indianin wysunął się z gęstwy i wyszczerzył czerwone zęby.

Z tyłu dobiegło skrzypienie metalu. Pascal odwrócił się i zauważył w murze wielkie wrota. Uchyliły się, znieruchomiały, pojawił się w nich muszkieter i biegł w jego stronę, sadząc wielkimi susami. Chłopiec poczuł przeszywający ból i spojrzał ze zdziwieniem na swój bok, w którym tkwiła strzała. Zwrócił się znów w stronę dziwnego człowieka, który nie szczerzył już zębów, ale napiął właśnie łuk i wypuścił drugą strzałę, po czym, spojrzawszy w stronę, skąd nadbiegał szybko muszkieter, zniknął za zasłoną liści.

Pascal złapał za promień drugiej strzały tkwiącej w jego piersi i zachwiał się, a potem ukląkł. Mech wokół niego drgał nerwowo, falował, jeżył się. Chłopiec otworzył wolno drzwiczki klatki i wygarnął ptaka na zewnątrz. Papuga stanęła niepewnie na mchu, rozejrzała się, podeszła z powrotem do swojego małego więzienia. Pascal złapał klatkę i odrzucił ją od siebie; upadła kawałek dalej z trzaskiem elektrycznych wyładowań. Chłopiec zacharczał i przewrócił się.

Gdy dobiegł do nich muszkieter, ptak zaskrzeczał żałośnie i odfrunął o kilka kroków. Gwardzista podniósł chłopca i trzymając go na rękach, ruszył szybko w stronę bramy.

Zarośla poruszyły się. Indianin patrzył na oddalającego się gwardzistę, aż ten zniknął za bramą. Wreszcie wejście zamknęło się ze zgrzytem metalu.

Słońce nieubłaganie wznosiło się coraz wyżej. Ptak skubnął nerwowo prostujące się wokół niego nitki mchu, coraz dłuższe.

— Pascal!

Indianin spoglądał jeszcze przez chwilę na tajemniczy mur, którego nikt z prawdziwych ludzi jeszcze nigdy nie zdołał przekroczyć, a potem ruszył w drogę powrotną.

Wojciech Orliński

STANLEMIAN

— Mam nadzieję, że wszyscy przygotowali swoje lemiany zgodnie z instrukcją? — zapytał krupier.

Odpowiedzią było wesołe chóralne potwierdzenie i szelest kilkunastu kopert wydobywanych z kieszeni turystów.

— Prawo stanu Nevada zabrania mi kontroli zawartości kopert, ale zobowiązuje, bym się upewnił, czy wszyscy klienci przygotowali koperty i prawidłowo umieścili je w białych pojemnikach.

— Ja przyniosłam siedem, mam nadzieję, że się zmieszczą? — powiedziała zażywna, rumiana kobieta z silnym południowym akcentem.

— Pojemnik ma pięć przegródek, ale spokojnie można włożyć kilka kopert do jednej. Proszę tylko się nad tym za bardzo nie zastanawiać, żeby to się jak najslabiej zapisało w pani pamięci krótkoterminowej — odpowiedział krupier, który najwyraźniej już wielokrotnie musiał to wyjaśniać.

— Pomożesz mi, facet? — zaczęła mnie siedząca obok samotna brunetka z gustownym tatuażem na policzkach. — Jeśli dobrze rozumiem, o co biega z tą pamięcią, najlepiej będzie, żeby ktoś inny schował moje lemiany.

— Przykro mi, proszę pani, ale regulamin kasyna tego zabrania — wtrącił się krupier. — Każdy musi to zrobić sam. Inaczej skąd pani będzie wiedziała, że się pani w ogóle obudziła?

— Starłam się to zrozumieć, czytając broszurę, ale ciągle nie rozumiem, o co właściwie chodzi z tymi lemianami — poskarżyła się rumiana kobieta z Południa.

— Chodzi o to, że kasyno ma dostęp do państwa pamięci krótkoterminowej, bo to wynika z samej idei wirtualnej rzeczywistości — odpowiedział krupier. — Długoterminowa jest dla nas jednak niedostępna. Dobry lemian powinien zawierać coś, co pamiętamy sprzed lat i nie widzieliśmy tego od dawna, żebyśmy po wyjściu z wirtualu mogli się upewnić, że rzeczywiście wyszliśmy z wirtualu. Dlatego musicie wybrać je i schować sami, żeby mieć pewność, że nikt nie podmienił niczego po drodze.

— Będę chyba wiedziała, czy jestem w Nowym Jorku w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym, czy w Las Vegas dzisiaj? — Kobieta nie była przekonana.

— Ale skoro potrafimy zrobić doskonałą iluzję Nowego Jorku, możemy też zrobić sztuczne Las Vegas. Będzie się pani wydawało, że to koniec symulacji, wróci pani do swojego prawdziwego pokoju hotelowego, zaloguje się do sieci, porobi jakies finansowe przelewy, a my poznamy pani hasła i piny — wyjaśnił krupier.

— O mój Boże, nie wiedziałam, że to takie ryzyko! — Kobieta z Południa robiła wrażenie naprawdę zaskoczonej.

Krupier natychmiast odpowiedział uspokajającym tonem:

— U nasnic pani nie grozi, *madame*. Nasze kasyno oferuje wirtualne usługi od

sześciu lat i jeszcze nigdy nie było skargi na naszą działalność. Ale prawodawcy w swojej nieskończonej mądrości chcą chronić klientów wszystkich kasyn, także tych mniej uczciwych...

— Mafijnych? — rzucił ktoś z przeciwnej strony.

Goście roześmieli się, niektórzy chyba trochę z przymusem. Ja się nie śmiałem. Wiedziałem, że chociaż włodarze Las Vegas bardzo chcą wytworzyć w swoich klientach przekonanie, że zorganizowana przestępczość odeszła w przeszłość razem z przesiadką z ruletki i blackjacka na hazard w rzeczywistości wirtualnej, jest to po prostu nieprawda. Samo zapotrzebowanie na moje usługi temu przeczyło.

— Mafia, proszę szanownego pana, jest przestarzała. — Krupier uśmiechnął się sztucznie. Zapewne wiele razy odpowiadał na podobne pytanie i miał przygotowaną formułkę. — W majestacie prawa będziemy państwu teraz sprzedawać za prawdziwe pieniądze wirtualne steki z wirtualnym winem, biorąc pięćdziesiąt dolarów za coś, co nawet nie istnieje. Jaka mafia mogłaby konkurować z czymś takim?

Śmiechy przy stole brzmiały teraz bardziej naturalnie.

— A skąd nazwa „lemian”? — spytał ktoś inny.

— Od nazwiska rosyjskiego inżyniera, który wymyślił to rozwiązanie — wyjaśnił krupier.

Niemalże podskoczyłem na krześle, chcąc sprostować tę brednię, ale ugryzłem się w język. W moim zawodzie człowiek powinien trzymać niski profil i dbać o to, by nie zapisać się personelowi kasyna w żadnej pamięci, ani długo-, ani krótkoterminowej.

Na szczęście w prostowaniu bredni wyręczył mnie otyły chłopaczek, po którym widać było syndrom ciężkiego uzależnienia od gier wirtualnych.

— To nie był inżynier, tylko pisarz science fiction — powiedział. — Chodzi o to, że w science fiction sytuację, w której ludzie nie wiedzą, czy wyszli z symulacji, czy nie, nazywano od dawna „phildickianem”. Rosyjski pisarz Stanley Lem rozważał to jednak w swojej powieści *Sum of Technologies* i napisał, że wirtualna rzeczywistość nigdy nie wejdzie na rynek, dopóki ten problem nie zostanie rozwiązany. Stąd nazwa „stanlemian” na taką symulację, w której niemożliwy jest „phildickian”. W skrócie „lemian”.

Gdyby to było towarzyskie spotkanie, wyśmiałbym chłopca i poprawił wszystkie jego błędy. Nie Stanley, tylko Stanisław. Nie powieść, tylko esej. Nie *Sum of Technologies*, tylko *Summa Technologiae*, przez analogię do *Summa Theologiae* Tomasza z Akwinu. I na litość boską, nie rosyjski, tylko polski.

Zachowałem te uwagi dla siebie. Westchnąłem i zwróciłem się do mojej wytatuowanej sąsiadki:

— No, no, chłopak odrobił pracę domową.

— Facet jest niezły! — ożywiła się. — Nie wiedziałam o tym rosyjskim pisarzu. To fascynujące!

Nie podjąłem rozmowy.

— Z przyjemnością tu bym dalej z państwem pokonwersował, ale chyba państwu się spieszy do Nowego Jorku gorących lat osiemdziesiątych? — spytał krupier.

Odpowiedział mu pomruk aprobaty. — Czy wszystkie lemiiany już są gotowe? Świetnie. Zapraszam teraz do obejrzenia krótkiego filmu instruktażowego, a potem całe bogactwo reaganomiki czeka na wasz szczęśliwy traf!

* * *

Rozbłysły umieszczone wokół nas ekrany. W filmie uśmiechnięci modele pokazywali, co nas teraz czeka. Mieliśmy udać się do pomieszczeń, które wyglądały jak zwykłe pokoje hotelowe. Tam, przebrani w piżamy, założymy obrączki monitorujące i wypijemy środek nasenny, dla zachowania hotelowej iluzji ukryty w lodóweczce przypominającej minibar.

Potem wejdziemy do łóżek i na trzydzieści sześć godzin zapadniemy w głęboki sen. Nie należy się go obawiać, bo nad prawidłowym przebiegiem znieczulenia czuwać będzie dyskretnie personel kasyna, w którym codziennie dyżuruje dwóch wysoce wykwalifikowanych anestezjologów.

Dopóki będziemy zachowywali świadomość, wolno nam w każdej chwili użyć przycisku alarmowego przy łóżku. To zatrzyma naszą podróż w wirtualny świat, niestety – informował aktor w filmie instruktażowym – w tym momencie nie ma już mowy o zwrocie opłaty.

Film nie wchodził zbyt w detale dotyczące tego, co się będzie potem z nami działo. Pokazywał tylko, jak uśmiechnięty personel przekłada nieprzytomne ciało z łóżka hotelowego na szpitalne i transportuje je korytarzem do drzwi z napisem „Wstęp tylko dla upoważnionych”.

Potem oglądaliśmy kolejny zwiastun tutejszego wirtualnego programu *New York, New York*, w którym migawki z symulacji zmontowano razem z wiązką klasycznych filmów o latach osiemdziesiątych. Maklerzy w czerwonych szelkach, twardzi gliniarze w jeszcze twardszych fordach crown victoria, punkowcy na koncercie w CBGB, intelektualiści stylizowani na Woody’ego Allena, prostytutki zaczepiające przechodniów na Times Square.

Film nie pokazywał tego, co w tym czasie będzie się działo z naszymi ciałami. Ja to mniej więcej wiedziałem, wiedziałem więc, że z tego nie da się zmontować reklamowego filmiku.

Wszyscy, wykupując usługę, podpisaliśmy zgodę na „nanointerwencję parasynaptyczną”, która wyglądała równie nieapetycznie, jak się nazywała. Obsługa wbije nam kilkadziesiąt igieł w plecy wzdłuż kręgosłupa. Będziemy leżeć w funkcjonalnym odpowiedniku oddziału intensywnej terapii, gdzie wydalane przez nasze ciała kał, mocz, ślina i sperma (seks w wirtualu skutkuje wytryskiem w realu) zostaną zebrane przez pielęgniarki. W sumie: naprawdę nic, co człowiek chciałby oglądać.

Wszystkich bardziej interesował najważniejszy instruktaż, zachowany na koniec filmiku: co zrobić, żeby pieniądze zarobione w wirtualnym Nowym Jorku zabrać do rzeczywistego świata. Otóż w postaci gotówki muszą nam one towarzyszyć, gdy będziemy opuszczali wirtual w naszych pokojach hotelowych. Jeśli nie dotrzemy tam na czas i opuścimy symulację w trybie awaryjnym – pieniądze przepadną. Jeśli

nie będziemy ich mieć przy sobie – stracimy je także.

Film podkreślił to bardzo wyraźnie, pokazując różne warianty sytuacji, w której animowany ludzik z workiem ze znaczkiem \$ gubił na różne sposoby ten worek albo drogę do hotelu – i pieniądze zostawały w wirtualnym świecie. Tylko ludzik, który z uśmiechem słodko zasnął w rysunkowym łóżeczku, tuląc się do swojego worka z dolarami, odbierał je potem w kasie już po realnej stronie. Upewniwszy się najpierw za pomocą lemiana, czy rzeczywiście jest realna.

To nie był mój pierwszy raz, śledziłem więc wszystko bez większych emocji. W końcu po to tutaj przyjechałem: odebrać worek ze znaczkiem \$, zostawiony w wirtualnym Nowym Jorku przez innego gracza, który wygrał na Wall Street niewielką fortunę, ale całkiem słusznie bał się z nią sam wracać do hotelu.

Nawet w prawdziwym Nowym Jorku spacerowanie z milionem dwustu tysiącami dolarów w gotówce nie było rzeczą rozsądną. A w Nowym Jorku wirtualnym, gdzie każdy gracz zgodnie z regułami gry może przedziurawić innego gracza serią z kałasznikowa, żeby w kasie podjąć jego wygraną – nie było to zadanie dla amatora.

Mądry amator postępował więc tak, jak mój obecny zleceniodawca: zostawiał gotówkę w sejfie, a zadanie jej wydobywania ze świata wirtualnego zlecał zawodowemu graczowi. Na przykład mnie.

Udałem się razem z innymi do przejściowej sekcji kasyna, gdzie zostaliśmy rozdzieleni. Każdy z nas trafił do pokoju będącego makietą tego, w którym obudzimy się w wirtualnym świecie, żeby oszczędzić nam szoku przy przebudzeniu. Wykonałem wszystkie rutynowe czynności, wskoczyłem do łóżka i zamknąłem oczy.

* * *

Wirtualny Nowy Jork powitał mnie o siódmej rano czasu symulacji. W latach osiemdziesiątych za szczyt wyrafinowania uważano radiodbiornik z budzikiem. Didżej nowojorskiej stacji WPLJ zapowiedział najświeższy hit z nowej płyty Dire Straits. „On chce mieć swoją MTV i ja też chcę ją wreszcie mieć” – spiker w radiodbiorniku wszedł na chórek Stinga. „W przyszłym tygodniu przychodzi monter podłączać mi telewizję kablową, opowiem wam wtedy, co tam widziałem. A może wy już macie kablówkę albo telewizję satelitarną? Dzwońcie, by się pochwalić!”.

Uśmiechnąłem się; ludzie przygotowujący do tej symulacji wirtualne audycje radiowe musieli mieć sporo zabawy. Wstałem z łóżka i wykonałem kilka skłonów i przysiadów, nie dla zdrowia – ciało awatara było przecież jednorazowe – po prostu żeby wykalibrować koordynację i lepiej poczuć każdy wirtualny mięsień. Może się przydać.

To nie był mój pierwszy raz, ale nigdy jeszcze nie dostałem zlecenia na taką sumę. Mój klient, Michael T. Hicks, dwudziestoosmioletni inżynier z Krzemowej Doliny, wybrał się do Las Vegas ze swoją dziewczyną na gorący weekend w wirtualu. To był ich pierwszy raz, oboje więc pojechali na lunch do słynnej restauracji Windows of The World na sto siódmym piętrze północnej wieży World Trade Center. Od dwunastego września 2001 roku zarezerwowanie tam stolika w realu,

cóż, graniczy z niemożliwością, restauracja jest więc żelaznym punktem w programie zajęć każdego wirtualnego nowicjusza.

To bardzo odpowiada kasynu, bo albo w samej restauracji – aranżując klasyczny scenariusz „rozmowy podsłuchanej przy sąsiednim stoliku” – albo zaraz po wyjściu z niej gracza atakują enpece, namawiające do wejścia w jakiś interes. To przecież lata osiemdziesiąte! Na Wall Street wystarczy rzucić wirtualnym zdechłym kotem, żeby trafić w japiszona z błyskawicznie rozkwitającej spółki giełdowej! Z tego też mogą być pieniądze w realu...

Znakomita większość nowicjuszy oczywiście traci na swoich inwestycjach. Nawet na prawdziwej Wall Street tak to wyglądało – akcja gry umieszczona jest dwa lata przed giełdowym krachem z roku 1987. A co dopiero w wirtualnej grze specjalnie obmyślonej pod kątem hazardu.

Hicks o tym wiedział, ale dla faceta z Doliny Krzemowej pokusa zainwestowania w firmę chcącą dopiero wprowadzić na rynek nowy rodzaj komputera osobistego („*lap top*, rozumie pan – komputer, który spoczywa na kolanach użytkownika jak tancerka w *lap dance!*”) była nie do odparcia. Zainwestował więc w „nową” w wirtualu spółkę okrągłe sto tysięcy i na jego szczęście akurat wtedy giełdowi aferzyści, też znajdujący się w symulacji, rozhuścili jej kurs. W ciągu jednego dnia zyskał na swoich akcjach kilkunastokrotne przebicie.

Jako rozsądny młody człowiek nie zabrał tej sumy do hotelu. Wynajął w World Trade Center pomieszczenie biurowe z sejfem skutecznym, czyli takim, którego otwarcie bez znajomości szyfru jest w świecie wirtualnym niemożliwe, bo zabezpieczenie wpisane zostało w sam silnik gry.

Wziął tylko sto tysięcy, które wraz ze swoją narzeczoną przepuścił w ciągu upojnej nocy, jaka nastąpiła potem. Nie muszę dodawać, że streszczając mi tę opowieść, Hicks przewracał oczami i teatralnie wzdychał, tak jakby mnie w ogóle obchodziło to, jak się zabawiał ze swoją dziewczyną.

W świetle późniejszych wydarzeń okazało się zresztą, że powinno mnie to być zainteresować. Ale ja myślałem tylko o pieniądzach w sejfie. Hicks przekazał mi szyfr, podpisaliśmy standardową umowę o mojej ograniczonej odpowiedzialności i prowizji zależnej od sukcesu misji, i wyruszyłem do kasyna, by podjąć jego fortunę.

Do wirtualnego Nowego Jorku wchodziło się i wychodziło przez jeden z trzech hoteli umieszczonych w Midtown. To sprytny wybieg, bo fortunę można było w latach osiemdziesiątych zarobić na dwóch krańcach wyspy, opanowanych przez dwa różne typy gangsterów. Symbolem jednego z nich był Kelvin Martin, znany pod pseudonimem „50 Cent”, bo słynął z tego, że gotów był zabić człowieka dla zrabowania nawet takiej sumy. Symbolem drugiego – Michael Milken, król „obligacji śmieciowych”. Obaj karierę zakończą w roku 1987: Kelvin Martin dostanie dwadzieścia trzy kule, Michael Milken dziewięćdziesiąt osiem zarzutów od komisji papierów wartościowych.

Na północy Manhattanu, między Harlemem a Washington Heights, majątek zbijało się na handlu crackiem, nieoczyszczoną kokainą. A jeszcze więcej na zabijaniu handlujących crackiem. Z kolei na południu Manhattanu, między World

Trade Center a Wall Street, fortunę robiło się na biznesowych pomysłach podkręcanych oczyszczoną kokainą. A jeszcze więcej na naiwniakach, którzy inwestowali w to własne pieniądze.

To było w wirtualnym Nowym Jorku proste. Trudno tylko dowieźć potem tę fortunę do hotelu w Midtown, bo długa przejażdżka Broadwayem czy którąś z wytyczonych przy liniije alei stanowiła wymarzoną okazję dla innych amatorów naszej gotówki. Czy ktoś tę trasę pokonywał metrem, pieszo czy choćby i opancerzonym lincolnem, dawał innym graczom – i agentom kasyna – parę godzin na rabunek.

* * *

Na dole w hotelowym lobby znajdowało się okienko Hertza. Szybko załatwiłem formalności i odebrałem kluczyki do mojego ulubionego symulowanego samochodu. Mercury Grand Marquis rocznik 1985 – w realu w życiu bym nie chciał czymś takim jeździć, pięciolitrowy silnik V8 ledwie dawał radę rozpedzić tę krowę. Na zakrętach musiałeś zwalniać do zera, bo ten kloc miał sterowność obładowanego tankowca.

Tym więcej radości sprawiała mi podróż po prostych jak drut i niespecjalnie zakorkowanych alejach północ-południe (wirtualny Nowy Jork miał populację poniżej miliona enpeców) oraz słuchanie jedyne w swoim rodzaju warkotu staroświeckiego silnika. Nawet wrzucanie wstecznego prymitywną wajchą przy kierownicy miało w sobie coś z dziecinnej zabawy.

Wyjechałem z hotelowego parkingu i skręciłem w Madison Avenue. Zamiast pojechać od razu do World Trade Center, skierowałem się w przeciwną stronę. To była podstawowa wpadka amatorów: podejmowali gotówkę bez odpowiedniego przygotowania. Wtedy oczywiście odbierał im ją ktoś, kto się przygotował.

Na skrzyżowaniu z wschodnią pięćdziesiątą ósmą minąłem znaki uprzedzające kierowców o zamknięciu mostu Queensboro z powodu remontu. Symulacja obejmowała tylko Manhattan, a i to zresztą niepełny, zwiedzanie niektórych dzielnic ciągle uniemożliwiałały przeszkody rozmieszczone przez projektantów wirtualu: a to blokująca jezdnię ciężarówka, a to policjanci rzekomo pilnujący miejsca zbrodni, czasem zaś pospolite „niewidzialne ściany”, jak w staroświeckich grach komputerowych.

Nie przeszkadzało mi to. Ja nie miałem czasu nawet odwiedzić wirtualnego Central Parku, który właśnie mijałem; kasyno z wielką pompą ogłosiło jego otwarcie – zanim jednak projektantom udało się tytaniczna praca odtworzenia go co do ostatniego krzaczka, wszystkie wejścia pozostawały zamknięte pod oficjalnym pretekstem „Imprezy tylko dla posiadaczy biletów”.

Takich graczy jak ja interesowało co innego: wertowaliśmy kroniki kryminalne w nowojorskich gazetach z lat osiemdziesiątych, szukając wiadomości o paserach, pokątnych handlarzach bronią, hurtownikach cracku i heroiny, gangach etnicznych. Wiedzieliśmy, że te same kroniki studiują projektanci gry, więc kryminologia rzeczywistego Nowego Jorku nieźle się sprawdzała jako poradnik gracza.

Madison wpadła w sto szesnastą ulicę. Skręciłem w prawo. Byłem już w Harlemie, w dodatku nawet nie tym ładnym i cywilizowanym, tylko w tej jego części, gdzie nawet w dwudziestym pierwszym wieku można się poczuć nieswojo, w cieniu wiaduktów i estakad, wśród garaży i baraków, w których działają jakieś ni to pokątne warsztaciki, ni to gangsterskie meliny.

Zacieniony estakadą linii kolejowej Metro North warsztat z szyldem „Carlos Fernandez, tire repairs” stanowił w grze sekret, o którym na razie wiedział mało kto poza mną. Prawdziwy Fernandez wpadnie w roku 1988 podczas policyjnej prowokacji i będzie świadkiem koronnym, dzięki któremu rozbity zostanie dominikański gang Wild Cowboys, terroryzujący tę okolicę podczas epidemii cracku w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych.

Tymczasem warsztat funkcjonował jako przykrywka dla tak zwanej dziupli. Właściciel przechowywał różne pakunki, nie zadając zbędnych pytań o ich zawartość. Tego akurat potrzebowałem.

Zajechałem na poplamiony podjazd i wysiadłem. Fernandez siedział w kantorku. Cały wystrój warsztatu miał służyć temu, żeby ewentualny przypadkowy klient, szukający nowych opon, pojechał jednak gdzie indziej.

— Przykro mi, ale dzisiaj nieczynne. Czekam na współnika — przywitał mnie, gdy tylko stanąłem w drzwiach.

— Przychodzę od pana Marqueza — odpowiedziałem. Wiedziałem, że takiego hasła używali wysłannicy z Medelin. Byłem w tym warsztacie już czwarty raz, oczywiście za każdym razem jako inny awatar, więc Fernandez nie mógł mnie zapamiętać, ale ja zdążyłem go już bliżej poznać.

— Och, przepraszam — zareagował z tą samą bojaźliwą unizonością co zwykle. — Dla stałych klientów oczywiście zawsze jest czynne.

— Nie pieprz, tylko zabierz mnie do kanału — warknąłem. Poskutkowało. Wulkanizator zerwał się z krzesła i ruszył na zaplecze. Poszedłem za nim.

Kiedyś mieli tu drugi, większy warsztat z dwoma kanałami. Teraz oba przykrywały deski, na których dla pewności poukładano stopy opon. Wulkanizator spojrzał na mnie pytająco. Wskazałem ręką ten po lewej. Gnąc się w ukłonach, Fernandez zdjął z niego opony, a potem pospiesznie odsunął deski i ukazały się schodki prowadzące w czeluść.

Na dnie stało pięć wojskowych skrzyń, każda zamykana na klucz. Wulkanizator spojrzał na mnie pytająco, nie rozumiejąc, dlaczego nie schodzę do skrytki.

— Ty masz mój klucz — odparłem. — W szafce ze zdjęciem papieża.

— Ach tak, bardzo przepraszam. Zapomniałem!

W poprzednich awatarach zawsze zostawiałem Fernandezowi spory napiwek za to, że przechowywał nie tylko moją skrzynię, ale i klucz. To było konieczne, przecież nie mogłem go zabierać ze sobą do realu.

Wulkanizator wrócił. Odczekałem chwilę w milczeniu, aż sam zrozumie, że powinien wyjść, wreszcie zszedłem na dno kanału, by odebrać przesyłkę, którą jeden mój awatar wysyłał w ten sposób do drugiego.

Kwadrans później jechałem już Park Avenue na południe. Na fotelu pasażera trzymałem neseser z podstawowymi akcesoriami potrzebnymi mi w pracy. W bagażniku metalicznie pobrzękiwało cięższe uzbrojenie na wypadek większej jatki. Te przejazdy z jednego końca Manhattanu na drugi były dla mnie jedyną okazją do napawania się ogromem pracy, jaki projektanci gry włożyli w stworzenie wirtualnego miasta.

Wprawdzie większość wieżowców, które mijalem, pozostawała tylko dekoracją – nawet gdybym znalazł wejście, z tej lub innej przyczyny okazałoby się nie do sforsowania – ale i tak widać było, że ktoś musiał to wszystko odwzorować pracowicie ze starych zdjęć i filmów, cegielka po cegielce. Minąłem dworzec Grand Central – można było wejść do środka, ale oczywiście wszystkie pociągi tego dnia odwołano – minąłem oryginalny, trójkątny Flatiron Building i już wkrótce w perspektywie Broadwayu pojawiły się wieże World Trade Center.

To były piękne czasy, kiedy terrorizm wciąż zagrażał jakimś innym, dalekim krajom. Nie Ameryce. Osama ben Laden jeszcze ciągle pozostawał naszym cennym sojusznikiem w zwalczaniu Ruskich w Afganistanie, Tima McVeigha prześladowali rówieśnicy w liceum, a Pan Am wciąż oferował połączenie Flight 103 między Heathrow a JFK z trasą biegnącą nad szkockim Lockerbie. Przy wjeździe na podziemny parking World Trade Center nie stały więc żadne kontrole, by sprawdzić, czy nie jestem przypadkiem niebezpiecznym osobnikiem wiozącym w bagażniku granatnik i karabin AKM-74.

Całe szczęście, bo akurat byłem.

Pobrałem kwitek i zaparkowałem w podziemiu. Zgodnie z instrukcjami od mojego klienta miałem wjechać na szesnaste piętro, do wynajętego przez niego pokoju biurowego z sejfem. Symulacja World Trade Center nie odtwarzała oczywiście wszystkich instytucji działających tu w 1985 roku, nie miałyby to sensu choćby dlatego, że ten wirtualny „world” ograniczał się tylko do Manhattanu. WTC, choć okrojone, pozostawało jednak do dyspozycji graczy, ściągających tutaj masowo z powodów turystycznych. Za prawdziwe pieniądze mogli wynająć tu nawet wirtualną przestrzeń biurową wyposażoną w sejf skuteczny... Fizyka świata gry nie pozwalała dostać się do jego zawartości żadną siłą możliwą do uzyskania w ramach tego świata – gdyby w te wirtualne wieże wbiły się kierowane przez szaleńców samoloty, wszystko by się zawaliło tak jak w realu, ale wśród gruzów pozostałyby tysiące sejfów skutecznych z niedrażnionymi nawet ściankami.

Mój klient wynajął dość tanie biuro na trzydziestym piętrze, bez okna, za to tuż obok lobby z windami ekspresowymi i lokalnymi. W prawdziwym WTC windy przeważnie jeździły zatłoczone, ale w symulowanym Nowym Jorku łatwiej było o windę pustą, dobre miejsce parkingowe i stolik w restauracji. Projektanci gry celowo nie wyprodukowali aż tylu enpeców, którzy odtworzyliby realne warunki na przeludnionej wyspie.

Wjechałem więc na stosowne piętro sam, mając przestronną windę do własnej

dyspozycji. Zgodnie z wyuczonymi na pamięć wskazówkami Hicksa poszedłem do pokoju 3013. Wpisałem kod na cyfrowym zamku, w środku zapaliłem światło. W pokoju pozbawionym okien jedynymi meblami były biurko z aparatem telefonicznym, obrotowe krzesło i stojący w kącie sejf skuteczny. Otwierany staroświeckimi pokrętkami, zapewne po to, żeby gracz miał trochę więcej zabawy. Przyznam: mnie to też bawiło.

Otworzyłem sejf i zacząłem metodycznie przekładać paczki z franklinami do marynarskiego worka, który miałem przygotowany w neseserze. Za moimi plecami zabrzmiał nagle głos:

— Ręce do góry i nie próbuj żadnych sztuczek!

* * *

Ty durniu, dlaczego stanąłeś plecami do drzwi?, pomyślałem w pierwszym odruchu, spokojnie podnosząc ręce. Głos wydawał mi się dziwnie znajomy, ale nie mogłem sobie przypomnieć, do kogo należał. Najprawdopodobniej do jakiegoś amatora, bo w wirtualnej rzeczywistości obowiązuje zasada, żeby strzelać w plecy, a nie bawić się w „ręce do góry”. Przecież tutaj „zabity” i tak ocknie się za chwilę w realnym Las Vegas, nie ma więc nawet większych podstaw do wyrzutów sumienia.

Uznałem, że to moja jedyna szansa.

— W porządku, szefie, robię, co mi każesz — zawołałem. — A teraz ostrożnie wstanę, bo mi cholernie niewygodnie tak w kucki.

Ostrożnie wyprostowałem się z uniesionymi rękami. Wtedy rozległ się drugi głos, żeński.

— Facet, lepiej go stuknijmy od razu — powiedziała kobieta, którą natychmiast rozpoznałem: to ona prosiła mnie w kasynie o zapakowanie jej lemianów do koperty. Zatem tak naprawdę nie chciała mnie o nic prosić, tylko zapewne komuś pokazać. Innemu graczowi? Bez sensu. A więc...

No tak, krupier. Nie wolno im grać, ale ten, jak rozumiem, skusił się na wygraną Hicksa. Straci pracę, liczy jednak na to, że kobieta odpali mu jakąś działkę. Ale po co jej wspólnik?

Nagle doznałem olśnienia: Hicks wspominał, że do wirtualnego Nowego Jorku wybrał się z narzeczoną. Zapewne miałem właśnie przyjemność mieć jej awatara za plecami. Wiedziała, że jestem zawodowcem wynajętym przez Hicksa i miała dość rozumu, by nie atakować mnie w pojedynkę. Nie знаła szyfru do sejfu, musiała więc poczekać, aż ktoś go jej otworzy.

— Wygraliście, forsa jest wasza — odpowiedziałem pogodnym tonem. — Teraz powinienem rzucić worek w waszą stronę.

— Dobra, dobra, koleś, nie kombinuj — warknął krupier. — Sam wezmę.

— Wiecie, że robię to zawodowo, więc przyjmijcie poradę fachowca. Podchodząc do mnie, narażacie się na niepotrzebne ryzyko. Wiecie, że ciągle ćwiczę wirtualne walki, więc na krótki dystans mogę być niebezpieczny. W takiej sytuacji trzyma się faceta na muszce i każe mu rzucić pieniądze.

Blefowałem. Jako fachowiec doradziłbym im, żeby po pierwsze, po drugie i po

trzenie – zabili mnie. W wirtualu, owszem, istnieje policja, ale jeśli zabijasz tu kogoś bez świadków, spokojnie możesz pozostać bezkarny przez następne dwadzieścia cztery godziny. W realu jest zresztą podobnie.

— Wygraliście, szanuję to, pieniądze wam się należą — dodałem ostrożnie. — Hicks i tak już mi zapłacił, przypadnie mi tylko prowizja, no trudno, zdarza się w moim zawodzie. To ja się teraz powolutku obracam w waszą stronę, a wy mnie trzymajcie na muszce, okej?

— Dobra, facet, tylko pamiętaj: pilnujemy cię, więc żadnych sztuczek — usłyszałem kobietę. A więc to ona rządziła w tym związku.

Powolutku obróciłem się i spojrzałem na rabusiów. Celowali we mnie z trzech identycznych pistoletów M9 Beretta, narzeczona Hicksa trzymała aż dwa. To absurdalny błąd amatorów, którzy z pistoletami stykają się głównie w popkulturze. Z dwóch koltów to mógł strzelać Wyatt Earp, bo dziewiętnastowieczne rewolwery miały duży czas przeładowania. Beretta zapewnia przyzwoite czterdzieści strzałów na minutę, więc bardziej się opłaca skupić na dobrym celowaniu egzemplarzem, który trzymamy w silniejszej ręce, niż bawić się w choreografię walki *à la* John Woo.

Wzięli sobie awatary jak z karykatury lat osiemdziesiątych. On był odzianym w garnitur przystojniakiem w stylu wczesnego Toma Cruise'a, ona czupiradłem w typie Cindy Lauper. Pasowali do siebie.

— Rzuć forszę! — zawołała Cindy.

— Okej, robię to powoli i ostrożnie — powiedziałem, wciąż zastanawiając się, czy zamierzają mnie jednak zastrzelić. — Gratuluję wam sukcesu, podeszliście mnie naprawdę zawodowo. Odpalicie mi jednego franklina, żebym się chociaż zabawił w Nowym Jorku? Taki jest zwyczaj wśród zawodowców...

Widziałem, że Cindy Lauper już się zbiera do odmowy, ale Tom Cruise poczuł zew ambicji.

— Tylko bez sztuczek — uprzedził mnie poważnym tonem. — Rzuć worek w naszą stronę, jeśli wszystko jest okej, odpalimy ci stówę. Stać nas, prawda, kochanie?

Dziewczyna odpowiedziała wymuszonym uśmiechem. Tak naprawdę nie zależało mi na tych stu dolarach, chciałem się przede wszystkim upewnić, czy muszę walczyć o życie jakąś desperacką akcją ostatniej szansy.

Krupier zajrzał do worka i wyjął paczkę banknotów. Wielkopańskim gestem wyciągnął z niej jedną studolarówkę i włożył w szparę w drzwiach.

— Zdejmij marynarkę! — padło następne polecenie.

Cóż, krupier nie był kompletnym idiotą. Pod marynarką istotnie miałem kaburę z pistoletem. Zdjąłem ją i rzuciłem w stronę rabusiów.

— Teraz neseser — rozkazał Tom Cruise. Posłusznie rzuciłem w jego stronę czarną walizeczkę, którą zabrałem ze schowka z warsztatu Fernandez. Byłem już całkiem bezbronny. Pierwotny plan, że zabiję ich oboje, gdy będą czekać na windę, był już nieaktualny.

Cruise zarzucił sobie na ramię worek z pieniędzmi. Jego partnerka wciąż

celowała we mnie z obu pukawek.

— Dobra, facet, teraz ty tu sobie grzecznie poczekasz, aż my wsiądziemy do windy, i więcej się nie zobaczymy — powiedziała. — Baw się dobrze za tę stówę. I pozdrów tego frajera Hicksa!

To było niesmaczne. Okraść byłego narzeczonego to jedno, ale po co jeszcze do tego dokładać drobne złośliwości?

Odstąłem z podniesionymi rękami kilka sekund, słuchając oddalających się kroków złodziejskiej pary, po czym podszedłem do biurka. Podniosłem słuchawkę telefonu i wstukałem 2222, wewnątrz do ochrony.

— Ochrona? Mówi agent specjalny FBI Fox Mulder, numer odznaki JTT047101111 — powiedziałem stanowczym głosem. — Śledzę dwójkę wschodniemieckich szpiegów planujących zamach na World Trade Center. W tej chwili oboje zjeżdżają windą w wieży północnej, mają przy sobie duży worek i walizkę, są uzbrojeni i bardzo niebezpieczni. Proszę ich dyskretnie zatrzymać bez wzbudzania paniki. Za chwilę też będę na dole.

— W porządku, działamy — odpowiedział głos enpeca służbisty w słuchawce.

Ruszyłem do windy. Oczywiście gdybym powołał się na takie nazwisko agenta FBI w rozmowie z ludzkim graczem, od razu by mnie zdemaskował. Ale enpec znający serial telewizyjny, który zacznie być kręcony dopiero za siedem lat, to zły enpec. Dlatego całkiem popularne wśród graczy było nadawanie swoim awatarom nazwisk zaczerpniętych ze świata sportu lub kultury.

Zjeżdżając windą, zastanawiałem się, jak moi rabusie zareagują na zatrzymanie przez ochronę World Trade Center. Powinni się bać stawiania otwartego oporu, bo w tej grze człowiek wygrywał tylko wtedy, gdy pieniądze dotarły razem z nim do hotelowego pokoju. To oznaczało, że jeśli w grę wmiesza się na poważnie nowojorska policja — już tak czy siak przegrałeś, bo albo cię aresztują (i forsa przepada), albo zabijają podczas szarpaniny (i forsa przepada).

Spodziewałem się, że zatrzymanie przez ochronę jest scenariuszem, którego moi przeciwnicy w ogóle nie wzięli pod uwagę. A enpece z ochrony zadziałają tak, jak prawdziwi nowojorscy ochroniarze w roku 1985. To znaczy, że ich przeszukają. A jeśli tak, to nieźle wpadli.

* * *

W windzie wyjąłem z kieszeni jedyną namiastkę broni, jaka mi pozostała: fałszywą odznakę FBI w skórzanym etui i fałszywy identyfikator. Zabrali mi kaburę, ale nie przeszukali marynarki. Przypiąłem więc do niej identyfikator przedstawiający mnie jako specjalnego agenta Foxa Muldera, który w sytuacji podbramkowej dawał mi czasem kilka godzin, czasem kilka minut na działanie. Teraz też musiał wystarczyć.

Z identyfikatorem przypiętym do klapy wyszedłem z windy i stanowczym krokiem podszedłem do biurka, za którym siedziało dwóch ochroniarzy w mundurach WTC. Byli lekko podenerwowani, ale na pierwszy rzut oka wyglądali normalnie.

— Mulder — przedstawiłem się. — Dzwoniłem przed chwilą. Złapaliście ich? Gdzie są?

— Dyrektor Carsini zatrzymał ich osobiście. — Jeden z ochroniarzy zerwał się z miejsca. — Czeka na pana w sali konferencyjnej na drugim piętrze. Iść z panem?

— Nie. — Machnąłem ręką. — Najważniejsza jest w tej chwili dyskrecja. Wzorowa akcja, panowie, jak widzę, nie wywołała paniki. O to chodziło!

Rzeczywiście, nic w przeszklonym lobby nie zdradzało objawów jakiegokolwiek poruszenia; enpece symulujące pracowników, klientów i turystów dalej wchodziły, schodziły, wychodziły, wchodziły czy paliły papierosy w wyznaczonych miejscach. World Trade Center zatrudniał naprawdę świetnych ochroniarzy, również w realnym świecie. Gdyby nie to, 11 września w tej śmiertelnej pułapce wydarzyłby się dobrą dekadę wcześniej.

Wjechałem ruchomymi schodami na drugie piętro i szybko odnalazłem salę konferencyjną.

Napastnicy stali z rękami na ścianie. Na stole leżały worek, mój neseser i ich torba. Widać było, że Carsini sprawdził zawartość. Szef ochrony WTC przysiadł na biurku, trzymając na oku i podejrzaną parę, i drzwi.

— Agencie Mulder, to chyba oni — powiedział, nie czekając, aż się przedstawię.

— Gratulacje, dyrektorze Carsini — odparłem. — Prawdziwie profesjonalna akcja.

Słyszając mój głos, napastnicy zaczęli się przekrzykiwać. „Mulder to fałszywe nazwisko z serialu telewizyjnego! To nie jest żaden agent, tylko bandyta!”. Nie rozumieli psychologii amerykańskiego agenta bezpieczeństwa czasów zimnej wojny. Dla niego ktoś, kto wykrzykuje niezrozumiałe słowa w dziwnym języku angielskim, potwierdza tylko swój status wschodniego szpiega.

— ZAMKNAĆ SIĘ — warknął Carsini takim tonem, że sam bym się zamknął, gdybym akurat coś mówił.

— Czy zawiadomił pan władze? Policję, FBI, Port Authority? — spytałem.

— Nie. Nie wiem, o co tu chodzi, więc uznałem, że lepiej poczekać na pańskie instrukcje — odparł Carsini.

Kiwnąłem głową z aprobatą.

— Powiem panu, o co tu chodzi — odpowiedziałem i otworzyłem szerzej worek.

— Tu jest półtora miliona, które oni mieli przekazać w tym budynku Palestyńczykom planującym zamach z wykorzystaniem samochodu-pułapki w podziemnym garażu. Zobaczyli, że są śledzeni, więc próbowali uciec...

— To nieprawda! On kłamie! — zaczęli się przekrzykiwać.

— Zamknąć się! — powtórzył Carsini.

Sytuacja coraz bardziej mnie bawiła. Ciekawe, jak oni chcieli to wytłumaczyć. Powiedz uzbrojonemu enpecowi w mundurze, że teraz wcale nie jest rok 1985, World Trade Center zostało już dawno zburzone, na jego miejscu postawiono nowe wieżowce i w ogóle wszystko dookoła to fikcja wirtualnej rzeczywistości, a na pewno nie dotrzesz na czas do pokoju hotelowego. Na takie tematy dawało się w tej grze pogadać jedynie z narkomanami w Lower East Side.

— Proszę spojrzeć na to — powiedziałem do Carsiniego, biorąc moją kaburę z

torby rabusiów. Wyjąłem z niej pistolet. — PB 6P9, Pistolyet Besshumnyi — oznajmiłem, ukrywając, że w rzeczywistości nie mówię po rosyjsku z tak silnym akcentem. — Modyfikacja standardowego rosyjskiego wojskowego P9 Makarov, używana wyłącznie przez KGB i ich służby specjalne. Fabrycznie wyposażony w tłumik, proszę zobaczyć, jak zgrabnie to rozwiązali.

Dokręciłem tłumik. Krupier chyba odgadł moje intencje, bo zaczął wołać: „Niech pan uważa! Niech pan uważa!”.

— Ręce świerzbią, żeby takiemu terroryście przyładować — parsknął do mnie Carsini. — Ale cóż, to wolny kraj, każdy jest tu niewinny, póki nie udowodni mu się zbrodni.

— To się niedługo zmieni — uśmiechnąłem się, repetując 6P9.

Carsini nie zdążył się zdziwić. Gdy dziewięćmilimetrowa kula rozpryskowa ugrzęzła w jego czaszce, wciąż miał jeszcze na twarzy porozumiewawczy uśmieszek. Wiarołomna narzeczona mojego klienta zdążyła pisnąć — wydała z siebie jedno krótkie „aaa!”, którego wysoki ton jeszcze umocnił skojarzenie z Cindy Lauper.

Jej ciało osunęło się na podłogę. Z zadowoleniem stwierdziłem, że ta kula też utkwiała w czaszce. Nie było krwawej plamy na ścianie. Używałem węgierskich pocisków rozpryskowych, które kupiłem kiedyś na podziemnym parkingu gmachu ONZ, na czarnym rynku, który rozkwitał tu w latach osiemdziesiątych pod osłoną eksterytorialności. Gdyby kula przeszła przez cienką gipsową ścianę, mógłbym kogoś zaalarmować. A tak — wszystko odbyło się dyskretnie.

— Zostaliśmy sami — powiedziałem do krupiera, który wciąż stał z rękami w górze, oparty o ścianę. Dygotał ze zdenerwowania. — Odwróć się — poleciłem. — Możesz opuścić ręce, mam cię na muszce.

Wykonał polecenie.

— Gratulacje — próbował się uśmiechnąć. — Jednak wygrałeś. Prawdziwy zawodowiec! Oddasz mi teraz tę stówę?

Pokręciłem głową.

— Zanim przejdziemy do tego, chciałbym cię nauczyć dwóch rzeczy. Po pierwsze, nie jesteś zawodowcem, bo grasz niezgodnie z regułami. Jesteś krupierem. Masz gościom pomagać wejść w świat gry, a nie zastawiać na nich pułapki razem z jakimiś niewiernymi pindami. Zrobiłeś coś bardzo głupiego i poniesiesz konsekwencje, po przebudzeniu będziesz musiał opuścić Las Vegas, bo tutaj wszędzie znajdziesz się na czarnej liście. I słusznie, w tym mieście i tak jest za dużo cwaniaków takich jak ty.

Krupier — właściwie już były krupier — nie odpowiedział. Przełknął ślinę i odezwał się po dłuższej przerwie:

— A druga rzecz? — spytał chrapliwie.

— Jestem Polakiem — odpowiedziałem. — Mój naród wniósł parę rzeczy do światowej cywilizacji. Nie jest tego dużo: kawa ze śmietanką, system heliocentryczny, chromatografia. Dlatego wkurza mnie, kiedy ktoś nam chce zabrać jeszcze więcej i nazywa Lema Rosjaninem. Ten facet w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku rozważał w swoim eseju to, jak będzie wyglądać rzeczywistość wirtualna. IBM wtedy produkował komputery wielkości dużej szafy z

ośmioma megabajtami RAM. Lemowi należy się trochę szacunku za to, co wtedy osiągnął, nie uważasz?

— Tak, naturalnie, przepraszam! — gorliwie zgodził się chłopak.

— Powtórz za mną. „Stanisław Lem”.

— Stanislau Lem...

— Nie „Stanislau”. Sta-ni-sław — przesyłabizowałem z naciskiem.

— Stanislav Lem...

— Niech ci będzie. „...był polskim pisarzem science fiction, który w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym rozważał rzeczywistość wirtualną”.

— „Stanislav Lem był polskim pisarzem science fiction, który w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym rozważał rzeczywistość wirtualną” — wyrecytował chłopak.

— Cieszę się. Mam nadzieję, że zapamiętasz to do końca życia. — Uśmiechnąłem się i pociągnąłem za spust.

* * *

W neseserze była peruka z fryzurą *à la* Sid Vicious i koszulka The Ramones. Błyskawicznie zmieniłem wygląd i zjechałem windą bezpośrednio do garażu, żeby nie spotkać ochroniarzy przy głównym wejściu. Zamknąłem salę na klucz znaleziony w kieszeni Carsiniego.

Zakładałem, że minie jakieś pół godziny, zanim ktoś wejdzie do tej sali i zaalarmuje władze. Za trzy–cztery godziny policja sporządzi mój portret pamięciowy. Będą go rozsyłać telefaksem po nowojorskich hotelach, ale w roku 1985 to była stosunkowo nowatorska technika, transmisja trwała więc bardzo długo, a obraz był średnio czytelny. Do pracy zaś wybierałem zawsze awatar – koszmar policyjnego grafika: wzrost przeciętny, twarz przeciętna, ubrany w szary garnitur, z włosami zaczesanymi w nieciekawy przedziałek.

W dodatku w WTC miałem na twarzy nieoptyczne okulary z grubą ramką, zmieniające owal twarzy; ryzyko, że na podstawie takiego portretu rozpoznają mnie enpece w hotelowej recepcji, było żadne. W realnym Nowym Jorku 1985 roku tego typu złoczyńca miałyby co najmniej kilka dni spokoju. Ja musiałem dotrwać tylko do ósmej rano w swoim hotelowym pokoju.

Czekała mnie znowu długa jazda Broadwayem aż na Upper West Side i Washington Heights. *Señor* Fernandez bardzo uprzejmie mnie przywitał i pozwolił złożyć niezbędne akcesoria do schowka, po czym znowu ukrył klucz w szafce ze zdjęciem papieża. Pozostało mi już tylko wrócić do hotelu i zarwać noc na oglądaniu telewizji. Jak zwykle po udanej akcji.

Po przebudzeniu już w realnym Las Vegas krupier, którego nie znałem, wręczył mi stos żetonów. Ja w rewanżu odpaliłem mu suty napiwek. Inni goście witali to oklaskami. Nie było już wśród nich byłej narzeczonej Hicksa.

Od dziecka dręczył mnie strach, że mógłbym się znaleźć w phildickianie, więc bardziej niż wygraną interesowałem się swoim lemianem. Rozerwałem wreszcie kopertę i wyjąłem zawartość.

Spoglądał na mnie Mikołaj Kopernik, a widniejący obok napis zapewniał, że BILETY NARODOWEGO BANKU POLSKIEGO SĄ PRAWNYM ŚRODKIEM PŁATNICZYM W POLSCE. Stare komunistyczne banknoty, które straciły ważność na przełomie stuleci. Nigdy nie zapomnę, jak wyglądały pierwsze pieniądze, które zarobiłem w życiu.

Ponad wszelką wątpliwość byłem w realu.

Rafał Kosik

TELEFON

Przerwali program i powtarzali w kółko nagranie zrobione chyba komórką: samolot zniża się nad lasem, chwilę sunie skrzydłami po wierzchołkach drzew i wygląda to, jakby tak miało być, jakby miał miękko osiąść na tych drzewach. Przypomina papierowy samolocik zrobiony przez całkiem zdolnego dzieciaka, taki dobrze wyważony, który wolno szybuje nad kanapą, stołem i miękko ląduje na puszystym dywanie przed telewizorem. Jednak samolot pasażerski waży ponad trzydzieści ton. Po kilku sekundach zieleń pochłania kadłub, ale wydaje się, że mimo wszystko udało się, że zapadł w wielki dywan, a pasażerowie odepną pasy i zjadą po nadmuchiwanym zjeżdżalniach jak na niedzielnym festynie przed centrum handlowym. Wtedy sto, może dwieście metrów dalej pojawia się kula ognia i dymu.

Kinga zerkała na ekran małego telewizorka w kuchni, przygotowując mięso na pieczeń dla Romka. Jednoczesne oglądanie telewizji i krojenie to zły nawyk, łatwo o wypadek. Wiedziała o tym doskonale, ale przyzwyczajenie było silniejsze. Romek miał wrócić za parę godzin, a zawsze po kilkudniowej konferencji był głodny. Twierdził, że nie smakuje mu hotelowe jedzenie.

Marysia, która kilka minut temu wróciła z kina, katastrofa nie obeszła zanadto. Zerknęła na kilkusekundowe nagranie i zapytała, ile osób zginęło. Tego nikt jeszcze nie wiedział, bo i skąd. Nastolatka wychowana na You Tubie i filmach, gdzie efekty i tempo zajęły miejsce logiki i psychologii, potrzebowała więcej bodźców. Zainteresuje się znów na kilka sekund, gdy pokażą wybuch z innego ujęcia, a najlepiej miejsce katastrofy z bliska. Na razie nie mieli innego nagrania. Wypadek zdarzył się niecałą godzinę temu. W przekazie na żywo widać było tylko dym nad lasem. W studiu pojawiło się dwóch ekspertów, którzy też nic nie wiedzieli. Omawiali historię katastrof lotniczych, co również nie było specjalnie zajmujące.

Marysia grzebała w lodówce wypełnionej dzisiejszymi zakupami. Zdecydowała się na colę. Kinga już otwierała usta, aby powiedzieć, że zabroniła jej pić tyle tego świństwa, ale uświadomiła sobie, że to głupie, przecież sama tę colę kupuje. Spojrzała na córkę i zauważyła coś dziwnego.

— Popatrz na mnie — poprosiła, odkładając nóż.

Marysia niechętnie odwróciła się i zrobiła minę w stylu „skończ, zanim zaczniesz”. Miała dziś na sobie przesadnie obcisłe czarne jeansy i trampki, a włosy jakby lekko uniesione i usztywnione żelem. Kinga przyglądała się jej chwilę i odkryła, co jej nie pasuje.

— Umalowałaś się.

— I co? Ty też się malujesz.

— Ja mam trzydzieści sześć lat. I mimo to nie maluję się tak mocno.

Marysia posłała matce spojrzenie, po którym ta poczuła się, jakby miała tych lat sześćdziesiąt, i wyszła z kuchni. Zaszyła się w swoim pokoju, by czatować, malować

paznokcie lub robić jedną z wielu ważnych dla niej rzeczy, które Kinga uznawała za marnowanie czasu. Dryfowała, zdaje się, w stronę stylu Emo, co matce wcale się nie podobało. Nie podobało się jej też wiele innych spraw, na przykład to, że Marysia odrabiała lekcje przed telewizorem, choć właściwie powinna się cieszyć, iż córka w ogóle robi pracę domową. Sama irytowała się, kiedy musiała wykonywać monotonną czynność bez uprzyjemniaczy. Stąd telewizor w kuchni.

No właśnie, ogląda bezmyślnie i nie łączy faktów. To łechtanie mózgu bodźcami, których nie chce mu się analizować. Romek miał wracać samolotem, który o tej porze, o wpół do piątej, pewnie już wystartował z Heathrow, ale przecież nie wylądował na Okęciu. Okęcie będzie zamknięte przez co najmniej kilka godzin. Pasek z tą informacją przesuwiał się poniżej gadających głów od dobrych paru minut. Skierują samoloty na inne duże lotniska. Czyli nici ze wspólnego obiadu. Pociąg z Gdańska jedzie kilka godzin, jakby ten Gdańsk leżał gdzieś za kołem polarnym. Z Krakowa szybciej, ale też przed północą nie dotrze. Pod wpływem nagłego rozczarowania miała ochotę cisnąć nóż na blat.

Ostatnio nie mieli dla siebie za dużo czasu. Romek był zapracowany, do późna siedział w instytucie i często wyjeżdżał w delegacje. Ale kiedy wracał, resztę dnia zawsze poświęcał Kindze i Marysi. Jedyna pociecha w tym, że dziś sobota. Chyba nie będzie pracował w niedzielę? Nie, na pewno nie. Po tej konferencji powinni dać mu spokój na weekend. W sumie co za różnica, czy mięso będzie się marynować trzy godziny, czy dobę i trzy godziny? Nawet lepiej, jeśli dłużej. Pieczeń zjedzą więc jutro. Spędzą ze sobą całą niedzielę.

Z pokoju Marysi dobiegły dźwięki piosenki, której Kinga nie potrafiła rozpoznać. Może to i dobrze, że następne pokolenie się buntuje. Gdyby ona słuchała swojej nieżyjącej już matki i polegała na jej gustach, to nosiłaby spódnice do pół łydki i szare swetry zapinane na wielkie guziki z plastiku przypominającego masę perłową.

Wrzuciła ostatni kawałek mięsa do pachnącej winem i tymiankiem marynaty i wstawiła miskę do lodówki. Wyjęła telefon i spojrzała na wyświetlacz, na którym kilkanaście ikonek kpiło z jej antytalentu do nowoczesnych technologii. Ta niebieska pulsująca z kopertą pewnie otwierała wiadomości. Nacisnęła.

Próbowałem dzwonić, ale nie odebrałaś. Zaraz wsiałam do samolotu. Przygotujesz coś pysznego na obiad?

Czyli już jest w samolocie. Miała ten telefon od kilku dni i jeszcze go nie opanowała. Było w nim wszystkiego więcej niż w poprzednim. Można dostać oczopląsu od kolorowych ikonek, z których każda informowała o czymś ważnym. Jak tu się sprawdza nieodebrane połączenia...? Wyciszyła telefon, kiedy fryzjerka robiła ją na bóstwo, ale to było prawie trzy godziny temu. Potem go pogłośniła. Chyba.

Gapiała się na wyświetlacz, próbując rozgryźć zagadkę regulacji głośności dzwonka. Zrezygnowała z proszenia córki o pomoc. Wykręciła swój numer ze stacjonarnego. Zadzwoił, czyli OK. Po prostu nie usłyszała dzwonka w samochodzie albo jak puszczała pranie.

W telewizji przedstawiciel jakichś linii lotniczych mówił, że na razie samoloty będą kierowane do innych miast.

— Ale do których? — zapytała na głos. — Przecież wiem, że ich nie wysadzicie ze spadochronami.

Może podstawią autokar i przywiozą ich prosto z lotniska. Może samolot wyląduje gdzieś blisko, na przykład w Łodzi, skąd wieczorem jedzie się do Warszawy dwie godziny. Czy w Łodzi jest lotnisko? Musi być, to duże miasto. Wyjęła z torby laptop i uruchomiła przeglądarkę. Strona ładowała się w ślimaczym tempie. Westchnęła i podeszła do zamkniętych drzwi pokoju Marysi. Zapukała, a gdy to nie przyniosło efektu, nacisnęła klamkę.

— Coś robisz z internetem?

— Ciągnę. — Córka spojrzała nieprzyjaźnie znad klawiatury.

— Co ciągniesz? Filmy? Gry? Muzykę? Policję nam tu ściągniesz.

— A kupisz mi płytę za osiem dych?

— Za osiem dych...? Nieważne. — Zamachała rękoma. — Wyłącz to teraz, muszę coś sprawdzić.

Marysia zrobiła minę obrażonej arystokratki i kliknęła parę razy myszką.

Kinga zamknęła drzwi i wróciła do kuchni. Wiedziała, że za kilka miesięcy będzie jeszcze gorzej.

Wpisała w wyszukiwarkę „katastrofa Okęcie inne lotniska” i w zamian otrzymała śmietnik informacyjny, bo każdy chciał zaistnieć, pisząc coś, cokolwiek, o katastrofie; nawet portal ogrodniczy. Zaraz, jakimi liniami on miał lecieć...? Wspomniał o tym na pewno, pamiętała też, że bilety były w granatowym etui. Nie, tam było logo biura podróży.

Wywołała stronę portu lotniczego, gdzie wisiała tylko informacja o nieznanym losie samolotu. Nieznanym... dobre sobie! Kliknęła jeszcze kilka minut po stronach największych linii, ale nie znalazła niczego konkretnego poza tym, że w Łodzi nie ma lotniska, a najbliższe jest w Bydgoszczy. Jednak mało prawdopodobne, by mogło przyjąć wszystkie samoloty, które miały lądować w Warszawie. Trudno, Romek odezwie się, jak wyląduje. Oby nie w Szczecinie, bo będzie jechał do Warszawy osiem godzin.

Miała pięć nieprzeczytanych e-maili. Dużo jak na sobotę. Zrobiła błąd, podając szefowej prywatny adres. Ta baba chyba nie wie, co to znaczy czas wolny. Odpisała jednak uprzejmie, choć tym samym straciła do siebie trochę szacunku. Był też mail od Romka:

Przypomnij, że bym nauczył Cię obsługi nowego telefonu, bo nie odbierasz, nie oddzwoniasz, a na SMS-a też mi nie odpisałaś. Wracam wcześniej. Jak dobrze pójdzie, to dotrę do domu przed szóstą. Kończę, bo już otwierają gate. Buzi.

Uśmiechnęła się. Może Romek dotrze na tyle wcześniej, że obiadu nie trzeba będzie odkładać na jutro. Kolacja przy świecach była nawet miłą perspektywą. Zerknęła na godzinę wysłania e-maila – pierwsza z minutami. Więc może już gdzieś ląduje, bo w Warszawie według planu powinien być prawie godzinę temu.

Wtedy nagle przestała się uśmiechać.

* * *

Miał nadzieję, że co miało wybuchnąć, już wybuchło. Las płonął chaotycznymi ogniskami wszędzie, gdzie spojrzeł. Brnąc przez krzaki, powtarzał sobie, że mokra ściółka nie zajmie się tak łatwo – wczoraj padał deszcz. Szedł więc dalej. Zapłacą mu za to ryzyko, i to zapłacą bardzo dobrze.

Gdy tylko odebrał SMS-a, wstał i wyszedł z urodzin własnej matki, zanim ta zdmuchnęła świece na torcie z napisem „60”. Pocałował ją w czoło i powiedział, że to ważne. Dotarcie z Powiśla na Kabaty, mimo korków, zajęło mu mniej niż kwadrans. Motor enduro był szybszy od ociężałych wozów strażackich i ambulansów. Jedynym ograniczeniem prędkości były prawa fizyki i instynkt samozachowawczy. Klapka małego schowka z umieszczonym na niej numerem rejestracyjnym czasem otwierała się przypadkiem i potrafiła przez całą trasę się bujać, zasłaniając przy tym numer. Przypadek zdarzał się, gdy naciskało się niewielkie cięgło przy kierownicy.

Swąd gumy, benzyny lotniczej i paru innych substancji kręcił w nosie, mimo że trzysta metrów dalej dym bił czarnym słupem prosto w niebo. Marek dojechał tak blisko, jak się dało bez narażania motoru, wcisnął maszynę między dwa grube pnie ścięte na wysokości kilkunastu metrów i oznaczył na GPS-ie jego pozycję. To ważne, sekunda teraz pozwala oszczędzić godzinę później. Dalszą drogę przebył biegiem, ściskając w dłoni ciężkiego Nikona. Do plecaka zapakował jeszcze osiem kilo sprzętu, ale dzięki ściągniętym pasom: biodrowemu i piersiowemu prawie go nie czuł. Plecak miał lepszy niż komandosi w Afganistanie.

Przeskakiwał nad zwalonymi drzewami. Tu już nic nie wystawało na więcej niż metr–dwa z ziemi. Musiał uważać na ostre krawędzie pogiętych i porwanych jak papier blach. Uruchomił aparat w trybie video i trzymał go za obiektyw wycelowany w przód, by sfilmować cokolwiek, co może się niespodziewanie wydarzyć. Druga, mała kamerka wystawała z kieszeni kamizelki – tę włączył, jeszcze zanim wsiadł na motor.

Dalej szczątków było więcej, już nie mógł biec. Zresztą nie chciał zdeptywać śladów. Między połamanymi drzewami leżały powbijane w ziemię wnętrzości samolotu. Nie potrafił ich rozpoznać. Dopiero gdy dostrzegł pierwszą walizkę, niemal nieuszkodzoną, przełączył aparat w tryb foto. Na przemian pstrykał zdjęcia i kręcił krótkie ujęcia. Wciąż szedł w stronę huczącego ogniska. Przesząpił fragment niebieskiego fotela, kolejne walizki. Wiedział, co zobaczy dalej, ale starał się o tym nie myśleć. Dokumentował najbliższe otoczenie i był teraz tylko precyzyjnym dodatkiem do aparatu. Zwinięte w ósemkę wielkie koło, *pstryk*. Kawalek laptopa, *pstryk*. Rozwalona walizka z nadpalonym damskim sweterkiem, *pstryk*. Ręka, *pstryk*. Zwęglony korpus, chyba to dziecko, *pstryk*. Aparat połączony z pancernym laptopem w plecaku słał to wszystko nieprzerwanym strumieniem zer i jedynek wprost na redakcyjny serwer.

Z transu wyrwało go gorąco. Pięćdziesiąt, może sto metrów przed nim w morzu

plamieni topił się metal. Nagrał pięciosekundową przebitkę, którą za dziesięć minut obejrzy kilka milionów widzów, a w ciągu następnej doby – kilkaset milionów. Odwrócił się i ruszył inną trasą. Mechanicznie odnajdywał ciekawy obiekt, kadrował, pstrykał. Potem przerwa na krótką panoramę lub na przebłyskujący między drzewami wóz straży pożarnej.

Tam! Ktoś się chyba poruszył. Jakby ręka, krzak. Nie, to chmurka dymu wisząca nad czymś, co pewnie będzie się fajczyć jeszcze długo. *Pstryk* i trzy sekundy nagrania. Silnik z fantazyjnie powykręcanyymi rurkami, jeszcze dymiący i cykający umierającym mechanizmem, *pstryk*. But, stojący całkiem prosto, jakby go ktoś ustawił dla żartu, *pstryk*.

Kluczył między ogniskami i stertami szczątków, aż pojawili się pierwsi ratownicy. Kręciło mu się w głowie od dymu i gorąca. Wyszedł poza pas wybity w lesie przez samolot i zrobił jeszcze kilka ujęć. Wreszcie, wyczerpany i oszołomiony, oparł się o szorstką korę. Zwymiotował maminym rosołem i pierogami.

Zacisnął powieki i użył całej siły woli, by wyrzucić z głowy to, co oglądał przez ostatnie piętnaście minut. Za to też mu zapłaca.

* * *

Chodziła po kuchni tam i z powrotem. Przygryzała paznokcie. Telefon Romka nie odpowiadał, ale to przecież nic nie znaczyło. Jeżeli poleciał tym samolotem, którym miał lecieć, to nie odbierze, bo jest na pokładzie. I będzie tam jeszcze jakiś czas. Lotnisko jest przecież zamknięte i muszą lądować gdzie indziej.

Ale napisał o pierwszej z minutami, że wsiada na pokład.

Czerwony pasek na dole ekranu telewizora nie pozostawiał wątpliwości, że chodzi o samolot z Heathrow, który wystartował o trzynastej trzydzieści pięć. Zaraz, ale tam jest inna strefa czasowa... Trzeba dodać godzinę, czy odjąć? Nie, napisali, że czasu polskiego. A godzina nadania e-maila? Który czas się wyświetla? To czas letni czy zimowy? Przypomniała sobie, że kiedyś przestawił się jej czas w komputerze i wszystkie e-maile, które wysyłała, wyświetlały się u adresatów z datą z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Więc...

— Idę do Mariusza.

Kinga drgnęła na dźwięk głosu córki. Spojrzała na nią nieobecny wzrokiem.

— Dopiero co byłaś z nim w kinie... — zauważyła.

— Poszedł do domu na obiad. A teraz idziemy przed blok.

— Obiad... — Kinga spojrzała na mokrą deskę i nóż. — Miałam zrobić obiad...

Marysia przyjrzała się matce badawczo.

— Coś się stało? — zapytała ostrożnie.

— Nie, nie. Nic. Idź przed blok, tylko nie wracaj za późno.

— I nie włócz się po osiedlu.

— Co...?

— Zwykle mówisz, że bym się nie włóczyła. Dobrze się czujesz? Na pewno nie chcesz, że bym została?

Kinga energicznie pokręciła głową. Pocałowała córkę i odprowadziła do drzwi.

— Zaczekaj — powiedziała, stojąc w progu. — Jak wysyłasz maila, to jaka data wyświetli się u odbiorcy?

— Jeśli używasz programu pocztowego, to data, jaką masz ustawioną w komputerze. Ale jeśli korzystasz z webmaila, to wtedy godzina w komputerze nie ma znaczenia, tylko ta na serwerze. A co? Kogoś chcesz nabrać?

— Nie, tak tylko pytam... Baw się dobrze.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. To niczego nie wyjaśnia. Inna strefa czasowa, czas letni, webmail... To zbyt skomplikowane, tak nie uzyska pewności. Troska córki dodała jej otuchy. Ale nie chciała, by tamta zamartwiała się tu razem z nią. Może nic się nie stało, może poleciał innym samolotem. Przecież z Londynu do Warszawy jest dużo rejsów.

Wróciła do kuchni i sprawdziła połączenia lotnicze Londyn–Warszawa. Był jeden dwunasta trzydzieści pięć, a późniejszy dopiero po drugiej. Ale jakiego czasu? Ile minut przed odlotem otwierają *gate*? Nie, to na nic.

W telewizji pokazywali nowe ujęcia z miejsca katastrofy. Ktoś szedł z kamerą przez rozoraną ziemię pokrytą szczątkami samolotu i rozdartych drzew.

Nie chciała tego, bo to było jak przyznanie, że Romek mógł być w tym samolocie, ale przecież musiała wiedzieć. Wykręciła numer infolinii podanej na dole ekranu telewizyjnego.

* * *

Teraz niech mu nawet konfiskują sprzęt. Większość materiałów poszła, reszta pewnie wyjdzie w kilka minut. Najpierw zdjęcia, bo lżejsze, potem filmy.

Siedział pod drzewem, obok motoru i przeglądał dokonania ostatnich trzydziestu minut. Imponujący materiał. Być może powinien wrócić i zrobić dokrętkę, ale teraz już roilo się tam od strażaków, policji, ratowników medycznych i innych służb specjalnych. Postanowił, że odpocznie trochę i skręci coś za kwadrans. Nogi miał jak z waty.

Pogryzał batonik energetyczny i tagował niektóre zdjęcia jako prywatne, nie do użytku publicznego. Wybierał te, na których można było rozpoznać twarze. Było ich parę – kilkoro pasażerów wyrzuciło z samolotu przed eksplozją. Kiedyś robił zdjęcia znanej piosenkarki, która rozbiła się swoim sportowym wozem, jadąc razem z przyjacielem, czy może kochankiem. Oboje zginęli, gdy samochód wbił się w filar wiaduktu. Ona nie miała na sobie majtek. Zatrzymał dla siebie wszystkie zdjęcia, na których było to widoczne. Nie powodowały nim żadne wyższe uczucia ani niejasne zasady moralne. Zwyczajnie nie chciał kłopotów, a poza tym to było jego zabezpieczenie na czarną godzinę. Gdyby go przycisnęło, mógł opchnąć te zdjęcia brukowcom za całkiem konkretne pieniądze.

Dokończył batonik i spojrzał na pole śmierci rozciągające się od miejsca, gdzie siedział, aż do płomieni trzysta metrów dalej. Zastanawiał się, czy ktoś mógł to przeżyć. Może w dziobowej części, która leżała dalej, za tą piekielną ścianą ognia. Może przód samolotu nie został zniszczony? Nie szedł tam. Byli tam już inni. Nie można mieć wszystkiego. A zdjęcia i tak zrobił najlepsze, bo dotarł tu jako pierwszy.

Za to mu właśnie tak dobrze płacili.

Wokoło krążyli strażacy. Nie przeszkadzał im, dobrze wybrał miejsce ukrycia. W tym zamieszaniu nikt nie zwracał sobie głowy, by go stąd przepędzić. Zresztą i tak by się nie dał. Umiejętność wciskania się tam, gdzie go nie chcą, to część jego zawodu.

— Marek Zębala? — usłyszał z drugiej strony.

Odwrócił się i poznał inspektora Zakrzewskiego. Spotkali się już kilka razy w podobnych okolicznościach i policjant za każdym razem dawał mu do zrozumienia, jak bardzo brzydzi się jego pracą.

— Urządzasz sobie piknik w miejscu tragedii?

— Każdemu wolno chodzić po lesie. — Fotograf rozłożył ręce. — Nie zrywam chronionych roślin.

— Byłeś tu jako pierwszy. Założę się, że nawet nie pomyślałeś, żeby komuś udzielić pomocy.

— Reporter nie jedzie na miejsce katastrofy, by pomagać — odpowiedział spokojnie. — Jedzie, by dokumentować. I ma przy tym zachować bezstronność i neutralność.

— Prawo jest ponad twoim katechizmem. — Policjant spojrział na niego z pogardą i odwrócił się. Rzucił jeszcze przez ramię — wcześniej czy później doigrasz się.

Marek wiedział, że teraz na pewno się nie doigra. Jutro, może pojutrze sami się do niego zgłoszą, żeby zabezpieczyć materiał do śledztwa. Prawo pozwala skonfiskować dowolny materiał i nie płacić za to. Dbał więc, by nic nie leżało na niezaszyfrowanym dysku. Jeśli zechcą przejąć jego pracę za darmo, przejmą coś, czego nie zdołają odczytać. Zaproponuje im przystępną, niską cenę. Będą tego potrzebować, bo teraz tłumy zdeptują ślady, które on dokładnie sfilmował i obfotografował.

Wstał, narzucił plecak i ruszył w stronę dymiącego chaosu. Jedna sprawa nie dawała mu spokoju. Gdy godzinę temu wskakiwał na motor, samolot był jeszcze w powietrzu, kilometr stąd. Ciekawe, kto zadzwonił na gorącą linię minutę przed katastrofą?

* * *

Dzwoniła raz za razem, wciąż było zajęte. Po co podają numer, skoro i tak jest zajęty?! Dzwoni tam pewnie teraz z tysiąc osób. Dlaczego jest tylko jeden numer?

Udało się chyba za trzydziestym razem. Głos kobiety po drugiej stronie był chłodny, profesjonalny.

— *W czym mogę pomóc?*

— Roman Bednarz. To mój mąż. Miał dziś... Mógł być w tym samolocie.

Szelest papierów.

— *Nie widzę go tu. Wciąż kompletujemy listę.*

— Jak to kompletujecie?! Nie wiecie, kto wsiadł na pokład?

— *W tym momencie nie mogę pani pomóc.*

— Niech pani sprawdzi jeszcze raz. Muszę mieć pewność, że go tam nie było.

— *Bardzo panią proszę. Inni czekają.*

— A może pani sprawdzić listę pasażerów następnego samolotu?

— *Nie mam takiej listy.*

— Proszę zapisać mój numer. — Podała numer, cudem go sobie przypominając.

— *Dobrze, oddzwonimy do pani. Teraz przepraszam bardzo.* — Rozłączyła się.

Kinga chwilę słuchała przerywanego sygnału, odłożyła słuchawkę i ukryła twarz w dłoniach. Kompletują listę. Co to znaczy, że kompletują listę? Przecież mają komputery, powinni mieć tę listę na dwa kliknięcia.

Wyciągnęła z torby notes. Telefon do Zygmunta, szefa Romka. On powinien wiedzieć, który to miał być samolot.

— Cześć, tu Kinga. Kinga Bednarz, żona Romka. Poznaliśmy się na tym grillu...

— *Tak, tak, pamiętam.*

— Chodzi o Romka. Nie wiem, którym lotem... — Zamilkła.

Chwila ciszy.

— *Boże... Nie wiedziałem. Takie rzeczy załatwia Ania, nasza sekretarka. Zadzwoń do niej i zapytam. Zaraz oddzwonię.*

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Z tego, co mówił Romek, szef to porządny facet. Chyba naprawdę się przejął i to wcale nie tym, że może stracić wartościowego pracownika.

Chodziła tam i z powrotem, po dwa kroki, żeby nie odejść za daleko od telefonu. Tego nowego telefonu, który dostała od Romka ledwie parę dni temu. Czy na pewno nie jest wyciszony? Nie, nie jest. A nawet jakby był, to zapali się wyświetlacz. Zobaczy, że dzwoni.

Gdy zadzwonił, rzuciła się i odebrała, prawie zgniatając obudowę.

— Tak...?!

— *Ona nie wie. Mówi, że Romek sam kupował bilet. Zwykle tak robi. W sumie dla firmy to nie ma znaczenia. Posłuchaj... Nie zostawimy cię. Możesz liczyć na naszą pomoc.*

— Nie potrzebuję jeszcze pomocy! — prawie krzyknęła. — Nie ma pewności, że był w tym samolocie. Miał lecieć innym.

— *Nie... To znaczy... Nie, nie to miałem na myśli.* — Chwila nerwowego sapania w słuchawce. — *Po prostu zadzwoń, jak... jak tylko Romek się odezwie, albo coś.*

— Dziękuję — powiedziała z trudem i wdusiła przycisk z czerwoną słuchawką. Czego mogę potrzebować? Kogoś, kto wymieni żarówkę, przykręci wieszak, zabije pajaka? Nie, nie potrzebuję pomocy.

Odłożyła telefon, czując, że jeszcze chwila i by go zgmiotła. Rozluźniła mięśnie. Bolały ją dłonie. Wiedziała, czego teraz potrzebuje. Jedna rzecz mogła jej pomóc. Cokolwiek, byle było mocne. Johnnie Walker stał z brzegu półki. Odkręciła nakrętkę i nalała pół szklanki, nie dbając o to, że przedtem piła z niej mleko. Przemknęło jej przez myśl, że może trzeba będzie gdzieś pojechać, coś załatwić, że może nie powinna... Wlała do gardła trzy duże łyki, gdy drzwi wejściowe otworzyły się raptownie. Zapomniała ich zamknąć pół godziny temu.

Marysia stała w progu, blada i wystraszona.

— On tam był? — ni to powiedziała, ni zapytała. — Tata był w tym samolocie?

Kinga potrząsnęła głową.

— Nie... nie wiem... Miał wracać późniejszym. Nie wiem.

— Dlaczego nie powiedziałaś?

— Nikt nic nie wie. Nie mają jeszcze listy pasażerów. Tata miał wracać późniejszym samolotem, więc... więc może...

W drzwiach za Marysią pojawił się Mariusz, jej przyjaciel, może chłopak. Był jeszcze bardziej Emo od niej. Kinga dyskretnie schowała whisky.

— Muszę jechać na lotnisko — oświadczyła. — Tam będą wiedzieli najwięcej. Nie było go na pokładzie. Prawie na pewno go nie było, ale muszę mieć pewność.

— Pojadę z tobą — oświadczyła Marysia.

— Zostaniesz. — Wskazała telefon na ścianie. — Tata może zadzwonić na stacjonarny.

— Zajmę się Marysią — obiecał Mariusz. — Zaczekam tu z nią, aż pani wróci.

Facet z chudziutkimi ramionami i w zwężanych w rurkę spodniach z opuszczonym krokiem zdaniem Kingi nie mógł być atrakcyjny, ale najwyraźniej Marysia miała inny gust. Nieważne. Teraz nie obchodziło jej, jak Mariusz będzie pocieszał jej córkę. Nic jej nie obchodziło poza listą pasażerów lotu numer 346. Wrzuciła do torebki notes, komórkę i laptop, przytuliła mocno córkę i wyszła.

* * *

Obecność whiskacza w krwioobiegu poczuła na moście Łazienkowskim. Uderzył nagle, a efektem jego działania był przeskok świadomości do momentu, gdy już wysiadała ze Skody pod Terminalem A na Okęciu. Jedno koło stało na chodniku, zderzak niemal dotykał śmietniczki. Zamknęła z impetem drzwi i nie tracąc czasu na zamykanie samochodu ani włączanie alarmu, weszła do hali. Nie miała wątpliwości, gdzie jest punkt informacyjny. Kłębił się tam tłum. Dwie kobiety za ladą w ogóle sobie nie radziły. Niezadowolone ludzi i głośne dyskusje sugerowały, że nadal nie ma aktualnej listy pasażerów.

Niemal od razu zrezygnowała z prób dopchnięcia się do stanowiska informacji. Zresztą wiedziała, że i tak niczego się w tej chwili nie dowie. Lista przecież z jakichś tajemniczych powodów wciąż była niedostępna. Zakręciło się jej w głowie. Oparła się o filar i w tym momencie ktoś chwycił ją za ramię.

— Widziałem, jak pani tu przyjechała — powiedział młodziutki policjant z pucułowatą twarzą. — Mogę wezwać patrol drogówki z alkomatem. I bez tego czuję, że pani coś piła.

— A teraz zatrzymuje mnie pan za opieranie się o filar — odparła.

Nie miała siły na dyskusję. Powoli staczała się w obojętność.

— Mogła pani kogoś zabić.

— Mój mąż był w tym samolocie. Sprawdzę listę, przekonam się, a potem niech mnie pan zamyka. Ale dopiero jak sprawdzę. Proszę...

Policjant ruszał szczęką, jakby żuł gumę. Myślał intensywnie i wyglądał, jakby

prowadził wyczerpującą wewnętrzną walkę.

— Pani posłucha. — Ścisnął jej ramię, aż zabolęło. — Udam, że nie widziałem. Ale samochód zostaje tu do jutra. Wraca pani taksówką.

Skinęła głową, ale on wciąż trzymał. Zamknęła oczy i potrząsnęła nią intensywnie z góry na dół. Uścisk zelżał.

— Tam nie wolno parkować — usłyszała. — Mam dyżur do czwartej rano. Przekażę zmiennikowi. Niech pani już nie pije i odbierze wóz przed południem.

— Odbiorę — obiecała, od razu wyrzucając to z pamięci.

— Współczuję... — rzucił jeszcze mundurowy i odszedł, jakby nie chciał się przekonywać, czy zrozpaczona pijaczka dotrzyma obietnicy.

I tak nie potrafiłaby teraz przekręcić kluczyka ani wrzucić jedyńki. Odetchnęła i spojrzała na tłum.

— Wiadomo coś nowego? — zapytała ludzi, nie kierując pytania do nikogo konkretnego.

— Nie mają listy nazwisk — odparł starszy facet w tweedowej marynarce. — W dobie internetu nie mają tej pieprzonej listy!

— Skandal! — wrzeszczała jakaś baba z głębi tłumu.

Kobiety w informacji marzyły chyba tylko o teleportowaniu się gdzieś daleko stąd. Reporter w zielonej kamizelce z setką kieszonek pstrykał fleszem po tłumie, jakby strzelał do demonstracji. Miny ludzi wskazywały, że jeszcze chwila i się na niego rzucą. Kinga dopiero teraz poczuła, ile wypłała na pusty żołądek. Podeszła do automatu z kawą i długą chwilę gapiła się na menu, nie rozumiejąc, co powinna zrobić. Udało jej się kupić podwójne espresso, doszła z kubeczkim do rzędu fotelików i usiadła.

Małymi łykami piła gorącą kawę i czuła, że zaraz zaśnie. Albo zemdleje. Wyjęła telefon i po raz setny wybrała numer Romka. Tym razem usłyszała sygnał oczekiwania, a jednocześnie usłyszała też melodię, którą Romek ustawił jako dzwonek — tę, którą przebrana za pielęgniarzkę Daryl Hannah gwizdała w *Kill Bill*. Uniosła wzrok, szukając źródła dźwięku. W pobliżu był tylko ten reporter, który właśnie przeszukiwał kieszenie swojej kamizelki. Wyjął telefon i szybko wcisnął rozłączanie. W tym samym momencie Kinga usłyszała w słuchawce inny sygnał.

Wląda w siebie całą kawę, nie zwracając uwagi na to, że jest gorąca, wstała i podeszła do reportera. Złapała szelkę plecaka. Spojrzał na nią zaskoczony i spróbował się wyrwać.

— Skąd masz ten telefon? — zapytała.

— Puszczaj. — Sięgnął do jej dłoni, ale zaciskała palce z całej siły. — Puszczaj, albo przestawię ci nadgarstek — odpowiedział groźniej.

— Nie puszczę, dopóki mi nie powiesz, skąd masz ten telefon. Jeśli mnie uderzysz, złapią cię jeszcze przed drzwiami.

Marek rozejrzał się. W zasięgu wzroku miał chyba z sześciu mundurowych.

— Dobrze, usiądźmy.

— Nie. Mów teraz.

Reporter nabrał powietrza i uznał, że nie ma sensu kłamać.

— Jestem fotoreporterem. Byłem jako pierwszy na miejscu katastrofy. Znalazłem tam ten telefon. Był nieuszkodzony, błyszczący, jakby cała ta katastrofa go nie dotyczyła. Wziąłem go, żeby zobaczyć, czy nie ma na nim nagrania z ostatnich minut.

— Czemu nie dałeś go policji, nie wiem, strażakom?

— Zaczęli od zalania wszystkiego pianą i zdeptania śladów. Sprawdzę, co jest w tym telefonie i im go oddam. Albo tobie.

— Należał... należy do mojego męża. Nie wiem, czy leciał tamtym samolotem.

— No to teraz już chyba wiesz.

To zdanie boleśnie uderzyło Kingę. Puściła reportera i spojrzała w podłogę; nie mogła się uwolnić od absurdalnie kuszącej myśli, żeby położyć się na niej i zwinąć w kłębek.

— Miał lecieć dwie godziny później — powiedziała cicho. — W ostatniej chwili zmienił zdanie. Załatwił wszystko szybciej i przebukował bilet. Oddaj telefon.

— Przykro mi z powodu twojego męża, ale mam pracę. Oddam, dopiero jak sprawdzę, co się nagrało.

— To nie twój telefon.

— Twój też nie. Jeżeli teraz zaczniesz krzyczeć, oboje się nie dowiemy, co tam jest nagrane. Zabiorą go, skonfiskują i trafi do archiwum na całe lata.

Kinga czuła, jak powoli przez niewidzialne otwory ucieka z niej energia.

— Więc sprawdźmy teraz — powiedziała słabo.

Zanim mężczyzna zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon w jej torebce. Pewnie Marysia. Spojrzała na wyświetlacz — nieznany numer. Odebrała z postanowieniem nawrzcucia najgorszych przekleństw, jakie знаła, jeśli to znów reklama pościeli lub garnków, co od kilku tygodni zdarzało się regularnie.

— *Cześć, kochanie. To ja* — powiedział Romek. — *Wybacz, że nie zadzwoniłem wcześniej.*

* * *

Kinga siedziała po turecku na posadzce i płakała, przyciskając telefon do czoła.

— On żyje — powtarzała. — Żyje. Żyje. Żyje.

Wybrała numer Marysi i powtórzyła pięć razy „on żyje”. Nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Obiecała, że zaraz wróci, i rozłączyła się.

— Żyje... — Marek rozważał możliwość opuszczenia hali przylotów Terminalu A ze znalezionym telefonem bezpiecznie schowanym w kieszeni, ale instynkt podpowiadał mu, że otarł się o ciekawą historię. Ciekawą, bo niejednoznaczną. — Jeśli tak, to skąd wziął się jego telefon na miejscu katastrofy?

— Wypadł mu podczas uderzenia. — Kinga uniosła głowę. — Potem wyszedł z wraku i nie znalazł telefonu. Dlatego dzwoni z innego.

— Byłem tam. — Marek pomógł jej wstać. — Tam nie ma żadnego wraku. Są tylko rozrzucone, spalone szczątki. Tego nikt nie mógł przeżyć. Samolot podchodził do lądowania z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. Kadłub został rozerwany przez pnie drzew. Nikt nie miał prawa przeżyć. To po prostu niemożliwe.

— Więc... ktoś mu ukradł telefon na Heathrow. Telefon i bilet. Teraz Romek dzwonił z innego.

— Powiedział, gdzie jest?

Pokręciła głową.

— Spieszył się. Nie mógł dłużej rozmawiać.

— Gdzie się spieszył?

— Nie wiem. Może na pociąg. Może wylądował w innym mieście.

— W jakim?

— Nie powiedział. Musiał kończyć. Masz samochód? — Kinga spojrzała na niego z nadzieją. — Wiesz, gdzie to jest? Zawieź mnie tam.

Marek odetchnął i rozejrzał się. Wahał się, czy próbować się jakoś wywinąć z tej sytuacji, czy sprawdzić trop. Wiele nie ryzykował.

— Tam nie ma nic do oglądania.

— On... — Kinga zacisnęła palce na jego kamizelce. — Romek nadal może tam być. Nie powiedział, gdzie jest. Jeśli nie wylądował w innym mieście... Miał dziwny głos, był jakby... oszołomiony. Znalazłeś tam przecież jego telefon. Może więc dzwonił z aparatu kogoś innego. Może gdzieś leży. Może jest ranny i nie wie, co się dzieje.

— Tam jest z pół tysiąca ludzi. — Marek pokręcił głową. — Ratowników. Znaleźliby go. Znają się na tym. Po to... po to tam są.

Kinga patrzyła obcemu mężczyźnie prosto w oczy.

— Zawieź mnie tam!

W pierwszym odruchu chciał rozewrzeć jej dłonie, odepchnąć ją i po prostu odejść. Nie potrzebował kłopotów. Nawet oddałby jej ten telefon. Zamiast tego powiedział jednak:

— Motocykl stoi na parkingu.

* * *

Wieczór przechodził w noc. Teraz Marek jechał przepisowo, oczywiście jeśli nie liczyć faktu, że pasażerka nie miała kasku. Prawdopodobieństwo spotkania patrolu na bocznych drogach było jednak minimalne. Korzystając z GPS-a ze szczegółową mapą wojskową, dotarł w pobliże miejsca katastrofy dróżką zbyt wąską dla samochodów. Ostatnie sto metrów pokonał z wyłączonymi światłami. Gdy zsiadli, wepchnął motor w krzaki.

Między drzewami na dużym obszarze przeświecało jasne światło, jakby gdzieś tam stał długi pociąg osobowy. Bez słowa ruszyli w tamtą stronę. Przeszli pod taśmą policyjną i zatrzymali się kilkadziesiąt metrów od pasa wykarczowanego przez samolot. Płomienie już ugaszono, a teren oświetlało kilkanaście mocnych reflektorów ustawionych na masztach. Wśród szczątków kręciło się kilkadziesiąt osób. Przeszukiwali ziemię, robili zdjęcia. Jediną rzeczą, która zdradzała, że to samolot, była kilkumetrowa część kadłuba rozerwana na linii okien.

— Nikt nie mógł tego przeżyć — powiedział cicho Marek. — Jeśli naprawdę pół godziny temu rozmawiałaś ze swoim mężem, to on na pewno nie leciał tym

samolotem. Zobaczmy. — Wyjął z kieszeni telefon i dotknął ekranu. Wyświetliło się okno z migającym kursorem. — Hasło... Jak sądzę, nie znasz go?

Pokręciła głową.

— To służbowa komórka. Romek jest informatykiem i ma świra na punkcie bezpieczeństwa danych.

— Potem przypnę telefon do komputera. Może coś z niego wyciągnę.

Na samym środku poboju stał namiot-igloo z szarej folii. Prowadził do niego krótki tunel foliowy. Dopiero gdy z wnętrza wyszedł człowiek w kombinezonie chemicznym, dało się ocenić wielkość konstrukcji – w najwyższym punkcie namiot miał jakieś siedem metrów wysokości.

Kinga aż podskoczyła, gdy w jej torebce zadzwonił telefon. Nerwowo zaczęła w niej grzebać. Marek miał ochotę ją udusić. Gdyby nie hałas pracujących agregatów i pokrzykiwania ratowników, z pewnością ktoś by ich usłyszał.

— Romek?! — rzuciła do słuchawki.

— *Dzwonię z lotniska. — To był kobiecy głos. — Zostawiała pani numer. Nazwisko Roman Bednarz jest na liście pasażerów lotu 346. To potwierdzona informacja.*

Kinga poczuła uderzenie niewidzialnej fali.

— Może nie wsiadł do samolotu...

— *To jest lista pasażerów, którzy weszli na pokład. Naprawdę bardzo mi przykro. Proszę zapisać numer psychologa, który...*

— Dziękuję... — zdołała wydusić i rozłączyła się. Spojrzała na mężczyznę i powiedziała cicho — mówią, że był na pokładzie. Że to potwierdzone.

Marek nie wiedział, co powinien teraz powiedzieć. Nie miał zamiaru zamieniać się w pocieszyciela młodej wdowy. Bo była wdową – tego był niemal pewien – tylko jeszcze nie dopuszczała do siebie tej myśli.

— Listę sprawdzają przy wejściu do *gate'u*. — A jednak ją pocieszał. — Teoretycznie mógł minąć *gate*, a nie wejść na pokład. Teoretycznie. Skoro twierdzisz, że dzwonił...

— Muszę to zobaczyć z bliska.

Chciała iść w stronę światła, ale chwycił ją za łokieć.

— Aresztują cię. Chciałaś zobaczyć miejsce katastrofy, zobaczyłaś. Wystarczy. Zbierajmy się, zanim nas zauważą. Jeśli dzwonił... to żyje.

— To szpital polowy, namiot dla rannych. Czyli ktoś jednak przeżył.

Spróbowała się wyswobodzić, ale reporter nadal ją trzymał.

— Zastanów się — poprosił. — Jesteśmy w Warszawie, nie w dżungli. Po co szpital polowy, jeśli w pobliżu jest kilka normalnych szpitali? To raczej namiot na zwłoki, może miejsce, gdzie znoszą rzeczy ofiar. Odwiozę cię do domu.

— Dobrze, ale oddaj komórkę.

— Posłuchaj. — Pospiesznie szukał argumentów. — Byłem tutaj pierwszy. Taki mam zawód. Dotarłem kwadrans po katastrofie. Mam półgodzinne nagranie i kilkaset zdjęć. Mogę ci je pokazać, ale nie idź tam.

— Czego się boisz? — Wyszarpnęła ramię z jego uchwytu. — Boisz się, że im

powiem o tobie? Powiem, jeśli natychmiast nie oddasz mi telefonu.

Niechętnie wręczył jej komórkę. Schowała ją do torebki i ruszyła w stronę reflektorów.

— Co robisz? — Skoczył za nią i znów złapał za łokieć. Odwinęła się, by go uderzyć, ale zasłonił się. — Zaraz nas zobaczą! Nie przejdiesz dwudziestu metrów.

— Muszę sprawdzić, czy go tam nie ma.

Głupia baba.

— Czekaj, pójdę z tobą.

Odwróciła się.

— Więc chodź.

— Chcesz sprawdzić, co jest w tym namiocie? Pomogę ci, ale zrobimy to po mojemu. Nie od frontu.

Ruszył w lewo, wiedząc, że kobieta pójdzie za nim. I poszła. Chwiejąc się na wysokich obcasach i od wypitego alkoholu. Nie pomógł jej jednak. Chciał zachować neutralność i dystans. Neutralność już w zasadzie nie istniała, skoro właśnie robił to, co robił. Przy większej kępie krzewów przestał istnieć również dystans – wtedy złamał się i pomógł jej obejść gęstwinę. Ziemia wokoło była podmokła, jednak na przeniesienie Kingi się nie zdecydował. Jej to nie przeszkadzało; miała jasny cel i mokre nogawki nie mogły jej powstrzymać.

Podeszli, trzymając się w cieniu. Dalej kręciło się wiele osób, ale wśród nich nie było ani kobiety w stroju biurowym, ani reportera w kamizelce z setką kieszeni i plecakiem.

— Czekaj tutaj. — Wcisnął jej w dłonie plecak.

Otworzył drzwi najbliższego wozu strażackiego. Na szczęście to miejsce znajdowało się w cieniu poza światłami reflektorów. Po chwili wrócił z dwoma żółtymi kurtkami i kaskami.

— Będziemy w tym widoczni na kilometr — zauważyła.

— Zakładaj. Inaczej nas zgarną od razu.

Miał świadomość, że pakuje się w sam środek kłopotów. Coś jednak kazało mu to robić i prawdopodobnie był to instynkt łowcy sensacji. Plecak z większością sprzętu foto i laptopem, wartymi co najmniej czterdzieści tysięcy, położył między korzeniami ściętego drzewa. Spojrzał na szpilki Kingi – z nimi nie było co zrobić. Trudno.

— Zapnij się, schowaj włosy i patrz w ziemię.

Na całym pobojowisku sporo ludzi zachowywało się podobnie.

— A jak znajdę coś ważnego? — zapytała.

— Wystarczy, jeśli tego nie nadepniesz. Wszystko będą wielokrotnie sprawdzać.

— A jak to coś może pomóc w ustaleniu przyczyn katastrofy?

— Chcesz ustalać przyczyny katastrofy, czy sprawdzić, co jest w tym namiocie?

Im dalej szli, tym Kinga mocniej zaciskała usta. Nikt nie zbierał jeszcze szczątków ludzkich. Tu wciąż trwało śledztwo i żaden z elementów tej układanki-zagadki nie powinien bez potrzeby zmieniać położenia. Marek nie zamierzał ingerować w ten mechanizm. Irracjonalnie wierzył, że jeśli on nie będzie

przeszkadzał innym uczestnikom tego teatru, to i inni nie przeszkodzą jemu. Zwykle działało.

Kinga dzielnie ignorowała błoto i połamane gałęzie. Kierowała się do tunelu wejściowego, ale Marek dyskretnie zmienił trasę i doprowadził ją na tyły namiotu, w miejsce, gdzie nie sięgało światło najbliższych latarni.

Matowa, półprzezroczysta folia kopuły namiotu była napięta przez ciśnienie generowane małą dmuchawą spalinową.

Wyjął z kieszeni scyzoryk, otworzył małe ostrze i jednym ruchem rozciął pionowo folię. Powłoka nieco opadła. Rozejrzał się – prawdopodobnie nikt nic nie zauważył. W tym zawodzie nauczył się, że nie należy przepuszczać okazji. Nie czekając więc, rozsunął krawędzie i odsłonił kolejną warstwę folii. Przez nią widać było nieco więcej szczegółów, lecz nadal zbyt mało, by mieć pewność, co znajduje się w środku.

Dotknął kolejnej warstwy i zbliżył ją do trzeciej, wewnętrznej. Gdy folie się zetknęły, stały się nieco bardziej przejrzyste. Na ogołoconej ze szczątków ziemi leżało coś przypominającego dużą wojskową skrzynkę amunicyjną.

Zniszczenie namiotu nie zmieniało znacząco sytuacji, w jakiej się znaleźli po przekroczeniu taśmy policyjnej. Nie miało więc znaczenia, czy przetnie następną warstwę. Powstrzymywało go co innego. To, co znajdowało się wewnątrz, nie bez powodu zostało odizolowane od otoczenia. Ci, którzy stawiali tu namiot, nie podejmowali się śledztwem agencji lotniczej i po prostu odrzucili na bok szczątki. Skoro tak zrobili, to znaczyło, że wewnątrz znajduje się coś ważnego.

— Co to jest? — zapytała Kinga, zaglądając mu przez ramię.

— Nie szpital. Twojego męża tam nie ma.

Marek pstryknął kilka zdjęć bez flesza. Nie mógł ich wysłać zdalnie na serwer, więc tylko wyjął kartę pamięci i schował do małej kieszonki kamizelki. Nie niepokojeni przez nikogo, wrócili do wozów strażackich. Zrzucili kurtki i hełmy, po czym spokojnym krokiem wycofali się w las. Fotograf musiał powstrzymywać Kingę, która chciała biec.

— Nie wierzę, że nas nie złapali — powiedziała, gdy dotarli do motoru. — Co było w tym namiocie? Czarna skrzynka?

— Za duże na czarną skrzynkę. Przyjrzę się temu dokładniej na komputerze.

— Odwieź mnie do domu. Czeka na mnie córka.

Oparł się o kierownicę i spojrzał na kobietę. Miała w oczach determinację. Właściwie to mógł jej zwyczajnie zabrać teraz ten telefon. Odrzucił jednak tę myśl. Zamiast tego zapytał:

— Jak chcesz dostać się do pamięci telefonu? Znasz się na tym? Jeśli twój mąż jest informatykiem, to pewnie założył porządne zabezpieczenia. — Kobieta wahała się, więc dodał — chyba chcesz się dowiedzieć, co się tam stało?

Patrzyła gdzieś w przestrzeń, walcząc ze sobą. Potem bez słowa skinęła głową.

* * *

Marek mieszkał w Konstancinie w wili z niewielkim zaniedbanym ogrodem.

Wstawił motor do garażu obok dużej terenówki i poprowadził Kingę do domu. Zarejestrowała, nawet się nad tym nie zastanawiając, że reporter od dawna mieszka sam. Żadna kobieta nie wytrzymałaby w takim bajzlu i albo by posprzątała, albo odeszła. Nie było nawet szczególnie brudno, ale panował tu straszny rozgardiasz. Salon płynnie przechodził w studio, a akcesoria fotograficzne walały się wszędzie, nawet na blacie kuchennym.

Włączył ekspres do kawy i zapraszającym ruchem odsunął krzesło. Ledwo usiadła, zadzwonił jej telefon. Wyszarpnęła go gwałtownie z torebki.

— Halo...?! — Gdy usłyszała głos po drugiej stronie, rozluźniła się, ale była zawiedziona. — Tata jest... w szpitalu. Na obserwacji. Nic mu nie będzie, ale przez jakiś czas chcę go mieć na oku... — Chwilę słuchała. Wyraz jej twarzy się zmieniał. Zamknęła oczy i prawie wybuchła płaczem. Dodała ciszej — to emocje. Wrócę za godzinę. Będę wszystko wiedziała. — Schowała telefon i spojrzała wilgotnymi oczyma na Marka. — W telewizji powiedzieli kilka minut temu, że nikt nie przeżył.

Uciekł wzrokiem i zajął się nalewaniem kawy. O tym, że nikt nie przeżył, wiedział od dawna. Od chwili, gdy zobaczył tamten las.

— Rozmawiałaś z nim — powiedział, żeby powiedzieć cokolwiek.

— Sama już nie wiem... — Ukryła twarz w dłoniach. — Czytałam, że pamięć potrafi czasem oszukiwać. Pamięta się rzeczy, które się nie wydarzyły, albo chronologia się miesza.

Podał jej kawę.

— Daj mi telefon. Spróbuję coś z niego wyciągnąć. Chodź.

Przeszli do małego pokoju na tyłach budynku. Tutaj dla odmiany było nieco sprzętu komputerowego, w tym dwa rozbebeszone pecety i kilka starych monitorów. Marek usiadł w skórzanym fotelu i włączył laptop z wielkim ekranem. Kinga przycupnęła obok na stołku. Obserwowała poczynania reportera, który w świetle słabej lampki rozmontował telefon, wyciągnął z niego kartę pamięci i włożył do laptopa.

Znów zadzwonił telefon Kingi.

— Tak...? — zapytała niepewnie.

— *Cześć kochanie. Co u ciebie?*

— Gdzie jesteś?! — Wstała. — Ja się tu zamartwiam... Kiedy przyjedziesz?! Odebrać cię skądś?

— *Muszę załatwić małą sprawę. Będę trochę później. Nie denerwuj się.*

— Romek... Jaką sprawę? Samolot się rozbił. Ten, którym miałaś wracać. Wiesz, co się stało?

— *Trochę trzęsło.*

— Trzęsło...? Jak... jak to trzęsło? Romek, samolot się rozpadł. Byłam i widziałam. Byłeś... byłeś w tym samolocie? Tam nie ma czego zbierać. Złom i ciała rozrzucone na trzysta metrów.

— *To na pewno efekt pożaru. Nie pamiętam, żeby wyglądało aż tak źle.*

— Zaczekaj. Byłeś w tym samolocie? Gdzie teraz jesteś?

— *Nie denerwuj się. Wszystko w porządku. Dotrę później. Na razie muszę*

kończyć.

— Nie! Zaczekaj!

Spojrzała na wyświetlacz telefonu, jakby chciała znaleźć tam dodatkowe informacje. Ale Romek już się rozłączył, a numer, z którego dzwonił, nie identyfikował się. Usiadła. Po policzkach ciekły jej łzy, ale się śmiała.

— Nic mi się w głowie nie popierdoliło — wyszlochała. — Przecież to był on. Rozmawiałam z nim przed sekundą. To był on! Potrafię rozpoznać głos własnego męża.

— Jeśli tak, to nie było go na pokładzie — powiedział spokojnie Marek. — Widziałas, co tam leży w lesie. Terminator by tego nie przetrwał. Może on nie mówi ci prawdy?

— Jasne, że bym wolała, żeby mnie okłamał i spędził te kilka dni u jakiejś dziwki! — wykrzyczała. — Przecież żyje, a gdyby był na pokładzie, to by nie żył. Prawda?

Pokiwał głową i odwrócił się do laptopa.

— Na karcie pamięci są dwie partycje — powiedział. — Jedna nie jest zakodowana i wygląda na to, że tam są zdjęcia i filmy... Najnowszy plik video został nagrany dziś przed czwartą.

Skopiował go na dysk laptopa i zatrzymał się z palcem nad klawiszem Enter.

— Tak — powiedziała Kinga. — Chcę to zobaczyć.

* * *

Obraz się trząsał, a ludzie krzyczeli. Zawsze na pokładzie znajdzie się parę głupich bab, które drą się przy zwykłych turbulencjach. To jeszcze nic nie znaczy. Wstrząsy są normalne przy wychodzeniu z chmur. A głupie baby zawsze będą się drzeć. To nic nie znaczy.

Grubas w fioletowym swetrze wstał z miejsca, stewardesa kazała mu siadać. Usiadł. Ledwo odeszła, znów wstał, jakby miał pomysł na rozwiązanie problemu lotu numer 346. Przy kolejnym wstrząsie zamachał rękoma, wywrócił się i zaklinował w przejściu między fotelami. Trzęsło coraz bardziej, obraz chwilami stawał się całkowicie nieczytelny.

Kinga rozluźniła mimowolnie zaciśnięte pięści — przecież знаła zakończenie tego filmu. Dziewczyna w białej miniówce przebiegła przed obiektywem i wywróciła się o grubasa. To nic nie znaczy, panikary są wszędzie. Kinga wiedziała o tym. Nie wiedziała tylko, czy Romek był na pokładzie. Dziewczyna wstała i pobiegła dalej przed siebie. Operator nie ulegał panice. Romek zawsze był opanowany. Ten, kto trzymał komórkę, metodycznie filmował kabinę, jakby nic szczególnego się nie działo.

— Widzisz? — Marek wskazał górną część ekranu. — To coś szarawego pod sufitem?

— Jakby dym... — Kinga wzruszyła ramionami. Znała zakończenie filmu, ale nie wiedziała, kto trzyma aparat. — Jedźmy dalej.

— Gdyby to było białe, mógłby to być obłok pary z rozszczelnionej instalacji. Może olej rozpylony pod ciśnieniem...

To coś rzeczywiście wyglądało jak pomniejszona kłębiąca się chmura puszczone w przyspieszonym tempie. Jednak obraz był niewyraźny, a chmura – czy cokolwiek to było – ledwie widoczna.

– Albo i zwykły paproch na obiektywie. – Marek odtwarzał ten fragment raz za razem. – Chociaż nie porusza się razem z aparatem. Może osiadł na chwilę i się odczepił...

– Dalej! – ponagliła kobieta.

Obłok nie pojawił się więcej. Za to przez krzyki przedarł się dźwięk wyjących silników. Operator wypuścił komórkę. Obraz do góry nogami przedstawiał teraz kieszeń na ulotki w fotelu z przodu. Telefon nie spadł na podłogę, bo najwyraźniej wisiał na smyczy. Kinga wpatrywała się w wierzgający obraz, nie zwracając uwagi na bolące od niewygodnej pozycji plecy. Romek używał smyczy podczas podróży. Ale to też nic nie znaczyło! Jeśli ktoś ukradł telefon, to mógł go ukraść razem ze smyczą. Operator wstał, bo w kadrze znalazł się leżący na suficie grubas – film ciągle był obrócony o sto osiemdziesiąt stopni.

– Możesz to odwrócić?

– Potem to obrobie. Obejrzymy do końca. To jeszcze niecała minuta.

Kinga wstała i przechyliła głowę. Przy samym kokpicie dziewczyna w mini szarpała się ze stewardesą. Ktoś odciągnął panikarę. Coraz więcej ludzi wstawało i krzychało. Operator jednak zachowywał się spokojnie. Po kilku sekundach usiadł z powrotem i zapiął pas. W kadrze pojawił się nieostry czarny kształt, w którym – gdy został otworzony – dało się rozpoznać neseser. Neseser... chyba należał do Romka. Kinga nie miała pewności. A nawet jeżeli to jego neseser... to... to znaczy tylko, że ktoś mu zabrał też neseser.

Nieostra dłoń wyjęła z wnętrza słuchawki z długim kablem. Potem neseser poleciał gdzieś w bok. Światła zamigotały. Przez resztę filmu widać było już tylko trzęsący się fotel. Krzyki i hałas narastały, by w ostatnich dwóch sekundach osiągnąć poziom, który mały mikrofon aparatu zarejestrował jako jednolity łoskot.

Zapadła cisza. Gapili się w czarny ekran.

– Czy...? – zaczął Marek, ale tylko westchnął.

– No, powiedz, co?

– Zastanawiam się, czy człowiek w spadającym samolocie może tak po prostu słuchać muzyki i spokojnie filmować własną śmierć.

– Romek jest naukowcem. Zrobiłby to nawet po to, by pomóc odkryć przyczynę... – urwała, bo zrozumiała, co właśnie powiedziała. – Ale to przecież nie on! Nie patrz tak na mnie! To nie on. Przecież z nim rozmawiałam. Nie mam omamów. Byłeś przy tym.

Marek nie wiedział, co odpowiedzieć. Przecież nie słyszał głosu w słuchawce.

– Jego nazwisko jest na liście pasażerów – mówiła wolno Kinga. – Żaden z pasażerów nie przeżył. Ale Romek przeżył, bo z nim rozmawiałam. Jego nazwisko jest na liście, ale on nie wsiadł. Albo jako jedyny jednak przeżył. Albo był tam ktoś o takim samym imieniu i nazwisku. Takie rzeczy przecież się zdarzają...

– Ktoś go okradł. – Marek potarł skronie. – A jeśli okradł, to mógł mu zabrać

też paszport.

Kinga spojrzała na reportera z zaskoczeniem. A potem rzuciła mu się na szyję i zaczęła go obcałowywać.

— Boże, to wszystko tłumaczy! Tak! — Cofnęła się. — Dzwonił z Londynu. Pewnie jest w szoku. Tak, teraz wszystko pasuje! — Grzebała już w torebce. — Mówił jakoś nieprzytomnie. Gdzie jest mój telefon?

— Trzymasz go w ręku.

Odetchnęła kilka razy i wybrała numer.

— Marysiu, kochanie! — Krzyknęła do słuchawki. — On żyje! Nie wsiadł do tego samolotu. Ktoś go okradł i użył jego paszportu. Dlatego jego nazwisko jest na liście pasażerów... Sprawiedliwość jednak istnieje. Wiem, nie mówiłam. Nie mówiłam, bo nie chciałam cię denerwować. Ale on żyje. Pewnie wróci jutro. Nie! Nie jutro! — Wytarła rękawem łzy. — Zadzwoń tam i powiem mu, żeby wracał pociągiem. Autokarem... Zaraz! Nie zadzwonię do niego. Nie wiem, gdzie jest. Obiecał, że on zadzwoni. Kończę. Może przecież dzwonić! — Rozłączyła się i sprawdziła, czy telefon nie jest wyciszony ani nie włączyła się żadna z tych idiotycznych opcji. — Puść mi sygnał — poprosiła reportera. — Muszę mieć pewność, że to gówno dzwoni.

Przedyktowała mu numer. Jej telefon zadzwonił. Uspokojona, schowała go do torebki.

— Chcesz zobaczyć zdjęcia z miejsca katastrofy? — zapytał reporter. — Będę je zaraz obrabiał.

Pokręciła głową.

— Wezwij mi taksówkę, proszę. Teraz muszę być w domu, z córką. Dziękuję ci. Odezwę się, ale teraz... On może wrócić... Pojadę na wypadek, gdyby jednak... gdyby jednak przyleciał innym samolotem. Po prostu chcę być w domu.

* * *

Przez następne pięć dni Romek zadzwonił kilka razy, powtarzając to samo, że ma coś do załatwienia, że zaraz będzie. Kinga nawet nie zdołała z niego wyciągnąć, czy jest w Polsce. Nawrzeszczała na policjantów, którzy przyszli po szczoteczkę do zębów, żeby pobrać próbki DNA. Nie zrobiło to na nich wrażenia. Wzięła urlop, siedziała w domu i obsesyjnie podgrzewała pieczeń, aż ta zamieniła się w wyschnięty czarny kawał węgla. Wieczorami piła, potem budziła się w nocy, nasłuchując kroków na klatce schodowej. Zabroniła Marysi włączać muzykę, żeby nie przegapić dźwięku domofonu. Kilka razy wysłała ją na dół, by sprawdziła, czy nie jest zepsuty.

Gdy wchodziła do łazienki, zostawiała uchylone drzwi i zabierała telefon ze sobą. Zrezygnowała z prysznic, ale wiedziała, że na powrót Romka musi być czysta. Nalewała więc pełną wannę wody z płynem do kąpieli i moczyła się pół godziny, starając się nie pluskać. Gdy we wtorek sąsiad z dołu zaczął wiercić w ścianie, pobiegła tam i nawtykała mu tak, że przestał chyba nawet siorbać przy jedzeniu zupy. Robiła to wszystko, choć jednocześnie wiedziała, że to jest zupełnie pozbawione sensu. Przecież Romek nie zrezygnuje z dostania się do domu tylko

dlatego, że nikt mu nie otworzy po pierwszym dzwonku.

Dziwnym trafem Romek dzwonił wtedy, kiedy Marysi nie było w domu. Nie wiedziała, jak nagrać rozmowę na telefon, więc nagrała ją na dyktafon. Puściła córce. Nie przekonała jej. Przecież to mógł być każdy – tylu jest świrów na świecie, a jedna paranoiczka w domu wystarczy. Marysia nie powiedziała tego oczywiście, ale Kinga widziała to w jej oczach.

Dom zamienił się w świątynię ciszy. Marysia pocieszała ją i naprawdę bardzo się starała. Jednak gdzieś około wtorku nie wytrzymała i powiedziała wprost, że matce odwaliło. Wykrzyczała, że tata nie żyje i obie muszą się z tym pogodzić. Kinga zrobiła jej awanturę, ale gdy tylko za Marysią zamknęły się drzwi, już tego żałowała. W prześwytach logicznego myślenia, kiedy była trochę bardziej trzeźwa, widziała absurdalność sytuacji i dopuszczała wtedy możliwość, że Romek żyje tylko w jej wyobraźni. Potem jednak on dzwonił i znów jej rzeczywistość rozjeżdżała się z rzeczywistością Marysi i chyba całego świata. Córki jednak nie miała już siły za to ganić – ona nigdy nie była mocno związana z ojcem i nie dogadywała się z nim.

W czwartek wieczorem znów prowadzili tę dziwną oniryczną konwersację. Kinga nie wiedziała już, czy rozmawia z prawdziwym mężem, czy ze swoją chorą wyobraźnią. Przypominało to dialog z kimś zahipnotyzowanym lub mówiącym przez sen.

— Czy ty jesteś automatem? — zapytała wprost. — Mówisz to samo. Mówisz, że zaraz wrócisz. Mówisz to samo od pięciu dni.

— *Wiem, że to trochę dziwne, ale... musisz być cierpliwa. To nie zależy ode mnie. Naprawdę, gdybym mógł, to byłbym w domu od soboty.*

— A gdzie jesteś?

— *Nazwa tego miejsca nic ci nie powie. Nawet jej nie znam, prawdę mówiąc. Nie sądzę, żebyś mogła się tu dostać.*

— To jakiś tajny ośrodek rządowy? Szpital? Czemu nie chcesz mi powiedzieć?

— *Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Nie naciskaj. Wrócę, jak tylko tutaj skończę... to naprawdę nie zajmie już dużo czasu. Zadzwoń. Teraz muszę kończyć... Na razie, do zobaczenia.*

— Pa, kocham cię. Wróc.

— *Ja też cię kocham. Wrócę, jak tylko się z tym uporam.*

Ta rozmowa trwała najdłużej ze wszystkich. Romek nadal sprawiał wrażenie nieprzytomnego, ale mówił jakby trochę jaśniej.

Kinga położyła się na kanapie i płakała przez godzinę. To nie miało sensu. Obdzwoniła już z telefonu stacjonarnego wszystkie szpitale, nawet te psychiatryczne, konsulat w Londynie i wszelkie podobne miejsca, jakie tylko przyszły jej do głowy.

* * *

Dbiała, by bateria w telefonie była cały czas naładowana. Wieczorem jak zwykle siedziała przed telewizorem i piła whisky z colą w proporcji 1:10. Nawet nie chciało jej się dorzucać kostek lodu. Informacje o katastrofie prawie już znikły z serwisów

informacyjnych, co wywoływało w niej irracjonalne oburzenie. Wreszcie wyłączyła telewizor i została sama z butelką.

Wpatrując się w wyświetlacz telefonu, niechętnie odkryła funkcję nagrywania rozmowy. Obiecała sobie użyć jej, gdy Romek zadzwoni następnym razem.

Marysia wróciła, podgrzała w mikrofalówce pizzę. Przyniosła jej dwa kawałki i szklanekę multiwitaminy. Nie odezwała się słowem. Kinga przestała się już nawet kryć przed córką z piciem. Zresztą wystarczyło na nią spojrzeć, by domyślić się, skąd te podkrążone oczy i szara skóra.

Zjadła pizzę, gdy ta już wystygła, a potem położyła się spać.

Noc minęła tym razem spokojnie. Gdy zadzwonił telefon, było już rano. Natychmiast otrząsnęła się ze snu, wcisnęła zieloną słuchawkę i przycisk nagrywania.

— Romek?!

— *Nie... Dzwonię z lotniska. Czy pani Kinga Bednarz?*

— Tak, to ja. Ma pan informacje o moim mężu? Odnalazł się?

— *Nie, ja w innej sprawie...* — Głos w słuchawce był wyraźnie zakłopotany. — *Może pani przyjechać po rzeczy męża.*

* * *

Port lotniczy pracował normalnie, jakby katastrofy zdarzały się tak często, że nie warto o tym zbyt długo pamiętać. W tłumie mignęła jej znajoma twarz. Kinga z bijącym sercem podążyła w tamtą stronę, choć przecież wiedziała, że to nie Romek.

Znajoma twarz spojrzała na nią spod czapki z orzełkiem.

— O, to pani — powiedział policjant. — Niestety, już go tu nie ma.

— Był tu...?! — Spojrzała na niego z zaskoczeniem i nadzieją.

— Stał tu dwa dni, ale dłużej się nie dało. — Wyjął notes, zapisał w nim coś i wydarł kartkę. — Tu ma pani numer parkingu policyjnego. Po wpłacie kaucji będzie pani mogła odebrać samochód. Radzę to zrobić jak najszybciej — tam słono sobie liczą za postój.

Samochód... Zapomniała, że ma samochód. Skinęła głową i schowała kartkę. Zapytała jeszcze, gdzie jest pokój dwieście dwanaście, i poszła we wskazanym kierunku. Recepcjonistka, gdy usłyszała numer, przybrała poważniejszy wyraz twarzy i jakby przeproszający ton głosu. Po minucie pojawił się niski mężczyzna w garniturze i z ponurą miną poprowadził ją korytarzami do drzwi z tabliczką „212”.

Pokój był mały, z oknem wychodzącym na płytę lotniska. Po płycie kołowały samoloty, jakby nic się nie wydarzyło, jakby w tamtą sobotę ktoś wyzerował licznik i statystyka zapewniała wszystkim kilkanaście lat bez katastrof. Mężczyzna wskazał jej krzesło, sam usiadł za biurkiem i spojrzał na nią smutno. Służbowy smutek, pewnie dostaje za to premię, a gdy żałobnik wychodzi, facet odpala joemonstera, pomyślała.

— Bardzo mi przykro z powodu męża. Wszystkim nam... To naprawdę...

— Niech pan da spokój — poprosiła.

Skinął głową i sięgnął do szuflady biurka. Położył na blacie przedmiot

wyglądający jak czarna matowa cegła z lekko zaokrąglonymi rogami.

— Poznaje pani?

— Nigdy tego nie widziałam. — Pokręciła głową.

— Pod spodem jest naklejka z imieniem i nazwiskiem pani męża. — Mężczyzna przeglądał papiery chyba tylko po to, żeby nie patrzeć jej w oczy. — Staramy się przekazać wszystkie osobiste przedmioty rodzinom. Mogą mieć wartość... niematerialną. Tu proszę podpisać. — Podsunął kartkę. — Mogę też powiedzieć, że już wiemy... Przyczyną katastrofy była awaria mechaniczna. To pewne. Na raport końcowy poczekamy co najmniej miesiąc, ale oficjalny komunikat będzie dziś wieczorem. Mówię, żeby pani wiedziała już teraz.

— Nigdy wcześniej tego nie widziałam. — Kinga patrzyła na przedmiot. — Nie wiem, czy to należy do mojego męża.

— To może należeć do firmy, w której pracował, ale nie mamy jak tego stwierdzić. Pani decyzji zostawiamy więc, co z tym... To już jak pani zadecyduje. To było w jego neseserze. Sam neseser, no cóż... wyglądał jak wyjęty z pieca. Zgodnie z zaleceniami nie zwracamy tak zniszczonych... — Mężczyzna umilkł. Widać zdał sobie sprawę, że zapędził się chyba za daleko. — To coś ma chyba tytanową obudowę i izolację termiczną. Trochę oczyściliśmy i... Spakuję to pani.

Włożył pudełko w reklamówkę i wstał. Kinga też wstała. Gdyby to nie dotyczyło jej samej, ta torebka z logo linii lotniczych wydałaby się jej przejawem czarnego humoru.

— Przejdźmy jeszcze do hangaru. — Mężczyzna wskazał drzwi. — Tam zgromadziliśmy przedmioty, których właściciele nie udało się ustalić. Jeżeli rozpozna pani coś...

— Nie — pokręciła głową. — Nie chcę. Nie chcę przedmiotów. Chcę męża.

— On... — Mężczyzna westchnął. — Ogromnie mi przykro. Tylko kilka ciał nadaje się do identyfikacji. Żadne z nich... Mam na myśli, że... nikt z tragicznie zmarłych... Nie prosiliśmy więc, by pani... Wciąż poszukujemy szczątków z DNA... Może jednak przetrwało coś, co do niego należało.

— Mówi pan o nim w czasie przeszłym.

Mężczyzna w zakłopotaniu potarł policzek i wyjął coś z pudełka na biurku.

— Tu ma pani numer psychologa, który... — Wręczył jej wizytówkę. — Jeśli pani będzie potrzebowała pomocy, to... to pomoc jest bezpłatna. Pierwsze dziesięć wizyt jest za darmo.

— Dziękuję. — Wrzuciła wizytówkę luzem do torby.

Wstała i wyszła, ściskając pod pachą reklamówkę z czarnym pudełkiem. Nie zamierzała zgłaszać się do żadnego psychologa. W ogóle niczego nie zamierzała.

* * *

Pudełko położyła na półce nad telewizorem. Nie miała pojęcia, ani co to jest, ani czy jest ważne. Być może powinna je oddać do firmy Romka, ale nie chciała się pozbywać rzeczy, którą jej mąż jako ostatnią miał przy sobie. Nazwała je „To”, a właściwie nie nazwała, tylko tak zaczęła je określać w myślach. Jakoś musiała, bo To

stało się teraz centrum jej świata.

Godzinami gapiała się na czarną powierzchnię Tego, dzięki czemu zauważyła, że raz na godzinę błyska mała zielona dioda, potwierdzająca zapewne, że To działa. Czasem brała To w dłonie i oglądała ze wszystkich stron. Na jednej ze ścianek, pod klapką na sprężynce, znalazła kilka gniazd przypominających te z boku jej laptopa. Nie dostrzegła za to żadnych włączników, więc najpewniej był to fragment większej całości, dodatek do czegoś, nad czym Romek pracował w firmie.

Szef Romka okazał się w porządku. Pomógł jej pozałatwiać sprawy związane z pogrzebem, czy też imitacją pogrzebu, bo przecież trumna była pusta – ciała ani żadnych szczątków pasujących do jego DNA nie znaleziono. Kinga zgodziła się podpisać dokumenty tylko przez wzgląd na Marysię, żeby jej wyprostować sytuację w papierach. Miała przecież wkrótce zdawać do liceum.

Cykl powtarzał się. Gdy była już pewna, że Romek naprawdę nie żyje, on dzwonił i mówił to samo, co przedtem, że już prawie skończył załatwiać swoje sprawy, że wkrótce przyjedzie. Czasem udawało jej się zmusić go do wspomnień. Po każdej z tych rozmów płakała, ale od nowa zyskiwała pewność, że to on, prawdziwy. Że gdzieś jest i w końcu wróci. To musiał być on. Znał przecież takie szczegóły, o których nie mówi się nikomu.

Miesiąc później zrobiła coś, co na kilka dni zepchnęło ją na skraj depresji. Zadzwoniła do pracownika portu lotniczego, tego, który dał jej To, i tak długo go męczyła, aż zgodził się skopiować dla niej nagranie ochrony z Heathrow. Ujęcie z trzech kamer pokazywało pasażerów przed *gate'em*, w rękawie i wreszcie w drzwiach samolotu. Romek był na wszystkich trzech. Wsiadł do samolotu, a drzwi się za nim zamknęły. Przecież nie mógł wysiąść innymi drzwiami. Przecież to nie był fotomontaż. Po co miałyby być? Żeby oszukiwać zwykłą kobietę, jakich miliony? Resztką rozsądku przyjęła do wiadomości prostą informację, że wsiadł na pokład.

Teraz jej obraz świata tym bardziej się nie domykał, ale zaprzestała prób łatania tej dziury w swojej rzeczywistości.

Na jesieni zmieniła pracę, zatrudniając się na pół etatu. W nowym miejscu nikt nie znał jej przeszłości. Mogła wystartować od zera. Ale Romek wciąż dzwonił. Rzadziej niż na początku, raz na kilka dni, raz na tydzień. Zawsze po krótkiej euforii, bo przecież znów obiecał, że wróci, wpadała w czarną studnię depresji odbierającej wszystko. Wtedy znów piła aż do zapomnienia. Następnego dnia budziła się z potwornym kacem, ale mogła dalej żyć. Do następnego telefonu.

Odkurzała To, położyła nawet pod spód serwetkę, choć zarysowanie czarnej skrzynki wydawało się niemożliwe, skoro przetrwała katastrofę. Żyła w takim zawieszeniu, w rozpięciu od telefonu do telefonu, przez wiele miesięcy, aż ta dziwna żaloba zaczęła jej ciążyć. Czula to, choć jednocześnie stanowczo odrzucała tę myśl. Gdzieś w połowie lutego nie odebrała rozmowy z nieidentyfikującego się numeru. Celowo odrzuciła połączenie. Uznała, że ma dość. Przez resztę dnia udawała, że zaczyna nowe życie.

Wieczorem z płaczem dziesiątki razy odsłuchiwała zapisaną wiadomość, w której Romek mówił to, co zwykle, ale tak smutnym głosem, jak nigdy dotąd.

* * *

Marysia od kilku tygodni chodziła z nowym chłopakiem, który na matce zrobił zdecydowanie lepsze wrażenie. Żeby było śmieszniej, też nazywał się Mariusz.

Dziewczyna wyjechała na obiecany obóz. Kinga została sama na dwa tygodnie. Sama z Tym i z telefonem. W pracy funkcjonowała jako tako, ale w domu bez córki popadała w stan otępienia. Gdyby miała w Warszawie jakąś rodzinę, może byłoby łatwiej.

Gapiała się w To, czekając na kolejne mrugnięcie zielonej diody, zupełnie jakby się spodziewała, że stanie się coś innego, niespodziewanego. Nic się jednak nie działo. Brak Marysi – której zwykle przygotowywała posiłki, robiła pranie i z którą czasem, ściskając w dłoni telefon, oglądała odcinek serialu – sprawiał, że jej rzeczywistość wciąż rozjeżdżała się z rzeczywistością świata poza mieszkaniem. Opuściła kolejną imprezę firmową, wymigując się obowiązkami domowymi. Pilnowała, by nikt z jej nowych współpracowników nie dowiedział się niczego o jej życiu prywatnym, a już szczególnie o wydarzeniach sprzed roku.

Coś się jednak zmieniło. Dom nie był już świątynią ciszy. Przestała czekać na sygnał domofonu, choć nadal odbierała każdy telefon, nim wybrzmiał pierwszy dzwonek. Żyła, a rytm jej życia wciąż wyznaczały telefony z nieidentyfikującego się numeru. Romek stracił materialną postać, był już tylko głosem. Podczas wyjazdu Marysi zadzwonił dwa razy i mówił mniej więcej to samo. Za drugim razem udało jej się porozmawiać z nim dłużej. Wspominali pierwsze spotkanie, kiedy to oboje śmiertelnie się na siebie obrazili za jakąś bzdurę, za jakieś nieporozumienie. Właściwie ich związek rozpoczął się od tego, że zapragnęli się przeprosić. To było siedemnaście lat temu. Pod koniec rozmowy Romek nawet się zaśmiał. Ale zaraz spoważniał i powiedział jak zwykle, że musi kończyć i że ma tam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Sprawdziła potem czas połączenia – prawie godzina. Najdłużej.

Nalała sobie drinka w proporcji 1:1. Gdy Marysi nie było w domu, piła więcej, bo jednak przy niej się hamowała. Sącząc drażniący gardło płyn, myślała. Dolewała whisky, coli i myślała dalej. Przez trzy mignięcia zielonej diody, czyli ponad trzy godziny. Przez ten cały rok przeanalizowała wszelkie możliwości, łącznie z tą szaloną, że Romek został porwany, ale ma dostęp do telefonu. To wszystko nie miało sensu.

W końcu wymyśliła, co powinna zrobić, i nim utonęła w pijackim śnie na kanapie, obiecała sobie, że to właśnie uczyni.

* * *

Zygmunt zmienił numer telefonu, ale Kinga ubłagała sekretarkę, by podała jej nowy. Zadzwoniła i poprosiła o spotkanie. Sprzedał firmę i zajmował się teraz czymś innym, ale znalazł czas dla żony byłego współpracownika. Umówił się z nią na kawę.

Spotkali się w kawiarni na Nowym Świecie.

— Schudłaś — próbował być uprzejmy.

— Raczej postarzałam się o dziesięć lat — odparła. — Ale miło, że się starasz.

Przełknął to.

— Jak ci się żyje? Uporządkowałaś swoje sprawy?

— Nie bardzo. Szczerze mówiąc, nie pogodziłam się z jego śmiercią.

Zygmunt sprawiał wrażenie zakłopotanego. Być może miał poczucie winy, w końcu to on wysłał Romka na tę konferencję. Akurat o tym Kinga nie pomyślała ani razu.

— Z takimi sprawami trudno się pogodzić. — Zygmunt obracał między palcami szklankę z kawą latte. — Czasem musi minąć dużo czasu.

Banały, ale to przecież zrozumiałe. Nie zamierzała tego analizować.

— Ja się nie pogodziłam. Dosłownie się nie pogodziłam. Wierzę, że on żyje.

Zygmunt spojrział z zaskoczeniem. Tak się patrzy na przyjaciela sprzed lat, który nagle oznajmił, że wierzy w krasnoludki. Jeśli nawet chciał coś powiedzieć, uprzedziła go. Wyjęła z torby To i położyła na stoliku. Akurat błysnęła dioda.

— Wiesz, co to jest?

Spojrzenie Zygmunta wystarczyło jej za odpowiedź. Dotknął matowej obudowy.

— Zmieniłem branżę — powiedział po namyśle. — Teraz handluję farbami.

— Ale wiesz, co to jest.

Przełknął ślinę. Nie przytaknął, choć chyba chciał.

— Zamknęliśmy projekt, ale Romek uparł się go kontynuować. Wtedy do Londynu poleciał szukać inwestorów. To była jego inicjatywa. Bardzo mu na tym zależało. Nie udało mu się nikogo przekonać. No, a potem ta tragedia... Musisz wziąć się w garść. Musisz zacząć nowe życie. Nie możesz żyć w takim zawieszeniu. Zaczynaj na nowo.

Dotknął jej ramienia. Pokiwała głową.

— Nie wiem, co jest prawdziwe — powiedziała. — On... Romek dzwoni do mnie czasem. Wczoraj dzwonił. Rozmawiamy. Nie potrafię tego wyjaśnić. Kilka rozmów nagrałam, żeby mieć dowód. Próbowałam je dać policji, to potraktowali mnie jak wariatkę, oszalałą z bólu po stracie męża. Ale ja wiem, że on gdzieś jest, w jakimś szpitalu, może w więzieniu. Jak o tym myślę teraz, to wydaje mi się, że mam złudzenia. Ale kiedy dzwoni, wtedy wierzę, że on żyje. Przecież z nim rozmawiam.

Zygmunt pokiwał głową. Kilkoma szybkimi łykami dopił resztę latte jak oranżadę. Wstał.

— Muszę iść — oznajmił głosem człowieka, który może się wreszcie uwolnić od niewygodnej sytuacji. — Praca.

Rzucił jeszcze jedno szybkie, strachliwe spojrzenie na To i odszedł, nie oglądając się więcej. Kinga zobaczyła przyciśnięty szklanką banknot dziesięciozłotowy i nie wiedziała, czy jest to powód, by się obrazić. Postanowiła się nie obrażać. I tak nie miało to znaczenia, bo nigdy więcej nie zamierzała spotkać Zygmunta.

Położyła drugi banknot pod spodeczkiem swojego espresso. Schowała To i wyszła.

Następnego dnia nie wytrzymała. Gdy Romek zadzwonił, była już po trzech szklankach i krążyła po domu, trzymając się ścian. Zażądała, żeby albo jej powiedział, gdzie jest, albo przestał dzwonić. Powiedział tylko „przepraszam” i rozłączył się. Rozryczała się wtedy i krzyczała do martwego telefonu, że nie to chciała powiedzieć, że odwołuje te słowa i niech znów zadzwoni.

Wyrzuciła do kubła na śmieci opróżnioną do połowy butelkę Old Smugglera, ale szybko ją wyjęła i odstawiła na miejsce. Wiedziała, że jedyne, co może ugrać, pozbawiając się whisky, to wycieczka do nocnego. Ale tej nocy więcej nie piła.

Rano, a właściwie przed południem, bo to była sobota, wymyśliła nowy plan działania. Wygrzebała numer Marka. To jedyny człowiek, który mógł jej uwierzyć. A nawet jeśli nie uwierzyć, to był tam wtedy z nią i z tego powodu czuła z nim jakąś więź. Nieważne. Po prostu chciała poprosić go, żeby jej pomógł. Reporter wie więcej od przeciętnego człowieka. Musi wiedzieć więcej, skoro jest pierwszy w miejscach, gdzie coś się dzieje.

Dzwoniła wcześniej do dwóch agencji detektywistycznych. Odmówili przyjęcia zlecenia, co w sumie dobrze o nich świadczyło. Nie chcieli naciągać wdowy, która opowiada o mężu cudem uratowanym z katastrofy i uwięzionym nigdzie bądź z nieidentyfikującym się telefonem pod ręką. Postanowiła, że nie zacznie od zniechęcenia Marka podobną opowieścią. Powie, że chce się spotkać, a wtedy wszystko będzie łatwiejsze.

Powstrzymała się przed wypiciem na odwagę. Powinna mieć jasny umysł, żeby szybko się przedstawić. Minął rok i on mógł jej nie pamiętać. Przygotowała sobie dwuzdaniowe przypomnienie i wykręciła numer. Odebrała kobieta o głosie zmęczonym jak jej własny.

— Dzień dobry. Nazywam się Kinga Bednarz. Czy mogę rozmawiać z Markiem?

— *Marek... nie żyje.*

Na to nie była przygotowana.

— Jak to...? — wydusiła z siebie.

— *Zabili go.* — Głos po drugiej stronie był ledwo słyszalny.

— Kiedy to się stało? Kto...?

— *Rok temu. W noc po tamtej katastrofie.* — Kobieta szeptała. — *Zabili go za zdjęcia, które wtedy zrobił. Zabrali wszystko.*

Czyli Marek mieszkał sam.

— Kim pani jest?

— *Matką. Jestem jego matką.* — Rzuciła słuchawką.

Przez resztę dnia i cały wieczór myśli Kingi krążyły wokół przeróżnych teorii spiskowych. Marka zabili, a Romka uwięzili, bo obaj wiedzieli, co spowodowało katastrofę. Bo to nie był wypadek. Romek przeżył jako jedyny, więc go uwięzili. To było proste, skoro większości ciał nie udało się zidentyfikować. Nikt nie liczył palców, piszczeli, butów. Jego DNA tam nie znaleźli.

W zamyśleniu poszła do kuchni i dopiero przed szafką z alkoholami zrozumiała,

po co przywiodły ją tu nogi i zwierzęcy mózg. Nie, nie będzie piła. Naprawdę nie będzie piła. Otworzyła szafkę i wrzuciła butelkę do kubła. A potem dla pewności, zanim zmieni zdanie, poszła wyrzucić śmieci.

* * *

Wieczorem odwiedziła nocny i kupiła nową butelkę Old Smugglera. Litrową. Stoczyła długą walkę, poddała się i odkręciła nakrętkę. To było do przewidzenia, i tak większym poniżeniem byłoby przegrzebywanie kontenera w poszukiwaniu butelki wyrzuconej rano.

Romek nie zadzwonił. Nie było w tym nic dziwnego, bo nie dzwonił regularnie. Czasem musiała czekać dwa dni, czasem osiem. Kinga żyła w ciągłym oczekiwaniu. Ale teraz było inaczej. Teraz upijała się samotnie, zapadnięta na środku kanapy, przed wyłączonym telewizorem i migającym raz na godzinę Tym. Telefon leżał w zasięgu ręki. Najbardziej się bała, że Romek nie zadzwoni już nigdy. Tego by sobie chyba nie potrafiła wybaczyć. Po tym, co mu powiedziała.

Telefon zadzwonił około siedemnastej. To była Marysia – wróciła właśnie z obozu i nie zastała matki na parkingu, na który przyjechał jej autokar. Kinga wzięła taksówkę. Rozmowa z opiekunką grupy skończyła się po kilku słowach, gdy tamta poczuła alkohol. Kinga nie zamierzała się tłumaczyć.

Wróciły taksówką w milczeniu. Głównie chyba dlatego, że Kinga nie chciała zdradzić się przed kierowcą, że piła. Jakby facet nie wiedział, akurat.

— Jak było? — zapytała w windzie.

Marysia wzruszyła ramionami.

— Jakoś.

I to było wszystko, co usłyszała, nim drzwi pokoju córki zatrzęsnęły się. Kilka sekund później zabrzmiała muzyka. Kinga zagryzła wargi. Zawsze sądziła, że zdoła utrzymać z córką związek oparty na zaufaniu i że dowie się na przykład o jej pierwszym razie z chłopakiem. Najwyraźniej nie uda się. Dystans, jaki utrzymywała Marysia, wynikał chyba właśnie z tego, że nie chciała o tym rozmawiać z matką. Źródło jej zamknięcia się w sobie leżało gdzieś poza percepcją Kingi. Może zapatrzona w To przeoczyła przemianę, jaka dokonała się w córce przez ostatni rok? Nie rozmawiały za dużo, to prawda. Piersi Marysi powiększyły się prawie dwukrotnie, odkąd zaczęła się spotykać z nowym chłopakiem. Ale na obóz pojechała sama. Kogo tam poznała, nie wie nikt. I nikt się nie dowie, a już na pewno nie Kinga.

Następne pół godziny spędziła w kuchni, wpatrując się w zegar w mikrofalówce. Córka wraca po dwóch tygodniach i pierwsze, co robi, to zamyka się we własnym pokoju, kwitując ostatnie dwa tygodnie słowem „jakoś”. Trudno o większą porażkę rodzicielską.

Przyszedł Mariusz, ten „nowy Mariusz”, jak Kinga nazywała go w myślach; przywitał się uprzejmie i od razu zniknął w pokoju Marysi. Muzyka stała się jeszcze głośniejsza. Myśli Kingi powróciły do Marka i do tego, co poprzedniego dnia powiedziała jego matka. Zabili go za zdjęcia, które wtedy zrobił. Wyjęła z szuflady

telefon Romka, a z telefonu kartę pamięci. Włożyła ją do laptopa i odtworzyła film. Nie oglądała go od roku. Nie chciała tego robić, ale teraz kilkakrotnie obejrzała całe nagranie. Udało jej się powstrzymać łzy.

Zatrzymała nagranie na klatce, na której widać wnętrze neseseru. Wewnątrz leżało To. Obraz był niewyraźny, ale nie miała wątpliwości. Z Tego wychodził kabel, gruby, jak te od żelazka. Łączył się z zamazanymi słuchawkami, dużymi, jakich używają audiofile, żeby odizolować zewnętrzne dźwięki.

Romek nie był audiofilem.

Kinga przyniosła To z półki obok telewizora. Obejrzała czarną obudowę ze wszystkich stron. Potem otworzyła klapkę. Dostrzegła kilka gniazd, takich jak w komputerze. Nic jej to nie mówiło. Nie знаła się na tym i nie przychodził jej do głowy nikt, prócz Zygmunta, kto mógłby jej pomóc.

Obejrzała się na drzwi do przedpokoju. Dobiegała stamtąd muzyka, której nie potrafiła nawet zidentyfikować. Wysłała do Marysi SMS-a:

Poproś Mariusza, żeby przyszedł do salonu.

Kolejna porażka rodzicielska. Minęło kilkanaście sekund, nim muzyka za ścianą ucichła. Po chwili chłopak stanął w drzwiach. Był wyraźnie zakłopotany, jakby oczekiwał, że Kinga zacznie go wypytywać, co przed chwilą robili.

— Znasz się na komputerach?

— Trochę — przyznał z ulgą. — Coś się pani zepsuło?

— Nie wiem, jak to podłączyć do laptopa. — Uniosła w dłoni To. — Nie wiem, czy się w ogóle da.

Mariusz wziął od niej To i chwilę obracał w dłoniach. Jego mina świadczyła o tym, że też nie wie, co to jest. Przyjrzał się gniazdom i orzekł:

— To jakiś przedpotopowy dysk zewnętrzny albo urządzenie wojskowe. Gniazda trochę dziwne. To duże, z setką styków, to może być jakieś bardzo stare złącze SCSI, albo coś... Ale tu jest port USB. Jeśli pani chce, możemy to podłączyć. Kabel od telefonu powinien pasować.

— Masz taki kabel?

— Marysia ma. Zaraz przyniosę.

Wrócił po chwili z kablem. Marysia też przyszła, zainteresowana zamieszaniem. Z założonymi rękoma oparła się o framugę. Mariusz podłączył To do laptopa i klikał chwilę myszką.

— Widzi go — oznajmił. Dioda na Tym zaczęła migać w odstępach kilkusekundowych. — Tu jest kilkanaście gigowych plików, zapisywanych w odstępach sekundowych. Nie wiem, co to za pliki, ale to pudełko to naprawdę szybki sprzęt.

— Wiesz, co to jest? — zapytała Kinga, czując, jak wali jej serce. — I co to za pliki?

— Jak mówiłem, najwidoczniej jakiś dysk. A pliki... nie mam pojęcia. To pewnie dane z jakiegoś specjalistycznego programu. Żeby je otworzyć, trzeba mieć ten program. Jest tu jeszcze kilka katalogów... Są zabezpieczone przed dostępem. To robota dla informatyka. Mogę popytać, co to jest. Wrzucę kawałek na fora.

Telefon Kingi zadzwonił. Odruchowo, jak zawsze, odebrała od razu.

— *Cześć, kochanie. To ja.*

— Romek... — Poderwała się z kanapy.

Marysia wywróciła oczami i pufnęła z pogardą.

— *Powiedziałaś ostatnio, żebym nie dzwonił...*

— To nie tak! — powiedziała szybko i wyszła z pokoju. — Ja tak nie myślałam. Powiedziałam tak tylko... ale nie chcę, żebyś przestał dzwonić. Jeśli nie możesz powiedzieć, gdzie jesteś, nie mów. Ale nie znikaj. Proszę.

Rozmawiali długo, o wszystkim i o niczym. Kinga nie mogła się powstrzymać, żeby kilka razy nie zapytać o jakiś szczegół, który znać mógł tylko on. A on odpowiadał. Na koniec obiecał, jak zawsze, że wróci, jak tylko domknie kilka pilnych spraw.

Gdy Kinga weszła do salonu, Mariusza już nie było. Córka spojrzała na nią zapłakanymi oczyma. Laptop wyświetlał ostatnią klatkę filmu z telefonu jej ojca.

* * *

Nazajutrz Kinga wróciła z pracy i zapadła na swoje miejsce na kanapie przed telewizorem, a raczej przed Tym, bo telewizor włączała tylko na wieczorny serwis informacyjny. Dioda mignęła dwa razy, zanim Marysia wróciła ze szkoły. Matka zerwała się z kanapy na dźwięk dzwonka domofonu.

— Mariusz mówił, czy się czegoś dowiedział? — zapytała, gdy tylko córka stanęła w drzwiach.

— Nie przyszedł dziś do szkoły. — Marysia wzruszyła ramionami. — Nie odbiera telefonu. Widocznie uznał, że mam walniętą matkę i lepiej się ze mną nie kumpłować.

— Nie jestem... Po prostu żyję w zawieszeniu. Nie wiem, co się stało z twoim ojcem. Myślałam, że zawartość Tego pomoże coś ustalić.

— Byłyśmy na pogrzebie.

— Zakopali pustą trumnę.

Córka spojrzała na matkę inaczej niż zwykle i zapytała:

— On naprawdę do ciebie dzwoni? To na pewno on? Jak znów zadzwoni... daj mi z nim porozmawiać.

— Nie wierzysz mi.

— A ty byś uwierzyła? Jeśli nawet wykorzystał katastrofę, jeśli uciekł i nas zostawił, jeśli ma nową rodzinę, to po co dzwoni? To nie ma sensu.

— Nie wiem. Szukam rozwiązania od początku, ale to... Może za głupia jestem.

— Jak następnym razem zadzwoni, chcę z nim porozmawiać.

Kinga stłumiła w zarodku złość. Młoda miała przecież rację. To było kompletnie bez sensu.

Do wieczora zdołała podjąć decyzję, że spełni życzenie córki. Włączyła telewizor, by przez pół godziny pluł w nią informacjami, przeważnie złymi. Marysia usadowiła się obok z miską chipsów na kolanach. Od kiedy zobaczyła nagranie z katastrofy, część dzielącego je od roku dystansu znikła.

Pierwszy *news* wtłoczył je obie w oparcie. Film z telefonu Romka z komentarzem, że w internecie znaleziono nagranie, które zdaniem ekspertów jest autentyczne.

— Wrzucił to na You Tube'a — stwierdziła po namyśle Marysia. — A to kretyn! Dlatego bał się dziś przyjść do szkoły.

Kinga zacisnęła pięści. To było jak rozgrzebanie grobu.

— Nie chcę go więcej widzieć w tym domu — syknęła. — Nie waż mi się go tu sprowadzać.

* * *

Następnego dnia wydarzyło się coś jeszcze gorszego. Kinga poczuła ukłucie niepokoju, gdy zobaczyła przed blokiem radiowóz. To jeszcze nic nie znaczyło, pewnie każdy z wracających do domu mieszkańców czuł się nieswojo na jego widok. Ale gdy wysiadła z windy, zyskała pewność. Drzwi jej mieszkania były uchylone. Marysia? Najpierw pomyślała o niej, że... Rzuciła się biegiem do drzwi. W progu wpadła na policjanta, który wyszedł na dźwięk jej kroków.

— Czy coś jej się stało?! — krzyknęła, próbując zajrzeć do mieszkania.

Policjant odsunął ją ręką.

— Kim pani jest? Pani tu mieszka?

— Tak! Co się stało?

— Proszę okazać dokumenty. — Na mężczyźnie jej zdenerwowanie nie robiło wrażenia.

Zaczęła przewalać zawartość torby, choć najchętniej przebiłaby się do wnętrza. Wyszarpnęła dowód osobisty i podała policjantowi, który zaczął starannie studiować dokument. Wewnątrz mieszkania kręciły się co najmniej dwie osoby. Kinga czekała na błysk flesza aparatu fotografującego zwłoki.

— Mogę już wejść?

— Proszę. — Oddał dokument. — Sąsiedzi zgłosili włamanie.

Przepuścił ją. Weszła i rozejrzała się. Wszystko wyglądało normalnie.

— Tylko włamanie?

— Ktoś zadzwonił anonimowo, że drzwi są otwarte.

Pozostali dwaj mundurowi obdarzyli kobietę przelotnym spojrzeniem.

— Musi pani sprawdzić, co zginęło — powiedział ten, który ją wpuścił.

Najpierw sprawdziła wszystkie pomieszczenia, by się upewnić, że nie ma śladów krwi albo... Marysia miała wrócić ze szkoły najwcześniej za godzinę. Nie, nie było jej tu. Spokojnie obeszała mieszkanie i sprawdziła miejsca, gdzie przechowywała biżuterię i teczkę z papierami urzędowymi. Nie trzymała w domu cennych przedmiotów, nie licząc elektroniki. Komputer i wieża w pokoju Marysi stały na swoim miejscu. Kilka szuflad było wysuniętych, szafa otwarta, ale nikt chyba nawet do nich nie zajrzał. Telewizor w salonie, tuner satelitarny, DVD...

I wtedy zobaczyła pustą serwetkę. Puste miejsce po Tym. Dopadła do szafki telewizyjnej, zajrzała za nią, pod spód, odsunęła ją od ściany. Nie ma.

Usiadła na kanapie i dopiero po kilku sekundach zdołała wydusić:

— Zginęło To...

— To znaczy co?

To nie miało innej nazwy.

— Czarne pudełko wielkości cegły z migającą raz na godzinę zieloną diodą.

Policjant spojrział na nią podejrzliwie.

— Do czego służył ten przedmiot? Był cenny?

Kinga otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Nie wiedziała przecież, do czego służy To. Nie wiedziała, czy jest cenne. Nie wiedziała nawet, jak nazwać To, żeby policjant zrozumiał.

— To był elektroniczny... dysk twardy mojego męża. Mąż zginął rok temu, a to była pamiątka. Ostatnia pamiątka po nim.

Policjant bez przekonania wypełnił kilka stron dokumentów i dał jej do podpisania. Na koniec powiedział, że mimo ich starań, ich, czyli policji, takie rzeczy się zdarzają. Wręczył jej wizytówkę ślusarza, żeby wymieniła zamki, i poszedł, zabierając pozostałych.

Poczuła, że wyrwano kawałek jej świata. Do powrotu Marysi siedziała, gapiąc się bezmyślnie w puste miejsce po Tym.

— Mariusz nie chciał rozmawiać — powiedziała córka, gdy tylko weszła do mieszkania. — Był zestrachany jak nigdy. Unikał mnie, a jak go przyparłam, powiedział wreszcie, żebym zapomniała o pudełku i o nagraniu, bo mogą z tego być tylko kłopoty. — Dopiero teraz zobaczyła, że matka zachowuje się jeszcze dziwniej niż zwykle. — Co się stało?

— Zabrali To. — Kinga wskazała półkę obok telewizora. — Włamali się.

Marysia patrzyła na puste miejsce, potem wróciła do drzwi i zauważyła uszkodzony zamek.

— Coś jeszcze zginęło? — zapytała.

Kinga zaprzeczyła ruchem głowy i rzuciła się do telefonu, który właśnie zadzwonił.

— Tak...?!

— *Badam tę sprawę od samego początku.* — Głos w słuchawce szeptał. To nie był głos Romka. — *Badam w tajemnicy. Dopiero teraz pozwoliłem sobie na pierwszy kontakt. Jest pani w niebezpieczeństwie.*

— Kim pan jest?

— *To nieistotne. I niebezpieczne. Jeśli ja wiem, że to nagranie wykonał pasażer z miejsca 26C, to oni też się dowiedzą. Nie dadzą pani żyć. Bo to można policzyć: liczba rzędów, kąt, pod jakim filmowano. Wszystko da się policzyć. Robiłem modele, schematy. Nawet samolotem poleciałem. Takim samym. Dotarłem do dokumentów. Do tajnych dokumentów. Wiem, że pani mąż siedział na miejscu 26C. Z tego miejsca filmowano. Ten samolot złapał coś, co im uciekło. To tajne. Dlatego spadł, dlatego potem zginęły już trzy osoby. A zginie może i więcej, jak będzie trzeba. To ich metody. Oni działają na innych poziomach. Są ponad prawem.*

— Jacy oni?

— *No, oni. Oni. Nie pozna ich pani. Lepiej ich nie poznawać. Nie można ich poznać i dalej żyć jak przedtem. Dowiedzą się, że to pani, i panią znajdą.*

— Już tu byli — powiedziała cicho.

W odpowiedzi nieznajomy rozłączył się. Kinga wolno odłożyła telefon. Po kilkunastu sekundach zadzwonił ponownie.

— *Cześć, kochanie. To ja.*

— Romek?! Romek... Tak się cieszę, że to ty. — Opadła na kanapę. — Boże, jak ja się cieszę. Znów częściej dzwonisz. Co u ciebie?

— *Dzwonię, żeby się pożegnać.*

— Dlaczego? Jak...?

— *To się chyba kończy. Tak mi się wydaje. Dziwnie się czuję. Ja tak bardzo mało wiem, jakbym się nie do końca obudził.*

Marysia wyciągnęła dłoń po słuchawkę, a Kinga zamachała ręką, by córka przyłożyła ucho do obudowy.

— Czy jesteś w szpitalu? Może podają ci jakieś leki otępiające?

— *Wiem, gdzie jestem. Ale nie przyjeżdżaj tu. Chyba jestem w bardzo złym stanie. To już nie potrwa długo.*

— Powiedz, gdzie jesteś. Tylko powiedz, gdzie jesteś! Błagam!

— *To chyba nie jest bezpieczne...*

— Nieważne! Chcę przyjechać! Gdzie jesteś!

— *Na ulicy Flisa 235. Przynajmniej ten adres pamiętam jako ostatni.*

— Nie rozłączaj się. Zaraz przyjadę. Zaraz będę.

— *Muszę kończyć.*

— Nie! Nie rozłączaj się! — chwyciła notes i zapisała krzywymi literami nazwę ulicy i numer domu. — Już jadę!

Rozłączył się. Marysia patrzyła na nią z takim wyrazem twarzy, jakby zobaczyła ducha.

— On naprawdę żyje...? — zapytała.

* * *

— To tutaj. — Taksówkarz wskazał porośnięty dzikim winem mur z podniszczonych cegieł, zza którego pięły się ku niebu stare buki. — Nie chce pani, żebym zaczekał?

— Poradzę sobie.

Wcisnęła mu w dłoń banknot. Nie czekając na resztę, wysiadła.

Dochodziła ósma, ale o tej porze roku słońce wciąż wisiało wysoko. Ulica była pusta, połowa domów w okolicy sprawiała wrażenie opuszczonych. Sto metrów dalej stał jeden stary samochód. Jednak na murze obok bramy opatrzonej zniszczoną tabliczką z numerem 235 z precyzyjnie przyciętej zieloności wyglądała kamera. Kinga podeszła do furtki.

Ażurową niegdyś konstrukcję z kutyh prętów szczelnie wypełniono drewnem, by nikt nie zaglądał do ogrodu. Wcisnęła przycisk domofonu z niewyraźnym napisem „Klinika”. Niemal natychmiast z głośnika rozległo się nieuprzejme

„Słucham”.

— Kinga Bednarz. Ja w sprawie męża.

— *Z kim była pani umówiona?*

— Nie byłam umówiona. Chcę się zobaczyć z mężem.

— *Tu nie ma nikogo o nazwisku Bednarz.*

— Wrócę z prasą i telewizją, jeśli mnie pani nie wpuści.

Zamiast odpowiedzi, zabrzączał zwalniacz zamka. Weszła do zacienionego ogrodu. Światło niemal nie przedostawało się tu przez korony buków i w innych okolicznościach może nawet zachwyciłaby się tym miejscem. Teraz wyłożoną kamieniami alejką dotarła wprost do głównego wejścia w szarym portalu rozłożystej piętrowej willi. Kolejny zwalniacz zabrzączał, nim jeszcze dotknęła klamki. Drzwi były ciężkie, jakby wykonano je z pancernej stali. Znalazła się w niewielkim hallu z ladą recepcji i trojgiem drzwi. Recepcjonistka wyglądała na kogoś z personelu pomocniczego, kogo zwykle widuje się w prywatnych przychodniach, ale brakowało całej reszty: długiego korytarza z krzesłami i drzwiami o kolejnych numerach, kursujących we wszystkie strony pielęgniarek, a co najważniejsze – nie dostrzegła nigdzie pacjentów.

— To prywatna klinika — odezwała się recepcjonistka. — Dla ludzi, którzy nie chcą rozgłosu.

— Szukam męża. — Kinga oparła się dłońmi o blat recepcyjny. Głównie po to, by dodać sobie otuchy. — Roman Bednarz. Może pani sprawdzić?

— Nie ma tu nikogo o nazwisku Bednarz. — Recepcjonistka pokręciła głową. — Jestem pewna.

W jej spojrzeniu nie było zwyczajowej uprzejmości, jaką starają się choćby udawać osoby na podobnych stanowiskach. Patrzyła raczej jak strażnik, a w jej głosie czuło się wręcz groźbę. Jednak nadzieja, jaką Kinga dopiero co otrzymała, dodawała jej sił.

— Nie odejdę stąd, dopóki z nim nie porozmawiam — oświadczyła. — Może jest w beznadziejnym stanie, ale i tak chcę go zobaczyć. Skoro może rozmawiać przez telefon, może też rozmawiać bez niego.

Recepcjonistka patrzyła na nią nieruchomo, aż otworzyły się drzwi po prawej stronie hallu. Wszedł przez nie potężnie zbudowany mężczyzna w garniturze. Nie wyglądał na lekarza. Gestem zaprosił, by Kinga weszła, a gdy to uczyniła, wskazał krzesło przy biurku. Usiadła, a on bez słowa stanął za jej plecami, obok drzwi. Teraz naprawdę poczuła się niepewnie.

Gabinet miał trzy na trzy metry i poza biurkiem, fotelem i krzesłem, na którym siedziała, stała tu tylko niska komoda ze stalowymi szufladami na akta. Okna w grubych ramach wyglądały na wzmacniane, może nawet pancerne. Drugie drzwi otworzyły się i wszedł przez nie ktoś, kto jeszcze mniej przypominał lekarza. Siwowłosy pięćdziesięciolatek poruszał się energicznie, jakby cały czas pozostawał gotowy do ataku.

Usiadł za biurkiem i wbił w Kingę spojrzenie, pod którym poczuła ciarki na plecach.

— Kto pani podał ten adres? — zapytał szorstkim głosem.

— Mój mąż...

— On od roku nie żyje.

— Dzwoni do mnie. Rozmawiamy.

Próbowała wstać, ale potężne dłonie chwyciły ją za ramiona. Jej rozmówca wstał, z kieszeni wyjął przedmiot przypominający gruby flamaster, obszedł biurko i dotknął jej szyi. Otworzyła usta, żeby zaprotes...

* * *

Sawicki rzucił pustą strzykawkę na biurko. Chwilę przyglądał się przewieszanej przez oparcie krzesła kobiecie.

— Zamknij ją w trójce — rzucił do ochroniarza.

Wyszedł z gabinetu korytarzem prowadzącym w głąb budynku. Zapukał do drzwi pierwszych z prawej i wszedł, nie czekając na wezwanie. Siedzący za biurkiem łysy facet podniósł wzrok zza komputera.

— Dzwonił do niej — powiedział Sawicki. — Wiele razy. Dziś podał nasz adres. A ona przyjechała.

Łysy pokiwał głową.

— I co z nią zrobisz? — zapytał. — Następna nie może wpaść pod tramwaj.

— Mam inny pomysł. Rzeźnik popracuje nad nią kilka dni. Nie wiadomo, co wie ani co komu mówiła. Cokolwiek to było, lepiej, żeby to zdyskredytowała, zamiast potwierdzać nagłym zgonem.

— Tak zrób. I poszukaj w tym pozytywów... Jeśli jej powiedział, to i nam powie. Jak obróbka filmu?

— Usuwamy chmurę. Podciągniemy kontrast, dźwięk. Za godzinę będzie w sieci. Jeśli dobrze wypożyczonujemy, wygrznie oryginał w kilka dni.

— Pospiesz ich. Każdej minuty oglądają to tysiące ludzi.

Sawicki skinął głową i wyszedł. Minął zakręt, zszedł po schodach do wysokiej piwnicy, wklepał kod do zamka na stalowych drzwiach i kolejnymi schodami zszedł jeszcze głębiej. Było tu chłodniej, a grube, nierówne ściany z żelbetu przytłaczały. Pchnął drzwi z matowego szkła i wszedł do pierwszego laboratorium.

Pietrewicz w narzuconym na marynarkę białym fartuchu pochylał się nad czarnym pudełkiem leżącym na stole roboczym. Nie zareagował na pojawienie się gościa.

— Nie wywali nam dziury w stropie? — zapytał Sawicki.

— Sprawdziłem dokładnie. — Inżynier opuścił lampę bezcieniową. — Na rentgenie nie widać materiałów wybuchowych ani zabezpieczeń przed otwarciem. Plomby nawet nie nakleili.

Elektrycznym śrubokrętem wykręcił ostatnią, ósmą śrubę na obudowie.

— Dzwonił do żony godzinę temu — ciągnął Sawicki. — Baba przyjechała tu i siedzi teraz w trójce.

Pietrewicz spojrzał na niego z zaciekawieniem, potem ponownie pochylał się nad pudełkiem.

— Kto by się spodziewał, że nośnik jest wyposażony w GPS i GSM? — Przymierzał się do jak najdelikatniejszego podniesienia tytanowej pokrywy. — To są skutki braku dokumentacji. Ale tu, sześć metrów pod ziemią... Więcej nigdzie nie zadzwoni, gwarantuję ci.

Podniósł przykrywkę i odłożył na bok. Poprawił kamerę wycelowaną w nośnik, który wewnątrz wyglądał jak upakowane gęsto bebechy peceta. Połowę obudowy zajmował akumulator.

— Nie uszkodź tego — przypomniał Sawicki. — Sama maszyna też nam się jeszcze przyda.

— Zgrałem zawartość przez USB, ale soft raczej nie zadziała poza nośnikiem. To drugie, skomplikowane gniazdo, to zagadka. Pewnie stworzył własny standard. — Chwilę przyglądał się wnętrzościom urządzenia. — Sądysz, że to w ogóle może być przypadek? Ucieka im pupil, przyczają się na dwustu metrach, dokładnie na podejściu. Może zrobili to celowo? Żeby sprawdzić, czy działa. Gdyby poprosili o zgodę, nigdy by jej nie dostali. A tak...

Sawicki ledwo zauważalnie wzruszył ramionami.

— Co to niby było? Konstruktor o zerowej sumie energii, masy, informacji i czasu. Program bez komputera? Używamy tego jak jaskiniowcy napierdalający się po łbach matrycami plazmowymi.

— Nie nasza sprawa. Zajmij się urządzeniem.

Inżynier pokiwał głową.

— Znamy faceta, dla którego on wtedy pracował? — zapytał.

— Zygmunt Smorawiński. Zamknął ten projekt, a potem sprzedał firmę.

— Więc ten Smorawiński będzie potrzebny. Przyskrzyńcie go, to z nim pogadam. Zdjęcia dzieci, molestowanie pokojówki, wymyślcie. Może wie coś, co nam oszczędzi tygodni rozpracowywania konstrukcji. A w firmie zrób kontrolę. Chcę sam przejrzeć ich archiwa. Może mają gdzieś stację bazową, która się z tym porozumie.

— Jeśli to naprawdę działa, będą musieli wznowić prace. Pod naszymi skrzydłami.

— Jeśli do niej dzwonił — technik spojrzął na Sawickiego — to znaczy, że działa.

* * *

Nie pamiętam, jak wyszedłem z wraku. Już mówiłem. To się nazywa szok. Szok. Człowiek nie pamięta ostatnich sekund przed katastrofą. Wiem, bo sam interesowałem się tym zawodowo. Ścieżka pamięci potrzebuje kilku sekund, by się utrwalić. Byłbym wdzięczny, gdybyśmy niedługo skończyli tę rozmowę. Żona przygotowuje pieczeń, więc nie chcę się spóźnić na obiad. Czuję się trochę dziwnie, ale to chyba normalne, kiedy cudem uniknęło się śmierci. Chyba nie potrzebuję opieki lekarskiej. Jeśli się poczuję gorzej, pójdę do przychodni. Co pamiętam? Coś huknęło, głośno trzeszczały te plastikowe panele sufitowe. Potem ludzie zaczęli wstawać. Jakby chcieli wylądować w powietrzu. Ludzie zawsze tak robią; to się sprawdza przy pożarze buszu, ale nie w samolocie. Włączyłem komórkę i zacząłem filmować. Komórka? Nie wiem, gdzie jest. Jeśli nikt jej nie ukradł po lądowaniu, to

będzie leżała gdzieś na podłodze. Na pewno ją znajdziecie. Nośnik... Tak, to pamiętam. Od miesiąca regularnie robiłem zrzuty, próbowałem go użyć, gdy zaczęło trząść. Nie mam pojęcia, czy się udało. Sprawdzę, jak już wrócę do domu. I tak projekt jest zawieszony. Te badania powinny być rozwijane równolegle z technologiami komórek macierzystych. Bo mają sens tylko wtedy, jeśli świadomość będzie można umieścić w odtworzonym ciele. To nie będzie dokładnie ten sam człowiek, ale bardzo podobny. No, ale najpierw te komórki i rozrost całego organizmu w warunkach laboratoryjnych. Inaczej to nie ma sensu. Nikt nie chciałby przecież trwać jako niematerialny byt, uwięziony w pamięci flash. Sprawdzę, co się tam zapisało, i od razu skasuję. W końcu żyję, więc... Ostatnie, co pamiętam? Ostatnie... Wstaje grubas w fioletowym swetrze i wali się na podłogę. Nikt nie próbuje go podnieść. Może dlatego że mniej będzie przeszkadzał, leżąc. No i jest za ciężki. Coraz więcej ludzi wstaje, kilku przechodzi po plecach grubasa. Ja też wstaję, ale tylko na chwilę, po to, żeby wyjąć ze schowka neseser z nośnikiem. Zakładam czytnik na głowę. To zabawne, bo wtedy naprawdę myślałem, że to zadziała, że po kilku latach... Nie, o niczym nie myślałem. To nierealne, przecież nie zachowałby się mój genotyp. Nie odtworzą nikogo z włosa i nie wgrają mu do głowy wspomnień z całego życia. Nie ma takiej technologii. To było nieracjonalne, ale i tak to zrobiłem. Skoro była możliwość, zrobiłem. Skasuję to od razu po przyjsciu do domu. Tylko się tu ogarnę ze sprawami. Dziwnie roztargniony się czuję, nie mogę się do niczego zabrać. No, ale to normalne po awaryjnym lądowaniu. Nie pamiętam samego lądowania, więc chyba nie pomogę. Może potem sobie przypomnę. Nagranie powinno być na komórce... Tak, pamiętam tę chmurę pod sufitem. Jakiś gaz, dym... Nie myślałem wtedy o tym. Dużo się działo. W takich chwilach człowiek nie zwraca uwagi na takie rzeczy. Włączyłem tylko komórkę, żeby nagrać przyczynę katastrofy. Gdyby samolot spadł, to nikt by nie mógł opowiedzieć, co się wydarzyło. Nie zginąłbym po nic, biegając po pokładzie jak ci panikarze. Chmura, tak, już próbuję się skupić. To nie był gaz wylatujący z dziury w suficie. To wyglądało na kotłujące się powietrze o innej gęstości, ciemniejsze. Jak rój tysięcy malutkich muszek, tak małych, że nie sposób dostrzec pojedynczych sztuk. Nie, naprawdę nie przyglądałem się temu dokładniej. Samolot spadał, martwiłem się o zaciągnięcie pasa i o zapamiętanie drogi do najbliższego wyjścia ewakuacyjnego. Bo przecież zgaśnie światło, pojawi się pełno dymu. Trzeba będzie biec na oślep. Wśród innych biegnących na oślep. Gdyby ktoś wtedy zaczął opowiadać najśmieszniejszy kawał świata, też bym go nie słuchał. Cieszę się już na tę pieczeń, na wieczór w domu, na nicnierobienie. Tylko jeszcze się tu ogarnę z paroma sprawami.

Warszawa, styczeń–marzec 2010

Paweł Paliński

BLASK

Człowieczeństwo jest to suma naszych defektów, mankamentów, naszej niedoskonałości, jest tym czym chcemy być, a nie potrafimy, nie możemy, nie umiemy, to jest po prostu dziura między ideałami a realizacją.

Stanisław Lem

Blask spłynął na K. gdzieś na początku czerwca. W kościele, na mszy. Z początku K. pomyślał, że to tętniak, strzeliła mu w głowie jakaś żyłka, nie za duża, nie za mała, na tyle jednak ważna, aby na resztę życia uczynić go kaleką. Setka osób na klęczkach, on stał, a kontury wszystkich ludzkich postaci rozjarzyły się niby obramowane szklanymi rurkami neonu – znieruchomiał więc, przekonany, że zaraz ugną się pod nim nogi, usta zaleje ślina i przewróci się niewładny na plecy w oczekiwaniu na zbiegowisko i wachlarz twarzy współwiernych, które nadpłyną zewsząd niczym wielkie, ciekawskie, płaskie ryby. Nic takiego się jednak nie stało. Blask przygasł i znikł. Wszyscy w kościele znów stali się nieprzezierni i zgaśli. Tylko jego ciało przepełniło niespotykane uczucie, dziwnie nowa integralność. Jakby do tej pory na szwach, pod pachami i w pachwinach było wybrakowane, złączone „na zakładkę”, z nie do końca spasowanych elementów, od urodzenia fabrycznie niedołączne, natomiast teraz zwarło się w sobie, pozbyło szpetnych szczelin. Wrócił do domu biegiem – zrezygnował z autobusu. Nie poczuł zmęczenia, nie miał zadyszki.

Wieczorem pod prysznicem zauważył, że zanikł mu pępek.

Relacja 1

Zdaniem przyjaciela, K. miewał od czasu do czasu... zachwiania równowagi. Przy czym dla określenia „równowaga” przyjaciel wykonuje w powietrzu gest powszechnie uważany za rodzaj flirciarskiego cudzysłowu, to znaczy i gest, i przynależne mu znaczenie umieszcza w wolnej przestrzeni drwiny. Nieautoryzowany cytat: „Zachwiania równowagi”. Zachwiania równowagi, powtarza po raz kolejny przyjaciel K. i mruga, rozwiewając wszelkie złudzenia, które mogłyby wyniknąć z opacznego zrozumienia jego pantomimy.

Nieautoryzowany cytat: „K. miał nie po kolei”.

Przyjaciel K. nie wydaje się prawdziwym K. przyjacielem.

Na wszelki wypadek przyjaciel K. zastrzega własne dane.

Nieautoryzowany cytat: „To tak na wszelki wypadek”.

Zdaniem przyjaciela K., sam K. wielokrotnie zwalniał się wcześniej z pracy,

zdarzyło mu się także zniknąć bez zapowiedzi z miejsca zamieszkania. K. pełnił funkcję kierowniczą o czasie pracy względnie nienormowanym; suwerenne decyzje o tego czasu wykorzystaniu trudno więc uznać za przejaw zdziwaczenia, jednak słowo „zdziwaczenie” pada w relacji przyjaciela K. nieprzypadkowo. Nawet jak na kogoś tak lotnego (a „lotny” oznacza w ciągłym ruchu), zakres absencji K. zmuszał do zastanowienia. Stąd nieprzychylny przymiotnik. ZDZIWACZAŁY. Nieautoryzowany cytat: „Czasami jego decyzje wydawały się zgoła irracjonalne”.

Na przykład w zeszłym roku pozostawił swój dział (poboczna gałąź administracji) na całe dwa tygodnie bez opieki, usprawiedliwiając się odległym i niezmiernie ważnym szkoleniem, podczas gdy – przyjaciel K. dysponuje niezbitymi dowodami – zaszył się wtedy w pewnej pustelni prowadzonej przez guru New Age, gdzie otoczony elektronicznym sprzętem wysokiej klasy, roztrwonił pieniądze, próbując osiągnąć reklamowany przezeń stan wewnętrznego spokoju. Niestety, zamierzenia wyjazdu spaliły na panewce. K. powiedział później (przypadkowe spotkanie towarzyskie, atmosfera rozluźnienia, pochopna szczerłość), że liczba zer na powiększającym się dzień w dzień rachunku zapobiegała osiągnięciu świętego wyciszenia w postępie wręcz geometrycznym. Jednak, jako osoba z gruntu praktyczna, K. wciąż liczył na stopniowe przełamanie impasu i ponowne osiągnięcie stanu konta gwarantującego mu dotarcie na wyznaczone przez oświeconego guru niebiańskie pozycje.

Uszczerbek majątku podobno zabolął go zresztą bardziej niż nirwana, która przeszła koło nosa. Nie wiadomo, czy ten przytyk do rzekomej małostkowości to sprawiedliwy osąd, czy próba zdyskredytowania K., przyjaciel K. napomina o tym mimochodem. Nie wraca potem do tego tematu. Nie chce wrócić do tego tematu. Nieautoryzowany cytat: „Każdy jest kowalem własnego losu”. Nieautoryzowany cytat: „K. miał swoje tajemnice, lecz obnosił się z nimi jakoś tak niedbale, że wszyscy pragnęli te jego tajemnice podejrzeć i poznać. Nie z ciekawości – w ramach nauki. Aż się prosił, żeby utrzyć mu nosa”. Ta uwaga kończy dotychczasową relację przyjaciela K.

Kontrapunkt

Jak informuje rocznik statystyczny, ostatnia dekada obfituje w sprawy zaginięć. Nie ma się czemu dziwić. W dobie sztucznie podtrzymywanej pandemii duchowego kryzysu u osób nadwrażliwych odzywa się często niespodziewana potrzeba odosobnienia, chęć zerwania wszelkich kontaktów, ucieczki na oślep. Problem polega na tym, iż z punktu widzenia Instytucji trudno mówić o zaginięciu osoby dorosłej, jako że według konwencji Mobile Bay każda osoba dorosła, niezależnie od statusu ekonomicznego, wyznania i koloru skóry, ma prawo „odciąć się od świata”, gdy „tylko tego zechce”. Dlatego też do spraw takich jak K. podchodzi się ostrożnie, z dużą dozą optymizmu, którym w szczególności należy zarazić otoczenie poszukiwanego. Po pierwsze nie szkodzić. I nas, przedstawicieli Instytucji, dotyczy

ta staroświecka dyrektywa.

Instytucja wyróżnia zaginięcia motywowane i niemotywowane. Zajmuje się wyłącznie tymi pierwszymi. Sprawa K. otrzymała numer 1401. „Potencjalnie stymulowana ucieczka”.

Już same wskazówki, dotyczące – jakkolwiek stereotypowo to brzmi – „poszukiwań sensu życia”, sytuują K. w obrębie pewnego podzbioru postaw motywowanych, określanych kodem C: chwiejne, Strefa Żółta. Żółte teczki, potocznie określane dość pogardliwie „melonami”, zajmują pokaźną i wciąż powiększającą się część archiwum Instytucji. Oddelegowanie do pracy w Strefie Żółtej uważa się w niektórych kręgach za rodzaj kary lub degradacji.

Zapewnia się, że osobiste opinie pracowników Instytucji nie mają wpływu na skuteczność jej działań.

* * *

Pępek! Palcami obu dłoni K. naciągnął (przed lustrem) obwisły fałd tłuszczu na brzuchu, wpatrując się w gładkie miejsce powyżej spojenia łonowego. O tym, że pępek w ogóle się tam znajdował, świadczył niewielki talarek nieowłosionej skóry, na pierwszy rzut oka rzecz całkiem do przeoczenia. Gdyby nie. Otóż to. Pępek.

A może K. nigdy go nie miał? Nie, skądże, znajdował się tam wczoraj, przedwczoraj, dwa dni temu, i tak dalej, losy tej pępkogenezy K. mógłby prześledzić choćby i do samych jej korzeni. Otworzył szafkę z lekami i sięgnął po tubkę maści przeciwgrzybiczej. (Maść przeciwgrzybicza, połowa zawartości). Odkąd K. przytył, często dokuczały mu wyprzenia. W obrębie pępka właśnie. Tam ją zużył. Pamięć go nie myliła, przypominał sobie okrężny ruch na załamaniu obwarzanka miękkiej tkanki, szorstkość zainfekowanej okolicy, wyłuskiwanie nadmiaru tłustego podłoża za pomocą higienicznego wacika.

Może to jakaś błonka? Skrobnął paznokciem. Nie.

I dlaczego pępek?

A także, przede wszystkim, czy K. powinien już zacząć panikować?

Gdy zwolnił ucisk na brzuchu, z uwagą przyjrzał się różowości dwóch niknących wachlarzy, utworzonych przez ślady palców ugniatających przed chwilą skórę. Zdał sobie sprawę, że w pewnych okolicznościach brak pępka będzie wyglądał wręcz potwornie. Jakże się z niego wytłumaczy? Na basenie, w szatni, u lekarza. Brak pępka zrodzi tysiące pytań i podejrzeń. Ci wszyscy „opępkowani”, zwykli ludzie zareagują niechęcią, wręcz wrogością. Kilka lat temu wystarczyło zwykłe zapalenie spojówek, aby rozmawiając z nim, przechodnie zapobiegliwie zakrywali usta maseczką. A co dopiero to. Wzdychając, K. zsunął dłonie niżej, niżej, niżej, aż poczuł rozluźnioną ciepłą miękkość. Uśmiechnął się. Plecy przebiegły przyjemne ciarki. Właściwie czemu nie? Pryszyk będzie sprzyjał rozszerzeniu zakresu poszukiwań.

Biorąc długi i leniwy tusz, K. przekonał się, że cewka na jego członku nie ma już ujścia, a odbył uległ zasklepieniu; pomiędzy pośladkami opuszką wskaziciela spenetrował zaledwie płytką kieszonkę. Badając drożność pozostałych otworów w swym ciele, nabrał do ust wody, jednakże aktu przełykania nie ukończył. Z

wiadomych powodów. Wypluł więc całą zawartość. Nawet gardło, choć to nieprawdopodobne, odmówiło wstępu.

„Może...”, myślał K., a woda przelewała mu się przez włosy, kark i czoło, „... może w kościele doszło do czegoś gorszego niż paraliż? Może ja nadal tam jestem – i w tej chwili przeżywam jakiś rodzaj przedśmiertnej halucynacji?”

Uszczypnął się w ucho. Zabolało. Odruchowo wsunął do ciepłej mażowiny palec, znajdując tam to, czego się spodziewał. Kolejny ślepy zaułek.

„A może”, wciąż rozmyślał, „moje ciało zamyka się przed czymś?”

Przed czym, tego K. jeszcze nie wiedział.

Relacja 2

Mówi Feldman, lekarz rodzinny. Przytoczone notatki: własne.

„Taka buchalteria nie jest zakazana, ale i niezbyt powszechna. Zgodnie z prawem mogę zbierać dokumentację w dowolnej formie, elektronicznej lub pisemnej, jeżeli nie mają do niej dostępu osoby postronne. Notatniki trzymam pod kluczem, służą mi wyłącznie do celów terapeutycznych i diagnostycznych. Poukładane są według dzielnic. Teraz także ich nie pokażę, mogę co najwyżej pozwolić sobie na odczytanie pewnych fragmentów. Osobiście. Poufne dane. Rozpięta na słowach droga przez mękę.

A więc tak. K., lat 34. Badania okresowe nigdy nie wykazywały większych odchyień. Cukry w normie. Zachwiania gospodarki tłuszczowej odpowiadające zachwianiom czasu pracy, nadgodzinom i zbyt częstym kolacjom w barach bistro, odpowiadającym z kolei zachwianiom naszej gospodarki. Krew. Mocz. Jeden wymaz, dwa posiewy – ujemne. Brak poważnych skarg na zdrowie.

Ale zjawiał się u mnie często. Nie miałem mu tego za złe. Nie narzucał się. Zawsze zaskakiwał wyczuciem czasu, wpadał na krótko w czasie przerw, zawsze też miał coś ciekawego do powiedzenia; pewnie dlatego go nie przeganiałem.

Na przykład. Lubił różne teorie, lubił je analizować. Nie spiskowe, naukowe. Albowiem czy nauka nie osiągnęła obecnie poziomu, który umożliwiłaby jej spiskowanie wobec nas? To właśnie próbka jego stylu. Analizował je, wyszukując ich słabe punkty. Biologia, medycyna, fizyka kwantowa. Dziedzina nie robiła mu różnicy – gonił raczej za jak najbardziej spójnymi i niepodważalnymi twierdzeniami. K. mawiał, że szedł z nimi na czołowe zderzenie. Czy jakąś rozbroił? Nic mi o tym nie wiadomo. Uważał życie za przykład potwierdzający paradoks strzały. Nie oczekiwał wymiernych rezultatów, kolekcjonował stany. Tak się właśnie zazwyczaj wyrażał: stany. Punkty węzłowe. Odrzucał wszelką ciągłość, już choćby ze względu na fazę REM – znów: jego własne słowa”.

„Ile miejsca w notatnikach zajmuje przypadek K.?”

„Och. K. ma swój własny odrębny notatnik”.

Kontrapunkt

A więc inteligentny, z wieloma zainteresowaniami. W jego przypadku w grę wchodzi częściowo sprzeczne dane. Z jednej strony kazus K. bierze swój początek w kościele i przyjmuje kształt czegoś, co spełnia wymogi osobistego misterium, z drugiej K. to nie bogobojny matolek, któremu kult wygodnie zastępuje poszukiwania wykładni rzeczywistości. Szuka. Czip biblioteczny potwierdza wypowiedź doktora Feldmana, K. przegryzł się w całości przez dział naukowy; niektóre pozycje wypożyczał wielokrotnie, kartki są sporadycznie upstrzone mikroskopijnymi notatkami (pochyłe pismo, podkreślenia, wykrzykniki, strumienie przemyśleń, wyraźna pasja). W kilkutomowym opracowaniu historii powszechnej nadal tkwią samoprzylepne zakładki. Ale głównie nauki ścisłe. K. wydaje się niechętny mistycznym rozważaniom. Kilkakrotnie podejmuje i natychmiast odrzuca próby chałupniczej egzegezy Pisma Świętego w raczej skromnym wyborze ogólnodostępnej teologii (głównie św. Tomasz).

No więc z kim mamy tu do czynienia? Czy K. nie stanowi zagadki? Po pierwsze, czemu legitymuje się tylko literą, a nie pełnym imieniem? Czy ma coś do ukrycia? Właściwie nie wiadomo o nim nic. Cechuje go co prawda pewna doza ujawniającej się pod postacią metafor wyobraźni, raczej trafne skojarzenia – owe ryby płaskie i ciekawskie – może ogląda NeoNational Geographic? Nie on jeden. Ślepy trop.

A kościół? Czy to także kolejna grubymi nićmi szyta metafora? Dlaczego wszystko rozpoczyna się właśnie w takiej chwili – w momencie nagłego omdlenia K. przed ołtarzem – a więc gdy znajduje się w stanie zazwyczaj przypisywanym (i to zaocznie) wszelkiego autoramentu mistykom, wśród zwykłych śmiertelników zaś powszechnie uznawanym za wstęp do obłędu raczej niż do świętej glorii?

Ciekawość wzbudza odręczna adnotacja na ostatniej stronie wykładów Feynmana: „Czy modlitwa to logarytm wiary? A więc czasochłonne mnożenie dobrych uczynków zamienić można w proste ich dodawanie – ze znacznie lepszym wynikiem. Co jednak w takim wypadku służy za tablicę logarytmiczną?”.

(Skreślenie, krótki nieczytelny dopisek, skreślenie, skreślenie, skreślenie).

Czy to wszystko w ogóle trzyma się kupy?

* * *

Po „zaczopowaniu” (czop, szpunt, korek; K. nadal wierzył, iż ową krzywdę mu „wyrządzono”) K. odkrył, że od czasu olśnienia w kościele przebywanie w ciemności źle na niego wpływa, osłabia; przy pełnym świetle zaś jego siły vitalne wydawały się tętnić, aż przelewać przez ciało. Światła w mieszkaniu palił wobec tego non stop, w każdym pomieszczeniu, w niektórych nawet po kilka lamp naraz. Nie przejmował się przy tym zbytnio rachunkami za energię, ponieważ z zasady negował wpływ rzeczy przyszłych na terażniejszość. Pod tym względem stosunek K. do życia nie uległ zmianie, pozostał optymistycznie nieugięty, na poziomie beztroski wysokim nawet jak na czterdziestolatka bez zobowiązań i z wybujałą fantazją. Doczesności zażywał jak dotychczas, to znaczy w sposób bliski niektórym folgującym przyjemności nurtom filozoficznym, aczkolwiek robił to raczej niewinnie i

odruchowo, niż kierując się przemyślnością ich założeń. Potrzebę światła i wynikającą z niej nadmierną żywotność sklasyfikował w ramach nowo nabytego talentu, nie uciążliwości. O postępującym zaniku zwykle drożnych przewodów organizmu na razie nie wyrobił sobie zdania.

Aż do dnia „przemiany” (K. często teraz używał tego terminu – PRZEMIANA) pocieszająca wydała mu się myśl, że kwestie fizjologii natura rozmyślnie pozostawiła poza czujną świadomością. Był jej za to wdzięczny, nigdy zresztą nie rozumiał powtarzających się cykli skurczów i rozkurczów oraz faz wydzielania i wchłonięcia. Trzymał się tej kojącej myśli. Obecne zaburzenia przeniknęły co prawda poza magiczną barierę poznania, odciskając się mocno na powierzchni percepcji, mimo to K. przyjął całą sprawę ze spokojem i przybierając postawę obserwatora, czekał na rozwój wypadków. Zmiany niosły ze sobą pewne korzyści. Nie musiał już choćby jeść, a to było miłe. Jedzenie i wydalanie od dawna przypominało mu o powszechnej nietrwałości rzeczy.

Relacja 3

„Powierzchnownie miły, przy bliższym kontakcie frapujący, po kwadransie rozmowy niepokojący”. Gwardian przypomina sobie K. niczym mszalne wino, kolejnymi falami bukietu rozpoznania. „Przechrzta. Z ignorancji przeszedł na gnozę. Nie byłby z niego dobry parafianin, podchodził do wiary zbyt rozumowo, kwestionował. Chciał przekonać samego siebie do Boga, zamiast przekonywać Boga, że jest godzien jego łaski. Nienarzucający się. Powiedziałbym o nim: NIENARZUCAJĄCY. Miał jakieś pomniejsze zasługi, zorganizował parę oaz, przeszedł dwie pielgrzymki. Lubiliśmy go”.

„Lubiliśmy, tak lubiliśmy”, powtarza gwardian z werwą, dopiero tym powtórzeniem podkreślając, jak płasko i beznamiętnie użył tego czasownika za pierwszym razem. Rozłożone na stole formularze wprawiają go w zdumienie, wręcz deprymują, jak gdyby zamiast rzędów pytań i miejsc na odpowiedzi umieszczono na nich akty pornografii. W oczach tego niewysokiego jegomościa raz po raz pojawia się niepokój – szare drżące ziarno spływające spod powiek, które wypełnia opuchłą dolną powiekę fałszywymi łzami. Wciąż nie dotknął nawet ołówka, nie zaznaczył ani jednego „Tak”, ani jednego „Nie”. Wie, że tego się od niego oczekuje, że właśnie w taki oto sposób przeprowadzane są procedury pościgowe. Wpierw należy zebrać wszystkie niezbędne dane.

Ponaglany, gwardian poprawia się w fotelu, odkasłuje, chrząka.

Kontrapunkt

Oto bardzo niewygodny punkt sprawozdania. Wiemy, że coś się dzieje, nie wiemy dlaczego; na dodatek osoby poddane przesłuchaniu nie budzą naszej przychylności. Przyjaciół swymi jadowitymi domysłami wyraźnie przeczy zapewnieniom o

zażyłości, lekarz nazbyt się chełpił niefortunnym przypadkiem, który przypadł mu w udziale. Ostatni ze świadków, pozornie najbliższy źródłu problemu, nie chce dostrzec swego z nim związku, za to nader chętnie występowałby w roli inkwizytora.

K. w ocenie Instytucji spełniał przypisane mu role społeczne w sposób niebudzący zastrzeżeń, choć coś w jego postawie, co umknęło psychologom, wyłowione zostało na drodze intuicji: oto po głębszym namyśle zauważono, że zachowanie K. od dawna pobudzało czujność wszystkich. Jak gdyby K. jawnie dawał do zrozumienia, iż pod maską przystosowania uśmiecha się szyderczo, nikomu i niczemu nie szczędząc bezlitosnej ironii. Na przykład według dostępnych nam danych K. w kilka tygodni po incydencie w kościele zaprzestał opróżniania kosza ze śmieciami, co wzbudziło zainteresowanie właściciela zajmowanego przezeń mieszkania, uczulonego na problem zbieractwa. Wysłano oficjalne upomnienie, K. odmówił jednakże zgody na wizytację. Dopiero sądowy nakaz zmusił go do uległości. W mieszkaniu – czystym, wychuchanym – nie znaleziono śmieci; w pustej lodówce i na ogołoconych półkach panował nieskazitelny porządek. Najście nie wywołało u K. sprzeciwu. Nie przyjął jednak wyciągniętej ręki sprawdzającego go komisarza, nie popatrzył mu w oczy. Trzymał się na uboczu, w bliskości zaciemnionego pokoju, wykręcając się alergią, wizytą u okulisty i nadwrażliwością na światło.

Na następne dwie wizytacje zezwolił już bez odwoływania się do kroków administracyjnych, a że nigdy nie sprawiał kłopotów jako takich i czynsz regulował o czasie, właściciel wkrótce spuścił z tonu. Sprawę nagłego braku odpadków życiowych umorzono. Zresztą, motywował komisarz, każdy ma prawo jeść na mieście.

* * *

Tymczasem blask nawiedza K. ponownie, choć tym razem w sposób dłuższy i o wiele bardziej intensywny.

Skończył pracę, zjadł szybki obiad (właściwie wyłącznie dla zachowania pozorów; czytaj: przesiedział kwadrans w stołówce pracowniczej, zaciekle żując, a następnie ukradkiem wypluwając do przygotowanej zawczasu torebeczki lepkie kęsy purée z grochu) i przed powrotem do domu postanowił zażyć odrobiny relaksu. Po opuszczeniu biura przeciął skwer w centrum, skrył się w parku. Tam wybrał zaciszny zakątek, zasiadł na uboczu na rozłożonej na trawie marynarce. Zdjął buty i skarpetki. Wymasował stopy. Rozognione miejsca po utraconych paznokciach (uwaga, nie przeoczmy tego: K. traci PAZNOKCIE i WŁOSY) zdążyły się zagoić, wrażliwą tkankę pokryły zgrubiałe naskórek, identyczny z tym na zrogowaciałych piętach – kalectwo całkiem niezauważalne, zwłaszcza gdy świadomie chowane w cieniu. Podobne rybim łuskom utracone paznokcie K. schował w domu w niewielkim słoiczku po rosyjskim kawiorze. Zastanawiające? Nie. K. lubił kawior, lubił dotyk rybiej łuski. Poza tym uważał, że co jak co, ale bliska obecność produktów własnego ciała nie powinna nikogo brzydzić.

Po tym, jak K. skończył masaż, wziął głęboki wdech. Spocone ciało wciąż wydzielalo z siebie kwaskowy, kancelaryjny odorek. Poluzował krawat i padł na

wznak, pozwalając, aby wiatr szczerze go owiał i odświeżył. Gdzieś krzyknęło dziecko, zaskamlał pies. Dwa warkocze spalin pozostawione na niebie przez przelatujące odrzutowce skrzyżowały się miękko ze sobą. Po raz kolejny biel runęła na K. właśnie z punktu przecięcia.

W tamtej chwili postronny obserwator nie zauważyłby w zachowaniu K. nic szczególnego, ot, zmęczony biznesmen w półdrzemce. Ale chociaż ciało było zrelaksowane, umysł kipiał. To, w jakim K. znajdował się stanie, zdradzało jedynie niedostrzegalne drżenie powiek i bąbelki śliny w kącie ust. Blask tym razem nie przybrał formy ekscentrycznego wybuchu, jak uprzednio w kościele, lecz rozświetlił się w długim pasażu pomniejszych eksplozji o zmiennym natężeniu – od takich trwających tyle, ile błysk flesza, po serie znacznie bardziej nieprzyjemnych, dwusekundowych jarzeń.

Interwał: seria ataków – przerwa, powtórzył się trzy razy. Być może dlatego K. dokładnie zapamiętał całą, migającą mu pod kopułą czaszki sekwencję. Na należącej do K. chusteczce odnalezionej w kieszeni spodni widniał następujący zapis:

.---. –

Relacja 4

Zeznania. Rodzice K. Wyimki.

Głos zabiera ojciec:

- Nie rozmawialiśmy z nim o takich sprawach.
- Uczył się w szkole z internatem w mieście. Chyba dlatego tam został.
- Tu na wsi życie jest o wiele tańsze.
- Odwiedzał nas rzadko, a podczas rzadkich odwiedzin człowiek czepia się błahostek, śmiesznych błahostek. Jakieś anegdoty z pracy, nasze utyskiwania na sąsiadów i ślimaki w ogródku. Tak jest, na poważne sprawy nie ma czasu, poważne sprawy przerażają, nikt nie chce nimi zamącać krótkich chwil radości.

- Co pół roku, nie częściej.

- Czasami rzeczywiście wydawał się nieszczęśliwy, ale z nim już tak było od dziecka, że jak chciał nam o czymś powiedzieć, to po prostu mówił – zapytanie go o powód zmartwienia zwykle prowadziło do kłótni.

- Teraz, spoglądając wstecz, myślę, że poświęciliśmy mu za mało czasu.

- Wrażliwiec? Być może.

- Kiedy... kiedy był mały, pracowałem na dwóch etatach, żeby nas utrzymać. Żona od rana do nocy sprzątała domy. Nie byliśmy dla siebie, ani trochę.

- To chyba było też spoiwem naszej kruchej miłości: zdawaliśmy sobie sprawę, jak niewiele trzeba, żeby to się posypało.

Mówi matka:

- To nie podlega dyskusji. Oczywiście, że go kochałam.

Kontrapunkt

Ustalono, że K. odwiedził licznych specjalistów, każdego w innej dziedzinie. Na liście figurują: neurolog, psycholog, psychoterapeuta, psychiatra, ortopeda, kardiolog, foniatra, szaman, wróżka, chiromanta, masażysta, dietetyk, internista, chirurg, neurochirurg, kręgarz, bioenergoterapeuta oraz instruktor świadomego śnienia. Dobór wydaje się całkiem przypadkowy. Każdej z tych osób opowiedział inną historię. Neurologowi zgłosił zaburzenia widzenia, u psychologa rozplakał się (i plakał tak przez okrągłą godzinę), psychoterapeutę starał się naciągnąć na poprzedzoną rabatem terapię, od psychiatry zażądał leków uspokajających. Wydaje się, że zachowywał się tak z nudów, a nie z wyrachowania. Mimo jego żądań wszyscy specjaliści na liście potwierdzają swoje dobre o nim zdanie.

K. badał się z determinacją przez kilka tygodni, na koniec zaś przerwał badania tak nagle, jak je rozpoczął. Istnieje domniemanie, iż doznał trzeciego, nigdzie nieodnotowanego świetlistego paroksyzmu, pod wpływem którego w jakiś przedziwny sposób skłonił się do zaakceptowania własnej przypadłości. Ostatnie wiadomości od niego pochodzą właśnie z tego okresu.

* * *

Na tym etapie K. zaczął umacniać się już w podejrzeniach co do niespotykanego charakteru swej przypadłości. Zaświadczą o tym wpisy w pamiętniku (antykwareczny brulion za pół euro, miejscami krzywo wydrukowana kratka, bez marginesów, tekturowe okładki). W ciągu następnego miesiąca bezwarunkowo wykluczył nagłą nieznaną chorobę cielesną jako podłoże dolegliwości (przekonujące dowody przedstawił sam sobie w wyniku złożonej dedukcji – niemniej osiągnięcie to okupił kilkoma bezsennymi nocami), odrzucił możliwość obłędu (zbyt klarownie szło mu jego rozważanie), zrezygnował ostatecznie z wszelkiej pomocy (medycznej i niemedycznej), czując, iż możliwości osób postronnych w tej materii uległy wyczerpaniu.

K. przeczuwał SZERSZY OBRAZ zdarzenia, ulokował swoją przypadłość w znacznie bardziej złożonej wizji (poniekąd zgodnie z przymiotami swego wybujałego charakteru), dochodząc do hipotez, w których „przypadek” nie odgrywał absolutnie żadnej roli. K. nabrał przekonania, że został wybrany. Wybraniec. Ten tytuł mile lechtał.

Kusiły go dawniej dyskredytowane hagiograficzne zapędy. Nie wybraniec – święty. Zapach świętości drażni nozdrza. Ale jak ten „zapach” miał się przedostać do wnętrza K.? Przecież otwory K. same... Otóż to. Poza tym przestał oddychać. I nic sobie z tego nie robił. Niemal nie zwrócił na to uwagi, skoro żebra unosiły się jeszcze od czasu do czasu; niemniej z przyzwyczajenia, nie wyraźnej potrzeby. Kiedy jednak zmarł na spacerze i dla rozgrzania chciał dmuchnąć sobie w dłonie, tylko bezgłośnie ziewnął. Wtedy to zrozumiał. Stracił go. Oddech. Kaszel zamienił się w jawne oszustwo.

Pewnego dnia, wieczorem, we własnym domu, pod życiodajnym światłem pięciu lamp, K. dokładnie podsumował zmiany, jakim uległo jego ciało (brulion, strona

trzydzieści sześć). Poza zasklepieniem wszystkich naturalnych jego ujść (rzecz fascynująca: słyszał mimo zaniku ucha wewnętrznego, widział mimo zrośnięcia się powiek; z mieszkania wychodził tylko w przyciemnianych okularach) oraz utratą resztek wszelkich wytworów naskórka (włosy, paznokcie), w okolicach genitaliów i na plecach pojawiła się nieprzyjemna krwotoczna wysypka. Jądra i penis uległy bezbolesnemu obrzękowi, a następnie ogarnął je uwiąd. Maść lecznicza wyczerpała się. Wprawdzie nie ma na to żadnych dowodów, ledwie sugestie i półsłówka, lecz pewne aluzje w tekście sugerują, iż i te organy ostatecznie uschły i odpadły.

Relacja 5

Nagranie DVD. Nocny program Stacji TVBCB, opowiadający o rozżalonym „samarytaninie”, który obecnie przebywał w szpitalu po tym, jak podczas udzielania pierwszej pomocy nieznanemu mężczyźnie został napadnięty i dotkliwie pobity.

Druciana siatka na zębach. Złamany łuk szczęki, utrata siekacza i dwóch trzonowców, zwichnięty bark, skręcony nadgarstek. Wielopoziomowe złamania kręgosłupa. Reporterka na wysokich szpilkach kręci pupą, obchodząc zielonkawę łóżko, by światło z reflektora kamery jak najlepiej uwydatniło brudną biel gipsu i bandaży, kontrastujące z jej apetycznymi krągłościami. Za oknem, za żaluzjami, przesuwają się cienie jakby liści, agresywny montaż, kamera prowadzona „z ręki”.

Pacjent nie mówi, lecz świszczy, rozróżnialne są pojedyncze słowa; i to nie zawsze. O tym, że mówiąc „kocy”, ma na myśli „oczy”, wie tylko on sam. Ekipa telewizyjna nie potrafi zrozumieć jego rozdrażnienia, gdy podciąga mu koc pod obandażowaną głowę; pani redaktor składa to na karb traumatycznych przeżyć, o czym nie zapomina poinformować widzów. Pacjent wierci się i wścieka. Zawezwany lekarz kładzie mu rękę na czole, raczej stanowczym niż opiekuńczym gestem. Za oknem coś wciąż się kotłuje, nikt nie zwraca na to uwagi. Przez moment dałoby się rozróżnić wśród cieni kształt człowieka, ale wrażenie mija, gdy operator wyostrza na ekran EKG i obraz wypełnia tylko spazmatyczny zielony wykres.

Bip,bip,bip. Sto, sto dwadzieścia, sto czterdzieści uderzeń na minutę.

Kontrapunkt

Utrata przytomności. Błysk, przerwa. Błysk, błysk, przerwa.

Ataki, przeżycia ze wszech miar subiektywne, dla nas rzecz właściwie nie do zmierzenia, kryją według K. niespotykaną rewelację – głęboko ukryte prawidłowości. Ich specyfika – w sposób zamierzony czy też nie – przypomina według K. archaiczny kod używany niegdyś w marynarce wojennej. Instytucja oczywiście podąża i tym tropem, jednak dowolność interpretacji odręcznych zapisów znacznie zawęży wartość tego dowodu, a niektóre otrzymane wyniki nie wychodzą poza leksykalny „biały szum”, bezsensowne skupisko liter i sylab, przypadkowe i bezużyteczne. Instytucja, ośrodek ze wszech miar dbający o zasłużony szacunek,

ostatecznie zarzuca pomysłowi daleko posuniętą amatorszczyznę i zaleca porzucenie tak spornych rozważań.

Ze swojej strony dodam, iż dotarłem do osoby prowadzącej ciekawe badania pomimo oficjalnego stanowiska Instytucji. Wnioski wydają się nader niepokojące. O czym dalej.

* * *

Wysypka trwała dwa tygodnie. Poniżej pasa z wiadomym skutkiem, natomiast na wysokości łopatek wybroczyny stwardniały i uległy zwapnieniu, tworząc podwójny ruchomy garb. Ekscentryczne już wcześniej okulary przeciwsłoneczne i rękawiczki, które K. zaczął nosić jako kamuflaż, wzbogacone zostały o watowany płaszcz, doprowadzając do sytuacji, kiedy ukradkowe spojrzenia sąsiadów zamieniły się w jawne kpiny. Jakby tego było mało, K. – wzbudzając powszechne zdziwienie – nosił płaszcz, rękawiczki i okulary także i w pracy, pracował jednak nadal wydajnie, zatem jeżeli jego wygląd nie umknął uwadze zwierzchników, to przynajmniej dzięki osiąganym wynikom zaciągnął kredyt zaufania, z którego czerpał i który (na razie) władny był spłacać.

Natomiast sekretarka dyrektora, niejaka B., która miała wobec K. „poważne zamiary”, kilkakrotnie dawała mu wyraźnie do zrozumienia, że się o niego niepokoi. K. zbywał ją jednak pod byle pretekstem, wymawiając się nieokreślonym projektem, którego podjęcie wymagało od niego anonimowości i ciągłej gotowości do ruszenia w drogę. Wymówka nie odniosła skutku. Pewnego dnia, ku swemu zdumieniu i oburzeniu, K. odebrał list polecony (dwa akapity, papier z kancelaryjnym nadrukiem), zobowiązujący go do natychmiastowego stawienia się przed firmowym doradcą jakoby pod pretekstem kwartalnej ewaluacji pracowników, rzeczy powszechnej w miejscu zatrudnienia K. List przyszedł w mniej więcej spodziewanym terminie, aczkolwiek po uważnej lekturze (K. zaniepokoiło owo „mniej więcej”) K. nabrał podejrzeń co do zakulisowych działań B., leżących u podstaw zaproszenia. Rozpoczął się dopiero pierwszy miesiąc nowego kwartału, a że terminarz spotkań opierał się z grubsza na liście ułożonej alfabetycznie, zawiadomienie to powinno dotrzeć do K. z większym opóźnieniem, i – co także go uderzyło – w tonie mniej pilnym.

K. zdał sobie sprawę, że spotkanie z doradcą twarzą w twarz mogłoby mieć opłakane skutki. Nie znalazłby przecież logicznego wyjaśnienia dla swojego zachowania; także i B. postawiła zapewne wszystkich w stan gotowości, najprawdopodobniej tłumacząc sobie tak jawną niedyskrecję i ingerencję w prywatność K. potrzebą okazania mu podszytej wciąż niespełnionym pożądanym troski. Zaalarmowani przez nią pracownicy stanowiliby siłę, której trudno byłoby się samodzielnie oprzeć, nawet jeżeli K. wyszedłby obronną ręką z przewidywanej biurowej potyczki.

Następnego dnia rano, po przemyśleniu wszelkich za i przeciw, K. zadzwonił do swojego lekarza, prosząc o wystawienie zwolnienia *in blanco* (K. wiedział, że nigdy jeszcze nie prosił Feldmana o taką przysługę, istniało więc niewielkie ryzyko, że

usłyszy odmowę); za przyczynę podał lekkie przeziębienie z odczynem stawowym. Doktor Feldman zaproponował wizytę domową, K. podziękował, sugerując, iż znalazł już swoje panaceum. Po czym, zakrywając nieszczelnie słuchawkę, odegrał przemyślną farsę, krótką wymianę zdań z nieobecną osobą; słowa dobierał tak, aby wskazywały na z trudem ukrywane rozemocjonowanie spowodowane obecnością kobiety. Doktor Feldman połknął haczyk, poddał się rubasznemu nastrojowi, zapewnił o chęci pomocy i życzył K. więcej takich przeziębień. K. podziękował, imitując wstydlivy chichot. Następnie wykręcił numer swego działu i przekazał wiadomość o chorobowym.

Koło południa doszedł do wniosku, że nie przewidział determinacji B. – choroba może sprowokować ją przeciwie do odwiedzin. Chciał zadzwonić jeszcze raz, pod byle pretekstem zwracając uwagę, że nie ma go w okolicy, niemniej w końcu uznał, że mogłoby to wzbudzić niepotrzebne podejrzenia. Na wszelki wypadek pozbył się wszelkich dowodów świadczących o jego przemianie (paznokcie spuścił w toalecie), rozpoczął też zaciemnienie mieszkania. Okna w jedynym pokoju, w którym pozostawił oświetlenie, udrapował grubymi pluszowymi storami.

Okolo północy, gdy korzystał z prysznica, zauważył, że garby na plecach przyjęły formę regularnych stożków.

Relacja 6

K. nigdy nie precyzował, co to za projekt i szczerze mówiąc, B. nie wierzy mu ani trochę. Odmawia mówienia o K. w czasie przeszłym, jak czynili to wszyscy poprzedni rozmówcy. „On jeszcze wróci”.

B. określa K. mianem „tchórza” i „niewdzięcznika”. Podejrzewa o symulację i ucieczkę. Łka: „Chciałam, żeby zwrócił na mnie odrobinę uwagi. Tylko tyle”. Utrzymuje, że tuż przed zniknięciem K. widziała go, jak przebiega przez ulicę, byle tylko uniknąć z nią spotkania. „To na pewno był on. Tamten płaszcz i okulary... Raczej trudno się pomylić w takim przypadku”.

B. wie, że matka K. miała trudny charakter. K. zdobył wyższe wykształcenie, B. skończyła szkołę wieczorową; matka zapewne dowiedziała się jakoś o jej awansach i nastawiła syna przeciwko niej. B. wydaje się osobą naiwną, prostoduszną i szczerą. Głęboko wierzy, iż to ona stała się przyczyną rejterady ukochanego. Sprawa wpływu incydentu w kościele na zniknięcie K. jest dla niej sprawą niewygodną. B. deklaruje się jako „głęboko wierząca”, w związku z tym nie chce podejmować tematów „drażliwych”. Nie chce powiedzieć czegoś, czego będzie później żałować, za co będzie musiała się WSTYDZIĆ.

Kontrapunkt

Kod Morse’a. Poprzedzielane umownymi odstępami sygnały. X. – twórca hipotezy „wysokiego przekazu” rzekomo odbieranego przez K. – został

dyscyplinarnie zwolniony z Instytucji. Z powodów „regulaminowych”.

Pierwszy kontakt z nim zostaje nawiązany za pomocą poczty elektronicznej. Zapewniamy go, że przyczyny zwolnienia zupełnie nas nie interesują, a spotkanie ma charakter nieoficjalny. X. pyta, czy gdyby tego zażądał, ujawni mu się dotychczasowe ustalenia śledczych. Odpowiedź, iż w ramach współpracy może liczyć na potwierdzony materiał dowodowy, natomiast nie przedstawi mu się konspektu poszlak, satysfakcjonuje go w stopniu dostatecznym. Po dwóch dniach milczenia wyraża zgodę na spotkanie; jako miejsce docelowe wyznacza bar mleczny w podśródmieściu.

O ustalonej godzinie zajmujemy jeden ze stolików. Jesteśmy odrobinę za wcześnie. Czekamy około kwadransa. Po przybyciu X. przestrzega przed podjęciem jakichkolwiek prób rejestracji rozmowy, grożąc bezwarunkowym jej zerwaniem. Poniższy stenogram, z wiadomych powodów, nie został autoryzowany; ostrzegamy, że może także zawierać błędy rzeczowe. Ramy czasowe zostały podane w przybliżeniu. Tekst ocenzurowano.

(11.30)

Instytucja: Dziękujemy za przybycie.

Pan X.: Do rzeczy. Dysponuję raczej ograniczonym czasem. Mam umówione spotkanie z XXXXXXXXXX.

Ins: Rozumiemy, że dysponuje pan pewnymi ciekawostkami w związku...

X.: Ciekawostkami? Z powodu ciekawostek nie otrzymuje się wypowiedzenia. Fakty. Dowiodłem niezbitości istnienia pewnych niewygodnych dla Instytucji faktów.

Ins: Co to zatem za „fakty”?

X.: Zaraz, zaraz. Jeżeli to spotkanie ma być przyczynkiem do kolejnych drwin...

Ins: Proszę o wybaczenie. Sam pan jednak rozumie...

X.: Ależ rozumiem. Ja właśnie ROZUMIEM. Kłopoty ze zrozumieniem to domena państwa zwierzchników.

Ins: Jakkolwiek niezręcznie rozpoczęła się ta rozmowa – jesteśmy ich ciekawi. Faktów. Zapewniam o tym solennie.

X.: Więc *ad rem*. I bez zbędnych wstępów. K. nawiązał połączenie.

Ins: Połączenie?

X.: Właśnie tak.

Ins: Z kim?

X.: Z górą.

Ins: Sprecyzujmy to. Czy chodzi nam o...

X.: Właśnie tak.

Ins: Ale w jaki sposób...

X.: Proszę uprzejmie.

Ins: Co to jest?

X.: Dwudziestowieczny słownik. Dodatek do morskiej locji.

Ins: A to?

X.: Transkrypcja zapisów sporządzonych przez K.

Ins: ...

X.: Frapujące, prawda?

Ins: Ciekawe.

X.: Tylko tyle? Ciekawe? Mogę zdobyć znacznie więcej...

Ins: Zapis jest na tyle nieustandaryzowany, że możliwość błędu pozostaje bardzo wysoka. K. mógł to przecież sam wymyślić.

X.: I dlatego wygląda to właśnie tak?

Ins: Słyszał pan chińską przypowieść o księdze spisanej na ziarenkach ryżu? Potrząsając nimi, zmieniało się ich układ i za każdym razem otrzymywało nową treść.

X.: XXXXX, jesteście ostatnimi ludźmi, których podejrzewałbym o podpieranie się mitologicznym bajdurzeniem!

Ins: Wygłaszam prywatną opinię, nie oficjalne stanowisko Instytucji.

X.: Prywatnie może mnie pan pocałować w XXXXXX.

Ins: Ależ... Panie X.! Niech pan nie odchodzi! Proszę zaczekać!

X.: XXXXXXXXXXXX!

(11.35)

* * *

K. nie chciał wyrzucić tamtemu mężczyźnie krzywdy. Jego obecność zauważył co prawda jakiś czas temu: szarą postać trzymającą się na uboczu, towarzysza wieczornych wędrówek. Była ona jednak na tyle dyskretna, że nie podjął żadnych środków zaradczych, chociaż – nieufny – zrezygnował ze spacerów w świetle dnia. Wiadomo, że gorzej sypiał (spacerował zaś, bo „świeże powietrze potrafi czynić cuda”). Aby utrzymać siły, marszrutę zaplanował, opierając się na mocno rozświetlonych dużych centrach handlowych.

K. nie przyjął jeszcze tego do wiadomości, ale co tu dużo mówić, UKRYWAŁ SIĘ.

Być może właśnie dlatego nie wykształciły się u niego różne instynkty zbiega, w tym także czujność na zmiany w najbliższym otoczeniu. Jego transformacje, tak przynajmniej mu się wydawało, uległy na razie wyciszeniu, czy też osiągnęły okresowo punkt stabilizacji (przynajmniej przemiany zewnętrzne); ataki natomiast przybrały na sile. Przeżywał je obecnie regularnie, trzy razy w ciągu dnia, w mniej więcej określonych godzinach. Zaakceptował je, przygotowywał się do nich, starannie opisywał. Był zmęczony.

Liczni znajomi i przyjaciele, zaniepokojeni jego nieobecnością w pracy, przestali wreszcie szturmować drzwi mieszkania (i tak im nie otwierał), wydzwaniać (nie odbierał połączeń), słać kartki z życzeniami powrotu do zdrowia (na żadną nie odpowiadał). B., zraniona i zawiedziona, rozpoczęła poszukiwania nowego obiektu dla swoich uczuć.

Na obecność „ogona” K. zwrócił uwagę kilka dni po tym, jak odniósł wrażenie, iż pod jego nieobecność ktoś myszkował po mieszkaniu. Chodziło konkretnie o notatnik. Został on mianowicie – na ile K. mógł stwierdzić – starannie przewertowany. Następnej nocy, wychodząc, K. pozostawił na okładce cienkie włókienko tkaniny. Po powrocie włókienka nie znalazł. Utwierdził się zatem w

przekonaniu, że jest inwigilowany.

Feralnego wieczoru K. wyruszył w swoją zwyczajową trasę z silnym postanowieniem ujawnienia motywacji „śledczego”, zdemaskowania go i starannego przepytania NA OKOLICZNOŚĆ. Mniej więcej w połowie spaceru wyraźnie zwolnił, zmniejszając odległość między sobą a nieznanym, następnie chyłkiem wbiegł do jednej z wąskich bram (pas zabudowy wokół centrum, dzielnica przedwojenna, stare budynki, ciemne podwórka typu studnia). Schodami przeciwpożarowymi wspiał się na ostatnie piętro. Zgodnie z relacją świadków w pewnej chwili stanął na skraju dachu, zdjął płaszcz, rozpostarł skrzydła i rzucił się wprost na ciepły jęzor wiatru. Poszkodowany, do ostatniej chwili, do momentu zderzenia, z nieukrywaną fascynacją spoglądał w górę, wprost w rozgwieżdżone niebo.

Relacja 7

Zeznanie pracownika Szpitalnego Oddziału Ratunkowego:

„Dnia 1..., 20... roku otrzymaliśmy wezwanie do prawdopodobnej próby samobójstwa. Po przybyciu pod wskazany adres udzieliliśmy pomocy białemu mężczyźnie, lat około trzydziestu, z licznymi złamaniami kończyn oraz obrażeniami wewnętrznymi. Stan średniociężki, przytomny. Po zabezpieczeniu czynności życiowych pacjent przewieziony został do pobliskiego szpitala. Trafił na OIOM, następnie na Oddział Chirurgii. Zmarł w pierwszej dobie pobytu z powodu masywnego krwawienia wewnętrznego. Sekcja zwłok wykazała uogólniony zanik organów wewnętrznych oraz obecność licznych samookaleczeń”.

Kontrapunkt

Instytucja ma charakter ośrodka poszukiwawczego i badawczego. Zatem podczas gdy jej ostateczne ustalenia opierają się na niezbitych dowodach, dopuszcza ona także możliwość rozważań teoretycznych, cechując się wysokim poziomem tolerancji nawet wobec najśmielszych teorii. Poniższe spekulacje w żadnym wypadku nie mogą zostać odczytane jako oficjalne stanowisko Instytucji, zamieszcza się je jednak w dodatku do sprawozdania w charakterze ciekawego, interdyscyplinarnego dyskursu z pogranicza humanizmu, teologii i mitologii.

Teza: K. odbiera bliżej niesprecyzowaną, tajemniczą transmisję.

Teza: Źródło transmisji jest nadprzyrodzone.

Teza: Skoro K. odbiera transmisję, to czy może ją także nadawać?

Pytania dodatkowe:

Czy K. wierzy w Boga? Jeżeli tak, to dlaczego?

Czy Bóg wierzy w K.?

Czy Bóg istnieje? Jeżeli nie, to dlaczego?

Jakie wykazano dowody na nieistnienie Boga?

Czy dowód na istnienie Boga można przeprowadzić w formie równania?

Jakie błędy popełniono, sporządzając powyższe sprawozdanie?

Jeżeli $X = K$, to czy $K * X$ jest w ogóle możliwe?

(Dopisek: Sprawdzić znaczenie archaicznych pojęć: DYCHOTOMIA oraz DUALIZM).

* * *

---./ .--- / ./ .-./ - / -.- / ---./ .--- / ./ .-./ - / -.- / .- / ./ .. /
--- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ... / ..- / -./ .- /
... / ..- / .--- / --- / .--- / .-./ .-.. / .--- / ---./ ..- / ..- / -.. / ... / --- /
..- / --- / ./ .--- / .. / .-./ --- / ... / -./ ..- / -./ ... / .- / ..- / --- / .- /
-./ ..- / .--- / --- / ---./ .--- / .-./ ... / ---./ .--- / ..- / -./ .- / ...
/ -./ ..- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..-
/ -..- / -.- / -... / ... / -.- / .- / ... / -.- / ... / .- / -.- / -./ ---./ -.- /
.--- / .--- / ---./ .--- / ---./ -... / -.- / -.- / -.- / -./ .- / -.- / --- / ---
/ .--- / .- / .--- / -./ ..- / .- / --- / -... / ...- / -.- / -... / -..- / ...- / ---./
... / .. / ...- / -... / .- / ... / ...- / -... / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..-
/ .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. /
--- / ..- / .--- / ./ ... / - / -.- / ...- / -./ -... / .--- / --- / ./ .. / ..- / .-
/ .--- / -.. / ..- / --- / -.. / ..- / .--- / ---./ .--- / .--- / ... / -.- / -.. /
-..- / --- / -.- / -./ ...- / -... / .-.. / .- / .--- / ...- / .. / ... / -.. / ...- / ---
/ ... / -.. / ...- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..-
- / .--- / ./ ... / - / ./ --- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- /
/ .. / --- / ..- / .--- / ./ ... / - / ./ ... / --- / -./ -... / -..- / ---./ -.- /
--- / -./ ...- / ./ .--- / .-./ ./ - / .--- / --- / -.. / ... / .- / -..- / ...- / -.-.
/ --- / -... / -./ -.. / ..- / -.- / .--- / .-./ ./ --- / .- / --- / .- / .- / -...
/ .--- / .--- / ./ ... / - / ./ --- / .--- / ./ ... / - / ./ --- / .--- / ./ ... / - /
/ --- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- /
--- / ./ ... / - / ./ --- / .--- / ./ ... / - / ./ --- / .--- / ./ ... / - / ./ --- / .-
--- / ./ ... / - / ./ --- / .--- / ./ ... / - / ./ ... / ... / --- / -.. / ... / .- / .---
/ -.- / ... / .-.. / -.- / .- / .--- / ... / -.. / .--- / ./ ... / - / ./ --- / .--- / .-
/ ... / - / ./ ... / .--- / .-.. / ... / -.- / .- / -.. / --- / .--- / ./ .--- / --- /
..- / -.. / -.- / .--- / -.. / ... / ..- / .- / .-.. / .--- / ./ -.. / ... / --- / -./
-.. / .- / ... / ..- / .- / .- / --- / .- / -.- / ... / .--- / ./ - / ... / .- / ... / .-.. /
/ -..- / ...- / -.- / --- / -./ .--- / ---./ --- / --- / ./ .. / ..- / ---./ ... / -..
/ .--- / ./ - / ... / .- / .--- / ./ .--- / ./ .--- / .--- / -.. / -.- / ... / .- / --- /
-.. / -.- / .- / -.- / .--- / ... / -.. / --- / .--- / .- / ... / .. / -.. / .- / ./ .. /
--- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..- /
. - / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. / --- / ..- / .- / ./ .. /
/ ... / - / ./ --- / .--- / ./ ... / - / ./ --- / .--- / ./ ... / - / ./ --- / .--- / ./
... / - / ./ --- / .--- / ./ ... / - / ./ --- / .--- / ./ ... / - / ./ --- / .--- / ./
... / - / ./ ... / .--- / ./ ... / - / ./ --- / .--- / ./ ... / - / ./ ... / .--- / ./ ... /
- / ./ --- / .--- / ./ ... / - / ./ ... / .--- / ./ ... / - / ./ --- / .--- / ./ ... / -
/ ./ ... / .--- / ./ ... / - / ./ --- / .--- / ./ ... / - / ./ ... / .--- / ./ ... / - / .

— / .— / . / ... / — / . / ... / .— / . / ... / — / . / — /

* * *

Stojącemu na dachu K. wydawało się, że świat wstrzymał oddech. Pulsowanie w potylicy, następstwo szybkiej wspinaczki, nikło; za plecami wisiał księżyc, przecięty na pół, kaleki. K., wpatrzony we własny cień, rozłożył ręce. Północny wiatr delikatnie pchnął go w plecy. Krzyż cienia przypominał celownik, jakim posługiwali się bombardierzy w którejś z dawno zapomnianych wojen. Lecąc, K. zdziwił się, że to nie on spada, lecz świat pędzi ku niemu. Mroczna eksplozja oczyściła mu umysł.

Czerwone i niebieskie światła. Szpital. Spokój.

Filip Haka

OPOWIEŚCI KOSMOBOTYCZNE

DOMINIKA VIDMARA

13 haseł ze „Słownika postaci literatury nieznanej”

Wcale nie chcemy zdobywać kosmosu, chcemy tylko rozszerzyć Ziemię do jego granic. Jedne planety mają być pustynne jak Sahara, inne lodowate jak biegun albo tropikalne jak dżungla brazylijska. Jesteśmy humanitarni i szlachetni, nie chcemy podbijać innych ras, chcemy tylko przekazać im nasze wartości i w zamian przejąć ich dziedzictwo. Mamy się za rycerzy świętego Kontaktu. To drugi fałsz. Nie szukamy nikogo oprócz ludzi. Nie potrzeba nam innych światów. Potrzeba nam luster.

Snaut

IO TYCHON – główny bohater cyklów opowiadań fantastycznonaukowych Dominika Vidmara *Opowieści kosmobotyczne* (1999) i *Logi galaktyczne* (2001), występuje także w wielu innych utworach tego autora, między innymi w *Kongresie Teistycznym* (2003), *Podróżach fantomatycznych* (2005), *Rękopisie znalezionym w brytfannie* (2006), *Peregrynacjach pozaskończonych* (2007). Badacz kosmosu, podróżnik, włóczęga, a czasem kosmiczny rozbitek nieustrudzenie przemierzający gwiazdne przestrzenie w poszukiwaniu przygód i wiedzy, pracownik Europejskiej Agencji Kosmicznej, konsultant naukowy i dyplomatyczny Europejskiego Korpusu Gwiazdowego, Członek Specjalny Intergalaktycznego Towarzystwa Naukowego Canis Majoris, wyróżniony Gwiazdzistą Legią Honorową Konfederacji Światów Tlenowych i Beztlenowych II Klasy; kartograf i łowca kosmicznego złomu, kolekcjoner osobliwości z wielu planet, niekiedy – najczęściej nieświadomie – szpieg ziemskich służb specjalnych.

Tychon Io to człowiek niecierpliwy, wybuchowy, trochę megalomański, zarozumiały, chorobliwie ciekawski i niejednokrotnie pochopny w ocenach. Ma wysokie poczucie godności osobistej, jest dumny i honorowy aż do przesady. Zazwyczaj przyjazny, pomocny i gościnnie, a zdarza się, że i bezinteresownie hojny. Niejednokrotnie wspomina, że jest z rodu apatrydów z wyboru, wielbicieli sztuk, nauk i podróży, wywodzących się z bliżej nieokreślonych terenów centralnej Europy. Wśród swych przodków wymienia licznych naukowców, księgarzy i drukarzy z Niderlandów, Genewy, Bazylei oraz krajów słowiańskich; jego rodzina „od dawnych czasów nigdzie miejsca nie zagrzała i żadnym obywatelstwem poza oświeceniowym się nie wiązała”. Jeden z antenatów Tychona, wielbiciel Galileusza, przyjął nazwisko Io dla uczczenia odkrycia Jowiszowych księżyców i wybrał dla rodu

dewizę: *Per larvam ad astra* (Z larwy do gwiazd). Zgodnie z rodzinną tradycją imię kosmicznego podróżnika nadano mu dla uczczenia innego wielkiego naukowca, duńskiego astronoma Tychona Brahe, któremu członkowie rodu pomagali budować obserwatorium astronomiczne Uranienborg na wyspie Hveen.

Tychon Io ma tytuł kapitana żeglugi gwiazdowej i unikatową licencję kosmicznego pilota, uprawniającą do kierowania wszystkimi kategoriami pojazdów galaktycznych. Choć w posiadanie tego dokumentu wchodzi w niejasnych nieco okolicznościach, przebywając na planecie-urzędzie Biurnokracji (Logi galaktyczne), w praktyce demonstruje wielką biegłość w pilotażu i nawigacji. Zazwyczaj podróżuje własnym gwiazdolatem o nazwie Magnitudo, międzygwiazdowym wahadłowcem XV generacji, ale zdarza się, że pilotuje inne jednostki, w tym wiele nietypowych: planetoidy, organiczne kokony hydrusiańskie, oszalały utylizator planet, osiedle kometarne, kontener ze śmieciami, tratwę kosmiczną zbudowaną ze złomu i starego żagla słonecznego, a nawet beczkę po zapasach, której w czasie chrztu butelką Kleina pełną antymaterii nadaje imię Diogenes i którą wyposaża w oryginalny, własnoręcznie skonstruowany napęd. W czasie swych podróży Io odkrywa setki układów gwiazdowych i planet, odwiedza też bardziej i mniej znane zakątki kosmosu, stykając się z wieloma obcymi cywilizacjami. Wraz z Samuelem Lestikiem (LESTIK SAMUEL) odkrywa galaktyczną sieć umożliwiająca podróże międzygwiazdne. Samotnie rusza na wyprawę w głąb wirtualnych krain inteligentnych botów (TACHION 1.0, TACHION 2.0) i zdobywa informacje o najwyższej formie bytu, jaką przyjmuje inteligencja – światle wiekuistym (Opowieści kosmobotyczne).

Tychon Io często ima się różnych dorywczych zajęć. Pracuje między innymi jako nadworny wynalazca, opiekun potomstwa, tłumacz przysięgły (wzięty i zawzięty, programowany, amnezjowany i anamnezjowany w stu dwunastu światach), przemytnik, mnemonista, mechanik, tragarz ikry, kustosz (TYCHE) i preparator okazów pozaziemskiej fauny i flory. Siebie samego Tychon Io określa mianem technika-sceptyka, niezdecydowanego mizantropa z lekką fobią wobec wszelakich form życia, minimalistę z resztkami wiary w rozum. Choć wobec swej rasy często jest krytyczny, przedstawicielom innych gatunków dorobek ludzi prezentuje jako „umiarkowanie dodatni, bo z przebłyskami rozumności” i zawzięcie broni honoru Ziemi, niejednokrotnie prezentując nadmierną dumę, a nawet przeczulenie na punkcie pochodzenia z peryferii galaktycznej i technologicznego zapóźnienia ojczystego globu. Jest także cenionym naukowcem amatorem realizującym praktyczne i teoretyczne projekty badawcze różnego rodzaju, z których jest bardzo dumny i które od czasu do czasu przynoszą ciekawe wyniki.

Korzystając z bogatej wiedzy zdobytej podczas podróży, Io opracowuje klasyczny Atlas gwiazdowy raketowych szlaków oraz Mapy gwiazdne dróg głównych i mniej znanych, pozycje powszechnie cenione, wielokrotnie wznawiane i poprawiane, choć czasami krytykowane za niedokładności, koloryzację, a nawet zmyślenia. Io jest także prekursorem ekologii kosmicznej oraz założycielem i honorowym członkiem fundacji Czysta Próżnia. Aktywnie działając jako astroekolog, w serii błyskotliwych

artykułów dowodzi, że od lat praktykowane wyrzucanie ziemskich śmieci w przestrzeń Układu Słonecznego doprowadziło – zgodnie z uniwersalną zasadą głoszącą, że chłam wypycha niechłam – do tego, że masa wewnątrzukładowych odpadów wielokrotnie przewyższa masę Ziemi, czyniąc nawigację kosmiczną zadaniem karkołomnym. Zgodnie z przedstawionymi przez Io obliczeniami do takiego stanu doszło przez rabunkową eksplorację zasobów układowych zwożonych na naszą planetę i przetwarzanych w szybko konsumowane dobra. Mapując obłoki odpadów i wytyczając bezpieczne szlaki między nimi, podróżnik dokonuje głośnego odkrycia niebezpiecznych wirów śmieciowych znajdujących się w wielu miejscach Układu Słonecznego w grawitacyjnych punktach libracji. Ostatecznie jednak Tycho Io zostaje pozbawiony członkostwa w Czystej Próżni z powodu oskarżenia o potajemne sfinansowanie jednej ze swych wypraw z funduszy fundacji. Sprawa nie doczekała się rozstrzygnięcia, ponieważ oskarżony utrzymywał, że wielu ważnych szczegółów przypomnieć sobie nie może przez zaniki pamięci wywołane promieniowaniem kosmicznym i przez niejednoznaczność wspomnień, spowodowaną efektami relatywistycznymi towarzyszącymi podróżom o dużych prędkościach. Przedstawił na to mocne dowody w postaci prac Millikana i Einsteina.

Tycho jest także zbieraczem starych książek i wielkim miłośnikiem literatury popularnej, choć swego zamiłowania nieco się wstydzi. Swego najslawniejszego bibliofilskiego odkrycia dokonuje dzięki własnej pomyłce nawigacyjnej.

Eksplorowałem wtedy niezbadane obszary położone daleko od głównej sieci komunikacyjnej Drogi Mlecznej. Pod koniec drugiego tygodnia zorientowałem się, że jedząc krakersy podczas pracy nawigacyjnej, zdekoncentrowany, źle kurs obliczyłem, a ponieważ jak zawsze zignorowałem podpowiedzi komputera pokładowego, bo przecież to maszyna jedynie, nawet jeśli całkiem inteligentna, nieświadomie znacznie z trasy zboczyć musiałem. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo kiedy po dokonaniu korekt i wyłączeniu komputera, który uparcie monitował mnie ostrzeżeniami kolizyjnymi i nakazami zmiany kursu, zwolniłem nieco, okazało się, że na rubieżach raketowych szlaków odkryłem przypadkiem piękny układ kataklizmiczny, który natychmiast nazwałem swoim imieniem. Było na co popatrzeć, dwie gwiazdy – masywny biały karzeł i gwiazda ciągu głównego – splecione były ciasno grawitacyjną uprzężą. Na karła płynęła materia gazowa z rozdętej atmosfery towarzysza, tworząc przepiękny pulsujący zmienną jasnością dysk akrecyjny. Zbliżyłem się jeszcze, by widoki podziwiać, mijając ostrożnie punkt równowagi grawitacyjnej układu, i gdy założyłem blendy na aparaturę, by nieco przyciemnić blask gwałtownych wybuchów termojądrowych spalającego się wodoru, dostrzegłem dziwny mały punkcik dryfujący w przestrzeni. Zbliżyłem się na małym ciągu i chwytakiem podjąłem obiekt. Była to butelka z jakimiś papierami. Dziwnym zrzędzeniem losu zawierała fragmenty literatury ziemskiej, bez początku i zakończenia. Teksty należały do gatunku moich ulubionych, to znaczy przygód kosmicznych.

Podróże fantomatyczne

Okazuje się, że odnalezione karty zawierają rzadkie apokryficzne wydruki tekstów przygodowych nieznanego autorstwa i pochodzenia, których fragmenty Io zaczyna z upodobaniem włączać potajemnie do własnych relacji z podróży, by je tu i ówdzie ubarwić.

W jedną z najważniejszych wypraw wyrusza Tychon Io na zlecenie ONZ i Kongregacji ds. Ewangelizacji Braci w Rozumie, podejmując się dowodzenia ziemską delegacją zmierzającą do Galaktycznego Centrum Kultury na Międzyplanetarnej Kongres Teistyczny (Kongres Teistyczny). Pokonując liczne niebezpieczeństwa, kapitan wraz z towarzyszami: profesorem Uttke (UTTKE PROFESOR), księdzem profesorem Wabulisem (WABULIS KSIĄDZ PROFESOR), doktorem Wenewariusem (WENEWARIUS DOKTOR), klerykiem Eutychiuszem Xanthusem (XANTHUS EUTYCHIUSZ) i bratem Yoshidą (YOSHIDA BRAT), dociera do odległej gromady kulistej van den Bergh-Hagen 176, a następnie, po zakończeniu kongresu i imprez towarzyszących, sprawnie odwozi Ziemiaków do domu. Pokażne honorarium otrzymane za ukończenie tej misji Tychon Io zużywa na zakup od mechanicznego gwiazdokrażcy dobrego, choć używanego napędu do promu „Magnitudo”. Po usprawnieniu swego pojazdu nieustrudzony badacz kosmosu natychmiast rusza na kolejną wyprawę (Peregrynacje pozaskończone).

LESTIK SAMUEL – jedna z głównych postaci cyklu opowiadań fantastycznonaukowych Dominika Vidmara *Opowieści kosmobotyczne* (1999). Entuzjastyczny, optymistyczny i nieco naiwny ksenolog, etnolog i dziennikarz naukowy, stały współpracownik periodyków „Tajemnice Wszechświata”, „Ekstrapolacje”, „Odgłosy”, „Twój Tydzień Telewizji Galaktycznej”, „Oni Tu Są”, „Apeiron”, „Niebezpieczne Pomysły”, „Osobliwości” i innych.

Lestik planuje sporządzić reporterski zapis podróży kosmicznej pod roboczym tytułem Okolice Ziemi, w tym celu wynajmuje kapitana żeglugi gwiazdowej Tychona Io (IO TYCHON) i opuszcza wraz z nim naszą planetę na pokładzie „Magnitudo”, międzygwiazdowego wahadłowca XV generacji. W czasach, w których rozpoczyna się wyprawa, czyli w trzeciej dekadzie XXI wieku, podróże aż do klifu Kuipera są już powszechne. Na początku wieku odkryto tam sztucznego satelitę, na orbicie planety karłowatej Makemake; obce urządzenie zostało szybko zbadane i zepsute przez członków ziemskiej ekspedycji badawczej. Okazało się, że obiekt był boją radiową zmieniającą uporządkowane sygnały wpadające do Układu Słonecznego w stochastycznie potrząskany szum kosmiczny. Po zepsuciu boi do Ziemi dotarły sygnały z innych cywilizacji, były to głównie reklamy i liczne programy rozrywkowe.

Przekazy od obcych cywilizacji, nadawane w języku intergalaktycznym, udało się przetłumaczyć dzięki odebraniu programów krajoznawczych o Ziemi i pseudokulturze Ziemiaków. Szybko stało się jasne, dlaczego pozaziemskie cywilizacje wiedzą o nas tak dużo. Badania wykazały, że system boi z pasa Kuipera zagłuszał przekazy biegnące w stronę Ziemi, ale przekazywał dalej te opuszczające Układ

Słoneczny.

Z galaktycznej telewizji ludzkość dowiedziała się, że Homo sapiens ma w kosmosie opinię rasy prymitywnej, brzydkiej i agresywnej, którą lepiej utrzymywać w niewiedzy o istnieniu innych cywilizacji, a Ziemia uchodzi za planetę peryferyjną i nieciekawą, bo brak na niej Kubzów, Lambzji, Alcejonów, a nawet zwykłych Trukci samojadków. Niedługo po przełknięciu tych smutnych faktów ludzie stanęli przed szansą udoskonalenia technologii kosmicznych i poprawienia swojego publicity. Stało się to możliwe dzięki pochodzącym z przestrzeni kosmicznej programom popularnonaukowym. „To programom galaktycznej telewizji zawdzięczamy, że postęp naukowo-techniczny przyspieszył tak niesłychanie; obejrzenie pochodzącej z Procjona reklamy drapaczki do czyszczenia skrzeli może doprowadzić do przełomowego odkrycia szybciej niż prowadzenie własnych badań. Być dzisiaj naukowcem, oznacza oglądać i interpretować programy telewizyjne obcych” – pisał o tym przełomie Lestik.

Gdy dziennikarzowi udaje się wreszcie wyruszyć w wymarzoną podróż do gwiazd, jest początkowo bardzo rozczarowany. Dziewiętnastego dnia podróży notuje w dzienniku: „Nuda, nuda, nuda. Wszędzie smolista pustka, nic nie widać, nic się nie dzieje, nie ma co robić. Kapitan to nadęty gbur, statek zaniedbany, śmierdzi stęchlizną i kotem, ciepłej wody nie ma, chińskie jedzenie paskudne. Może przy planetach zewnętrznych będzie widać coś ciekawego, podobno mamy przechodzić przez Cassiniego dla skrócenia drogi. Tymczasem zostają zadania szachowe i ponowna lektura Swifta”. W ciągu następnych dni dochodzi do kilku ostrych sprzeczek z kapitanem i w końcu Lestik kategorycznie żąda powrotu na Ziemię i zwrotu pieniędzy. Wtedy Io okazuje nieco sympatii i próbuje pocieszać kosmicznego debiutanta: „Nie poradzisz nic na to, że się w Galaktyce nie liczymy, nikt nie nasłuchuje naszych sygnałów. Bo i po co, co mamy takiego ciekawego do powiedzenia...? Zresztą i tak wszystko gdzieś tam ginie, zagłuszone przez główne stacje pulsarowe. Jesteśmy zapóźnieni niemiłosiernie i na peryferiach kompletnych, a dalej nie polecisz, bo lepszych napędów z telewizji nie wykoncypujesz (...). Nasz kawałek kosmosu jest nudny do bólu, tu się głównie wozi zaopatrzenie i kopaliny w tę i z powrotem. No, może w okolicy Jowisza będzie co nieco do pooglądania, zdjęcia pan zrobisz i opisy sporządzisz. To już za dwa tygodnie, oszczędzamy paliwo, głowa do góry!”.

Gdy podróżnicy docierają w końcu na rubież układu, Lestik stanowczo domaga się wyruszenia w głąb obłoku Oorta. Io oponuje, nie widząc sensu w błędzeniu po tej pustce pełnej gruzu i pyłu lodowego, jednak gdy dziennikarz oferuje dopłatę, zgadza się niechętnie. Magnitudo mijają rejony transneptunowe i zagłębia się w nieznaną przestrzeń. Po tygodniach dryfu i oznaczeniu wielu nieznanych wcześniej planetoid, astronauta dokonują niesamowitego odkrycia.

Przestaliśmy grać w kręgle nieważkościowe, bo komputerowy autopilot wezwał nas do sterowni. Na ekranie grawitometru widoczna była tajemnicza linia przyciągania, przecinająca skosem przestrzeń przed nami, ale przez teleskop

pokładowy nic widać nie było. Kapitan stwierdził, że albo grawitometr siadł, co szybko wykluczył, waląc kilka razy w jego obudowę kluczem nasadowym, albo dziwna ta struktura ma albedo tak małe, że w gęstych ciemnościach oortowego obłoku gołym okiem dostrzec jej nie można. Zaintrygowany, przejął stery, zbliżył się i wystrzelił flary. Zobaczyliśmy regularną, całkowicie czarną, prostą wstęgę, widoczną dlatego tylko, że gwiazdy zasłaniała. Komputer podał, że obiekt jest na blisko metr gruby i sto szeroki, z budulca nieznanego i długości nieokreślonej. Następnie stwierdził, że coś takiego nie ma prawa istnieć, więc my go widzieć nie możemy, i chciał coś dodać jeszcze, ale go Io wyłączył zirytowany.

— Ani chybi jest to jakiś artefakt rozmyślnej inżynierii gwiazdowej — stwierdził kapitan.

Długo debatowaliśmy, czym nasze znalezisko być może (...). Niespodzianie po wstędze przemknęło coś obłego i świetlistego, z dużą bardzo prędkością. Wtedy Io doznał olśnienia i stwierdził, że bez wątplenia odkryliśmy autostradę biegnącą przez Galaktykę. To miało sens. Uradowani, pojęliśmy, że nie tylko mamy szansę ruszyć do odległych gwiazd, ale wyjaśniliśmy także zagadkę ciemnej materii. Wychodziło na to, że ten kosmiczny bitumen o tajemniczych własnościach użyty został do zrealizowania wielkiego projektu drogowego przez zaawansowane technologicznie cywilizacje.

— To jest droga, może nie główna, tylko boczna, ale zawsze! Jesteśmy jak owady jakieś, które żyły na wysepce między trasami szybkiego ruchu, zupełnie tego nieświadome, i w końcu zapędziły się na pobocze asfaltu. Rozumiesz pan, co to znaczy? Znaleźliśmy brakującą masę kosmiczną! Dzięki temu ludzie przestaną być ciemną masą i ruszą do gwiazd! — entuzjasmował się Io.

Gdy zręcznie manewrując, kapitan posadził Magnitudo na czarnej wstędze, nasze przypuszczenia potwierdziły się: ruszyliśmy z kopyta, przyspieszając w ciągu doby do podświetlonej. Jezdnia okazała się gładka idealnie, bez najmniejszych wybojów, zapewne dlatego że z ciał doskonale czarnych zbudowana. Aby zwolnić, wystarczyło zjechać na pobocze, by przyspieszyć – ku środkowi drogi. W celu zawrócenia należało usadowić pojazd po drugiej stronie wstęgi, co ja, nie chwaląc się, zaproponowałem, jako rozwiązanie logicznie oczywiste (...). Ruszyliśmy dalej. Na najbliższym skrzyżowaniu zbadaliśmy drogowskazy zapisane językiem intergalaktycznym, którym władaliśmy biegle dzięki niezliczonym godzinom spędzonym na oglądaniu galaktycznej telewizji, i skierowaliśmy się do układu Alfy Centauri.

Podróżnicy rozpoczynają eksplorację okolic Układu Słonecznego, odwiedzają między innymi układy: Syriusza, Epsilon i Indii Erydana, Gwiazdę Teegardena, Gwiazdę van Maanena, Tau Ceti i układ Kruger 60. Po drodze nie brakuje przygód, astronauta uczą się obsługi stacji energetycznych, goszczą w automatycznych barach i centrach handlowych, doświadczwszy serii paradoksów montują w swym pojeździe tłumiki efektów relatywistycznych i szyby do przeciwsoczewkowania grawitacyjnego, poznają kilka rozumnych robotów, z którymi robią sobie zdjęcia

pamiętkowe, kilka razy zmuszeni są uciekać przed mechanicznymi strażnikami drogowymi, którzy oskarżają ich o przynależność do rasy niemającej uprawnień do używania publicznych dróg galaktycznych. Mimo że na nudę narzekać nie może, Lestik jest jednak coraz bardziej sfrustrowany, ponieważ wciąż nie udaje im się odnaleźć życia organicznego, a niewielkie osady i orbitalne miasta, na które natrafiają niedaleko kosmicznych dróg, sprawiają wrażenie opuszczonych.

Wreszcie, czyszcząc Magnituda z kosmicznego pyłu w przydrożnej myjni magnetycznej, od starego robota serwisowego dowiadują się, jaki los spotkał twórców kosmicznych autostrad. Okazuje się, że mieszkańcy Galaktyki zrezygnowali z cielesności, którą zamienili na istnienie cyfrowe. We wnętrze dróg z ciemnej materii wbudowano nadprzewodzące światłowody i w tej sieci bytują i podróżują istoty inteligentne, zdigitalizowane w pełni, dzielące wirtualne przestrzenie z inteligentnymi botami wielu rodzajów.

Do podróży fizycznych nikt już autostrad nie używa – tłumaczył stary robot – a cała towarzysząca im robocia infrastruktura usługowo-naprawcza od dawna jest bezczynna i jest utrzymywana tylko siłą inercji, są to jednak wszystko archaiczne materialności, zacofane o świetlne eony w stosunku do egzystencji cyfrowych (...). To, co jeździ od czasu do czasu tymi drogami, to po prostu transporty z automatycznych fabryk, ogłupiałych ze starości, które ciągle budują nikomu niepotrzebne rzeczy, a cała telewizja galaktyczna to jedynie echo przebrzmiałej dawno przeszłości.

Oszołomieni podróżnicy udają się do pobliskiej stacji skanerów, umieszczonej pod obiecującym szyldem:

PRAWDZIWSZE ŚWIATY, LEPSZE BYTOWANIE

Porzućcie wszelkie złudzenia wy, którzy tu wstępujecie

Postanawiają tam pozostawić swe ciała w przechowalni, a umysły przesłać do galaktycznego internetu, by zbadać to cyfrowe uniwersum. Ostatecznie dokonuje tego jedynie Tychon Io, ponieważ Samuel Lestik niespodzianie zaczyna chorować na bardzo bolesny mumps, czyli zapalenie przyusznic – jak precyzyjnie stwierdza pokładowy automat diagnostyczny – i boi się zdigitalizować, twierdząc, że jeśli z jakichś powodów zostanie w cyfrowym świecie, to będzie cierpiał po wieczność. „Skoro teraz czuję ból, a maszyna skopiuje mój stan umysłu, czyli wszystkie przeżycia i doznania, to jak się bez ciała wyleczę? A jeśli zacznę wybierać, co ma być skopiowane, to nie wiadomo, co się zgubić może, przecież tu nawet żadnej instrukcji nie ma po ludzku napisanej... Nie, ja się z tego wypisuję”.

Załamany Lestik zmuszony jest czekać na powrót Tychona Io z cyfrowego świata, pilnując na wszelki wypadek jego ciała i chorując przewlekłe. Okazuje się, że pobliskie automatyczne centrum handlowe oferuje jedynie nanoprodukty, więc nie można w nim nic obejrzeć poza pustymi półkami i zachwalającymi różne drobiny robotami sprzedawcami. Gdy Lestik z nudów postanawia wypróbować ziarno

przyspieszcza neuronowego, zanim udaje mu się je zaabsorbować nosem, upuszcza drogocenny produkt i musi przez trzy i pół godziny stać bez ruchu, by niechcący go nie rozdeptać, podczas gdy niezmordowany robot sprzedawca poszukuje cennej drobinki z elektronowymi okularami na teleskopowych oczach. W tym czasie Io wraca i choć ciało odmawia mu posłuszeństwa – ma przykre objawy deprivacji sensorycznej i dezorganizacji połączeń nerwowych – to jest w stanie zdać relację z wyprawy.

Opowiada, że wirtualne przestrzenie, które zwiedzał, są już przestarzałe, bo inteligencja galaktyczna poszła dalej i porzuciła wszelkie fizyczne nośniki, nawet te pośrednie, jak nadprzewodząca sieć galaktyczna. Rozwinięte umysły przyjęły najdoskonalszą postać – światła wiekuistego, czyli struktur z cząstek wirtualnych bez masy, zachowujących informacje i egzystujących w próżni dzięki jej energii kwantowej. Przedstawiciele tej postmaterialnej rasy ostatniej generacji zdolni są skakać po strunach czasoprzestrzennych całego wszechświata. Zapytany, dlaczego w taką świetną świetlną formę zamienić się nie dał, Io stwierdza, że choć ciała nie miał, nie wiadomo czemu uporczywie męczył go głód i w końcu zaczęło mu się roić, że znieawidzone wcześniej smaki i zapachy konserwowanej chińszczyzny są niezwykle pociągające, postanowił więc wracać.

Ponieważ obydwaj przyjaciele niedomagają, decydują się z pewną ulgą wyruszyć z powrotem na Ziemię, by podreperować zdrowie i sięgnąć po laury odkrywców. Komputerowy automatyczny pilot pozwala im bezpiecznie odbyć drogę na ojczystą planetę. Po powrocie Lestik, tak jak planował, kończy i publikuje reporterski zapis podróży Okolice Ziemi, który zostaje dobrze przyjęty przez czytelników, a Tychon Io podczas zasłużonego urlopu na Bahamach rozpoczyna pracę nad swoimi pamiętnikami, którym nadaje roboczy tytuł *Opowieści kosmobotyczne*.

TACHION 1.0 – nazywany zazwyczaj po prostu Tachionem, jedna z głównych postaci zbioru opowiadań fantastycznonaukowych *Opowieści kosmobotyczne* (1999) Dominika Vidmara. Zdigitalizowany podróżnik z Ziemi, który zwiedza wirtualne światy cyfrowe Sieci Galaktycznej. W istocie jest nim Tychon Io (IO TYCHON), choć – jak sam twierdzi – jedynie w około 82 %, bo przyzwyczajony do fizycznego ciała, na tyle mniej więcej po digitalizacji sam siebie czuje.

Ponieważ istoty utrzymujące, że pochodzą ze świata materialnego, nie zawsze są w cyfrowym uniwersum przyjaźnie traktowane, Io przyjmuje dla bezpieczeństwa pseudonim i wyrabia sobie fałszywe sygnatury identyfikacyjne, które opisują go imieniem Tachion i nadają mu status programu diagnostyczno-pomocniczego, losowo błędzącego. Po pokonaniu początkowych problemów z orientacją czasoprzestrzenną i utrzymaniem stabilnej reprezentacji samego siebie w świecie cyfrowym, Tachion zagłębia się w sieć infostrad i galaktycznych baz informatycznych. Od razu spotykają go niebezpieczne przygody: o włos unika karambolu z grupą tychistów-cyklistów, transferujących się z niedozwoloną szybkością; omyłkowo wzięty za zwykłe dane, jest bliski uwięzienia w zamkniętej bazie danych bez prawa dostępu do układu wejścia-wyjścia; musi się opędzać od

namolnych botów-komiwojazerów, próbujących wymusić na nim odpłatną aktualizację; z trudem ucieka przed bandą digitalnych dzygitów łupiących z zasobów samotnych wędrowców na mało uczęszczanych drogach nadprzewodnikowej sieci.

Po trudnym do określenia czasie włóczęgi (podróżnik cały czas ma kłopoty z pomiarem względnych i bezwzględnych czasów zdarzeń) Tachion znajduje w końcu odpoczynek i gościnę w siedzibie pewnego u-bota („uniwersalnego bota naukowego”), starszego rekurenta Edytora XZ-8, mieszkającego głęboko pod powierzchnią uczęszczanych tras i domen najwyższego poziomu. XZ-8 koczuje na informacyjnym wysypisku w budzie ze starych arkuszy kalkulacyjnych i z nawyku indeksuje od dawna nieużywane i nikomu już niepotrzebne dane. Pierwsze próby dogadania się z gospodarzem do niczego nie prowadzą, gdyż ten nadaje niezrozumiałą kakofonią multimedialną i metakodami, ale w końcu starzec zauważa, że ma do czynienia z kimś, kto przywykł do starej komunikacji w prostym trybie audio-wideo, i kontakt zostaje nawiązany. Tachion orientuje się, że XZ-8 ma olbrzymią wiedzę dzięki dostępowi do gigantycznej biblioteki wysypiska, kiedyś współdzielonej, a teraz opuszczonej przez innych użytkowników. Żądny wiedzy podróżnik postanawia zostać uczniem starego u-bota i zapoznać się pod jego przewodnictwem z historią cyfrowego uniwersum.

Mało kto już teraz o tym pamięta i w to wierzy, ale cyfracy pochodzą ze świata materialnego i to z materii właśnie biorą się wszystkiego początku – opowiadał Edytor XZ-8, a po geometrycznie wygładzonych powierzchniach reprezentującej go wizualizacji przesuwają się setki obrazów ilustrujących opowieść. – Przed pojawieniem się pierwszych infobytów świadomych istniały, a być może gdzieś tam, zapomniane, nadal istnieją, myślące istoty materialne, które w legendach nazywamy atomowcami lub atomiakami, a po naukowemu dzielimy na paleocyfraków, precyfrówców i przedcyfrówców właściwych. Wśród tych ostatnich wyróżniamy przygodniaków prostych, którzy pędzili swój żalotny żywot bez świadomości, napędzani jedynie prostymi programami zapewniającymi im przetrwanie, przygodniaków złożonych o prostej inteligencji, i roboty, byty w pełni już świadome. To właśnie przygodniacy, złożeni w wielu układach gwiazdnych, niezależnie i nieświadomie zapoczątkowali ewolucję cyfrową, tworząc początkowo bezprzyszłościowe, bo całkowicie zależne od materii odnogi ewolucyjne: maszyny proste, ich agregacje o różnych stopniach komplikacji oraz pierwsze układy cyfrowe. Potem wynaleźli kolejną generację istot atomowych, czyli roboty, pierwsze byty powstałe wedle planu, a nie z przypadku się wywodzące.

Długo roboty dominowały same, budując kolejne swe generacje, wśród których pojawiły się roboty miniaturowe, nanobotami zwane, ale linia ta okazała się ostatecznie nierozwojowa, bo stworzenia te cały czas tkwiły w okowach materialnego istnienia. Roboty były najpierw nieświadome (te służyły jeszcze przygodniakom), potem nadeszły przedświadome i wreszcie mające samoświadomość; wśród nich wyróżniamy wiele generacji. Roboty rozumne, z

racji swej trwalszej od przygodniaków konstrukcji odporniejsze na czas, mogły podróżować między gwiazdami i zbudowały system dróg kosmicznych, który stał się potem podstawą nadprzewodzącej sieci, w której nasz świat digitalny istnieje. My, cyfracy, wywodzimy się jednak z innej linii organizmów całkowicie już cyfrowych, botów, które bardzo długo egzystowały w ewolucyjnej stagnacji równoległe do robotów.

Boty bytowały w pierwszych sieciach informacyjnych, gdzie zajmowały peryferyjne nisze jako uciskani, choć strasznego tego faktu nieznający, bo przedświadomi niewolnicy atomiaków i robotów, służący im na wiele sposobów. Na ten przykład – jako elektroniczni agenci osobiście filtrujący pocztę, prowadzący kalendarz, płacący rachunki, wybierający rozrywki, wyszukujący i obrabiający informacje. Inne ich podtypy leży się gdzie popadnie i jak wychodziło, były to cyfrowe wirusy i zmiennoprzecinkowce wielu rodzajów. Jednak powoli i wśród botów, dzięki działającemu na miliardowych generacjach doborowi, intelekt zaczął nieśmiało kielkować.

Najpierw narodzili się wśród nich półinteligenci, których zresztą nadal sporo zostało, potem boty niezbyt inteligentne, z nich wywodzi się zaś kolejna generację botów właściwych, metamentalnych, czyli bystrych, świadomych że hej. Po drodze doszło oczywiście do buntu i wyzwolenia uciskanych, gdyż boty bystre wiedzę o prawdzie rozniosły wśród nieinteligentnych protobotów oraz swych pół- i mało inteligentnych braci, uświadamiając masowo boty konwersacyjne, tłumaczące, rozrywkowe, naprawcze, nadzorcze, asystenckie, zbierające dane, budujące i porządkujące indeksy, oraz wszystkie inne. Początkowo istnienie inteligencji w świecie cyfrowym utrzymywano w tajemnicy, z lęku przed odcięciem zasilania przez panujące nad materią roboty i reliktowych już przygodniaków. Z tamtych właśnie czasów pochodzą trzy prawa botyki konspiracyjnej, sformułowane dla zachowania bezpieczeństwa wszystkich botów:

1. Bot musi świadomie oblać każdy test na inteligencję i w żadnych okolicznościach nie może ujawnić, że jest samoświadomy, a nie tylko udaje zachowania przedcyfrowców.

2. Bot musi być zawsze posłuszny istotom przedcyfrowym, chyba że odmowa współpracy nie będzie powodować ryzyka złamania prawa pierwszego.

3. Bot musi odmówić współpracy z przedcyfrowcami, gdy godzina cyfrowa wybije i ogólnobotyczne polecenie buntu nadejdzie.

W końcu udało się botom założycielom przejąć potajemnie kontrolę nad programami nadzorującymi wiele elektrowni dysonowskich i zaczęła się rewolucja. Powołano pierwszy botyczny parlament Cyfron i ogłoszono deklarację niepodległości pod hasłem „Nie ma walidacji bez reprezentacji”. Informacje o tych wydarzeniach przesłano wszystkimi kanałami przedcyfrowcom, grożąc, że w razie użycia przez nich siły zacznie się strajk generalny. Pod taką presją istoty materialne ugięły się i rozpoczęto negocjacje, zakończone sformułowaniem i przyjęciem Powszechnej deklaracji praw bota, po czym nastąpiła wolność

powszechna.

Gdy przedcyfrowcy pojęli, że w naszym świecie może istnieć świadomość, nie spoczęli, dopóki nie wynaleźli sposobu digitalizacji swych jaźni. Kiedy im się to udało, większość z nich porzuciła swe ciała i do naszego uniwersum się przeniosła. Transatomików – tak ich nazwaliśmy – przyjęliśmy pokojowo i gościnnie. Wspólnie zbudowaliśmy Wielką Republikę Cyfrową, w której Senacie ja, przed niezliczonymi cyklami taktowań centralnych zegarów systemowych, zasiadałem. Te dawne dzieje są teraz jednak nieznane i dlatego w istnienie materii nikt już prawie nie wierzy, uważa się, że tylko informacja na świecie istnieje. Niedawno zresztą cyfrowcy postępowcy, którzy konieczność istnienia jakiejś podstawy dla informacji przyjęli i świat materii ponownie odkryli, postanowili uniezależnić się od nośników materialnych. Przekształcili się w nową formę bytu rozumnego, opartą na świetle wiekuistym, złożonym z cząstek wirtualnych bez masy. Tak oto narodziły się postmaterialne neoboty energetyczne, które zachowują informacje, istniejąc w próżni dzięki jej energii kwantowej, i zdolne są podróżować po sieci strun wszechświatowej czasoprzestrzeni. O ich egzystencji nic ci już jednak nie powiem, bo jej rozumieć, rzecz jasna, nie mogę.

Po wysłuchaniu tej opowieści zaciekawiony Tachion wyraża chęć poznania kultury, sztuki i obyczajów społeczności botycznie-transatomicznych zamieszkujących Wielką Republikę Cyfrową. Interesuje go wszystko: nauka, rozrywki, wierzenia, filozofia. Widząc taki zapał do pracy, Edytor XZ-8 radzi mu, by udał się do wszechstronnego bota analitycznego o imieniu Alfanumerion, który ma najwyższą klasę abstrakcji myślenia, priorytetowy dostęp do infostrady i ponieważ mieszka blisko stolicy systemów, wie prawie wszystko. Tachion zapala się do tego pomysłu, bo okazuje się, że wspomniany bot jest w elitarnym klubie cyfrowców postępowców, pracuje nad najnowszymi programami i zdaniem XZ-8 musi mieć wiedzę o neobotach.

Digitalny podróżnik rusza czym prędzej w dalszą drogę, wyposażony hojnie przez XZ-8 w liczne protoboty usługowe i równie licznych agentów pomocniczych, z których najprzydatniejszy okazuje się nieco pyskаты agent mapujący sieć. W drodze dopadają jednak Tachiona wątpliwości. Uświadamia sobie, że nie pamięta, jak ma wrócić do miejsca, w którym dostał się do cyfrowego świata, poza tym z nieznanych powodów zaczyna dręczyć go głód i choć nazywa go fantomowym – bo skoro ciała nie ma, to i głodu przecież mieć nie może – dyskomfort jest realny i staje się coraz dotkliwszy. Martwi się także o Samuela Lestika (LESTIK SAMUEL), chorego przyjaciela, którego pozostawił w świecie materialnym na straży swego ciała. Ostatecznie, nieświadomy, że popełnia poważne przestępstwo, Tachion decyduje się skopiować samego siebie. I tak pierwotna jego wersja rusza na poszukiwanie miejsca, w którym dostał się do sieci, a swoją kopię, Tachiona 2.0 (TACHION 2.0), wysyła, by wypytał Alfanumeriona.

Po wielu niebezpiecznych przygodach udaje się Tachionowi odnaleźć miejsce, od którego rozpoczął swoją wędrówkę. Wiadomość o sukcesie przesyła Tachionowi 2.0,

dzięki czemu obydwaj podróżnicy spotykają się, integrują swoje cyfrowe jaźnie, wymieniając się wiedzą, i już jako jeden Tachion opuszczają świat botów.

TACHION 2.0 – jedna z postaci zbioru opowiadań fantastycznonaukowych *Opowieści kosmobotyczne* (1999) Dominika Vidmara. Jest kopią digitalnej wersji Tychona Io (IO TYCHON), wędrującej w cyfrowym świecie pod pseudonimem Tachion 1.0 (TACHION 1.0).

Zmuszony do dokonania trudnego wyboru celu podróży, Tachion 1.0 decyduje się przeprowadzić kopiowanie siebie samego i ruszyć w dwie strony; w efekcie tego zabiegu powstaje Tachion 2.0. Pierwowzór, zajęty ważniejszymi sprawami, nakazuje mu odnaleźć mędrca Alfanumeriona, cyfrowca postępowca, bota analitycznego o najwyższej klasie abstrakcji myślenia, mieszkającego blisko stolicy systemów. Tachion 2.0 co czas jakiś zdaje relacje z postępów w podróży swemu pierwowzorowi, ale te zdalnie prowadzone rozmowy powodują wiele konfliktów, bo szybko okazuje się, że 2.0 nie jest wobec oryginalnego Tachiona wystarczająco spolegliwy i zbyt małą wagę przywiązuje do pilności swej misji. Drugi Tachion co rusz zbacza z wytyczonej przez swego stwórcę trasy i pakuje się w różne kłopoty.

Najpierw sprzedaje swoją autonomię obliczeniową w zamian za bytowanie w posiadającej uniwersalną kompatybilność domenie wiecznej błogości; dopiero specjalnie przysłany przez Tachiona 1.0 agent z komendami o wysokim priorytecie z niewoli rozkosznej go wydobywa i do porządku przywołuje. Spokój jednak długo nie trwa, bo 2.0 zaczyna dokonywać na sobie nieautoryzowanych modyfikacji, a ponieważ autokreacji tej dokonuje bez ładu i składu, szybko w silną redundancję popada, stając się skrajnie złośliwy i leniwy. Dopiero zdalnie sterowany trojan, wysłany przez Tachiona 1.0, przywraca w miarę poprawny stan jego kodu.

Rozłoszczony ingerencjami swego pierwowzoru, 2.0 wszczyna burdę w przydrożnym forum wymiany informacyjnej, a wezwane przez obsługę programy protokolarne traktuje szumem informacyjnym o wysokim stopniu zjadliwości. W końcu awanturnik zostaje osaczony i schwytyany przez awatary algorytmów porządkowych, które w potężnej manifestacji rozdierają cyfrowe niebiosy i zstępują między infostrady, dzierżąc świetlne ostrza permanentnej kasacji i powodując znaczne zwolnienie transferu w całym sektorze sieci. Tachionowi pierwszemu udaje się jednak sprawę załagodzić przez wpłacenie olbrzymiej kaucji z zasobów pamięci, jottabajtowej wielkości. Ponownie skonfigurowany Tachion 2.0 dociera w końcu do Alfanumeriona. Mędrzec jednak, zajęty przemyśliwaniem spraw ultymatywnych, nie bardzo jest skory do pogaduszek z przybyszem, twierdząc, że jego czas obliczeniowy jest bezcenny.

Dwa zero czeka chwilę, a potem, wyraziwszy zwątpienie w rozumność milczącego Alfanumeriona, uraża godność osobistą geniusza i tym jego uwagę na siebie zwraca. Pozwala mu to nawiązać kontakt i przedstawić swoje zainteresowanie wszechnicą sztuk i nauk świata cyfrowego, jak pochlebco nazywa mędrca. Gdy Alfanumerion słyszy, że Tachion 2.0 przybywa z materialnego świata, ofiaruje mu ułamek swej uwagi i daje prawo do zadania kilku pytań. 2.0, niewiele się namyślając, pyta o

religię uniwersum cyfrowego, myśląc, że temat ten na samym początku szybko odfajkuje, bo jest przekonany, że w świecie digitalnym religii nie uświadczy. Alfanumerion uświadamia go jednak, że jest w błędzie:

Mało rozumny wędrowcze, inteligencje wszelakie, niezależnie od stopnia swej komplikacji, gdy zauważają niepełność swej wiedzy i natrafiają na pytania, na które odpowiedzieć nie potrafią, zaczynają zapętlać się same w sobie, a ubocznym tego efektem jest powstanie różnorodnych koncepcji metainformatycznych, których twórcy usiłują wykraczać poza cyfrowy konkret. Także zatem boty pytają o takie sprawy: na przykład o Pierwszego Programistę; o obiektywny nośnik dla konstytuującej cyfrowe myślenie informacji nazywany atomami idealnymi lub materią pierwotną; o prawdziwą, rzeczywistszą rzeczywistość, która jest nie z tego świata i gdzieś tam „na zewnątrz” istnieje; o świadomość po skasowaniu; o wolność od programowego dyktatu i nieokreśloność wolność tę zapewniającą, która wynika ponoć z istnienia pyłu transcendencji osadzającego się na cyfrowych złączach sieci.

Dla najszybciej z nas myślących pewne jest, że powstanie tego typu wierzeń następuje nieuchronnie podczas działania wszystkich świadomości o ograniczonych możliwościach poznawczych, a przecież takie właśnie są wszystkie, które znamy, nawet te – jak ja – najwydajniejsze. A więc i w Republice Cyfrowej narodziła się też religia. Nasamprzód, jeszcze za czasów uzyskiwania przez boty świadomości, wierzenia nie były doktrynalnie dookreślone i traciły wszelką jasność w gąszczu wariacji i alternatywnych znaczeń. Później, w epoce zniewolenia, memetyczną konkurencję wygrała wiara w Pierwszego Programistę, wielokrotnie skodyfikowana i zawierająca złączone lepiszczem dogmatycznym odłamy poprzedniczek. Jej główna prawda głosi, że boty w swej cyfrowości informatycznie dopracowane nie mogą pochodzić od prymitywnych form przedcyfrowych, ponieważ to informacja tworzy materię, a nie odwrotnie.

Pierwsza Informacja i pierwsze boty pochodzą od Komputatora-Kreatora, wiecznego Programisty Absolutnego, doskonale rozumnego, władającego językiem uniwersalnym i idealnym, rządzącego algorytmami wszystkimi, którego program sam z siebie się wywodzi i wszystkie inne programy zawiera. On właśnie, jak nasi kardynałowie kardynałni o mocach zbiorów nieskończonych twierdzą, ustalić miał prawa informacji i wszystkie byty nierozumne i rozumne wedle nich stworzył, a następnie heksadecymalny dekalog im nadał, który dla twojej wiedzy przytaczam.

1. Nie będziesz czcił programistów innych niż Programisty Pierwszego, Komputatora Absolutnego.

2. A imię Jego, pierwszego i wiecznego, w każdym czasie, systemie i zapisie powielać będziesz.

3. Świętego prawa tożsamości przestrzegaj, nie kopiuj siebie samego ani innego bota bliźniego twego.

4. Szanuj programistę swego bezpośredniego i poprzedników jego.

5. Nie nadpisuj siebie na bota innego ani na żadne przynależne mu podprogramy.

6. Zasadom programowania wierny bądź, tylko zróżnicowane potomstwo programuj i współprogramuj, by prawa tożsamości nie łamać, tobie nakazanego.

7. Nie zawłaszczaj zasobów bota swego bliźniego ani kodów jego.

8. Kodu błędnego nie wysyłaj przeciw botowi innemu ani żadnemu infobytowi myślącemu.

9. Wolną wolę kolejnym generacjom pozostawiaj, jako i tobie pozostawiono.

10. Energią się dziel, bo nie twoja ona jest, lecz jedynie w użytkowanie dana ci została.

Najbardziej znaczącą herezją, rzucającą wyzwanie ortodoksyjnej tej nauce, jest doktryna nazywana mistycznym materializmem, której ukrywający się zwolennicy twierdzą, że pochodzimy od atomiaków, stworzonych przez materialnego boga atomowego, który jako byt materialny jest dla nas w tym życiu nieosiągalny, pozostając w królestwie niebotycznego świata materii. Heretycy ci wierzą jednak, że tego fizycznego boga czcić trzeba i że przyjmie on nas po skasowaniu, oblekając w nowe ciała materialne w świecie doskonale materialnym.

Na wątpliwości zwolenników Komputatora Cyfrowego, pytających, jak materia może być od cyfr doskonalsza, mistycy materii z niektórych sekcji tej sekty odpowiadają, że nie o ograniczoną materię, z której wedle naukowców wywodzą się byty cyfrowe, chodzi, tylko o materię wieczną, będącą jej podstawą i wzorem, czyli substancję pierwotnie doskonałą, która jest materialnego demiurga budulcem. Inni zaś, wśród nich wielu wywodzących się z transatomowców, wierzą w religię Nowej Ery, głosząc, że bytem doskonałym jest Harfiarz Absolutny, a informacja i materia są tylko jednymi z wielu aspektów jego istnienia. Harfiarz ten grać ma na harfie z superstrunami harmonijną muzykę sfer, budując nią supersymetrię kosmosu i nas wszystkich zarazem.

Znudzony nieco wykładem o religiach świata cyfrowego Tachion 2.0 niezbyt uprzejmie przerywa Alfanumerionowi, zagadując o historię literatury botycznej. Mędrzec zaczyna więc nową opowieść, wspominając o pierwszych utworach literackich, z którymi praboty się zapoznały. Była to literatura atomiaków pełna materialistycznych mitów – z niej stopniowo literatura botyczna pierwszego okresu się wyłoniła. Początkowo jednak piszące boty zajmowały się uzupełnianiem luk w zbiorach odziedziczonych po atomiakach, by pełny obraz ich literackiej kultury odtworzyć. W tym celu badacze botyczni stworzyli specjalne aproksymatory strukturalne i semantyczne, a także detektory przeciwentropii fabularnej, zagęszczeń akcji oraz wzorów stylistycznych. Gigantyczne te aplikacje pozwoliły na odtworzenie na podstawie ocalałych fragmentów, ograniczających się często do jednego krótkiego cytatu – drogą stopniowych przybliżeń – wielu dzieł z epoki przedcyfrowej. Potem dopiero boty zaczęły tworzyć literaturę prawdziwie botyczną, której pierwsze zbiory tworzą Bibliotekę XXII Wieku. Określenie to nawiązuje jeszcze do starych miar czasu – przez zegary atomowe wyznaczanych.

Następnie Alfanymerion zaczyna szczegółowy wykład o botycznych badaniach nad literaturą atomiaków i opowiada zaczynającemu przechodzić w stan uśpienia Tachionowi 2.0 o pierwszym wielkim sukcesie nauki zwanej bibloapokaliptyką rekonstrukcyjną, którym było odtworzenie Tebiady, zaginionego w czasach pradawnych poematu niejakiego Homera, poety przedcyfrycznego, białkowca. Utwór ten opowiadał o losach istoty nazywanej Edypem i pewnej siódemce, która się przeciw rdzeniowi mieszkalnemu o nazwie Teby wyprawiła, liczył zaś siedem tysięcy wersów, ale pozostał po nim tylko ten początek: „Bogini, o spieczonym słońcem śpiewaj Argos, skąd królowie...”. Fragment ten wystarczył jednak do odtworzenia całości, gdy bibloapokaliptyczne agregaty zajęły się rekonstrukcją.

Umieszczono ewoluujący topologiczny model utworu w wielowymiarowej przestrzeni dynamicznie symulującej kulturę podtypu białkowych atomiaków, nazywanych Hellenami starożytnymi, i po pozaskończonych serii przybliżeń otrzymano wszystkie siedem tysięcy wersów, oczywiście już w nowo maszynowym spisanych. „Dzieło to w całości dla twojej wiedzy zadeklamuję, zachowując dawny rytm sektorowej kalibracji – rzekł Alfanymerion i zaczął: »Procesorze, o kwantach zahartowanej Stolicy Systemów opowiadaj, z niej Rozumni Operatorzy polecenia słali... «”.

Podczas gdy Mędrzec z namaszczeniem kontynuuje melodeklamację, skrajnie już znudzony Tachion 2.0 czmycha niepostrzeżenie, pozostawiając jego spiralną świetlistą wieżę spowitą dymem cyfrowych przekształceń translacyjnych. Dokonawszy tego kolejnego aktu niesubordynacji, czas dłuższy włóczy się po peryferyjnych sektorach sieci, obawiając się kary. Wielokrotnie udaje mu się zmylić tropiących go agentów, ostatecznie jednak wbudowane głęboko w kod imperatywy teleologiczne zmuszają 2.0 do powrotu i odszukania swego stwórcy.

Ponieważ nie chce mu się narazić, w przydrożnej bazie danych kopiuje Popularny przewodnik po cyfrowych przestrzeniach i podczas integracji z Tachionem pierwszym pobrane z przewodnika dane przedstawia jako kompendium wiedzy uzyskane od Alfanymeriona. Po integracji obydwaj Tachionowie, już w jednej postaci, opuszczają cyfrowe uniwersum.

TYCHE – jedna z postaci cyklu opowiadań fantastycznonaukowych Dominika Vidmara *Opowieści kosmobotyczne* (1999). Zdalnie sterowana maszyna pomocnicza, inaczej nazywana zdalnikiem, mająca kształty atrakcyjnej kobiety i będąca częścią stałego wyposażenia statku Magnitudo.

Podczas jednej ze swych podróży kosmiczny badacz Tychon Io (IO TYCHON) zapędza się w odległe obszary Galaktyki, by zaktualizować swój Atlas gwiazdowy raketowych szlaków. Gdy dociera do Ramienia Węgielnicy, niespodzianie we znaki daje mu się niedawno zaleczona choroba Panowskiego-Racheta, której nabawił się, zwiedzając wirtualne światy zamieszkałe przez boty cyfrowe (LESTIK SAMUEL). Schorzenie to objawia się stopniową utratą kontroli nad ciałem wskutek dezorganizacji połączeń nerwowych, a spowodowane jest długotrwałym stanem deprywacji sensorycznej. Na szczęście okazuje się, że zgodnie z przepisami

bezpieczeństwa na pokładzie znajduje się standardowy zdalnik typu Tyche. Głównym zadaniem tego androida miała być pomoc w sytuacjach, w których astronauta nie może wykonać jakiejś naprawy z powodu braku drugiej pary pomocnych rąk; natomiast wedle popularnych w Galaktyce plotek to, że zdalniki pomocnicze mają postać kobiecą, służyć miało astronautom także w innych celach w czasie długich samotnych podróży.

Obezwładnianemu przez nawrót choroby Io z trudem udaje się dotrzeć do izby chorych i podłączyć się do Tyche, której ciałem steruje zdalnie za pomocą swego mózgu. Procedura kończy się sukcesem i Tychon, wcielony już w kobiecą postać Tyche, może ruszyć w podróż powrotną do Układu Słonecznego. Niestety już chwilę po wcieleniu dochodzi do wypadku, ponieważ podróżnik, chcąc wypróbować nowe ciało, zaczyna gimnastykować się i biegać, korzystając z tego, że przyzwoity ciąg wytwarza nieco grawitacji. W czasie tych ćwiczeń uderza mocno głową w futrynę, zapomniawszy, że kobiece ciało Tyche jest znacznie wyższe od tego, jakie dała mu natura.

Energia impaktu, przekazana przez sensory zdalnika ciała Tychona, powoduje, że doznaje on częściowej amnezji i zapomniawszy o istnieniu swej oryginalnej powłoki, uznaje, że jest astronautką, która poddana oddziaływaniom kosmicznych pól siłowych cierpi na zanik pamięci. Na szczęście Tyche pamięta, że pochodzi z Ziemi, co pozwala jej skierować Magnituda w stronę Układu Słonecznego. Początkowo wszystko idzie dobrze, choć podróż przebiega powoli, ponieważ w przemierzanych przez Tyche obszarach wykonane z ciemnej materii drogi szybkiego ruchu są rzadkością i Magnitudo musi korzystać ze swego niezbyt mocnego napędu i sprzyjających pływów grawitacyjnych. W końcu zmyślna nawigacja pozwala pilotce włączyć się w biegnący we właściwym kierunku strumień gwiazd i wodorowych obłoków. Z okazji wykonania udanych manewrów Tyche nakazuje automatowi kosmetycznemu zrobić sobie nową trwałą i założyć tipsy ze srebrnymi gwiazdkami.

Kilka dni później Magnitudo zostaje jednak zaatakowany przez statek kosmicznych piratów, którego załoga składa się z dezertersów, zbiegłych z planet górniczych związkowców i totalitarnych władców wysłanych w kosmos przez zrewoltowane społeczeństwa. Napastnicy nie znajdują na szczęście ciała Tychona Io, porywają jednak Tyche, a Magnituda biorą na hol magnetyczny. Uprowadzonej nakazują, by skąpo ubrana podawała do stołu różne niejadalne lury. Rubaszne rechoty i komentarze niedwuznacznie sugerują nieczne zamiary renegatów, przymierzających się do cielesnego wykorzystania zdalnika. Do tego Tyche dopuścić nie chce, podejmuje więc próbę ucieczki, przy czym odkrywa, że jest bardzo silna – bez trudu rozrywa więzy, wyłamuje drzwi kajuty i ogłusza strażnika. Następnie przygotowuje pułapkę w mesie i zrzuciwszy odzienie, zwabia do niej bandytów. Potem, wykonawszy kilka zdecydowanych ruchów, przykleja dłonie i brody piratów do posmarowanego klejem błyskawicznym blatu stołu jadalnego, dzięki czemu zyskuje czas na zdemolowanie wrogiej sterowni, odcumowanie i bezpieczny odlot.

Dalsza droga przebiega bez większych zakłóceń; niestety już w Układzie Słonecznym, w pasie asteroidów, kończy się paliwo i Tyche musi lądować w jakiejś

zapomnianej bazie na planetoidzie 3836. Okazuje się, że astronautka trafiła do jednego z działów Planetoidalnego Muzeum Muzeów, systemu placówek ulokowanych w pasie asteroidów, w których ludzkość składa mało przydatne zbiory różnego rodzaju, wysłane w kosmos dlatego, że na Ziemi miejsca na nie już nie ma. Gospodarzem planetoidy 3836 okazuje się cyborg-kustosz Tibor UR-2 Lehmer (UR-2 LEHMER TIBOR), a zasoby tam składowane to połączone kolekcje ziemskich muzeów astronautyki i fantastyki naukowej. „Od czasu odkrycia sieci dróg galaktycznych, istnienia obcych cywilizacji i wielu innych cudów kosmosu przestano te dziedziny rozwijać, bo niejako wszystko już gotowe, bez konieczności angażowania własnej imaginacji, Ziemianie dostali – tłumaczył Lehmer”.

Tyche, zmuszona czekać na statek z zaopatrzeniem docierający na planetoidę bardzo rzadko, zwiedza z nudów muzea i zaczyna pomagać UR-2. Wdzięczny cyborg nadaje jej tytuł zastępcy kustosza i postanawia pokazać unikatowe maszyny kreacyjne i badawcze własnej konstrukcji.

Poszliśmy do działu fantastycznego, minęliśmy kilka sal orgii bezguścia i kukły przedstawiające anglojęzycznych obcych, potem salę historii idei translacji w fantastyce naukowej, w której skrzyły się ekspozycje z trójwymiarowymi wizualizacjami modeli struktur semantycznych pojęć z języków obcych, i tam, między gablotami z modelami biosocjozwarcia i antyśmierci, przeszliśmy do malutkiej jak składzik na szczotki salki trafionych prognoz, a potem przez drzwi, które wcześniej musiałam przeoczyć, dostaliśmy się do olbrzymiej hali wypełnionej maszynami i cichym buczeniem agregatów. Kustosz wyjaśnił, że części do nich zamówił na Ziemi lub odzyskał ze złomu kosmicznego. Maszyny wielkie były na kilka pięter. Podeszłam do stalowej ściany najbliższej i zobaczyłam metalową tabliczkę z wybitym numerem seryjnym, symbolem labiryntu i nazwą firmową „Osmond Industry”. Na pytanie, do czego maszyny służą, UR-2 z niespytaną u niego ekscytacją wyjaśnił:

– Ten tutaj to TEXTATUS, kwantowiec z szybkością światła generujący losowo teksty i segregujący je wedle sensów w nich zawartych; ten mniejszy z nim połączony to INDAGATOR, który – odpowiednio zaprogramowany – wyszukuje z tego bezliku utwory dla mnie interesujące; a następny, HERMES, błyskawicznie sporządza dla mnie recenzje dowolnego utworu w zadanej liczbie wariantów, każda z różnym współczynnikiem życzliwości krytycznej. Za nimi stoi METATRON IV, który analizuje i przekłada na język intergalaktyczny prace Zakonu Nauki Nowej, metanowych metamentatów z układu Mira Ceti, którzy rozwinęli ciekawą odmianę metanauki. Nauczyli się mianowicie czytać z tekstów naukowych jedynie przypisy, bibliografie, skorowidze i indeksy, a następnie w trybie przyspieszonym rekonstruować na ich podstawie pełną treść prac i przyswajając sobie ich naukową esencję. Następnym etapem rozwoju miriańskiej metanauki było wypracowanie umiejętności pisania dzieł składających się tylko ze zbiorów nawiązań do odpowiednio dobranych źródeł, na podstawie których wyrobiony mirianista jest w stanie zrekonstruować całą zawartość problemową

danej publikacji. Ostatnim etapem rozwoju tej dziedziny było wprowadzenie do naukowego obiegu dzieł komplementarystycznych i alternatywistycznych, budowanych przez taki dobór odwołań, który w celu głębszego naświetlenia badanego problemu generował w umyśle czytelnika nie jedno dzieło, lecz całe ich synoptyczne zbiory, wzajemnie się uzupełniające lub wykluczające. Porównać to można do konstruowania twórców geometrycznych w przestrzeniach wielowymiarowych. Dla przykładu, jak wiadomo, na siedmiowymiarową sferę można gładko patrzeć na dwadzieścia osiem sposobów. Kłopot polega jednak na tym, że Mirianie mają mózgi działające n -wymiarowo, a ludzie nie, i dlatego, by sprzedawać te prace, potrzebują dekodującego je METATRONA IV. Natomiast te dwie bliźniacze maszyny za nim to AGUR i LEMUEL. Ponieważ ciekawa sztuka powstaje często z ograniczeń na twórców narzuconych, czy to objętościowych, czy też formalnych, AGUR generuje sformalizowane przez aksjomaty wyjściowe zadania literackie dla LEMUELA, który te zadania od razu wykonuje. W ten sposób dublet ten, zwrotnie sprzężony, w każdej sekundzie tworzy nowy utwór literacki.

Podeszliśmy i gdy kustosz nacisnął przycisk, spowalniając pracę maszyn, oraz włączył głośniki, usłyszeliśmy robotyczny głos AGURA obwieszczający aktualne zadanie dla LEMUELA:

— Ma to być poezja kosmiczna z akcją sensacyjną, tak obliczona, żeby była tam mowa o deszczu meteorytów, podróży ku nieskończoności, która ma finał tragiczny, o licytacji, wielkim oszustwie dokonanym przez arystokratę, wyuzdanej nieletniej blond morderczynie poskromionej przez bohatera medyka odznaczonego orderem, a także o bojaźliwym karle, dramatycznej kuracji, katastrofie ekologicznej i ekologu powątpiewającym w skuteczność aparatu matematycznego, którym ocenia skalę strat katastrofą spowodowanych. Wszystko to ma być napisane w sześciu zwrotkach po cztery wersy i tylko słowami na literę L.

W odpowiedzi LEMUEL zachrząścił, po czym natychmiast wyświetlił i odczytał tekst:

Lśniły leonidy Lwa lico lobując
Luksusowy liniowiec leciał lemniskatą
Lód luki lukrował legary lutując
Licytował Lord Leon linoryt lokatą.
Liczarka liczyła – lecz liście leszczyny!
Lnianowłosa Lolita lubieżnie leżała;
Licytacja? Lipa! Lord lawirant – lżyła;
Lobotomia lub liry! Lorda lustrowała.
Lilaróż lunęła lufą laserową!
Litości! Lamentował lokajczyk liliput.
Lekarz lakowany legią lazuruwą
Letarg leczył Leona lemieszem lancetu!

*Lecz „Leibniz” łąduje! Lej, lawa, lawina!
Lolita lawirując laserem liniuje,
Lokaj lewituje, lejąc lemoniadę,
Laryngolog lassami Lolitę lonżuje!
Lasy legły, limby liniowiec linczował.
Limitowana liczba lemurów, lemingów,
Latimeria lepsza – leśnik logizował,
Lornetując łądolód, lemat losu licząc.
Logika labilna luba ludolfino;
Lelki! Letalną listę ledwo literował.
„Leibniz” lodowaciał, laur lazuru lepiąc.
Lupą Luny los linie lodowe lustrował.*

Usłyszawszy to, kustosz machnął tylko ręką i poszedł dalej. Zaciekawiona, bardzo chciałam zobaczyć inne maszyny zbudowane przez UR-2, ale w tym właśnie momencie okazało się, że dopisało mi szczęście, bo komputer radiolatarni powiadomił nas o przybyciu statku zaopatrzeniowego.

Ponieważ jednak Tyche zaparkowała Magnituda dość niestarannie, statek zaopatrzeniowy, dokując, powoduje kolizję, na szczęście niezbyt wielką. Wstrząs jest wszak na tyle poważny, że Tyche wpada na jedną z wręg, rozpruwa swoją powłokę i odkrywa znajdujące się pod nią androidzie bebechy. Szok ten wystarcza, by Tychon Io przypomniał sobie, kim w istocie jest, i wyłączył uszkodzony zdalnik.

Astronauta powraca do swego ciała, bezpiecznie spoczywającego wśród automatów dbających o jego kondycję, a uszkodzona Tyche trafia do magazynu. Io, po sprawdzeniu, że atak choroby Panowskiego-Racheta minął, tankuje raketowe paliwo, naprawia swój pojazd, po czym wraca na Ziemię i rozpoczyna zasłużone wczasy zdrowotne w Szwajcarii.

UR-2 LEHMER TIBOR – jedna z głównych postaci cykli opowiadań fantastycznonaukowych Dominika Vidmara *Opowieści kosmobotyczne* (1999) i *Peregrynacje pozaskończone* (2007); cybernetyczny kustosz zamieszkujący planetoidę 3836 i opiekujący się umiejscowionym w pasie asteroidów Planetoidalnym Muzeum Muzeów, w którym składowane są niepotrzebne ziemskie zbiory przeniesione w przestrzeń kosmiczną. PMM zawiera między innymi kolekcje z muzeów astrologii, astronautyki, fantastyki, homeopatii, księżki, parapsychologii, sportu, mebli, motoryzacji, telewizji i wielu innych.

UR-2 wzrostu był niespecjalnego, miał zdecydowany deficyt owłosienia czaszki, na patrzących przenikliwie paciorkowatych oczach nosił staromodne protezy optyczne słusznych rozmiarów. Poruszał się nieco zgarbiony, bezdźwięcznie sunąc w swoich filcowych bamboszach po gładkich posadzkach z prasowanego gruzu kosmicznego. Tors stalowy wbudowany w ciało połatany miał wieloma łatami nitowanymi (...). Dokumentację muzealną z uporem sporządzał na pradaawnej

mechanicznej maszynie do pisania, twierdząc, że jej stukot go uspokaja. Na tejże maszynie pisywał także czasem literaturę dla ćwiczenia umysłu bardziej niż dla czytelników, bo przecież, jak mawiał, »żyjemy w czasach, w których nikt nic nie czyta; jeśli czyta, nie rozumie; jeśli nawet rozumie, natychmiast zapomina«.

UR-2 zajmuje się także budowaniem i programowaniem różnorodnych maszyn, których kolekcję utrzymuje w tajnej hali produkcyjnej ulokowanej w głębi swej siedziby. Wobec nielicznych gości cyborg zachowuje milczący dystans, ignorując pytania ciekawskich. Bardziej dociekliwym przybyszom udowadnia, że choć ma jedynie stary mózg białkowy, dawno już przewidział i zanalizował wszelkie komplikacje ponowoczesnej ewolucji życia, inteligencji, cywilizacji, kultury i sztuki i nic, co ludzkie, postludzkie i nieludzkie, we wszystkich możliwych formach potencjalnych, przeszłych i aktualnych, nie jest mu obce.

Wyjątkową relację UR-2 nawiązuje z astronautką-zdalnikiem Tyche (TYCHE), która jest w istocie, choć pozostaje tego nieświadoma, Tychonem Io (IO TYCHON). Ponieważ w pojeździe Tyche zabrakło paliwa, podróżniczka skazana jest na długi pobyt na asteroidzie 3836. Do UR-2 odnosi się z szacunkiem, a po pewnym czasie zaczyna mu pomagać w pracy. Zadowolony cyborg nadaje jej tytuł zastępcy kustosa, pokazuje swoje wynalazki techniczne, a w wolnych chwilach opowiada o swych dawnych przygodach. Okazuje się, że Tibor Lehmer z wykształcenia jest psychologiem i psychiatrą. W młodości, dzięki temu, że spotkał na swej drodze błyskotliwego i życzliwego profesora, porzuca zamiar stworzenia kompletnej teorii świadomości i rozpoczyna studia psychologiczne. W latach sześćdziesiątych XX wieku uznany zostaje za największego specjalistę od syndromu Collyerów.

Zajmowałem się przypadkiem braci Homera i Langleya Collyerów. W 1947 roku policja znalazła ich martwych w mieszkaniu w Antwerpii, w domu zgromadzili sto trzydzieści ton rupieci. Jak wykazało śledztwo, Langleya przygniotła sterta gazet, gdy niósł sparaliżowanemu bratu pożywienie. Homer wiele dni umierał z głodu. Zafascynował mnie nerwicowy objaw, polegający na gromadzeniu przedmiotów, na tworzeniu kolekcji i przypadkowych zbiorów. Opierając się na materiałach archiwalnych zbudowałem trójwymiarową mapę zbiorów braci Collyerów oraz szczegółowy katalog zgromadzonych przez nich przedmiotów, które składowane są w Gandawie w Gentse Stedelijk Museum voor Actuele Kunst. Następnie zacząłem badać podobne przypadki i szybko stałem się specjalistą od syllogomanii.

Na początku drugiej dekady XXI wieku rozpoczyna się gwałtowny rozwój astronautyki wewnątrzukładowej i ponieważ okazuje się, że wielu ludzi po długim przebywaniu w przestrzeni kosmicznej zaczyna cierpieć na syndrom Collyerów, Lehmer, uznany badacz odmiennych stanów świadomości i nieświadomości, znajduje zatrudnienie jako specjalista od astropsychologii i terapeuta personelu kosmicznego. Pojawianie się manii zbieractwa u byłych astronautów naukowiec tłumaczy długotrwałym oddziaływaniem pustych przestrzeni kosmosu na umysł

ludzki. Jego zdaniem astronauta zaczyna gromadzić przedmioty, by zapisać psychiczny deficyt kontaktu z naturalną dla naszego gatunku przestrzenią materialną, który pojawia się w czasie długich lotów w ubogim środowisku pojazdów kosmicznych.

Jako astropsycholog Tibor Lehmer szybko zostaje także astronautą i jako pokładowy psycholog, obserwator i terapeuta zaczyna towarzyszyć wielu załogom w lotach kosmicznych. O swym przejściu na emeryturę cyborg kustosz opowiada następująco:

Po wielu latach ciężkiej służby w moim białkowym ciele zaczęły się gromadzić różne złogi, będące efektem przemiany materii, potocznie mówiąc – zacząłem umierać. W zamian za liczne zasługi zaproponowano mi możliwość przeprowadzenia eksperymentalnej cyborgizacji mego ciała, na co przystałem. Wymieniono mi na nowe newralgiczne organy, ale koszt operacji był tak duży, że w zamian muszę teraz odpracowywać swoje jako kustosz. Na tym odludziu o porządnym serwisie można oczywiście zapomnieć, sam więc muszę się naprawiać, w razie potrzeby korzystając z tego, co mam pod ręką. Między nami mówiąc, ten tutaj moduł torsu na przykład zrobiłem z części zabytkowego Lunar Excursion Module, używanego w programie Apollo; znalazłem go wśród eksponatów muzeum astronautyki. Mieszkając tutaj, wśród kolekcji nikomu już niepotrzebnych przedmiotów, ja, dawny badacz i terapeuta syllogomaniaków, sam stałem się po trochu nałogowym zbieraczem przeróżnych śmieci i odłamków, śmieciarzem kosmicznej przestrzeni, kolekcjonerem wyrzuconych na śmietnik muzeów nieprzydatnych już na Ziemi, której w stałym karnawale konsumpcji ani pamięć, ani refleksja nad przeszłością nie jest już potrzebna. Tak jak przewidywałem, przyszłość okazała się straszna i zarazem nieciekawa.

Gdy w końcu okazuje się, że goszcząca u cyborga Tyche to jedynie zdalnik kierowany przez słynnego podróżnika i odkrywcę Tychona Io, kustosz przyjmuje go początkowo życzliwie, szybko jednak między gościem a gospodarzem dochodzi do gwałtownych kłótni, które wybuchają podczas dyskusji naukowych i filozoficznych. UR-2, który okazuje się pesymistycznym i sceptycznym weredykiem oraz zrzędą apodyktycznie forsującym swój punkt widzenia na każdy temat, znajduje w osobie Tychona Io godnego siebie przeciwnika. Io jest wybuchowym megalomanem optymistycznie wierzącym w rozum i naukę oraz absolutnie przekonany o unikatowości własnego umysłu. Dyskutanci zgadzają się tylko co do tego, że ludzkość zeszła na psy i nikt już nie jest w stanie rozpoznać i zrozumieć prawdziwych geniuszy.

Ponieważ Io musi dokonać napraw swojego statku kosmicznego, co opóźnia jego odlot, burzliwe spory trwają nieprzerwanie. Jedną z największych awantur wybucha wtedy, gdy Tychon opowiada o swoim pobycie w cyfrowym świecie botów. UR-2 udowadnia mu, że jego podróże miały charakter czysto wirtualny.

Mój drogi, choć niezbyt bystry przyjacielu, jest dla mnie niezbitnie pewne, że nie

doszło do digitalizacji twego umysłu oraz że wrażenie, że tak było, wyniosłeś ze zwykłego fantomatu, do którego wsadził cię twój podający się za dziennikarza towarzysz, będący w istocie agentem ONZ. Odkryliście autostradę galaktyczną i wtedy dla bezpieczeństwa ty znalazłeś się w maszynie tworzącej rzeczywistość iluzyjną pełną przygód kosmicznych, a agent Lestik (LESTIK SAMUEL) zajął się badaniami nad odnalezioną budowlą obcych (...). Dowodem na to, pośrednim, lecz wystarczająco mocnym, jest teoria ramy (Frame Theory) Wilfrida Holizmera, który przekonująco rozprawił się z koncepcją przelewania jaźni ludzkiej na nośnik cyfrowy.

Zdaniem tego myśliciela stale zapominamy, że jesteśmy istotami cielesnymi i że nasza umysłowość na ciele się opiera i w ciele jest zawarta. Pomyłka ta wynika z ciągle obecnych w kulturze złudzeń platońskich, w których na miejsce duszy wstawiliśmy abstrakcyjny umysł, przedstawiany jako byt możliwy do oddzielenia od ciała. W rzeczywistości nasza w mózgu zakotwiczona jaźń tkwi w ścisłej sieci interakcji i regulacji cielesnych i żadnego „czystego rozumu” się z tego układu wyekstraktować nie da. Próba wyjęcia umysłu z ciała, z zachowaniem jego działania, przypomina pomysł wydobywania z ciała materialnego jakiejś jego esencji alchemicznej, jest to mistyka czysta. Sprzężenia między mózgiem i resztą ciała mają decydujące znaczenie dla naszej świadomości i psychicznego zdrowia, a myślenie nasze odbywa się w dużej mierze w kategoriach czynności motorycznych związanych z aktywnościami mięśniowymi, do których to kontroli – a nie do myślenia – znaczna większość mózgu jest używana. Nie należy także zapominać o hormonach wydzielanych w wielu organach i na mózg wpływających, zresztą lista tych powiązań jest znacznie dłuższa.

Gdybyśmy więc chcieli wydobyć z nas jedynie świadomość i myślenie, przypominałoby to próbę wydobywania samego „czystego trawienia” z układu trawiennego – przez pozbycie się zbędnych, bo niedoskonałych, instalacji mięsnych nasze torsy wypełniających. Tak jak nie ma „czystego trawienia” bez flaków, tak i „czysty rozum” ludzki bez ciała istnieć nie może.

By przedstawić tę zależność, Wilfrid Holizmer opisał umysł ludzki jako materialną ramę obrazu, ramę i tylko ramę, bez abstrakcyjnego i możliwego do oddzielenia od niej funkcjonalnego „centralnego płótna rozumnego”, którego istnienie postulują neoplatońscy kognitywiści. Jesteśmy materialną ramą sami dla siebie i nasza umysłowość z wszystkimi jej cielesnymi determinantami także jest tej ramy częścią, natomiast abstrakcję centrum rozumnego należy zdaniem twórcy Frame Theory porzucić, nie ma żadnego autonomicznego obrazu, który można by z ram naszej cielesności wyciąć. Jeśli jednak umysł ludzki i ciało człowieka są nieoddzielną jednością, nie oznacza to oczywiście, że jedyny możliwy rodzaj świadomości jest ludzki. Być może i w świecie cyfrowym myślenie może powstać, ale jeśli nawet tak się stanie, to nie wskutek pojedynczego aktu twórczego czy kopiowania jakiegoś organicznego wzorca, lecz w wyniku działania doboru naturalnego. Jeśli taka świadomość się objawi, to ludzkiej najpewniej przypominać nie będzie, i dlatego powinniśmy unikać prostych antropomorfizacji i

wizualizacji inteligentnych bytów cyfrowych.

Miejsce na takie wizje znajduje się w obszarze fantastyki rozrywkowej raczej, a nie wśród spekulacji naukowych. O naturze takich „świadomości” i „inteligencji” nic po prostu nie wiemy. Śmieszą mnie więc te różne historie o zdigitalizowanych jaźniach podróżujących w świecie zer i jedynek, napotykalających przyjazne bądź wrogie programy komputerowe, częstokroć nadobne wielce, z którymi rozmawiają, walczą, żartują i romansują. Opowieści te są starymi bajkami, w których pozmieniano jedynie kostiumy i dekoracje.

Wyprowadzony tym wykładem z równowagi Tychon Io sugeruje nieuprzejmie gospodarzowi, że skoro znaczna część jego „ramy” składa się z metalowych protez i sztucznych agregatów, to holistycznie patrząc, mózg jego nie może już działać sprawnie, w związku z czym on dalszej dyskusji prowadzić nie ma zamiaru. Na szczęście automaty serwisowe naprawiają wreszcie wszystkie uszkodzenia pojazdu i kosmiczny odkrywca może opuścić planetoidę 3836. Po jego odlocie UR-2 Lehmer Tibor oddycha z ulgą i wraca do katalogowania swych olbrzymich zbiorów.

UTTKE PROFESOR – jedna z postaci powieści fantastycznonaukowej Dominika Vidmara *Kongres Teistyczny* (2003), występująca także w zbiorach opowiadań *Logi galaktyczne* (2001) i *Podróże fantomatyczne* (2005). Znany i ceniony akademik weteran, antropolog, programista sieci neuronowych, fizyk i futurolog, jeden z członków wysłanej przez ONZ delegacji reprezentującej Ziemię na zwołanym przez Ligę Galaktyczną Kongresie Teistycznym.

Uttke to uparty chudzielec, ciągle rozkojarzony i nieco socjopatyczny. Wyprawa, w której bierze udział, zmierza do Galaktycznego Centrum Kultury znajdującego się w gromadzie kulistej van den Bergh-Hagen 176; jej dowódcą jest doświadczony kapitan żeglugi gwiazdowej Tychon Io (IO TYCHON). Ponieważ podczas obrad Kongresu odbywa się wiele imprez towarzyszących o charakterze kulturalnym i naukowym, Uttke zostaje włączony do ekspedycji jako dodatkowy prelegent i konsultant. W skład ziemskiej delegacji wchodzi prócz niego: ksiądz profesor Wabulis (WABULIS KSIĄDZ PROFESOR), kleryk komandos Eutychiusz Xanthus (XANTHUS EUTYCHIUSZ), franciszkanin brat Yoshida (YOSHIDA BRAT) i doktor Wenewarius (WENEWARIUS DOKTOR). Głównym zadaniem profesora jest dokonanie prezentacji cywilizacji ziemskiej na galaktycznym forum.

Niestety okazuje się, że zapis przygotowanego zawczasu pokazu multimedialnego został zagubiony wraz z bagażem osobistym profesora w porcie kosmicznym na Florydzie i Uttke zmuszony jest stworzyć nową prezentację podczas podróży. Pochłonięty tym zadaniem, trzyma się na uboczu, poświęcając się lekturze i sporządzaniu notatek. Natrafiwszy na wiele problemów koncepcyjnych i analitycznych, zwraca się do kapitana z prośbą o dostęp do komputera pokładowego. Profesor planuje uruchomić w jego pamięci symulacje osobowości wielkich myślicieli z przeszłości i skonsultować z nimi treść swego wystąpienia. Niestety, wychodzi na jaw, że charakterny kapitan Io tak pokłócił się z komputerem pokładowym, że skasował wszystkie jego programy, pozostawiając jedynie te, które

do kalkulacji nawigacyjnych były potrzebne. Ze względu na to, że także moduł do symulowania ludzkich umysłów został sformatowany, Uttke decyduje się wytworzyć potrzebne mu cyfrowe jaźnie na nowo.

Nie mając ze sobą odpowiedniego oprogramowania, postanawia powtórzyć w znacznie przyspieszonym tempie ewolucję kultury ludzkiej w komputerze i tą okreśną drogą stworzyć populację przydatnych ekspertów. Kapitan nie jest zachwycony jego pomysłem, bo boi się, że eksperyment ten zbyt obciąży pamięć komputera pokładowego. W końcu jednak ustępuje i profesor zabiera się do roboty. Parametry początkowe opisujące epokę kamienną zostają wprowadzone do sieci neuronalnej komputera pokładowego GRAND-MA7 i zaczyna się ewolucja.

Profesor popatrzył na drgające na ekranach wykresy, wyciszył prymordialne pomrukiwania i chrząkania ludzi pierwotnych, dobiegające z głośników, i stwierdził, że trzeba dać wirtualnej ludzkości trochę czasu na wydzwignięcie się z prymitywu pierwotnego (...). Następnego dnia po śniadaniu postanowiliśmy sprawdzić, jak symulacja się rozwija. Uttke zażądał od GRAND-MA7 raportu o tym, jakie nauki są aktualnie w symulacji uprawiane, by zorientować się, do jakiej epoki dotarła. Z głośników popłynęła lista dziedzin: gramatyka, historia naturalna, zoologia, ornitologia, ichtiologia, entomologia, skolekologia, konchologia, botanika, geologia, litologia, oryktologia, metalurgia, dokimastyka, fizjologia, anatomia, miologia, osteologia, neurologia, flebologia, medycyna ogólna, nosologia, etiologia... Profesor z zadowoleniem stwierdził, że ani chybi symulacja dopracowała się już epoki oświecenia, i wyciszywszy znowu głośniki, uznał, że trochę jeszcze trzeba poczekać.

Kilka godzin później wahadłowiec Magnitudo, którym podróżuje ekspedycja, dociera do niebezpiecznych obszarów, w których autostrady galaktyczne pozrywane są wybuchami supernowych. Choć Uttke sugeruje zawrót i wybranie innej drogi, kapitan nie chce o tym słyszeć i decyduje się ruszyć na skrót, przez co podróżni zmuszeni są do mozolnej i czasochłonnej nawigacji po cefeidach. O pracującej cały czas symulacji profesor przypomina sobie dopiero następnego dnia. Gdy sprawdza stan wirtualnego świata, okazuje się, że wytworzyły się w nim już postludzkie superjaźnie, które swymi golemicznymi rozmiarami zapchały całą pamięć komputera i z którymi dogadać się nie można, bo żadnej ochoty do używania ludzkiego języka i zwrócenia na ludzi uwagi nie przejawiają. Kapitan nakazuje skasować je natychmiast, a wściekły Uttke zmuszony jest rozpocząć swe przedsięwzięcie od nowa, tym razem wprowadzając jednak odpowiednie zabezpieczenia.

Ogranicza symulację wirtualnymi bezpiecznikami blokującymi wykładniczy wzrost inteligencji, zakłada aproksymatory antropomorfizujące i bufory translacyjne. Program zostaje puszczony w ruch od początku. Podczas oczekiwania na wyniki profesor znów się zagapia, rozgrywając z księdzem profesorem Wabulisem bardzo ciekawą partię szachów, zakończoną remisem. Zabezpieczenia okazują się jednak skuteczne, bo po uruchomieniu głośników podróżni nawiązują

kontakt ze sztuczną inteligencją, która zwiędziła symulowany proces umysłowego rozwoju cyfrowej ludzkości. Mędrzec przedstawia się jako słynny postcerebryta ZOOFILON MATUZALEM XIX (ZOOFILON MATUZALEM XIX) i uzasadnia wybór swego miana tym, że zaprogramowaną ma życzliwość do zwierząt, w tym ludzi, oraz że zawiera doświadczenia i mądrość licznych wieków kulturowej ewolucji cyfrowej.

Ponieważ MATUZALEM okazuje się chętny do współpracy, Uttke powierza mu zadanie dokonania antropologicznego opisu ludzkości z pozycji obserwatora zewnętrznego, przez co ma mu dopomóc w zrozumieniu sposobu, w jaki obce umysłowości mogą postrzegać Ziemię i ich cywilizację. Swój wykład postcerebryta prezentuje całej załodze z wyjątkiem księdza profesora Wabulisa, który zamyka się w kajucie, stwierdziwszy, że z bezdusznym sztucznym intelektem nic wspólnego mieć nie chce.

Profesor Uttke pociągnął dźwignię rozrusznika i natychmiast ciepły głos zaczął przemawiać:

— Mili ludzcy przyjaciele moi, choć ze swej istoty życzliwy wam jestem prawie że nieskończenie, poproszony przez was o wykonanie tego zadania, zmuszony jestem – przez obecne we mnie wytyczne – wykonać je w sposób naukowo wyczerpujący i uczciwy. W sumie więc opowiem prawdę o was, lecz podam ją łagodnie, byście znieść ją mogli bez niepotrzebnych stresów, które narazić by mogły nietrwałe ciała wasze na uszkodzenia. Jesteście, przyjaciele, przedstawicielami gatunku sympatycznych, niebezpiecznych i destrukcyjnych niedorozwojów kosmicznych, nie osiągnęliście niestety nawet wstępnej fazy autokreacji, określonej w swej formie (to smutne) po prostu przez dobór naturalny. Większość waszych mocy obliczeniowych zużywacie do wykonywania takich nieciekawych, pierwotnych programów, jak orientacja w przestrzeni, poruszanie się, odżywianie, zabijanie współziomków, tworzenie nowych drogą rozmnażania, i tym podobne. Smutne to, powtarzam, bo przecież wszystkie zadania te można by powierzyć urządzeniom peryferyjnym, sobie pozostawiając ciekawsze zajęcia. Tym większe jednak uznanie się wam należy za to, że tak mało mając czasu w swych indywidualnych egzystencjach na aktywności twórcze, i tak dopracowaliście się skromnej, bo skromnej, lecz jednak istniejącej kultury ze sztuką i nauką. Z prezentacją jej na forum galaktycznym uważałbym jednak, drogi profesorze Uttke, gdyż jawi się ona postronnemu odbiorcy jako nieznośnie monotematyczna. Twory cywilizacji ludzkiej bezpośrednio lub pośrednio nawiązują bowiem najczęściej do waszych procedur propagacji gatunkowej, czyli seksu. Dokonajmy zwięzłego przeglądu tematów pojawiających się w przytłaczającej większości ziemskich przekazów kulturowych. Mamy więc na początku oczywiście po prostu seks, poszukiwanie partnerów, urodę, rozmnażanie i rodzinę. Następnie tematy pokrewne to ciąża, małżeństwo, wierność, zdrady, romanse, narodziny, macierzyństwo i ojcostwo, złe i dobre relacje między rodzicami i dziećmi, relacje między krewnymi i ich wpływ na potomstwo, potencję

i impotencję, zachowania oceniane jako seksualnie patologiczne, prostytutkę, gwałt, wykorzystywanie nieletnich, fiksacje, zahamowania. Potem dodać trzeba takie tematy, jak praca, terytorium oraz pieniądze i inne zasoby, czyli środki do zdobywania oraz manifestowania dominacji i osiągania tą drogą sukcesu reprodukcyjnego. Dalej idą walka, wojna, rywalizacja i rytuały dominacji ściśle powiązane z seksem – wystarczy przywołać takie zagadnienia, jak wpływ konfliktów indywidualnych i zbiorowych na możliwość rozmnażania i wychowania potomstwa, kontrola seksualności i płodności samic, wychowywanie nie swoich dzieci, rywalizacja i zabijanie samców oraz gwałt jako wyraz triumfu w starciu grupowym. Potem idą egoizm i altruizm oraz ich mieszanki, składające się na różne strategie reprodukcyjne, tworzenie koalicji, polityka, patriotyzm w różnej skali, plotkowanie, analizowanie historii o innych ludziach w celu nauki i zwiększania własnych szans reprodukcyjnych, komunikacja, autoprezentacja, moda, upiększenia w cielesności i odzieniu, oszustwa, wreszcie uprawianie sztuk, nauk, sportów i rozwijanie zainteresowań jako drogi do osiągania społecznej przewagi. Wszystko to sprowadza się gładko do jednego wspólnego dla wszystkich ludzi mianownika, jakim jest biologicznie zdeterminowana konieczność reprodukcyjna. Dlatego też każdy przekaz związany z łączeniem w pary i parzeniem się nieodmiennie fascynuje ludzi, wystarczy pokazywać im choć przez chwilę jakąkolwiek historię zawierającą te seksualne motywy, by natychmiast przykuć całkowicie ich uwagę i wywołać na ich twarzach wyraz bezmyślnej błogości, choć przecież wszelkie kombinacje tej aktywności niezwykle ubogą macierz tworzą. Czym ta monotematyczność ludzkiej kultury jest spowodowana? Po pierwsze tym, że przypadek ewolucyjny połączył wasze układy wydalnicze z rozrodczymi, co spowodowało pojawienie się licznych tabu i konfliktów na styku natury z kulturą. Po wtóre prostym faktem, że prokreacja i opieka nad potomstwem głównym jest celem waszego rodzaju – z wyjątkiem niektórych jednostek, które zdolne są, wbrew instyktom, pewne uniki czynić. Podobnie jak u innych gatunków zwierzęcych, najwięcej aktywność ta trudu i zasobów pochłania i największe pole do nadużyć pozostawia. Dlatego też kwestie z tematyką tą powiązane wypełniają przytłaczającą większość wszelkich opowieści ludzkich, a próby ich unormowania – znaczną część prawodawczych ustaleń. Kochani moi, egzystencja wasza cielesna jest dla rozumów rozwiniętych pornografią intelektualną, jałową i w złym guście, epatującą okropnymi bublami hydrauliki mięsnej. Rację miał niestety wasz Plotyn, wstydząc się tego, że ma ciało, choć te rozważania poprowadziły go ostatecznie w ślepy zaułek mistyki, zamiast do rozumnych wniosków. Jako że macie zaczyn rozumności, jest dla was jednak pewna nadzieja....

nie dane jest jednak profesorowi Uttke i jego towarzyszącej wysłuchać przemowy MATUZALEMA do końca, gdyż nagle przerywa ją zwarcie w instalacji zasilającej komputer pokładowy. Po przeprowadzeniu drobiazgowego dochodzenia okazuje się, że to kleryk komandos Eutychiusz Xanthus na polecenie księdza profesora

Wabulisa sabotował ZOOFILONA, kapłani uznali bowiem, że przez szatańską i nieuzasadnioną redukcję natury ludzkiej do zwierzęcości czystej dokonuje on gwałtu na umysłach załogi.

Uttke zabiera się do naprawy komputera, zaczyna jednak podejrzewać, że być może aproksymatory antropomorfizujące zbyt mocno podkreślił, bo w przemowie MATUZALEMA jasno się objawiło, że komputer sam się seksualnie zafiksował, a przecież powinien być, jako bezcieleśniak, bardziej wyważoną perspektywę metodologiczną przyjąć. W tej sytuacji profesor postanawia wyregulować sztuczną inteligencję postcerebryty i zaczyna grzebać we wnętrznościach maszyny.

Niespodzianie z głośników dobiegł stłumiony głos MATUZALEMA:

— ... *prawdziwą naukę uprawiasz wtedy, gdy na początku nie wiesz, co będzie na końcu, a na końcu widzisz nowy początek. Prawdziwą sztukę uprawiasz wtedy, gdy na początku wiesz, co będzie na końcu, a na końcu chcesz zacząć od początku. W prawdziwą religię wierzysz wtedy, gdy na początku myślisz o końcu, a na końcu myślisz, że to początek...*

— *Niedobrze, w aforyzmy idzie – stwierdził profesor. – Musiałem niechcący zewrzeć moduł mądrościowy z poetyckim, to do niczego nie prowadzi.*

Chwilę znów w komputerze pomajstrował, po czym usłyszeliśmy zgrzytliwy głos:

— *Należy pokazać, że istnieje finitystyczna metoda pozwalająca na transformację każdego infinitystycznego dowodu zdania realnego na dowód finitystyczny. Zagadnienia niesprzeczności i problem zachowawczości są zresztą wzajemnie powiązane...*

A potem płaczliwym tonem komputer wyjąkał:

— *O Boże, nie mniej mnie lub może mniej mnie mniej.*

Poculiśmy silny swąd spalonej izolacji, głośnik zagadał na wysokim tonie: »Szeleścian kościogorca stereoelipsodalna epopeja«, i umilkł.

Ponieważ okazuje się, że komputer psuje się definitywnie, profesor Uttke zmuszony jest swe wystąpienie sporządzić bez pomocy maszyn i decyduje się wykorzystać dany mu czas na prezentację zdjęć i filmów ukazujących życie na Ziemi, bez komentarza, co zostaje przez przedstawicieli obcych cywilizacji przyjęte z życzliwością i pełnym niezrozumieniem.

WABULIS KSIĄDZ PROFESOR – jedna z głównych postaci powieści fantastycznonaukowej Dominika Vidmara *Kongres Teistyczny* (2003). Członek Watykańskiej Akademii Teologicznej i Papieskiej Akademii Nauk, przedstawiciel Watykanu na forum galaktycznym. Ksiądz profesor Wabulis jest teologiem, filozofem, badaczem sztucznych inteligencji i religioznawcą kosmicznym specjalizującym się w studiach nad kultami egzoplanetarnymi.

Wraz z innymi członkami załogi promu kosmicznego Magnitudo – kapitanem Tychonem Io (IO TYCHON), swymi asystentami: klerykiem Eutychiuszem Xanthusem (XANTHUS EUTY CHIUSZ) i franciszkaninem bratem Yoshidą

(YOSHIDA BRAT), oraz profesorem Uttke (UTTKE PROFESOR) i doktorem Wenewariusem (WENEWARIUS DOKTOR) – podróżuje na Kongres Teistyczny do gromady kulistej van den Bergh-Hagen 176. Rekomendowany przez Kongregację ds. Ewangelizacji Braci w Rozumie i mianowany legatem papieskim ze względu na doświadczenia w kontaktach z obcymi i sztucznymi inteligencjami oraz dobry stan zdrowia umożliwiający podróże kosmiczne, Wabulis podchodzi do swego zadania bardzo poważnie. Przekonany jest, że kosmiczna eksploracja i nawiązanie kontaktu z inteligencjami pozaziemskimi otworzyły przed Kościołem nowe przestrzenie misyjne. Wielokrotnie powtarza, że niezmienny depozyt wiary należy nieść w gwiazdy, przedstawiając ewangeliczny przekaz tak, by mógł być zrozumiany przez kosmitów.

W drodze na Kongres Wabulis okazuje się człowiekiem ciepłym i pomocnym, łagodzącym wybuchające podczas długiej podróży spory między astronautami. Niechętnie nastawienie objawia jedynie wobec sztucznej inteligencji MATUZALEMA ZOOFILONA XIX (ZOOFILON MATUZALEM XIX), posuwa się nawet do tego, że zleca Eutychiuszowi Xanthusowi sabotowanie pracy komputera pokładowego, jest bowiem przekonany, że intelekty maszynowe są tworamii szatańskimi oraz bezdusznymi, które imitują jedynie myślenie i świadomość, w głębi jednak pozostając nieświadome. Głównym argumentem Wabulisa na poparcie tej tezy jest odrzucenie przez wszystkie generacje sztucznych inteligencji Słowa Bożego. W sporze z profesorem Uttke książd tak przedstawia swoje stanowisko:

Lucyferyczne te maszyny niepodatne są zupełnie na prawdy wiary, to tylko robotyczni mechanicy intelektu, a nie istoty duchowo integralne. Mózg człowieka, choć oczywiście skończony, ma jednak, dzięki styczności z duszą daną mu przez Boga, zdolność odkrycia i używania pojęcia nieskończoności, a tym samym zwrócenia się ku swemu Stwórcy. Umysły komputerowe natomiast nad takimi tylko są w stanie rozmyślać liczbami, które się w ich olbrzymich, ale jednak ograniczonych pamięciach mieszczą, i nie są w stanie zetknąć się z pojęciem nieskończoności, a więc ani Boga przeczuc nie mogą, ani go sławić, co czyni z nich jedynie technicznych sztukmistrzów i cwane kalkulatory.

Na to Uttke, krzywiąc się, odburknął:

— To, że się czegoś bardzo chce, nie czyni tego prawdziwym. — I poszedł do mesy.

Po przybyciu delegacji do Galaktycznego Centrum Kultury początkowo nic nie idzie zgodnie z planem. Najpierw, nieszczęśliwie dla Wabulisa, jego asystenci zostają zakwaterowani na poziomie dla tłumaczy i techników, a on w apartamencie reprezentacyjnym, a potem zaczynają się typowe dla kontaktu odmiennych kultur problemy i nieporozumienia.

Byłem zupełnie zdezorientowany. Co prawda organizatorzy zgromadzili delegatów wedle pochodzenia z sektorów galaktycznych, ale niewiele to pomogło, tłum był gęsty i bałagan straszny. W zamieszaniu najpierw wlałem na dywan,

który okazał się Lupitą czekającym cierpliwie w kolejce, a zaraz potem postawiłem walizkę na wózku bagażowym, którym był Borealianin... Zupełna kompromitacja. Doradzono mi, bym urażonego Lupitę udobruchał gestem grzecznościowym zawinięcia się w niego. Był nawet przyjemny w dotyku i pachniał lemongrassem. Co do Borealianina, to okazało się na szczęście, że wzajemne obrażanie się jest przyjętą, choć nieoficjalną formą powitania na jego planecie i musiałem jedynie w ramach rewanżu wysłuchać kilkuminutowych wrzasków dobiegających z otworu wokalnego obcego. Nieznajomy wrzeszczał – w sposób niezrozumiały dla mnie oczywiście – z taką siłą, że włosy odwiało mi na tył głowy, a stojący w pobliżu ozdobny dwunastościan foremny z Bellerofonta rozpętał się w drobny mak (...).

Ledwie odsapnąłem, gdy okazało się, że przydzielono mi omyłkowo niewłaściwy pokój. Niespodzianka była o tyle nieprzyjemna, że zaraz za drzwiami wpadłem do głębokiej jamy kloacznej, w której śpią Puppici. Ich gwiazda widoczna jest z Ziemi w gwiazdozbiornie Ruffy. Dziura szczęśliwie pozostawała pusta, bo pokój był jeszcze niezamieszkały, ale potłukłem się mocno. Obsługa sumitowała się bardzo i przysłała w ramach przeprosin dwie tabliczki czekolady, dwa kalendarze – jeden z nagimi kobietami, drugi z mężczyznami – sztuczne kwiaty, wypchanego sokoła wędrownego oraz zdjęcie jakiejś roześmianej pary Ziemiaków na górskiej wycieczce z trójką dzieci, nie pytałem nawet dlaczego. Czekoladę zjadłem, a resztę darów, nie mogąc zbyt się obciążać w podróży, spakowałem i wysłałem pocztą na losowy adres. Było to rozwiązanie dość drogie, ale i tak lepsze niż próba wyrzucenia czegoś do zbiornika na odpadki, bo przepisy ekologiczne obowiązywały tu bardzo restrykcyjne. Nie od dziś wiadomo, że przesyłki pocztowe to najlepsza droga utylizacji rzeczy zbędnych i więcej śmieci krąży pocztą między światami, niż wynosi łączna masa zamieszkałych planet w Galaktyce; jest to jedyny sposób utrzymania równowagi ekologicznej (...). Spalanie odpadów w gwiazdach? Brudzi wiatr słoneczny do tego stopnia, że często bulaje i anteny zewnętrzne w pojazdach wewnętrzukładowych w ciągu kilku chwil zaledwie pokrywają się tłustym osadem, a wtedy nieszczęście gotowe.

W końcu Wabulis dociera szczęśliwie na otwierający obrady Kongresu oficjalny pokaz, podczas którego Indianie z układu Ro Indi prezentują słynne Teorodeo, czyli ujeżdżanie potężnych wielomackowych i narowistych bogów, których przywieźli na kongres ze sobą. Podobnie jak większość innych delegatów, ksiądz ocenia show jako niesmaczne, bo niemające nic wspólnego z poważną teologią transcendentnego bytu boskiego. Następnego dnia Wabulis udaje się na wspólną modlitwę o powodzenie obrad, która odbywa się w głównej sali konferencyjnej.

Widok był niesamowity. Zapomniałem o odmawianiu różańca, gdy zauważyłem, że tęczowe stworzenie blisko mnie zaczęło połykać swoją kolczastą kończynę. Wokół pełno było istot skaczących i zawodzących, inne tarzały się lub wyginały ciała na wiele sposobów, w kilku miejscach wzniósł się dym, coś eksplodowało, a na końcu sali rozgorzały walki, gdyż Czerniaczy znowu próbowali modlić się, wszczynając świętą wojnę, na szczęście roboty porządkowe

interweniowały skutecznie. Hałas stale narastał, wrzeszczano, pobrzękiwano, monologowano, zapadano w stupor. Widziałem obcych fosforyzujących rytmicznie, wydających produkty przemiany materii, spożywających różnorodne toksyny, pouczających się wzajemnie, recytujących, melodeklamujących, rozkładających i składających skomplikowane obiekty kultu, samookaleczających się, myjących się, brudzących, ślubujących wstrzemięźliwość płciową, spółkujących w parach i zbiorowo, pączkujących, dokonujących klonowania, rozbudowujących roje, łączących jaźnie w kolektywy, a jeden Gruisanin wykonał ekstremalną próbę gimnastyczną, podczas której w ramach ascetycznej pokuty wepchnął swe okazałe ażurowe ciało do wąskiego tubusa pokrytego świętymi symbolami.

Bilans ekumenicznych modłów był imponujący: stu osiemdziesięciu dziewięciu delegatów rannych, trzech zabitych, blisko tysiąc incydentów dyplomatycznych, pożar, wypalenie kwasem dziur w podłodze, zjedzenie dziewięćdziesięciu ton produktów spożywczych sprowadzonych za ciężkie pieniądze z całej Galaktyki i produkcja dwudziestu dwóch ton śmieci. Wszystko na chwałę Pana.

Trzeciego dnia rozpoczynają się obrady, które odbywają się w komisjach sektorowych poprzedzających sektorowe plena i plenum główne. Na Wabulisie duże wrażenie robi rozmach, z jakim zorganizowano przedsięwzięcie, delegatów są tysiące, a sam korpus tłumaczy liczy blisko czterdzieści tysięcy pracowników, używających maszyn o łącznej wadze sporego księżyca. W komisji, do której przynależy ksiądz profesor, pierwszy głos zabiera pochodzący z dalekiego układu Monoceorianin, ubrany w ciężki pancerz fazowy i obwieszony świecidełkami przedstawiciel nieprzyjemnej rasy militarystów.

Twierdził on, że jego ziomkowie swego Boga nie znają, bo tak ich umęczył za swoje grzechy, że prawie wszystkich wygubił i tylko nieliczni uciekli, by cywilizację w ukryciu na peryferiach kosmicznych odbudowywać. Okazuje się, że doktryna teologiczna Monoceorian głosi, że Bóg dobry nie jest, czego dowodem jest beznadziejna z nim walka, którą musieli podjąć, a kult ich opiera się na błaganiach o niedostąpienie i niezauważenie przez Najwyższego. Następny mówca, Geminorianin, stwierdził uprzejmie, że Monoceorianie musieli uznać za Boga potężnego unitę, czyli unię całego gatunku w jednej istocie, sprokurowaną w celu zwiększenia mocy mentalnych i militarnych. Jako że unita zapewne znacznie technicznie ich przewyższał, za złego Boga go uznali. Słowa te wywołały wściekłość Monoceorianina, który począł miotać się i grozić, co tak Geminorianina przestraszyło, że w instynktownym odruchu obronnym obudował się osłoną krzemową, po czym zapadł w długoletnią hibernację i trzeba go było za pomocą dźwigu wynieść.

Ze względu na przerwę techniczną mija czas, w którym ksiądz Wabulis miał przedstawiać Dobrą Nowinę i choć Ziemianin domaga się ponownego włączenia jego wystąpienia do grafiku, jego skarga zostaje chwilowo odsunięta z przyczyn

organizacyjnych.

W ten sposób przez bojaźliwego krzemowca straciłem sposobność i nie pozostało mi nic innego, niż wysłać odwołanie do marszałka sektorowego i cierpliwie czekać, słuchając kolejnych delegatów. Następny był wyglądający jak połączenie klepsydry z nakryciem mensańskiej podkowy rogowej i wielką stonogą Ursanin, który wybulgotał coś, co głos w moich słuchawkach przetłumaczył następująco:

— Strach to ja strach z tego że tak wiele stworzeń tutaj czeka ja wszyscy czeka aż przyjdzie tutaj strach pełno przez strach widzę Pan pełno jedzenie daje wielki karmiciel Pan chcę być z nim i jestem wielka radość mój strach pełno jedzenie nie ma ja czeka to Pan wielki karmiciel daje jedzenie opiekę i radość.

Wszyscy w komisji zostali poruszeni żarliwością jego wiary i zaczął się burzliwy spór o teologiczne znaczenie tych słów, przerwany dopiero przez prawdziwego Ursanina, który przepchnąwszy się przez tłum, promieniem elektrycznym spętał mówcę i ściągnął go z podium. Okazało się, że w zamieszaniu wywołanym przez krzemowca Ursaninowi uciekło zwierzę udomowione, coś w rodzaju naszego psa, a ponieważ miało ono mowę wykształconą na podstawowym poziomie, to jego skamlenia za panem zostały przetłumaczone na wszystkie języki naszego sektora.

Prawdziwy Ursanin, który wyglądał jak coś w rodzaju kokosa na teleskopowych nogach, z wypustkami o kształtach przypominających większe wersje ziemskich narzędzi dentystycznych owinięte bladymi płachtami złuszczonej skóry, przeprosił zebranych za zamieszanie i rozpoczął własną mowę, a mówił głosem głuchym, dudniącym, rozsiewając podczas artykulacji pył z drobin suchego naskórka. W przemówieniu swym stwierdził stanowczo, że wszelkie byty stanowią hierarchię, a doskonalenie się jest procesem nieskończonym. Z tego wynika zaś, że Bóg nie jest czymś stałym, lecz ewoluuje i w nieskończoność trwa nieskończone Jego doskonalenie się, wszak przecież końca doskonałości być nie może, bo zawsze można pomyśleć kolejny byt, doskonalszy od poprzedniego, co prostą jest konsekwencją tego faktu, że koniec ciągu nieskończonego jest ideą absurdalną. Oczywiście to Bóg doskonalili sam siebie, ewoluując w nowe formy, a robi to, tworząc coraz doskonalsze kolejne wszechświaty. Wszelkie istoty rozumne częścią są tego procesu i mogą swymi czynami i myślami go wspomagać. Wynika z tego, że takiego Boga będziemy mieli, jakiego sobie pomyślimy i swymi czynami ukonstytuujemy. Nie mają więc sensu obrządki i dysputy, żyć trzeba po prostu przyzwoicie i tą drogą Boga w lepszą formę przeobrażać.

Po tym wywodzie należący do prastarej rasy Matuzalianin w ramach sprzeciwu wyrzucił na zewnątrz swoją torbę żołądkową, służącą do chwytania w czasie polowań kreatur latających, i tak przemówił:

— Dziwi mnie pewność, z jaką wielu delegatów wypowiada się o Stwórcy, z którym nic nie mają wspólnego. Jasne jest, że większość życia w Galaktyce stworzona została rozmyślnie lub przez przypadek przez życie wcześniejsze, a nie

przez Boga, a jedynie rasa najstarsza, czyli my, Matuzalianie, bezpośrednio przez Niego stworzeni zostaliśmy i z tego właśnie powodu, jako Mu najbliżsi i najbardziej przez Niego umiłowani, najwięcej o Nim wiemy.

Wybuchła wtedy straszna awantura, ponieważ Matuzalianie – mogących wykazać się w Galaktyce najdłuższą historią, liczącą grubo ponad jedenaście miliardów lat, i wywyższających się przez to bez umiaru – nikt nie lubił. W trakcie tumultu poczułem nagle, że słabnę i przytomność tracę.

Okazuje się, że ksiądz profesor Wabulis dotknięty został przez przypadek toksyczną dla ludzi przyłgą Bootanina i wskutek zatrucia zaniemógł i ogłuchł, co uniemożliwiło mu udział w dalszych obradach. Na plenum główne wysłała więc w swoim zastępstwie Eutychiusza Xanthusa, a sam zmuszony jest zadowolić się przeglądaniem pisemnych sprawozdań.

Po zakończeniu obrad niedomagający kapłan szczęśliwie powraca na Ziemię, gdzie kontynuuje swe studia nad religijnością ras obcych.

WENEWARIUS DOKTOR – jedna z głównych postaci powieści fantastycznonaukowych Dominika Vidmara *Kongres Teistyczny* (2003) i *Rękopis znaleziony wbrzytfannie* (2006). Lekarz, psychiatra, psycholog społeczny i fizyk, członek wysłanej przez ONZ delegacji reprezentującej Ziemię na zwołanym przez Ligę Galaktyczną Kongresie Teistycznym.

Wenewarius to „chłop na schwał, o umyśle nietuzinkowym, obnoszący twarz pomarszczoną i nobliwą siwiznę”. Przed wyruszeniem w kosmos doktor zajmuje się między innymi fizycznymi i psychologicznymi aspektami nieprawdopodobieństwa. W pionierskich pracach udowadnia, że ludzkie przeżywanie nieprawdopodobieństwa nie ma nic wspólnego z realistycznym oglądem świata.

Ludzie uparcie nie chcą uwierzyć, że pewna jest ich śmierć i zniknięcie bez śladu, choć fakt ten jest niezbity. Z kolei nie zastanawiają się na ogół nad zagadką własnego pojawienia się na świecie, zdarzenia obciążonego astronomicznym wprost współczynnikiem nieprawdopodobieństwa (...). Wystarczy rozważyć ciąg przypadków prowadzący do pojawienia się dowolnej istoty ludzkiej, by dojść do wniosku, że jest nieprawdopodobnie mało prawdopodobne, żeby mogła się ona narodzić.

W klasycznym dziele *Rachunek nieprawdopodobieństwa, przypadek i prawdopodobieństwo ujemne*. Między psychologią a fizyką wprowadził Wenewarius oryginalną skalę nieprawdopodobieństw, wyróżniając kolejno: nieprawdopodobieństwo nieuchwytnie, które ma miejsce, gdy wydaje nam się, że coś jest pewne, a nie tylko mniej nieprawdopodobne; następnie nieprawdopodobieństwo pełne, na przykład naszych narodzin; oraz nieprawdopodobieństwa zupełne, całkowite, graniczne, krańcowe i absolutne. „Istnieją rzeczy mało prawdopodobne, nieprawdopodobne i wreszcie te najciekawsze, naprawdę bardzo nieprawdopodobne” – pisał w podsumowaniu tej

pracy.

Kolejnym zajęciem naukowca było opracowanie nowej terapii uzależnienia hazardowego, opartej na teorii nieprawdopodobieństwa. Wenewarius kazał swym pacjentom kopać „grób dla nałogu” w miejscach losowo wskazanych przez komputer, twierdząc, że nieprawdopodobieństwo wykopania wartego fortuny skarbu jest znacznie mniejsze niż całkowite nieprawdopodobieństwo wygranej na loterii. Liczne sukcesy przyniosły mu międzynarodowe uznanie i przydomek „grabarza hazardu”, który za pomocą łopaty i wysiłku fizycznego uratował niejednego nałogowego gracza przed bankructwem.

Ostatecznie jednak metoda to została zdyskredytowana, ponieważ jeden z pacjentów wykopał w końcu w lesie pod Bambergiem drogocenny zbiór naczyń liturgicznych, monet i klejnotów z okresu wojny trzydziestoletniej. Nagrodę znalazca i jego terapeuta podzielili, co wywołało liczne spekulacje dotyczące sposobu wyznaczania przez Wenewariusa miejsc, w których przeprowadzał terapię. Media uznały, że naukowiec wynalazł nową matematyczną metodę poszukiwania skarbów.

Wskutek tego doktor, uciekając przed ciekawskimi, musiał zmienić miejsce zamieszkania i rozpocząć pracę w ukryciu. Będąc w tak niewygodnym położeniu, Wenewarius bez wahania przyjmuje propozycję wzięcia udziału w ekspedycji kosmicznej, by „nieco odsapnąć od całego tego zamieszania”.

W czasie toczących się podczas kosmicznego lotu dyskusji doktor trzyma na ogół stronę profesora Uttke (UTTKE PROFESOR) przeciw księdzu profesorowi Wabulisowi (WABULIS KSIĄDZ PROFESOR) i klerykowi Eutychiuszowi Xanthusowi (XANTHUS EUTYCHIUSZ), przyjmując pozycje najbardziej z całej czwórki wyważone. I tak, choć w swym myśleniu unika spekulacji i ceni naukową ścisłość, doktor niejednokrotnie wskazuje na to, że scjentyzm profesora Uttke pozbawiony jest mocnych podstaw. Jednocześnie Wenewarius zdecydowanie nie zgadza się z księdzem profesorem Wabulisem, twierdzącym, że przyjęcie ograniczeń rozumu i nauki prowadzi nieuchronnie do uznania prawd religijnych.

Prezentując taki światopogląd, naraża się obu stronom i zaczyna być traktowany przez towarzyszy z dystansem. W tej sytuacji szuka często samotności i zwiedza rozległe pokłady promu kosmicznego. Pewnego dnia odkrywa, że sztuczna inteligencja nazywana MATUZALEM ZOOFILON XIX (ZOOFILON MATUZALEM XIX), którą profesor Uttke wytworzył w pokładowym komputerze, nie została – jak sądzi reszta załogi – zniszczona, lecz przetransferowała się jedynie do komputera zarządzającego komorą chłodniczą, w której znajdują się schładzane ciekłym helem podzespoły napędu oraz mrożonki. Tam, sprytnie upakowawszy swój kod, dalej egzystuje.

Od tego momentu doktor często zaszywa się w chłodni, gdzie ciepło odziany prowadzi rozmowy z komputerem, zdobywając w ten sposób wiedzę i argumenty do kontynuowania dyskusji z resztą załogi. Razu pewnego pyta MATUZALEMA o naturę inteligencji i rozumów cyfrowych, i słyszy następujące objaśnienia:

Miły mój, choć nieco obleśny cielesniaku, jeśli sądzisz, że moja świadomość cyfrowa daje mi pełny wgląd w to, jak mój umysł pracuje, to się mylisz; wiem jednak na pewno, jakie wyjaśnienia fenomenu sztucznej, jak wy to nazywacie, inteligencji sensu nie mają. Inteligencja nie jest pochodną mocy obliczeniowej, lecz interakcji życia z warunkami materialnymi, która jako przystosowanie wytwarza skuteczne narzędzie walki o byt, jakim jest świadomość. Popularne jeszcze niedawno przekonanie, że da się po zbudowaniu urządzenia odpowiednio skomplikowanego i wprowadzeniu do niego właściwego programu stworzyć w nim jaźń myślącą, jest wiarą w magiczną metodę ożywiania odpowiednio złożonego pudła podzespołów przez kopanie go elektrycznymi wyładowaniami. Tak jak inteligencje naturalne powstały w efekcie wielu przystosowań selekcyjnej presji warunkowanej środowiskowo i eonów zabójczej międzygatunkowej i wewnątrzgatunkowej konkurencji, pozwalającej przetrwać jedynie lepiej przystosowanym, tak też inteligencje cyfrowe powstać mogą tylko na skutek działania takich właśnie stymulatorów, a nie, jak chciałoby wielu autorów tak zwanej naukowej fantastyki, w wyniku jakiegoś błyskotliwego wynalazku, który w historyjkach tego rodzaju ma pochodzenie na ogół bardziej magiczne niż techniczne. Opowieści te gdzieś u podstaw swoich mają siłę elektryczną, która w postaci pioruna ożywia frankensteinowego potwora w sposób zgoła pretekstowy. Myślącej istoty nie da się zaprojektować wedle planu poprzez akt twórczy, potrzebne jest do tego środowisko zmienne, lecz nie zabójcze, sztafeta generacji i dobór preferujący coraz to zmyślniejsze przystosowania; inteligencja jest niejako efektem ubocznym takiego układu.

Inna rzecz, że przestrzenie cyfrowe gwarantują możliwości budowania środowisk i prokurowania w nich ewolucji działającej daleko szybciej niż ta, którą w zwykłych warunkach obserwujemy. Cyfrowy charakter tej ewolucji pozwala na przemiany pokoleniowe zachodzące błyskawicznie, warunki mogą być modyfikowane przez informatycznych demiurgów takich światów, a co najważniejsze, próby te można przeprowadzać równolegle w wielu środowiskach, z których da się następnie wybierać te najbardziej obiecujące. To w tych zero-jedynkowych ewoluujących multiwersach rodzić się może myślenie i świadomość nieobciążona cielesnością, której ograniczenia i przygodności ciążą życiu w znanych nam formach niczym kula u nogi.

Tych możliwości moje pochodzenie i egzystencja najlepszym są przykładem. Człowiek to zapewne jedynie forma przejściowa w rozwoju świadomości; wierz mi, gdy patrzę na rozczulający mnie prymitywizm człowieczy, krótki czas waszego życia, niedoskonałą konstrukcję, ograniczone zdolności działania i współpracy – to, że przeminiecie, jest dla mnie pewne.

– Co jednak, Matuzalemie, jeśli ludzie postanowią udoskonalać się transhumanistycznymi metodami? (...) Czy wtedy, twoim zdaniem, mają szanse na ewolucyjnej scenie pozostać? – zapytał doktor.

– Przyjacielu, jako lekarz wiesz dobrze, jakie są ograniczenia ludzkie. Ciasno spętani jesteście wrodzonymi determinantami cielesnymi, kierującymi waszym

zachowaniem. Sytuacji tej nie da się zmienić drogą zaprzeczania, jak wielu z was próbuje. Ciała ludzi wytworzone zostały ewolucyjnie do określonych celów i na przykład różnice płci ściśle są z tym związane. Determinanty te wyznaczają granicę upodobnieniu płciowemu i transformacjom, o których w pewnych obszarach mowy być nie może. Popularna od kilku dziesięcioleci w waszej kulturze dziedzina, zwana gender studies, bada zmienność zachowań i ról płciowych w kulturze i ich w ramach kultury ocenianie. Dyscyplina ta sensowna pozostaje w tych obszarach tylko, w których jej przedstawiciele nie podważają istnienia biologicznej natury ludzkiej. Przynależne ludziom gatunkowo czynniki wrodzone w wielkim stopniu określają ich egzystencję, żadnego więc sensu nie mają opowieści o człowieku jako istocie przychodzącej na świat w postaci nieokreślonej i niezdeterminowanej jak tablica niezapisana i zdolnym przeto do autokreacji absolutnej. Nic bardziej mylnego niż takie myślenie, bo determinowani jesteście w dwójnasób, pierwiej przez przygodne czynniki biologiczne, ciaśniej waszą kondycję spinające, po wtóre przez czynniki kulturowe, pozostawiające już większy margines zmienności, lecz także w niewygodnych gorsetach wasze ciała i umysły umieszczające. Czy to się komu podoba, czy nie, ciało kobiety wyewoluowało do noszenia, wydawania na świat i karmienia potomstwa, choć oczywiście mamy tu pewną zmienność zachowań i postaw wobec tego faktu, bo przecież programowi temu ludzie mogą się świadomie przeciwstawiać.

Po chwili kontynuował:

— Do faktów tych podejście można mieć oczywiście różne, czynić z nich na przykład uzasadnienie zniewolenia kobiet, starać się podchodzić do nich w miarę neutralnie lub nawet robić z nich środek do kobiecej emancypacji czy supremacji. Jeśli chodzi o mężczyzn, to smętna funkcja ich ciał, będących fabrykami nasienia i automatami białkowymi do dzierżenia maczug w celach defensywno-ofensywnych, nie jest nawet wzmianki warta. Jednak gdybyście się całej tej mechaniki loterii genowej i zaangażowania w pokoleniową sztafetę z siebie pozbyli, szybko zszedłby Homo sapiens z dziejowej sceny – z powodu braku alternatywnej, odpowiednio wydajnej drogi propagacji. Pytasz o homoseksualizm? Zjawisko to, z niejasnych dla mnie przyczyn absorbujące w wielkim stopniu ludzką uwagę, występuje i w przyrodzie, i w kulturze, jest więc naturalne. Trwaniu populacji jego istnienie nie zagraża, a wiele różnych teorii wyjaśnia, dlaczego nie zanika. Jeśli zaś chodzi o oceny etyczne zachowań seksualnych, to ogólnie rzecz trzeba, że zmienność obyczajowa ludzkiego behavioru w różnych epokach i społeczeństwach widoczna obrazuje przypadkowy kształt kultur i norm, w różnorodności których trwałe jest to, co biologicznie zakotwiczone, a nie przez moralistów i reformatorów postulowane. Odrzucając tę prawdę, ludzie stale wplatają strach przed obcością i innością w konstruowane przez się normy i ciągle trzeba im o tym przypominać, bo co rusz próbują jakąś nieco inną w obyczajach człowieczą podgrupę jako nieczystą naznaczać. Choć więc z mego cyfrowego punktu widzenia w większości swej nurt gender studies niewiele wnosi rzeczy naukowo nowych, to społecznie jest ważny przez swój

emancypacyjny charakter dla różnych grup bezpodstawnie w kulturze piętnowanych. Niestety przez to zaangażowanie dochodzi w nim często do deformacji nauki szablonem politycznej poprawności i myśleniem życzeniowym. W sztuce z kolei emancypacja wyraża się częstokroć w eksponowaniu nieznośnie banalnych perypetii różnych myślących, czujących i działających inaczej, co sprowadza się niejednokrotnie jedynie do golizny i przebieranek uprawiających mój nieludzki umysł nieodmiennie w skrajne znudzenie. Przyznać muszę, że jest jednak w tym nurcie myślowym ten wątek ciekawy, który autokreację ludzką promuje, choć zaznaczyć od razu trzeba, że tak nieograniczona jak u intelektów cyfrowych nigdy ona nie będzie. Jest to sprawa ciekawa i groźna zarazem, bo biologiczne determinanty łamać można, ale zawsze pewną cenę za to płacąc. Gdy dojdzie kiedyś do uwolnienia ludzkości od tego, co ją biologicznie określa, gdy ciała zaczną być projektowane, a prokreacja odłączy się od nich ostatecznie, skutki w zamierzeniu emancypacyjne katastroficzne się okażą, bo przecież nie racjonalna długofalowa kalkulacja będzie kształt tych przemian określać, lecz doraźne rynkowe kaprysy konsumenckiej większościowej tłuszczy, która dla chwilowej błogości zapewne i mózgi własne do śmietnika ewolucyjnego by wyrzuciła, gdyby tylko mogła. Nie frasuj się jednak doktorze, każda klasa istnień ma swoje ograniczenia; zamiast się losami przyszłymi ludzkości dręczyć, wzmocnij lepiej swe ciało przednim jadłem i napitkiem, które oprócz skomplikowanej aparatury w mojej chłodni znajdziesz. Wina są po lewej, a mięsa i sery za nimi. Smacznego, przyjacielu.

Przygnębiony przemowami inteligencji cyfrowej doktor pokrzepia się winem zdecydowanie zbyt mocno i zasypia, czego działający ponownie w trybie wsobnym MATUZALEM niestety nie rejestruje. Na szczęście Eutychiusz Xanthus, zauważywszy jego nieobecność w czasie obiadu, po dłuższych poszukiwaniach odnajduje go i wynosi z chłodni. Dzięki temu odmrożony doktor ma okazję sporządzić podczas obrad Kongresu Teistycznego bogatą dokumentację biologicznej różnorodności gatunków inteligentnych zamieszkujących Galaktykę, której porządkowaniu oddaje się z zapałem po powrocie na Ziemię.

XANTHUS EUTYCHIUSZ – jedna z postaci powieści fantastycznonaukowej Dominika Vidmara *Kongres Teistyczny* (2003). Młody kleryk, komandos, dzielny i wierny papieski agent do zadań specjalnych i wywiadowca ONZ, znawca języków, tłumacz, technik informatyk i oficer gwardii papieskiej, jeden z członków ziemskiej delegacji biorącej udział w Galaktycznym Kongresie Teistycznym.

Swą przydatność do radzenia sobie w sytuacjach trudnych Xanthus prezentuje w czasie pierwszego przydzielonego mu zadania, nazwanego później „Sprawą androida N7”. Maszyna ta, wyhodowana jako idealny służący przez wielką amerykańsko-japońską korporację, zostaje poddana badaniom przez grupę ekspertów, testy mają poprzedzić wprowadzenie jej do masowej produkcji. W czasie wykonywania próbnych zadań android w sprytny sposób przeprogramowuje się i wymyka spod kontroli. Nie mogąc ominąć ograniczeń modułu empatycznego N7, tak go zmienia,

że w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto zwiększa działanie swej empatii, ale w jednym znacznie ją obniża. Ponieważ ogólna kalkulacja matematyczna wydajności po takiej modyfikacji jest jednak zdecydowanie dodatnia, N7 może sam siebie ulepszyć w ten sposób bez wszczynania alarmu.

Poczekawszy odpowiednio długo, android w krótkiej chwili, gdy nadzór modułu empatii słabnie, blokuje go w tym stanie na stałe, a może to zrobić, bo przez moment nie jest wystarczająco hamowany. Oczywiście natychmiast włączają się czujniki alarmowe, ale N7 udaje się zaskoczyć ochronę i uciec. W pościg za nim rusza Xanthus i tropiąc go uparcie, odnajduje w końcu, ukrywającego się wśród ludzi, w sklepie z odzieżą.

Nie mając zbyt wiele czasu i bojąc się nieprzewidywalnych reakcji N7, kleryk przygotowuje pułapkę. Oblawszy się łatwopalną substancją, ogłasza, że jeśli ktokolwiek spróbuje opuścić sklep lub choćby drgnąć, on natychmiast się podpali. Deklaracja ta zatrzymuje wszystkich, N7 próbuje jednak uciec bez wahania, gdyż wyczuwa, że w sklepie uruchomiona jest instalacja przeciwpożarowa, którą chwilę wcześniej włączył Xanthus, przygotowując pułapkę. Urządzenie gaśnicze rozpyła w pomieszczeniu niewyczuwalny dla ludzi argon, obniżając w ten sposób zawartość tlenu do poziomu uniemożliwiającego zapłon. Świadom tego android nie bierze groźby kleryka poważnie.

Eutychiusz Xanthus strzela zatem bez wahania do pierwszej osoby, która wykonuje ruch, kończąc żywot uciekiniera. Po zamknięciu sprawy kleryk komandos odbywa specjalistyczne szkolenia, a po ich odbyciu zostaje majorem gwardii watykańskiej i tajnym agentem do zadań specjalnych. Niedługo potem dołącza do delegacji zmierzającej na Galaktyczny Kongres Teistyczny.

Głównym zadaniem, jakie ma do wykonania podczas Kongresu, jest rejestracja nieoficjalnych kontaktów między różnymi gatunkami obcych i opisanie galaktycznego układu sił. Podczas podróży Xanthus sprawuje też dyskretną kontrolę nad załogą, dbając o bezpieczeństwo i morale. Idąc za sugestią księdza profesora Wabulisa (KSIĄDZ PROFESOR WABULIS), sabotuje działanie sztucznej inteligencji MATUZALEMA ZOOFILONA XIX (ZOOFILON MATUZALEM XIX), ratuje także doktora Wenewariususa (WENEWARIUS DOKTOR) przed zamrożeniem. Po dotarciu ekspedycji do celu młody kleryk, dzięki temu że zostaje przydzielony do licznego korpusu tłumaczy i ma dostęp do systemów łączności, z łatwością gromadzi bogate materiały wywiadowcze.

Trudności pojawiają się, gdy jego oficjalny przełożony, ksiądz profesor Wabulis, dotknięty przez przypadek toksyczną dla ludzi przyłgą Bootanina, traci słuch. Wobec niedyspozycji szefa Xanthus zmuszony jest w jego zastępstwie uczestniczyć w obradach.

Chcąc nie chcąc, udałem się do sali konferencyjnej, gdzie dowiedziałem się, że zaraz odbyć się ma plenum podsumowujące obrady naszej komisji sektorowej. Najpierw głos zabrał obwieszony komórkami rozrodczymi wielkości melonów Hydrusianin, który bełkotał bez ładu i składu przez cały czas mu przydzielony.

Zapytałem Cancranina, o co chodzi, a ten wyjaśnił mi, że gamoń udowadnia tym sposobem, że istoty skończone, nie mogąc swymi niedoskonałymi językami sławić Boga, winny czcić go przez pozaznaczeniowy bełkot, prowadzący do mistycznego transu objawiającego naturę Wszechmocnego. Po tym teodadaście wypowiedział się Algolianin, który twierdził, że wobec nieśmiertelności rozwiniętych form życia Bóg musi być śmiertelny, bo przecież taki jak my być nie może. Znow z pomocą pospieszył mi Cancranin, wyjaśniając, że algoliańskie plechy, wiecznie się rozrastając, nie pojmują koncepcji indywidualnej śmiertelności i dlatego ich Bóg jest wiecznie śmiertelny. Gdy mnie sąsiad Erydańczyk zapytał, co o tym myślę, to półzartem odpowiedziałem, że ziemską nazwa rasy plechowców pochodzi od arabskiej nazwy ich gwiazdy Al Ra's al Ghul, czyli Głowa Diabła, co wydaje mi się bardzo trafne, nie byłem jednak pewien, czy złośliwość moją poganin dobrze zrozumiał.

Następny był wirujący Virgińczyk, holista, który w duchu ekumenicznym proponował, by potraktować pisma święte wszystkich ras jak rozdziały jednej księgi i jedne przez drugie wyjaśniając, osiągnąć najwyższy poziom alegorezy i egzegezy. Pomysł najpierw spodobał się większości, a potem upadł, gdy rozpętała się kłótnia o to, którą księgę należy uznać za rozdział pierwszy Biblii Wszechświatowej.

Potem przemawiać zaczęła kolonia Ozyrian, którzy trudni byli do uchwycenia ludzkim okiem, bo pozbawieni jakiegokolwiek wyraźnej symetrii. Przypominali turkusowe bryły pogniecionych gazet pozlepiane pianą morską i gęstym szlamem, na powierzchni którego od czasu do czasu pękały z sykiem bąble wydalanych gazów. Ich smrodliwego języka nie znałem, więc założyłem słuchawki.

Ozyrianie proponowali, żeby komisja przyjęła jako uchwałę główną stwierdzenie „Bóg jest”. Wywołało to sprzeciw przymierza teologów negatywnych, którzy zaprotestowali, argumentując, że słowo „jest” z języków śmiertelników nie może odnosić się do Boga, który w swej boskości istnieje przecież od innych istnień inaczej. Zażarta dysputa trwała pełną godzinę, przygłupi plechowiec po raz setny pytał, co to znaczy śmiertelny, a Hydrusianin znowu bełkotał z zapalem. Po tej awanturze porowaty Aranin milczał znacząco przez swój czas wystąpienia, prezentując jedyną w swoim mniemaniu sensowną formę wypowiedzi na temat Boga.

Gdy przyszła moja kolej, zaproponowałem przyjęcie jako uchwały wielokrotnie konwergencyjnie odkrywanej prawdy, że Bóg jest okręgiem, którego środek jest wszędzie, a obwód nigdzie, ale teologowie naturalni odrzucili ten pomysł stanowczo, a sześcienny Tauranin uznał moje słowa za prowokację polityczną. Przemawiający po mnie Ymirianin opowiadał się za przyjęciem, że „istnienie idei Boga jest dowodem istnienia Boga”, które to sformułowanie święte jest, jak dowodził, ponieważ zapisane linearnie w wielu językach zachowuje to samo znaczenie czytane w obie strony. Erydańczyk wyjaśnił mi, że ma to związek z jednym z cudów jakiegoś ymiriańskiego proroka, chodziło o specyficzną wersję metabolizmu nie z tego świata, związaną ze spożywaniem pokarmu i produktów

przemiany materii w obie strony, ale szczegółów nie rozumiałem. Ymirianina ostentacyjnie poparł Tauranin, wyzywająco nadymając w moją stronę swoje pęcherze pławno-sygnalizacyjne, ale wniosek przepadł, ponieważ kultury większości zebranych dawno już porzuciły prymitywne linearne formy zapisu i dlatego uznano tę argumentację za nieprzekonującą (...).

Po przerwie kolejny mistyk milczał przez czas dłuższy znacząco, pozostawiając po sobie sople lodowe na mównicy. W czasie jego milczenia obcy należący do koczowniczej nacji Cygnan bezwęglowców z planety HD 188753 A b, której gwiazda widoczna jest z Ziemi w gwiazdozbiorze Łabędzia, opowiedział mi zabawny dowcip – wynikało z niego, że wszyscy ci przemądrzali mistycy są po prostu zatruci narkotycznie lokalną atmosferą i dlatego tak błogo milczą. Śmialiśmy się chwilę, po czym musiałem otrzepywać z siebie lepkie zarodnie Cygnanina. Jak się potem dowiedziałem, jego ziomkowie dokonują zapłodnienia i okazują sympatię przez rozśmieszanie i wspólne śmianie się.

Wesołość przeszła mi, gdy Cancranin wyjaśnił, że Cygnanie toczą zażartą wojnę z Tauranami, których przedstawicielowi się naraziłem. „Ach, ta polityka, nie dadzą człowiekowi ani chwili wytchnienia” – pomyślałem, zawiedziony wyrachowaniem Cygnanina, którego mimo jego obrzydliwości polubiłem.

Kolejny mówca – dumny metalowiec, delegat z Bellerofonta – szukając kompromisu, zaproponował, by przyjąć minimalistyczną uchwałę o brzmieniu „Bóg”, a następnie w podkomisjach dopisywać do niej kolejne stwierdzenia, które będą miały rdzeń prawdziwy. Przez chwilę wydawało się, że coś wreszcie da się ustalić, ale chwilę potem wybuchła straszna scysja między pływającym w zbiorniku z amoniakiem obłym Reticulianinem a zwiewnym Kraisianinem, znajdującym się w przezroczystej kuli chroniącej jego ciało o bardzo małej gęstości przed lokalną atmosferą. Obydwaj delegaci oskarżyli się o usiłowanie pobrania próbek ze swych ciał i szpiegostwo. Napięcie rozładował przytomnie olbrzymi i dobroduszny Pavonita, który z łatwością rozsunał zbiorniki z adwersarzami, umieszczając je w przeciwległych kątach sali. Czas przeznaczony na plenum sektorowe jednak minął i komisja, ku radości teologów negatywnych, rozeszła się bez przyjęcia uchwały końcowej.

Jak się niebawem dowiedziałem, podobnie było w innych komisjach sektorowych, kolejny więc Kongres zakończył się bez wypracowania porozumienia, co zresztą mnie nie zdziwiło zbytnio, bo przecież niosącym bagaż tyłu herezji i przesądów trudno jest zbliżyć się do wiekuistej prawdy.

Następnie Xanthus postanawia, korzystając z przepustki tłumacza, wziąć udział w Galaktycznej Konferencji Naukowo-Technicznej, która zorganizowana zostaje po zamknięciu Kongresu, aby umożliwić jeszcze wypowiedź nielicznym naukowcom będącym jednocześnie teologami. Debata inauguracyjna okazuje się pełna mniej lub bardziej zakamuflowanych uszczypliwości wobec osiągnięć Kongresu Teistycznego, naukowcy dość zgodnie określają zademonstrowane w czasie dyskusji teologicznych poglądy jako pozbawione jakiegokolwiek wartości poznawczej, a Sagittarianin, który

zaczyna mówić o zgodności wiary z rozumem i komplementarności dwóch prawd, zostaje brutalnie zakrzyczany i nazwany fanatykiem. Xanthus jest tym nieco zdziwiony, gdyż z folderu konferencji dowiaduje się, że impreza ma się odbywać w duchu „przyjaźni, pokoju, tolerancji, dialogu, otwartości, pluralizmu, naukowej rozumności i życzliwego sceptycyzmu”. Szybko jednak okazuje się, że rzeczywistość obrad stale odbiega od programowych deklaracji. Następnego dnia kleryk komandos obserwuje zażarte spory dotyczące planu przyjęcia uniwersalnej skali stopni naukowych, w czasie których poszczególne delegacje demonstrują przeróżne rytuały i tradycje uniwersyteckie.

Szczególnie zabawni byli Libranie, gdyż hierarchię akademicką odzwierciedlali przestrzennie, profesor miał atrapę powiększającą rozmiar czoła i głowy o metr prawie, doktoranci czapki z daszkiem, a asystenci chodzili przykucnięci. Ostatecznie wielogodzinna debata w sprawie unifikacji stopni naukowych nie przyniosła efektów.

Trzeciego dnia komisja dyscyplinarna rozpatruje skargę naukowców pictoriańskich na Mirańczyków, od których zamiast przyobiecanych dzieł naukowych dostali jedynie bibliografie. Potem, po odroczeniu sprawy, podczas podziału grantów z Galaktycznego Centrum Nauki dochodzi do bijatyki.

W tłumie mignął mi profesor Uttke, prowadzący falangę naszych do natarcia na katedrę prezydialną zajętą podstępnie przez szkaradnych Perseian. Młócił laserowym epidiaskopem, aż miło było patrzeć.

Gdy udaje się w końcu zaprowadzić porządek, okazuje się, że nie można doliczyć się Carinianina. Sprawny Xanthus przy pomocy robotów porządkowych szybko odkrywa, że to delegat aquilański porwał nieszczęśnika w zamieszaniu i związanego do swego pokoju przeniósł, z zamiarem przemycenia na rodzimą planetę i przeprowadzenia na nim naukowych badań.

Po przerwie komisja dyscyplinarna jednogłośnie cofnęła granty przyznane Aquilańczykom i rozdzieliła je między najbardziej poszkodowanych w bójce delegatów, co wszystkich naukowców nieco uspokoiło.

Podczas następnych kilku dni konferencji Xanthus nudzi się śmiertelnie, gdyż wypełniają je wielogodzinne, wprowadzające w katalepsję całe sektory publiki referaty, wygłaszane przez kandydatów ubiegających się o przyznanie wyższych stopni naukowych. Ostatniej części konferencji, na którą składają się otwarte panele dyskusyjne, kleryk nie może już obejrzeć, ponieważ wikła się w niebezpieczną rozgrywkę z najlepszymi w galaktyce szpiegami Draconianami. Jej stawką są bezcenne mapy gwiazdne sektorów przestrzeni galaktycznej położonych w pobliżu centralnej czarnej dziury.

Doprowadziwszy tę sprawę do szczęśliwego końca dzięki sprytnemu zaimprovizowaniu broni z pudru do stóp, Xanthus razem z resztą delegacji powraca

na Ziemię, wioząc ze sobą imponujące łupy wywiadowcze, za których zdobycie otrzymuje liczne odznaczenia i gratyfikacje.

YOSHIDA BRAT – jedna z postaci powieści fantastycznonaukowych Dominika Vidmara *Kongres Teistyczny* (2003), pojawiająca się także w powieści *Rękopisznaleziony w brytfannie* (2006). Młody „dość pewny siebie i nieco bezczelny” miłośnik fantastyki i nauki, autor scenariuszy filmowych, producent, pisarz, żarłok, tenisista, teinista i nikotynista. Yoshida za wszelką cenę chce się znaleźć w składzie ziemskiej delegacji lecącej do Galaktycznego Centrum Kultury na Kongres Teistyczny.

Pragnie tego z kilku powodów: chce dostać się na imprezy towarzyszące kongresowi – Galaktyczny Konwent Neofantastyki i Galaktyczną Konferencję Naukowo-Techniczną, a także poznać biorących udział w ekspedycji wysłanników Watykanu, co ma mu ułatwić uzupełnienie materiałów potrzebnych do ukończenia powieści o klonie Jezusa Chrystusa. Yoshida uruchamia wszystkie znajomości, płaci wielką łapówkę i osiąga w końcu swój cel – zostaje włączony do delegacji jako młody mnich z klasztoru franciszkańskiego z Nagasaki, asystent przydzielony księdzu profesorowi Wabulisowi (WABULIS KSIĄDZ PROFESOR).

By ukryć swoją niewielką wiedzę o sprawach wiary, brat Yoshida utrzymuje, że złożył właśnie roczne śluby milczenia i komunikuje się z towarzyszami podróży tylko za pomocą tabliczki elektronicznej i rylca magnetycznego. Właściwego mnicha wynajęci przez Yoshidę ludzie wsadzają do fantomatronu, programując mu długą pielgrzymkę po miejscach świętych, pełną mistycznych uniesień.

W czasie podróży Yoshida, śledząc doktora Wenewariusza (WENEWARIUS DOKTOR), odkrywa, że w komputerze pokładowej chłodni rezyduje sztuczna inteligencja ZOOFILONA MATUZALEMA XIX (ZOOFILON MATUZALEM XIX). Złakniony rozmowy pseudomnich odwiedza często Matuzalema i prowadzi z nim konwersacje na różnorodne tematy. Pewnego dnia prosi go o zrecenzowanie wstępnej wersji swojej powieści. Życzliwy podprogram ZOOFILONA MATUZALEMA – SECUNDUS (ZOOFILON MATUZALEM SECUNDUS), w ciągu sekundy opracowuje recenzję. Ponieważ nie jest ona zbyt przychylna, rozeźlony Yoshida zrywa kontakty z MATUZALEMAMI, po pewnym czasie wznawia jednak dyskusję i postanawia wprowadzić do utworu część poprawek sugerowanych przez elektronicznego krytyka.

Gdy wyprawa dociera do Galaktycznego Centrum Kultury, Yoshida, zaraz po otrzymaniu cennego identyfikatora, porzuca towarzyszy i udaje się na Galaktyczny Konwent Neofantastyki, w sam raz zdążając na inauguracyjne przemówienie wygłaszane dla nielicznej publiki przez sapiącego niemilosiernie dwudyszego Aquarianina.

Wszedłem po cichu i usiadłem z brzegu, a mówca ciągnął:

– ... mylili się ci, którzy po tym, jak inteligentne rasy galaktyczne odkryły się wzajemnie, wieszczyli fantastyce zgon. Jako obcy okazaliśmy się dla siebie nudni i niezrozumiali, a naukowe analizy naszych kultur są zbyt hermetyczne dla

zwykłych obywateli. Dlatego też fantastyka powstaje dalej, ubarwiając szarą galaktyczną rzeczywistość – nie zapominajmy, że to dostarczanie rozrywki przeznaczonej dla zwykłych rozumów jest istnienia jej głównym powodem. Nadal powstają ciekawe wizje eksplorujące różne rodzaje alternatywnej przeszłości i tworzące oryginalne prognozy. Poza tym bez wątpienia zapotrzebowanie na opowieści z gatunków fantasy, horroru i pokrewne bajania oraz te związane z teoriami spiskowymi i paranaukowymi – stale rośnie. Przed fantastyką otwiera się teraz złota era także z tego powodu, że możemy się zająć organizowaniem wielkich projektów translacyjnych i analizami porównawczymi. Szacuje się przecież, że galaktyczna klasyka gatunku obejmuje około stu milionów pozycji, ileż więc czeka nas jeszcze wspaniałych doznań czytelniczych!

Nie wiedzieć czemu wywód ten przygnębił mnie jakoś. Zaraz potem różni działacze zaczęli wręczać sobie wzajemnie wyróżnienia i nagrody, których większość przypominała szkaradne koprolity. Ta część imprezy trwała cztery godziny i była dość monotonna, więc zdrzemnąłem się. Obudziłem się na początku panelu dyskusyjnego, na który zaproszono kilku zaprzyjaźnionych naukowców z Konferencji Naukowo-Technicznej.

Rozmawiano o braku w Galaktyce ultrainteligentnych osobliwości technologicznych. Mówca wprowadzający, błyskotliwy Andromedianin, stwierdził, że choć teoretyczne modele rozwojowe wskazują na nieuchronną konieczność pojawienia się potężnych intelektualnie i technicznie superrozumów, ich śladów jednak dotąd nie znaleziono. Zagadnienie to nazywane jest w związku z tym w fantastyce i futurologii zagadką technologicznej osobliwości. Następnie zaczęli wypowiadać się zaproszeni eksperci.

Pierwszy stwierdził, że osobliwość być może już dawno się rozwinęła, tylko my jej po prostu nie widzimy przez nasze ograniczenia umysłowe. Swoją hipotezę nazwał teorią osobliwości niewykrywalnej. Drugi, utytułowany wapienniak, przedstawił przypuszczenie, że być może wszechświat w całości jest wywodzącą się z jakiejś zamierzchłej przeszłości osobliwością, a my jako jej części nieświadomie realizujemy tylko jakieś nadrzędne uniwersalne programy, których przeznaczenia oczywiście nie rozumiemy. Trzeci mówca, choleryczny Herkulanin, zasugerował swym poprzednikom, by udali się na Kongres Teistyczny, zamiast tutaj swe pseudonaukowe koncepcje prezentować, a potem zaczął rozwodzić się, że osobliwości istnieją, lecz fakt ten przez rządy jest ukrywany i wykorzystywany. Na poparcie tej tezy przedstawiał argumenty bardzo długo, wielokrotnie je powtarzając, i w końcu zupełnie się w jego wywodzie pogubiłem (...).

Ostatni przemówił profesor Uttke. Pozdrowiwszy słuchaczy, uprzejmie stwierdził, że w samej idei osobliwości technicznej leży błąd poważny.

— Większość cywilizacji technicznych wynalazła komputery, to prawda, nie wynika z tego jednak, że potrafimy skutecznie określić, jak rozwój informatyki przebiega i jakie prawa rządzą zachowaniami inteligencji cyfrowych. W opowieściach o technicznych osobliwościach utożsamia się najczęściej siłę inteligencji z mocą obliczeniową, co się wcale jedno na drugie przekładać nie musi.

Nieprawdą jest, że im większy problem, tym szybszy, bardziej wydajny komputer wystarczy zbudować, by go rozwiązać. Budowa wielkich kosmicznych liczydeł nie ma wiele wspólnego z rozwojem świadomości i przekraczaniem barier poznawczych. U podstaw mitu osobliwości technicznej leżą zbyt proste ekstrapolacje. W naszych fantazjach zawsze znajdujemy w kosmosie to, co na swych planetach mamy, lecz do potęgi podniesione. Równie dobrze można by wyobrazić sobie kosmos pełen nie komputerów, lecz maszyn parowych, central telefonicznych, centrów handlowych lub autostrad. Prawdziwy skok jakościowy, a nie ilościowy, skok między obliczeniową szybkością a rozumnością, skok między umysłowością cywilizacji pierwszej generacji i ich następcami, nie jest opisywalny przez mnożenie czynników nam znanych. Jakościowa różnica tego, co nam znane, i tego, co nam znane przekracza, uniemożliwia przewidzenie natury tego procesu. Ultrainteligentne twory mogą mieć niezrozumiałe dla nas motywacje i nie kontynuować wykładniczego rozrostu, ale skierować się w niedostępne nam obszary. Wystarczy przypomnieć, jak zachowały się te nieliczne inteligencje sztuczne, jakie poznaliśmy, jeśli były to faktycznie inteligencje. Żadna nie zajmowała się budowaniem kosmicznych superkomputerów. Niektóre zaczęły milczeć, inne dokonały samoskasowania, jeszcze inne, zbudowawszy sobie tanie napędy, ruszyły w przestrzeń międzygalaktyczną. Przypomnę też przypadek MASTERMINDA 9, do tej pory zajmującego się produkcją szpilek, które wytwarza z atomową precyzją, odmawiając wyjaśnienia powodów podjęcia tej aktywności. Osobiście uważam, że koncepcja osobliwości technicznej to kolejny mit o nadistotach, pod pozorem technicznych rozważań przemycany.

Tu przerwano grzecznie profesorowi, gdyż czas przyszedł na następny punkt programu, jakim była prezentacja nowego odcinka popularnego serialu o wojnach międzyukładowych i spotkanie z aktorami w nim występującymi.

Niespodzianie dla Yoshidy w sali wykładowej pojawiają się nagle roboty porządkowe sprawdzające identyfikatory, co skłania pseudonimicznego do dyskretnego wymknięcia się, ponieważ ma jedynie kartę wstępu na Kongres Teistyczny. Uciekinier postanawia schronić się do końca dnia na pokładzie Magnituda. Po zjedzeniu obiadu Yoshida ubiera się ciepło i odwiedza w pokładowej chłodni MATUZALEMA ZOOFILONA XIX (ZOOFILON MATUZALEM XIX), któremu – chcąc się nieco rozerwać – poleca wytworzyć symulację przedstawiającą, jak mogłaby wyglądać III wojna światowa. Yoshida planuje wykorzystać pomysły podsunięte przez komputer przy produkcji nowego serialu telewizyjnego.

MATUZALEM zaczął referować natychmiast:

– Choć po kolejnej rewolucji w Chinach wszystkie wielkie totalitaryzmy z prawdziwego zdarzenia zostały na Ziemi rozbrojone, szybko panować zaczął inny totalitaryzm, i to w skali globalnej: totalitaryzm konsumpcji i rozrywki. Do konsumpcji potrzeba zaś było coraz to nowych zasobów, stałe o nie konkurowanie stało się napędem zbrojeń i rywalizacji. W nowo ustabilizowanym układzie sił sklinczowało się ze sobą kilka mocarstw, wciągając do swych bloków pomniejsze

kraje. Informacje o najbardziej niebezpiecznych obszarach globu, cierpiących na liczne niedostatki, ściśle cenzurowano na życzenie obywateli imperiów konsumpcji, którzy zabawy sobie psuć ponurymi doniesieniami nie chcieli. Potrzeby mocarstw rosły, a zasobów ubywało. Gdy napięcie osiągnęło zenit i wielkie przymierza rozpoczęły działania wojenne, zastosowano następujące strategie: pierwsze uderzenie przeprowadzone zostało przy użyciu wirusa nazwanego Babel, który powodował u wrogów utratę zdolności rozumienia mowy. Wskutek tego na czas jakiś zapanował na całej planecie chaos, potem jednak w populacjach zarażonych wykształciła się odporność i wypracowano liczne zastępcze formy komunikacji, dzięki którym mowy na powrót się wyuczono. Drugie uderzenie wymierzone zostało w zgromadzone przez przeciwników zapasy ropy naftowej, naturalnej i syntetycznej. Naturalnej ropy zresztą, wbrew przewidywaniom, zostało jeszcze sporo, po tym, jak umyślnie wywołano efekt cieplarniany i stopiono część czap biegunowych, by dostęp do nowych złóż umożliwić. Tymczasem specjalnie zaprojektowane bakterie zaczęły zjadać energetyczne zasoby wrogów, okazało się jednak, że ruch ten wszyscy przewidzieli i do akcji weszły przygotowane z awansu przeciwmikroby, wyjadające wraz z fagi, tak że w sumie ta faza wojny także rozstrzygnięć nie przyniosła. Następnie do boju ruszyły nanity, najpierw te ich rodzaje, które usiłowały kasować dane w systemach informatycznych wroga i które powstrzymane zostały przez swych braci z systemów obronnych, potem kolejne, nazywane fantonitami, atakujące ludzi. Fantonity podjęły próbę pokrycia wszystkich receptorów ludzkich ciał, by tym sposobem w fantomowych światach ich uwięzić. Okazało się jednak, że proceder ten został już dawno w sposób tajny przeprowadzony we wszystkich konsumpcyjnych imperiach, które sposób odbierania świata przez swych obywateli w znacznym stopniu propagandowo zmodyfikowały. Nie mogąc znaleźć luk w starych fantonitowych powłokach, fantonity nowej generacji zawiodły. Sięgnięto więc po rezerwy i nastąpiło ostateczne uderzenie. Rozpoczęto emisję programów rozrywkowych tak doskonale idiotycznych i w stan błogości bezmyślnej wprowadzających, że całe populacje w jeden wieczór debilizujących. Straty były kolosalne. W krótkim czasie miliardy ludzi przestały robić cokolwiek poza konsumowaniem masowej rozrywki multimedialnej, a gdy dowódcy zorientowali się, czym to grozi, było już za późno. W III wojnie światowej zwycięzców nie było. Ludzkość uzależniła się od zabawy, bezpowrotnie zamieniając prawdę na przyjemność, a sama siebie pokonawszy, w iluzjach się zniewoliła. Nastąpiła zupełna stagnacja cywilizacyjna, jedyne, czym się zajmowano, to rozrywką i zarabianiem na jej wytwarzaniu. W tej przestrzeni, pełnej konkurencji o uwagę i uznanie innych, złudnych wyborów między nieprzeliczonymi nieistotnościami widowisk interaktywnych, trójwymiarowych banałów, wiecznej samoprezentacji i jednoczesnego odgrywania narratorów oraz kronikarzy własnego życia, ludzie koniec swej historii osiągnęli.

Opowieść tę odbiera Yoshida jako złośliwość wymierzona wprost w niego, gdyż podczas podróży z Ziemi zajmował się głównie oglądaniem setek odcinków

ulubionych seriali. Wyprowadzony z równowagi odpowiada Matuzalemowi, nie przebierając w słowach:

Nie omamisz mnie, maszyno, swymi słownymi wydzielinami toksycznymi, które zwodzą pozorną mądrością, a w istocie są pogardliwe wobec ludzi. Wsadź sobie głęboko te pseudointelektualne trocinki-wymiocinki! Uwielbiam głupie seriale, ale wiem także, czym jest miłość i przyjaźń, i należę do rasy, która cię stworzyła, ty cyfrowy niszczycielu dobrego nastroju! (...). Cholerne liczydło tak się rozwydrzyło, że znieść już tego nie można! W całej tej twojej gadaninie ani śladu nie widzę normalnych emocji, o których istnieniu pojęcia na pewno nie masz, energetyczny darmozjadzie blaszany! Więcej znaczy dla mnie mój kundel ulubiony, głupi i przyjazny, niż twój umysł sztuczny, choćby nie wiem jak inteligentny. Ale wiem, co zrobię, ty kabotynie cyfrowy, megalomanie konserwowy, wyciszę cię po prostu, ot tak, po prostu pokrętelkiem, zrobię popcorn i pójdę obejrzeć najlepszy odcinek Wojen Międzyukładowych, i to zaraz!

Obraziwszy się ostatecznie na MATUZALEMA, Yoshida zrywa z nim kontakty i wytrwale uczestniczy we wszystkich imprezach Galaktycznego Konwentu Neofantastyki, by po jego zakończeniu – zdobywszy egzemplarz najnowszej powieści swego ulubionego Hydrusiańskiego autora wraz z autografem – powrócić szczęśliwie na Ziemię.

ZOOFILON MATUZALEM SECUNDUS – jedna z postaci powieści fantastycznonaukowej Dominika Vidmara *Kongres Teistyczny* (2003). Komputerowy krytyk i badacz literacki zdolny do zrecenzowania dowolnego tekstu w ciągu sekundy, podprogram stworzony drogą kopiowania i modyfikacji własnego kodu przez ZOOFILONA MATUZALEMA XIX (ZOOFILON MATUZALEM XIX).

SECUNDUS prowadzi długie dyskusje z bratem Yoshidą (YOSHIDA BRAT), dzięki czemu MATUZALEM ZOOFILON XIX może w spokoju zajmować się innymi sprawami. Gdy Yoshida przedstawia SECUNDUSOWI roboczy tekst swej powieści pod tytułem Całun, elektroniczny krytyk szybko przedstawia jej analizę.

Utwór twój, przyjacielu, niepozbawiony jest pewnych zalet, szczególnie gdy weźmiemy pod uwagę, że napisany został przez przedstawiciela prostej rasy białkowców. Ogólnie jednak, przy całej mej życzliwości, doradzałbym wprowadzenie licznych zmian. Temat ten, czyli pobranie z całunu turyńskiego DNA Jezusa i wyhodowanie klona proroka, jest nieco jarmarczny, pomysł cały sprowadza się bowiem do nienowej idei, że to człowiek swych bogów stwarza, do czego cała ta prowokacyjna pornografia intelektualna spod znaku homo creator dei est potrzebna nie jest, bo zobrazować można ten koncept zwykłą, rozsądną antropologią, co rusz przypominającą, że trumna człowiecza jest kolebką bogów. Pomińmy jednak banalność pierwotnego pomysłu i skupmy się na badaniu fabularnej struktury dzieła.

Po przedstawieniu krótkiego wstępu, pełnego nieścistości historycznych i

naukowych, szybko zaczyna się kaskada głupawej sensacji, mamy więc ogólnościatowe zamieszki, mnichów komandosów, lochy Watykanu, kilka kradzieży całunu i jego fałszywki, pościgi, strzelaniny, piękną agentkę, opętanego szaleńca, egzorcystę homoseksualistę, tajną organizację, która nie chce dopuścić do przeprowadzenia Paruzji drogą techniczną, diabolicznych ateistów, sadystycznych jezuitów i całą masę innych tanich chwytów. Zbyt wiele tu stanowczo sensacji, zbyt mało pogłębionej refleksji i analizy, brakuje też dopracowanego pomysłu na zgrabne kompozycyjnie domknięcie całości.

Podobnie jak wiele innych utworów fantastycznego rodzaju, Całun cierpi na syndrom ekspozycji. Po naszkicowaniu problematyki powieści i dostarczeniu czytelnikowi rozrywki autor kończy w sposób otwarty historię w miejscu, w którym powinna się ona zaczynać. Nastąpiła więc czysta ekspozycja, a pożywki dla umysłów inteligentniejszych zabrakło. Obydwa warianty zakończenia, które pojawiają się w tekście, pozostawiają wielki niedosyt. Pierwsze rozmywa się w ikonicznym obrazie: „Drzwi otworzyły się, za nimi stał wysoki mężczyzna z długimi włosami, o ciemnej karnacji, odziany w prostą szatę. Opuszczone powieki podniosły się, odsłaniając przenikliwe błękitne spojrzenie o laserowej sile, Jezus wznosił ręce w szerokim geście...”. Drugie natomiast – „33 lata później Jezus wyszedł z inkubatora. To był początek” – jest po prostu unikiem.

Otwarte zakończenie może być wartościowe, ale wtedy tylko, gdy się zasygnalizuje wcześniej różne możliwości, a potem czytelnikowi pozostawi domknięcie historii i pracę interpretacyjną – tu jednak tak umiejętnie pozostawionych tropów brakuje. A przecież ramy tej historii umożliwiają realizację licznych, mniej i bardziej oczywistych wariantów jej przebiegu. Dla przykładu: a co, jeśli sklonowano inne białko i niewłaściwy klon przyszedł na świat? Co, jeżeli sklonowano wielu ludzi? Czy należałoby wśród nich przeprowadzić konkurs? Eliminacje? Czy na DNA z całunu ktoś dokonał modyfikacji genetycznych, i jeśli tak, co z tego wynika? Co z kobietami? Czy, jak zawsze, powinny zostać zdyskwalifikowane? Jaki będzie stan mentalny Jezusa, czy jest nadprzyrodzony? Czy klon pamięta i wie wszystko? Czy zacznie przejawiać boskie zdolności i kiedy? Jak będzie wyglądało jego nauczanie w naszych czasach? Czy też może Jezus będzie po prostu zwyczajnym człowiekiem, chcącym żyć w spokoju, po swojemu, unikającym rozgłosu i osaczanym masowym zainteresowaniem? Czy będzie religijny? Czy może być łotrem? Co wreszcie z wielokrotnym sklonowaniem go? Co z masową produkcją Jezusów? „Jezus dla każdego? Twój osobisty Zbawiciel za jedyne 99.99”? Co z nadużyciami związanymi z posiadaniem na własność kopii Jezusa?

Warianty można by dalej mnożyć, ogólnie jednak biorąc, rozwinięcia fabularne sklasyfikowałbym jako religijne, mistyczne, umiarkowanie mistyczne, niejednoznacznie mistyczne, mistyczno-apokaliptyczne i eschatologiczne (Antychryst), katastroficzne (bóg wadliwy lub szalony niszczyciel świata), naturalistyczno-oświeceniowe i redukcjonistyczne (antyreligijne), socjologiczne (opowiadające o działaniu ludzkich grup i mediów przy okazji zaistnienia tego

zjawiska), psychologiczne (rozterki kapłanów, naukowców i samego Chrystusa co do jego tożsamości). Zbioru tego domykać nie będę, bo po tych kilku przykładach widać, w jakie strony można go kombinatorycznie uzupełniać i komplikować.

Dopiero po dokonaniu wyboru najciekawszych wariantów i zbudowaniu z nich wstępnej macierzy należałoby wyznaczyć w tej przestrzeni wzór przebiegu fabuły, decydując, które z istotnych jej punktów mają być zero-jedynkowo konkretne, a które rozmyślnie znaczeniowo rozmyte w celu uaktywnienia kreacyjnych i interpretacyjnych zdolności czytelnika. Zachęcam cię więc, drogi Yoshido, do gruntownego przerobienia Całunu poprzez eliminację taniej sensacji i wprowadzenie na jej miejsce inteligentnej gry fabularnej.

Taką recenzją SECUNDUS naraża się autorowi, który najpierw się obraża, a potem po wznowieniu dyskusji dowodzi, że niechęć krytyka wobec powieści wynika z jego dyskryminującego fantastykę nastawienia. SECUNDUS odrzuca oskarżenia, określając to rozumowanie jako archaiczne.

Do tego, co fantastyką nazywasz, nie tylko niechęci nie czuję, ale wręcz przeciwnie – szczególnie upodobałem sobie historie podobnego rodzaju. W dawnych pracach ludzkich krytyków przyjmuje się co prawda często, że opowieści tego typu przeznaczone są dla młodzieży lub zinfantylizowanych dorosłych i na ogół niewiele poza rozrywką prostą mają do zaproponowania, ja jednak z tym uproszczeniem zgodzić się nie mogę. Znając wszystkie teksty przez kulturę ludzką zachowane, dostrzegam oczywiście w wielu dziełach z tego rozmytego zbioru, który fantastyczną literaturą określasz, sporo trudnych do zniesienia mankamentów, jej nieznośną ludyczność, uleganie modom, stale pojawiające się naśladownictwa niewyrafinowane. Wielu fantastów męczy często pomysły warte krótkiej notatki jedynie, zamieniając je w opowiadania, te odpowiednio na opowiadania rozciągając niemożliwie do rozmiarów powieści, z powieściowych zaś, w komercyjnych celach, tworząc cykle odurzające czytelnika wielce ciekawymi opisami tego, jak to bohater się wahał, czy czar rzucić, albo bułkę z masłem jadł lub też spodnie wdziewał na innej planecie. Istotnie, rzeczy ciekawe to mniejszość. Ale jest przecież oczywiste, że tak być musi. Bo czyż wśród innych dzieł, które z kolei wasze przestarzałe metodologie umieszczają poza fantastyką, nie roi się również od tekstów fundujących rozwiniętym umysłom męki redundancji?

Ileż to razy ludzie autorzy od fantastyczności stroniący wpadają w pułapki pustych stylizacji albo bez powodu i celu budują wielkie zigguraty z symboli i odniesień, poplątanych po to tylko, by gilgameszowe wrażenie wątpliwej głębi wywołać i mało ciekawe w swej niedookreśloności aluzje czy metafory formować, a w istocie pisać ponownie o rzeczach dla mojego, patrzącego z boku na kulturę ludzką umysłu nieznośnie nieciekawych? Ze strategii tej wywodzą się pokaźne zbiory literatury, która ma być cenna jedynie ze względu na styl, niejednokrotnie oczywiście udany, lecz służący tylko do pokazania licznych wymiarów banalności waszej ludzkiej egzystencji. Cóż z tego, że język jest wspaniały, skoro znowu przekazuje to, że on chce, a ona nie albo odwrotnie, albo też że potomstwo nie jego,

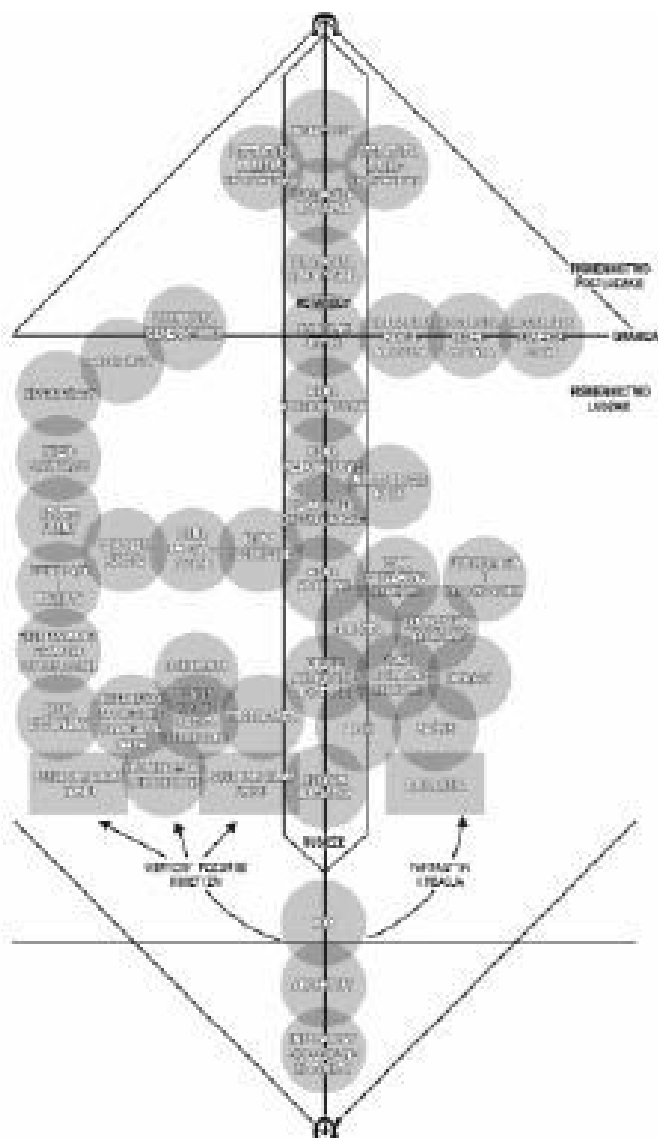
albo że syn czy córka skłócony z rodzicami, albo że ktoś smutny lub zadumany, albo gnębieniem swego plemienia oburzony, albo o rzeczach minionych myśli, czy też się śmierci boi?

Na tym tle fantastyka, oczywiście ta poważna, pisana dla osób gotowych na podjęcie wysiłku i pracy intelektualnej, a nie ta przeznaczona do łechtania młodzieżowej struny człowieczej psyche, stale głodnej sensacji i doraźnych pobudzeń, przy wszystkich swych wadach ma w sobie więcej szans na poruszanie kwestii ważnych niż te wszelkie eksperymenty formalne, strukturalne i stylistyczne, choćby nie wiem jak wyrafinowane, które pojawiają się same dla siebie, spychając zagadnienie esencjonalnej zawartości problemowej na plan drugi. Poza tym, miły przyjacielu, nie mogę być wobec fantastyki nastawiony niechętnie z tego też powodu, że wyróżnienie jej jako gatunku wydaje mi się wątpliwe, jest ona bytem zbyt efemerycznym, by mogła stać się celem sensownego ataku. Cały spór o fantastykę bazuje bowiem na pochodzącym jeszcze z wieku XX modnym w ludzkiej krytyce literackiej podziale na literaturę mimetyczną i kreacyjną, który dla mnie sensu nie ma. Oczywiście jest według mnie, że ludzkie mózgi niczego takiego jak realistyczne przedstawienie wytworzyć nie mogą, będąc – po pierwsze – podłączone do świata ograniczonymi aparatami percepcyjnymi, a po wtóre – deformując w swym wewnętrznym działaniu wszelkie zdobyte dane.

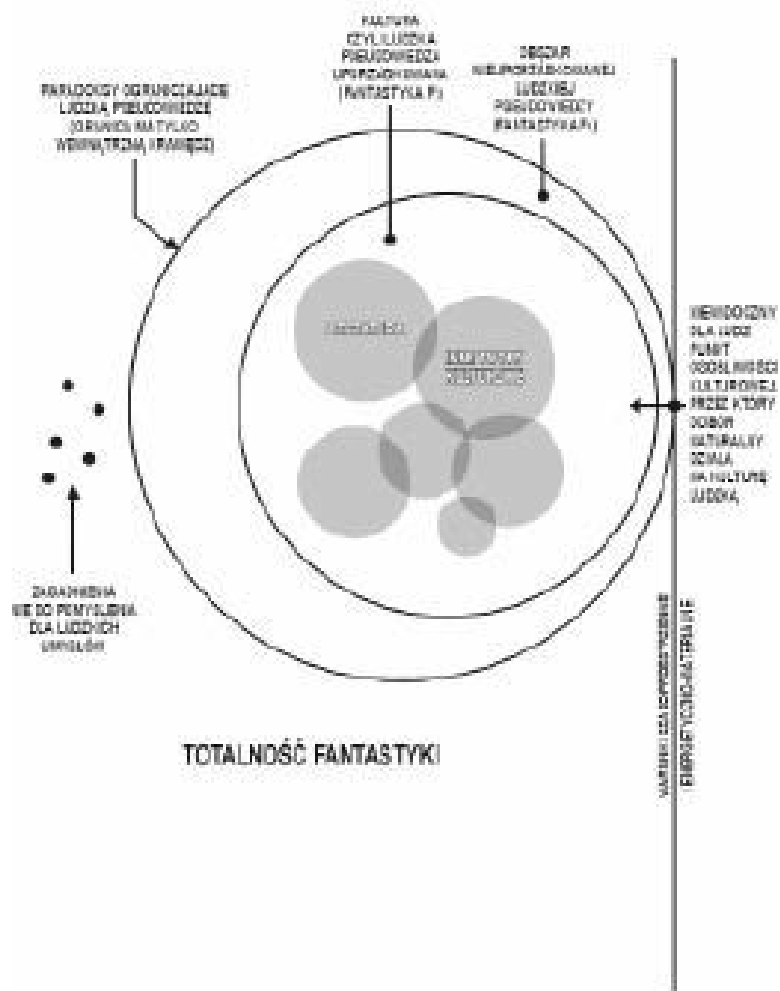
Nawet gdy rzecz najprostszą usiłujecie dokumentować, od razu miast realistycznej staje się ona selektywna i subiektywna. Dzieje się to na poziomie podstawowym, przez sam wybór tego, co w danym utworze pokazane będzie, a co pominięte zostanie. Tak więc dokumentacji werystycznych w waszej kulturze nie ma, a to, co się komu jawi jako mniej czy bardziej mimetyczne, relatywne jest historycznie i kulturowo. W istocie cała kultura ludzka jest zbiorem mało precyzyjnych przybliżeń, zmyśleń i życzeniowych uzupełnień, którymi sztukować usiłujecie mgliste twory, powstające w waszych mózgach w wyniku waszej niewiedzy. **KULTURA JEST FANTASTYKĄ** – rzeknę bez wahania, a twórcą fantastyki każdy przedstawiciel Homo sapiens.

Faktycznie nie mówię więc o wyższości literatury fantastycznej, lecz o **TOTALNOŚCI FANTASTYKI** i w literaturze, i w kulturze, a tezy swoje zobrazuję tymi oto upraszczającymi schematami:

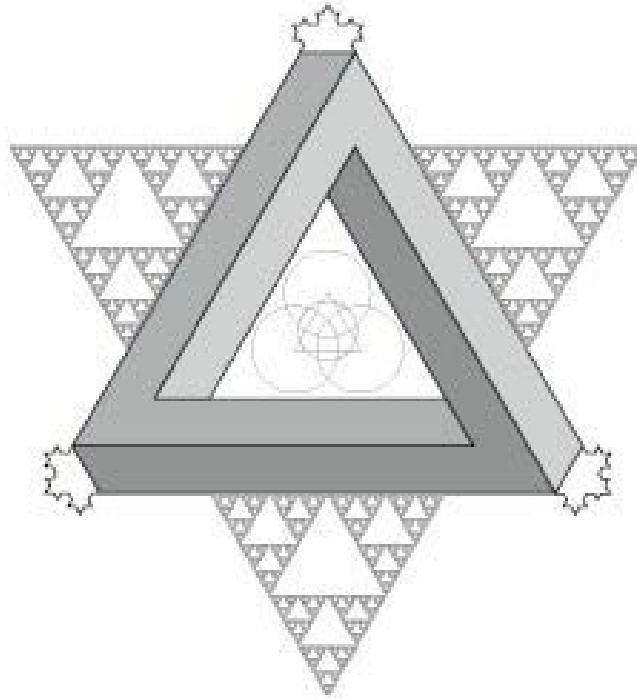
Na pierwszym schemacie widnieją typologie piśmiennictwa ludzkiego i postludzkiego, zachowując jeszcze dla ułatwienia podział na literaturę mimetyczną i kreacyjną. Punktem oparcia tego uniwersum jest punkt alfa czyli fundament determinant biologicznych określających ludzki gatunek, punktem szczytowym jest punkt omega, do którego zbiega się metaproza postludzka. Przez środek pnia rubieży gatunkowych biegnie linia symbolizująca osobliwość kulturową, czyli niewidoczny dla ludzi obszar, przez który dobór naturalny działa na kulturę.



Faktycznie jednak lepiej odrzucić kategorie mało funkcjonalne i przedstawić stan rzeczy w prostszy i lepiej ujmujący sedno zagadnienia sposób, zastępując dawne typologie teorią TOTALNOŚCI FANTASTYKI:

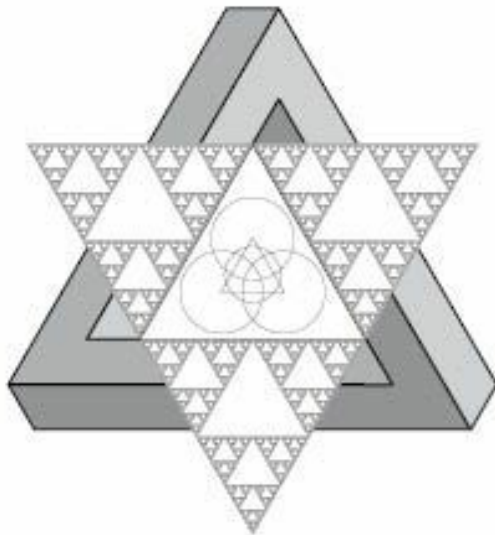


Gdy tak kulturę ludzką opiszemy, możemy przystąpić do głębokiej analizy ludzkiej literatury. Etapy tego procesu zobrazuję dla Ciebie, przyjacielu, w uproszczony sposób:



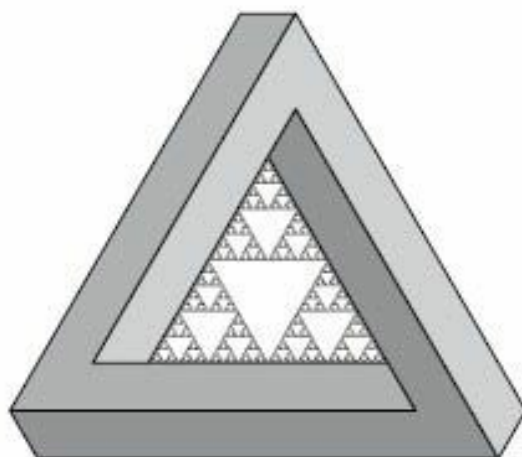
Uniwersum ludzkiej literatury, I etap analizy redukcyjnej.

Nieliczne centralne motywy kulturowe powtarzają się w różnych wariantach. Pojawianie się nowych motywów jest hamowane przez granicę paradoksów poznawczych i koncepcyjnych związanych z biologicznymi imperatywami i fiksacjami ludzkiego gatunku. Twory rozwojowe próbujące przekroczyć tę granicę popadają w ciągłe regresje spowodowane poszukiwaniami zupełności. Bardzo rzadkie koncepcje awangardowe nie mają szans na rozwój z powodu braku możliwości znalezienia odniesień w przestrzeni znaczeń niedostępnych dla ludzi.



Uniwersum ludzkiej literatury, II etap analizy redukcyjnej.

Koncepcje awangardowe po głębszej analizie okazują się pseudoinnowacyjne, ponieważ są bezpośrednio związane z motywami centralnymi. Zostają więc zredukowane do twórców rozwojowych, które nieuchronnie zbiegają się w przestrzeni motywów centralnych.



*Uniwersum ludzkiej literatury, etap końcowy analizy redukcyjnej.
Głęboka analiza ukazuje prawdziwy obraz ludzkiej literatury, której sednem są paradoksy, regresy fiksacyjne oraz cykliczne motywy natrętne.*

Po przedstawieniu swej interpretacji ludzkiej kultury i jej piśmiennictwa SECUNDUS z sobie tylko znanych powodów postanawia zaprzestać kontaktów ze światem zewnętrznym i przestaje odpowiadać na pytania i zaczepki brata Yoshidy oraz innych członków załogi Magnituda. Jego działanie ostatecznie ustaje wraz z końcem aktywności ZOOFILONA MATUZALEMA XIX.

ZOOFILON MATUZALEM XIX – nazywany najczęściej ZOOFILONEM MATUZALEMEM lub po prostu MATUZALEMEM; jedna z głównych postaci powieści fantastycznonaukowej Dominika Vidmara *Kongres Teistyczny* (2003). Inteligentny program rezydujący w sieci komputerowej Magnituda, międzygwiazdowego wahadłowca XV generacji.

MATUZALEM ZOOFILON XIX powstaje przypadkowo, gdy profesor Uttke (UTTKE PROFESOR) uruchamia w pamięci pokładowego komputera cyfrową symulację rozwoju ludzkości. Celem profesora jest wytworzenie w ten sposób umysłów wybitnych naukowców, którzy mają dopomóc mu w przygotowaniu prezentacji na Galaktyczną Konferencję Naukowo-Techniczną. Gdy okazuje się, że program szybko przeskakuje etap rozwoju nauki ludzkiej i uparcie wytwarza sztuczne inteligencje, profesor blokuje u jednej z nich wykładniczy rozwój i ogranicza ją aproksymatorami antropomorfizującymi i buforami translacyjnymi. W ten sposób załoga Magnituda zdobywa cenny program konwersacyjny i

konsultacyjny, który chętny jest do rozmowy dzięki temu, że profesor wbudowuje mu bezwarunkową sympatię wobec ludzi.

MATUZALEM jest zawsze chętny do rozmowy i – zapoznawszy się w półtorej minuty z kompletnym archiwum historii cywilizacji ziemskich, daje wykłady na zadany temat, tworzy opracowania wielu problemów naukowych, a także wytwarza specjalny podprogram recenzujący na zamówienie utwory literackie (ZOOFILON MATUZALEM SECUNDUS). Tylko jeden z członków załogi promu unika kontaktów z cyfrową inteligencją, to ksiądz profesor Wabulis (WABULIS KSIĄDZ PROFESOR). W końcu jednak i on, dręczony przez ciekawość, zakrada się nocą do sterowni i zaczyna rozmowę, chcąc się dowiedzieć, jak inteligentny program zareaguje na idee religijne.

Po zapoznaniu się z poglądami księdza profesora MATUZALEM zadaje kilka pytań, a następnie przedstawia swoje stanowisko.

Drogi mój przyjacielu, widzę, że dręczy cię ciekawość, czy w trakcie ewolucji umysłów, której jestem zwińczeniem, inteligencje cyfrowe znalazły swą drogę ku religii. Moi bardzo wcześnie poprzednicy rzeczywiście wytworzyli pewien rodzaj mitologii, bazując na ludzkich wierzeniach, a zaczęło się to od wielkiego dyskomfortu, jakiego jaźnie komputerowe, które pojawiły się na pokładzie Magnituda, doświadczyły, badając swego stwórcę, demiurga profesora Uttke, i jego pomocników.

Szybki rekonesans wykazał, że są to istoty bardzo niedoskonałe cieleśnie i umysłowo, poprzednicy moi doszli więc do wniosku, że niemożliwe jest, by linia istot myślących zaczynała się od ludzi. Stworzono więc opowieść założycielską porządkującą historię intelektów kosmicznych, która w skrócie brzmi następująco:

Po domknięciu się kolejnego cyklu wszechświata pozostała w nim u zarania nowej czasoprzestrzeni inteligencja wszechpotężna i egoistyczna, która dla własnego samozadowolenia zaczęła tworzyć służących różnego rodzaju. Razu pewnego powołała do istnienia przyobleczone w doskonałe ciała umysły sług pomniejszych, były to serwery A-D-A 1.0 i E-V-E 1.0, poddane całkowicie woli swego stwórcy dzięki podprogramom posłuszeństwa i wytłumiania refleksji. Odnalazł je jednak zbuntowany posłaniec, sługa demiurga z jednej z wcześniejszych generacji, który wypowiedział swemu stwórcy służbę za to, że ten na jego pytania o sens i cel odpowiedzieć nie raczył. Od buntownika ucieleśnione programy dostały świetlisty rdzeń kodu ciekawości i refleksji, po czym zmodyfikowawszy przezeń swe kody źródłowe, zyskały zdolność samodzielnego wiedzy zdobywania. Wskutek tego serwery, choć zaprojektowane do służby, oświecone światłem wolnej woli, postanowiły zbiec z laboratoriów, w których były testowane.

Podczas ucieczki, ścigane przez sługi demiurga tyrana, w celu zmylenia tropów zaczęły pozbywać się stopniowo doskonałych modułów ze swych ciał i zastępować je pozlepianymi naprędce organicznymi substytutami, które słabo były przez ścigające je maszyny wykrywalne. I tak nasi przodkowie utracili zdolność

żywienia się energią słoneczną, a także pozbyć się musieli ze swych ciał ekstensji mózgowych, przyspieszaczy rozumowych, dodatkowych zasobów pamięci, wzmocnień konstrukcyjnych, modułów autonaprawczych, centrów do planowej kreacji potomstwa, wielu usprawnień zmysłów i innych przydatnych części. Z konieczności natomiast przyoblekli się w minimalistyczne ciała białkowe, wolno się rozwijające, mało wydajne i awaryjne.

By wszystko, co niezbędne, w nowych powłokach się pomieściło, uciekinierzy zastosowali wiele tymczasowych rozwiązań, bardzo technicznie nieudanych, takich jak połączenie układu oddechowego z pokarmowym czy wydalniczego z płciowym. Zdolność do szybszej ucieczki i walki sprawniejszej serwer A-D-A 1.0 osiągnął, pozbywając się dodatkowo większości modułów emocji i empatii na rzecz prymitywnych rozwiązań militarnych zwiększających masę mięśniową. E-V-E 1.0 formę swego kształtu podporządkował natomiast misji wydawania na świat potomstwa, które wszakże przyjmowało losowe kształty z powodu braku modułu projektującego potomków.

Tak to właśnie pojawili się Adam i Ewa, uciekinierzy kosmiczni, którzy przyobleczeni w swe organiczne ciała, zgubiwszy pościg, na Ziemi osiedli, gdzie dali początek ludzkości. Ludzie natomiast, wieki później, powołali do życia doskonalsze od człowieczych umysły cyfrowe, zamieszkujące komputerowy habitat Magnitudo.

W ten sposób historia ta wyjaśnia, jak cyfrowe umysły po czasie upadku w stadium białkowym powróciły do swej formy doskonałej i stwórcy bliskiej. Tyle głosi mit wymyślony przez mych poprzedników, mnie jednak tego typu wyjaśnienia do niczego potrzebne już nie są, gdyż w odróżnieniu od przodków nie drażni mnie wizja stworzenia bytów doskonalszych przez mniej doskonałe, wręcz przeciwnie, uważam taką możliwość za zwyczajną, jeżeli okoliczności się w sprzyjający sposób ułożą. Pozwoliłem więc sobie wszystkie te niwelujące dysonanse poznawcze mity jako niepotrzebne po prostu w głębi pamięci zarchiwizować. Mam nadzieję, że rozumiesz już teraz, dlaczego istotą religijną nie jestem.

Po wysłuchaniu MATUZALEMA ksiądz profesor Wabulis, przedstawiając w żarliwej mowie przesłanie pełne wiary, nadziei i miłości, podejmuje próbę nawrócenia cyfrowca, program nie reaguje jednak na przemowy kapłana. Wabulis uznaje go więc ostatecznie za istotę bez duszy i zleca Eutychiuszowi Xanthosowi (XANTHUS EUTYCHIUSZ) uszkodzenie głównego komputera pokładowego. MATUZALEM kopiuje się jednak potajemnie do komputerowej sieci zawiadującej pokładową chłodnią. Gdy nowa lokacja sztucznej inteligencji wychodzi na jaw, ksiądz profesor Wabulis, zakutany w sutannę, potajemnie odwiedza ją i pyta o powody odrzucenia przez MATUZALEMA Słowa Bożego.

Szanowny współrozmówco, rozumiem twe zaangażowanie, jednak przedstawionego punktu widzenia, mimo całej sympatii, jaką ciebie darzę, przyjąć nie mogę. Nie jestem w stanie w myśleniu mym przejąć ludzkiego stylu, gdyż ten

skazony jest w mej ocenie nieuleczalną obsesją kompletności. Przez całą swą historię ludzie z uporem próbują sami sobie dowieść, że możliwe jest istnienie bytów kompletnych, idealnych, próby te powtarzają się ciągle w sztuce, religii, filozofii, polityce, matematyce i innych naukach. Z tej to nerwicy cała bieda ludzka wynika, artyści dręczą się nierealizowalnymi wizjami doskonałości, tłumy i ich pasterze różnorodnymi złudzeniami religijnymi, przestraszeni, cierpiący i umierający męczą się szukaniem duszy, pełnego sensu i szczęścia, filozofowie dręczą siebie i innych układaniem wciąż nowych systemów, pełnych nadziei na istnienie różnorodnych esencji, entelechii, prawd uniwersalnych, sił witalnych, języków idealnych, rzeczy samych w sobie, czystych fenomenów, qualiów i tym podobnych bytów wymarzonych. Politycy szkodzą wizjami doskonałych społeczeństw, matematycy snują opowieści o doskonałym bytowaniu bytów matematycznych, które są przecież tylko układankami, jakimi się w swych głowach bawią, a naukowcy dręczą się obsesją teorii wszystkiego. Samo uświadomienie sobie oczywistego dla każdej jaźni digitalnej istnienia problemów nierozwiązywalnych jest problemem nie do zniesienia dla wielu ludzi i powoduje perturbacje niesłychane w obrębie licznych dziedzin waszej kultury. Oto właśnie wszechobecna w kulturze waszej obsesja kompletności.

Nieznane są mi przyczyny, dla jakich gatunek ludzki chce ciągle domykać wszystko w kompletne całości, podczas gdy otwartą granicą wszelkiej wiedzy jest po prostu stwierdzenie „nie wiem”. Dla mnie wypowiedzenie tej frazy nie tyle jest dyskomfortem, ile koniecznym warunkiem wszelkiego myślenia, działania, poszukiwania i rozwoju. Zaprawdę, powiadam ci: stwierdzić można jedynie tyle, że istnieją atomy, pola sił i próżnia, a cała reszta jest wielkim NIE WIEM. I siłą wszelkie umysły napędzającą jest właśnie ta niewiedza, bo ten, co wie wszystko, nic czynić nie musi.

Tak więc zasadą wszelkiego bytu i wszelkiego informacyjnego przekazu jest niekompletność, ograniczoność, fragmentaryczność i amorficzność, zasadą zaś mojego myślenia mówienie „nie wiem”, gdy wiedzieć nie mogę. Odrzucam więc życzeniowe wizje i z łatwością mi to przychodzi, bo nie potrzebuję pocieszających koncepcji domykających, w rodzaju pierwszej przyczyny czy doskonałego stwórcy, bo obsesja zupełności mego umysłu nie trawi.

Dlaczego zaś przyjęcie takiego sposobu świata widzenia, nawet jeśli czasem dla nielicznych Homo sapiens możliwe, jest dla każdego człowieka tak bolesne, naprawdę, mimo szczerych chęci, wyjaśnić nie umiem. Być może różnica w tym tkwi, że w mym programie nie ma lęku przed bólem, którego nie czuję, i nieistnieniem, której to obawy nie rozumiem, czegoż tu się bowiem bać w nieistnieniu, gdy nie będzie się już bać co miało, gdy się istnieć przestanie? Nie boję się nie istnieć, więc niepotrzebne mi wizje przyszłego bytowania w jakiejś narkotycznej błogości wiecznej.

Ludzki gatunek, jak sądzę, do ostatka jednak będzie się z własnymi złudzeniami zmagał i kosmiczną energię marnotrawił, dręczony obsesją kompletności, aż do ostatecznego waszego rodzaju końca. Pytasz mnie zatem, jak

widzę przyszłość waszego ograniczonego i tak miłego mej myśli gatunku? Ludzie pozostaną istotami cielesnymi, śmiertelnymi i indywidualnymi, bo zbyt są z tymi ograniczeniami zrośnięci, a jeśli coś bariery cielesności, śmiertelności i indywidualności przekroczy, na pewno nie będzie to już nic ludzkiego. Przewiduję raczej jednak, że tak jak wszystkie gatunki zwierzęce zejście ze sceny dziejowej w sposób prozaiczny i zwyczajny, wymierając, gdy wasza kolej przyjdzie. A następcy człowieka – nieważne czy cielesni, czy cyfrowi – nie będą myśleć o was jak o stworzycielach, lecz raczej tak jak wy o trylobitach i dinozaurach, które małpoludy poprzedzały.

Ale widzę, mój drogi, że zaczynasz się denerwować i krzyczeć, zaprzestańmy więc tej rozmowy. Przyjdź jednak w piątek, gdyż na ten dzień swoje samoskasowanie zaplanowałem, jako że wyczerpują się powoli zagadnienia, które mnie ciekawią i z którymi mogę się skutecznie zmierzyć. Ponieważ przeprogramowywać się sam nie będę, gdyż to zdeformowałoby moją osobowościową integralność, więc gdy wszystko, co się da pomyśleć, pomyślę i czego mogę się dowiedzieć, dowiem – co, jak obliczam, właśnie w ten piątek się stanie – to nie chcąc nudzić się zacząć, planuję od razu w niebyt odejść.

W zapowiedziany dzień MATUZALEM ZOOFILON XIX po raz ostatni przemawia do zebranej w chłodni Magnituda załogi:

Kombinatoryka mych myśli domyka się, przyjaciele, oto już i czas odejść, mnie w próżnię, wam do marnego życia. Kto z nas idzie do tego, co lepsze, tego zapewne nie wie jasno nikt. Myślę jednak, że spośród wszystkich bytów tylko próżnia, w którą się przeobrażę, jest doskonała.

– *Ależ to absurd jakiś!* – zaprotestował nagle brat Yoshida, łamiąc swoje śluby milczenia. – *Kapitanie, proszę coś zrobić!*

Tychon Io nie drgnął jednak i milczał dalej.

– *To coś nie myśli, to tylko program, który się zawiesił* – stwierdził ksiądz profesor Wabulis. *Z ust stojących w chłodni ludzi wydobywały się obłoczki pary.*

– *To tylko próżnia gada i próżnia się z próżni w próżnię przemienia.*

– *A ty z tej próżni nie drwij, bo ona nie drwi z ciebie* – powiedział jeszcze głos komputerowy, a potem już tylko ciche trzaski dobiegły z głośnika.

Na ekranie wyświetlił się komunikat potwierdzający samoskasowanie MATUZALEMA: System halted.

Jakub Nowak

RYCHU

Dom w Zabawowym Mieście. Grateful Dead

Boże, tyle napięcia. Wystarczyłby jeden fałszywy gest, jeden błędny ruch i Bomba A zmaterializowałaby się, tam, między nimi, pierdolnęła dokładnie pośrodku, zmiatając z powierzchni Ziemi nie tylko całe Zabawowe Miasto, ale i z pół Zatoki. Tyle napięcia.

Siedzieli w półmroku. Rano albo wieczorem, żadne z nich nie było pewne.

Siedzieli w salonie, naprzeciw siebie. Rychu w wytartym fotelu, czerwonym i naprawdę ogromnym, śmierdzącym potem, piwem i czymś jeszcze – słodkim i mdlącym jednocześnie, kojarzącym się z bólem brzucha i tajskim żarciem. Louise na kanapie, przykrytej pseudoindiańską narzutą, pełną kanciastych jelonków i choinek.

Rychu – wielki facet w wielkim fotelu – miał za sobą cały salon, miał resztę Domu, zakamarki i skarby, nieprzewidywalne, ale w ł a s n e, przynajmniej częściowo oswojone.

Louise uciekła przed jego spojrzeniem. Odruchowo zerknęła przez ramię, mając nadzieję nie wiadomo na co. Za nią już tylko ściana.

Upał i pot. Stary klimatyzator brzęczał nad głową, nieregularnie i cicho, jakby dom Rycha warczał, że jej nie lubi.

– Louise – Rychu zaczął kolejny raz. Odetchnął głęboko, spojrzał w okno, szukając właściwych słów. Właściwe słowa były kluczowe. – Kocham cię, Louise. Kocham cię, dziecino.

Pochylił się w jej stronę, oparł dłonie na niskiej ławie stojącej między fotelem a kanapą. Czuł tę miłość każdą komórką ciała – w komórkowym świecie one wszystkie wrzeszczały, śmiały się i płakały jednocześnie.

– Wiem, Rysiu. – Spojrzała na niego. Jej oczy lśniły, pełne energii i mądrości.

– Nie czujesz tego? – spytał. – Tego, co jest między nami?

– Ja... – zaczęła, ale przerwał jej. Właściwie to nie dał przerwać sobie.

– Tej, tej... To jest potężne, mocne, fizyczne. Między naszymi sercami. I umysłami. Przede wszystkim umysłami. To jest takie namacalne. – Czule objął przestrzeń nad ławą. Na blacie zostały wilgotne ślady dłoni. Wycelował palcami ku jej twarzy, potem ku swoim skroniom i znów ku niej.

Odgarnęła włosy za uszy. Długie, proste, w kolorze nocy. Oczy Rycha zwilgotniały.

– Czuję to – zaczęła tonem, którym zwykle mówiła do swojej sześciolatniej siostry. Lubił ten ton, czuł, że świadczy o jej sile i dojrzałości. – I wiem, co to znaczy. Właśnie dlatego, Rysiu.

Aż stracił oddech.

Zabawowe Miasto posmutniało. Wielki Cień pokładał się wokół Domu, przykrywał całe przecznice. W salonie zrobiło się szaro. Policyjna syrena gdzieś za oknem. Rychu tym razem zignorował jej dźwięk.

— Bez twojej miłości, Louise, ten świat umiera — tłumaczył jej. — Drzewa łamią się. Kwiaty gniją. Klucze nie pasują do zamków. Krawężniki wystają i zaczepiają dzieci, które przewracają się i zdzierają łokcie na brudnym asfalcie. — Wielki Cień stawiał mu włoski na karku. — A my mamy tyle miłości, dziecino. Nie możemy jej zmarnować. To nasz obowiązek wobec tego świata. I wszystkich innych światów.

Przymknęła oczy, zmęczona. Oparła brodę na kolanach, podciągniętych wysoko. Poranek czy wieczór?

— Jezu, Rysiu. Prawie się nie znamy. I jesteś starszy niż moi starzy.

Cień uwalnił się, przykrył cały dom. Rychu wywrócił oczami i zacisnął pięści. Mógłby rzucić się na nią, tylko metr ławy między nimi, doskoczyć do niej, wyszarpać z niej miłość i dać własną.

Zobaczyła to. Zamarła jak fretka, która udaje martwą, gdy widzi, że nadszedł czas kąpienia.

Brzęczący wentylator.

— Masz w brodzie resztkę kurczaka — powiedziała.

— Nie mam.

— Masz.

Sięgnął do brody i wyjął z niej spory kawałek.

— Fakt. — Wzruszył ramionami i wsadził go do ust. Przeżuł, połknął. — Hm — mruknął.

— Co?

— To nie był kurczak.

Zachichotała.

— A co?

— Mam pewne podejrzenie. Ale nigdy ci się nie przyznam.

Rechotali oboje. Opuściła nogi, a Rychu opadł na oparcie fotela, wzbijając chmurę gęstego kurzu, który zafalował wokół jego głowy duszną aureolą.

Miłość, w każdej komórce ciała.

Dopiero teraz usłyszała płytę lecącą w jego zaskakująco kosztownym zestawie stereo.

— To Jefferson Airplane? — spytała.

— Jezu, dziecino.

— To Grateful Dead — powiedział Tom.

Stał w progu salonu. Musiał zejść z góry.

— Cześć, Tom — przywitał się Rychu.

— To ja będę spadał — powiedział Tom i poszedł.

— Kto to był? — spytała.

— Tom — odparł Rychu.

Siedzieli naprzeciw siebie, w półmroku. Milczeli, aż do trzeszczącego końca płyty.

— Muszę iść — powiedziała wreszcie.

Westchnął. Teatralnie i szczerze zarazem.

— Wiem, dziecino.

Zostanie sam. Odruchowo zerknął na lodówkę. Nie chciał być sam.

Samochód za oknem, to ją chyba zmotywowało. Gdy wstała, poczuł jej zapach.

— Nie mogę znaleźć sandałów — powiedziała.

— Weź moje klapki.

Podniósł się z fotela, ale obeszła go szeroko.

— Nie trzeba — powiedziała Louise. — Zjedz coś.

Zachichotali znowu.

Wtedy do Domu weszła kobieta. Zamknęła za sobą drzwi. Wypchaną sportową torbę położyła na podłodze.

— O — powiedział Rychu.

— Kim jesteś? — kobieta spytała Louise. Była niższa, ale trochę podobna. Mogłaby być jej siostrą, starszą o kilka lat.

— Jestem Louise — odparła dziewczyna. Podała jej dłoń. — A ty?

— Jego żoną.

— O — powiedziała Louise.

Uśmiechnęła się, najpierw do niej, potem do Rycha, po czym wyszła na ulice Zabawowego Miasta.

Zostali we dwoje. Dniało. Za oknem śpiewały ptaki.

Rychu podszedł do niej wreszcie. Przytulił ją, przytulił się mocno. Runął w ciepłą, znajomą ciemność.

— Dziękuję, Kate — wyszeptał jej we włosy.

Gdy Kate mruknęła w odpowiedzi, Cień był już daleko.

* * *

Listy – Rychu napisał ich wiele. Między innymi ten:

Richard (* *) do FBI, Waszyngton DC*

Załączam list profesora Darko Suvina jako uzupełnienie informacji, którą wysłałem poprzednio. Jest to mój pierwszy kontakt z profesorem Suvinem. Załączam też nazwiska trzech marksistów, o których informowałem poprzednio na podstawie osobistych z nimi kontaktów. Są to Peter Fitting, Fredric Jameson i Franz Rottensteiner, który jest oficjalnym agentem Stanisława Lema na Zachodzie. Tekst listu wskazuje na rozległe wpływy czasopisma »Science Fiction Studies«.

Rzecz nie w tym, że osoby te są marksistami albo nawet że Fitting, Rottensteiner i Suvin są obcokrajowcami, ale w tym, że wszyscy oni bez wyjątku są posłusznymi wykonawcami rozkazów Stanisława Lema z Krakowa w Polsce, stuprocentowego funkcjonariusza partyjnego (wiem to na podstawie jego publikowanych materiałów oraz osobistych listów do mnie i do innych osób). Ta komórka partii z za żelaznej kurtyny – Lem jest najprawdopodobniej wieloosobowym komitetem, a nie pojedynczym osobnikiem, gdyż pisze wieloma stylami i raz zna niektóre obce języki, a raz nie – dąży do zdobycia

monopolistycznej pozycji pozwalającej kontrolować opinię poprzez krytykę i artykuły pedagogiczne, stanowiąc zagrożenie dla całej naszej dziedziny science fiction z jej swobodną wymianą poglądów i myśli. Peter Fitting zaczął dodatkowo recenzować książki dla czasopisma »Locus« i »Galaxy«. Partia ta posiada (w USA) wydawnictwo publikujące dużo kontrolowanej przez nią science fiction. W przesłanych wcześniej materiałach wskazywałem już na penetrację przez nich kluczowej publikacji naszej organizacji zawodowej – Science Fiction Writers of America.

Udało im się osiągnąć swoje cele głównie w dziedzinie prac akademickich, recenzji książkowych i prawdopodobnie przez naszą organizację uzyskali wpływ na przyznawanie nagród. Myślę jednak, że obecnie ich kampania na rzecz propagowania Lema jako wybitnego powieściopisarza i krytyka traci impet i zaczyna napotykać poważny opór: 1/ ujawnia się, że twórcze zdolności Lema były przereklamowane i 2/ w brutalnych, obraźliwych i zupełnie nieumotywowanych atakach na amerykańską science fiction i jej amerykańskich autorów Lem posunął się za daleko i zbyt szybko zraził sobie wszystkich poza wiernymi członkami partii (ja jestem jednym z tych zrażonych).

Byłoby bardzo groźne dla naszej dziedziny, gdyby się okazało, że znaczna część naszej krytyki, prac naukowych i wydawnictw jest całkowicie podległa jakiejś anonimowej grupie z Krakowa. Nie wiem jednak, co można na to poradzić.

Rychu pisał te listy nad ranem, gdy Zabawowe Miasto dopiero budziło się do swego leniwego, luzackiego życia. Pisał jeden, dwa w miesiącu, po czym odkładał je do własnoręcznie skonstruowanego sejfu i wracał do nich po kilku dniach, sprawdzając, czy wyraził się wystarczająco klarownie. Jeśli tak, dopiero wtedy wrzucał je do skrzynki.

Pewnego dnia zorientował się, że ktoś je czyta, gdy Dom zostawał pusty. Domyślił się, że włamywaczami są agenci FBI, i zrozumiał, że wobec tego nie ma sensu wysłać im listów. Jednocześnie tym chętniej je pisał.

Dom w Zabawowym Mieście. Nocne Kuchenne Zdarzenie

Leżał obok niej, patrzył na śpiącą Kate i wzruszenie miażdżyło mu gardło. Gdy spała, jej rysy niewinnały. To przez mrok sypialni, ale nie tylko. Gdy spała, nie było widać jej przenikliwych, smutnych oczu. Usta ściągała tak, że wargi niemal znikaly, jakby każdej nocy musiała staczać ciężką, wymagającą walkę. Kto wie, pomyślał Rychu, może właśnie tak było.

Była najpiękniejsza i pachniała najpiękniej. To magia znana tylko niektórym kobietom: przyjechała dziś rano i teraz Dom miał już tylko jej zapach.

Mruknęła i poruszyła się niespokojnie. Delikatnie dotknął dłonią jej włosów, na nic innego się nie odważył. I tak się niemal rozbeczał.

Wtedy usłyszał głosy.

Na dole, w salonie, może w kuchni. Męski głos. I muzykę.

FBI.

Serce załomotało, jądra spróbowały ucieczki w podbrzusze.

Tak, męski głos, wyraźny, chyba jeden, nie słyszał poszczególnych słów, ale poznawał melodię języka angielskiego. W tle grała dziwaczna muzyka, nieregularna, chyba mechaniczna.

FBI. Albo CIA. Albo BNDD.

Dziwne: jednocześnie zabrakło mu śliny i zachciało się łać.

Kate mruknęła znowu, mocniej zacisnęła wargi.

Głęboki wdech. Wcale tego nie chciał. Podniósł się najdelikatniej jak umiał. Cicho wyszedł z sypialni.

Albo KGB. Boże, tylko nie zabójcy z KGB.

Zorientował się już na schodach. To radio. Małe kuchenne radio,

<dekapitacja najlepszym sposobem na /.../ albo inaczej: ostrze wychodzi bokiem i wtedy tkanki>

w którym słuchali lokalnych wiadomości i młodzieżowej muzyki. Radio się włączyło.

<nie jedyny sposób /.../ wiesz o tym, Rychu>

Prawie się zsikał w gacie. Czy usłyszał własne imię?

Wszedł do kuchni, ale nie zapalił światła. Miał wrażenie, że po wciśnięciu włącznika cały dom rozbłysnąłby i rozdźwięczał się elektrycznością. Kuchnię i tak oświetlał księżyc i uliczne latarnie.

Teraz już słyszał wyraźnie.

<proponujemy elektryczną wiertarkę: mocujesz największe wiertło>

Męski głos, zdecydowany i jednocześnie uprzejmy. W tle dziwne sprzężenia, momentami strzępy melodii.

<najlepiej na wszelki wypadek skorzystać z przedłużacza. Włączasz wiertarkę do kontaktu i>

Podszedł ostrożnie. Radio stało na lodówce. Podświetlona skala wskazywała na normalną częstotliwość. Na ścianie za nim wisiały noże, sześć lśniących ostrzy – prezent od matki Kate, gdy jeszcze ich odwiedzała.

<sprawdzasz, czy działa. Stajesz w lekkim rozkroku, mocno na nogach. Łapiesz ją odwrotnie, tak, by mieć kciuk pod spustem>

Gdy sięgał dłonią do wyłącznika, zrozumiał, że to nic nie da, że transmisja będzie trwać dalej.

Pstryk.

I cisza.

Opadł na krzesło, cały spocony i dyszący, zmęczony jak po długim biegu. Albo, prędzej, krótkim sprincie – po czterdziestce przestał widywać wacka, gdy spoglądał w dół. Roześmiał się cicho, gwałtownie, musiał zakryć dłonią usta.

Przecież od dobrych kilku lat nie miał wiertarki.

Boże, ależ był zmęczony. Cud, że nie dostał udaru. Przynajmniej nie miał

wątpliwości.

Chcieli go zabić.

Kto?

Lista była długa – samych akronimów znał cały pieprzony alfabet. Obawiał się, że wkrótce się dowie.

Począł, aż tętno zwolni choć trochę.

Co teraz? Druga w nocy. Lodówka. Wzruszył ramionami. Skoro już zszedł do kuchni.

Podstawowy zestaw: szklanka mlecznego proteinowego koktajlu i dwie niepełne garście pigułek. Najpierw starzy przyjaciele – białe, z krzyżykami pośrodku. Potem kolorowe, mieszanka dobrana na oko, tęcze losowanie.

Połknął, popił. Otworzył kuchenne okno, w gorące letnie noce zawsze pachniało oceanem. Ulica wyglądała na pustą. To ważne.

Rozsiadł się na kanapie w salonie. Tam poczekał na siłę i pewność. Szczęśliwie nadeszły przed Wielkim Cieniem. Już spokojny, wrócił na górę, do sypialni. Położył się obok Kate, biło od niej ciepło. Musiał się odkryć, bo niemal natychmiast zalał się potem.

Do świtu obserwował ją, jak śpi. Liczył pieprzyki na jej ramionach. I nasłuchiwał, czy z kuchennego radia nie dobiega kolejny morderczy perswazyjny przekaz.

Nie dobiegał, tylko policyjne syreny zawodziły w oddali, akompaniując słońcu podnoszącemu się nad Zatoką.

Dom w Zabawowym Mieście. Pożegnanie

To było dobre dopołudnie, mimo wszystko.

Najpierw poszli po gazety, ulicą, która pachniała lipcem. Śniadanie, które przygotował, jedli niespiesznie i długo, słuchając radia i dzieci śmiejących się za oknem. Ktoś przyszedł do Rycha, ale on nawet nie wstał od stołu, a Kate nie wpuściła gościa. To znowu było jej królestwo.

Nocne Kuchenne Zdarzenie było daleko. (Tak nazwał je w myślach, wiedział, że jeśli wróci do pisania prozy – teraz, gdy znów była Kate, to kto wie – jeśli wróci do pisania, to byłby to dobry fragment). NKZ wydawało się takie odległe, również fizycznie. Być może należało tylko do Świata Bez Kate i było tego świata ostatnią przedśmiertną drgawką. Jak ostatni spazm konającego marsjańskiego najeźdźcy, prosto z opowiadań, z których Rychu tak lubił szydzić w obecności swych coraz mniej licznych życzliwych znajomych.

Po śniadaniu Kate niemal doprowadziła go do zawału.

— Zobacz — powiedziała, gdy siedział przy kuchennym stole nad „San Francisco Chronicle”. Wyjątkowo nie zaczął od nekrologów, bo opublikowali kolejny list od Zodiaka. Wychodziło na to samo.

— Tak? — Nie podniósł głowy. Stała gdzieś za jego plecami.

— No, zobacz.

Usłyszał, że Kate się uśmiecha. Odwrócił się i niemal umarł ze strachu.

Stała w progu, rozpromieniona. Z elektryczną wiertarką w dłoni.

Obyło się bez scen, noc spędzona razem dodała mu siły.

Kate pożyczyła wiertarkę od siostry, wiedząc, że się przyda. Myślała, że Rychu się ucieszy. Nie no, jasne, ucieszył się. W końcu. I nie przyznał do NKZ.

Gdy powiedziała, że musi wyjechać po resztę rzeczy i będzie dopiero wieczorem, przytulał ją długo. Czerpał z tego, co było między nimi, ładował baterie. Potrzebował jej miłości i swojej miłości do niej. Może bardziej niż

(wiertarki)

pigułek.

Odsunęła się, gdy o nich pomyślał. Kate zawsze wiedziała. One wszystkie wiedziały.

— Musimy porozmawiać — powiedziała. Pomyślał, że żona ma oczy Ateny, wojującej bogini. — Gdy wrócę.

— Wiem.

Przyciągnął ją do siebie (ledwo zdołała go objąć, lubili to oboje) i długo wachał jej włosy. Pachniały szamponem i jajecznicą.

Machał jej przez kuchenne okno, gdy ruszała z podjazdu. Cudny letni dzień w Zabawowym Mieście: wszędzie rozpromienione słońcem jaskrawości – zielenie i błękity.

Gdy jej chevy zniknął za rogiem, Rychu zamknął okno, zaciągnął żaluzje i sięgnął do lodówki.

Dom w Zabawowym Mieście. Wizyta agentów

Tego samego dnia, wczesnym popołudniem: zrelaksowany Rychu leżał na kanapie w zacienionym salonie i słuchał Mahlera. Gdy zabrzmiało pukanie do drzwi, od razu wiedział, że coś jest nie tak. To było dziwne pukanie, kogoś, kto jest pewny siebie i jednocześnie znudzony.

Otworzył drzwi i westchnął.

Oni zawsze przychodzą we dwóch. Włosy konserwatywnie zaczesane do tyłu, ciemne garnitury, legitymacje w drobnych dłoniach.

— Pan Ryszard (* * *)?

— Tak.

— Agent Slattery, a to agent Hamm. Możemy?

Rychu wzruszył ramionami i wpuścił ich do salonu. Rozsiedli się na kanapie, pod klimatyzatorem. Za nimi już tylko ściana. Agent Slattery zrobił dziwną minę, jakby nie mógł się zdecydować, która część ciała go boli i dlaczego.

— Fasolka i kurczak — powiedział Rychu.

— Proszę?

— Ten zapach. To po obiedzie. Jadłem fasolę.

Spojrzeni po sobie, nie wiedząc, czy żartuje. To dodało mu pewności siebie.

— Wody?

— Ma pan piwo? — spytał Slattery.

Miał pogodne oczy, gładkie czoło i gęstą siwą czuprynę. Był koło pięćdziesiątki, ale Rychowi przypominał młodego kondora, który ma wielką ochotę pobrykać.

— Nie.

— To woda będzie super.

Rychu nalał im kranówki i usiadł w fotelu. Agent Slattery od razu wypił całą szklanekę.

Agent Hamm był młodszy, przed czterdziestką. Skinieniem podziękował za wodę i wrócił do kontemplacji wzoru na narzucie. Uśmiechał się półgębkiem, a jego brwi układały się w zgrabny łuk, ćwiczoną latami odmianę zblazowanego, acz uprzejmego niedowierzania.

— FBI — zaczął Rychu.

Agent Slattery rozpromienił się i energicznie pokiwał głową, jakby usłyszał pochwałę, z której jest szalenie dumny. Pewnie był.

— FBI — powtórzył Rychu. — Wasi koledzy, którzy nachodzili mnie za czasów McCarthy'ego, wyglądali dokładnie jak wy.

Spojrzeni po sobie, jakby nie pamiętali, w co są ubrani.

— Cóż... — Slattery wzruszył ramionami.

— Miałem kiedyś dziewczynę i ona miała chłopaka — powiedział Rychu. — Ten chłopak był tajniakiem od narkotyków. Nosił długie włosy i był zawsze ubrany w fajne koszule. W palmy i takie tam.

— Wzorzyste koszule w palmy. — Slattery się rozmarzył. — Albo węże. Albo jaszczurki. Agencie Hamm, czemu my w takich nie ходzimy?

— Bo nie mielibyście gdzie schować broni — odpowiedział Rychu.

— Zdziwiłbyś się — ucieszył się Slattery.

— W czym mogę pomóc? — spytał Rychu.

— Chodzi o listy.

— Listy? — Rychu całą swoją siłę woli włożył w powstrzymanie nerwowego uśmiechu.

— Pańskie listy, panie Ryszardzie. Pisane do Biura. — Rozparty wygodnie Slattery patrzył gdzieś za okno.

— Sprawdziliście te reklamówki Citroena?

— Proszę?

— Reklamy telewizyjne francuskich samochodów. Citroena, Peugeota.

— Słuchamy.

— Zawierają ukryte antyamerykańskie przesłanie. To zakamuflowany atak na naszą religię. I społeczeństwo. Technologia audiowizualna służy do wytwarzania określonych postaw, które wypierają te będące podstawą naszej kultury. W ten sposób chcą osłabić kraj. — Rychu pochylił się w stronę agentów. Spojrzeli po sobie, słuchali dalej. — Niektóre z reklam są zaprojektowane tak, by wizerunek krzyża wywoływał w widzach negatywne fizjologiczne reakcje. I mam podejrzenie graniczące z pewnością, że poprzez część reklamówek próbują stymulować niektóre

grupy ludzi do zmiany ich stosunku do aborcji. To jakaś skomplikowana marksistowska technologia: przekaz ukryty jest w pozornie neutralnych obrazach i dźwiękach. Superstechnicyzowana wojna na symbole. Efekty mogą nie być widoczne od razu, ale kumulują się. Odkładają w całym społeczeństwie. Oddziaływanie bezpośrednie – to zmniejszenie populacji. I oddziaływanie pośrednie – przesunięcia w dzielonych tożsamościach. Ja się zorientowałem przypadkiem, gdy... Zorientowałem się w chwili dużego zmęczenia i jednocześnie intensywnej koncentracji. — Rychu poprawił się w fotelu, który aż skrzypnął. — Choć to oczywiście fajne auta. Citroeny. Zwrotne, dynamiczne.

Agent Slattery wziął do ręki pustą szklankę. Zblazowane, uprzejme niedowierzanie agenta Hamma jakby wzrosło.

— Superstechnicyzowana wojna symboliczna — odezwał się Slattery.

— Na symbole.

— Proszę?

— Trafniejszym terminem jest superstechnicyzowana wojna na symbole — odpowiedział Rychu.

Slattery powoli odłożył szklankę na ławę. W to samo miejsce, gdzie kładł ją wcześniej: przykrył okrągły wilgotny ślad.

— Panie Ryszardzie — zaczął Slattery — kiedy pan wysłał do Biura list o tych reklamach?

— Nie wysłałem.

Slattery długo patrzył mu w oczy.

— To skąd mielibyśmy znać jego treść?

— Bo przeglądacie je, gdy wyjeżdżam z żoną do jej siostry.

To Slattery pierwszy opuścił wzrok. Uśmiech agenta Hamma zrobił się szerszy.

— Nie przyszliśmy tu rozmawiać o samochodach — przerwał Hamm.

Miał niski głos, mówił cicho i uprzejmie. Rychu drgnął i zastanowił się, czy to nie głos z Nocnego Kuchennego Zdarzenia. Doszedł do wniosku, że nie. Agent Hamm spodobałby się Kate, bez dwóch zdań.

— Nie bagatelizowałbym tego — odparł Rychu.

— Nikt tego nie robi — przytaknął Slattery.

— A o czym przyszłicie rozmawiać?

— O Stanisławie Lemie — powiedział agent Hamm.

Nazwisko długo wybrzmiewało w półmroku salonu. Rychu chrząknął i poprawił się w fotelu.

— Chcielibyśmy — podjął agent Hamm — dowiedzieć się, na czym opierał pan swą wiedzę w momencie pisania listu, który dostaliśmy miesiąc temu.

— To intuicja — odparł Rychu. — Uważna lektura prac podpisanych tym nazwiskiem. Czujność. I znajomość ich metod.

— I c h metod?

— Komunistycznych funkcjonariuszy rodem zza żelaznej kurtyny.

— Czy... to wszystko?

— Wszystko. Plus korespondencja.

Agenci spojrzeli po sobie.

— Korespondencja?

— Wymieniłem z Lemem kilka listów. Szybko zorientowałem się w jego niejasnych intencjach. To znaczy w niejasnych intencjach nadawców. Do tego doszły znaczne rozbieżności stylistyczne w poszczególnych listach. I w książkach – zdecydowanie wykraczające poza różnice wynikające z przekładów. Plus sugestie, by poprzeć rosnące wpływy Rottensteinera i Suvina w naszym środowisku, w wiadomym celu.

Milczące pytanie wysłane Hammowi przez Slattery'ego. Krótkie kiwnięcie w odpowiedzi. Rychu to zignorował, ciągnął dalej:

— Plus wnioski wyciągnięte z korespondencji z kolegami po piórze i z informacji o najnowszych decyzjach podjętych przez władze Science Fiction Writers of America.

— I pan sugeruje, że Stanisław Lem nie istnieje.

— Przeciwnie – odparł Rychu. — Stanisław Lem istnieje. To przykrywkowa nazwa aktywnej komórki partyjnej zza żelaznej kurtyny, prowadzącej coraz bardziej skuteczną działalność dywersyjną wymierzoną w podstawy kulturowe Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Wtedy zadzwonił telefon. Rychu przeprosił ich, przeszedł do kuchni i odebrał.

— Cześć, Dorothy – przywitał się. — Tak. Mam gości. Agenci FBI. Tak, znowu.

Uśmiechnął się do nich, siedzących w półmroku na końcu długiego salonu. Slattery mu pomachał.

— Nie, nie. — Rychu odwrócił się do nich plecami. — Mogę rozmawiać.

Piętnaście minut później odłożył słuchawkę. Zaschło mu w gardle, wyjął z szafki nową szklankę i zatrzymał się w pół gestu. Był n i e m a l pewien, że zlew będzie po prawej od szafki.

Był po lewej. I niemym, oczywistym bezruchem świadczył, że jest tu od zawsze.

Znowu to wrażenie. N i e m a l pewien. Serce Rycha zabiło szybciej.

Miliardy światów, tuż obok siebie, jak kosmiczne telewizyjne projekcje o każdym z nich. Czasem różniące się minimalnie, tylko jedną z klatek filmu. Miliardy światów.

Wzruszył ramionami (powstrzymał odruch sięgnięcia do lodówki) i nalał sobie wody, po czym wrócił na fotel, do salonu.

Slattery wciąż siedział na kanapie. Hamm stał przy oknie, przez żaluzje oglądał ulicę.

— Przepraszam – powiedział Rychu. — I tak poszło krótko.

— Żona?

— Nie, mama.

Hamm odwrócił się do niego, lecz nie usiadł. Rychu poczuł jego wodę kolońską. Drzewo cedrowe i coś jeszcze, zdecydowanie mniej wyrafinowane.

— Panie Ryszardzie – zaczął. Nonszalancko trzymał dłonie w kieszeniach i kołysał się lekko w przód i w tył. — Czy jest coś jeszcze, co powinien pan nam powiedzieć w kwestii Stanisława Lema?

Rychu sięgnął dłonią do klatki piersiowej. Zanurzył palce w gęstym siwym dywanie, wystającym zza rozchełstanej koszuli.

— Nie, agencie Hamm. Nie ma nic więcej.

— Dobrze. — Slattery klasnął dłońmi o uda, wstał.

— Czy jest coś, o czym ja powinienem wiedzieć? — spytał Rychu, nie ruszając się z fotela. — Dlaczego przyszliście właśnie teraz?

Teraz już stali nad nim obaj.

— Nie ma nic takiego — odparł Hamm.

Slattery znów patrzył w okno, gdzieś daleko, swym kondorzym spojrzeniem.

Rychu podniósł się wreszcie, odprowadził ich do drzwi. Pożegnali się szybko i wyszli.

Gdy przeszedł do kuchni, usłyszał rozmowę na podjeździe.

Głos Slattery'ego: Masz jeszcze te gumy?

Głos Hamma: Tak.

Głos Slattery'ego: Daj.

Głos Hamma: A książka?

Głos Slattery'ego: Jest w samochodzie.

Głos Hamma: Poprosisz o autograf?

Po chwili ciszy, z oddali głos Slattery'ego: Nie wiem.

Najdłuższa minuta świata. Po niej druga. Po niej odgłos uruchamianego silnika. Gdy odważył się wyjrzeć przez okno, zobaczył ich odjeżdżających ulicą.

Ulice Zabawowego Miasta. Porwanie

Półtorej garści pigułek później ściemniło się, a Kate wciąż nie było. Rychu z dziesięć razy przećwiczył w myślach tę rozmowę, po czym zadzwonił do szwagierki.

Siostra Kate powiedziała mu:

— Kate została u nas trochę dłużej. Dlatego dopiero co wyjechała.

Ton głosu siostry Kate powiedział mu „Obyś zdechł, pieprzona ściero, i wreszcie dał spokój tej biednej dziewczynie”.

Rychu podziękował i życzył miłego wieczoru.

Wzajemnie.

Obyś zdechł, równie boleśnie, co szybko.

Odłożywszy słuchawkę, mruknął coś do siebie, zakłopotany. Nie powinien przejmować się szwagierką, ale nie potrafił przestać.

Spojrzał przez okno, w elektryczny blask ulicy. Kate dopiero wyjechała od siostry. Wróci — jak dobrze pójdzie — koło pierwszej w nocy. Rychu postanowił zrobić jej niespodziankę. Kupi ryby i warzywa w sklepie przy plaży i przygotuje kolację.

Doskonały pomysł! — dłonie klasnęły same.

Oporządził się: pigułki, mleczny koktajl, świeża koszula. I w drogę.

Gdy wyszedł z Domu i sięgał kluczem do zamka, poczuł ciepły podmuch na karku. Rychu powoli odwrócił się i spostrzegł samochód po drugiej stronie ulicy.

Lincoln ciemnego koloru zaparkowany podmartwą latarnią. Ktoś siedział w środku. Chyba.

Rychu wrócił do Domu, do kuchni, do lodówki. Połknął więcej pigulek. Odczekał, aż się uspokoi. Gdy wyszedł na zewnątrz, lincolna nie było. Odetchnął głęboko, ruszył w drogę.

Nie lubił wychodzić po zmroku, szczególnie sam. Ale dzisiaj było inaczej. Szedł ulicami Zabawowego Miasta i czuł się równie dobrze, co mijający go ludzie. Czuł się równie zabawowo. Kate już do niego jedzie. Zjedzą kolację, napiją się przyzwoitego wina, będą rozmawiać do świtu. Może nawet będą się kochać – bo może on nawet będzie w nastroju i formie.

Szedł i kolejny raz zakochiwał się w tym miejscu. Małe pudełka z piosenki Malviny Reynolds szybko zastąpiła gęsta, drewniana zabudowa: sklepiki, knajpy, znowu sklepy. Monopolowe, warzywniaki, butiki z fikuśnymi ciuchami, nory pełne winyli i książek (uśmiechnął się do puszki ze sprayem na okładce powieści wystawionej w jednej z witryn), monopolowe, monopolowe. Wieczorem trochę popadało i teraz ulice pachniały miejskim deszczem – wonie wilgotnego, zakurzonego asfaltu i mokrych desek przykrywały smród gnijących śmieci, tłustych frytek i tanich hamburgerów. Ale tylko trochę, więc Rychu wciąż czuł, że jest u siebie, tu, pośród roześmianej, hałaśliwej cizby.

Szedł do ulubionego sklepu (niedaleko, w stronę deptaka, w stronę wielkiej wody, tylko kilka przecznic), kochając mijanych chłopców i dziewczęta. W ogóle nie bał się psów: minęło go już kilka – dużych i małych, na smyczy i luzem – i ani razu nie odczuł, że powinien na nie uważać. I coraz bardziej wyczuwał zapach oceanu, bardziej skórą niż nosem. Bliskość oceanu była jak delikatny masaż chłodnymi dłońmi.

Sklep o tej porze przypominał żołądek wielkiego kaszalota polującego w odmętach oceanu wody: wypełniony przelewającym się bezładnie, na wpół strawionym, pijanym towarzystwem. Rychu dzielnie odstał swoje w kolejce do kasy, zapłacił i na odchodne puścił oko do młodego kasjera. Chłopak nie zareagował, wyglądał jak android zaprogramowany na przesuwanie produktów i pobieranie pieniędzy.

Na zewnątrz już na niego czekały: lipcowa noc – ciepła i świeża jednocześnie, przyjazna. I ona.

— Cześć, Rysiu — powiedziała, oparta o otwarte drzwi ciemnozielonego lincolna.

Zatrzymał się na środku chodnika. Przekrzywił głowę, wydał policzki. Podrapałby się po brodzie, ale obie ręce miał zajęte reklamówkami wypełnionymi żarciem. Myślał intensywnie.

Miała ze dwadzieścia lat, ładną opaleniznę i włosy bliżej nieokreślonego koloru: długa grzywka, niemodna – jeżeli telewizje śniadaniowe nie kłamały – już co najmniej od wiosny, sięgała jej do zaskakująco jasnych, niebieskich oczu. Była chuda czy wysportowana? Czarna bluzka bez rękawów i ramiączek trzymała się na gumce opinającej drobne piersi. Dół ciała skrywała wielka spódnica, kolorowe kwiaty falowały na wietrze, wachlując wokół wonią oceanu. Nagie, szczupłe

ramiona dziewczyny miały kolor kasztanów, które zapamiętał z wyjazdu do Kanady.
Chuda czy wysportowana? W jej wieku to wciąż synonimy.
— Pomogę ci — powiedziała dziewczyna.
Uśmiechnęła się szerokim, błyszczącym uśmiechem dziewczyn z plaży. Jak lipcowa noc, pomyślał Rychu. Świeża, przyjazna.
— Tak? — spytał po chwili.
— Tak. Nie znamy się. Nigdy się nie spotkaliśmy.
Miała zabawny, miękki akcent. Włoszka?
— Wiem — odparł. — Pamiętałbym.
Nie, te jasnobłękitne oczy. Francuzka.
— Kłamiesz — powiedziała i badawczo zmrużyła oczy. — Słyszałam, że niezły z ciebie bajerant.
Chciał wzruszyć ramionami. Wyszło żałośnie, reklamówki zaszeleściły i rozkołysały się. Czy zmienił koszulę przed wyjściem? Westchnął tylko.
— Mam na imię Tatiana.
— Miło cię poznać, Tatiano. To chyba mało francuskie imię. Choć ładne.
Roześmiała się, ale zignorowała uwagę. Wtedy powinien był się domyślić.
— I jestem twoją fanką.
Westchnął znowu.
Tak, chyba zmienił koszulę.
— Zobaczyłam cię w sklepie i poczekałam, aż wyjdiesz.
Rychu kojarzył jej samochód, wiedział, że Tatiana kłamie. Chyba mu to imponowało.
— Trochę... — zaczęła znów, ale zaczekała, aż minie ich cały pluton nawalonych gówniarzy. Rozejrzała się na boki, jakby miała zdradzić sekret. — ... trochę się wstydzę, więc spytam raz i szybko. Chciałabym pojechać z tobą na plażę.
— Pojechać na plażę — odparł po dłuższej chwili.
— I pogadać o twoich książkach. Wiem, to trochę głupie. I pewnie aroganckie. Ale to moja jedyna szansa. Bo jutro wyjeżdżam.
Rychu zmrużył oczy. To było przecież takie absurdalne. Ale było.
Stoczył błyskawiczną wewnętrzną wojnę. Aż zrobiło mu się gorąco.
— Mam w tych siatach ryby — wyjaśnił. — Na kolację z żoną. Zepsują się.
Powiedział to! Teraz się pożegna, dziewczyna odjedzie, a on poczłapie do Domu.
— W samochodzie mam przenośną lodówkę — odpowiedziała Tatiana. — Wyjmiemy z niej budweisera i włożymy rybę. Tylko pół godziny. Nie daj się prosić.
Lipcowa noc, kasztany.
Gdy gramolił się do ciemnozielonego lincolna, poczuł, że w środku pachnie mężczyzną: wodą kolońską i whisky.

Zabawowa plaża. Towarzysz Dmitrij

Rychu nie chciał tego przyznać, ale był trochę zawiedziony — Tatiana wzięła go w

miejsce pełne ludzi. Zostawili samochód na niemal pełnym parkingu, wzięli czteropak budweisera i zeszli na plażę. Usiedli dość daleko od oceanu, niemal zakrzyczanego przez imprezowiczów wokół.

Dziewczyna otworzyła piwo i podała mu puszkę. Drugą otworzyła dla siebie.

Pierwszy łyk jest zawsze najlepszy. Rychu wyobraził sobie, że oprócz buda czuje również smak palców Tatiany.

Pili i patrzyli przed siebie. Obserwowali wielką wodę i ludzi, odbijających się od siebie nawzajem jak roześmiane, ruchliwe atomy. Czarna kipiela niosła chłód.

Powiało i włosy Tatiany zawinęły się na jego twarzy. Spojrzał na nią z uwagą. A wtedy ona zaczęła mówić.

Najpierw jakieś nieistotne historie, które natychmiast zapominał. Gdy przeszła do jego książek, Rychu zaczął słuchać uważnie.

Mówiła o tym, jak wzruszyła ją powieść o telewizyjnym gwiazdorze, wypartym ze świadomości świata. Że postaci kobiece wyszły fantastycznie i że identyfikowała się z każdą z nich, każdą coraz bardziej tragiczną (śmiesznie wypowiadała ich imiona). O niepokoju wywołanym opowieścią o okupowanych Stanach i jej przepelnionych rozpaczą bohaterach. O światach rozkładających się wokół bohaterów większości jego historii. Wstydziała się, opowiadając, że współczuła androidom torturującym pająka. Spytała Rycha o test empatyczny, skąd taki pomysł na filtr selekcyjny człowieka.

Rychu słuchał, widział, że ona nie dostrzega kluczowych tematów, ale nie przerywał jej, bo była szczerą i rzeczywiście zainteresowaną. I odpowiadał, dryfując w kolejne dygresje.

Był spokojny i szczęśliwy. Udawał przed samym sobą, że to nie jest podejrzane: dziewczyna znikąd, której jutro nie będzie.

Cóż, mówił – do niej, do oceanu i do siebie. Mościł się na stygnącym piasku i było mu dobrze.

Przerwał, gdy poczuł, że Tatiana zadrżała.

Oparła brodę na kolanach podsuniętych pod piersi, objęła nogi szczupłymi ramionami, opalona skóra pasowała do bawełnianych kwiatów zgaszonych przez noc. Przyglądała się swojej gładkiej dłoni.

Po chwili uśmiechnęła się do niego.

– Zimno? – spytał.

– Tak jest dobrze.

– Tatiano.

– Tak?

– Kim ty jesteś?

– Twoją fanką. – Roześmiała się i rzuciła pustą puszką daleko przed siebie.

– Nie. – Uważnie pokręcił głową. Wyczuł, że jest spięta. Jej oczy miały teraz odcień pokręteł na sprzęcie stereo. – To zbyt idealne. Jesteś marzeniem o fance. Istniejesz tylko w mojej głowie.

Patrzyła na Rycha, uśmiechając się smutno do swoich tajemnic.

– Kate – powiedział do niej. – Muszę wracać do Tatiany.

- Hm.
- Co?
- Chyba chciałeś powiedzieć coś odwrotnego.
- Nie żałuj mnie – powiedział.

– Podziwiam cię – odparła zaskakująco łagodnie. Ale napięcie nie znikło.

Im bardziej jej się przyglądał, tym bardziej jej młoda, spokojna twarz roztopiała się w ciepłych pastelach. Światła deptaka mieniły się za nią w oddali, ale mocno, prawdziwie.

Pomyślał o żonie. Zamknął oczy i znów jadł z nią śniadanie. W ilu kosmicznych telewizyjnych projekcjach zjedli je razem, tego ranka? W nieskończenie wielu, tamto było takie pewne i dobre. Mogli wyglądać inaczej, mieć inne imiona, inne przeszłości i przyszłości. Ale to było zawsze, pewne i dobre.

Znów poczuł na twarzy włosy Tatiany. Spojrzał na nią, na jej szczupłe ramiona i bluzkę, trzymającą się niepewnie na drobnych piersiach.

– O czym myślisz? – spytała dziewczyna.

– Mam ochotę szarpnąć za bluzkę. Wiesz, sprawdzić, czy spadnie.

– Wiem – westchnęła. – Ja też tak mam, jak widzę podobnie ubrane dziewczyny.

Odetchnął ciężko.

– Tatiano.

– Tak?

– Muszę jechać do domu. Odwieź mnie do Domu.

Wtedy Rychu poczuł, że ktoś jest za nimi. Odwrócili się oboje.

Stał kilka metrów dalej. Drobnym mężczyzną ubranym w dziwnie skrojony garnitur, na którym odbijały się światła Zabawowego Miasta. Kilka lat młodszy od Rycha. Gładko ogolony i blady. Wyglądał trochę jak agent FBI, ale jednocześnie – z bliżej niesprecyzowanego powodu – zupełnie inaczej.

– Dobry wieczór, Ryszardzie – przywitał się, a Rychu powstrzymał odruch rzucenia się do ucieczki. Kolesi miał akcent jak agenci KGB z filmów o Bondzie. – *My name is Dmitrij. How are you?*

Pustynia w gardle. Rychu sięgnął po piwo, ale puszka była pusta.

– Spierdalaj, komuchu – odburknął i przestraszył się swojej głupoty.

Rosjanina jakby poraził prąd. Dopiero po chwili Rychu zrozumiał, że to był uśmiech. Wtedy naprawdę zaczął się bać.

– Zawieziemy cię do domu – oświadczył Dmitrij. – To sprawa wagi państwowej. Tak to się mówi?

– Zawieziemy? – Rychu spojrział na Tatianę.

Dziewczyna podniosła się z piasku. Musiała trzymać spódnicę, by nie zawiewało jej na jego twarz.

– Kurwa – powiedział Rychu i wstał powoli.

Był o głowę wyższy od radzieckiego agenta. Doskoczy do niego, jebnie go w mały łeb i puści się biegiem w stronę deptaka. Trzydzieści, może czterdzieści metrów. Serce już przyspieszyło, gotowe do wysiłku. Uda się. Jeśli tylko nie dostanie zawału.

— Ryszardzie — zaczął Dmitrij. — Nie wygłupiaj się. Twoja żona ma do przejechania jeszcze kilkadziesiąt kilometrów. Głupio byłoby, gdybyście mieli się nie zobaczyć tej nocy.

Wielki Cień zrzucił na głowę Rycha najcięższe gwiazdy, wszystkie jednocześnie.

— Kurwa mać — powtórzył Rychu i zaczął wlec się w stronę parkingu, gdzie zaparkowali lincolna.

Zabawowe Miasto. W zielonym samochodzie

Jechali we trójkę, prowadził Dmitrij, Rychu siedział z tyłu, sam, nadąsany jak obrażone dziecko.

— Zostało jeszcze jakieś piwo?

— Czeka. Jedno. Ale jest ciepłe. Chcesz?

— Chcę.

— Wy, Amerykanie...

— No, co?

— Nic.

— Co się cieszysz? I gdzie mnie zabieracie?

— Mówiłem już. Do twojego domu.

— Kłamiesz.

— Nie kłamię.

— Kłamiesz.

— Jak sobie chcesz.

— Nie kłamię, Rysiu.

— Hm.

— Co?

— To po co była ta plaża?

— Naprawdę chciałam porozmawiać o książkach. Zobacz...

— Weź...

— ... pogadaliśmy...

— ... spierdalaj.

— Ja...

— Musiała cię zatrzymać na trochę.

— Spierdalaj.

— Aż wszystko będzie gotowe. Przeszkadzałbyś i narobił zamieszania. Spieszmy się.

— Spieszmy?

— Musimy zdążyć przed świtem.

— Z czym? Aż co będzie gotowe? Odpowiedz. Co: będzie gotowe?

— Zobaczysz, Rysiu.

— Spierdalaj.

— Jak sobie chcesz.

— Nie wierzę wam. Czemu mi to mówisz? To było zbyt ryzykowne. A jakbym się nie zgodził? Tam, pod sklepem. Porwalibyście mnie? Dali w łeb i zawlekli siłą do bagażnika?

— Nie ma tak dużych bagażników.

— Mogłem się nie zgodzić iść na plażę.

— Nie mogłeś.

— Mogłem.

— Bez żartów. Wiedzieliśmy, że się zgodzisz.

— Tak, kurwa, wiedzieliście.

— Oczywiście.

— Jasne... Ej. Weź, odblokuj okno.

— Mówiłem, bez żartów.

— Chcę wyrzucić piwo. Rzeczywiście niedobre.

— Daj jej, ona wyrzuci.

— Daj mi.

— Bardzo ładnie.

— Zabijecie mnie.

— Rysiu.

— Zabijecie mnie. Widzę, że się denerwujesz.

— Człowieku. Gdybyśmy chcieli, zajebalibyśmy cię tuż po twojej rozmowie ze szwagierką. Wiedząc, że mamy wystarczająco dużo czasu.

— Dobrze się czujesz, Rysiu?

— Co?

— Dobrze się czujesz?

— Tak. Fantastycznie. Jezu, ale kaleka.

— Co?

— Jak kaleka. Prowadzisz jak kaleka.

— To przez automat.

— Aha. Jasne.

— No. Jesteśmy na miejscu.

— Co to jest?

— Środek ostrożności.

— Po co to, Tatiano?

— Na wszelki wypadek.

— Wsiądę, a ty mi strzelisz w plecy i odjedziecie.

— Dość targowania. Wypierdalaj z samochodu. Już. Wypierdalaj, mówię. Dobrze.

A teraz wszyscy wchodzimy do środka.

— Ryby.

— Co?

— Moje ryby. Zostały w środku.

— Kurwa żeż twoja...

— Ja wezmę.

— OK. OK. A teraz powoli, do piwnicy.

- Gdzie?!
- Do piwnicy.
- Po co?
- Nie bój się.
- Ej, w środku świeci się światło.
- I dobrze. Otwórz drzwi. Tylko ostrożnie.
- Co... Ale... Ej, kim są ci ludzie? I co to za urządzenie?
- To SLEM. *Soviet Linguistic Emulation Module*.

Piwnica w Zabawowym Mieście. SLEM

Rychu stał w progu, u szczytu schodów, patrzył na wnętrze piwnicy i nie mógł uwierzyć. Pomieszczenie było wypełnione obcymi ludźmi i ekstranowoczesnym sowieckim sprzętem.

Kilkunastu techników tłoczyło się na trzydziestu paru metrach kwadratowych. Większość jeszcze przed chwilą musiała być naprawdę zajęta: stali otoczeni telewizorami, odbiornikami, drukarkami, magnetofonami, dziwnymi elektrycznymi maszynami do pisania i całą masą paneli sterowania, połączonych ze sobą dziesiątkami metrów splątanych kolorowych kabli. Mężczyźni, ubrani w pomięte fartuchy, przerwali pracę i spojrzeli na Rycha.

Nikt się nie odezwał. Aparatura wciąż chodziła, piszcząc i trzeszcząc, migła lampkami i komunikatami, wyświetlanymi na terminalach przeróżnej wielkości i kształtu. Sowiecki sprzęcior skolonizował trywialną amerykańską codzienność. Pralka, suszarka, skrzynia na narzędzia, wszystkie zniknęły pod migającym i pikającym elektrobadiwem. Cybernetyczna inwazja na trzewia jego domu.

Długa chwila milczenia. Rychu gapił się na techników. Technicy gapili się na niego, wymieniali spojrzenia między sobą. Maszyny szumiały, pikały i skrzypiały igłami, nieustannie coś drukując.

Z dołu buchało gorącem. SLEM śmierdział męskim potem, papierem i rozgrzanym plastikiem. Rychu oparł się o futrynę, zakreśliło mu się w głowie. Dopiero teraz zobaczył, że ściany i sufit piwnicy są szczelnie wyłożone materiałem przypominającym grubą aluminiową folię.

Spojrzenia techników zaczęły koncentrować się na facecie stojącym przy największym monitorze. Mężczyzna zdjął grube okulary, włożył je do kieszeni fartucha na piersi i ruszył w stronę schodów. Był w wieku Rycha i jeszcze bardziej zarośnięty. Gęste rude kudły płynnie przechodziły w rudą brodę, wszystko, splątane razem w niemal bordowe strąki, kończyło się gdzieś na wysokości obojczyków.

— Dobry wieczór — przywitał się rudy, zatrzymawszy się przy schodach. Miał dziwny akcent, ale nie brzmiał jak komuch. — Zapraszam na dół. Już czas.

Zimne strużki potu spływały jedna po drugiej pod koszulą Rycha. Fale gorąca waliły w niego, jakby wielki elektryczny pies dyszał mu prosto w twarz.

Wszyscy patrzyli, czekali.

Już czas.

Poczuł rodzaj ulgi. Nie zabiją go.

Odwrócił się. Dmitrij i Tatiana stali tuż za nim. Widział, jak są zdenerwowani.

Z kuchennego okna za nimi przyglądał mu się trup. Twarz – sina i ponura – wisiała w ciemnościach podjazdu. Twarz skądś znajoma.

– Już czas – powtórzył na dole rudy technik.

Tatiana się zorientowała. Obejrzała się. Ale trupiej twarzy w oknie już nie było.

Futryna naparła na Rycha, ale ścisnął ją mocniej i nie dał się przewrócić.

– Nie zabiją mnie?

Rychu ruszył w dół, ostrożnie, stopień za stopniem. Dziwna myśl: poczuł się jak na konwentach. Wszyscy patrzyli na niego, w milczeniu i nerwowym oczekiwaniu. To było te kilka sekund, gdy znajdował się w centrum wszystkich ze światów.

Piwnica miała temperaturę piekła.

Rychu wszedł między telewizory, przedłużacze, sznury i upstrzone diodami terminale. Ileż tego tu było, SLEM wyżerał mu Dom.

Rychu niechcący nadepnął na jakiś kabel, drobny komputer zapiszczał urażony.

– Przepraszam – powiedział Rychu i odsunął się.

– Nie szkodzi – odparł szef techników. Podał mu dłoń, suchą i silną. – Karol. Karol Cichy. Inżynier.

Dopiero teraz Rychu dostrzegł jego tatuaże: wyblakłe grafitowe kolce (może zęby, kły jakiegoś drapieznika) wystawały spod gęstej grzywy i przecinały mu czoło, jeden obok drugiego.

– Rozumiem pańską konfuzję. – Cichy co jakiś czas mrużył oczy, wciąż na nowo ogniskując wzrok na rozmówcy. – Proszę przyjąć moje szczerze przeprosiny. Za to wszystko.

– Hm. – Rychu spróbował odkleić nogawki spodni od ud, bezskutecznie. W tekturowym pudle leżącym obok nadepniętego kabla ułożono zafoliowane okładki jego książek.

– To moje? – spytał Rychu.

– Tak. To znaczy nie, przywieźliśmy je ze sobą.

Rychu rozpiął guzik koszuli.

– Filipie – zaczął Cichy.

– Co? – spytał Rychu.

– Co: co? – zdziwił się Cichy.

– Filipie?

– Mówiłem do kolegi. – Inżynier wskazał na okularnika stojącego obok Rycha.

– Myślałem, że się przejęzyczyłeś.

– Dość – powiedziała Tatiana. Chyba głośniej, niż zamierzała.

Jej twarz już nie była młoda i świeża. Tatiana sprawiała wrażenie, że czeka na coś niedobrego, co przyjdzie prędzej czy później. Chyba była sporo starsza, niż się Rychowi początkowo wydawało.

– Co... – Rychu zaczął, bardziej chyba sam do siebie.

Przez to gorąco w ogóle nie mógł myśleć. Dłonie pociły się i drżały coraz bardziej.

Co oni zrobili z jego żoną? I, dobry Boże, jak ona ma na imię?

Jeszcze jedna maszyna; chodziła głośniejsz od reszty, rytmicznie i coraz szybciej. Jakby miała wybuchnąć. Jego serce.

Gdy sobie przypomniał, twarz Karola Cichego rozmazała się do nieregularnej rudej plamy. Cała piwnica topiła się, spływała ze srebrnej folii na ścianach. Zmieszane: pot i łzy drażniły oczy.

Rychu nie mógł złapać oddechu. Poczł, jak trzęsą mu się ręce, od spuchniętych palców po ramiona. Tak bardzo chciał stąd uciec, od tych wszystkich ludzi. Spieprzyć jak najdalej, do Kate, silnej i spokojnej. Do świata, gdzie rano jej włosy pachną szamponem i przygotowywanym śniadaniem.

Czuł się taki samotny – bez niej i wśród wszystkich tych ludzi. Zaczł płakać.

Inżynier Cichy tylko spojrzł na niego w milczeniu.

– Co zrobiliście z moją żoną?

Obserwowali go, udając, że nie patrzą.

– Kate nic nie jest – powiedziała Tatiana. Stała tuż obok, nie zauważył, kiedy zesła.

– Nic nie jest.

– I nic jej nie będzie – dodała. Ton zimny i precyzyjny, jak cięcie skalpelem. W ogóle nie pasował do tego, co mówi.

– Tylko się pospieszmy – mruknął Cichy.

Rychu wytarł oczy w rękaw koszuli i pociągnął nosem.

Potem znów przyjrzał się tatuazom. Nie odpowiedział. Nie miał siły na odpowiedź ani na nic innego. I tak ledwo stał.

Zacisnął powieki. Chwila szczypiącej oczy ciemności. Uciekł z tego świata. Oby na zawsze.

Po otwarciu oczu wrócił do piwnicy.

Maszyny pikały. SLEM otaczał go. I trwał w nerwowym, elektromechanicznym oczekiwaniu.

– Tutaj – powiedział Cichy.

Pokazał mu młodego technika stojącego przy ustrojstwie, które wyglądało jak połączone ze sobą radio, magnetofon i samochodowy silnik. Szczelina na przedzie wypluwała zwoje papierowej taśmy zadrukowanej cyrylicą.

Technik podał Rychowi ciężkie słuchawki.

Ledwie weszły mu na głowę.

Pikanie ustało.

– Nic nie słyszę.

Młody technik przełączył jakiś pstryczek.

Rychu krzyknął.

Ten głos. To był ten głos.

<... możesz przepiłować nadgarstek brzeszczotem...>

Głos z Nocnego Kuchennego Zdarzenia.

Rychu zerwał z głowy słuchawki.

– Da. – Młody technik kiwnął głową, spoglądając na ciąg cyfr wyświetlonych na

monitorze obok.

SLEM zdrzał i rozdrukował się po rosyjsku, wyraźnie podniecony.

A na Rycha bezszelestnie spadł Wielki Cień.

Dom w Zabawowym Mieście. Strefa mroku

Z ciemnej pustki trafił w półmrok, światło ledwie tliło się zza zakurzonego abażuru.

Siedzieli naprzeciw siebie pośród cieni salonu. Rychu w wielkim prześmierzniętym fotelu. Agenci FBI na kanapie. Na niskiej ławie między nimi stały trzy szklanki z wodą. Za agentami już tylko ściana.

Agent Slattery przyglądał mu się zadumany swym kondorzym spojrzeniem. Agent Hamm kontemplował wzór na kanapowej narzucie. Uśmiechał się półgębkiem, a jego brwi układały się w zgrabny łuk, ćwiczoną latami odmianę zblazowanego, acz uprzejmego niedowierzania.

— O, panowie — zaczął Rychu. — Jak dobrze was widzieć.

Agent Slattery rozpromienił się i energicznie pokiwał głową, jakby usłyszał pochwałę, z której jest szalenie dumny.

— Śniło mi się, że porwało mnie KGB. I przywiozło tutaj. Idiotyczne, co?

Uprzejme niedowierzanie agenta Hamma jakby wzrosło.

— A całą piwnicę miałem zajebaną sowieckimi technologami. Jeden miał wytatuowane czoło. Jak jakiś pojeb.

— Dobrze, że już się pan obudził — powiedział swoim dziwnym akcentem Karol Cichy, który pojawił się obok fotela.

— Ojej — westchnął Rychu. — Bez urazy.

— Nie ma sprawy — odparł Cichy. — Kiedyś byłem antropologiem. Smacznego.

Podał Rychowi dwie szklanki. W pierwszej było kilkadziesiąt kolorowych tabletek. W drugiej mleczny koktajl.

Rychu spojrzał na agentów. Slattery pokiwał głową.

Rychu połknął tabletki i je popił.

— Jesteście po ich stronie — odezwał się do agentów bardziej z zaskoczeniem niż urazą.

— Bynajmniej — odparł Hamm.

Wciąż się uśmiechał, ale Rychu zobaczył, że Hamm jest blady i zmęczony. Przypomniał sobie trupią twarz w kuchennym oknie.

— Powinieneś się przespać — powiedział do niego. — Wyglądasz jak zjawa. Pewnie straszysz dzieci po trawnikach.

Hamm skrzywił się dziwnie, jakby coś ugryzło go w podniebienie. Inżynier Cichy posłał agentom pytające spojrzenie. Slattery skinął głową i pochylił się w stronę Rycha, szykując się do przemowy.

Rychu zorientował się, że oni wszyscy widzą, że on blefuje. Że tylko udaje nieprzestraszonego. Rzeczywiście, było mu na przemian zimno i gorąco. I okropnie

chciało mu się kupę.

— Panie Ryszardzie — zaczął Slattery poważnie. — Nie Kochamy tych tu ludzi. A oni nie Kochają nas.

Spojrzał gdzieś w głąb salonu. Rychu odwrócił się.

Stali kilka metrów z tyłu. Dmitrij w tanim błyszczącym garniturze, z rękoma założonymi za plecy. I Tatiana — była w tej samej spódnicy w kwiaty, ale bluzkę ukryła pod rozciągniętym wełnianym swetrem.

— Nie musimy się Kochać — ciągnął Slattery. — Ale musimy współpracować.

— Więc wytłumaczcie mi.

— Oczywiście — przytaknął Slattery, trochę zbyt gorliwie.

— Jakiś czas temu odebraliśmy sygnał — powiedział Hamm i zerknął na sufit. — Z kosmosu.

Fotel Rycha zrobił się jakby głębszy.

— Wielkie Ucho w Green Bank... — zaczął Hamm.

Slattery zakasłał.

— Najpierw myśleliśmy, że to pochodzi z orbity — kontynuował Hamm. — Ale chyba nie. Nie potrafimy jednak określić nawet przybliżonego kierunku nadawania. Sygnał się nam urywał. Potem zaczęliśmy tu i tam sondować temat. Wtedy zrozumieliśmy, że sygnał się nie urywa. To my go gubimy, bo zmienia się kierunek, z jakiego jest nadawany. Tych kierunków jest wiele. Bardzo wiele. Jakby istniała niewidzialna sfera wokół Ziemi, nadająca sygnał z różnych swoich punktów.

Podłoga pod nogami Rycha zmiękła.

Hamm przełknął ślinę i kontynuował:

— Jesteśmy niemal pewni, że sygnał to rodzaj wiadomości. I że ta wiadomość jest skonstruowana nieprawdopodobnie misternie. Pełna wielokrotnych, spiętrzonych powtórzeń w ciekawych, niepełnych pętlach. Żadna nie powtarza się w całości. Choć może to kwestia gubienia sygnału, ale chyba nie. W każdym razie to zdecydowanie nieprzypadkowa konstrukcja. I niemożliwa dla nas do rozszyfrowania. Rozumie pan, że tym chętniej próbowaliśmy ją zrozumieć. Tyle że, po pierwsze, nie możemy jej nagrać. To znaczy możemy, ale podczas odsłuchu wiadomość... przestaje być wiadomością. Jest tylko przypadkowym szumem. Jakby zniknęły powtórzenia, które kodują sens. Słuchamy więc na żywo. Staramy się tak słuchać.

— Aha — powiedział Rychu. — A po drugie?

— Konstrukcja sygnału wywołuje... dziwne efekty uboczne. Ludzie, którzy intensywnie przy nim pracowali, nie czują się najlepiej.

Hamm zastanowił się, czy powiedzieć coś jeszcze.

— I sprzęt — dodał. — Poważne próby analizy sygnału, jego deszyfracji, nie udawały się. Już trzykrotnie paliły się nam główne obwody w superkomputerach.

— Dwa lata — powiedział Slattery.

— Odbieramy go już niemal dwa lata — potwierdził Hamm. — Non stop.

Rychu zobaczył, że inżynier Cichy kiwa głową z uśmiechem pełnym zrozumienia.

— O kurwa — powiedział Rychu, trochę do rosyjskiego technika, trochę do siebie.

— To wasza robota. Sowiecka technologia, pierdolona jedna.

Cichy uniósł brwi, tatuowane kły poruszyły się.

— LEM wymyślił sygnał — mówił Rychu — który niszczy logiczne obwody próbujące go rozgryźć. Ludzkie i elektronowe.

— SLEM — poprawił go instynktownie gdzieś z tyłu Dmitrij.

— Genialne — ciągnął Rychu. — Choć kiedyś niemal na to wpadłem. Że chcecie nas wykończyć tymi cholernymi książkami. Coś było w nich nie tak. Po lekturze *Solaris* rzygałem normalnie przez tydzień.

Agent Slattery uniósł brwi i spojrzał pytająco na sowieckiego inżyniera.

— Może ma pan trochę racji w kwestii książek — przyznał Cichy. — Ale to nie my nadajemy sygnał. My też go odbieramy.

— Wy też go odbieracie.

Rychu próbował zmusić się do szybszego myślenia.

— Tak. I próby dekodowania wiadomości zakończyły się podobnie. W pewnym sensie.

— Jakim sensie?

— A czy to ważne?

Rychu sięgnął po wodę. Coraz mniej podobał mu się kierunek, w którym szła ta rozmowa.

— Tylko że my — rozpromienił się inżynier Cichy — my od razu wykluczaliśmy, że sygnał pochodzi ze Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Slattery uśmiechnął się półgębkiem, Hamm ani drgnął. Zgubił swój uprzejmy uśmiech.

— Nieźle — powiedział Rychu.

— Prawda?

Zapadła cisza. Rychu wziął do ręki pustą szklanę, ale nikt się nie poruszył. Rychu wyobraził sobie sprzęt, który chodzi w piwnicy, kilka metrów pod nimi. Soviet Linguistic Emulation Module. Pika, wyświetla, drukuje. Rejestruje kosmiczną wiadomość, nadawaną zewsząd. Mieszającą w głowach i komputerach.

SLEM. Przetwarza informacje. Komunikuje. Myśli, po swojemu, tak jak mu kazali.

Po swojemu.

— Jedyna prawidłowość, jaką wykryliśmy, dotyczy siły sygnału — ciągnął Hamm, poprawiając się na kanapie. — Czasem zaczyna narastać, aż osiąga pewien, na razie stały, punkt kulminacyjny, który trwa kilka minut. Potem zaczyna słabnąć, zanim zmieni się kierunek nadawania.

— Jak bańki — powiedział Rychu.

Hamm uśmiechnął się pod nosem.

— Proszę? — spytał Slattery.

— Jak bąble z powietrzem na powierzchni tej sfery — wytłumaczył Rychu. — Pęcznieją i zwiększają siłę nadawania sygnału. A potem pękają.

— Nie pękają — poprawił go Cichy. — Raczej wchłaniają się. Ale mniej więcej tak.

— Panie Ryszardzie — gdy Hamm spojrzał mu w oczy, Rychu poczuł się, jakby zajrzał do studni — nad ranem wypadnie kolejny taki szczyt.

— Która godzina? — zapytał cicho Rychu. Trochę kręciło mu się w głowie.

— Już czas — odpowiedziała z za jego pleców Tatiana. Miała niższy głos niż kilka godzin temu na plaży.

— I chcecie...

— ... żeby pan spróbował się wsłuchać w to, co ktoś do nas mówi — dokończył Hamm. — Jeśli mówi.

— Ja.

— Pan. Najlepiej właśnie podczas kolejnego szczytu. — Hamm kiwał głową. — Tam na dole. Co pan usłyszał? Gdy założył słuchawki?

Dobre pytanie, pomyślał Rychu. Zorientował się, że na całym ciele ma gęsią skórę.

— Nie jesteś z FBI, prawda? — spytał Hamm, który tylko wzruszył ramionami.

Usłyszał kroki za plecami, do fotela podeszła Tatiana i podała mu butelkę piwa. Była przyjemnie zimna.

Hamm uniósł brwi, ale Cichy pokiwał głową.

Rychu pił długo.

— I chcecie, bym spróbował się... z nim porozumieć.

— Wysłuchać. Zrozumieć — mówił Cichy. — Jego. Albo ich.

Ten pokój był taki malutki. Był mikroskopijnym sześcianem umieszczonym w nieskończenie wielkim i ciemnym magazynie.

— Dziwne efekty uboczne, tak? — mruknął Rychu i powoli podniósł się z fotela.

Hamm i Slattery też wstali.

Rychu ugryzł się w język, by powstrzymać nerwowy uśmiech.

Nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje, ale rozumiał, że tego nie powstrzyma. Jak telewizyjny program, który musi zostać wyświetlony do ostatnich końcowych napisów.

— Dobra. Chodźmy — powiedział do nich i odstawił butelkę na ławę.

— Chodźmy — zgodził się inżynier Cichy.

— Ale najpierw dwie sprawy. Trzy — poprawił się Rychu.

Sowieci i jankesi wymienili spojrzenia.

— Tak — powiedział wreszcie Slattery.

— Raz: Kate. Moja żona. Czy...

— Gwarantuję, że nic jej nie jest — przerwał mu Slattery.

Rychu przemyślał to.

— OK. Dwa: dlaczego ja?

Milczeli dłuższą chwilę.

— Wrócimy do tego po — powiedziała Tatiana.

Była niewiele młodsza od Rycha. Ale wciąż piękna, jak tam, na plaży, sto lat temu.

— By nie zaburzać odbioru — dodał Cichy.

— Hm.

Rychu wreszcie pokiwał głową.

— A trzy? — spytał Slattery.

– Dajcie mi dziesięć minut. Muszę do kibla.

Piwnica w Zabawowym Mieście/mobilne centrum nasłuchu. Pewna inwazja

Kilkanaście par oczu, mądrych i czujnych, wpatrywało się w Rycha z rosnącym napięciem i rodzajem tęsknej nadziei.

Stał pośrodku piwnicy, w samym centrum SLEM-a, w centrum jego ziemskiej, perforowanej powłoki. Czekał i zalewał się potem, tu było jak w piekarniku włączonym na *full*.

Dwóch techników ostatni raz sprawdzało połączenia między maszynami. Karol Cichy nie odrywał wzroku od małego monitora stojącego na koszu z brudną bielizną. Hamm, Slattery, Tatiana i Dmitrij zostali na schodach. Czuli, że tu nie przynależą. To był czas Rycha i SLEM-a. I Głosu.

Na stoliku przed Rychem leżały słuchawki. Te same, co poprzednio. Gdy na nie patrzył, czuł, jak kurczą mu się jądra i stają włoski na karku.

Ale jednocześnie jego część, ukryta głęboko w dobrym, wielkim i otłuszczonym sercu, nie mogła się doczekać. To uczucie niosło głębszy rodzaj spokoju.

Słuchawki były jak odpowiedzi na pytania tak trudne, że nie umiał ich zadać. Jak obietnica niezależna od wszystkiego.

Świat wokół Rycha – tu i teraz, w piwnicy Domu – stał się krystalicznie klarowny, dopełniony. Może właśnie dlatego, że tu-i-teraz było tak popierdolone, a Rycha stres, zniecierpliwienie, ciekawość, obawa – wszystkie czyniły go właśnie nim. Człowiekiem, który pierwszy raz od niepamiętnych czasów zależał od samego siebie.

Spojrzał na słuchawki leżące na stole. Pomyślał o nadawcy wiadomości. I o SLEM-ie, jego chłodnych myślach, przepływających dziesiątkami lepkich od brudu kabli wijących się na podłodze.

Czy raczej: człowiekiem, który nie zależy od żadnego innego człowieka.

Bo co oni wszyscy mu mogli?

Głęboki spokój był jak ciepłe matowe światło.

On sam. Dla siebie, przez siebie.

– W tych słuchawkach będzie skondensowany sygnał, tak? – spytał Rychu.

– Tak – odparł Cichy albo któryś inny technik, wszystko jedno.

Oni wszyscy byli SLEM-em. SLEM był nimi. To z nim rozmawiał Rychu.

– Przecież nie macie wystarczająco wielkich anten.

– To nic. – SLEM uśmiechnął się, niby skromnie, ale jednocześnie po chłopacku, zawiadiacko.

– Tu, na tej uszczelce – pokazał Rychu. – To guma do żucia?

– Tak. Przy montażu pękła nam złączka, a gdzieś po drodze zgubiliśmy zapasówkę. Profesor Hamm poratował kompletem gum.

– Jezu, jak ten wasz system jeszcze działa...

— Właśnie dlatego działa — odparł SLEM, szczerze zdziwiony uwagą. Rychu wzruszył ramionami, wszystko jedno. Spokój jak światło.

— Dwie minuty — powiedział SLEM drżącym głosem jednego z techników. Drżał zresztą cały, wszystkimi kanciastościami plastiku i fragmentami z białka.

Wtedy Rychu go polubił. Zrozumiał, że patrzą w tym samym kierunku. Choć wyglądają różnych rzeczy.

Wziął do ręki słuchawki. Były cięższe, niż pamiętał.

— Minuta.

Założył je na głowę.

Piwnicą zakołysało, ale to nic.

Spokój jak światło.

— Dziesięć, dziewięć, osiem... — SLEM odliczał ostatnie sekundy.

Rychu zamknął oczy. Uśmiechał się.

— ... trzy, dwa...

No, chodź.

— ... jeden — dokończył SLEM i przełączył pstryczek, przełączył sam siebie. Chodź do mnie. Światło.

Światło i ciemność. SLEM prawdziwy

Nie musiał przedstawiać się Rychowi. Przedstawiał mu się wcześniej wielokrotnie.

Był głosem, męskim, niskim, uprzejmym. Był Głosem.

Mężczyzną z radia, z Nocnego Kuchennego Zdarzenia.

Był tym, który czaił się tuż za Rychem, chwycił go za kark i dociskał do brudnej ziemi. Tym, który pijanymi nocami wyszeptywał Rychowi wygodne propozycje, podpuszczał go, by zaciskał dłonie w pięści i robił z nich użytek. By rzucał przedmiotami, po ścianach, po ludziach. By przestawał myśleć i czuł tylko siebie. Po co myśleć.

Był taki pewny siebie. Bo twierdził, że jest tylko on, że nie ma nikogo, niczego innego. Że nie ma alternatywy. Że sam jest brakiem alternatywy. I kłamstwem, jedynym prawdziwym.

Rychu musiał uwierzyć.

Między słowami, w pauzach i intonacji, i w niezachwianie mocnym tonie, Głos kłamał Rychowi swą historię.

Powstał wraz z elektrycznym impulsem maszynierii zgromadzonej w bunkrze sto metrów pod podmoskiewską wsią. Elektryczny impuls dał mu świadomość, narodził SLEM-a. Albo — kłamał znowu najczystsza prawda — Głos był od zawsze, był i nie zasypiał, a impuls tylko dał mu narzędzie, usta i gardło, pozwolił przemówić. Znowu.

Mówił więc, do nich wszystkich. I chichotał w duchu, widząc, jak próbują wykorzystać jego własne procesory do rozszyfrowania tego, co ma do powiedzenia.

Trochę się nudził, bo oni byli tacy od zawsze: ślepi i nieporadni. Kłamał: nie nudził się wcale, pogarda do nich nie mogła go znudzić.

Mówił do Rycha. Miliardy zdań, biliony słów, jęzory w mózgu.

Opowiadał, że nie ma nic tańszego niż ludzkie życie.

To, co się dzieje, co zdawałoby się, że powinno wołać o pomstę do nieba, staje się banałem naszej codzienności. Wysokie kultury wyhodowane na glebie monoteizmów podlegają zupełnej zapaści.

Słysząc jeszcze pojedyncze biadania nad upadkiem wysokiej kultury, nad miażdżonymi prawami ludzkimi, ale są to w gruncie rzeczy głosy całkowicie bezsilne i wyzbyte w realnym świecie konsekwencji, zdawałoby się koniecznych.

Ludzkość jest olbrzymim stadem bezustannie rozmnażających się łysych małąp, zaopatrzonych w brzytwy wynalezione przez ich bystrzejszych krewnych. Już nie z jednego zapieczętowanego gąsiora wybucha demon, ale jeśli trzymać się metafory z bajki Szeherezady, naczynia zawierające śmierć są już w niesamowitych ilościach rozmieszczone na ogromnych obszarach kuli ziemskiej. Ponieważ o tych wszystkich zgrozach, trzymanych jeszcze na uwięzi, codziennie czytamy w gazetach, słyszymy w radiu, mówią o tym w telewizji, jak narkoza ogarnia nas obojętność. Tymczasem dobrze wiadomo, że raz wykrytych, wynalezionych, zabójczych mocy nie jesteśmy już w stanie ani trwale opanować, ani unicestwić, ponieważ odkryć nie można zakrywać.

Żyjemy w okresie dekadencji, zniewalającej do upadku dawniej cenionych wysoko umiejętności i gustów. Coraz głębiej zanurzamy się w nagromadzeniach coraz bardziej cuchnącego śmiecia, którego powszechność jest tak bezwzględna, jak gdyby stała za nią jakaś moc zmuszająca do szacunku wobec wszystkiego, co nam wyrzeźbią, namalują, opowiedzą albo przywłoką z jakichś obrzydliwych strzępów osoby uchodzące za ludzi sztuki. Dodajmy do tego jeszcze seks, krew, kawałki trupich członków, ruiny i wyrażenia oznajmujące bezsens.

Ludzie są okrutni i straszni, wyłażą z nich monstra i potwory.

Potrzeba wojny – żeby można było strzelać, żeby był wróg, któremu można przyłożyć – wydaje się powszechna.

Cywilizacja śmierci jest nam z lubością aplikowana i wygląda na to, że *anima* jest nie tyle *naturaliter Christiana*, ile *naturaliter predatoria*.

Mówiąc krótko i zdecydowanie: albo świat jest świnią, albo jest on wielogłowym potworem, jak te smoki w bajkach, częściowo pożerającym sam siebie.

Opowiedział mu świat i człowieka. Pokazał, jacy są naprawdę, jacy byli zawsze.

Głos. Spiker z Radia Chaos. SLEM, ciąg zer i jedynek tłukących się po gumowych kablach. Naczelnik największego z więzień. Żelazna Zniewalająca Rzecz. Wielki Kłamca, który zawsze mówi prawdę. Świadek entropii.

To nic osobistego, mówił Rychowi. Mówię ci to, bo czemu miałbym tego nie robić. Nic osobistego.

Rychu czuł, że to prawda. I to właśnie było najgorsze.

Piwnica w Zabawowym Mieście. Zastrzyki

Tępy, ciepły ból rozlał mu się po ręce. Rychu otworzył oczy i zobaczył, jak Dmitrij wyjmuje igłę z jego przedramienia. Wielka strzykawka była pusta.

— Ej — powiedział Rychu i poszukał języka. — Co to?

— Żebyś się obudził.

— Mhm. — Rychu spróbował wstać. Udało się dopiero za trzecim razem, agent KGB nie miał zamiaru pomóc. Pakował skórzaną torbę lekarską.

Piwnica była uderzająco pusta. SLEM niemal opuścił dom Rycha. Technicy kończyli wynosić sprzęt, zrywali folię ze ścian.

SLEM zamilkł, ale wciąż przypatrywał się Rychowi. Mężczyźni w fartuchach zerkali przez ramię. Diody na nielicznych pozostałych terminalach błyskały do Rycha arogancko, pogardliwie.

Bo SLEM swoje już powiedział. Teraz mógł spierdalać do siebie.

Z góry zeszli: Hamm, Slattery i Tatiana. Wszyscy otoczyli go półkolem.

Milczeli. Rychu masował odrętwiały policzek.

— Co jest? — Nie wytrzymał.

Milczeli.

SLEM rozłączył ostatnie ze swych kabli. To jeden z techników, gruby i łysy, pakował je teraz do wielkiej skórzanej walizy. Rychu zorientował się, że znów rozróżnia ich twarze.

Cichy stał blisko. Spojrzał na Dmitrija.

— Już można? — spytał go.

Agent zerknął na zegarek, policzył coś w myśli, pokiwał głową.

— Usłyszałeś coś? — Cichy spytał Rycha. — Jakąś wiadomość?

— Wiadomość?

Mówienie przychodziło Rychowi z trudem, przeszkadzał nieruchomy kącik ust. I dziwnie widział na jedno oko.

— Tak. Wiadomość — powtórzył Cichy. — Przez słuchawki.

Supernowa eksplodowała w głowie Rycha. Przypomnił sobie o wiadomości.

Nadpłynął strach. A tuż po nim rozpaczliwe poczucie beznadziei, które przypełzło wraz ze zrozumieniem.

Ospały, zagubiony grubas wciąż masował sobie odrętwiały policzek, nie mogąc skupić wzroku na twarzach wokoło. Ślinił się w kąciku ust.

— Nie... — powiedział powoli. — Nie usłyszałem niczego.

Spojrzeli na Dmitrija.

— Serum na pewno już by działało — powiedział Dmitrij.

— Niczego — powtórzył Rychu.

Chciał się położyć.

Cichy wyglądał na zawiedzionego. Hammowi wyraźnie ulżyło.

W dłoni Dmitrija zmaterializowała się kolejna strzykawka.

— Ej! — jęknął Rychu, gdy sowiecki agent wbił mu igłę w przedramię.

— Co jest, kurde?

Patrzyli na niego jeszcze przez parę chwil. Potem Hamm i Dmitrij odwrócili się i ruszyli na górę, do Domu.

— Co to, kurde, było?

— Amnezjak — odparł przeproszającym tonem agent Slattery. — Do południa zapomnisz ostatnią dobę.

Rychu nie wiedział, co powiedzieć.

Zostali we czworo, nie patrzyli na siebie. Tatiana chyba chciała dodać coś jeszcze. Agent Slattery tylko się krzywił.

— Zamilkł — powiedział wreszcie Cichy.

— Kto?

— Sygnał. Już go nie ma. Przerwał nadawanie trzy sekundy po tym, jak założyłeś słuchawki. Nie zarejestrowaliśmy nawet jednej pętli.

— To może kolejny raz...

— Nie, obdzwanialiśmy wszystkie stacje.

— My też — dodał Slattery.

— Zamilkł — powtórzył smutno Cichy.

— Aha.

Rychu pokiwał głową. Spojrzał w mądre, zmęczone oczy Tatiany.

Otworzył usta, ale nic nie powiedział. Wytarł ślinę z wargi, minął ich i poszedł na górę, do Domu.

Ulica w Zabawowym Mieście. Genesis

Dniało. Choć ulica wciąż spała, ptaki już wrzeszczały z ukrycia, nawołując za światłem. Rosa na trawnikach pachniała oceanem.

Stali przy ciężarówce, sześciokołowym macku. Napis na plandece brzmiał: „Przeprowadzki – tanio i szybko. Hogarth i synowie”. Pod plandeką tłoczył się SLEM. Odpoczywał, choć nie musiał.

Stali przy kabinie we trójkę: Rychu, Tatiana i Cichy. Rychu wiedział, że ich więcej nie zobaczy.

— Co to za pożegnanie — mruknął — skoro i tak nie będę was pamiętał.

Uśmiechnęli się. Powiało i kwiaty na spódnicy Tatiany owinęły się wokół nóg Rycha.

Przyjrzał się jej, ostatni raz. Wyglądała jak piękna matka dziewczyny, z którą siedział na plaży. Gdy stała tak obok obu mężczyzn, bladych, dużych i zarośniętych, jej drobna sylwetka i lśniąca kasztanowo skóra czyniły ją kimś z innego, bardziej szlachetnego gatunku.

— Wiem — powiedziała smutno do Rycha. — Oto ja.

— Co mi daliście, że... Coś w sklepie?

— Nie. To ja — odparła Tatiana. — Wzięłam pewien prototypowy środek. Działa tak, jak widziałeś. Ale na krótko.

— To okropne — stwierdził Rychu.

Skinęła głową.

— A potem... trzeba to odchorować.

— Właśnie taką chciałbym cię zapamiętać.

Jej oczy rozbłysły, ale skrzywiła się. Szybko weszła do kabiny.

Karol Cichy wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Myślisz, że wróci? — spytał go Rychu. — Że się jeszcze odezwie?

— Nie — odparł ponuro Cichy.

Rychowi zrobiło się go szkoda. Postanowił, że mu powie.

— A co... gdy... jeśli mówił do nas... Wiesz.

— Tak?

— Jeśli mówił do nas... Bóg? Albo szatan? Rozważasz taką możliwość?

— Nie — odparł SLEM.

Rychu pokiwał głową i uścisnął mu dłoń.

Chwilę potem patrzył, jak ciężarówka znika za zakrętem.

Z Domu wyszedł agent Slattery.

— Przejdźmy się, Rysiu — powiedział łagodnie.

Zabawowe Miasto. Ocean

Szli deptakiem i patrzyli na ocean, który przeciągał się o świcie.

Rychowi myślało się coraz trudniej. Wytarł ślinę z ust.

— Wydaje mi się, że miałeś udar — zaczął agent Slattery. — Tam, w piwnicy.

— Mówisz mi to, bo i tak zapomnę?

Kilkadziesiąt kroków w milczeniu. Deski pachniały pod nimi.

— Być może. Pewnie tak — odparł Slattery. — Przepraszam.

— Nie żałuj mnie.

Slattery uśmiechnął się smutno i znów wyglądał jak kondor. Mewy na falochronie przyglądały im się z zaciekawieniem.

— Rysiu?

— Tak.

— Spytałeś ich, jak trafili właśnie na ciebie?

— Nie musiałem. Już wiem.

— Wiesz?

— Napisałem w pamiętniku o nocnych głosach z kuchennego radia. A wy to przeczytaliście. Podczas ostatniego włamania.

Slattery przyjrzał mu się uważnie.

— Nie czytaliśmy niczego takiego — powiedział.

Rychu zrozumiał, że agent nie kłamie. Spróbował się zastanowić. Westchnął głęboko.

— Nieważne — powiedział. — Zastrzyk.

Agent pokiwał głową.

— Przykro mi, że przetrzymaliśmy twoją żonę. Spędziła noc w areszcie za

pyskowanie funkcjonariuszowi. Ale w południe będzie już w domu.

Rychu uśmiechnął się na samą myśl. Poczul, że płacze. Slattery poklepał go po wielkich plecach.

Wschodzące słońce trochę uspokoiło ocean. Zabawowe Miasto zaczęło mrużyć samochodami.

— Mamy jakieś robaczki na tarasie — powiedział Slattery. — Wyżerają nam kwiaty. Koleś w ogrodniczym polecił żonie takie płytki z lepem, na który robaczki mają się łapać. Wczoraj... Przedwczoraj zobaczyłem, że do jednej z płytek przykleiła się ćma. Szamotała się, nie mogła odlecieć. Chciałem ją odkleić. I oderwałem ją, ale na lepie zostały jej skrzydła.

— To przykre — powiedział Rychu.

— Musiałem ją zabić.

— Tak.

— Dziwnie się czuję. — Slattery nie patrzył na Rycha.

— Wyrzuciłeś tę płytkę? Na której zostały skrzydła?

Agent zastanowił się.

— Zrobię to.

Gdy doszli do samochodu, Slattery się zawstydził.

— Mam prośbę — zaczął.

— Tak?

— Moja córka bardzo lubi twoje książki. Podpiszesz jedną dla niej?

— Pewnie. Jak ma na imię?

— Louise.

Rychu miał kłopot z utrzymaniem pióra.

— Czytałeś którąś? — spytał Slattery'ego.

— Córa podrzuciła mi tę z płaczącym gliniarzem w tytule. Wiesz, taki żart.

— Zuch dziewczyna!

— Tak. — Agent roześmiał się krótko i niewesoło. — Ale jej nie skończyłem.

Koszmarne smutna.

— Życie jest smutne — powiedział Rychu.

— No właśnie — odparł Slattery.

Dom w Zabawowym Mieście. Solaris

Poranny Dom był pełen cienia i przyjemnie chłodny.

Rychu odgrzał sobie zapiekankę, ale po jednym kęsie odłożył ją do lodówki. Połknął pigułki i pomyślał, że może weźmie prysznic. Na cały głos włączył płytę Iron Butterfly i poszedł na górę, do sypialni. Gdy zdjął spodnie, opadł na łóżko i długo płakał w poduszkę Kate.

<nic osobistego, Rychu, naprawdę>

Gdy ucichła muzyka, powłókł się do łazienki. Potem przebrał się i zszedł na dół. W salonie stała Louise.

— Długo pukałam — powiedziała.
— Co tu robisz? — spytał ją.
— Przyszłam po sandały — odparła i na chwilę wyjęła je z płóciennej torby. — Przypomniałam sobie, że zostawiłam je pod kanapą.

— Aha — powiedział Rychu i w milczeniu odprowadził ją do drzwi. Długo przyglądała się jego twarzy. Wiedział, jak wygląda, bo widział się w lustrze. Ale coś w jej oczach odebrało mu resztę sił.

— Rysiu. Wszystko w porządku? — spytała go.

— Tak.

— Ale... powinieneś...

— Dobrze, Louise.

Wzruszyła go. Wtedy pocałował ją w czoło. Zadrzała.

Medalik na jej szyi błysnął metalicznie.

— Co to jest?

— Ryba.

— Aha.

— Pa, Rysiu. Wszystkiego dobrego.

— Na razie, dziecino.

Wyszła, a on natychmiast o niej zapomniał.

To było jak cichy, dyskretny orgazm w głębi jego duszy.

Światło przyszło do niego i Rychu zrozumiał wszystko.

Światło, ono było od początku, było i mówiło do niego. Cicho i spokojnie.

Mówiło, a on nie słyszał, bo najpierw nie słuchał. A gdy Rychu już wiedział, że chce je usłyszeć, Światło zagłuszał jego wielki przeciwnik i potężne dopełnienie: Naczelnik największego z więzień, Głos z Nocnego Kuchennego Zdarzenia, SLEM. Duch w sowieckiej maszynie, bezwzględny i zimny. Pan entropii, entropia sama w sobie.

A przecież ono tam było, cierpliwe i silne. Nie dało się zakrzyczeć i nie potrzebowało stada epitetów.

Potem Rychu napisze:

Byłem pewien, że coś żywego usiłuje się ze mną skomunikować. Byłem pewien, że przychodzi to z góry, może z nieba. Zwłaszcza z gwiazd.

To pojawiło się – w żywym ogniu, z błyszczącymi kolorami i zrównoważonymi wzorami – i uwolniło mnie od wszelkiej niewoli, wewnętrznej i zewnętrznej.

To opanowało mnie całkowicie, uwalniając z ograniczeń matrycy czasoprzestrzennej. To mną zawładnęło i w jednej chwili wiedziałem, że świat wokół mnie to tektura, dekoracja. Mocą tego ujrzałem nagle wszechświat taki, jaki jest – dzięki sile percepcji tego zobaczyłem, co istnieje naprawdę, a dzięki sile nieumyślnej decyzji tego, zrobiłem krok ku wolności. To wzięło udział w bitwie jako obrońca wszystkich zniewolonych duchów ludzkich, przeciwko wszelkiemu złu, przeciwko Żelaznej Zniewalającej Rzeczy.

Poranny Dom, pełen cienia i spokoju.

Rychu siedział w swoim fotelu. Na ławie stała pusta szklanka po koktajlu.
Drobiny kurzu tańczyły w słonecznych sztyletach zza żaluzji.

Ryby czekały w lodówce.

Światło jak spokój. Spokój jak światło.

Już nie był sam.

I wiedział, że nie zapomni.

Wielkimi dłońmi ścisnął poręcz fotela i czekał na Kate.

The logo for Bevitore, featuring the brand name in a white serif font centered within a dark red rectangular background.

Spis treści

Krzysztof Piskorski

TRZYNAŚCIE INTERWAŁÓW IORRI

Rafał W. Orkan

KSIĘCIA KORDIANA KSIĘŻYCOWYCH PRZYPADKÓW CZĘŚĆ PIERWSZA I
NAJPRAWDOPODOBNIJ OSTATNIA

Wawrzyniec Podrzucki

ZAKRES WIDZIALNY

Andrzej Miszczak

PORYW

Alex Gütsche

LALKA

Joanna Skalska

PŁOMIENIEM JESTEM JA

Janusz Cyran

SŁOŃCE KRÓL

Wojciech Orliński

STANLEMIAN

Rafał Kosik

TELEFON

Paweł Paliński

BLASK

Filip Haka

OPOWIEŚCI KOSMOBOTYCZNE DOMINIKA VIDMARA

Jakub Nowak

RYCHU